

HELENA Z FALEWICZÓW  
SZTUKOWSKA


# Fragmenty wspomnień wileńskiego obrońcy

Toruń 1977 • Nieborów 1984



*Biblioteka  
Wileńskich Rozmaitości*





# Fragmenty wspomnień wileńskiego obrońcy

Toruń 1977 • Nieborów 1984



Autorka jako młoda adwokatka. Wilno 1929 r.



HELENA Z FALEWICZÓW SZTUKOWSKA

# Fragmenty wspomnień wileńskiego obrońcy

Toruń 1977 • Nieborów 1984



*Biblioteka  
Wileńskich Rozmaitości*

**BIBLIOTEKA WILEŃSKICH ROZMAITOŚCI**  
**Seria B 47**

Redaktor: Leszek Jan Malinowski

ISBN 83-87865-39-7  
ISSN 1230-9915

Skład i druk: Z.P. „SPRINT” Tomasz Toczkiwicz  
przygotowanie: Krzysztof Pawłowski  
ul. Ludwikowo 7, 85-502 Bydgoszcz  
tel.(052) 321 82 00, 321 82 01; e-mail: [sprint@cps.pl](mailto:sprint@cps.pl)

WYDZIAŁ PEDAGOGIKI I PSYCHOLOGII

# Część I

*Moim dzieciom  
– Hani i Jankowi  
oraz wnukom  
– Patrykowi i Dominikowi  
poświęcam*





## O AUTORCE SŁÓW PARĘ

Helena z Falewiczów Sztukowska urodziła się w Wilnie 1 kwietnia 1901 roku jako drugie dziecko Jana Marcina Falewicza h. Pobóg i Wandy Więckowskiej h. Prus (miała starszego o dwa i pół roku brata Kazimierza i młodszego o dwa lata brata Stanisława).

Wychowywała się w domu o głębokich tradycjach patriotycznych. Pradziad jej Jan Felix, filomata, przyjaciel Zana i Czeczota brał udział w pracach tajnych organizacji studenckich na Uniwersytecie Wileńskim. Jego syn, a dziad Heleny - Karol Szczęsny, inż. rolnik, ziemianin, działacz społeczny i publicysta, był uczestnikiem Powstania Styczniowego na Litwie, sekretarzem jego wodza - gen. Zygmunta Sierakowskiego i członkiem Rządu Tymczasowego na Litwie. Aresztowany przez Murawiewa-Wieszatiela, skazany został na karę śmierci i jedynie zbieg okoliczności spowodował, że uniknął on śmierci, a karę zamieniono na parę lat twierdzy w Dyneburgu. Jej ojciec Jan Marcin ukończył Politechnikę w Petersburgu i jako inż. chemik rozpoczął pracę w cukrowniach na Podolu.

Helena pobierała początkowo naukę w domu (egzaminy zdając na pensji w Warszawie) a następnie w Kijowie i na pensji pani Arciszowej w Lublinie, gdzie wiosną 1920 roku uzyskała świadectwo dojrzałości. Po bitwie pod Radzyminem („Cud nad Wisłą”), zgłosiła się jako ochotniczka do służby sanitarnej pracując jako siostra operacyjna w szpitalu polowym w Warszawie a następnie przebywała parę miesięcy na froncie w szpitalu frontowym. Po zawieszeniu broni powróciła do rodzinnego majątku Balinpoła pod Wilnem. Ojciec jej pełnił wtedy godność marszałka sejmiku powiatu wileńsko-trockiego i był posłem (a nawet

wicemarszałkiem) Sejmu Litwy Środkowej. Jego podpis widnieje na uchwalonym przez ten Sejm Akcie Inkorporacji Litwy Środkowej do Polski.

W latach 1921-1924 studiowała na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Pracowała równocześnie zarobkowo w Towarzystwie Ubezpieczeń Społecznych w Wilnie opracowując w domu rejestry ubezpieczeniowe. Studia ukończyła w roku 1924 uzyskując dyplom Wydziału Prawa oznaczony nr 1.

Lata 1924-1925 spędziła w Paryżu studiując na l'École des Sciences Politiques, będąc jednocześnie korespondentem wileńskiego „Słowa” i praktykując w Ambasadzie polskiej w Paryżu (opracowywała tam tzw. rekwizycje sądowe).

W roku 1925 wyszła za mąż za Józefa Sztukowskiego h. Jelita, por. 23 p. ułanów, który pracował w attachacie wojskowym w Moskwie przy Ambasadzie RP. Koniec roku spędziła wraz z mężem w Związku Sowieckim. Po powrocie wznowiła aplikacje sądową i adwokacką (jej patronem był znakomity cywilista - Walenty Parczewski). Po zakończeniu aplikacji i złożeniu egzaminu adwokackiego otworzyła własną kancelarię specjalizując się w sprawach karnych. Stawała również w licznych procesach politycznych broniąc wraz z adw. Mieczysławem Szererem w procesie młodzieży komunistycznej z „Po prostu”. Wraz ze swoją przyjaciółką, adw. Haliną Sukiennicką, posłużyła za model do postaci urodziwej adwokatki z „Rzeczywistości” Jerzego Putramenta.

Była kuratorem więziennym, aktywnym członkiem Wileńskiego Patronatu Więziennego. Była współpracownikiem wileńskiego „Słowa” współredagując cotygodniowy dodatek kobiecy „Kobieta i Życie”. Była aktywnym członkiem walczącego o emancypację kobiet Związku Kobiet z Wyższym Wykształceniem.

W okresie międzywojennym urodziła (w roku 1935) i wychowała syna. Była czynnym sportowcem. Uprawiała tenis, jazdę konną (brała udział w biegach myśliwskich), polowała i uprawiała pilotaż (była jedną z pierwszych członkiń Wileńskiego Aeroklubu, którego prezesem był jej mąż - Józef Sztukowski).

Wybuch wojny zastał ją w Wilnie. Przerwała praktykę adwokacką i rozpoczęła pracę jako sufler w wileńskim Teatrze Miniatur. W tymże czasie związała się z ruchem konspiracyjnym na terenie Wileńszczyzny.

W roku 1940 mąż jej, jeniec wojenny obozu w Kozielsku został zamordowany w Katyniu.

Po wkroczeniu Niemców do Wilna zajęła się ukrywaniem ludności pochodzenia żydowskiego i Polaków poszukiwanych przez władze niemieckie. Ukrywała ich zarówno w swoim mieszkaniu w Wilnie, w rodzinnym Balinpolu, jak i organizowała inne kryjówki. Była denuncjowana i dwukrotnie aresztowana. Raz - w związku z udzielaniem pomocy swojej chorej bratanicy Helenie Falewiczównie w Warszawie, po raz drugi - w związku z ukrywaniem ludzi pochodzenia żydowskiego. Spędziła parę miesięcy w dobrze sobie znanym z okresu pracy w Patrocnacie Więziennym - więzieniu na Łukiszkach w Wilnie.

Po wyjściu z więzienia powróciła do pracy konspiracyjnej. Po wysiedleniu z Wilna przeniosiła się do Torunia, gdzie w latach 1946-1973 kontynuowała praktykę adwokacką. Specjalizowała się nadal w sprawach karnych broniąc jednak również w procesach politycznych (procesy akowców, duchowieństwa, peeselowców itp.). Dwukrotnie była karana dyscyplinarnie. W roku 1951 została aresztowana w związku z zarzutem wstrzymania się od delatorstwa, nie doniosła bowiem władzy o znanej sobie rzekomo działalności konspiracyjnej mieszkającej z nią 15-letniej bratanicy - Wandy Falewiczówny. Siedem miesięcy spędziła w więzieniu w Bydgoszczy.

W okresie stalinowskim dom jej spotykały liczne represje. 15-letnia bratanica spędziła 3 lata więzienia w Toruniu, w Fordonie i w Bojanowie. Jej kuzyn, wspólnie wychowujący się i traktowany jak młodszy brat - Jan Wierusz-Kowalski - został w czasie śledztwa zamordowany w Bydgoszczy przez UB.

Po powrocie z więzienia uzyskała uprawnienia rzemieślnicze i zaczęła uprawiać rękodzieło artystyczne. Wróciła jednak (dzięki pomocy tzw. „lewicy akademickiej” z Wilna) do praktyki adwokackiej.

W latach 1957-1970 uprawiała czynnie sport automobilowy. Odbiła szereg podróży zagranicznych (Anglia, Francja, Norwegia, Kanada, Meksyk) wygłaszając następnie w TWP i MKPiK na terenie całego kraju pogadanki na temat swych podróży i poznanych krajów.

W Toruniu, podobnie jak i w Wilnie zajmowała się kolekcjonerstwem, prowadziła dom otwarty, w którym spotykali się przedstawiciele środowisk twórczych Wilna i Torunia. Przyjaźniła się z licznymi na-

ukowcami i artystami (m.in. z Tymonem Niesiołowskim). Posiadała w swych zbiorach cenne dzieła malarstwa współczesnego.

W trakcie kręcenia przez Antoniego Bohdziewiczza filmu pt. „Rzeczywistość” (wg Putramenta) pełniła obowiązki konsultanta filmowego oraz użyczała swe piękne, typowo wileńskie mieszkanie do zdjęć filmowych.

W roku 1973 przeszła na emeryturę stając jeszcze od czasu do czasu w sądzie. Ogółem stawiała przed sądem ponad 8 tysięcy razy. Rozpoczęła porządkowanie archiwum i pisanie pamiętników, które są m.in. zawarte w niniejszym tomie.

W roku 1978 przeniosła się do Warszawy, gdzie mieszkała do końca życia (zmarła 4 sierpnia 1985 r.).

Odznaczona Medalem „Polska swemu obrońcy” za rok 1920, Srebrnym „Krzyżem Zasługi z Mieczami” - za swoją działalność w wileńskim AK oraz Medalem dla „Sprawiedliwych Między Narodami” - za ratowanie Żydów - posiada drzewko w Jerozolimie.

Syn jej Jan - inżynier chemik (ur. w Wilnie w 1935 roku), żonaty z Hanną Kietlińską ma z nią dwóch synów: Patryka (ur. 1980) i Dominika (ur. 1983 r.), mieszka stale w Wielkiej Brytanii, gdzie jest konsultantem wielkich firm chemicznych.

Notatkę powyższą podaję zamiast wstępu do fragmentów pamiętników mojej Ciotki, osoby o bardzo barwnym, ciekawym i bogatym życiu, które wspólnie poddaliśmy opracowaniu redakcyjnemu. Fragmenty te składają się z 12 różnej objętości rozdziałów. Pierwsze osiem (z wyjątkiem króciutkiego rozdziału o studiach w Wilnie) powstały w roku 1977 w Toruniu, rozdziały 9-11 powstały w latach 1981-1982 w Anglii, w Prestbury podczas pobytu u syna, rozdział ostatni - powstał w Warszawie w latach 1983-1984.

Jan Karol Falewicz  
Nieborów, kwiecień 1984 r.



# Rozdział I

## DZIECIŃSTWO

Sięgając pamięcią do najwcześniejszego dzieciństwa widzę stojący przy drodze duży parterowy dom. Do domu tego wchodziło się z prawej, szczytowej strony po kilku schodkach. Z przedpokoju przechodziło się do wielkiego, ciągnącego się przez całą szerokość domu salonu a następnie do korytarza, po którego prawej stronie były dalsze pokoje.

Za domem znajdował się park, a właściwie las, na końcu którego natrafiało się na starą fosę, której przeciwny brzeg był bardzo wysoki. Za fosą znajdował się płot. Nam, dzieciom nie wolno było zbliżać się do zarośniętej trawą fosy, na dnie której często znajdowała się woda.

Był to okres niepokoju społecznych, zbliżał się rok 1905. Miałam wtedy 4 lata i nazywano mnie „Lalunią”. Chorowałam na szkarlatynę i zapamiętałam twarz lekarza, który nachylał się nad moim łóżeczkiem. Miałam starszego o dwa i pół roku brata Kaja i młodszego o dwa lata Stacha, który zaczynał wtedy chodzić.

Do parku za domem nie chodziliśmy zbyt często. Było tam ponuro i bezsłonecznie. Z nianią i starszym bratem spacerowaliśmy natomiast do pięknego parku właściciela majątku i fabryki, Rosjanina, pana Leszczyńskiego, u którego ojciec mój był dyrektorem cukrowni. Te spacerunki po bajkowym ogrodzie pozostały na zawsze w pamięci małego dziecka. Było to na Ukrainie, w guberni kijowskiej, a miejscowość nazywała się Kijanica<sup>1</sup>. We wspaniałym ogrodzie był pałac, do którego wchodziło się przez długi i wysoki różany tunel zbudowany z drewnianych obronionych różami sztachetek. Szło się tym różanym tunelem długo, ale

chyba tylko jeden raz byłam we wnętrzu pałacu i stąpałam po wyłożonych czerwonym dywanem schodach. W pamięci dziecka utkwilo to, że co parę schodków, raz na lewo, raz na prawo znajdowały się duże, pełne ruchliwych rybek akwaria. Było to dla mnie wielce ciekawe i bardzo imponujące!

W ogrodzie pałacowym bywaliśmy chyba co dzień. Jeździliśmy po długich i szerokich drózkach wózcikiem na dwóch kółkach, na którym można było siedzieć i przodem i tyłem, a wózek ciągnął kucyk prowadzony przez naszą nianię. Zapamiętałam z tych spacerów różnego kształtu i wielkości altanki oraz tę część ogrodu, w której znajdowało się alpinarium: kamienie, skały, kwiaty i wodospad.

W wyobraźni dziecka wszystko było olbrzymie, ale przypuszczam, że park przy wielkopańskiej rezydencji Leszczyńskiego musiał być naprawdę piękny i wypielęgnowany. Ojciec opowiadał mi potem, że po rewolucji pan Leszczyński znalazł się we Francji i prowadził restaurację w Biarritz.

Pamiętam wizyty z rodzicami u urzędników cukrowni, dokąd mnie zabierano, gdyż tam również były dzieci i bawiliśmy się innymi, nowymi zabawkami.

Zapamiętałam z tamtych czasów, że kawony - arbuzy leżały na Podolu stertami na polach, podobnie jak u nas buraki cukrowe. Matka moja kupowała od razu wóz pełen kawonów - 100 sztuk i mówiła potem, że kosztowało to ją rubla - jeden kawon kosztował kopiejkę!

Pamiętam też, jak w domu na korytarzu popchnęłam młodszego brata, który upadł i skaleczył sobie wargę. Za karę zamknięto mnie w znajdującym się przepierzeniu na korytarzu, gdzie była graciarnia - pełno kufrów, walizek. Biedna „Lalunia” wdrapała się do góry na sterty różnych rzeczy i tam zasnęła. Gdy miano wypuścić więźnia, okazało się, że śpi, a sroga Mama była tym wzruszona i skruszona zabierając na ręce biedne, ukarane dziecko.

Drugą cukrownią na „Ziemiach Zabrzanych” w Rosji, gdzie Ojciec mój pełnił obowiązki dyrektora był Trościaniec na Podolu<sup>2</sup>. Właścicielami majątku i cukrowni byli Pannenkowie, znani polscy cukrownicy. Ludwik Pannenko był w okresie międzywojennym członkiem władz naczelnych Polskiego Związku Cukrowników.

Musiało to być w czasie lub niedługo po Rewolucji 1905 roku, bo

fabryka miała własną straż. Fascynował mnie i imponował mi wygląd tej straży. Byli to Czerkiesi, wysocy, przystojni mężczyźni w wysokich papachach na głowach, ubrani w długie surduty, w których na pierśiach mieli liczne, ukośnie schodzące się kieszonki na naboje.

Mieszkaliśmy w dużym parterowym domu, niedaleko fabryki i niedaleko od domu właścicieli, który schowany był za wielką bramą w cienistym i tajemniczym ogrodzie. Przed naszym domem był gazon i podjazd.

Mieliśmy wtedy psa - wyżła, który woził nas wózkami na dwóch kółkach, mając przywiązany do hołobli smaczny kąsek do którego bezskutecznie dążył naprzód.

Pewne zdarzenie z Trościańca utkwilo mi w pamięci. Jechaliśmy z rodzicami powozem czwórką koni w lejc. Pod rozpędzone konie wpadł jakiś stary człowiek. Byłam przerażona widząc głowę tego człowieka pod powozem. Nie powiedziano mi jednak, co się z nim stało...

Wspomnienia Trościańca są mgliste. Część dużego domu zajmowała nasza rodzina, druga część przeznaczona była na pokoje gościnne. Okna ziały pustką, wewnątrz były ponure i wzbudzały strach dzieci. Nigdy nie widziałam, aby tam ktoś mieszkał, nie było gości, nie było żadnego objawu życia.

Ojciec mój widocznie lubił zmiany, bo do mego 11 roku życia przeniósł się z całą rodziną jeszcze do trzeciej cukrowni na Ukrainie, do Błahodatieńska nad rzeką Sejm<sup>3</sup>, przepływającą bardzo blisko naszego domu, po której kursowały statki pasażerskie („Hugo” i „Karol”). Do tej dużej rzeki schodziło się ścieżką prowadzącą w poprzek wysokiej skarpy. Koło domu znajdował się też park, większy niż w Kijanicy i zupełnie dziki. Znajdowaliśmy tam bardzo często jeże. Zabieraliśmy je do domu i umieszczaliśmy w pustym hallu, gdzie chodząc po nocy robiły taki hałas, że nas budziły. Rodzice kazali nam wtedy odnosić je do parku.

Ojciec mój był zapalonym myśliwym i gdy szedł w pojedynkę na polowanie na ptactwo, zabierał nas ze sobą. Rzeka była kręta i pełna szuwarów. Znajdowało się tam siedlisko komarów. To była istna plaga tej miejscowości! Idąc z Ojcem na polowanie okręcaliśmy nogi papierem włożonym pod pończochy, chroniąc je w ten sposób przed komarami.

Co utkwilo mi w pamieci z tamtych czasow - to jazda lodzia po jablka. Wszyscy wybierajacy sie na przejazdke schodziliśmy sciezka w dol do lodzi, na srodku ktorej stal wielki przygotowany na jablka kosz wiklinowy z pokrywa. Najwieksza atrakcja bylo jechanie w tym wlasnie koszu. Niestety, w drodze powrotnej kosz byl pelen jabłek i trzeba bylo siedziec normalnie na lawkach.

Pamiętam nasze kąpiele w łazience, a potem bieganie po pokojach dziecinnych w dlugich nocnych koszulach i zapędzanie przez Mamę do lozek: pacierz, pocałunki i spać!

Błahodatieńsk był trzecią cukrownią na Podolu, w której dyktoro-  
wał mój Ojciec. Ale przedtem jako inżynier technolog-chemik, absol-  
went Politechniki Petersburskiej, pracował również w cukrownictwie.  
Gdy był jeszcze kawalerem, objął stanowisko wicedyrektora cukrowni  
w Szamrajówce w guberni kijowskiej w tzw. „braniczyźnie”, czyli w  
majątkach i cukrowniach Branickich z Białej Cerkwi. Dyrektorem Szam-  
rajówki był w ciągu 35 lat Kazimierz Więckowski. Miał on dwie córki -  
Wandę i Joannę. Ojciec mój ożenił się ze starszą - Wandą. Była to moja  
Matka. Będę o niej jeszcze nieraz pisać w swoich wspomnieniach. Te-  
raz chciałabym słów parę rzec o drugiej córce Kazimierza Więckow-  
skiego - Joannie. Ciocia Joanna, o rok młodsza od mojej Matki, wyszła  
za mąż za pochodzącego z Wielkopolski Michała Wierusz-Kowalskie-  
go, który zginął tragicznie w czasie rewolucji bolszewickiej. Został on  
zepchnięty ze stopnia wagonu i wpadł pod koła nadjeżdżającego wła-  
śnie po drugim torze pociągu. Pociąg ten obciął mu głowę.

Wujostwo Michałowie mieli czworo dzieci: Marychnę, Antka, Wan-  
dę i Janka. Po powrocie z Rosji cała czwórka chorowała na gruźlicę.  
Rodziną zaopiekowała się moja Matka i zaciągnęła ją do Balinpoła.  
Wanda i Antek zmarli na gruźlicę. Marychna wyszła za mąż za płk.  
Ożyńskiego. Była bardzo piękna. Lata całe leczyła się klimatycznie na  
gruźlicę. Zmarła już po II wojnie światowej w Toruniu.

Ciocia Joasia chorowała ciężko na raka wątroby. Odwiedzałam ją  
często w szpitalu. Zmarła w Balinpolu i pochowana jest obok mego  
Ojca na cmentarzu wiejskim w Bujwidzach. Najmłodszy z rodzeństwa  
Janek wychowywał się wraz z nami w Balinpolu i wszyscy traktowali-  
śmy go jak młodszego brata. Janek, jako porucznik „Żaba” brał czynny  
udział w konspiracji. Po wojnie wrócił w randze majora do zawodowej



służby wojskowej. Był wykładowcą w Szkole Wojennej. W latach stalinowskich został zamordowany przez UB w Bydgoszczy.

Po trzech posadach dyrektora cukrowni na Ziemiach Zabrzanych Ojciec mój wylądował wreszcie od roku 1908 w Królestwie Polskim, w guberni lubelskiej w cukrowni Strzyżów nad Bugiem, położonej na granicy Wołynia, niedaleko granicy austriackiej. Ojciec został dyrektorem należącej do Spółki Akcyjnej (głównymi udziałowcami byli panowie Rulikowski, Chrzanowski i Moroczyna) cukrowni i administratorem związanego z cukrownią majątku. Strzyżów stanowił dawniej własność rodziny Starzeńskich i posiadał duży, dostojny, stojący nad brzegiem Bugu jednopiętrowy pałac.

Na parterze pałacu znajdowały się biura cukrowni, wielki gabinet Ojca, były tam też duże 4 gościnne pokoje oraz pokoje służby. Na piętrze mieszkaliśmy my; było siedem pokoi, kredens, kuchnia, 2 spiżarnie i olbrzymia kryta dachem weranda. Jadalny pokój był owalny i ciągnął się na całą szerokość domu. Pod nim, na parterze znajdował się ogromny gabinet Ojca - służący niegdyś za salę balową.

Z okien jadalni, mającej występ od strony wschodniej elewacji pałacu, rozpościerał się piękny widok na opasujący pałac Bug, toczący z wolna swe wody wśród łąk, a w dali, na horyzoncie widać było leżące już na Wołyniu wielkie lasy.

Strzyżów był rajem mego dzieciństwa. Wszystko, o czym dziecko mogło marzyć - było dostępne.

Z gabinetu Ojca na parterze wychodziło się do ogrodu kwiatowego odgradzonego od łąk nadbużańskich bardzo wysokim murem. W ogrodzie rosły piękne, stare kasztany, po których łaziliśmy z bratem mając tam w dziuplach różne kryjówki, w których chowaliśmy swoje skarby: kamyki, monety robione z cegły. Z tych kasztanów był rozległy widok na Bug, na okoliczne łąki i lasy położone już na Wołyniu. W lasach tych urządzane były przez mego Ojca polowania, na które zawsze my, dzieci, jeździliśmy saniami i potem staliśmy za plecami myśliwych, czekając aż nagonka ruszy. Przeżywaliśmy wtedy wielkie emocje. W zimie na pałacowym balkonie kładło się długi drąg, na którym wisały trofea z polowania: zające, kozły.

W zimie ślizgaliśmy się na stawie niedaleko bramy wjazdowej do pałacu. Zjeżdżaliśmy na saneczkach z górki, w lesie zaś uprawialiśmy

sport konny. Graliśmy często w tenisa.

Poza ogrodem kwiatowym przy pałacu, od strony łąk i Bugu mieliśmy ogród warzywny ze szklarnią, którą się zajmował ogrodnik oraz położony dalej, liczący 400 drzew sad. Szalenie lubiliśmy okres zdej-mowania owoców z drzew do wielkich koszów z 2 uszami. Owoce potem składano w piwnicach pod pałacem i było ich tak dużo, że starczało do następnego lata. W sadzie rosły również wspaniałe włoskie orzechy. Pamiętam, jak znosiliśmy do piwnicy wielkie kosze pełne orzechów, które starczały nam aż do Świąt Wielkanocnych.

Nauka odbywała się w domu. Specjalna nauczycielka przyjeżdżała na stałe z Warszawy i w godzinach rannych trwały lekcje przedmiotów ogólnych, zaś dla nauki języka francuskiego była druga osoba - Fran-cuzka, z którą spędzało się wolny czas, chodziło na spacer, siedziało się przy niej przy stole podczas posiłków. Najpierw była u nas Made-moiselle Margueritte Chaselet, potem Mademoiselle Berthe Diremger. Co roku jeździłam z Mamą do Warszawy, gdzie na pensji panny Kowal-czykówny zdawałam egzamin i dostawałam świadectwo przejścia do następnej klasy. Do szkoły, do V klasy gimnazjalnej, poszłam dopiero po wygnaniu - w Kijowie, dokąd zawędrowaliśmy jako uchodźcy z terenów objętych działaniami wojennymi. Po powrocie do Polski w roku 1918 wstąpiłam do VII klasy pensji pani Arciszowej w Lublinie i na wiosnę 1920 roku zdałam maturę.

W Strzyżowie wolnego czasu było dużo. Biegałam z braćmi po ogro-dach, łąziłam po drzewach, zajmowałam się zwierzętami. Psów było kilka: wyżły do polowania i foxteriery - jako psy pokojowe. Poza tym obok dyrektorskiej stajni była zagroda z sarenkami, którymi się zajmo-wałam.

Była też oswojona wiewiórka: „Chrupek”, która miała swoją klatkę na balkonie. Wielki kryty dachem i z krytymi bocznymi ścianami bal-kon był miejscem posiłków w lecie, salonem do przyjmowania gości i tam też, wewnątrz klatki znajdował się domek „Chrupka”. Klatka była przeważnie otwarta, więc „Chrupek” spacerował, gdzie chciał, a po spacerze wracał grzecznie do klatki. Domek w jego klatce był drewnia-ny i przegrodzony na dwie części. Jedna - stanowiła sypialnię wymoszc-zoną watą i z przybitym kawałkiem wołjoku nad otworem, aby jej wiatr nie wiał, drugi koniec domku też z otworem - był jego spiżarnią.

Na Boże Narodzenie robiliśmy „Chrupkowi” choinkę wstawiając do klatki gałązkę świerku osadzoną w dużym kartoflu. „Chrupek” wychodził zaspany i ciepły ze swej sypialni, podchodził do choinki, przewracał ją łapką, obdzierał ze wszystkich łakoci: cukierków, daktyli, fig itp. i znosił to wszystko do swojej szpiarni.

„Chrupek” był bardzo oswojony i starał się zawsze dostać do mieszkania, ale robił tam szkody, bo ostrzył sobie zęby na meblach. Biegał po gzymsach pałacu I piętra zaglądając do wszystkich okien, ale okna miały siatki, więc tańczył przed siatką opierając się o nią przednimi łapkami i wędrował dalej. Gdy dostał się do domu, wdrapywał się do mownikom po ubraniu na ramiona. Jakże skonsternowany był kiedyś gość, który zajęty obiadem siedział z pochyloną głową nad talerzem, a „Chrupek”, widząc szparę między szyją a kołnierzem, wpakował mu za kołnierz orzech włoski i przednimi łapkami zaczął go zagrzebywać.

Ponieważ orzechów włoskich było w Strzyżowie moc, więc „Chrupek” miał ich pod dostatkiem, jednak nawet będąc syty wpadał na stół, porywał orzechy i zakopywał je w doniczkach z kwiatami. Po pewnym czasie wychodziły z ziemi „zasadzone” przez „Chrupka” drzewka orzecha. „Chrupek” lubił perfumy i jeśli ktoś uperfumowany brał go do ręki, to rozkładał się na dłoni na wznak i lubił jak się drapało w biały brzuszek<sup>4</sup>. Niejednokrotnie właził mi do kieszeni i tam zasypiał. Chodziłam wtedy ostrożnie, aby go nie zbudzić. „Chrupek” jednak nie zawsze był taki łagodny. Pamiętam jak jeden z lokai, głupawy Grzela uganiał się za nim ze ścierką w ręku, chcąc go wyrzucić z pokoju. Złapany wreszcie „Chrupek” ugryzł go w rękę aż do kości. Kiedy podczas wojny musieliśmy opuścić Strzyżów, pozostawiliśmy „Chrupka” w jego klatce. Zabił go podobno jakiś żołnierz.

Hodowałam też w komórce króliki. Nasza pierwsza Francuzka Mlle Margueritte też bardzo lubiła zwierzęta. Chodziliśmy z Francuzką na łąkę, aby wybierać trawy, które króliki lubią. Kiedyś dając im jeść zauważyliśmy, że jeden królik jest zakrwawiony i pod okiem ma ranę. Okazało się, że to szczur go pogryzł. Zabrałyśmy go do pokojów, aby go leczyć. Gdy wygoiło się pod jednym okiem w miejscu pogryzienia królik nie miał sierści. Nazwałyśmy go wtedy „Byłem, byłem”; „Byłem z jednej strony ładny, a z drugiej byłem brzydki”.

Królik zadomowił się u nas. Przyzwyczał się do życia w pokojach,

spiał w salonie pod fotelem na dywanie. Załatwiał się zawsze w tym samym miejscu w hallu, na blasze, pod piecem, więc jego obecność w domu nie była przykra. Oswojony był bardzo. Wchodził do pokoju Ojca, który już leżał, i patrzył, czy ktoś jest na łóżku. Jeżeli tak, to wskakiwał, żeby sobie razem poleżeć...

Psy w okresie mego dzieciństwa odgrywały wielką rolę. Były różne - myśliwskie i pokojowe. Były w kredensie koło kuchni i w budzie na dworze: pointery, setery i foxteriery. Gdy wyźlica miała szczeniaki, bardzo lubiłam wchodzić do dużej psiej budy i tam przebywać z małymi, brać je na ręce, głaskać, oglądać...

Pamiętam, jak wyźlica wychowała wraz z własnymi szczeniakami prosiaczka. Jednocześnie niemal szczeniły się suka i maciora. Maciora jednak zjadała własne prosięta. Zabraliśmy jednego prosiaczka z chlewu i przenieśliśmy do psiej budy. Został zaakceptowany. Wyźlica dała mu pokarm. Zabawnie wyglądała czarna wyźlica z czarnymi szczeniakami i jednym białym prosiaczkiem. Spędzaliśmy długie godziny na oglądanie tego fenomenu. Prosiaczek się odchował.

Czasami suka szceniła się na strychu, gdzie też była buda. Strych był olbrzymi, na całą długość i szerokość pałacu. Na belkach położone były deski, po których chodziły praczki wieszając wypraną bieliznę.

Nosiło mnie na strych, żeby zobaczyć szczeniaki, a przy okazji, w sekrecie przed starszymi, wyłaziłam otworem na dach w tym miejscu, gdzie był on kryty blachą i było ślisko. Siadałam na blasze i jeździłam aż do balustrady, którą opasany był cały dach pałacu. Balustrada była stara, spróchniała, ale wtedy nie zastanawiałam się, że to ślizganie na dachu może spowodować katastrofę, że balustrada, o którą się opierałam, może zlecieć, a ja wraz z nią.

Mam fotografię pałacu, gdzie już balustrady nie ma. Widocznie musiano ją usunąć ze względów bezpieczeństwa, ale nie ze względu na moje praktyki, które pozostały dla wszystkich tajemnicą.

Blisko pałacu, obok jednej z oficyn była stajnia dyrektorska, a więc czwórka koni do powozu, 2 kuce dla nas - dzieci i 2 konie wierzchowe. Jedna kasztanka „Hiawata”, czystej krwi arabskiej, pochodziła ze stadniny stryja Wojciecha Falewicza, brata mojego ojca z Marwy na Kowieńszczyźnie. Druga kara, kurtyzowana „Łaska” - była pół krwi angielskiej. Czasami pozwalano mi dosiadać nie kuca ale „Łaskę” i byłam



bardzo dumna z tego, że mogę jeździć na koniu przeznaczonym dla dorosłych. Najczęściej jeździłam jednak na kucu. Pamiętam, kiedyś jak wylał Bug i woda podchodziła aż do ogrodu, jeździłam chlapiąc się wodą po tych zalanych łąkach i zapomniałam zupełnie o istnieniu głębokiego rowu, którym odprowadzano do Bugu brudną wodę z cukrowni. Rów był głęboki, a jego brzegi strome. Wpadliśmy z kucem do tego rowu i znalazłam się po pas w wodzie. Jakimś cudem wydostaliśmy się z tego rowu i szybko uciekłam do domu, aby przebrać się zanim zobaczą mnie rodzice i spotka zasłużona kara.

Wychowywana byłam przez mego Ojca bardzo samodzielnie. Chowałam się wśród chłopców (u nas było dwóch, u stryja Wojciecha trzech), chłopcy mi dokuczali, nieraz bili, więc musiałam się bronić, ażeby mnie nie nazywano „babą” musiałam robić wszystko, to co robią chłopcy.

Ojciec mój raz do roku chorował na podagrę. Musiał leżeć w łóżku. Zdarzało się to nieraz w czasie kampanii cukrowniczej. Przywoływał mnie wtedy do siebie i posyłał do fabryki z różnymi zarządzeniami, które musiałam przekazać zmianowemu, czy chemikom, pracownikom laboratorium. Chociaż lubiłam chodzić po fabryce podczas kampanii, bo tam wszystko było ciekawe, na cukrowej górze można było zjeść ciepłe jeszcze grudki cukru, a w laboratorium chemicy robili karmelki, to jednak z tymi zarządzeniami chodzić nie lubiłam i mówiłam Ojcu: „gdzie ja ich znajdę?” Na to Ojciec mi odpowiadał: „na końcu języka”. No i musiałam iść i polecenie wykonać. Wędrowałam do cukrowni...

Deputat z cukrowni wynosił rocznie 24 pudy cukru (1 pud = 16 kilogramów). Z 12 pudów robiło się konfitury (dżemów wtedy jeszcze nie znano). W ogrodzie robiono marmoladę. W olbrzymim saganie, który wisiał nad ogniskiem, warzono ją ze śliwek-węgierek, mieszając je długo, aż do całkowitego zgęszczenia.

Poza ogrodami dyrektor miał pozostające na utrzymaniu fabryki 6 krów, świnię, drób, całe wielkie gospodarstwo, które wymagało licznej służby. Pokoje sprzątał i do stołu podawał lokaj, była poza tym kucharka, pokojówka, ogrodnik, furman i chłopak do pomocy. Furman Józef Pachniewski od święta przywdziewał czarny tużurek na czerwonej podszewce. Świetnie strzelał z bata i jak podawał powóz ruszając spod stajni, to przednie konie stawały dęba. Potem jeszcze dwa razy z fasonem objeżdżał gazon zatrzymując się nie przed samym gankiem lecz

niewo z boku i podjeżdżał dopiero wtedy, gdy wychodzono z drzwi pałacu.

W Strzyżowie było, jak pamiętam, kilku lokajów. Szczególnie zapamiętałam jednego z nich, nie grzeszącego nadmiarem inteligencji - Grzełę, który uganiał się ze ścierką w rękę za obgryzającym meble „Chrupkiem”. Do obowiązków Grzeli należało utrzymanie porządku w pałacu. Froterował kiedyś - bez rezultatu - podłogi i żalił się następnie Mamie: „Próbowałam nawet cukrem, żeby lepiej świeciły się, ale psia krew - klei się”. Grzeła odszedł do któregoś z naszych sąsiadów. Podobno podczas ustalania warunków oświadczył: „ale pierogów bez śmietany to ja nie jem”. Mimo tych srogich warunków sąsiedzi przyjęli go, był to bowiem chłop poczciwy i pracowity - choć głupawy. Inny lokaj był z kolei uwodzicielem. Zrobił on naszej kucharce Ewie - córeczkę Hankę. Ewa całą wojnę spędziła z nami, a po wojnie przyjechała z córką do Balinpoła i gotowała nam wiele lat. Hanka, ładna dziewczyna, wyszła za mąż za balinpolskiego furmana.

Życie na wsi w Strzyżowie było pełne wrażeń, wygodne, dostatnie. Mieliśmy wszystko, czego dusza zapragnie, aczkolwiek dzieci chowane były dość surowo.

Mama sama szyła dla mnie sukienki, przeważnie marynarskie, granatowe lub odświętne białe, często przymarszczone od karczka. Najważniejszą rzeczą dla mnie było, aby były tam duże kieszenie. Nie przywiązywało się wagi do ubrania, a u dziewcząt tępiło się wszelkie przejawy kokieterii. Pamiętam, jak kiedyś nauczycielka zobaczyła, że wyglancowałam sobie paznokcie irchą i kredą - była tym oburzona. Przeważnie nosiłam buty, palta, czapki po starszym bracie, który z nich wyrastał. Nosiłam po nim bluzki chłopięce w paski z kołnierzykiem i kieszenią po lewej stronie. W tej właśnie kieszeni „Chrupek” ucinął sobie drzemkę.

Lata spędzone w Strzyżowie były dla mnie bardzo - jak oceniam to z perspektywy lat - korzystne: wyrobiły we mnie odwagę, przedsiębiorczość i tężyznę fizyczną. Wprawdzie jedną zimę przesiedziałam w Zakopanem, gdyż konsylium lekarskie w Krakowie (w którym udział brało aż dwóch profesorów medycyny) uznało, że mam powiększone gruczoły chłonne w szczycie lewego płuca i zaleciło mi Zakopane. Straciłam rok szkolny, ale wróciłam zdrowa jak rydz.

Bardzo dobrze pamiętam swój pobyt w Zakopanem. Prowadziłam tam kurację klimatyczną werandując, ubrana w kożuszek i zakutana w futrzanym worku. Nie jeździłam z matką, bratem i Francuzką na wycieczki do dolin tatrzańskich i Morskiego Oka, bo musiałam unikać sytuacji, w których mogłabym się przeziębnić. Mieszkaliśmy wówczas na ul. Sienkiewicza w willi „Zacisze”, u pani Alfonsowej Parczewskiej. Mieliśmy tam dwa pokoje na parterze. Gdy leżałam na werandzie, często towarzyszyła mi Mademoiselle Bertha, która barwnie opisywała treść przeczytanych przez nią książek. Lubiłam to, ale nie mogło to trwać długo, bo na dworze był mróz, Mademoiselle Berthie zrobiło się zimno i uciekła do mieszkania. Wtedy, nie mogąc też czytać, bo ręce mi marzyły - patrzyłam przed siebie i mając w zasięgu wzroku domy, płoty, ulice - liczyłam. Liczyłam okna, liczyłam kołki w płocie, ludzi przechodzących ulicami itp. Myślę, że te zakopiańskie długie godziny na werandzie w willi „Zacisze” nauczyły mnie na całe życie automatycznego niemal liczenia wszystkiego, co znajduje się w zasięgu mego wzroku.

Musiałam w tym czasie pić śmietankę, której nie lubiłam, ale matka zaczęła mi płacić po 10 halerzy za małą szklaneczkę, więc piłam aby zbierać te halerze. To też była nauka...

Kuchnia pani Parczewskiej była wspaniała, ale najbardziej podobały mi się leguminy. Często były to rozmaite gatunki lodów, kremy z kasztanami, bita śmietana itp., ja „urodzona w cukrze” miałam zawsze (i mam do dziś) szczególny pociąg do słodczy, czego dziś nie radzę nikomu ze swoich bliźnich, zdając sobie sprawę z ujemnych konsekwencji - nadmiaru cukru w organizmie. Przed laty jednak nasza wiedza na ten temat była ograniczona, a lansowany przed II wojną światową slogan Melchiora Wańkowicza „Cukier krzepi” stoi w rażącej sprzeczności z naszą obecną wiedzą na ten temat.

Przypominam sobie również wyjazd ze Strzyżowa przez Kraków do Zakopanego. Jechaliśmy karetą zaprzężoną w szóstkę koni: 4 konie w poręcz i 2 w lejc. W Sokału przekraczało się granicę austriacką i tam znajdowała się stacja kolejowa. Miałam jako dziecko (ale i później też) skłonność do morskiej choroby. Zatręwało mi to każdą podróż. Siedząc naprzeciwko M-lle Berthy kładłam głowę na jej kolanach i wtedy czułam się nieco lepiej. Karetą grzęzła w błocie, konie wyciągały ją z trudem. Ta 55-kilometrowa podróż wydawała mi się wiekiem...

Latem przyjeżdżała do nas do Strzyżowa rodzina z Warszawy. Było gwarno i wesoło. Ale w innych porach roku też nie narzekaliśmy na brak towarzystwa. W położonej o 20 km od Strzyżowa cukrowni Nieleddwi dyrektorem był brat mego dziadka Kazimierza - Edward Więckowski. Jego córka, Maria wyszła za mąż za sąsiada Nieleddwi, pana Janiszewskiego, właściciela Nowosiółek. Wujostwo Janiszewscy mieli dwóch synków. Ciocia Maria zmarła po II wojnie światowej w Gdyni. Jeden z jej synów brał udział w walkach I Korpusu pod dowództwem gen. Maczka we Francji, Belgii i Holandii. Osiadł następnie w Belgii, gdzie żyje po dziś dzień.

Również niedaleko w majątku Wieniawka pod słynnym Horodłem mieszkali państwo Wierzbiccy mający trzy córeczki w moim mniej więcej wieku. Jeździliśmy do nich bawić się z dziewczynkami.

Mieliśmy wielu - czasem ciekawych a czasem dziwaków - sąsiadów. Pamiętam jednego z nich, Rosjanina, właściciela majątku Uściług na granicy austriackiej. Był on właścicielem pierwszego w okolicy samochodu, z którego był bardzo dumny. Do jego ulubionych zabaw należało zatrzymywanie wozu na wsi, wrzucanie tylnego biegu i namawianie chłopów, aby go popchnęli. Grzęznący w błocie chłopci nadziwować się nie mogli, że taka ciężka „psia jucha”.

Drogi w Hrubieszowskim były okropne. Oczywiście nigdzie śladu bruku czy asfaltu. Czarnoziem w jesienne pluchy i wiosenne roztopy śniegu, podczas deszczu, tworzył grzęzawisko w którym koła wehikułu zanurzały się po osie. Z takiego błota powóz wyciągnąć mogły tylko cztery konie. Najlepiej lubiłam siedzieć koło stangreta Pachniewskiego, on dawał mi lejce i powoziłam czwórką koni. Tę sztukę opanowałam dobrze.

Ale bywały nocne powroty z wizyt, a na bocznych drogach były takie wyboje i głębokie kałuże, że konie lejcowe wpadały w te doły i z trudem wygramolały się z nich, pociągając za sobą dyszlowe i wyciągając je z dołów. Koła zanurzone były w błocie po osie i stopnie od powozu tarzały się w czarnoziemie. Przewożenie buraków konnymi wozami przez plantatorów było bardzo utrudnione, a buraki były oblepione błotem.

Ze Strzyżowa do najbliższej stacji kolejowej w Dorohusku było 40 wiorst. Nieraz, gdy wracałam do domu posyłano po mnie powóz. Józef



Pachniewski widząc jak się męczę (z powodu opisanych przeze mnie skłonności do morskiej choroby) zatrzymywał konie i prosił: „Niech panienka pospaceruje, może przejdzie”. Z jazdą sankami było jeszcze gorzej. Do dziś boję się podróżować statkami czy promami. Ale zapewne ta dolegliwość też miała tło nerwowe, bo gdy byłam pilotem sportowym i prowadziłam awionetkę RWD-13, nigdy nie chorowałam. Dobrze znosiłam również loty wielkimi samolotami pasażerskimi. Przekonałam się ponadto, że dolegliwość tę można przeczłonyć, a najlepiej na tę chorobę pomaga śpiew.

Piękne były lata spędzone w Strzyżowie! Matka moja najbardziej ze wszystkich kwiatów lubiła konwalie. W maju jeździliśmy więc wozem drabiniastym do lasu położonego za Bugiem na Wołyniu. Bug przejeżdżało się promem w historycznym Horodle. Lasy były przepiękne! Urządzaliśmy sobie majówkę na ziemi leżąc na pledach, spożywając różne łakocie i wracaliśmy obładowani naręczami konwalii.

Horodło było naszą parafią. W każdą niedzielę czwórka koni jeździła pod pałac, Pachniewski strzelał z bata i jechaliśmy wszyscy do kościoła. Pełne werwy konie brały galopem jedyną górkę, którą mijaliśmy po drodze. W kościele, naprzeciwko ambony znajdowała się nasza ławka kolatorska. Nam dzieciom msza wydawała się bardzo długa i było okropnie nudno. Szeptaliśmy między sobą, za co surowym wzrokiem strofowali nas rodzice. Kazanie - wydawało nam się - trwało bez końca. Po Mszy szliśmy do księdza na śniadanie. Można też było - mimo niedzieli - załatwić sprawunki w żydowskich sklepikach na horodelskim rynku.

Tak mijały lata mego dzieciństwa. Atmosfera w domu była zawsze pogodna, rodzice kochali się i żyli w wielkiej harmonii. Ojciec mój był człowiekiem bardzo pogodnym, ale wybuchowym. Gniew jednak równie szybko odchodził, jak i zjawiał się. Matkę moją nie łatwo było natomiast wyprowadzić z równowagi. Gdy jednak to nastąpiło - pamiętała długo.

Trudno jest opisać szczegółowo swoje dzieciństwo. Wiele się zapomina, a nawet te fakty i odczucia, które się pamięta, trudno przelać na papier i zawsze pozostają niedopowiedzenia oraz świadomość, że nie powiedziało się tego wszystkiego, co stanowi o uroku i wartościach najwyższych tamtych czasów.



Swój pierwszy fragment wspomnień kończę więc na roku 1914, gdy wybuchła wojna światowa. Wojna która przyniosła wymarzoną Niepodległość.

## Rozdział II

### MŁODOŚĆ

W lecie 1914 roku rodzice wyjechali do Francji do Vichy. Wtedy właśnie nastąpiło zabójstwo w Sarajewie i wybuch wojny. W Strzyżowie oddalonym od granicy austriackiej o 55 kilometrów słychać było strzały armatnie z oblężonej fortecy w Przemyślu. Wszyscy byli przerażeni, a szczególnie my, dzieci pozostawione same, bez rodziców. Było nas troje: najstarszy Kaj, ja i młodszy brat - Stach. Troskliwa babcia Julia Karolowa Falewiczowa, która mieszkała w Werkach pod Wilnem, wiedząc że jesteśmy sami, prawie na granicy austriackiej, przysłała po nas pasierba ciotki Janiny - Luńka Niewodniczańskiego<sup>5</sup>, aby nas zabrał i przywiózł do Werek. Ale sprzeciwił się temu Kaj, który był autorytetem dla nas młodszych, i wszyscy stanowczo odmówiliśmy jazdy z Luńkiem do babci, twierdząc, że doczekamy powrotu rodziców i oni wtedy zdecydują, co z nami będzie. I tak się stało. Rodzice jeszcze nie dojechali do Vichy, gdy wybuchła wojna, ale jako obywatele rosyjscy - wracać przez Niemcy nie mogli. Umożliwiono im jednak wyjazd przez Anglię, Szwecję i Finlandię i jeszcze nim byliśmy zmuszeni opuścić Strzyżów, rodzice powrócili do domu.

Sytuacja na granicy była jednak przez dłuższy czas niepewna i stale słychać było strzały armatnie. Wreszcie twierdza została opuszczona i zaczęła się ofensywa. Komunikaty wskazywały, że lada dzień Austriacy mogą być w Strzyżowie, no i region nasz stanie się terenem walk. Trzeba było uciekać. Nie przypuszczaliśmy wówczas, że los nas rzuci aż na dalekie Podole. Byliśmy wszyscy przekonani, że sytuacja może

się zmienić, że powrócimy z powrotem do Strzyżowa, że trzeba tylko nieco się cofnąć poza niebezpieczne miejsce frontowe i pozostać od niego w pewnym oddaleniu.

Wyjazd był tak zorganizowany, że zostawiając w domu meble, a ważniejsze rzeczy zamurując w piwnicy (która zresztą po naszym wyjeździe została kompletnie rozkradziona), załadowaliśmy się na dwa tylko wehikuly: powóz i wóz drabiniasty. Ponieważ nikt z furmanów nie chciał opuszczać Strzyżowa, gdzie mieli wszak swe rodziny - stan-gretami byliśmy wszyscy, przeważnie dzieci. Ze Strzyżowa zabraliśmy naszą kucharkę Ewę z córeczką Hanią oraz oczywiście dwa psy: wyżła i foxteriera. Rodzice jechali powozem, myśmy się zmieniali. Zatrzymywaliśmy się po drodze na posiłki, odpoczynek dla koni i kierowaliśmy się w kierunku Polesia. Dojechaliśmy tak do majątku Raków, gdzie zatrzymaliśmy się nieco dłużej, licząc na to, że front się cofnie.

W Rakowie zastaliśmy naszych wujostwo Janiszewskich, którzy podobnie jak my wyjechali ze swego majątku Nowosiółki położonego blisko Hrubieszowa. Front jednak się nie cofał, przeciwnie, ofensywa austriacka trwała nadal, pojechaliśmy więc dalej na wschód do majątku Borki państwa Parniewskich. Tam czekaliśmy na komunikaty wojenne, ale dalszy rozwój sytuacji zmusił nas do jazdy do Pińska. Pamiętam, że drogi były w tych leśnych, dzikich stronach fatalne. Teren podmokły. Drogi na grzęzawiskach wysłane faszyną, gałęziami, trzcina, po których się jechało ze strachem, kołyszącym się pojazdem. Konie potykały się stąpając po gałęziach i zapadając się co i raz w błoto. Mimo to oddychaliśmy z ulgą. Straszliwą plagą Borek były pchły. Czegoś podobnego nie widziałam nigdy w życiu! Dlaczego one się tam tak legły, nie mam pojęcia. Na gładkich pledach, którymi się okrywaliśmy, pchły wyglądały tak, jakby ktoś wysypał miskę maku. Oczywiście o spaniu mowy być nie mogło. Bardzo więc byliśmy wymęczeni, gdy przyjechaliśmy do Pińska.

W Pińsku dołączył się do nas wicedyrektor Strzyżowa pan Jan Piechowski. Postanowiliśmy jechać dalej statkiem. W moim rodzinnym archiwum zachował się do dziś niefrasobliwy opis naszego wyjazdu i podróży sporządzony przez pana Piechowskiego<sup>6</sup>. Oddaję mu głos:

*Przyjeżdżamy w nocy na ciemny i pusty statek, aby być pierwszymi. Kaj chociaż chce jeść, zostaje przy rzeczach, robi awanturę, że głodne-*

go zostawiają go z niejadalnymi rzeczami. Około 12-tej staramy się wszyscy dostać na statek, a ponieważ ma on zaraz odchodzić, więc ma się rozumieć jadać po rzeczy, które zapomnieliśmy. Gdy wracam, dużo panien catuje się i obiecuje pisać do siebie. Pakują jeszcze jednego pasażera, pakują jeszcze jakieś towary, potem jeszcze jednego pasażera. Konstatujemy, że jest ciasno. Świszczą, dzwonią, krzyczą - znaczy odjeżdżamy. Łódka z rzeczami chodzi jak znarowiony kozioł. Jemy obiad. Śliczny widok na łożę i bagna. Panny tulą się do siebie i szepczą. Jedziemy - śliczny widok na szuwary i trzciny. Nabieramy drzewa, panny idą po kwitnące chwasty. Żydy się kłóć i martwią, szwarcowany pasażer kładzie się spać bez butów, wobec protestu współpasażerów śpi dalej, ale w butach. Śliczny widok na łożę i trzcinę. Jemy kolację, dziecko jedzie po Prypeci do Rygi. Reszta pasażerów wentyluje i dezynfekuje miejsce nocnych mąk (inaczej - materac na tłumokach), szwarcowany pasażer pluje, dziecko kaszle, reszta pasażerów łapie pchły i inne kuropatwy, pali światło i oczekuje ranka. Rano gwizdzą i obiecują straszne rzeczy, bo przejeżdżamy pod mostem. Jemy śniadanie. Śliczny widok na trzciny i łoży, plus 3<sup>o</sup> Reaumura. Poznają panny. Wszystkie mają fioletowe noski z zimna. Jemy śniadanie: 5 jaj zepsutych, tych nie jemy. Ewa partoli obiad. Pan Dąbkowski namawia mnie na żonę. Śliczny widok na piaski i łoży. Jemy obiad. Ku zgorzeniu panien zasypiam obok nich na pokładzie. Skutki obżarstwa „Deka” nie pozwalają mi spać dłużej. Kupujemy tłustą kurę. Tyle relacji Pana Piechowskiego.

Wyjechaliśmy statkiem płynąc Piną, Prypecią do Dniepru i dojechaliśmy do Kijowa. Pamiętam, że po drodze przejeżdżaliśmy koło Narowli - majątku Horwathów, gdzie kupowaliśmy produkowane tam kandyzowane owoce sprzedawane pasażerom statków, które zatrzymywały się przy brzegu rzeki. Córka właściciela Narowli wyszła za mąż za Stanisława Wańkowicza, który później został senatorem RP. W czasie okupacji oboje zginęli tragicznie, rozstrzelani przez Niemców w czasie masakry w Zbydniowie u Horodyńskich<sup>7</sup>.

Jazda statkiem dla nas dzieci była przyjemna i bawiła nas. W Kijowie wyładowaliśmy się i zatrzymaliśmy się w jakimś hotelu przy Dumskiej Płoszczadi.

Ojciec zaczął szukać pracy i dosyć prędko ją znalazł. Został głównym dyrektorem zarządzającym dobrami i cukrownią pani Sumowskiej



- właścicielki kilku tysięcy hektarów i cukrowni w miejscowości Rubieżnoje.

Dla nas ojciec wynajął domek przy niebrukowanej ulicy w Biełgorodzie, miasteczku położonym na granicy guberni charkowskiej i kurkowskiej, niedaleko Rubieżnego i tam zamieszkaliśmy z całym naszym „majdanem” i psami. Ojciec przeważnie tylko w niedzielę przyjeżdżał do nas. Biełgorod był miasteczkiem małym, ale sympatycznym. Znajdowała się tam spora kolonia polska, która się spotykała w kościele katolickim i po mszy zawierało się różne znajomości. Okazało się, że jest nauczycielka, która może ze mną przerabiać kurs 4 klasy.

Dużą wagę przywiązywało się do bytności w kościele, gdzie ksiądz wygłaszał patriotyczne kazania, i do tych spotkań z Polakami. Matka moja przypadkowo dowiedziała się o tym, że jest też w Biełgorodzie Angielka, która może dawać lekcje, i zaangażowano ją do uczenia mnie języka angielskiego. Przystwoiłam go sobie dosyć prędko, bo po sześciu miesiącach chodziłam już z Angielką na spacer i lekcje ograniczały się do konwersacji. Oczywiście był to język dziecinny, ubogi, ale to, czego się wówczas nauczyłam, pozostało mi w pamięci i w następnych podróżach zagranicznych bardzo pomagało mi w kontaktach z Anglikami, czy Skandynawami, z którymi mogłam się dogadać.

Mieszkaliśmy w Biełgorodzie wygodnie i dostatnio, mając jednak w naszym domku bardzo skromne umeblowanie. Kufry przykrywało się serwetami i służyły za stoły. Wyżeł - „Dek” i foxterierka - „Psotka” były z nami, a kucharka Ewa (z córką Hanią) zajmowała się gospodarstwem. W miasteczku było kino, sklepy, targowiska, gdzie przywożono wspaniałe owoce. I tak się nam żyło czekając zawsze na przyjazd ojca w sobotę. Po pewnym czasie ojciec zawiózł nas do Rubieżnego, abyśmy zobaczyli miejscowość, gdzie pracuje. Mam zdjęcia z tego okresu.

Kaja z nami nie było. Od drugiej klasy szkoły średniej Kaj uczył się w Petersburgu, gdzie zamieszkiwał u stryja, który wówczas był pułkownikiem - Wojciecha Falewicza, mającego niewiele starszych od Kaja trzech synów i gdzie ekskluzywna szkoła Ks. Teniszewa, do której chodzili Nak, Tak i Andrak Falewiczowie, dawała gwarancję zdobycia większej wiedzy niż w innych szkołach. Kaj przyjeżdżał tylko na wakacje do Strżyżowa, a cały rok szkolny był poza domem. Pamiętam jak opowiadał o swym egzaminie do tej szkoły Księcia Teniszewa. Miał wówczas,



gdy zdawał egzamin 10 lat. Za dużo umiał na I klasę, a za mało na II, ale uznano, że da sobie radę i przyjęto go do drugiej. Razem z nim zdawał Chińczyk, który przyjechał ze swym profesorem mającym długi warkocz, który wkładał do kieszeni. Chłopiec był synem posta chińskiego. Gdy wyszedł z egzaminu, płakał. Spotkał go dyrektor szkoły i pytał dlaczego płacze, a ten mu odpowiedział: „Idź k'czortu - ty nie nasz”.

Gdyśmy opuszczali Strzyżów, Kaj był już w Petersburgu. Szkoła Teniszewa była bardzo drogą szkołą. Dzieci otrzymywały tam drugie gorące śniadanie, usługiwali im lokaje w białych rękawiczkach. Przyległy do szkoły park zawierał sztuczne lodowisko i wzgórze dla zjeżdżania na saneczkach. W domu stryja, w którym chowało się sześciu chłopców (czterech Falewiczów i dwóch ich kuzynów Zawiszów), panował wprowadzony przez stryjenkę ostry rygor, ale jednocześnie było bardzo dużo rozrywek kulturalnych. Stryj miał lożę w operze i balecie, dokąd zabierano Kaja razem z innymi domownikami i tym się tłumaczy, że mój starszy brat jest wielkim znawcą muzyki i baletu. Mieszkając po ostatniej wojnie w Londynie zapraszany był przez mieszczące się pod Londynem szkoły baletowe na pokazy i bardzo ceniono jego zdanie o wykonawcach i uczniach; Kaj również pisał na ten temat artykuły do prasy londyńskiej.

Po chyba roku spędzonym w Biełgorodzie rodzice postanowili przenieść się do Kijowa. Ciągnęło ich na zachód, bliżej Ojczyzny: wojna musi się skończyć, trzeba być bliżej kraju, aby móc do niego powrócić. Ojciec szukał tam nowej pracy i znalazł w instytucji, która pracowała dla wojska. Były to zakłady chemiczne na Kureniówce o około 8 km od Kijowa o nazwie „Wsierosijskij Ziemskij Sojuz”.

Przenieśliśmy się do Kijowa. Zamieszkaliśmy przy ulicy Marjińsko-Błagowieszceńskiej pod Nr 72, w pięknej kamienicy, w dużym, eleganckim pięciopokojowym mieszkaniu, ale prawie bez mebli. Nie warto było ich kupować, chodziło tylko o to aby mieć na czym spać, a kufry w dalszym ciągu służyły za meble. Tylko w jadalni stał olbrzymi bufet, też nie nasz.

W Kijowie mieliśmy znajomych państwa Parniewskich, właścicieli Borek na Polesiu, w których pchły nas tak mocno atakowały, i panią Brzezińską - znajomą Matki, której córka potem była żoną Wilsona -

konsula angielskiego w Warszawie. Powstała tam dla dziewcząt szkoła polska „Macierzy Szkolnej” położona na Placu Sołowcowa. Męska szkoła tego typu znajdowała się Na Rylskim Piereułku. Dyrektorką szkoły była słynna polonistka - Cecylia Niewiadomska. Była to uroczą staruszką, promieniowała z niej dobroć, takt, mądrość. Cieszyła się wielkim autorytetem wśród uczennic i całego grona nauczycielskiego. To grono składało się z najrozmaitszych ludzi, którzy podczas wojny znaleźli się w Rosji, musieli jakoś żyć, więc nie wybredzali stanowiskami. Na przykład nauczycielem rysunków był słynny malarz Konrad Krzyżanowski, nauczycielem niemieckiego - Antoni Ryniewicz, późniejszy kurator okręgu naukowego w Wilnie i Toruniu. Pan Bator wykładał łacinę a naszą wychowawczynią była pani Majkowska.

Do szkoły jeździłam tramwajem i dojeżdżałam do Placu Dumskiego a stamtąd pod górę dochodziłam do Placu Sołowcowa. Ale często było tak, że nie chcąc wracać, skracałam sobie drogę wyskakując z tramwaju przy ulicy prowadzącej do szkoły, bo przeważnie stało się na stopniach. Szkoła mieściła się w kamienicy nieprzystosowanej do tego celu, a zajmowanej poprzednio przez prywatnych lokatorów. Zajmowała kilka pięter, pokoje klasowe były nieduże. Naprzeciwko szkoły, na placu był teatr Sołowcowa, a niedaleko na ulicy Meryngowskiej - Teatr Polski. Koleżanki pochodziły z różnych stron Polski, prawie wszystkie „bieżenki”. Była w Kijowie inna szkoła żeńska, do której uczęszczały Polki, mieszkanki Podola, no i oczywiście niektóre „bieżenki” z Polski. Miały mundurki w kolorową kratę. Była to szkoła pani Peretiatkowiczowej.

Nasze życie w Kijowie do 1917 roku było przyjemne i spokojne. Chodziłam do szkoły i odrabiałam lekcje. Dużą rozrywką dla nas Polaków był teatr na Meryngowskiej. Teatr Polski w Kijowie stał w czasie wojny na bardzo wysokim poziomie<sup>8</sup>. Występowali tam bardzo znani aktorzy, jak Wysocka, Osterwa, Jaracz, Lubicz-Sarnowska, Fertner itp. Grano sztuki klasyczne, jak również komedie. Gmach teatralny był duży, z lożami. Bywaliśmy w teatrze na wszystkich sztukach, które tam grano. Była to też okazja do spotkania się ze znajomymi. Nie przypuszczaliśmy, że w niedalekiej przyszłości gmach ten stanie się miejscem kaźni oficerów armii carskiej i że krew będzie się w nim lała strumieniami.

Ojciec mój miał samochód służbowy, otwarte go Forda, którym do-

jeźdzał do pracy. Lubiłam tam jeździć z ojcem. W laboratoriach pracowali profesorowie politechniki, którzy tym samym chronili się od wojska i skierowania na front. Pracowali bowiem dla wojska. Wszędzie byli też Polacy. Fabryka wyrabiała mydło, sodę kaustyczną, denaturat twardy i inne potrzebne dla wojska produkty. Bryły mydła były wielkości małego pokoju, krajano je potem cienkim drutem. Fabryka musiała jednak zaprzestać produkcji denaturatu, który miał służyć ogrzewaniu rąk w okopach, bo żołnierze nagminnie zaczęli tą pastą smarować chleb i tym samym wprawiać się w stan nietrzeźwości. W laboratoriach brano próbki mydła, uszlachetniano je odpowiednimi zapachami i zawsze wracałam stamtąd z taką próbką.

Istniał w Kijowie Klub Polski - „Ognisko” gdzie była restauracja, kawiarnia, czytelnia prasy. Pamiętam, że zanim urządziliśmy się i dopóki mieszkaliśmy w hotelu przed wyjazdem do Białogrodu, chodziliśmy tam na obiady. Tam widziałam Kornelę Makuszyńską z żoną. W Kijowie mieszkała ze mną w jednym pokoju Wanda Bałtutis, która chodziła do innej szkoły - handlowej i była o rok wyżej ode mnie. Od czasów kijowskich zaprzyjaźniłam się z nią bardzo i od skończenia studiów do czasów okupacji utrzymywałam z nią bardzo bliski kontakt. Obie byłyśmy jednocześnie w Paryżu w latach 1924-1925, potem w Wilnie. Razem brałyśmy udział w biegu myśliwskim w 23 pułku Ułanów, gdyż i ona od dziecka jeździła konno. Miałyśmy wspólne przyjaźnie z cudzoziemcami. Była to moja wielka przyjaciółka. Zginęła tragicznie podczas okupacji. Przytoczę wspomnienie o niej z „Komunikatu Nr 13 Polskiego Stowarzyszenia Kobiet z Wyższym Wykształceniem”

*Wanda Joanna Bałtutis - Przewodnicząca Oddziału Śląskiego*

*„Trzeba było znów Polskę*

*nazwać po imieniu*

*Życiu oddać swe życie*

*A wieczny sen - snom”.*

*Wanda Joanna Bałtutis urodziła się w roku 1900 we wsi Szamrajówka pow. Białocerkiewskiego na Ukrainie. Szkoły średnie ukończyła z odznaczeniem w Kijowie. Po powrocie do Polski w roku 1920 Wanda Bałtutis myśli o dalszym kształceniu się. Po roku pracy w kraju wyjeżdża do Grenoble na kurs języka francuskiego, po czym przenosi się do Paryża i kończy w roku 1927 Wydział Ekonomiczny Ecole des Scien-*

*ces Politiques. Po nostryfikacji dyplomu wykłada w szkołach zawodowych na razie w Wilnie, następnie w Krakowie. Jej gruntowna wiedza i zdolności pedagogiczne zwracają uwagę i w 1935 roku obejmuje stanowisko wizytatorki szkół zawodowych na Śląsku, na którym pozostaje do wojny. Poza pracą fachową Wanda Bałtutis bierze czynny udział w działalności szeregu organizacji społecznych, wysuwając się wszędzie na stanowiska kierownicze. Szczególnie bliskie więzy łączą Wandę Bałtutis z naszym stowarzyszeniem.*

*Jest jedną z najczynniejszych członkiń oddziału śląskiego i przez szereg lat - przewodniczącą. Bierze czynny udział w organizowaniu Zjazdu Federacji Międzynarodowej w Krakowie w 1936 r. w charakterze krakowskiego komitetu organizacyjnego, wielokrotnie reprezentuje Stowarzyszenie Polskie na zjazdach Federacji Międzynarodowej w Paryżu, Londynie i Sztokholmie. Nadeszły lata wojny i okupacji. Pomimo osobistych ciężkich warunków materialnych Wanda Bałtutis nie porzuca swej działalności w szkolnictwie zawodowym oraz bierze czynny udział w pracach organizacji podziemnych. Aresztowana w marcu 1944 r. przez Gestapo zostaje uwięziona na Pawiaku. Katowana nieładzko na śledztwach - nie wydaje nikogo. Po bohatersku znosi wszystkie cierpienia, chociaż przynoszą ją czasem do celi na noszach nieprzytomną. Dnia 29 marca tegoż roku zostaje wywołana z celi. Zdając sobie dokładnie sprawę z tego, co ją oczekuje, żegna się z towarzyszkami z całym spokojem i odwagą. Została rozstrzelana z grupą kobiet z Pawiaka - miejsce egzekucji nieznanne.*

*Wanda Bałtutis była typowym żołnierzem Polski Podziemnej - po bohatersku, bez wielkich słów i głośnej deklamacji, z niesłychaną gotowością stanęła do walki w obronie wolności i niepodległości wiedząc, że grozi jej śmierć - może okrutna. Tak też się stało. Pro Patria semper.*

Będąc podczas wojny na Podolu, wszystkie wakacje spędzałyśmy w Kozance, koło Białej Cerkwi, gdzie mieszkali państwo Bałtutisowie. Właścicielami wielkich dóbr i 4 cukrowni byli Branicczy. Okolice te były świetnie znane moim rodzicom - tu się poznali, pokochali i pobrali. Po latach, na wygnaniu wynajmowaliśmy na wakacje pokój u rządcy majątku rolnego w Kozance, ale cały dzień spędzaliśmy u państwa Bałtutisów w ich gościnnym domu i owocowym ogrodzie. Tam się nauczyłam smażyć kandyzowane owoce. Tenis, wycieczki konne - czas ten



wspominam bardzo miło. Siostra Wandy - Zosia, późniejsza żona profesora Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie Jana Pajaka, mieszka w Warszawie. Przyjaźnimy się i utrzymuję z nią stosunki po dziś dzień.

O losach Wandy dowiedziałam się dopiero w 1945 roku, gdy repatriowałam się z Wilna do Polski. Była to dla mnie strata bardzo bliskiej osoby i zawsze wspomnienia o niej noszę głęboko w sercu. To była prawdziwa, oddana, szczerą, mądra i dobra przyjaciółka.

W roku 1917, a było to na lekcji profesora Ryniewicza w szkole, posłyszeliśmy strzelaninę. Wiedzieliśmy już o wybuchu rewolucji w Petersburgu i byliśmy przygotowani na to, że i w Kijowie może powstać zawierucha i sytuacja niebezpieczna. Profesor Ryniewicz wówczas powiedział do nas: „Polska stanie się niepodległym państwem”. Podbiegliśmy do okien, aby zobaczyć co się dzieje na placu. Był jakiś ruch, biegania i słychać było ciągle strzały. Gdy była kolejna lekcja profesora Gabszewicza, matematyka, to pamiętam, jak przy jakimś głośnym wybuchu profesor postawił kołnierz od marynarki, jakby on go miał chronić. O profesorze Gabszewicu, który był wielkim dystryktem opowiadano, że kiedyś będąc w Warszawie szedł ulicą, a po głowie mu chodziły działania i wzory matematyczne. Nagle zobaczył stojącą przy trotuarze karetę. Świetna czarna tablica do rozwiązywania zadań matematycznych! Przystanął, wyjął z kieszeni kredę i pisał na niej zadania i wzory matematyczne. Nagle tablica zaczęła się oddalać, profesor biegł za nią pisząc dalej.

Rewolucja się nasilała. Zaczęły się krwawe dni, w Ogrodzie Kupieckim i Carskim nad Dnieprem rozstrzeliwano oficerów. W teatrze na Meryngowskiej likwidowano „wrogów klasowych”. Jednocześnie zaczęły się rozboje. Pojedyncze osoby i grupy dobijały się do mieszkań w ładnych kamienicach. Wobec tego oszklone drzwi wejściowe do naszego domu zabito deskami, a w nocy uzbrojeni lokatorzy kolejno dyżurowali w windzie. Ojciec mój z dubeltówką też dyżurował. Winda znajdowała się pośrodku klatki schodowej i była cała oszklona.

Fabryka Ojca pracowała nadal. Rady robotnicze i żołnierskie poważnie „wykańczały” dyrektorów, jako „wrogów ludu”. W stosunku do Polaków miały te rady jednak inne podejście. Delegaci rad przyjeżdżali nawet do nas, gdy ojciec bywał chory na podagrę, aby się konsultować



co do różnych spraw dotyczących fabryki. Ojciec - jak już wspomniałam - często wysyłał mnie z poleceniami do cukrowni w Strzyżowie. Tak samo robił będąc chory w Kijowie. Pewnego razu wysłał przed dom, gdzie oczekiwał samochód służbowy Ojca, odkryty Ford i kazałam się szoferowi zawieźć do Kureniówki. Szofer jednak powiedział, że mnie nie zawiezie. Dlaczego? - Bo zabroniono mu wozić kobiety. Kto zabronił? - Rady żołnierskie i robotnicze. Gdzie one są? - Główna siedziba mieści się na Kreszczatiku. Proszę mnie tam zawieźć.

Pojechaliśmy na główną ulicę Kijowa na Kreszczatik. Weszłam do pełnego żołnierzy i cywilów pomieszczenia. Wszyscy byli uzbrojeni i na piersiach mieli skrzyżowane taśmy pełne naboji. Widać było, że są szczęśliwi mając władzę. Siedzieli rozparci w czapkach nałożonych z fantazją na bakier. W lokalu był wrzask i ruch. Spytali czego, czy też kogo szukam. Zapytałam gdzie jest „nączalstwo”? Wskazano mi grupę ludzi. Wy tłumaczyłam im powód mego przybycia i stwierdziłam, że jazda moja z „razparzeniami” Ojca jest nieodzowna. Śmieli się ze mnie, gdyż miałam wówczas 16 lat i ubrana byłam w białą spódniczkę i białą bluzeczkę. Oni siedzieli rozparci, ja stałam przed nimi. Wreszcie poszeptali między sobą i powiedzieli: „Nu tam my wam dajom etot awtomobil na tri dnia do waszewo rasparażeńja”. Wysłałam dumna ze zwycięstwa i powiedziałam kierowcy, że wszystko załatwione i ma jechać na Kureniówkę.

W pewnym momencie miasto było opanowane przez Ukraińców, którzy korzystając z rewolucji chcieli uzyskać niepodległość. Premierem ich był wówczas, o ile pamiętam, Gruszczyński, mieszkający na sąsiedniej ulicy Pańkowskiej, schodzącej bardzo stromo do ulicy Marjinskobłogowieszczańskiej. Na Pańkowskiej mieszkali też nasi znajomi, państwo Parniewscy. Patrząc z wykuszu naszego pokoju, nie otwierając okna, można było widzieć i lewą i prawą stronę ulicy. Były sytuacje, gdy na jednym rogu ulicy byli Ukraińcy a na drugim rogu byli bolszewicy i strzelali do siebie. Ta przedłużająca się walka w mieście pociągała wiele ofiar, co można było stwierdzić po tym, co działo się na ulicy.

Gdy strzały uciszały się, wychodziłam z Mamą na ulicę. Trzeba było uważać, aby nie deptać po ludzkich mózgach wylewających się z rozstrzaskanych głów. W pewnym momencie, będąc w mieszkaniu, zobaczyliśmy, że na widoczny z naszych okien tor wjechał pociąg pancerny.

Otworzył ogień. Pociski z tego pociągu leciały nad naszym domem w kierunku domu premiera ukraińskiego, na Pańkowską ulicę. Rodzice uważali, że będzie bezpieczniej wyjść na ulicę. Strzały armatnie jednak były celne. Dom Gruszczyńskiego płonął. Podeszliśmy w tym kierunku, bo pociąg pancerny odjechał robiwszy swoje. Olbrzymia kamienica płonęła. Z płonącego domu lokatorzy wyrzucali różne rzeczy, nawet meble, które na dole rozlatywały się w kawałki. Kiedy panowała względna cisza, widzieliśmy, jak jakiś nieuzbrojony mężczyzna przechodził na drugą stronę ulicy. Padł strzał i człowiek ten upadł. Matka moja była bardzo odważna. Powiedziała, że trzeba pójść i zobaczyć, może jest ranny i trzeba mu pomóc. I poszła, chociaż Ojciec uważał to za szaleństwo. Ale to był już trup. Walki uliczne uspokoiły się. Ukraińcy zostali pokonani.

Szkoła trwała i na wiosnę 1918 roku otrzymałam promocję do VII klasy. Uczennicą byłam zawsze dobrą i stopnie miałam wysokie. Rodzice zaczęli myśleć o powrocie do Polski, do Strzyżowa, gdzie fabryka została spalona, ale Ojciec myślał, że będzie ją odbudowywał. Zaczęły się formować pociągi, które zabierały repatriantów „na Ojczyzny łono”. I tak latem 1918 roku pociągiem sanitarnym z piętrowymi miejscami do spania i wagonami towarowymi, razem z żywym dobytkiem, który przechowywał się w Kożance u pp. Bałtutisów, ruszyliśmy do Strzyżowa. W wagonie towarowym jechała krowa, dwa konie i powóz. Ta podróż dla nas młodych była też wspaniałą przygodą.

Przypadek zrządził, że jechał z nami Tadzio Rutkowski, późniejszy adwokat warszawski. Zaprzyjaźniliśmy się z nim podczas tej długiej podróży, gdyż pociąg szedł wolno, zatrzymywał się na stacjach i postoje były bardzo długie. Chodziliśmy do maszynisty prowadzącego pociąg, pytając dlaczego stoimy, a on odpowiadał, że to nie od niego zależy. Pamiętam, jak siedzieliśmy na worku z sianem w wagonie towarowym, gdzie jechała krowa i pisaliśmy pożegnalne listy. Morda krowy była nad naszymi ramionami. Gdy trzeba było przylepić znaczek pocztowy, to ocieraliśmy go o wilgotny nos krowy i przylepialiśmy do kopert i pocztówek. Z Tadzkiem Rutkowskim przyjaźniłam się kilkadziesiąt lat. Gdy się ożenił z Janką Brudzińską, córką pierwszego rektora Uniwersytetu Warszawskiego, przyjaźniłam się z obojgiem, mieszkalam u nich, gdy przyjeżdżałam z Wilna do Warszawy na rozprawy. Dziś już nie żyją.

Wróciliśmy do Polski jadąc tydzień. Wyjechaliśmy z Kijowa 12 sierpnia, w Kowlu byliśmy 19 sierpnia 1918 roku. Jechaliśmy przez Fastów, Kożankę, Koziatyń, Berdyczów, Szepetówkę, Zdołbunów, Równe, Kiverce, Hołoby, Kowel. Zachowałam z tego czasu kartkę napisaną przez Tadzia. Kartka napisana była ostatniego dnia naszej podróży - 19 sierpnia 1918 roku. Nie było żadnego obrazka na tej pocztówce, ale tylko wierszyk Kazimierza Tetmajera:

*A taka świętość cię otacza  
I taki nimb twej dziewiczości  
Że gdy się blisko widzi ciebie  
Serce niepomne jest młodości.  
I tylko patrzy się na ciebie  
Jak na cud jakiś, na zjawisko  
Że jest cud - i że jest tak blisko...*

I niżej dopisek Tadzia: *Na pamiątkę wspólnie przeżytych wrażeń tygodnia powrotu na „Ojczyzny łono” proszę przyjąć wierszyk, który w umyśle moim skojarzył się z osobą Pani.*

Wróciliśmy do Kraju i Ojciec pojechał szukać dla mnie lokum w Lublinie, gdzie miałam chodzić do VII klasy gimnazjum humanistycznego pani Arciszowej. W Strzyżowie pałac był zupełnie obrabowany i pusty. Zamieszkaliśmy w oficynie, nie mając mebli, w prymitywnych warunkach. Ojciec zaczął gromadzić materiały dla odbudowy fabryki. Nie dane jednak mu było ją odbudować. Ukraińskie zamieszki na Chełmczyźnie doprowadziły do rozgrabienia materiałów budowlanych, potem wojna z bolszewikami, wyjazd do Galicji i potem do Warszawy, wreszcie do Wilna, spowodowały kompletne zerwanie ze Strzyżowem. Ojciec postanowił zostać na Wileńszczyźnie, skąd pochodził.

Ja zamieszkałam w Lublinie u państwa Orłowskich, których prawdziwe nazwisko brzmiało Sulima-Świechowscy, ale po roku 1863 musieli nazwiska zmienić z powodów politycznych. Ojciec mój w rozmowie z panią Świechowską powiedział, iż prosi dla mnie o mieszkanie, utrzymanie i pranie, natomiast nie prosi o opiekę, gdyż ja sama wiem, jak mam postępować. Był to dowód wielkiego zaufania do mnie, którego nigdy nie nadużyłam. Pani Świechowska nigdy mnie nie pytała, dokąd idę i kiedy wrócę, ale ja zawsze jej to mówiłam, uważając, że tego wymaga domowe współżycie i dobre wychowanie.





*Autorka jako uczennica gimnazjum w Lublinie*



Mieszkając w jednym pokoju z córką państwa Świechowskich - Jadzią, zaprzyjaźniłam się z nią serdecznie. Przyjaźń ta trwa do dnia dzisiejszego, czyli przez 60 lat<sup>9</sup>. Odwiedzam ją w Olsztynie. Przyjaźń ta przechodziła różne etapy: byliśmy razem na Uniwersytecie Wileńskim, ja na prawie - ona na polonistyce. Potem, gdy ona wyszła za mąż i ja też, mieszkaliśmy w jednym domu. Dopiero okupacja nas rozdzieliła. W Lublinie Jadzia Świechowska chodziła do gimnazjum „Urszulanek” a ja do pani Arciszowej, ale dom nas łączył. Lata szkolne były raczej jednostajne: szkoła, odrabianie lekcji i dom. Jako dobra i zamiłowana w matematyce uczennica, dawałam korepetycje koleżankom z młodszych klas, pomagałam też w języku francuskim, który znałam z dzieciństwa. Nie uprawiałam sportów, nie prowadziłam życia towarzyskiego.

Klasa była nieliczna. Zaprzyjaźniona byłam z Halszką Leskiewicz, Wandą Puzinowską (która później była żoną oficera kawalerii Kiedrzyńskiego, siedziała parę lat w obozie w Ravensbrück, napisała o tym książkę, jest w Warszawie pracownikiem naukowym Instytutu Historii PAN, bardzo społecznie czynna wśród kobiet, które były w tym obozie), Wandą Obuchowską, Lubekówną, Chajnowną, wreszcie Wandą Arlitewiczówną, zdradzającą uzdolnienia malarskie. Wyszła za mąż za malarza i poetę, znanego polskiego futurystę - Młodożeńca. Prawie wszystkie koleżanki straciłam z oczu, a stało się to dlatego, że zaraz po maturze wstąpiłam ochotniczo do wojska a potem studiowałam w Wilnie na Uniwersytecie. Nasze drogi się rozeszły.

Jakie były rozrywki? Szkoła nasza podobnie jak „Urszulanki” urządziła na zakończenie roku wokalnopoetyckie przedstawienia dla rodziców, krewnych i grona nauczycielskiego. Pamiętam, że deklamowałam z powodzeniem *Listy z Sybiru* Or-Ota. Bywały też wieczorki taneczne, na które zapraszałyśmy chłopców z humanistycznego gimnazjum Arlitewicza. U „Urszulanek” też odbywały się zabawy, ale tam dziewczynki tańczyły ze sobą, a chłopcy stali pod ścianą, gdyż uczniom nie wolno tam było tańczyć z chłopcami. Takie były poglądy matki przełożonej! Poza lekcjami prof. Biesiekierski, polonista zorganizował kółko filozoficzne, gdzie wykladał nam poglądy filozoficzne Spinozy, Kartezjusza, Platona itd. Były to wykłady ciekawe ale w ostatniej klasie przedmaturalnej, więc nie trwały długo.

Odwiedzał mnie od czasu do czasu mój brat Kaj, który był oficerem.

Wtedy to było wielkie święto! Zapraszał mnie na ciastka o cukierni Rutkowskiego na Krakowskim Przedmieściu, fundował, kupował mi słodycze, okazywał dużo serca i zainteresowania.

Maturę zdawałyśmy razem ze szkołą męską, gdzie dyrektorem był pan Arlitewicz, ojciec Wandy. Pamiętam, że cichcem pomagałam chłopcom rozwiązywać zadania matematyczne na maturze. Jednym z nich był Suchodolski, który zginął w roku 1920. Był bardzo wesóły, dowcipny i razem z innymi chłopcami w przerwie między egzaminami maturalnymi chodziliśmy po parku w Lublinie śpiewając „Zdechł kanarek”...

Po maturze w Lublinie nigdy już nie byłam.

## Rozdział III

### ROK 1920

Po zdaniu matury w Lublinie na wiosnę 1920 roku pojechałam do Strzyżowa. Tym razem nie było mi dane spędzić tam pełnych wakacji. Ponieważ zawsze bardzo chorowałam na gardło i przeszłam już kilka operacji laryngologicznych, a stan gardła nadal nie był dobry, rodzice wysłali mnie do Warszawy na kolejną operację, tym razem celem udrożnienia przewodów.

W Warszawie w lipcu 1920 roku znalazłam się więc przypadkowo. Operował mnie doktor Kmita. Byłam sama, ale dla dodania mi odwagi poszła ze mną moja stryjenka Falewiczowa, żona generała Falewicza. Operacja była dosyć ciężka. Na stole operacyjnym leżałam około godziny, a potem przez 4 dni siedziałam w fotelu, gdyż miałam ciągle krwotoki.

Mieszkałam u mojej ciotki Zofii Bormanowej na ul. Sadowej, której dom nazywano w rodzinie hotelem „Pod dobrym sercem”, gdyż zawsze tam było miejsce dla każdego, kto przyjeżdżał do Warszawy.

Tymczasem ruszyła ofensywa bolszewicka. Tereny Lubelszczyzny były objęte działaniami wojennymi, nie było możliwości skomunikowania się z rodziną. Wyjechała ona do Galicji i łączność między nami została zerwana. Nie wiedziałam gdzie są i jaki jest ich adres. Bolszewicy szli w stronę stolicy. Sytuacja była ciężka. Wstąpiłam na kursa sanitarne przy szpitalu na Solcu i jednocześnie podjęłam tam pracę ochotniczą, tak że prawie cały dzień przebywałam poza domem, pracując i ucząc się w szpitalu, gdzie roboty było bardzo dużo. Chirurgię wykła-

dał doktor Lowenstein, choroby wewnętrzne doktor Adeltd, pielęgniarstwo - Amerykanka polskiego pochodzenia. Tych zapamiętałam najlepiej, bo potem, po skończeniu krótkiego trzytygodniowego kursu też miałam z nimi do czynienia.

Praca pochłaniała mnie zupełnie. Od czasu do czasu tylko odwiedzałam w Hotelu „Bristol” stryja Wojciecha Falewicza - generała, z którym miło się rozmawiało, a który lubił jak mu nuciłam różne piosenki. Denerwowało mnie tylko to, że gdy wychodziliśmy z hotelu, on wychodził pierwszy a ja za nim. Uważałam, że jako kobieta powinnam była iść pierwsza, ale widocznie stryj uważał mnie za smarkatą.

W szpitalu rannych było moc. Oczywiście nie wystarczało łóżek na salach, więc kładziono rannych na korytarzach, które zresztą były bardzo szerokie, a chorzy leżeli tam nie na łózkach ale na noszach. Szpital nasz był szpitalem polowym, dokąd trafiali ranni tylko z pierwszym opatrunkiem. Był upał, ranni, którzy do nas byli przywożeni, byli zakurzeni i brudni. Ja z Zosią Genelli - córką fabrykanta alkoholi w Warszawie, jako praktykantki, miałyśmy za zadanie doprowadzenie do porządku tych rannych żołnierzy. Brałyśmy kolejno nosze i we dwie przenosiłyśmy rannego na salę opatrunkową, gdzie rozbierałyśmy go do naga i kładłyśmy na stół opatrunkowy a potem myłyśmy od stóp do głowy, omijając zranione miejsca. Nakładałyśmy czyste koszule i oddawałyśmy w ręce sióstr, które robiły opatrunki. Czasem była potrzebna interwencja lekarza.

Po pewnym czasie zaczęto używać mnie do pomocy na salach operacyjnych. Na przykład, gdy była trepanacja czaszki i przecinało się skórę, trzeba było tę skórę trzymać przy pomocy narzędzi podobnych do małych grabek, rozwierając pole operacyjne. Tę funkcję wykonywałam często. Przy amputacji nogi też asystowałam, trzymając odcinaną kończynę. Doktor Lowenstein czasem wołał nie wiedząc jak się nazywam: „dajcie mi tę, która ma mocne nerwy”. Wykonywałam zlecane funkcje bez okazywania przerażenia - spokojnie. Pamiętam jak ucinano nogę por. Hłuszaninowi. Już po amputacji mówił, że bolą go palce u tej nogi, która była amputowana. Był taki wychudzony i lekki, że sama brałam go na ręce i przenosiłam po powrocie z opatrunku z wózka na łóżko. Póki człowiek żył i ratowało się go, wykonywałam wszelkie posługi, jakie były potrzebne rannym. Miałam jednak jakąś nieuzasad-



nioną obawę, czy może nawet wstręt do nieboszczyków. Nie mogłam ich dotknąć. Później, gdy pracowałam w polowym szpitalu w Brześciu nad Bugiem, gdzie były bardzo ciężkie warunki pracy i wielka śmiertelność - dostawałam cięgi z tego powodu i szarpało mi to nerwy.

Przypominam sobie ze szpitala na Solcu chłopca - nazwiskiem Kostrowicki, który był ranny w pachwinę. Wesoły, bardzo lubiany, uprzejmy - był ulubieńcem całego szpitala. Gdy poczuł się lepiej, bez zezwolenia i wypisania ze stanu chorych, uciekł znowu na front. Po jakimś czasie wrócił ciężko ranny w brzuch i zmarł otoczony czułością i troską. Wiedzieliśmy, że jest z nim źle. Po jego śmierci wszyscy płakali. Miał chyba nie więcej niż 17 lat!

Kurs sanitarny się skończył, dostałam świadectwo celujące i zaczęłam myśleć o tym, aby się wyrwać na front. Na egzaminie dano nam na piśmie pytania, a było ich 15. Każde miało po dwa lub trzy „podpytania”. Gdy potem byłam na froncie przypomiinałam sobie te amerykańskie instrukcje. Jakież one były dalekie od rzeczywistości!

Tymczasem jednak pracowałam w szpitalu na Solcu i robiłam to, co mi kazano. „Babcia Idzikowska” - przełożona wszystkich siostr, poza zaświadczeniem o ukończeniu kursu Czerwonego Krzyża podpisanego przez Zarząd (Helenę Bisping, Dr Józefa Zaradzkiego, kierownika kursu Dra Adelta i delegata Departamentu Sanitarnego Min. Spraw Wojskowych) dała mi zaświadczenie o tym, że praktykowałam w szpitalu, w pawilonie IV-chirurgicznym, specjalnie na sali opatrunkowej i wykażałam „charakter poważny, miły, takt, inteligencję i zdolności chirurgiczno-sanitarne”.

Dostałam też zaświadczenie od American Red Cross: *Helena Falewicz has attended lectures and practical instruction in Nursing given under the auspices of the Department of Nursing of the American Red Cross Commission to Poland and passed a satisfactory examination.*

Siostra Idzikowska obiecywała, że wyśle mnie na Śląsk z materiałami opatrunkowymi, więc czekałam na to i pracowałam nadal w szpitalu. Opiekowałam się chorym na tężca. Widziałam to raz w życiu; jest to straszna choroba!

Kazano mi pielęgnować porucznika Jagodzińskiego, leżącego w separatce. Miał on strzaskaną miednicę w walkach nad Berezyną, był z ułańskiego pułku. Leżał na wodnym materacu, rany jego były ropieją-

ce, więc miał okolicę miednicy zdrenowaną (gumowe dreny z dziurkami, przez które ropa zbierała się w kolejnej rurce, którą oczyszczano się przepłukiwaniem jej szprycą). Był on trudnym pacjentem, co nie mogło dziwić przy jego stanie, który wydawał się beznadziejny. Gdy odwiedzali go koledzy i narzeczona, a ja wówczas wychodziłam z separatki, dzwonił na alarm, a gdy wracałam mówił: *siostra mnie zostawiła samego* i miał przerażone oczy ze strachu. Posyłał mnie do kuchni, abym się dowiedziała co będzie na obiad. Wracałam z wiadomością, że zupa taka i taka, mięso takie czy inne, wymieniałam jarzyny i kompot. *A z czego kompot?* Biegłam jeszcze raz do kuchni, aby się dowiedzieć z czego jest kompot. Okazywało się, że z czereśni. Wówczas mój podopieczny robił kwaśną minę i mówił z obrzydzeniem: *będą pestki!*

Ale największa ceremonia następowała, gdy zabierało się go na salę opatrunkową. Dwóch sanitariuszy przyjeżdżało do separatki z wózkiem, na który trzeba było przełożyć chorego i zawieźć na salę opatrunkową położoną na innym korytarzu. Por. Jagodziński zapowiadał, że mamy go podnosić, gdy doliczy do trzech. Ponieważ oprócz rozwalonej miednicy miał jeszcze świerzb, a mnie brał za szyję, specjalnie nastawiałam wysoki kołnierzyk przy fartuchu, aby się uchronić od zarażenia. Jeden z sanitariuszy brał go wkładając ręce pod biodra, drugi pod nogi. Ale zanim można było wziąć, mijały kwadranse. Liczył: *raz – dwa.... dajcie mi papierosa*. Czekaliśmy aż wypali, znowu *raz dwa... dajcie mi się napić; raz - dwa... muszę trochę odpocząć* itd. itp. Wreszcie dochodziło do tego, że mówił głośno *trzy*. Myśmy już wszyscy byli gotowi do podnoszenia i trzymaliśmy ręce: ja pod ramionami, a sanitariusze pod miednicą i nogami. Gdy krzyknął „trzy” braliśmy go bardzo powoli i ostrożnie przenosząc na wózek, a on biedaczek darł się wniebogłosy: *Jak wyście cudownie mnie wzięli, wcale mnie nie bolało...*

Na sali opatrunkowej trzeba było przeczyszczać dreny. Do otworów rurek-drenów wkładało się końce szprycy, która pod ciśnieniem wody drugą stroną drenu - wyrzucała ropę. Pamiętam, że kiedyś nachylonej nad chorym siostrze Bronikowskiej wylatująca ropa zalała twarz. Siostra nie drgnęła, i dopiero po skończonym opatunku zajęła się swoją osobą. Przemywała oczy, twarz środkami dezynfekcyjnymi.

Gdy potem wyjechałam ze szpitala na front zostawiłam Jagodzińskiego chorego i w złym stanie. Wszyscy mieliśmy słabą nadzieję, czy

Jagodziński przeżyje to straszne uszkodzenie ciała. Ale gdy po wojnie byłam na Uniwersytecie w Wilnie podczas balu w ratuszu wileńskim, na który zjawił się witany fanfarami marszałek Piłsudski, zobaczyłam stojącego obok por. Jagodzińskiego. Widziałam, że ma ortopedyczny but. Podeszłam do niego i zapytałam, czy mnie poznaje. Wpatrywał się we mnie długo i nie mógł sobie przypomnieć: *A jaki to był rok?* - zapytał. Odpowiedziałam, że - 1920. Wówczas się skrzywił, przypominając sobie rok cierpienia, uważnie popatrzył znowu na mnie i powiedział: *Ach to ta, co się ze mną tak srogo obchodziła*. Pogadaliśmy sobie po przyjacielsku o jego chorobie i wyleczeniu. Miał jedną nogę krótszą, ale żył i chodził na bale. To już dobrze!

Miałam jechać na Śląsk, jednak siostra Idzikowska zrezygnowała z wysłania mnie na Powstanie uważając, że jestem za młoda, ale ja koniecznie chciałam jechać i wreszcie nadarzyła się okazja. Cztery siostry z naszego szpitala zostały wysłane do szpitala polowego 604, 11 dywizji piechoty pod dowództwem płk. Jasińskiego wchodzącej do IV armii gen. Skierskiego. Były między innymi Pfeifrówna, Salakówna, trzeciej nazwiska nie pamiętam, a czwarta wróciła do szpitala w Warszawie twierdząc, że ma nerwicę żołądka i w takich warunkach, jakie są w szpitalu polowym - ona pracować nie może. Te cztery siostry wysłane na front zostały pięknie wyekwipowane, mundury i furażerki były szyte u Braci Jabłkowskich. Czerwone krzyże na rękawach. Frencze były długie z 4 kieszeniami. Siostra, która wróciła, była osobą bardzo wysoką, a ja po niej odziedziczyłam mundur. „Babcia” Idzikowska - tak ją nazywano powszechnie, postanowiła wysłać mnie na front zamiast tej, co stchórzyła. Skrócono mi spódnicę i rękawy. Miałam plecak i torbę i szykowałam się do wyjazdu. To co mnie czekało, miało być wielką przygodą. I była to rzeczywiście szkoła życia, dająca dużo doświadczeń, możliwości oceny ludzi i satysfakcji ze spełnienia patriotycznego obowiązku. Front był ruchomy, zaczęła się kontrofensywa, bolszewicy cofali się gwałtownie po tzw. „Cudzie nad Wisłą”. Znalazłam notatki z opisem wyjazdu na front w poszukiwaniu szpitala 604. Przytaczam je w oryginale:

„29 sierpnia o godz. 16.30 wyjeżdżam na dworzec sanitarką Czerwonego Krzyża, odwozi mnie jakiś podchorąży, któremu pod opiekę oddała mnie „babcia” Idzikowska. Mam plecak i torbę „petersburską” w

kratkę, babcia mnie ściska, w oknie por. Kalinowski udaje, że płacze, a Zosia Genelli i Hala Solnicka machają do mnie chusteczkami. Na dworcu podchorąży ułatwia mi wszystko, nosi rzeczy, kupuje bilet, wreszcie siadam do pociągu. Żegnam mego opiekuna i zaczynam czytać gazetę. Wchodzi do przedziału oficer, jakaś znajoma twarz, staram się przypomnieć sobie, skąd go znam - nie mogę. Widzę, że mój towarzysz skupia również myśli nad czymś i od czasu do czasu odrywa wzrok od gazety i spogląda w moją stronę. Rozmawiam z porucznikiem, którego okazuje się poznać u Hali Leskiewicz - nazywa się Chłopecki. W przedziale sami wojskowi, każdy szuka swego oddziału czy sztabu itd. W Nowym Dworze por. Chłopecki wysiada, gdyż okazuje się, że jego armia stoi koło Łap. Wieczór zapada, pasażerowie powoli wynoszą się z przedziału, gdyż jedziemy w kierunku frontu, który wówczas był koło Mławy. Zostaje tylko komiczny, pełen ruchliwości i wesołości podchorąży Szeliga-Szeligowski, dwóch Amerykanów powracających na „ojczyzny łono” i ja. Podchorąży za moją namową kładzie się na ławce, wyciąga nogi w moją stronę, ja siedzę i zaczynam dumać. Stoimy na stacji. W przedziale ciemno.

Wówczas dopiero zaczynam zastanawiać się nad moim wyjazdem, który był taki nagły. Wyjechałam bez zawiadomienia Rodziców, nawet najbliższej rodziny. A gdzie? Tego nawet dokładnie nie wiedziałam! Komendant szpitala skierował mnie do Nasielska, ale brał też pod uwagę i tę ewentualność, że szpital z Nasielska mógł już wyjechać. A więc jechałam na niepewne. Od kilku już lat rodzice dawali mi kompletną samodzielność, toteż nie bałam się tego, co mnie czeka. Na odwrót, opanowała mnie dziwna żądza wrażeń i sama myśl, że jadę na front, ja - kobieta - napełniała mnie dumą i zdawało mi się, że moi współtowarzysze muszą spoglądać na mnie z pewnym szacunkiem i podziwem. Zmęczona wrażeniami wyjazdu, nieprzespaną nocą - zaczęłam drzeć, ale było mi niewygodnie, gdyż podchorąży we śnie wyciągnął nogi i nie miałam miejsca na jakiegokolwiek położenie się.

Czułam się dziwnie samotna i zdawało mi się, że jadę w nowy, nieznaną świat, świat, który w moich oczach był idealny. Przyjadę z listami polecającymi od „babci”, zostanę dobrze przyjęta, zacznę pracować bez wytchnienia dla żołnierzy i Ojczyzny! Wyobrażałam sobie jak będę opatrywać rannych, może uda mi się być wybranką losu i zbierać



ranych na polu bitwy... To znów wątpiłam w swe siły... Przekonanie najbliższych, że jestem bardzo słaba i wątła, że nie zniosę niewygód frontowych, wsiąkło we mnie do pewnego stopnia. A wówczas co będzie? Muszę tu dodać, że przed wyjazdem byłam badana przez doktora Adelta, który mi powiedział: *pozwolę pani wyjechać, ale musi mi pani dać słowo, że będzie się pani starała jeść jak najwięcej thiszczu*. Poza tym przerażała mnie niewiara w swe wiadomości fachowe. Wszak pracuję dopiero na chirurgii 6 tygodni. Dr Lewenstein lubił mnie, wyróżniał spośród innych sanitariuszek, ale nie miałam tam okazji do robienia poważnych opatrunków samodzielnie, no a na internie znałam się tylko z wykładów doktora Adelta. Zresztą nie wyobrażałam sobie, abym kiedykolwiek na froncie miała do czynienia z tyfusem lub dyzenterią.

Przyjechałam do Nasielska w nocy o godz. 3. Idę na stację i dowiaduję się, że „polowy 604” wyjechał przed trzema godzinami do Warszawy. Co robić? Ten sam pociąg wraca do Warszawy, więc lokuję się z powrotem do przedziału, kładę się na ławce, przykrywam paltem i drzemię, czekając na odjazd pociągu. Mój towarzysz, podchorąży pojechał innym transportem dalej. O 6 rano słyszę nadchodzący pociąg, momentalnie ubieram się, zbieram rzeczy i wyskakuję z wagonu i widzę nadchodzący pociąg z wojskiem. Mam wrażenie, że pociąg się nie zatrzyma, ale przechodzi przez stację bardzo powoli, a chcąc jak najprędzej być w Warszawie, rzucam do pierwszego lepszego wagonu mój bagaż, podaję jakiemuś żołnierzowi ręce i ten wciąga mnie do wagonu. Okazuje się, że jestem w pociągu, który wiezie 28 pułk strzelców Kaniowskich. W wagonie jest 8 koni i trochę żołnierzy. Zrobiłam poruszenie, żołnierze wstają, a pociąg się zatrzymuje. Poją konie, myją się, ja im pożyczam mydło, częstuję papierosami, których sporą ilość wzięłam z Warszawy. Nawiązuje się koleżeńska rozmowa. Żołnierze przynoszą mi śniadanie, jeden smaruje mi masłem bułkę, częstuje grzecznie. Myślę sobie: „jacy ci nasi chłopcy są kochani i że dla nich warto pracować”. Pogoda się zmienia, zaczyna padać deszcz, który przechodzi w formalną ulewę, gdy przyjeżdżamy na Pragę o godz. 13.

Z komendantem pociągu, jakimś młodym podporucznikiem, idę na stację zasięgnąć wiadomości. Okazuje się, że „szpital 604” o 6 rano wyszedł z Pragi w kierunku Dębłina. Po naradzie z porucznikiem, który zapewnia, że jadą do Dębłina, postanawiam jechać nadal tym transpor-

tem. Nie chcę myśleć nawet o tym, że trzeba by wyjść z pociągu, niosąc rzeczy (a błoto po kostki), z Pragi do Warszawy daleko, nie znam tych okolic - więc jadę dalej. Żołnierze przynoszą mi obiad. Jem go z apetytem brudną łyżką, wytartą o koński koc, gdyż przede mną jedli tą łyżką żołnierze. Ciągłe są długie postoje. Pociągi osobowe w ogóle nie chodzą, tylko wojskowe transporty. Minęliśmy stolicę, zaczynam się rozglądać po okolicy, którędy przejeżdżamy i widzę, że to nie jest droga na Dęblin. (Mieszkając w dzieciństwie niedaleko Hrubieszowa i ucząc się w gimnazjum w Lublinie trasę tę dobrze znałam)". Tutaj koniec notatek.

Jak było dalej? Zasięgam informacji, okazuje się, że jedziemy w kierunku Siedlce-Łuków. Zapada noc. Zatrzymujemy się na stacji Mrozy i tam stoimy bardzo długo. Drzwi od wagonu są otwarte, konie są zwrócone głowami do środka wagonu, a miejsce naprzeciwko drzwi wysłane jest słomą i tam będzie spanie. Ten długi postój spowodował, że żołnierze gdzieś dostali wódki i część bractwa urzędną się. Podporucznik mnie pociesza, że dojadę do Lublina z nimi, a tam można zasięgnąć informacji, gdzie pojechał szpital. Jeszcze na Pradze powiedziano mi, że pewno szpital pojedzie do Brześcia.

Stoimy na stacji w Mrozach i nic nie wskazuje na to, że pociąg ruszy. Podporucznik widząc mnie w wagonie, gdzie są pijani żołnierze, zaczyna opiekuńczo zaglądać do naszego wagonu. Ale chłopaki żadnej krzywdy mi nie robią. Zabawne były objawy ich opilstwa: czule głaskali głowy swoich koni, przemawiali do nich serdecznie, nazywali je zdrobniale. Ja milczałam, nie rozmawiałam z nikim, słyszałam tylko „cholowanie” podporucznika, który miał dosyć „bogaty” język, był bardzo młodym człowiekiem, opalonym na brąz, widać było, że kląć, chce sobie dodać prestiżu i utrzymać porządek.

Kiedy pijani żołnierze poukładali się na słomie, podporucznika zaniepokoiło to, że ja jestem między nimi. Najpierw chodził przed wagonem i zaglądał, wreszcie zdecydował się wejść do wagonu i położył się koło mnie. Ja przykryłam się płaszczem, gdyż noce już były chłodne. Udawałam, że śpię. Oddychałam równo, głęboko, byłam nieruchoma. Podporucznik leżał obok mnie. W pewnym momencie poczułam, że dotyka mojej ręki. Ja udaję, że śpię. Zaczyna moją rękę głaskać delikatnie, czule. Serce mi bije jak młotem. Udaję, że się budzę i przewracam

się na drugi bok. W wagonie jest cicho, spokojnie, bractwo śpi. Podporucznik ostrożnie wstaje i wychodzi z wagonu.

Znowu czekanie na odjazd i dopiero w nocy przyjeżdżamy do Lublina, ale nie na dworzec, tylko stajemy obok dworca, w pewnej od niego odległości. Mówi się o tym, że gdy podstawią pociąg pod rampę - nastąpi wyładowanie. W nocy i tak niczego się nie dowiem - myślę sobie - więc poczekam w pociągu do rana. Tymczasem pociąg rusza, mijamy stację bez zatrzymania i jedziemy jak się okazuje w okolice frontu, na Rozwadów, ale nie w kierunku mojego szpitala. Co robić? Decyduję się na to, że wysiądę na pierwszej stacji na której pociąg się zatrzyma. Jest noc. Z plecakiem i torbą stoję w pogotowiu. Pociąg się zatrzymuje, ale nie na stacji, tylko daleko pod semaforem. Wyskakuję na pobocze toru, mało co widać. Po chwili dostrzegam z dala oświetloną stację. Idę w tym kierunku. Zaczyna świtać. Dopytuję się na stacji, czy będzie jakieś połączenie z Lublinem. Na stacji stoi wagon towarowy. Zaglądam. Na sianie leży ranny oficer, jest ordynans i koń. Pytam jakie są ich projekta. Oficer mi mówi, że wagon ten ma zabrać lokomotywa. Obiecują mnie zabrać. Ale kiedy? Idę do maszynisty zapytać się, kiedy wyruszy. Mówi, że niedługo.

Po pewnym jednak czasie, gdy ja już swoje manatki wniosłam do wagonu z rannym oficerem, wywołuje mnie maszynista z wagonu i mówi, że on tego wagonu z rannym nie zabierze, że lokomotywa ma sama jechać do Lublina i obiecuje mnie zabrać. Oczywiście zgadzam się i przenoszę na lokomotywę. Pierwszy raz w życiu mam taki środek lokomocji, ale wszystko jest dla mnie ciekawe i zabawne. Jadę więc na lokomotywie do Lublina. Lokomotywa zatrzymuje się w pewnej odległości od dworca, od którego dzieli mnie szereg torów i pociągów. Zaczynam przelazić przez tory i breki pociągów towarowych.

Gdy już jestem w wagonie stojącym przy samym peronie dworca i schodzę po schodkach na peron, zaczepiam spódnicą o stopień, rozdieram spódnicę i padam na peron opierając się rękoma. Jeden z palców lewej ręki, na skutek skaleczenia w szpitalu w Warszawie, miałam zabandażowany. Palec ten nie zamknął się jak inne do środka dłoni, lecz wyłamał się w stawie w odwrotną stronę. Zabolalo, ale tak jestem przejęta swoją długą podróżą, zmęczona i tak intensywnie myślę, kiedy nareszcie odnajdę swój szpital, że nie zwracam uwagi na palec i idę

peronem. Podchodzi do mnie kolejarz, który widział mój upadek i pyta mnie, co jest z moim palcem, co mi się stało, że palec jest wyłamany w odwrotną stronę. Rzeczywiście, dopiero teraz widzę co się stało i zapytuję kolejarza czy na dworcu jest jakiś punkt opatrunkowy. Wskazuje mi stojący przy dworcu wagon sanitarny. Udaję się w tym kierunku i po schodkach wchodzę do wagonu. Tam oglądają mój palec i stwierdzają, że potrzebny jest taki zabieg, jakiego oni nie robią. Wiozą mnie do szpitala sanitarką. Tam na sali opatrunkowej kładą mnie na stół i chirurg naciąga mi ten palec prawidłowo, gdyż wyszedł on z torebki stawowej, która jest uszkodzona. Dają mi „deskę” do łokcia, bandażują, dają temblak i tutaj z kolei dostaję informację, że szpital „polowy 604” pojechał do Siedlec.

Szukam połączenia. Ręka po zabiegu boli. Znajduję pod wieczór połączenie i dostaję się do Siedlec. Idę do kierownika ruchu. Szpital, tak jak przypuszczano w Warszawie, minął Siedlce i pojechał do Brześcia. Żadnego rozkładu pociągów nie ma. Na stacji nie ma pasażerów. Pytam kierownika ruchu, jak ja się mam dostać do Brześcia. Kierownik ruchu, czy też naczelnik stacji, mówi mi, że nad ranem odejdzie w kierunku Brześcia pusty pociąg, który stoi o kilometr od stacji na 18 torze. Radzi mi, abym tam poszła, wsiadła i czekała odjazdu. Jest noc. Ma odejść nad ranem.

Trzeba iść i szukać tego pociągu. Idę, oddalam się od dworca, oświetlenie maleje, jest prawie ciemno, liczę tory, których jest moc i na osiemnastym torze widzę pusty skład pociągu. Podchodzę do pierwszego lepszego wagonu, z trudnością odsuwam drzwi. Macam podłogę w wagonie, jest słoma po koniach. Plecak i torbę wrzucam do wagonu, ale jak ja sama wleżę do tego wagonu - jest bardzo wysoko. Ręka jedna na desce, unieruchomiona. Męcę się dosyć długo, zanim udaje mi się wleźć. Zasuвам drzwi i macam rękami w ciemnościach, gdzie jest sucho, żeby można było usadowić się z plecakiem i torbą. Siadam w kącie wagonu i czekam. Siedzę bardzo długo, już zaczynam wątpić, czy wsiadłam do właściwego składu pociągu. Jest kompletna cisza, nie slychać żadnego ruchu koło pociągu. Wreszcie słyszę kroki. Ktoś zatrzymuje się przed wagonem, odciąga drzwi, wrzuca coś do wagonu, sam się też ładuje i zasuwа drzwi. Jest zupełnie ciemno. On mnie nie widzi, a ja duszę mam na ramieniu. Wreszcie zapala zapałkę, a widząc mnie w



kącie wagonu mówi: *siostró, ja siostrze znajdę suchsze, lepsze miejsce w wagonie, proszę wziąć mój płaszcz i położyć sobie na słomie i zasnąć*. Wzruszające było to spotkanie i ta ofiarność żołnierza. Wiózł materiały opatrunkowe na front. Spotkałam go potem w naszym szpitalu w Słucku i serdecznie żeśmy się witali, ściskając sobie dłonie.

Tym pociągami, który wreszcie nad ranem ruszył, dojechałam do Białej Podlaskiej. Pociąg dalej nie szedł. Wskoczyłam z wagonu szukając wiadomości o szpitalu i dowiedziałam się, że pojechał do Brześcia. Na stacji na bocznym torze stał pociąg pancerny „Śmigły”. Podeszłam do oficerów, którzy byli w wagonie i zapytałam, czy może jadą do Brześcia. Jadą i mnie zabiorą. Gdy weszłam do wagonu pociągu pancernego, oficerowie bardzo mną się zajęli. Dano mi wody do umycia się jedną ręką, uczesałam się, nakarmiono mnie i wreszcie ruszyliśmy, ale dojechaliśmy tylko do Bugu, na którym most kolejowy był zerwany. Wsiadłszy z pociągu pancernego, szukałam możliwości przedostania się do Brześcia, który był po przeciwnej stronie rzeki. Zabrała mnie jakaś wojskowa ciężarówka, która przez pontonowy most przewiozła mnie na drugą stronę rzeki i odstawiła do Brześcia, gdzie dopytywałam się o szpital. Nareszcie po tygodniowej pogoni mogłam się zameldować u komendanta „szpitala 604” kapitana Rybickiego, lekarza z Krakowa.

Moje marzenia, aby pracować na chirurgii, spełzły jednak na niczym. Wykluczają to ręka na desce. Zrobiono ze mnie gospodynię szpitala. Miałam pod sobą sprawy aprowizacyjne, a więc fasowanie<sup>10</sup>, surogowanie<sup>11</sup>, kuchnię. My siostry miałyśmy ordynansa Tomasza, a kucharzem był Lwowiak - Cwenaar. Było nas 6 sióstr: 4 ze szpitala warszawskiego, a 2 z armii rosyjskiej: jedna młodsza nazywała się Murcia, a druga starsza, bezzębna, prymitywna, brudaska nazwiskiem Kojałowicz, która przy pożegnaniu pocałowała mnie w rękę.

Szpital mieścił się w jakichś ponurych koszarach. Ranni leżeli na słomie na podłodze. Światło było bardzo nikiłe, panował półmrok. Pacjentami byli ranni żołnierze polscy i bolszewicy. Oczywiście traktowaliśmy ich jednakowo, ale dla jednych jak i drugich warunki były straszne. Pełniąc obowiązki gospodyni szpitalnej, miałam też dyżury nocne<sup>12</sup>. Chodziłam z latarnią po salach, podając leki czy napój gorączkującym. Ale najstraszniejszą rzeczą było dla mnie wydawanie poleceń

sanitariuszom, aby zmarłych przenoszono do kostnicy.

Jedna z sal zajęta była przez rannych z postrzałem głowy. Warunki dla przeprowadzania operacji były potworne. Nie było kamery dezynfekcyjnej, bo nie zdążyła jeszcze dotrzeć do Brześcia. Pole operacyjne okładało się mokrymi prześcieradłami i ręcznikami, wygotowanymi w kuchennych garnkach. Lekarze chcieli odsyłać tych rannych z postrzałem czaszki do właściwych szpitali dla dokonania trepanacji, ale nie było transportu aby ich przewieźć do Warszawy. Operacje robione w Brześciu nie udawały się. Ta sala była salą beznadziejną, to była sala przyszłych nieboszczyków. Serce się krajało, że pomoc im nie można, ale transport do nas nie należał.

Poza komendantem szpitala doktorem Rybickim z Krakowa było jeszcze dwóch lekarzy - doktor Feliks Murdzieński też z Krakowa (po wojnie pracujący w Sanatorium Akademickim w Zakopanem) i doktor Józef Kucharski, który po przebytej czerwonce powrócił do szpitala już podczas mojego pobytu w Brześciu. Operował chirurg doktor Kucharski, asystowali doktorzy - Murdzieński i Rybicki. Doktor Kucharski po przebytej chorobie był bardzo osłabiony, nie mógł długo stać.

Gdy już piszę o operacjach, to pamiętam jedną, która była robiona już po opuszczeniu Brześcia, gdy szpital posuwał się na wschód w kierunku Sieniawki i Słucka. Operacja była przeprowadzona w chałupie. Żołnierz miał olbrzymią ranę łydki z dużym ubytkiem ciała, trzeba było podwiązywać naczynia krwionośne. Przywieziony został bezpośrednio z pola walki. Gdy bowiem posuwaliśmy się na wschód szosą - całą karawaną - to widać było błyski pocisków armatnich, a trupy często leżały na poboczach drogi. Operacja była robiona w oświetleniu lampki karbidowej i 2 latarek elektrycznych, które trzymali żołnierze. Odbywała się oczywiście bez narkozy. Doktor Kucharski stosował tak zwaną przez siebie „węgierską narkozę” (nie wiem dlaczego tak ją nazywał). Polegała ona na tym, aby pacjenta sterroryzować, przestraszyć, doprowadzić do tego, aby chory się nie poruszył przy operacji. Uderzał więc chorego w twarz, groził, że go pobije jak się poruszy, bo inaczej operacja nie będzie mogła być przeprowadzona. Takie argumenty odnosiły skutek. Widziałam jak po udanej operacji chory pocałował lekarza w rękę. Należycie ocenił wysiłki ratowania go przez lekarza, chociaż ten ostatni użył metody, która mnie przerażała. Prawdziwej narko-

zy nie można było dawać, bo nie było komu pilnować chorego po operacji, a będąc bez opieki mógł uduśić się własnym językiem. Szpital jechał dalej odstawiając operowanego do transportu.

Jakże te warunki, w jakich wówczas pracowaliśmy, odbiegały od tego, czego nas uczono na kursie amerykańskim pielęgniarstwa. W archiwum swym posiadam pracę piśmienną egzaminu z pielęgniarstwa, gdzie trzeba było odpowiadać np. na takie pytania: *Jakie są wymagania moralne od panny, która wstępuje na kurs pielęgniarstwa? Jakie są obowiązki pielęgniarki wobec szpitala? wobec przełożonej? Jak często rekonwalescenci powinni czyścić zęby i jamę ustną?... Wylicz rzeczy dla chorego, który się kąpie w łazience? Jaka powinna być temperatura wody do kąpieli? Jakie są sposoby złagodzenia gorączki? W jakiej pozycji leży chory, gdy mu się daje enemę? Co pielęgniarka powinna pamiętać przy dawaniu choremu opium? Co się robi z wydzielinami chorego na zakaźną chorobę? A już ile potrzeba było ręczników i prześcieradeł aby choremu umyć głowę* - zakrawało na farsę.

Po wyjściu z Brześcia szpital formował się w ten sposób, że naprzód szła piechotą kompania sanitarna, a za nimi jechał szereg wozów konnych. Nie było żadnego samochodu. W powozie jechali lekarze i kapłan. Ponieważ jazda na nieresorowanych wozach mnie bardzo szkodziła, szłam razem z kompanią. Inne siostry jechały na wozach. Robiliśmy po 30 kilometrów dziennie. Gdy lekarze zauważyli mój marsz z kompanią zaproponowali mi, abym z nimi jechała powozem. Korzystałam nieraz z ich grzeczności.

Noclegi były rozmaite. Czasami na słomie w jakiejś sieni czy pokoiku dróżnika, gdzie za „swoją potrzebą” trzeba było w zimno, w nocy lecieć za chałupę. Pamiętam nocleg na dworze. Rozpalone było ognisko a naokoło leżały deski podparte z jednej strony. Wtedy gorąco buchające z ogniska po prostu parzyło, a w plecy było bardzo zimno. Jesień była chłodna, szczególnie noce były zimne, i tak wędrując za wojskiem doczekaliśmy się zimy. Podczas kontrofensywy nie doganialiśmy linii frontu. Z dala słychać było huk armat i błyski, o których pisałam. Nie pamiętam, ile było takich spartańskich noclegów. Po pewnym czasie zmądrzałyśmy i nie biegałyśmy w nocy za chałupę, bo łuski od szrapneli służyły nam za „naczynie z uszkiem”.

Dobrnęliśmy wreszcie do Słucka, gdzie zostaliśmy zakwaterowani

w częściowo rozwalonym klasztorze. Nie było okien w korytarzach, nie było pieców, a na dworze panował mróz. Był to najdalszy etap naszej podróży. Szpital zmienił oblicze. Było mało rannych, natomiast żołnierze chorowali na tyfus plamisty i czerwonkę. Tych ostatnich nazywaliśmy karzełkami, bo kucali na basenach i wtedy byli bardzo mali. Dezynfektory nie przychodziły, nie nadążały za nami, a więc walka z wszami była trudna. Tyfus się rozpowszechniał. Przyjechał z wizytą do naszych lekarzy doktor Adler z innego szpitala, który u nas zachorował na tyfus. Umieściliśmy go poza szpitalem. Dwie siostry również zachorowały na tyfus. Nic dziwnego! Co dzień wieczorem w pokoju, gdzie wszystkie sześć lokowałyśmy się - była obława na wszy. Zdejmowałyśmy bieliznę, przeszukiwałyśmy wszystkie fałdeczki, aby je zniszczyć. Nie było komu pielęgnować doktora Adlera. Kazano mi dyżurować przy nim w nocy, a w dzień też byłam na nogach: fasowałam, surogo wałam itd. Byłam czynna po 36 godzin z kolei. A w dzień nie mogłam nigdy zasnąć.

W Słucku praca była bardzo trudna i męcząca. Olbrzymi korytarz klasztorny oświetlony był przez ogniska podtrzymywane w rozwalonych piecach, gdzie nie było oczywiście drzwiczek, tylko duże otworki, stamtąd dochodziło światło od ogniska, które było widoczne, gdyż uszkodzenia pieców były olbrzymie. Obok naszego pokoju znajdowała się trupiarnia. Gdy się kuchennymi schodami schodziło do kuchni na parter, wszędzie na schodach stały oparte o ściany trumny i wieka od nich.

Na mnie robiło to wielkie wrażenie, ale musiałam się przemóc i podchodzić do sprawy śmierci spokojnie. Wstydziłam się swego zdemnerwowania, które mogłoby zauważyć otoczenie. Często śpiewaliśmy wieczorem różne wesołe piosenki i były cyniczne uwagi, że truposze za ścianą nas słuchają. Ksiądz Kapelan był bardzo sympatyczny. Spowiadał i wyprawiał na tamten świat. Lekarze robili, co mogli, ratując życie ludzkie. Pamiętam, jak asystowałam przy zabiegu, na którym lekarze zastanawiali się czy uciąć rękę i w ten sposób uratować życie człowieka, bo gangrena groziła śmiercią. Nie było wówczas penicyliny, każda ropna sprawa była niebezpieczna. A stan tego żołnierza był fatalny. Doktor Kucharski za wszelką cenę chciał uratować rękę temu młodemu chłopcu. A więc poprzecinał skórę na rękę od ramienia do dłoni



w odstępach co 5-6 cm i kładziono na tę rękę kompresy - po pewnym czasie nastąpiła poprawa i ręka została uratowana. To był wielki sukces doktora Kucharskiego!

Co do mnie to, wobec przyrzeczenia danego doktorowi Adeltowi w Warszawie, aby jeść tłuszcze - odżywiałam się przeważnie chlebem ze szpikiem. Chorym nie wolno było dawać szpiku, więc kucharz Cwenar wystukiwał szpik na deseczkę, krajał chleb i uprzejmie szykował mi kanapkę uprzednio wycierając nóż o swoje owijacze! I od tego szpiku robiłam się pyzata. Doktor Kucharski kpiał ze mnie, że sapię - taka robię się gruba, że nie mieszczę się w mundurze, nogi mi się wylewają z butów. Po powrocie wielkie było zdziwienie rodziców, że się tak poprawiłam na froncie.

Udało mi się nawiązać kontakt z rodzicami, którzy przenieśli się z Galicji do Stolicy. Będąc na froncie otrzymałam od Matki kilka listów, bo Ojciec przywdział wkrótce mundur i też walczył. Mama przysyłała mi wiadomości o Ojcu, braciach i całej rodzinie. Mieszkała w Warszawie z młodszym bratem. Tak pisała do mnie dnia 24 października 1920 roku:

*Cieszę się bardzo, że się tak poprawiłaś i dobrze się czujesz, ale chciałabym bardzo, abys już wróciła, bo bardzo stęskniliśmy się za Tobą. O Uniwersytet dowiadywałam się, ale nic pewnego jeszcze nie wiadomo, podobno w połowie listopada lub najpóźniej w pierwszych dniach grudnia będzie otwarty. Politechnikę otwierają 15 listopada. Kaj nic nie pisze, ale mamy wiadomość od jednego doktora (z baterii Kaja), który przyjechał teraz do Warszawy, że Kaj jest w Zwiąhlu zdrow i cały i że jego bateria brała udział w kilku bitwach. Tata też teraz bardzo wojowniczy, wrócił przed kilkoma dniami z frontu, gdzie przebywał 3 tygodnie. Był przeważnie w Pińsku z generałem Sawickim, ale zajeżdżał też do Hrubieszowa, Nowosiótek, Strzyżowa. Strasznie tam wszystko zniszczone. W naszym domu znowu ani okien ani drzwi nie ma, ocalały nam tylko 3 krowy, 2 cielęta i 2 świnie. Krowy i cielęta są w Nowosiótkach, a ponieważ prawdopodobnie do Strzyżowa nie wrócimy, więc trzeba będzie w przyszłości starać się przewieźć to do Balinpoła. Teraz Tata stara się o pozwolenie na wyjazd do Wilna i za tydzień tam pojedzie. Ja tymczasem tu zostanę, bo ze Stachem znowu mamy zmartwienie, był tylko jeden tydzień w Modlinie i przyjechał stamtąd zupełnie*

chory, przez 4 dni miał 40° gorączki, a teraz mocno kaszle i gwizdże mu w płucach. Wzywaliśmy doktora, znalazł znowu silny bronchit i kazał leżeć. Gorączki już nie ma, ale naturalnie o Korpusie Kadetów już mowy być nie może. W ogóle ten Modlin tak mu nie służy, że chyba tam już nie wróci. Straszny więc mamy kłopot co z nim dalej robić jak wyzdrowieje...

Dziś dowiedziałam się, że wszyscy profesorowie Uniwersytetu Wileńskiego już wyjechali do Wilna. Od Babuni i ciotki Janiny nie ma żadnej wiadomości. Dziś była tu u nas ciotka Nusia<sup>13</sup>. Antek w wojsku gdzieś w poznańskim. Marychna w Legii, śpi na jednych barach z dwoma Twoimi koleżankami: Puzinowską (późniejsza historyczka Wanda Kiedrzyńska) i Arlitewiczówną (malarka, późniejsza żona poety Młodożeńca). Wanda Wierusz-Kowalska pracuje w Ministerstwie Skarbu a Janek Wierusz-Kowalski oddany do bursy w Pruszkowie i tam chodzi do gimnazjum do I klasy. Pieniądze Twoje (400 marek) otrzymałam i jutro pójde załatwić Ci sprawunki. Całuję Cię bardzo mocno dziecinko droga - Matka”.

Drugi list, który zachowałam, zawierał więcej wiadomości.

Warszawa, 13 listopada 1920 r.

Droga Halu! List Twój i 100 marek przez kaprala Fuksa otrzymałam. Posyłam Ci trochę czekolady przez niego, futro do podszycia palta, kołnierz i mufkę.

Najlepiej wracaj już tutaj - do Bożego Narodzenia już niedaleko. Podobno od 15 grudnia Uniwersytet otwierają w Wilnie, ciocia Janina (z Falewiczów Niewodniczańska) gwałtuje, żebyś tam przyjeżdżała, pisze, że w Wilnie w Białym i Czerwonym Krzyżu ogromny brak sióstr, więc tam, jak zechcesz, będziesz mogła pracować. Babunia zdrowa, tylko bardzo stęskniona, mieszka z ciocią Marysią w Balinpolu, mimo tego, że ten ostatni jest podobno bardzo rozgrabiony. Ciocia Janina z Mają i stryjem Wincentym mieszkają w Wilnie, stryj Wincenty już sam je. We wszystkich listach pisze, abyśmy do Wilna przyjeżdżali. To też Tata wczoraj tam pojechał, ma się rozejrzeć w sytuacji i dać nam znać, jeżeli tam życie możliwe dla nas, to i my ze Stachem zaraz tam pojedziemy. Na razie Tata ze Strzyżowem nie zrywa, rozmawiał z Rulikowskim i w dalszym ciągu liczy na służbę w Strzyżowie tj. bierze

*pensję i ma pokój fabryczny w Warszawie, w którym ja ze Stachem mieszkamy, a na wiosnę zobaczymy co będzie, jeżeli się Tata gdzieś lepiej nie urządzi to wrócimy do Strzyżowa i tam przy pomocy Piechowskiego<sup>14</sup> będzie budował fabrykę. Pan Piechowski jest w wojsku, był u nas przedwczoraj na herbacie, nic się nie zmienił, zawsze sympatyczny. Projekt Strzyżowa uzależniony jest od zwolnienia z wojska. Ze Stachem kłopoty. Korpus Kadetów mu nie służy. Porządki tam są fatalne, źle karmią i wytrzymać trudno. Wiemy to od Zawiszów<sup>15</sup>. Chyba go odbierzemy i urządzimy w Wilnie. Teraz ma świadectwo lekarskie do 8.I.*

*Jutro w Warszawie wielka wojskowa uroczystość wręczenia buławy marszałkowskiej Naczelnikowi Państwa, dużo oficerów się zjechało, między innymi kapitan Gronowski, dowódca baterii Kaja. Ma list od Kaja i świeże wiadomości. Dowiedziałam się, że Kaj w czasie ofensywy był znowu w dużych bitwach i został trafiony odłamkiem szrapnela, ale tak szczęśliwie, że odłamek uderzył go na płask, więc nawet nie skaleczył. Ma szczęście ten chłopak! Za odwagę został przedstawiony do orderu „Virtuti Militari”. Przysłał do schowania 15.000 marek, bo nie ma co z pieniędzmi robić na froncie. Stoją teraz niedaleko Równego pod Korcem. Stryj Wojciech w Warszawie, zdaje się nic nie robi. Stryjenka u Andrzejów w Kaliszu. Kończę, bo trzeba zaraz odnieść paczkę na Smolną do kaprala Fuksa. Przyjeżdżaj dziecinko droga jak najprędzej, całuję bardzo mocno. Matka.*

Otrzymałam też będąc na froncie list od mego przyjaciela Tadzia Rutkowskiego.

*Warszawa, dnia 20 września 1920 r.*

*Przejeżdżając z północnego frontu na południe przez Warszawę dostałem frontowy list Pani. Wyrażam współczucie z powodu kawału z paluszkami i wieszuję bojowego posterunku. Jeżeli nasze m.p. spotkają się na jakimś odcinku (obym tylko nie potrzebował Pani „siostrzanej” opieki), to podzielimy się wrażeniami frontowymi, a tych chwala Bogu nie brak w tym cygańsko-sportowym żywocie. Człęk zobaczył i moc ludzi różnego pokroju i temperamentu. Adresu poczty polowej nie dałem Pani i nie podaję dlatego, że charakter mojej pracy, warunki sprawiają ciągłe przerzucanie i zmianę adresu. Ledwo się wysuszyłem po marszach w niemiłosiernym błotku białostockim, które odbywałem z II Bry-*



gadą Dyw. Ochotniczej (11 pp, 201 pp, 202 pp) teraz już jedziemy na Wołyni do 8 Dyw. Oby pogoda dopisała nam jeszcze jak najdłużej. Pozdrowienia łączę. Tadeusz Rutkowski.

W Słucku byliśmy ze szpitalem do czasu rozejmu podpisanego między Polską a Sowiecami. Pamiętam rozpacz ludności, która z nami rozmawiała, że nie będą to tereny polskie. Ludzie płakali rzewnymi łzami.

Cofnęliśmy się do Sieniawki, gdzie szpital był już tylko szpitalem epidemicznym. Sieniawka to mała miejscina. Wykańczaliśmy pracę polowego szpitala i szykowaliśmy się na powrót do domów. Wojna była wygrana, więc z radością się o tym myślało. Zima była ostra. W domu w Sieniawce, gdzie lokował się personel szpitala, siadywaaliśmy razem wieczorem i śpiewaliśmy różne piosenki żołnierskie: *W piwnicy mnie pochowajcie...* Zorientowałam się, że nie jestem obojętna doktorowi Kucharskiemu. Naśmiewał się ze mnie maskując swe uczucia. Po wojnie zjawił się w Wilnie, prosząc o moją rękę. Dostał rekuzę. Ożenił się potem z ziemianką Irmą Hansen. Mieszkał w Łodzi. Okazało się, gdy poznałam Zmorę, że był kolegą mego męża w Gimnazjum w Piotrkowie Trybunalskim. Koledzy nazywali go „cebula”. Był blondynem i miał okrągłą twarz.

Gdy już wszyscy chorzy zostali wyekspediowani do innych szpitali, skończyliśmy swą działalność i powracaliśmy do domów, co nie było wcale łatwą sprawą. Był mroźny, śnieżny dzień, gdy z Sieniawki do Baranowicz jechałam kilkadziesiąt kilometrów saniami z podchorążym Szmidem. Gdy dojeżdżaliśmy do dworca, pociąg akurat odchodził i tylko zobaczyliśmy czerwone światełka na jego końcu. Trzeba było czekać na następną okazję i przenocować. Ale gdzie? Przenocowaliśmy w chałupie pod Baranowiczami. Przyjęto nas - podróżnych, rozłożono słomę na środku izby, dano nam jedną kołdrę do przykrycia się. Kury chodziły po izbie, rano piały koguty. Wyspaliśmy się z podchorążym Szmidem i poszliśmy na dworzec. Pod drzwiami chałupy stało stado kuropatw, które wobec mrozu i zawiei chroniły się pod ludzką opiekę.

A propos koguta: miałam oswojonego koguta. Gdy szłam z kompanią, kogut siedział na wozie, nie uciekał, choć nie był przywiązany. Tam gdzie się go posadziło, tam grzecznie siedział. Wracając do Warszawy, nie wiedziałam, gdzie będzie mój dom, czy w Strzyżowie, czy w Warszawie, czy w Wilnie. Ale koguta zabrałam ze sobą i siedział w



chlebaku, który miałam na ramieniu. Jadąc do Warszawy trzykrotnie zmieniałam lokomotywę. Jechaliśmy z kogutem w sanitarnym pociągu, gdzie pamiętam sanitariusz chodził z wiadrzem grochówki proponując chorym na tyfus brzuszny chochlę tej zupy: *Nie chcesz zupy, to wyliwom* - powtarzał. Potem jechaliśmy z poznańskimi oddziałami w wesołej kompanii śpiewających poznaniaków, którzy ciągle mnie straszili, że zarzną koguta na rosół. Kogut bowiem spacerował między nimi w wagonie. Ostatnim środkiem lokomocji był wagon pocztowy, bo do innego nie można było się wcisnąć. Ja z plecakiem, torbą i kogutem w niesamowitym tłoku jechałam na stojąco. Kogut leżał w chlebaku do góry nogami i myślałam, że się udusi. Ale nie, wylądował na ulicy Skorupki u Ciotki Bomannowej i kwaterował w łazience. Potem pociągiem specjalnym, który wiozł do Wilna Delegaturę Rządu z Władysławem Raczkiewiczem na czele, a który zgodził się mnie zabrać, kogut też jechał na siatce u góry i nawet nienależycie się zachował wobec siedzącego pod nim naczelnika Piwockiego. Moja interwencja była potrzebna, ale pan Piwocki nawet nie zorientował się o co chodzi.

Potem kogut żył do naturalnej śmierci w Balinpolu i przewodził tamtejszym kurom.

## Rozdział IV

### STUDIA W WILNIE

Tadzia Rutkowskiego poznałam w transporcie Polaków powracających w 1918 roku z Ukrainy. Gdy on był na froncie, ja byłam jego „chrzestną matką”, gdy ja z kolei znalazłam się na froncie, on pełnił obowiązki mojego „chrzestnego ojca”. Pod jego wpływem zdecydowałam się wybrać kierunek studiów, które mi sugerował. Po maturze myślałam o naukach ścisłych, bo miałam zdolności matematyczne. Nie miałam jednak zamiłowania do pedagogiki i nie chciałam zostać nauczycielką.

Tadzio twierdził, że prawo jest bardzo ciekawe, że łączy się z historią, psychologią, medycyną, socjologią itd., że daje najbardziej ogólne wykształcenie humanistyczne. Posłuchałam go, zdecydowałam się wreszcie i wybrałam studia prawnicze. Ponieważ moi rodzice postanowili nie wracać do Strzyżowa, a osiąść na rodzinnej wileńszczyźnie i ja podążyłam za nimi. Zdążyłam na święta, które spędziliśmy wszyscy w Balinpolu, który był ogołocony z większości żywego i martwego inwentarza, ale dach nad głową mieliśmy.

W Wilnie zapisałam się na Wydział Prawa i Nauk Społecznych Uniwersytetu Stefana Batorego. Poza mundurem nie miałam żadnej innej sukienki, więc zapisałam się na studia w mundurze i tak chodziłam później na wykłady.

Zamieszkałam w Wilnie u ciotki Janiny Niewodniczańskiej-Falewicz, osoby ciekawej, zdolnej, muzykalnej, która była działaczką społeczną na terenie Wilna, pozostawała w żywych kontaktach z wielką społecz-

nicą - generałową Jadwigą Zamoyską z Kórnika, była prezeską Białego Krzyża. Była to osoba bardzo światowa, znająca języki zachodnie, dużo podróżowała, dawała koncerty na cele dobroczynne, organizowała bale. Można by jej poświęcić cały oddzielny rozdział pamiętnika. Może uda mi się to jeszcze zrobić...<sup>16</sup>

Potem sprowadziłam z Lublina moją przyjaciółkę - Jadzię Świechowską, z którą mieszkałam będąc w szkole średniej w Lublinie, i teraz znowu zamieszkałyśmy razem, w tym samym domu co ciotka.

Zaczął się nowy okres mojego życia - okres studencki. Miałam masę pracy, studia, chodziłam na wykłady, ćwiczenia, seminaria i konwersatoria. Miałam ciekawych profesorów<sup>17</sup>. Naukę traktowałam poważnie. Do dziś dnia zachowałam pewne swoje prace seminaryjne jak np. rozprawę o systemie ekonomicznym Johna Stuarta Milla, przygotowaną na seminarium ekonomii oraz pracę o instytucji „Sądów Przysięgłych” - przygotowaną na zajęcia z historii ustroju na zachodzie Europy. Na studiach, z uwagi na moje zainteresowania systemem ekonomicznym Milla - nazywano mnie „Millową”.

Oprócz zajęć na uniwersytecie, pracowałam zarobkowo. Przygotowywałam w domu rejestry ubezpieczeniowe dla Towarzystwa Ubezpieczeniowego. Była to praca bardzo dobrze płatna, tak że moje studia w Wilnie właściwie nie obciążały finansowo rodziców, którzy wobec całkowitego spustoszenia Balinopola w czasie działań wojennych i strat poniesionych przez nas w rozgrabionym Strzyżowie, znajdowali się w nienajłatwiejszej sytuacji i po raz któryś tam z rzędu (takie są już losy Polaków), byli znowu „na dorobku”.

Praca nad rejestrami szła mi dobrze. Umiałam szybko liczyć, a ta umiejętność była właśnie niezbędna przy opracowywaniu rejestrów.

Na życie towarzyskie nie było zbyt wiele czasu, ale jako młoda i posiadająca opinię ładnej kobiety - cieszyłam się powodzeniem i w okresie moich studiów na Uniwersytecie Wileńskim spotykałam się z nieustannymi propozycjami małżeństwa. Miałam również adoratorów w gronie profesorskim. Jednym z nich był prof. Wacław Komarnicki<sup>18</sup> (rodzony brat znanego Tytusa), dziekan naszego Wydziału, którego admiracji zawdzięczam dwie cenne rzeczy. Pierwszą z nich był zaszczytny „pierwszy” numer mego dyplomu na Wydziale Prawa. Sprawa była trochę naciągana, bo w tym samym roku co ja, kończyła studia koleżan-

ka o nazwisku na literę „C”, która wyprzedza moje „F” i ona powinna była dostać dyplom opatrzony tym numerem. Nadskakujący mi Komarnicki „omylił się” i w ten sposób stałam się posiadaczką cennego dyplomu.

Drugą sprawą, w której prof. Komarnicki odegrał pewną rolę, był mój wyjazd na studia do Paryża. Komarnicki rokował mi przyszłość w dyplomacji i bardzo namawiał na studia w szkole nauk politycznych w Paryżu. Oczywiście zdecydowałam sama, bo w Paryżu była moja najserdeczniejsza przyjaciółka, niemniej opinia wybitnego naukowca odegrała pewną rolę.

Na początku moich studiów poznałam dwóch adiutantów naszego sąsiada, generała Konarzewskiego, który przebywał w Wilnie. Jeden z nich, którego namówiłam na studia prawne (kontynuował je równoległe do swojej służby wojskowej) - Kazio Rudzki, stał się wkrótce „duszą towarzystwa” i nieodłącznym partnerem moich studenckich zabaw i bali. Przyjaźniłam się z nim potem całe życie, był świadkiem na moim ślubie. Po wojnie widywałam się z nim, a po jego śmierci przyjaźniłam się z jego żoną, która prowadziła kiosk w „Ognisku Polskim” w Londynie<sup>19</sup>.

Drugim adiutantem był por. Józef Sztukowski, z którym zaręczyłam się będąc studentką II roku prawa, a potem po trzyletnim okresie narzeczeństwa - 21 sierpnia 1925 roku zostałam jego żoną. Przedtem jednak musiałam skończyć studia w Wilnie i roczne studia w l'École des Sciences Politiques w Paryżu.





**UNIwersytet  
STEFANA BATOREGO W WILNIE**  
WYDZIAŁ PRAWA I NAUK SPOŁECZNYCH

**Falewiczówna Helena**

urodzona w Werkach ziemi Wileńskiej dnia 1 kwietnia 1901 r. przyjęta na Wydział Prawa i Nauk Społecznych w d. 10 stycznia 1921 roku na mocy świadectwa dojrzałości, wydanego przez 8-Klasowe gimnazjum filologiczne żeńskie Wacławy Arciszowej w Lublinie dnia 29 maja 1920 roku, Nr. 3, odbyła czteroletnie studia prawne zgodnie z rozporządzeniem Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z dnia 16 października 1920 r. Nr. 8416-IV/20 (Dziennik Urzędowy Minist. W. R. i O. P. Nr. 22 z 15 grudnia 1920 r. poz. 140) i zdała przepisane przez wymienione rozporządzenie egzaminy z wynikiem następującym:

- po roku I-ym z Prawa Rzymskiego, Teorii Prawa, Historji Prawa Polskiego (Historji Ustroju i Historji Prawa Sądowego, Historji Prawa na Zachodzie Europy — z wynikiem ogólnym dostatecznym.
- po roku II-im z Prawa Kościelnego wraz z Prawem Małżeńskim, Ekonomji Politycznej, Prawa Politycznego wraz z Nauką o Państwie i Prawa Narodów — z wynikiem ogólnym dostatecznym.
- po roku III-im ze Skarbowości i Prawa Skarbowego, Nauki Administracji i Prawa Administracyjnego, Statystyki, Prawa Karnego i Postępowania Karnego i Filozofji Prawa z wynikiem ogólnym dostatecznym.
- po roku IV-ym z Prawa Cywilnego, Postępowania Sądowo-Cywilnego, Prawa Handlowego i Wekslowego i Prawa Międzynarodowego Prywatnego z wynikiem ogólnym dobrym.

Na zasadzie powyższego, stosownie do par. 5 wymienionego rozporządzenia

**FALEWICZÓWNA HELENA**

uzyskała

**DYPLOM I TYTUŁ MAGISTRA PRAW**

stanowiący dowód ukończenia uniwersyteckich studiów prawniczych i uprawniający do ubiegania się o stopień doktorski.

L. i.

Wilno, dnia 26 czerwca 1924 roku

KERTOR

DEKAN WYDZIAŁU

*A Paweł*

*Wacław Arciszowa*



## Rozdział V

### PARYŻ

Na wiosnę 1924 roku skończyłam studia na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie i marzeniem moim było wyjechać na zachód i kształcić się dalej. Wydawało mi się, że jeśli skończę Szkołę Nauk Politycznych w Paryżu, będę mogła pracować w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, wyjeżdżać na placówki zagraniczne, podróżować po świecie. Wzorem była wówczas dla mnie p. Kołłątaj, która była ambasadorem z ramienia Sowietów w którymś z krajów bałtyckich.

W Paryżu była wówczas moja przyjaciółka z lat szkolnych z Kijowa, która studiowała na L'École des Sciences Politiques. Ale na studia zagraniczne trzeba było mieć środki finansowe. Rodzice moi, którzy gospodarowali w Balinpolu, folwarku odziedziczonym po dziadkach, z którego ojciec dostał fundum z domem, zabudowaniami gospodarczymi, ogrodami, stawami itd., byli w trudnych warunkach materialnych. Majątek ten - po przejęciu przez rodzeństwo ojca lasów i zaścianka Gałganiszki - miał nieduży - jak na kresowe warunki - obszar, bo zaledwie 162 hektary (cały Balinpol miał ponad 1000 ha). Po wojnie był ponadto strasznie zdewastowany i za pomocą kredytów bankowych rodzice z trudem stawiali gospodarkę na należytym poziomie; ale długi trzeba było spłacać. Musiałam więc sama kręcić głową aby mieć zapewniony, choćby najskromniejszy byt w Paryżu. A więc w pierwszym rzędzie porozumiałam się z redakcjami wileńskiego „Słowa” i „Bluszczu” w Warszawie, czy będą przyjmowali moje korespondencje z Paryża. Następnie wynajęłam swoje 2-pokojowe mieszkanie memu przyszłemu

szwagrowi, który przeniesiony do Wilna, szukał czegoś odpowiedniego. Ożenił się on z moją cioteczną siostrą - Marychną Wierusz-Kowalską. Był on pułkownikiem, inżynierem-fortyfikatorem i nazywał się Ożyński. Objął on stanowisko w Obozie Warownym miasta Wilna. Zapłacił mi on za 6 miesięcy z góry i w ten sposób zdobyłam pieniądze na podróż. Nie martwiłam się, co będzie dalej i wyjechałam. Zachowały się moje notatki z tego czasu. Cytuję:

„Po długiej i urozmaiconej podróży, przyjeżdżam rano do Paryża. Serce mi z lekka bije, czy Wanda spotka mnie na dworcu. Jestem brudna, zmęczona, potargana - wołam głośno porteara, ten zabiera moje rzeczy i idziemy - widzę z daleka Wandę. Siadamy do auta, jedziemy do pokoju Wandy. Deszcz leje, wychodzimy na miasto, ja chcę zobaczyć to cudo, to serce Europy. Najpiękniejsze miasto na świecie, o którym wszyscy mi od lat opowiadali z uniesieniem! Ulice są brudne, lakiierki mam zupełnie obłoczone, auta „latają”, rozglądam się i czuję pevien zawód...

Wiedeń zrobił na mnie wrażenie wielkiego europejskiego miasta, czystego i o wspaniałej architekturze - zresztą kanał Dunaju, wyglądał wprost ślicznie, tyle światła i ruchu, że byłam oszołomiona. A tu Paryż - taki miejscami ciemny, brudny, z gazowym oświetleniem. Pierwsze wrażenie negatywne. Po pozostawieniu rzeczy u pani Simon, gdzie mieszkała Wanda, schodzimy do metra. Drugie miasto pod ziemią! Jest mi duszno, gorąco, czuję się zmęczona, niewyspana. Jedziemy tunelami, na niektórych przystankach fala ludzi wylewa się z wagonów, na innych pociąg wchłania w siebie to mrowisko. Place de l'Opera, 8 rzędów samochodów, nie ma mowy o tym, aby przejść na drugą stronę ulicy. Wystawy sklepowe nadzwyczajne, reklamy świetlne wspaniałe. Jest tak jasno, że na ulicy można by znaleźć szpilkę. Nie ma mowy o futrze, bo i w płaszczu jest za gorąco. Wszystko to wydaje mi się takie dziwne. Poprzedniego dnia w Tyrolu było bardzo zimno, a gdy wyszłam w Szwajcarii w Zurichu na peron - zatrzęsłam się z zimna mimo futra.

Pierwsze dni schodzą mi na załatwianiu formalności, na zapisywaniu się do szkoły oraz do Foyer International des Etudiantes. Wanda prowadzi mnie do Julienu na obiad. Tanio szalenie. Muszę wypić całą butelkę piwa lub karafeczkę wina, nie orientuję się w potrawach, nie

wiem co wybrać, takie dziwne nazwy. Naokoło różnokolorowe twarze, a więc murzyni, mulaci, jacyś pośredni między nimi. Japończycy, Chińczycy, słysząc różne języki - rosyjski, angielski. Francuzów dużo, Holendrzy, Szwedzi. Przeważa brać studencka. Gdzieś widać odmienną twarz: to jakiś robotnik przyszedł zjeść śniadanie. No cóż, obiad kosztuje 3 i pół franka (złotówkę) a najważniejsze to, że chleba można zjeść à discrétion. Właściwie nie chleba, ale bułki, chleba tu nie jedzą, przynajmniej nie widziałam.

W niedzielę idziemy z Wandą do Louvre'u, wszystko mi się w głowie kręci, tyle ładnych, cudownych obrazów i rzeźb. O wielu sławnych malarzach, których prace tu widzę, nigdy nie słyszałam, a jeżeli słyszałam, to ponadto nic o nich nie wiem. Widzę u siebie brak podstawowych wiadomości z dziedziny sztuki. Nie znam się wcale na architekturze. Drażni mnie to! Wykształcenie moje było jednostronne. Prawo! I tego dobrze nie znam, choć jestem magistrem praw. Jeżeli chodzi o zewnętrzną ogładę, kulturę intelektualną, to cechy „sine qua non” niezbędne u człowieka, który chce nosić miano inteligentnego - to pewne odczytanie, otrząskanie się ze znanymi twórcami myśli i ducha ludzkiego, dać może pozór inteligencji, wykształcenie. Jest to przyjemne, ale - to mało...

Byłam już w kościele Notre Dame, w Madelaine, w kościele St. Germain du Près (na ślubie, na którym panowie stoją parami po prawej stronie). Poza tym czekam listów i gdy jestem sama jest mi rozpaczliwie smutno. „Sama wśród ludzi”...

Tak pisałam w kilka dni po przyjeździe do Paryża. Nasza gospodyni pani Simon, była staruszką, która miała 18 dzieci: 12 z nich żyło, 6 - zmarło. Mogła wyliczać ich imiona od najstarszego do najmłodszego, ale odwrotnie, już miała duże trudności, musiała się głęboko namyślać. Zapowiedziała nam, że nie mamy prawa przyjmować żadnych męskich wizyt i gdy kiedyś zjawił się u nas Iwo Jaworski (późniejszy dziekan wydziału prawa Uniwersytetu Wrocławskiego), z którym mieliśmy gdzieś dalej wędrować, była oburzona naszą konduktą. Ulica Debrousse, gdzie zamieszkałyśmy, położona była w „szesnastce” bardzo eleganckiej dzielnicy Paryża koło Place de L'Alma, gdzie stał pomnik Mickiewicza. Z tego placu rozchodzą się piękne, zadrzewione bulwary, stare domy z luksusowymi mieszkaniami. Zapisałam się na wydział dyplomatyczny



do l'École des Sciences Politiques. Chodziłam na wykłady.

Prawo Narodów wykladał prof. Charles Dupuis. Prawo Międzynarodowe - prof. Gidel, naukę o współczesnej Europie - prof. René Pinon, Geografię Ekonomiczną - prof. Ziegfried. Na wykładach tego ostatniego było tłoczno. Mówił wspaniale, miał piękny, zrozumiały język; znakomita forma i dykcja. Szkoła była dwuletnia. Wiedziałam, że będę tylko jeden rok szkolny. Robiłam notatki, przygotowywałam się do egzaminów, ale zdawałam sobie sprawę, że formalnie te studia nic mi nie dadzą, bo nie dostanę dyplomu. Wanda Bałtutis studiowała na wydziale ekonomicznym dwa lata, tylko Tadzio Bierowski dokonał tego wyczynu, że w ciągu roku skończył tę szkołę. W pierwszych dniach mego pobytu byłam na wykładzie prof. Girarda. Studenci byli tak rozentuzjzmowani, że robili hałas na wykładzie, bili mu brawo, śmiali się, przerywając mu. Dziwiło to mnie, u nas nie do pomyslenia było, aby tak się zachowywać.

Niezadługo po przyjeździe do Paryża, zupełnie przypadkowo spotkałam na Bulwarze „des Italiens” pana Kowerskiego, prokuratora z Wilna i pana Protopowicza. Pan Kowerski miał znajomości w ambasadzie polskiej w Paryżu i na moją prośbę zaprotegował mnie ambasadorowi Alfredowi hr. Chłapowskiemu - jako bezpłatną praktykantkę. Przyjęto mnie i przydzielono do wydziału prawnego, gdzie poznałam bardzo ciekawego człowieka, który został moim szefem - pana Nawroczyńskiego. Był on znanym w Paryżu malarzem. Znał świetnie język francuski, a szczególnie potrzebny dla jego pracy język dyplomatyczny. Sekretarzem ambasady był Schimiczek, radcami hr. Poniński i hr. Skrzyński (chyba brat ówczesnego ministra spraw zagranicznych). Oni podpisywali noty i rekwizycje do Quai d'Orsay. Ale wszystkie dokumenty przygotowywał Nawroczyński. Nie miał on nawet przyzwoitego biurka, jakiś stolik, przy którym pracował. Skromny, małowówny, opanowany - był filarem działu prawnego. Mnie kazano załatwiać sprawy rekwizycyjne.

Polegały one na tym, że sądy polskie zwracały się do Ambasady aby ta z kolei zwróciła się za pośrednictwem francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych do Ministerstwa Sprawiedliwości, aby dokonać potrzebnych dla sądów polskich czynności prawnych. Przeważnie były to prośby o zbadanie świadków czy biegłych dla spraw toczących się w Polsce.

Sądy francuskie dokonywały przesłuchania świadków lub biegłych i przekazywały te przesłuchania do Min. Sprawiedliwości, a ci z kolei do Min. Spraw Zagranicznych, które skierowywano do naszej ambasady celem odesłania do Polski. Były to sprawy par excellence konsularne i w późniejszych latach przekazano je do konsulatu RP w Paryżu. Pisałam te rekwizycje, a pan Nawroczyński je poprawiał.

Atmosfera naszych kontaktów z radcami i sekretarzami była sztyw-  
na. Pan Schimiczek podobno wydał swoje pamiętniki, teraz, już w PRL.  
Hr. Poniński przychodził z coraz to nową laską, które kolekcjonował:  
jedne były z rączką z kości słoniowej, inne rzeźbione - to było najwięk-  
sze hobby Ponińskiego. Najbardziej dostępnym człowiekiem był sam  
ambasador Chłapowski, mający piękne dobra w poznańskim. Byłam  
kiedyś zaproszona na przyjęcie do ambasady. Innym razem ambasador  
z żoną przyszedli do tawerny w Quartier Latin, gdzie zebrali się studenci  
Szkoły Nauk Politycznych i odbyła się wspólna uczta. Ja siedziałam  
obok Tadzia Bierowskiego, z którym się przyjaźniłam. Był to bardzo  
dobrze wychowany i miły, inteligentny młodzieniec, pochodził ze Lwo-  
wa. Ojciec jego był człowiekiem bardzo zamożnym - właścicielem du-  
żych terenów naftowych pod Boryslawiem. Ale Tadzio był człowie-  
kiem skromnym i rozsądnie zużywał fundusze, które mu rodzice przy-  
syłali. Mnie nazywał swoją „siostrzyczką”. Po II wojnie mieszkał w Gdy-  
ni z siostrą. Miał dom na ulicy Świętojańskiej. Nie ożenił się. Był u mnie  
w Toruniu, a i ja z kolei odwiedzałam go w Gdyni. Był adwokatem,  
członkiem Rady Adwokackiej. Specjalizował się w prawie międzynaro-  
dowym i prowadził sprawy morskie. Zmarł nagle w jeszcze młodym  
wieku, na posiedzeniu Rady.

Z innych kolegów ze Szkoły pamiętam pana Nekanda-Trepkę, który  
twierdził, że jego ród jest znacznie starszy od Tarnowskich. Trzeba  
przyznać, że towarzystwo w Szkole było snobistyczne. Szkołę tę skoń-  
czył syn późniejszego Prezydenta - Michał Mościcki. Często bywałam w  
towarzystwie Sosnowskiego, bardzo miłego kolegi, który w roku 1920  
stracił nogę i miał skrzypiącą protezę. Szalenie lubił tańczyć i korzystał  
z każdej okazji, by puścić się w tany, ale panny go unikały, bo jednak  
tańczenie z protezą, która obijała kolana partnerek, nie było rzeczą  
najprzyjemniejszą. Poświęcałyśmy się jednak dla niego, żal nam było  
tego miłego człowieka-inwalidy.

Jednym z najbardziej znanych w środowisku międzynarodowym - jako prezes Federacji Międzynarodowej Studentów - był Janek Baliński, syn długoletniego prezesa Rady Miejskiej w Warszawie. O Ojcu Janka mówiono, że jest strasznym gadułą, wygłaszał niekończące się przemówienia - jako reprezentant miasta. Janek Baliński jako prezes rozjeżdżał się po świecie na zjazdy, kongresy, wszędzie miał przyjaciół. Był on już po studiach na Szkole Nauk Politycznych. Ponieważ jeden z Falewiczów, mój wuj - Jan Michał Falewicz ożenił się z Marią Balińską z Jaszun<sup>20</sup>, Janek mówił, że jest moim kuzynem. Jego zastępcą i wiceprezsem był Węgier Franciszek Deak, którego poznałam przez Balińskiego.

Kiedyś Deak prowadził do Londynu wycieczkę węgierskich rzemieślników. Zaproponował Tadziovi Bierowskiemu i mnie, abyśmy z nimi pojechali. Koszta były nieduże, więc zgodziłam się zrobić ten wypad do Anglii, gdzie akurat była wielka wystawa imperium brytyjskiego w Wembley. Gdy w ambasadzie powiedziałam, że jadę do Londynu, proszono mnie, abym zabrała pocztę dyplomatyczną. W ten sposób po raz pierwszy (i ostatni) w życiu byłam kurierem dyplomatycznym. Przez Kanał la Manche z Calais do Dover płynęliśmy małym statkiem. Początkowo wszyscy pasażerowie byli na pokładzie, ale jak zaczęło kołysać, wszyscy puciekali do kajut pod pokładem i niemal wszyscy chorowali. Deszcz padał. Ja zostałam na pokładzie i siedziałam na swoim skarpie, walizeczce, w której znajdowała się poczta dyplomatyczna. Ponieważ ktoś mi powiedział, że gdy się śpiewa, nie cierpi się na morską chorobę, zaczęłam nucić. Rzeczywiście nie chorowałam. A gdy przyszedł Tadzio Bierowski aby ściągnąć mnie pod pokład, nucąc melodię z „Wesołej Wdówki” (gdyż już wszystkie znane mi melodie wyśpiewałam), powiedziałam: „odejdz, bo ja muszę tu śpiewać, żeby nie chorować”. Zostałam sama na pokładzie, przykucnięta pod kominem, skąd sadze padały na moją białą skórzaną czapkę.

W Londynie rozmieszczani byliśmy w domach akademickich, w których mieliśmy również wyżywienie. Cały dzień pędzono nas dla zwiedzania muzeów, pałaców, parków. Upał był straszny - czerwiec. Byliśmy potwornie zmęczeni, a ponadto wystawa w Wembley też zajmowała nam wiele czasu i sił. Pamiętam, że jeździliśmy z Tadzio w wesołym miasteczku „z górki na pazurki”, aż dech zapierało, lataliśmy na krzeselkach wysoko, przyglądaliśmy się, jak inni szaleją, ale gdy po

kolacji w akademiku Tazio zaproponował, aby z nim pójść na Picadilly i zobaczyć nocne życie Londynu - nie miałam już sił.

Na wystawie największe były pawilony Kanady i Australii. W kanadyjskim był łań pszenicy i pracująca żniwiarka. Okazało się, że łodygi z kłosami były naciągnięte na sznurek i odnosiło się wrażenie, że to łań pola pszenicy. Był też za szybami obóz indiański (w kolorze białym). Pytałam, z czego on jest zrobiony, powiedziano mi, że z zamrożonego między szybami masła. Ciekawy był pawilon Cejlonu. W pierwszej części pawilonu można było oglądać kamienie, całe bryły, na których były widoczne różne szlachetne kamienie. Drugi dział stanowiła szlifiernia tych rubinów, diamentów, szmaragdów. Siedziało tam około 40 szlifierzy. Trzecią część pawilonu zajmował jubilerski sklep z tymi cudami. Były to rzeczy bardzo drogie. Zachowałam do dziś w pięknym zielonym albumie zdjęcia z Londynu i Wembley.

Wanda dostała się do Foyer International des Etudiants, starałam się i ja przenieść do dzielnicy łacińskiej, żeby być bliżej Wandy i w środowisku raczej młodzieżowym. Poznałam Zofię Kotowską, z którą zamieszkałam w „Grand Hotel de L’Europe”, który nazywaliśmy „Petit hotel d’Asie”. Był to mały hotelik na rue Toulouze, prymitywny, stary, ale ta uliczka była przeczną rue Soufflot, gdzie na jednym końcu znajduje się Pantheon a na drugim Bd. St. Michel i Ogród Luxemburski. Mieszkając tam miałam bardzo blisko do Wandy i do Foyer. Teraz razem, prawie co niedziela chodziliśmy do Luwru. We Foyer można było zawsze dostać bilety zniżkowe na różne imprezy oraz bilety bezpłatne, które wisiały na gwoździu w krytej werandzie. Tamże była prasa w wielu językach. Można było wybierać wśród bezpłatnych propozycji, z czego chętnie korzystałyśmy jako członkinie Foyer. Dlatego wszędzie nas było pełno.

Poza wykładami i praktyką w ambasadzie, cały dzień miałam wypełniony spotkaniami towarzyskimi i ciekawymi imprezami. Obracałyśmy się najczęściej w towarzystwie Iwo Jaworskiego, Jacka Bzowskiego - ziemianina spod Krakowa, ich przyjaciela Bodzia Krzyżanowskiego, również z krakowskiego, Tadzia Bierowskiego oraz innych kolegów i koleżanek. Tam w Foyer poznałam Carlotę Thorkildsen. Była ona córką nauczyciela z Oslo, Norweżką, która przyjechała do Paryża ameliorować język francuski i studiowała socjologię. Gdy i ja dostałam się do



Foyer, zaprzyjaźniłyśmy się bardzo i prawie co dzień Carlota przychodziła do pokoju mojego i Wandy na pogawędkę. Czasami pakowała się pod koc „na waleta”, aby do późna dyskutować, opowiadać. Była to osoba bardzo zdolna i dzielna. Muszę jej poświęcić nieco więcej miejsca w swym pamiętniku.

Po wojnie zaczęłam szukać Caroloty przez Czerwony Krzyż, miałam zapisany jej adres i adres jej rodziców. Dostałam bardzo prędko odpowiedź, że Carlota jest w Oslo, cieszy się z tego, że jej szukam i że napisze. Taka była odpowiedź Norweskiego Czerwonego Krzyża. Zaprosiłam ją do Torunia. Przyjechała, wozilałam ją do Warszawy, którą zwiedzałyśmy z moim bratankiem Jankiem Falewiczem. Byłyśmy w Żelazowej Woli. Bardzo była wzruszona koncertem i uroczym dworciem. Na drugi rok zaprosiła mnie do siebie. W Oslo i na wycieczkach organizowanych przez nią przebyłam miesiąc. W pierwszym liście, napisanym do mnie po jej odnalezieniu w roku 1964 opisała swoje życie przez ten długi okres, kiedy nie miałyśmy ze sobą żadnego kontaktu.

Z Paryża, gdzie pracowała w Biurze Współpracy Intelktualnej przy Lidze Narodów, powróciła do Oslo do rodziców. Jeszcze przed wojną poznała Niemca - socjalistę, Willy Brandta, który będąc przeciwnikiem nazizmu, musiał opuścić Niemcy i z terenu Norwegii prowadził propagandę antyhitlerowską. Carlota wyszła za niego za mąż i ma z nim córkę Ninję, którą poznałam będąc w Oslo. Willy Brandt po wkroczeniu Niemców do Norwegii musiał się ukrywać. Był początkowo wśród żołnierzy norweskich w Stalagu, a następnie ukrywał się na przedmieściu Oslo, gdzie go Carlota odwiedzała. Wszystkie swoje perypetie opisuje w książce wydanej w Stanach Zjednoczonych pod tytułem „My road to Berlin”. Był poszukiwany przez Niemców, więc starał się przedostać do Szwecji. To mu się udało i w Sztokholmie stworzył Międzynarodowy Ośrodek Socjaldemokratyczny i w dalszym ciągu zajmował się polityką. W napisanej przez siebie książce wspomina, że przedstawicielem Polski był Maurycy Karniol, adwokat warszawski, którego dobrze znałam i po wojnie, gdy wrócił do kraju, widywałam go przy każdej bytności w Warszawie, aż do jego śmierci.

Carlota została w Norwegii ze względu na to, że Ninja była malarzka i przedzieranie się przez granicę do Szwecji (choć ułatwiane przez oba sąsiadujące państwa) było jednak uciążliwe. Po pewnym czasie

przedostała się jednak i ona do Szwecji i pracowała jako referent prasowy w Ambasadzie Norweskiej. Opowiadała mi, że przeżyła w Szwecji dużo przykrości przez to, że była żoną Niemca. Takie tam były silne antyniemieckie nastroje! Dalsze jej losy były następujące: Brandt chciał wracać do Niemiec po klęsce Hitlera, pojechał i został burmistrzem Berlina Zachodniego. Chciał ją sprowadzić, ale ona nie chciała jechać, opuszczać kraju, była i jest nadal wielką patriotką. Berlin był bardzo zniszczony, Ninja maleńka. W Norwegii wszystko było jej bliskie. Mówiła mi, że widocznie za mało go kochała, aby się zdobyć na takie poświęcenie. Przypuszczam, że potem tego żałowała.

Brandt znalazł sobie drugą żonę, a była nią również norweżka Ruth. Jak do tego doszło? W Sztokholmie mieszkali razem w jednym mieszkaniu Carlota z mężem i Ruth z mężem. Ponieważ Carlota i Willy pracowali - Ruth prowadziła gospodarstwo i wychowywała Ninję. Mąż Ruth był chory. Później okazało się, że ma otwartą gruźlicę i zaraził Ninję i jeszcze innego chłopczyka, który przychodził do niej się bawić. Przez rok trwało leczenie dzieci. Było to już chyba wtedy, gdy były znane antybiotyki - środki skuteczne na tę straszną kiedyś chorobę. Mąż Ruth zmarł niedługo po wojnie. Carlota o Ruth opowiada z wielkim szacunkiem dla jej charakteru, serca, taktu. Po śmierci męża Ruth zdecydowała się wyjechać do Berlina i została żoną Brandta. Ma z nim 3 synów, ale Ninja jest do niej bardzo przywiązana i zawsze spędzała wakacje w Niemczech, odwiedzała ojca i drugą matkę - jaką była dla niej Ruth. W czasie swego pobytu w Norwegii byłam z Carlotą podczas jednej z wycieczek w Hammer, na północny-wschód od Oslo. Ruth kupiła tam dom i przyjeżdża tam spędzać chwile w ojczyźnie. W prasie ukazały się wówczas zdjęcia jak Brandt z żoną i Ninją jadą promem z Sassnitz do Trelleborgu, udając się do Norwegii.

Powracając do Paryża, chciałabym przedstawić stosunki, jakie panowały u nas w Foyer, tej istnej wieży Babel, do której przeprowadziłam się z „Grand Hotel d'Europe”. Fundatorką tej instytucji była Angielka Pani Hoff, której celem było zbliżenie młodzieży żeńskiej różnych narodowości. Fundatorka swój cel osiągnęła w pełni, bo zadzierzgały się liczne przyjaźnie, które trwały całymi latami. Przykład z Carlotą już dałam.

Po moim już wyjeździe Wanda zaprzyjaźniła się z Holenderką - Adą

Kerlsbergen, którą przywoziła do mych rodziców do Balinpoła. Wozila ją sankami po lesie, gdy koń dawał pierwszy ślad po zasypanej śniegiem drodze, a świerki uginały się pod pokrywą śnieżną. Ada była pełna zachwytu nad naszą mroźną zimą i twierdziła, że pierwszy raz jedzie sankami. Była ona nauczycielką greki i łaciny w szkołach holenderskich. Początkowo mieszkała w Haarlem, gdzie ojciec jej był lekarzem, a matka kierowniczką jakiejś sekty religijnej. Mieli duże ogrody i posiadłość ziemską. Po śmierci rodziców Ada przeniosła się do Hagi, zostawiając sobie tylko domek letniskowy w posiadłości rodziców. Chyba w 1967 roku była w Polsce u swoich znajomych państwa Skrzywanów w Warszawie<sup>21</sup>, odwiedzała siostrę Wandy, z którą się przyjaźniła. Jadąc znad morza do Warszawy, zatrzymała się u mnie na noc razem z państwem Skrzywanami. Kilka lat temu też była w Warszawie i miałam możliwość widzieć się z nią. Ta dzielna i niemłoda już kobieta przyjechała autem z Hagi do Poznania w jeden dzień. Koresponduję z nią. Jest na emeryturze, mieszka z siostrą, którą sprowadziła ze Stanów Zjednoczonych i organizuje w szkołach przedstawienia klasyków greckich.

Dyrektorką Foyer International des Etudiens była Amerykanka p. Watson, urocza osoba, mówiąca fatalnie po francusku. Kiedyś ku wielkiej radości mieszkanek Foyer, gdy jedna z dziewcząt zwróciła się do pani Watson, z prośbą aby jej dać jeszcze materac, bo jest jej twardo spać, dyrektorka posiadająca angielski akcent krzyknęła do chłopca, pomocnika kucharza: *Louis, Louis, montez deux matelos, elle ne peut pas dormir avec un*. Pani Watson miała do nas zaufanie: *możecie chodzić gdzie chcecie, ale ja muszę wiedzieć gdzie jesteście, bo przyjedzie ktoś z rodziców i będzie się pytał, gdzie moja córka, a ja nie będę wiedziała*. A więc jeżeli wychodziłyśmy na dłużej wieczorem zapisywałyśmy się w karnecie w hallu. Potrzebne też to było dla dyżurującej. Tablica „in” i „out” informowała dyżurną, kto jest w dzień w domu, a kto wyszedł. Gdy się wracało wieczorem wykreślało się swoje nazwisko w karnecie, bo dyżurna pilnowała powrotów i otwierała bramę tylko do godziny 1 w nocy. Jeżeli któraś ze studentek nie zdążyła w porę wrócić - brama była już zamknięta i nie było komu nacisnąć guzika, aby się otworzyła. Nieraz jednak dyżurna cierpliwie czekała dłużej, widząc, że jeszcze ktoś w porę nie wrócił, bo opóźnienie wracających z dalekich krańców miasta bywało często niezawinione.

We Foyer nie mogło mieszkać więcej jak dwie studentki jednej narodowości. Były tylko cztery Rosjanki - emigrantki, które mieszkając jednocześnie pracowały we Foyer i zarabkowały, wykonując szereg funkcji gospodarczych. Nastrój w Foyer był bardzo miły i atmosfera pełna kultury. Pamiętam Boże Narodzenie 1924 roku. Oto jak wyglądał wieczór wigilijny opisany w notatkach moich z tamtych czasów:

„O godzinie 6-tej potrójna trąbka auta zaanonsowała nam, że panowie czekają na dole. Pojechaliśmy na rue Cambon do małej restauracyjki, gdzie Jacek Bzowski zamówił kolację wigilijną. Humory niezłe, stroje uroczyste. Pan Jacek we fraku, Iwo Jaworski w smokingu, Wanda na jasno... ja na żółto. Przełamaliśmy się opłatkiem i zrobiło się markotno, że nie ma pod obrusem siana. Zjedliśmy staropolską kartoflankę, później rybę a potem o zgrozo! byłam oburzona, wjechała na stół „kokota”. Podwójny grzech: bo to i przełamanie postu i ludożerstwo. Później tort. Wypiliśmy dwie butelki wina i do czarnej kawy po kieliszku likieru. Śpiewaliśmy kołędy. Potem wsiedliśmy do auta i pojechaliśmy na Bd. St. Michel do Foyer na choinkę. O wpół do dziewiątej w salonikach Foyer sporo odświętnie ubranych studentek, przemiła miss Watson robi honory domu. W 4 językach: niemieckim, angielskim, rosyjskim i francuskim, zostaje odczytana Ewangelia. Następnie śpiewamy: najpierw chór angielski, następnie czeski a potem popisowałyśmy się we cztery: Hanka Kotowska, Janka Gessner (rzeźbiarka), Wanda i ja. Dostałyśmy brawa. Zapalają choinkę, dostajemy upominki. Rosjanki śpiewają „Zaunyłyje” pieśni, potem my „Jak szybko mijają chwile”. Przy herbatce, rozmowie z różnymi nacjami czas mija miło. W salonikach gwarно, zawiera się nowe znajomości”.

Poznałam Chinkę pannę Mong-Peng-Wou, córkę prezesa Izby Deputowanych w Pekinie. Miałyśmy tam różne znajomości np. Jawajkę - tancerkę, która w pawilonie, gdzie były same dziewczyny (bo mężczyznom był tam wstęp wzbroniony) podnosiła suknię i pokazywała nam swe mięśnie - uda twarde jak żelazo. Chodziła na palcach. Była szalenie zgrabna i wygimnastykowana.

Dla przyjmowania gości był przeznaczony salon na parterze, gdzie po południu często Miss Watson osobiście serwowała świetną herbatę z kanapkami. Kosztowało to grosze. Były też dla przyjmowania gości saloniki na każdym piętrze z przyżmionym światłem, przytulne i nada-



jące się do serdecznych rozmów. Ale absolutnie wykluczone było, aby kolegów czy nawet krewnych mężczyzn przyjmować w sypialni. Nie był to zakaz podyktowany pruderią. Chodziło o to, że szanowało się spokój i niezależność drugiej współlokatorki pokoju, która mogłaby nie znać przyjmowanego gościa i być może zamiast nowych znajomości wolałaby uczyć się, szyć, czy odpoczywać. Inaczej jest teraz w naszych współczesnych akademikach, gdzie studentki sprowadzają do wspólnego pokoju swoich „chłopców” i nieraz zmuszają towarzyszkę do opuszczenia pokoju.

Życie w Paryżu, który w pierwszej chwili zrobił na mnie takie złe wrażenie, było bardzo urozmaicone. Ciągłe było coś ciekawego do oglądania. A więc powiedziano nam na przykład, że odbędzie się wiec Węgrów pod auspicjami Ligi Obrony Praw Człowieka, któremu ma przewodniczyć Polak Dr Motz, znany w Paryżu działacz społeczny (byłam kiedyś u niego w jego wspaniałych apartamentach). Wiec był urządzony przez przeciwników Regenta Horthy'go. Oczywiście poszliśmy całą gromadą. Wysłuchaliśmy przemówień, z których wynikało, że Horthy jest opresjonistą, ale gdy zaczęła się bijatyka - uciekłyśmy. Innym razem dowiedziałyśmy się z prasy, że w Trocadero mają być wyświetlane medyczne filmy o chorobach wenerycznych. Oczywiście obejrzałyśmy te ciekawe filmy.

Chodziłyśmy często do teatrów i na koncerty. Carlota poszła z nami na *Peer Gynta* Ibsena z muzyką Griega. Byłam na *Manon*, na czterech jednoaktówkach w „Grand Guignol”. W kwietniu 1925 roku byłam na wielkim koncercie Franco-Slave w „Grand Amphitheatre de la Sorbonne”, w „Comedie Francaise” na *Corbeaux*, na koncercie chóru rosyjskiego, na sztuce Pirandella *Chaquin sa verite*. Nie było paru dni bez jakiejś imprezy a poza tym - zwiedzanie. Zabytki, kościoły, a więc przede wszystkim Louvre, Kościół Notre Dame, Kościół Madelaine, Muzeum Luxemburskie, Muzeum Cluny, St. Chapelle, Palais de Justice, Muzeum Grevin, Petit Palais, Conciergerie, les Invalides, Muzeum Trocadero Muzeum Guimet, salony zimowe, wiosenne i letnie malarstwa, byłam na międzynarodowej wystawie awiacyjnej. Byłyśmy w „Folies Bergere” i w operze na *Zaczarowanym flecie* Mozarta, w teatrze du Gymnase na *Galerie des Glaces*, na balecie rosyjskim, na *Volupte de l'Honneur* - Pirandella, na koncercie deklamatorskim Kazimiery Rychterówny, któ-

ra recytowała: Norwida - *Fortepian Chopina*, Słowackiego fragment z *Króla Duchą*, *Improwizację* Mickiewicza, scenę cyrku z *Quo Vadis*, Staffa - *Deszcz jesienny*, Makuszyńskiego - *Markizę*, Leśmiana - *Świdrygę i Midrygę* oraz *Dwa wiatry* - Tuwima. Łążyliśmy po Montmartrze w dzień i w nocy, wspinaliśmy się na Wieżę Eiffla, wyjeżdżaliśmy poza miasto do Fontainebleau, do Wersalu itd. Wyjeżdżałyśmy z Wandą i panią Kotowską autem pana Bourgeta (znajomego Wandy) do Normandii, aby zwiedzić Rouen, Amiens. Było to w marcu 1935 r. 19 kwietnia pojechałyśmy zwiedzać zamek i muzeum w Chantilly.

Życie towarzyskie było bogate, chęć poznania Francji wielka. Poznałam tam wielu znanych i miłych ludzi. Do Foyer przychodziła czasem Polka pani Korwin-Piotrowska, przyjaciółka Franciszka Blacka, znanego w Paryżu rzeźbiarza, którego prace widziałam w Muzeum Luksemburskim. Black był przyjacielem Paderewskiego, mieszkał kiedyś w Szwajcarii. Przyjechał do Paryża na tydzień, ale miasto tak go urzekło, że został na całe życie. Byłam w jego pracowni kilkakrotnie<sup>22</sup>:

„Daleko na przedmieściu, koło fortyfikacji, w ogrodzie - pracownia Blacka. Pełno rzeźb, dużych i małych, jeden kąć - obrazy, turecka kanapa, w górze pod bardzo wysokim sufitem - duża lampa naftowa, niżej matowa - elektryczna. Towarzystwo międzynarodowe. Jakaś Łotyszka gra na fortepianie. Poznają Rychterównę, Nostitz-Jackowskiego. Ten ostatni zawzięcie dyskutuje z gospodarzem (oglądając jego rzeźby) na temat tego, czy sztuka musi być dekoracyjna, chodzę, oglądam, słucham”.

Tak pisałam w swych notatkach paryskich. Gdy byłam u Blacka ponownie, zaproszona na pyszne zrazy z kaszą gryczaną, dowiedziałam się, że były one przygotowane przez pana domu.

Byłam też w pracowni rzeźbiarskiej pana Poucheta, gdzie panował miły nastrój, była smaczna herbata i figi, ale nie było rozmowy o sztuce, tylko o psach i polowaniu.

Zaprosiłyśmy kiedyś kolegów z l'École do Foyer na wieczorek tańczący. Było ich sporo i robili furorę. Tańczyli pięknie, prowadzili inteligentne rozmowy, a najważniejszą rzeczą, która opanowała cudzoziemki to ich stosunek do pań, całowanie w rękę po skończonym tańcu, uprzejmość. Panny z zachodniej Europy, a szczególnie z Francji nie były przyzwyczajone do takiego „Wersalu”. Na tym wieczorku Hanka Kotowska

bawiła Janka Balińskiego, mówiąc po francusku, myślała, że Janek jest Francuzem. Od razu to zauważyłam i prosiłam inne Polki, aby im nie przeszkadzały w tej konwersacji. Gdy bomba wreszcie pękła, śmiechu było co niemiara. W Foyer przyjmowałyśmy wycieczkę węgierską, innym razem członków kongresu młodzieży chrześcijańskiej. W lutym podczas karnawału całą wielką paczką poszliśmy na bal jugosłowiański, ale nie podobało tam się nam, więc poszliśmy z latarkami przez plac St. Sulpice na inny bal - kolonialny. Tam wypiliśmy 20 butelek szampana i prawie całe towarzystwo było mocno podchmielone. Wanda podskakiwała, aby złapać balonik, który był pod sufitem. Nie piłam nigdy za dużo, zresztą miałam mocną głowę, a przy wyjściu musiałam wyszukiwać w szatni palta kolegom, parasole, a niektórych odwozić do domów.

Interesowały mnie zawsze sprawy penitencjarne, więc zwiedzałam koszmarnie więzienie kobiece St. Lazare i pojechałam do Frésnes, gdzie było więzienie dla małoletnich przestępców. Więzienie celkowe. Dziewczynki tam przebywające zajęte były robieniem sztucznych kwiatów dla Grandes Magasins. Susveillate, kierowniczką, która przedtem była 14 lat w kolonii penitencjarnej w Cadillac powiedziała wtedy do mnie: *to nie one powinny tu siedzieć, lecz ich rodzice*. Przekonałam się później, gdy byłam kuratorem więziennym przez 5 lat, jak głęboką miała rację. Wysłuchałam też w Foyer bardzo ciekawego odczytu pani Kappenburg, która mówiła o wzorowym więzieniu w Anglii. Mówiła ona o tzw. Borsal Institutions (instytucje dla nieletnich przestępców) z których to 5 więzień przeznaczonych jest dla chłopców a jedno dla dziewcząt. To ostatnie jest w Aylesbury, Harts.

Tak się w moim życiu złożyło, że siedząc w Wilnie w więzieniu na Łukiszkach znalazłam w roku 1941 w bibliotece więziennej książkę poświęconą opisom tych instytucji penitencjarnych w Anglii.

Należąc do Międzynarodowej Federacji Kobiet z Wyższym Wykształceniem będąc w Paryżu nawiązałam kontakt z organizacją francuską. Byłam zapraszana przez p. Monod, prezeską oddziału francuskiego dyplomowanych kobiet. Z wykształcenia pani Monod była historykiem i napisała pracę *Historia miasta Lyonu*. Mąż jej, też historyk, był profesorem Sorbony. W Paryżu istniał również Amerykański Klub Kobiet z Wyższym Wykształceniem gdzie byłam na herbacie, a drugi raz na kon-

cercie. W Foyer przyjmowałyśmy kiedyś profesorów prawa. Pamiętam, że we Foyer odbył się odczyt dra Strausa o chorobach wenerycznych.

Poza takimi różnymi imprezami byłam też 5 kwietnia na wyścigach w Longchamps, gdzie na starcie było 30 koni. Ludziom, którzy przyszli na wyścigi, chodzi oczywiście tylko o to, aby grać w totalizatora. Wszyscy grają, są podnieceni, niewiasty nie patrzą na biegi tylko z trawników wyskubują mlecz na sałatę, którą Francuzi tak lubią... W kwietniu było szereg ciekawych koncertów, a więc wielki koncert religijny w Sorbonie, koncert muzyki Debussy'ego w Sorbonie. Byłam też w małym domku Balzaka, gdzie też był koncert. Gdyśmy się dowiedziały, że prof. Marian Zdziechowski z Wilna przyjechał do Paryża i ma dwa odczyty, pobiegłyśmy go wysłuchać.

Zaprzyjaźniłam się z Nostitz-Jackowskim, malarzem witrażystą z Poznania. Był to wielki, tęgi mężczyzna o łagodnym wejrzeniu i miłym obejściu. Towarzyszył mi, jak zwiedzaliśmy kościół Sacré Coeur. Byłam z nim na wystawie Nowoczesnej Sztuki Dekoracyjnej, wreszcie byliśmy w Petit Palais na wystawie pejzażu francuskiego *Od Poussina do Corotta*.

Pisałam listy do domu o swoich wyjazdach poza Paryż, o zwiedzaniu Paryża, o zabawach, życiu koleżeńskim itd. Otrzymałam list od Ojca - Przyjaciela z 30 marca 1925 r. Brzmiał on tak:

*Kochana Halu!*

*Z Twoich listów widzę, że się bardzo rozpraszasz w korzystaniu z zagranicy. Nic nie miałbym przeciwko temu (piszę podle bo ręka boli, mam znowu atak artretyczny), gdyby na to było dużo czasu, środków i zdrowia. Zastanów się zatem dobrze, co jest najważniejszym celem twego pobytu w Paryżu i tak unormuj swoje życie, aby środkami, jakie masz do dyspozycji, nie tracąc zdrowia (bo to najważniejsze), osiągnąć cel. Uważam więc że: 1) wszelkie fatalaszki, przyjemności próżne, powinny odejść na bok,*

*2) korespondencje mało płatne - niewarte są zachodu i pracy.*

*A główny cel - to nauka i poznanie kultury zachodu, ale i te dwie ostatnie rzeczy nie powinny marnować zdrowia. Jako dodatek - poznanie ludzi, którzy mogą ci być w życiu potrzebni (z p. Kleczkowskim ostrożnie - bo wyjechał z kraju z wielkimi plamami). W życiu poznanie wielu ludzi jest bardzo pożyteczne, ale to jest tylko bilet wizytowy do*



*wejścia na pewne stanowisko, utrzymanie się zaś na stanowisku - za biletem tylko - jest dyshonorem, o ile nie ma umiejętności pracy, zdolności, uczciwości. Te trzy zalety posiadasz, więc nie z każdym łachudrą warto znajomić się, a tylko z ludźmi mającymi odpowiedni walor. Rozważ to wszystko i sprawdź, czy tak robisz jak trzeba (czas i zdrowie mając na uwadze). Nie napisałaś mi, czego tam uczą i co ci z nauk się podoba, oraz jaki cel masz wytknięty w dalszym życiu - to mnie najwięcej obchodzi. U nas stara bieda i coraz to nowa przybywa. O drobiazgach ci nie piszę - na pewno Mama szczegółowe listy pisze. W Warszawie widziałem Jadzię Sawicką z ładną Jadziunią<sup>23</sup>. Kaj zawzięcie uczy się na fortepianie, Stach zawzięcie się uczy - co będzie z maturą jeszcze nie wiadomo. Marychna 14-go żeni się. Wanda mówi, że ona też chce w tym dniu, mówi, że ona nie gorsza. Ściskam cię serdecznie. Tata. Panią Wandzię serdecznie pozdrawiam.*

Tak pisał kochany Ojciec, który z moich listów wywnioskował, że prowadzę zbyt „bujny” tryb życia i miał rację. W ambasadzie przekonałam się, że na to, aby pracować w dyplomacji, trzeba przede wszystkim mieć pieniądze i przynajmniej 7-pałkową koronę w herbie. Chłapowski podobno rujnował swój majątek na posadzie ambasadora. Losy moje potoczyły się inaczej i nigdy nie żałowałam, że zostałam adwokatem.

Pisałam artykuły do „Słowa” i „Bluszczu”. Tytuły były następujące: *Francja w walce z alkoholizmem* („Bluszc”), *Czytelnia dla dzieci w Paryżu* („Bluszc”); *Polska emigracja robotnicza we Francji* („Bluszc”); *Sprawozdanie z koncertu Rychterówny* („Bluszc”); *Wystawa Międzynarodowa Sztuki Dekoracyjnej* („Bluszc”); *Po procesie Umińskiej* („Bluszc”); *Wystawa Sztuki Dekoracyjnej* („Słowo”); *Z życia akademickiego w Paryżu* („Słowo”); *Foyer International des Etudiantes* („Wiadomości Akademickie”).

Oczywiście honoraria, jakie za to otrzymałam, były bardzo małe i rodzice przysyłali mi od czasu do czasu pieniądze. Ale bywało krucho i wtedy filiżanka bulionu z bułką zastępowała obiad. Urządziliśmy się z Wandą bardzo tanio, bo w Foyer za pokój z pierwszym śniadaniem płaciłyśmy 300 franków, co na nasze pieniądze wynosiło 60 złotych od osoby. A mieliśmy tam nawet opiekę lekarską, no i zniżki lub nawet darmowe bilety na różne imprezy kulturalne. Ale chciało się poznać życie Paryża. Byłam zaproszona przez pana Kowerskiego, Protopowi-

cza i innych krajanów z Wilna do słynnego kabaretu „Olimpii”. Ale poziom artystyczny ani kulturalny nie tylko nie zafrapował nas, ale ja osobiście miałam uczucie wstrętu do wyuzdania tych kobiet, które narzucały się mężczyznom. Moich towarzyszy broniła moja obecność.

„Półksiężyc i Gwiazda” to był znak domu publicznego „House of all nations” na rue Chabanais 6. Podobno była to instytucja najbardziej elegancka i ekskluzywna. Pewnego dnia, gdy mieszkałam jeszcze w „Grand Hotel de l’Europe”, Bodzio Krzyżanowski powiedział mi, że pojedzie zwiedzać ten dom. Wówczas poprosiłam, aby mnie zabrał ze sobą. Zgodził się. Umówiliśmy się, że przedstawimy się jako małżeństwo dziennikarzy i wykupimy bilety wstępu a pojedziemy wcześniej, aby być tam, gdy nie będzie jeszcze lub będzie mało klientów. Oczywiście nic o tym nie mówiłam p. Hance Kotowskiej, mojej współtowarzysce pokoju, bo byłaby oburzona i o określonej godzinie wymknęłam się z pokoju w hotelu, gdzie w portierni czekał na mnie pan Krzyżanowski. Jechaliśmy w milczeniu taksówką, jakoś przejęci i zawstydzeni, ale nie mówiliśmy kierowcy adresu Chabenais 6, ale żeby dowiózł nas do Giełdy, skąd było już tylko „dwa kroki”.

Wysoka kilkupiętrowa kamienica. Zadzwoniliśmy do drzwi wejściowych. Otworzono nam. Podeszła do nas nobliwa, elegancka, ciemno ubrana dama zapytując, jakie są nasze życzenia. Powiedzieliśmy, że jesteśmy dziennikarzami, obcokrajowcami i chcielibyśmy zwiedzić ten dom. „Dama” proponowała nam różne rozrywki, twierdząc, że często przyjeżdżają małżeństwa które „bawią się” oddzielnie. Myśmy pięknie jej podziękowali i zapłaciliśmy pewną sumę jako wstęp do zwiedzania. Wprowadzono nas do dużego salonu, gdzie przy ścianach były wyściełane kanapki, na których siedziały kobiety w balowych sukniach. Były one różnej narodowości i koloru skóry. A więc blondynki, brunetki, Europejki, Mulatki, Japonki, Hinduski, Murzynki. Nie wszystkie były młode, niektóre były w wieku średnim. Siedziały milcząc. Jedne poprawiały sobie włosy, inne coś koło ubrania. Było ich 30-40 osób. Ja miałam ochotę porozmawiać z którąś, bo interesowało mnie to odkąd tu „pracują”, co ich skłoniło do obrania tej profesji, czy mają rodziny, skąd się wzięły w Paryżu. Ale „dama” powiedziała, że jest to tylko wtedy możliwe, gdy najpierw kupię tam butelkę szampana za 100 franków. Była to duża suma (normalna cena w sklepie była najwyżej 18 fran-

ków), musiałam więc zrezygnować moich socjo- i psychologicznych ambicji. Natomiast „dama” zaczęła nas oprowadzać po piętrach tego domu. Dyskrecja była zapewniona, więc nikogo z klientów nie można było zobaczyć. Telefon zapowiadał, że ktoś będzie szedł na któreś tam piętro. Służba pilnowała. Ale zauważyłam przez moment, że szła po schodach naga kobieta w czarnych długich pończochach. To było jakieś niedopatrzenie. Ta *patronne* zaprowadziła nas do pokoi sypialnych. Było w nich moc luster, boazerii w różnych kolorach, złociń, oświetlenie przyćmione lub też bardzo jasne. W łazience zobaczyłam wannę w kształcie łabędzia. Zapytałam damę o to, gdzie jest kran do wody. Na to ona: *to jest wanna do kąpania się w szampanie*. Zaprowadziła nas do ostatniego pokoju. Ściany były z cegły jak w jakiejś wieży, po środku był słup, na którym wisiały różne narzędzia do bicia, jak w wieży tortur. *On se fouette* powiedziała. *To dla sadystów*. Wprowadziła nas do pokoju Edwarda VII. Okazało się, że gościem tego domu był król angielski. Dla niego też przygotowano różne urządzenia, a fotel wyglądał jak fotel ginekologiczny. Po zwiedzeniu i pożegnaniu się z *patronne* wyszliśmy innymi drzwiami niż wejście, przechodząc przez sztucznie urządzoną pieczarę ze stalaktykami i stałgmitami, idąc drewnianym wąskim mostkiem z poręczami brzoźowymi, o metr od ziemi, aż znaleźliśmy się na ulicy.

Gdy z perspektywy ponad 50 lat oceniam mój pobyt w Paryżu, to przyznaję, że do wykonywania mego zawodu adwokackiego nie specjalnie przydały mi się wykłady w l'École des Sciences Politiques, jak również pisanie rekwizycji w Ambasadzie. Ale pobyt w tym mieście rozmiłował mnie w sztuce, malarstwie, rzeźbie, architekturze, wszystkim, co cieszy oko i bez czego świat byłby szary, nudny, zmateralizowany. Może wtedy właśnie, właśnie wtedy narodziły się moje ciągoty do zbierania pięknych przedmiotów. Wszystkie pieniądze, jakie zarabiałam, wydawałam na kupno rzeczy dostępnych dla mnie, ale pięknych i trwało to przez cały czas mej pracy. Lubiłam wpatrywać się w desenie wschodnich dywanów ręcznie robionych, kupowałam starą meissenowską porcelanę, drobiazgi, sztychy, obrazy. Nie dążyłam do tego, aby mieć własną willę, nie miałam przed wojną samochodu, ale gdy zobaczyłam u antykwariusza coś, co mnie zafrapowało, starałam się to mieć.

Oczywiście dalekie to było od bogatych kolekcji ludzi zamożnych, ale na miarę moich sił i możliwości finansowych stworzyłam sobie w Wilnie 7-pokojowe mieszkanie, gdzie przyjemnie mi było przebywać. I gdy byłam znowu w Paryżu w 1963 roku, czy jak jeździłam do Londynu w 1963 roku, a potem w roku 1968, zawsze ciągnęły mnie muzea i antykwiariaty.

➤ Tak więc może czas spędzony w Paryżu za czasów młodości nie był stracony.



## Rozdział VI

### „ZMORA”

Tak od początku mego małżeństwa nazywał się mój mąż. Skąd ta ponura nazwa dla człowieka pogodnego, dobrego, delikatnego, dobrze wychowanego? Nie było w nim nic groźnego. Był wysoki (192 cm wzrostu), silny, ciemny blondyn, miał falujące włosy, czego zazdrościłam mu będąc zmuszona zawsze chodzić do fryzjera na „wiekuiłą” ondulację. Oczy miał szaro-niebieskie, twarz pociągłą, nos orli z garbkiem. Tak jak był potężny - tak był łagodny i opanowany. Nigdy się nie unosił, miał uśmiech dla każdego, kto mu wyświadczył jakąś przysługę, czy był to ordynans czy gosposia. Zwracał wielką uwagę na zachowanie się ludzi, a gdy gestykułowałam w rozmowie, łapał mnie za rękę, uważając że jest to skandaliczne zachowanie się.

W czasach narzeczeństwa, które trwały 3 lata, nazywałam go w liściach „Maciupęńkim”, a dopiero potem „Zmorą”. Wkrótce przyjęło się to powszechnie. Jak powstała ta nazwa? Będąc w Paryżu w ciągu roku akademickiego od września 1924 do czerwca 1925 i uczęszczając do Szkoły Nauk Politycznych, po otrzymaniu dyplomu magistra na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie - miałam tam wielu kolegów ze szkoły, jak również znajome studentki, które mieszkaly we „Foyer International des Etudiants”. Oczywiście poza nauką i zwiedzaniem Paryża kontaktowałyśmy się z kolegami, którzy od czasu do czasu spędzali z nami wieczory w salonie Foyer, lub też włączyliśmy się razem po różnych kawiarniach. Pamiętam „Rotondę” na Montparnasje, gdzie malarze wystawiali swoje prace,

gdzie można było potańczyć i zobaczyć świat artystyczny Paryża, lub rosyjską restaurację „Zołotoj Pietuszok”, gdzie jedzenie było zbliżone do polskiego (kasza gryczana, zrazy, bliny itp.). Czasem szliśmy do drugiej, też rosyjskiej restauracji „K-Nam” w Quartier Latin, gdzie było przyćmione światło i też można było potańczyć. Mój narzeczony pracował wówczas w attachacie ambasady polskiej w Moskwie. Dzieliły nas więc tysiące kilometrów, a tęsknota była wielka. Dlatego też podczas największego gwaru i wesołości, tańców i swawoli - siadywałam przy stoliku smętna, zamyślona, zgaszona. Koledzy to widzieli, starali się mnie rozweselić i pomstowali na tę „zmoreę” - co siedzi w Moskwie i jest przyczyną mego smutku. I tak powstało to przezwisko, które właściwie nie pasowało do sylwetki i charakteru mego narzeczonego, ale otoczenie uważało, że jest oryginalne. Dużo później, bo już wtedy, gdy po 10 latach małżeństwa mieliśmy synka - siostrzeniec męża Konrad Malewski napisał wiersz pod tytułem Zmora:

*„Zmora” -  
słowo, które z wieczora  
szeptane bladymi usty  
niani,  
mrozi krzyk grozy  
w krtani  
dziecka, któremu myśl chora  
w snach rodzi wstręt potwora  
„Zmora”.  
Słowo, które z wieczora  
nad głową dziecka szeptane,  
sny budzi barwne  
kochane  
o tem: jak będzie cudnie,  
gdy ranna nadejdzie pora  
małe rączęta wyciągnąć  
i czekać aż przyjdzie ona  
wyśniona i wytęskniona -  
„Zmora”.*

Mąż mój był oficerem kawalerii. Rodzice jego mieszkali w majątku Raków pod Piotrkowem Trybunalskim i Józek do szkoły dojeżdżał do Piotrkowa. Oblał maturę z języka rosyjskiego, bo język ten znał tak, że gdy nie przyszedł do szkoły i pytano go dlaczego, to odpowiadał: *ja myślałem że wczoraj było światło*. Maturę zdał dopiero w Rosji, gdzie jako cudzoziemca potraktowano łagodniej. Potem przyjęty został do kawalerskiej szkoły w Elizawetgradzie i powołany był następnie do wojska rosyjskiego, gdzie służył do czasu rewolucji. Opowiadał mi, że na ogół los oficerów w czasie rewolucji był tragiczny, to jednak do Polaków odnoszono się inaczej. Włos mu nie spadł z głowy, a rady robotnicze i żołnierskie pozwoliły mu do końca być w pułku. Formował się wtedy III Korpus Polski, do którego wstąpił i pod dowództwem generała Żeligowskiego powrócił z Odessy do Polski, do Lwowa, gdzie stał 14 pułk Ułanów Jazłowieckich.

Z jego opowiadań zapamiętałam opis przechodzenia pieszo przez most kolejowy, gdy powracali do Polski; przez ten most trzeba było przeprowadzić wyścigowe konie. Most był ażurowy, przeznaczony dla ruchu kolejowego a nie dla komunikacji kołowej czy pieszej. Położono jedynie deski i po tym bardzo wąskim chodniku prowadzono folbluty, nerwowe i niespokojne, które w tej sytuacji wykazały wielką inteligencję i ostrożność. Prowadzono je gęsiego, trzymając za uzdę. Konie widziały niebezpieczeństwo postawienia nogi w dziurę, co groziłoby złamaniem kończyny, szły powoli, parszając, strzygąc uszami, stawiały nogi rozważnie na deskach i żadnemu z nich nic się nie stało złego.

Mąż mój pewien czas służył w 14 pułku ułanów we Lwowie, potem został adiutantem gen. Daniela Konarzewskiego, naszego sąsiada. Majątek generała - Punżanki oddalony był o 5 kilometrów od Balinpoła. Punżanki położone były bardzo pięknie: duży murowany dom stał na wzgórzu. Za domem było jezioro otoczone wzgórzami, na których generał zasadził 5.000 drzew owocowych - antonówek. Oczywiście generał rzadko przyjeżdżał do swego majątku, piastował bowiem rozmaite wysokie stanowiska w wojsku. Był też przez pewien czas ministrem spraw wojskowych. Byłam kiedyś na obiedzie u generałostwa w Pałacu Mostowskich, w którym mieszkali państwo Konarzewscy. Pamiętam, że wówczas najmłodsza latorośl tego domu, 6-letni Grześ wlaź pod stół i zaczął gryźć nogi paniom. Generał go stamtąd wyciągnął i wziął

na ręce, a Grześ walił ojca pięściami po łysinie i wołał: puść mnie, bo ci nawymyślałam na „a”, na „d” i na „zło”. Jako beniaminek - synalek był dość rozpuszczony.

Kiedyś generał przyjechał do Balinpoła, majątku moich rodziców, razem ze swoim adiutantem por. Józefem Sztukowskim. Był on spowinowacony z generałem, bo rodzony brat generała był żonaty z siostrą „Zmory” Janką Sztukowską. Czy wtedy już wywarł on na mnie wrażenie? Chyba nie! Był interesujący w rozmowie, a w mundurze prezentował się bardzo dobrze. Na mnie specjalnej uwagi nie zwracał.

Drugim adiutantem generała był por. Kazimierz Rudzki, którego namówiłam, aby studiował prawo i był ze mną na jednym roku. Został on z kolei moim „adiutantem”. Na balach publicznych prowadził tańce, tańczył dużo i świetnie, a potem stawiał się na każde zawołanie, do każdej zabawy, czy figli. Był z niego świetny kompan i to on właśnie przyprowadził do mnie swego kolegę z wojska - porucznika Sztukowskiego.

Ta wizyta okazała się decydująca. Przystojny oficer bardzo mnie zaintrygował swoim sposobem bycia, tematem rozmów. Był człowiekiem, który sam nauczył się wielu rzeczy. Opowiadali mi jego koledzy, że gdy podczas wojny szwadron lokował się we wsi, wszyscy łazili po chałupach, aby kupić jaja czy kury i pożywić się, to Józek siadał w rowie, wyjmował z kabury gramatykę angielską i studiował ją. Był czytany, miał wszechstronne zainteresowania, zdolności literackie, łatwość wypisywania się, rymowania, znał języki obce. Gdy w kilka lat po ślubie byliśmy na południu Francji na urlopie koło Toulonu, a w towarzystwie naszym znalazła się skora do spacerów starsza pani Francuzka i w rozmowie z nią brakowało mi jakiegoś słowa - te słowa zawsze mi podrzucał „Zmora”. A sam mówił po francusku nieśmiało i wstydził się ewentualnych błędów.

Po pierwszej wizycie u mnie z Kazikiem Rudzkim, nazajutrz posłaniec przyniósł kosz chryzantem z biletem wizytowym na którym było napisane:

*Przerwanej pieśni echa milkną w dali  
złoty meteor gdzieś zastygł w niebycie,  
okna zamknięte na balowej sali*



*...a może czyjeś szarpnęło się życie...*

Mimo kwiatów i wierszyka był wobec mnie oficjalny, chłodny, co zaczęło mnie niepokoić i ja zaczęłam się o niego „starać”. Normalne role odwróciły się. Ofiarowałam mu za te kwiaty - czekoladki. W rozmowie dowiedziałam się, że potrzebuje, aby mu uszyto kołnierzyki białe pod kołnierz wojskowego frencza. Uszyłam mu i osobiście zawiozłam, tam gdzie mieszkał, do willi, w której znajdowały się biura wojskowe gen. Konarzewskiego - pod Górą Zamkową (willa Rennenkampfa).

Odwiedzał mnie zwykle z Kazikiem, który prawdopodobnie widział co się dzieje, był obżałowany i smutny. A Józek pisywał wiersze i przysyłał mi lub wręczał osobiście.

*Życie mi złotych nie snuło miraży  
młodzieńczej złudy wiosna mi nie splotła,  
księżyc nie srebrzył w snach barwnych witraży  
bajka mi tęczą skroni nie oplotta.  
Byłem jak barka rzucona na morze  
wśród wód nieznanych bez granic i końca,  
północne czasem spotykałem zorze  
lub ogniem krwawym gorejące słońce.  
Walczyłem długo, mężnie bez wytchnienia  
szedłem jak kaptan, to znów jak bluźnierca  
igraszką byłem losu przeznaczenia  
lecz nigdy farsą kobiecego serca.*

Wiersze jego cechował smutek. Gdy nie było jeszcze mowy o naszym małżeństwie pisał:

*Ja szczęścia nie dam ci dziewczyno  
Twój ból, cierpienie pragnę mieć.  
Twe łzy - miłości mej daniną,  
Mój uścisk - to pajęczka sieć.  
Przez walki znojne i okrutne  
Przejdiesz wśród życia krwawych pól*

*Ja patrząc w Twoje oczy smutne  
Twój będę błogosławił ból.*

Ale pewien moment, gdy serce mocno mu zabiło, zapamiętał dobrze. Było to na wyścigach konnych, na Pośpieszce w Wilnie. Przyjechałam wówczas z bratem, brekiem zaprzężonym w dwa rosłe, śliczne kasztany z wyskubanymi ogonami i wystrzyżonymi grzywami. Nazywały się „Wróbel” i „Wielbłąd”. Na przednim siedzeniu siedziałam z bratem, który powoził, a z tyłu siedział żołnierz. Zajechaliśmy z fasonem pod trybuny. Byłam wtedy studentką. Zobaczyłam go z daleka, był w towarzystwie wojskowych. Przyszedł tylko przywitać się i odszedł. Potem dużo później powiedział mi, że mu się wtedy bardzo, ale to bardzo podobałam. A ja przez cały czas wyścigów szukałam oczami jego sylwetki wśród tłumu... Bardzo mnie intrygował - swoją powściągliwością i ukrywaniem swych uczuć.

Odwiedzał mnie często. Nie mówił nigdy komplementów, raczej ironicznie mnie krytykował, że moje „biodra rozwinęły się kosztem głowy”, lub, że mam „figurę miotły”, bo byłam szeroka w biodrach, a miałam małą głowę.

Gdyśmy sobie wyznali wzajemną miłość napisał: dnia 23 maja 1922 roku.

*Są chwile święte szczerego wyznania  
jasne jak błękit porannej godziny  
bajka się cicho wznosi na wyżyny  
duszy samotnej, spragnionej kochania.  
Lecz są też chwile, gdy duch pożądania  
wstrząśnie jak listkiem wysmukłej osiny  
szkarłat krwi w żyłach i ogniem lawiny  
spopieli długie godziny rozstania.*

Zwierzył mi się później, że jego chłód wypływał z opanowania. Nie przypuszczał, że zechcę być jego żoną. Doszliśmy do porozumienia, że musimy się pobrać, jesteśmy zakochani. Trzymaliśmy to w tajemnicy, ale rodzina orientowała się w moich uczuciach i widziałam, że niechętnie widzi skromnego porucznika jako kandydata do ręki jedynaczki

córki. Bracia obaj wypowiadali się ostro, że stanie się to „po ich trupach”.

Jakiś nieznamy, sztywny porucznik, niezabiegający o to aby sobie ich zjednać! Potem nastąpiła wymiana listów między moim ojcem a moim narzeczonym, bo ojciec zdawał sobie sprawę, że ja jeszcze nie zarabiam, a uposażenie porucznika jest niewysokie. Mój narzeczony zaczął odpowiedź bardzo uprzejmie: *Wielce Szanowny Panie Marszałku!* (Ojciec był wicemarszałkiem Sejmu Wileńskiego, który zdecydował o inkorporacji Wileńszczyzny do Polski) - ale treść listu była mniej więcej taka: *ja żyję, Hala żyje, będziemy żyć razem...*

Potem, gdy już byliśmy małżeństwem, stosunek mych rodziców do mego męża był bardzo serdeczny, dogadzano mu, gdy przyjeżdżał na wieś do Balinpoła, a Matka moja niejednokrotnie mówiła, że Józek jest dla niej serdeczniejszy niż własni synowie.

Po uzyskaniu dyplomu na Wydziale Prawa i Nauk Społecznych, postanowiłam kształcić się dalej. Marzeniem moim był Paryż, gdzie w Szkole Nauk Politycznych studiowała moja wielka przyjaciółka Wanda Bałtutis. Znałam język, chciałam pracować w MSZ lub na placówkach zagranicznych. Wydawało mi się, że jeżeli pani Kollataj może być ambasadorem sowieckim, to ja może będę mogła być urzędnikiem ambasadry polskiej.

„Maciuperki” wyszedł z wojska i pracował u szwagra, który miał fabrykę włókienniczą w Łodzi - Jana Malewskiego. Trwało to jednak krótko, bo praca mu nie odpowiadała i powrócił do wojska tracąc w ten sposób swoje „starszeństwo” i potem, gdy jego rówieśnicy byli pułkownikami, on został porucznikiem. Po powrocie do wojska wyjechał po pewnym czasie jako pracownik Ambasady Polskiej do Moskwy, gdzie pełnił funkcję referenta prasowego. Przesłał mi stamtąd wiersz:

*Chciałbym dziś w oczy patrzeć Twoje*

*Pogodne w smutnym zamysleniu.*

*Swą głowę złóż na mym ramieniu*

*Czujesz jak bije serce moje?*

*Duch mój się błąkał wśród nicości*

*Na wynędzniałej życia glebie.*

*Nic nie kochałem oprócz Ciebie*

*Pragnąłem tylko Twojej miłości...*

Ten spokojny opanowany człowiek był romantykiem, miał dobre pióro, czego dowodem były jego późniejsze artykuły prasowe i dowcipne szopki okolicznościowe - adwokackie i sądowe. Kiedyś siedzieliśmy w cukierni Sztralla w Wilnie i Józek wyczytał, iż loteria państwowa ogłasza konkurs na hasło tzw. „Milionówki”. Sięgnął wtedy po serwetkę bibułkową ze stolika i napisał na niej:

*Milion - gwiazdy na niebie,  
Milion - złoty w potrzebie,  
Milion - dziewczyna kochana,  
Milion - to główna wygrana.*

Wsadził wierszyk do koperty i wysłał na konkurs do Warszawy. Po pewnym czasie przyszedł przekaz na 100 złotych. To była spora suma (20 dolarów), co było dla niego wielką przyjemnością i zaraz poszedł do największego i znanego składu aptecznego p. Pruzana, gdzie lubił wydawać pieniądze na różne pachnidła, wody, mydła, i kupił mi nese-ser ze świńskiej skóry z pokrowcem i monogramem (z koroną szlachecką). We wrześniu rozjechaliśmy się: ja udałam się do Paryża na dalsze studia, a mój narzeczony jakiś czas był w Warszawie, a potem wysłano go do Moskwy.

W Paryżu powstała - jak wspominałam - nazwa „Zmora”. Byliśmy od siebie oddaleni, zakochani i smutni. Przesłał mi nowy wiersz:

*Gdybyś wiedziała, jak me serce broczy,  
Tłucze się w piersi tęsknotą daremną,  
By w Twoje jeszcze choć raz spojrzeć oczy -  
Byłabyś ze mną.*  
*Byłabyś ze mną, podeszłabyś cicho,  
Promieniując miłością tajemną  
I kładąc dłoń na me serce biedne -  
Została ze mną.*  
*Gdybyś wiedziała, że myśl ma strudzona  
Błąka się widmem, jak upiór w noc ciemną  
By cię w spragnione pochwycić ramiona -*



*Byłabyś ze mną.*

*Byłabyś ze mną i na czoło moje*

*Spalone bólem i biedą codzienną*

*Odżywcze usta położyła swoje.*

*Czemus nie ze mną?*

On był w Moskwie, ja w Paryżu. W czerwcu wróciłam. Wreszcie dnia 12 sierpnia 1925 roku przyjechał i on. Pojechałam spotkać go na dworzec w Wilnie i zaraz potem poszliśmy do kościoła św. Anny, gdzie ks. prof. Świrski, późniejszy biskup łomżyński, dał nam ślub. Jako świadkowie zjawili się Kazik Rudzki i dyrektor Władysław Milkiewicz. Rodziny nie było. Nie chciałam robić jej przykrości i postawić przed faktem dokonanym. Ojciec mój tegoż dnia jechał ze mną na dworzec. Ja spotykałam narzeczonego a ojciec, który był wielkim społecznikiem, wyjeżdżał, aby otwierać pod Wilnem jakąś wystawę rolniczą, mówił, że może nie pojedzie, że zostanie, ale ja namawiałam go bardzo, aby jechał. Miał wracać tego samego dnia - bezpośrednio do Balinpoła.

Ślub był niecodzienny, bo kościół był od frontu zamknięty, żeby nie było gapiów, weszliśmy przez zakrystię. Ja miałam paryską białą sukienkę z ręcznie wymalowanym szlakiem na dole, czarną narzutkę i mały kapelusz. Po ślubie poszliśmy wszyscy na piechotę do klubu Szlacheckiego, mieszczącego się w drewnianej willi pod Górą Zamkową i tam zjedliśmy ze świadkami obiad, po którym spakowawszy manatki pojechaliśmy pociągiem do rodziców.

Na dworcu w Santoce oczekiwał nas powóz. Uprząż koni ustrojona była różami, a Stasiek Szujski na koźle miał uroczystą minę. To zrobiło na nas bardzo miłe wrażenie. Jechaliśmy cztery kilometry przez las i już byliśmy spokojni: w domu nie będzie naburmuszonych twarzy. I rzeczywiście!!! Na ganku leżały wszystkie futra, jakie były w Balinpołu, tworząc miękkie kobierzec-chodnik na stopniach i na podłodze ganku. Taki jest bowiem przesąd na Kresach, że trzeba miętko wymościć drogę młodożeńcom, aby im w życiu również było miętko. (Futra wtedy jeszcze były, bo dopiero dużo później, podczas wojny, przyszła partyzantka sowiecka i futra zabrała).

Ojciec i matka spotkali nas na ganku z chlebem, solą i uściskami. I potem już nigdy w naszym wspólnym życiu nie okazali zięciowi nie-

chęci. Przeciwnie, dogadzali mu i częstowali tym co lubił. Zamieszkaliśmy w Wilnie, ale po krótkim czasie Zmora musiał wracać do Moskwy, urlop mu się skończył. Pojechalśmy oboje.

Po powrocie z Moskwy przyjechalśmy do Wilna. Ja rozpoczęłam aplikaturę sądową (trwającą przez 2 lata), a potem aplikaturę adwokacką u adw. Walentego Parczewskiego, a Zmora początkowo był w oddziale II, ale praca ta mu nie odpowiadała i wrócił do linii, do 23 pułku ułanów, który stacjonował w Białym Dworze koło Podbrodzia i wtedy mieszkaliśmy oddzielnie dojeżdżając jedynie do siebie.

Biały Dwór położony był o 7 kilometrów od stacji kolejowej Podbrodzie, około 60 kilometrów od Wilna. Gdy przyjeżdżałam do męża z Podbrodzia do Białego Dworu, nie było innej lokomocji jak tylko konno. Więc nieraz deszcz padał ze śniegiem, pogoda fatalna, mokre siodło, mokre kolana, jechało się przez las do siedziby 1. szwadronu, którym dowodził Zmora - awansowany na rotmistrza. Biały Dwór był majątkiem pozostawionym przez Rosjanina i zajęło go wojsko. Było to bardzo blisko granicy litewskiej, majątek otoczony był lasami, było to dobre miejsce do polowań, jazdy na nartach za koniem. Poligon Pohulanka, gdzie odbywały się ćwiczenia czy manewry, znajdował się o 20 km.

Zmora miał w Białym Dworze niskiego czarno-białego cocker-spaniela, który odznaczał się wielką inteligencją. Gdy kiedyś Zmora był podczas ćwiczeń na Pohulance i mieszkał w namiocie, czy też drewnianych budach, które tam były zbudowane i użytkowane tylko podczas ćwiczeń, przyszedłszy do swego legowiska znalazł na polowym łóżku „Doda”. Okazało się, że pies stwierdziwszy, że jego pan jest nieobecny, wiedziony jakimś instynktem, znalazł go o 20 km od domu. Był zmęczony, więc się wyspał, potem poszedł do kuchni polowej, usiadł, czekając na posiłek. Po wizycie pokręcił się między namiotami i wrócił 20 km do domu.

W Białym Dworze był też drugi pies, którego Zmora chciał obłaskawić, gdyż poprzedni jego właściciel, adwokat Romankiewicz<sup>24</sup>, gdy pies mu oberwał rękaw od smokingu - chętnie go Zmorze podarował. Ale i w szwadronie były z nim kłopoty. Gdy raz rzucił się na żołnierza, obalając go na ziemię i przy każdym jego ruchu, gdy ten ostatni usiłował wstać - rzucił mu się do gardła, to ordynans siadał na konia i pędził do

Podbrodzia, gdzie Zmora był w dowództwie pułku, aby rotmistrz wracał i oswobodził żołnierza. Ten wielki płowy bokser zginął tragicznie, bo gdy w Podbrodziu rzucił się na porucznika Konopkę, ten wyciągnął rewolwer i zastrzelił go. Mimo kuli, która tkwiła w głowie psa, dowlókił się do Białego Dworu i tam dopiero życie zakończył.

Sensacją okolicy był prawdziwy wilk oswojony od szczeniaka. Wilk ten wyrósł na olbrzymie zwierzę i pozostawał w bardzo dobrej komitywie z „Dodem”. Wilk czasem chciał się bawić z pieskiem, zaczepiał go, podskakiwał do niego, ale gdy „Dodo” nie życzył sobie zabawy i warczał na wilka - natychmiast odchodził od niego. A przecież bez porównania był większy, silniejszy. To była prawdziwa przyjaźń! Gdyśmy jeździli konno po ścieżkach i leśnych drogach, za nami biegły „Dodo” i wilk. Ciekawe było zachowanie się wilka, gdy z przeciwka jechał jakiś wehikuł, wóz czy sanie, wilk nie chciał spotkania z nieznanymi, wchodził w las, krzewy, aby go spotkany człowiek nie widział i zaraz po wyminięciu go zjawiał się znowu na drodze, razem z nami. Na poczcie panienki były przerażone, gdy wilk wspinał się do okienka, łapy opierając tam, gdzie one urzędowały.

Kiedyś, gdy przyjechałam do Białego Dworu, powiedziano mi, że wilk uciekł. Postanowiliśmy pójść wieczorem szukać go w lesie. Zmora zwykle przywoływał go gwizdem. Więc udaliśmy się w czeluście leśne, gdzie było bardzo ciemno. Mieliśmy tylko latarkę elektryczną. Zmora gwizdał i gwizdał, mnie się ta ekspedycja wydawała beznadziejna, ale po pewnym czasie z gęstwiny leśnej wyskoczył wilk rzucając się na szyję Zmorze i liżąc go po twarzy. Cóż się potem z nim stało? Zmora poleciał awionetką, zaproszony na Łotwę i Estonię. Wilk został w Białym Dworze pod opieką ordynansa i gosposi, która obsługiwała 3 oficerów, tam zamieszkałych. Widocznie chcieli się pozbyć kłopotu karmienia wilka i wypuścili go. Nie było komu „przygwizdać” go do domu i wilk przepadł.

Zmora kochał wszystkie zwierzęta i był uczulony na ich cierpienia, lub na okrutny stosunek człowieka do zwierząt. Opowiadano w rodzinie jego, że jak był młodym chłopcem, to uprawiał następujący proceder. Szedł na wieś i spuszczał z łańcuchów wszystkie psy. Były przecież między nimi bardzo złe, jednak nigdy żaden go nie pogryzł.

Pamiętam inny wypadek, u nas w domu w Wilnie. Nasza gosposia -

Karolina zauważyła, że w kuchni są myszy. Postanowiła zastawić na nie pułapkę w postaci wiadra z wodą, do którego myszy miały wpadać spacerując po jakimś patyku. Nie pamiętam dobrze tej skomplikowanej konstrukcji. Kiedyś rano Karolina weszła do jadalni z rozradowaną miną mówiąc, że jej się tak dobrze udało „połów” i prosiła żebyśmy zobaczyli ile myszy złowiła. Gdy Zmora zobaczył w wiadrze kilka myszy pływających na powierzchni wody, zakasał natychmiast rękaw frena, swoją wielką dłonią chwycił te jeszcze żywe myszy, wyskoczył z kuchni na dwór i myszy wypuścił.

Chciałabym jeszcze dodać opis zabawnego zdarzenia, które miało miejsce pierwszego dnia po wprowadzeniu się 1. Szwadronu do Białego Dworu. Jeszcze nic nie było urządzone, żołnierze rozlokowali się na parterze a Zmorze rozstawiono łóżko polowe na I piętrze w zupełnie pustym pokoju. Całe zresztą piętro nie było zamieszkałe. Gdy Zmora ułożył się do snu, poczuł, że coś po nim spaceruje. Był bardzo zmęczony przeprowadzką, więc nie zwracał na to większej uwagi. Ale to coś lazło do jego twarzy i układało się na szyi. Machnął więc ręką i to coś spadło na podłogę. Po pewnym czasie poczuł, że pod prześcieradłem między niezupełnie zsuniętymi dwiema częściami materaca, coś się rusza. Tego już było za dużo! Wstał, wsunął rękę między materace i poczuł coś miękkiego, ciepłego, co znalazło się w jego dłoni. Zaspany, po ciemku to coś, co trzymał w ręku, wyniósł do sąsiedniego pokoju, wrócił do łóżka i zasnął. Rano wstając przypomniał sobie o niepokoju, jaki miał w nocy, więc otworzył drzwi sąsiedniego pokoju i zobaczył w kącie skulonego białego szczura. Skąd się wziął szczur w ogóle i do tego szczur, który się garnie do człowieka i nie boi się go?

Okazało się, że jeden z podoficerów miał oswojonego białego szczura, który podczas przeprowadzki zgubił swego pana, sypiał bowiem zawsze na szyi u swego opiekuna i przyjaciela, więc gdy się znalazł przypadkowo w pustym nieopalonym pokoju, szukał ciepła i wpakował się do polowego łóżka Zmory. Łaził po nim chcąc koniecznie dostać się do szyi, położyć się cichutko, grać człowieka i samemu wygodnie się usadowić.

Byłam wielbicielką zwierząt i zawsze byłam otoczona sforą psów. W czasie mego dzieciństwa a potem zawsze też miałam psy, czasami były trzy dorosłe cokery i 6 małych szczeniaków razem 9 sztuk! W dzieciń-



stwie miałam oswojoną wiewiórkę, były sarenki w ogrodzie itd. A więc łączyło nas ze Zmorą też i to, że oboje kochaliśmy zwierzęta.

Podczas naszej kilkuletniej rozłąki ze Zmorą, gdy ja mieszkałam i pracowałam w Wilnie a on był w Białym Dworze, dojeżdżaliśmy do siebie i chwila ta była przez nas oboje bardzo wyczekiwana. Gdy składaliśmy wizyty rodzinom wojskowym czy cywilnym znajomym, a nie zastawialiśmy ich w domu, Zmora zostawiał mój bilet wizytowy z dopiskiem „z mężem”. Wizyty kolegów adwokatów, rewizytowałam sama będąc zdania, że to są moi znajomi, a ja jako nowoczesna kobieta, walcząca o równouprawnienie, musiałam i na tym odcinku wykazać swoje poglądy. Oficerowie, koledzy Zmory, zapytywali go czasami, jak on może być z żoną, która jest adwokatem: *Przecież ona zawsze zechce postawić na swoim. Ty w domu na pewno nic nie masz do gadania, ona cię zawsze przegada* itp. A gdy Zmora im odpowiadał *głęboko się mylicie, jest zupełnie inaczej. Moja żona tak się nagada w sądzie, tyle tam wyładuje swojej energii, że gdy wraca do domu jest taaaka maleńka* i wskazywał ręką na pół metra od podłogi. *Ona się wtedy na wszystko zgadza, nie dyskutuje, i nie ma mowy o jakiegokolwiek różnicy zdań.*

Wykorzystując jego zdolności rymotwórcze prosiłam go zawsze o pisanie szopek adwokackich, które odbywały się najpierw w restauracji „Zacisze” u słynnego pana Macieja, a potem we własnym domu Rady Adwokackiej, gdzie urządzano różne imprezy, a przede wszystkim wspólną kolację wigilijną. Ja wówczas przebierałam się za św. Mikołaja, wkładałam togę, biret i maskę z brodą, a w koszyku miałam złośliwe symboliczne prezenty. Czytano te wierszyki, uczestnicy kolacji się śmiali, a ja rozdawałam te prezenty. Oczywiście Zmora nie znał wszystkich moich kolegów z adwokatury, więc ja krótko charakteryzowałam poszczególne sylwetki kolegów a on zamykał to w czterowierszu. Oto parę takich fraszek:

*Maleńki domek przy zaułku Bluma  
możnym i silnym ogłasza vendettę,  
z pospólstwem jednak się nie kuma,  
„La Passionaria” dba o etykietę.*

Chodziło o moją przyjaciółkę adwokat Halinę Sukiennicką. Mieszka-

ła na zaułku, który nazywał się „portowy” i wykazywała wyraźne sympatie socjalistyczne. W tym czasie premierem socjalistycznym we Francji był Leon Blum. Halina, gdy już miała piękną willę i samochód stała się „mniej lewicowa” niż w czasie studiów na USB czy potem broniąc w procesach lewicy komunistycznej w Wilnie.

O adwokacie Gorzuchowskim, który znany był z tego, że nosił się dość niechlujnie:

*Każdy mężczyzna  
by wyglądać godnie  
Musi choć raz w roku  
odprasować spodnie.*

O adwokacie Łuczywku, który mieszkał w Domu Rady Adwokackiej nad restauracją:

*Jeśli zechcesz sobie tanio  
pouwodzić jakąś panią  
Zjeść kielbasę, zapić piwkiem:  
Idź do knajpy „Pod Łuczywkiem”.*

O adwokacie Andrejewie, który był wspaniałym mówcą, obrońcą w procesach karnych:

*Mowa Twoja płynna jak Gangesu wody  
Z ust Twoich się sączą miodopłynne ody  
I choć klientem jest opryszek chwacki  
Tyś złotousty... język adwokacki.*

O adwokacie Rodziewiczzu, znanym cywiliście, który lubił zaglądać do kieliszka:

*Wódki już nie pije,  
obchodzi się smakiem.  
Dba już o swe zdrowie,  
leczy się - koniakiem.*

W drugiej szopce o Halinie Sukiennickiej:

*Poznałaś rozkosz pracy -  
siłę słów oręża.  
Poznasz siłę kobiety  
gdy raz zdradzisz męża...*

Tych czterowerszy powstało bardzo dużo, bo co roku wigilie adwokackie były wspólnie urządzane i za każdym razem Zmora zatrudniony był jako fraszkopisarz.

Zmora był człowiekiem dbającym o swoje zdrowie. Jako oficer kawalerii miał częstą okazję do picia trunków, ale nikt nie był w stanie zmusić go do wypicia choćby kieliszka, gdy nie miał ochoty. Koledzy prowokowali go nieraz, wznosząc różne toasty na świętach pułkowych czy przy innych okazjach, a więc *zdrowie Marszałka* - a Zmora się nie rusza, *zdrowie Prezydenta* - Zmora siedzi i kieliszka nie rusza...

Mnie też nie pozwalał pić twierdząc, że każdy kieliszek przechodzi przez nerki i pozostawia tam ślad. Ale były rzadkie wypadki, gdy Zmora pił, i co gorsza - sam. Robił to idąc na bal. Chodził prawie zawsze po cywilnemu. Ubierał się we frak i przed wyjściem na bal wypijał na czczo szklaneczkę od piwa pełną koniaku. Dlaczego na czczo - pytałam? *Bo gdybym jeszcze coś zjadł, to musiałbym wypić trzy szklaneczki, aby poczuć choć trochę działania alkoholu, a na to „szkoda mu było nerek”*. Twierdził, że gdy wypije, to orkiestra wydaje się lepsza i panie piękniejsze i podłoga bardzo śliska i rozmowa lepiej się toczy...

Mając bardzo niskie tętno, bo 40 na min. (jak długodystansowiec Nurmi), potrafił biegać 2 kilometry i dopiero wtedy osiągał tętno normalne, takie jak inni ludzie.

Grał w tenisa, pływał, polował - a w latach 1936-1937 zajmował się bardzo lotnictwem sportowym, był czynny w Aeroklubie Wileńskim, tak że wybrano go prezesem. Skończył kurs pilotażu, został „wylaszowany” i wtedy największą jego pasją stało się latanie na awionetkach sportowych RWD-8 i RWD-13. Ja zaraziłam się od niego tą pasją.

Zmora był skromnym oficerem kawalerii, uważał jednak, że broń, w której służył, powinna iść do lamusa czy też do muzeum i że w przyszłej wojnie decydującą rolę odegra lotnictwo. Zaczął pisać na ten te-

mat szereg artykułów. W moim archiwum zachowały się tylko dwa: z 23 marca 1936 r. i z 28 maja 1936 r. Postaram się przedstawić we fragmentach, gdyż drukowane w „Słowie” artykuły są długie, na trzy szpalty. Oto artykuł z marca 1936 r.:

### **Rola Lotnictwa w Przyszłej Wojnie**

*Wielka wojna nie stworzyła doktryny lotniczej. Światowa zawierucha zastała lotnictwo w powijakach, lecz mimo to, już od pierwszych dni wojny, rola tej nowej broni nabiera szczególnej wagi. Zadania stawiane lotnictwu są coraz to inne. Możliwości zarówno strategiczne jak i taktyczne są ogromne. Wszystko zależy od warunków technicznych sprzętu. Wysitek i pomysłowość ludzka, dopingowana nastrojami wojennymi, zasilana nieograniczonymi środkami daje potężny zastrzyk dopiero co powołanemu do życia lotnictwu. Przeżywa ono okres przedwczesnej dojrzałości. Zarówno psychika pilota, jak i własności sprzętu nie mogą sprostać coraz to nowym wymaganiom. Załamuje się człowiek, załamuje się maszyna. Samolot nie daje gwarancji bezpieczeństwa lotu. Pamiętne są wszystkim odziedziczone po wojnie „latające trumny” i piloci, którzy dla dodania sobie kurażu narkotyzowali się w ten, lub inny sposób.*

*To wszystko należy już do przeszłości. Obecny sprzęt lotniczy przechodząc przez szereg skomplikowanych badań gwarantuje pod każdym względem bezpieczeństwo lotu, wysokie zaś wymagania stawiane pilotom stworzą z nich silną i zdrową kadrę lotniczą. Jeżeli chodzi o charakterystykę i własności obecnych samolotów, to w każdym kierunku osiągnęliśmy w stosunku do norm wojennych wielokrotnie zwiększone możliwości. Szybkość samolotów bombardujących dochodząca do 400 km na godzinę, już w samym momencie wypowiedzenia wojny jest groźną przestrogą, że ich wielotysięczny tonaż grozi zniszczenia w każdej chwili zawisnąć może nad stolicami państw wojujących. Lotnictwo liniowe z niebosiężnych pułapów ostrym okiem obiektywów, będzie wyrywać tajemnicę naszych planów strategicznych i przegrupowań. Samoloty towarzyszące, przystosowane do lądowania na każdym przygotowanym terenie, staną się idealnym i nieodzownym środkiem łączności i osobistej styczności dowódców. Groza napadu szturmowego lotnictwa, chronionego odpowiednim pancierzem od pocisków karabino-*



wych, stanie się koszmarem dla większych zgrupowań wojskowych, zwłaszcza dla kawalerii, gdzie napad lotniczy, pomimo nawet minimalnych strat materialnych, wprowadzi zamęt w wykonaniu jej zadania. Zdajemy sobie sprawę, że lotnictwo stało się nierozzerwalnym czynnikiem walki i każdy dowódca bez różnicy, czy będzie on rozumował wyższymi kategoriami operacyjnymi, czy też będzie działał na szczeblu najniższej jednostki taktycznej, musi swe decyzje łączyć zawsze z działalnością lotnictwa w czasie wojny, czy to we współdziałaniu, czy też w obronie przed nim. Do tych przypuszczeń i rozumowań dochodzimy studiując działania lotnictwa w czasie wojny oraz wykorzystując lata doświadczeń powojennych. (...)

Czy rozumiemy prawidłowo? Jeden z generałów wielkiej wojny dopiętnie zauważył, że my się zawsze przygotowujemy do wojny, która była. Czy więc lotnictwo zajmie takie miejsce w przyszłej wojnie, jakie mu dzisiaj ofiarujemy? Co do tej roli zaczynają już świtać różne poglądy, powstają rozmaite alarmy świadczące o przewrocie pojęć i o zawałaniu się w gruzy niektórych odwiecznych praw i wierzeń.

A więc Anglia, której „splendid isolation” zagwarantowane było dotychczas potężną flotą, pewnego poranka stwierdza, że nie jest już wyspą. Podnosi więc alarm i gwałtownie zaczyna rozbudowywać flotę powietrzną. Hegemonia morska w zatargu z Włochami boi się wystawiać na próbę swój dotychczasowy prestige i nie decyduje się na niebywały jeszcze w dziejach pojedynkę z flotą powietrzną, którą Włosi w przewidywaniu wojny abisyńskiej niepomierne rozbudowali. Silne lotnictwo zresztą jest dewizą zbrojeń włoskich. Włoska doktryna lotnicza twierdzi, że żadne państwo nie może wygrać wojny, o ile nie uzyska przedtem przewagi w powietrzu. (...)

Silna rozbudowa we wszystkich państwach lotnictwa bombardującego daje przypuszczać w jakim kierunku ustala się doktryna lotnicza.

A więc nie tylko we współdziałaniu na polu walki, nie tylko w rozgromieniu sił żywych i niszczeniu obiektów strategicznych będzie punkt ciężkości przyszłej wojny. Akcja lotnicza polegać będzie przede wszystkim na paraliżowaniu państwowych centrów nerwowych, niszczeniu ośrodków przemysłu, wprowadzeniu chaosu w miarowy rytm pracy, w organizowaniu rezerw, które stanowią właściwą siłę w wojnie społecznej. Wszak wiemy dokładnie, że wszystkie państwa nie są w stanie

przygotować tych zapasów, które będą potrzebne dla prowadzenia wojny. (...) Lotnictwo więc będzie miało za zadanie już w samym momencie wypowiedzenia wojny nie pozwolić wrogiemu państwu na przeorganizowanie życia pokojowego na potrzeby wojenne. (...) Lotnictwo w przyszłej wojnie stanie się przede wszystkim bronią par excellence wypadową. (...) Lotnictwo musi być zaopatrzone zawsze w najnowszy sprzęt i zmobilizowanie lotnictwa powinno być kwestią minut. Tak robią nasi sąsiedzi (...). Zaniepokojeni przeto patrzymy na samolot o 450-konnym silniku, który z wielkim rykiem rozwija szybkość mniejszą od nowoczesnej awionetki o sile 130-koni (...).

Wraz z osiągnięciem coraz to nowych możliwości nowoczesnego sprzętu lotniczego zmieniają się możliwości użycia lotnictwa (...). O ile dawniej mgła czy niski pułap chmur gwarantowały beczynność lotnictwa nieprzyjacielskiego, o tyle teraz przy zastosowaniu lotów ślepych tj. przy pomocy przyrządów radiogoniometrycznych samoloty mogą zjawiać się niespodziewanie nad większymi miastami ciskając z zachmurzonego nieba tysiące piorunów (...). Biorąc to wszystko pod uwagę nabieramy coraz to jaśniejszego poglądu o doktrynie lotniczej jutra (...). Jest to broń o charakterze zaczepnym, gdzie atak zawsze będzie górował nad obroną (...). Doświadczenie nam mówi, że celność artylerii przeciwlotniczej w miarę uzyskiwania przez samoloty wyższego pułapu maleje znacznie szybciej niż celność samolotów (...). Lotnictwo w przyszłej wojnie wystąpi przede wszystkim jako broń samodzielna, której przewaga jeżeli nie zadecyduje, to w każdym razie zaważy na losach wojny. Występując zaś jako broń pomocnicza staje się integralną częścią każdej akcji decydując w dużym stopniu o jej powodzeniu.

Obecna sytuacja polityczna była jakby ostrzegawczym dzwonkiem, że wojna zawsze jest możliwa. Rozpoczęcie wojny bez silnego lotnictwa jest równoznaczne klęsce (...). Znalezienie środków dla podniesienia lotnictwa do poziomu nowoczesnych gwarancji niepodległości państwa, powinno być najwięcej palącą sprawą naszej państwowości.

Józef Sztukowski

Następny artykuł nosił tytuł:

### **Miejmy odwagę**

Tak pisał mój mąż w maju 1936 r.:

Wielkie wojny stwarzają doktryny, na których zaprawiają się przyszłe pokolenia - by pod kierownictwem doświadczonych wodzów, przyswajać sobie sztukę zwyciężania. Doktryny te muszą być giętkie, ciągle aktualne, oparte zarówno na doświadczeniach, jak i na przewidywaniach, ściśle związane z rozwojem techniki współczesnej, postępy której stale wprowadzają rewolucyjny zamęt w najbardziej nawet ustabilizowane pojęcie walki. A jednak ludzie (...) nabywszy w trudach i poświęceniu doświadczenia wojenne, uważają się za kapłanów wiedzy tajemnej, która im została objawiona w obliczu życia i śmierci i za wszelką cenę starają się doświadczenia ostatniej wojny w stanie bezzmienionym zaszczyć następnym pokoleniom. Ci ludzie przygotowują się do wojen, które były, a które przez analogię znalazły swój tragizm w historii, czy to w porażkach marszałków pruskich i austriackich w kampanii napoleońskiej, czy moskiewskich - w wojnie rosyjsko-japońskiej. Ludzie ci nie zdają sobie sprawy, że szczytnym interesom obrony Państwa przeciwstawiają masowe interesy poszczególnych broni (...).

Pouczający przykład zrozumienia współczesnych wymagań wojennych dostarczają nam Włochy, które będąc oddalone o 4000 km od swej bazy zaopatrzenia, w niezwykle trudnych warunkach terenowych i klimatycznych, przy wrogim pomruku najpotężniejszej floty świata i przy zastosowaniu sankcji gospodarczych przez około 40 blisko narodów, dzięki szeroko zastosowanej motoryzacji, a zwłaszcza lotnictwu, które zdobywa palmę pierwszeństwa wśród broni głównych, kończą zwycięsko kampanię abisyńską.

Nie wdając się w ocenę moralną prowadzonej wojny, należałoby z tej kampanii wyciągnąć daleko idące wnioski, zwłaszcza dotyczące rewelacyjnych działań lotnictwa (...). Mussolini był pilotem, jego dwaj synowie i zięć walczyli w szeregach eskadry „La disperata” w charakterze oficerów liniowych ukształtowani i wychowani na teorii gen. Douhet'a, która głosi, że żadne państwo nie może wygrać wojny, o ile przedtem nie uzyska przewagi w powietrzu (...). Lotnictwo wygrywa wojnę...

U nas lotnictwo musi dopiero wywalczyć sobie prawo. Z jednej strony musi propagować masę, z drugiej strony - zwalczać jakiś dziwny opór. O ile społeczeństwo jest bardzo czułe i łatwo odzywa się na każdy apel lotnictwa, o tyle organa kierownicze są dziwnie wstrzemięźliwe i



niezdecydowaną.

Prowadzona ostatnio propaganda lotnicza rozwibrowała społeczeństwo, którego zgodny ton coraz potężniej domaga się kardynalnych posunięć w dziedzinie lotnictwa (...). Te wielkie tradycje, które wskrzесиły naszą armię, które nam dały zwycięstwo i wskrzесиły niepodległość, kryją w sobie bolesną lukę. Miejmy odwagę się przyznać. Nie mamy legionowej tradycji lotniczej. W dniu 6 sierpnia 1914 roku żaden samolot polski nie przekroczył historycznej granicy i nie stworzył dla polskich skrzydeł legendy Dębów i Beliny, które natchnęły zwycięską siłą polski bagniet i szablę. Te tradycje musimy wywalczyć sami. Lotnictwo czeka swego Mesjasza, który by rozwiązał rwące się skrzydła do lotu. Niech przykład Włochów będzie dla nas nauką, że kastowość broni jest zgubna, postęp wysuwa lotnictwo na czołowe miejsce. Dajmy mu przejście.

Nie wychowujmy naszego lotnictwa w atmosferze taktyki obronnej. Pamiętajmy, że obrona lotnicza rozstrzyga się atakiem. Nie czekajmy, aż nieprzyjacielskie samoloty grozą zniszczenia zawisną nad naszymi miastami, a niszcmy je we własnych bazach przed ich odlotem. Zrozumiejmy nowoczesną doktrynę lotniczą, domagajmy się jednolitego kierownictwa, wierzącego w wielkie posłannictwo potęgi lotniczej naszego kraju.

Józef Sztukowski

Skromny oficer niskiego stopnia, kawalerzysta, pisał to, co się jakże boleśnie po 3 latach sprawdziło. Ale ani gen. Rayski, ani gen. Zając, którzy stali na czele naszego lotnictwa, nie zrobili wszystkiego, co powinni dla rozbudowy tej broni i gdy w roku 1939 napadając na Polskę Niemcy mieli 7000 samolotów, my mieliśmy ich zaledwie 700.

Poza artykułami o charakterze politycznym dotyczącymi lotnictwa, czy reportażami Zmora odpowiadał kiedyś wierszem na zagadkę umieszczoną w „Wiadomościach Literackich” pod tytułem *Podróż Pana Grypsa naokoło świata*, w której trzeba było odgadnąć (na podstawie fragmentu architektonicznego) z obrazków, gdzie Pan Gryps przebywał. A oto introdukcja do tej odpowiedzi:

*Czy jesteś w Palu, Ozonie czy Ipsie,  
czy chleb zdobywasz głową czy na opak,  
posłuchaj mojej piosenki o Grypsie,*



był to na ogół dość pechowy chłopak.  
Ojciec na wojnie nie służył w Legionach,  
matka przetrwała jakoś bez rozwodu,  
w tumanach kurzu na lśniących oponach  
we własnej chwale nie szukał zawodu.  
Po prostu nie mógł pochwalić się ciotką  
(jest to przestępstwo wśród krewnych kochanych),  
którzy choć zacni, jeśli wierzyć plotkom,  
nie mieli zasług uprzywilejowanych.  
Nie mogąc przeto marzyć o karierze,  
w ciągłej obawie przed widmem głodowym,  
Pan Gryps ucieszył się zupełnie szczerze,  
gdy znalazł miejsce w urzędzie pocztowym.  
Stemplował znaczki z uczuciem godności,  
miewał w pogardzie faktury fabryczne,  
natomiast dziwną otaczał tkliwością  
pisma, gazety, listy zagraniczne.  
Cały świat zwiedzał od końca do końca,  
rytm życia biorąc z drobnych emblematów,  
śnił o krainie wschodzącego słońca  
i wchłaniał zapach egzotycznych kwiatów.  
Kochał nad życie swoją bajkę złotą  
i marzył próżno przez szereg miesięcy,  
i gdy krzyż garbił nad swą żmudną pracą,  
na jego „ćwiartkę” padło sto tysięcy.  
Pan Gryps jak ekspres był szybki w namyśle  
i nie odkładał decyzji na lata,  
wziął urlop, mapę przestudiował ściśle  
i ruszył w podróż naokoło świata.

Po tym wstępie, Zmora na podstawie przedstawionych w czasopiśmie obrazków opisywał wierszem podróż Pana Grypsa:

A więc przez naród, co z nami jest w unii,  
która nam daje pokoju gwarancję,  
przez żyzne łany pobliskiej Rumunii  
Pan Gryps podążył prosto na Konstancję.  
Konstantynopol dawne dzieje uskrzesza,

gdzie z Lechistanu czekano na posły.  
Pan Gryps nie widział słupów Herkulesa,  
poznał natomiast dardanejskie osły.  
W myśl tej zasady, że „cudze chwalicie...”  
zwiedzał w Atenach starożytne szczątki,  
wreszcie zajechał do Jerozolimy,  
skąd wszystkim ciotkom miał przywieźć pamiątki.  
Pan Gryps w Egipcie przeżył ciężkie chwile,  
gdy się oddalił nieco od osiedla,  
omal nie zginął w paszczy krokodyla,  
lecz się wykupił cukierkami „Wedla”.  
Dalej przez pola pustynne Sudanu,  
podróżnika naszego wiodła karawana  
i z piaszczystego wierzchołka kurhanu,  
ożywczo błysnęła raz - fata morgana.  
A teraz patrzcie - jak z zaborczą swadą  
„Duce” odbiera konno defiladę,  
tysiące czołgów w szyku drogą jadą  
na gwałt, niewolę, podbój i zagładę.  
W Indiach fakirzy czynią różne cuda,  
można ich widzieć codziennie bez liku,  
Pan Gryps się dziwi, dlaczego ich Budda,  
za nos się daje wodzić przez Anglików.  
Pan Gryps się zdziwił na Madagaskarze,  
gdy w krajoznawczym ptawił się zapale,  
ujrzał z Nalewek dobrze znane twarze  
w małych kramikach, wśród stosów perkali.  
Wreszcie w krainie ognistego żaru,  
błądząc wśród chińskich rozpalonych murów,  
Pan Gryps zatęsknił do polskiego baru,  
gdy mu podano potrawkę ze szczurów.  
Na szlaku jego leży kraj potężny,  
silniejszy duchem nad ludy innymi  
czemu zawdzięcza, że jest taki mężny:  
ryż, harakiri, czy trzęsienie ziemi?  
Pochodząc z kraju rocznic i obchodów,

gdy się zatrzymał jeden dzień w Australii  
Pan Gryps nie sprawił rodakom zawodu,  
Kościuszkę uczcił on wieńcem z azalii.  
Śladem Sowietów ustala szlak nowy,  
do południowej dążąc Ameryki,  
wprost-cross przecina biegun południowy  
i bije rekord lotów do Arktyki.  
W dzikim Meksyku zamieszkał dyktator  
władzy, którego dawno przyszła „kryszka”,  
Pan Gryps opowie jak krwawy salwator,  
ze lwa srogiego zamienił się w myszkę.  
Teraz dyskrecja! Po podróży trudzie,  
Pan Gryps się znalazł w buduarze gwiazdy,  
nie wiem, co robił w boskim Hollywoodzie,  
mam wszak nadzieję, że nie liczył gwiazdy.  
Pan Gryps w Detroit zwiedzał różne dziwy,  
uwagę wyniósł jak dla nas dość mroczną,  
produkcja Forda pokrywa się z naszą...  
z tym zastrzeżeniem, że dzienna - jest roczną.  
Pan Gryps zwiedzając New Yorku ulice,  
wpadł nagle w nastrój niezwykle ponury,  
gdy bowiem trafił do chińskiej dzielnicy,  
szanghajskie mu się przypomniały szczury.  
Anglia jest krajem sztywnej etykiety,  
wielkiej tradycji - jak każdy z nas sądzi,  
Pan Gryps był jednak skłonny do ankiety:  
czemu w koloniach bez ceremonii rządzi?  
Stojąc przed świątyną Giocondy karnacją  
Pan Gryps się cicho zamyślił i dumął:  
wszystko to pójdzie wnet na licytację,  
gdyż pustki w kasie zostawił rząd Bluma.  
Już Berlin, powrót, w mgle horyzont tonie,  
dzisiaj znów Niemcy dochodzą do głosu,  
po co się wznoszą te tysiące dłoni?  
do powitania - czy zadania ciosu?  
Do „Wiadomości Literackich” zmierza,

*jak tylko przybył Pan Gryps do Warszawy,  
swe pamiętniki wydać on zamierza,  
jako krok pierwszy literackiej chwały.*

Wiersz ten podałam w całości, sądzę bowiem, że jest w nim trochę poglądów i poczucia humoru charakteryzujących sylwetkę Zmory.

Przed swym wyjazdem do Moskwy w 1924 r. wiedząc o tym, że nasza rozłąka będzie długa i że zobaczymy się dopiero na jesieni - pisał. Warszawa, dnia 3 czerwca 1924 r.:

*Wyjeżdżam dzisiaj - i myślę o Tobie  
jak gdybym miłość swą pochował w grobie,  
że piękne kwiaty, w które sny swe stroję  
życie w cmentarne zamieni powoje.  
Wszak długo jeszcze przejdą dni samotne,  
jesień osrebrzy pajęczyną pola,  
w błękicie ptaki zakwilą przelotne  
i złotym deszczem zaszumią topole.  
Słowik ucichnie i zamilkną łąki,  
na których tęczą barwią się motyle,  
spóźnionej róży chłód podetnie pąki,  
z kwiatów umarłe zostaną badyle.  
I tak mi smutno, że w me młode lata,  
które na schyłku zajaśniały zorzą,  
ból i cierpienie ostre ciernie wplotą  
i ściska serce kolczastą obrozą.  
I gdy świat się cały obudzi z niewoli,  
i kwiatem płoną szmaragdowe morza,  
ja zwiędłych liści szukam na topoli...*

Mieliśmy się spotkać na jesieni, ale przyjechał z Moskwy 12 sierpnia 1924 r. i tegoż dnia odbył się nasz ślub.

Wiersze Zmory zawsze cechuje smutek, chociaż nie był ponurakiem. Był pogodny, choć trochę dziwak. Pamiętam, gdy raz przyszli goście, Zmora był w swoim pokoju. Przyszłam mu powiedzieć, kto przyszedł, na to Zmora powiada: *ja nie wyjdę*. Ale gdy po pewnym czasie posłyszał naszą rozmowę o wschodnich dywanach, których był wielbicielem, zjawił się, bo ten temat rozmowy lubił i znał się na tej dziedzinie wschodniej sztuki. Znał nazwy różnych dywanów, technikę



ich wykonania i tu mieli sobie zawsze dużo do powiedzenia z pułkownikiem Kędziorem, późniejszym obserwatorem wojny domowej w Hiszpanii. Czerwony kolor na dywanie zaraz próbował poślinioną chusteczką do nosa, aby się przekonać, czy to farba roślinna czy też anilina. Uznawał oczywiście tylko ręczne dywany, a nie maszynowe.

Jeżdżąc do Warszawy zaglądał zawsze do antykwariatów na ulicy Chmielnej, czy do Gutmajera na ulicy Wierzbowej i jeśli zobaczył coś ciekawego, to wydał ostatni grosz, ale musiał kupić, a jeżeli miał za mało pieniędzy, to kazał wysyłać za zaliczeniem do Wilna. Nasze całe 7-pokojowe mieszkanie na ul. Mickiewicza w Wilnie udekorowane mieliśmy szalami tureckimi i wschodnimi dywanami. W niedzielę Zmora jeszcze w piżamie chodził po mieszkaniu, przewieszał sztychy i obrazy, zmieniał dywany, prznosił je, układał i to stanowiło jego ulubione zajęcie. Mówił, że patrząc na wschodni dywan odnajduje w nim coraz to inne wzory, kolory, a wszystko jest takie harmonijne, eleganckie, piękne. Zakupy te zaczął w Moskwie, tam miał szefa - też zbieracza, obaj chodzili po rynkach, antykwariatach i gdy przyjechałam do Moskwy, to już nasz cały pokój tonął w wschodnich dywanach i szalach. Ta pasja Zmory trwała aż do wybuchu wojny w 1939 roku. Wileński antykwariusz - Bołtupski zjawiał się często z wiadomością, że posiada ładny wschodni dywan. Oczywiście Zmora tego samego dnia był u niego i prawie zawsze kupował. Wybór nie był duży, więc każda okazyja była nęcąca. Co innego w Warszawie, tam w antykwariacie leżały sterty dywanów i od samego oglądania mogło się zakręcić w głowie. Były to oczywiście rzeczy drogie...

3 maja 1926 roku, a więc na kilka dni przed zamachem majowym Piłsudskiego, Zmora napisał wiersz pod tytułem *Legenda zmartwychwstaje stara*.

*Gdy świat otacza senna mara  
I cichnie dzienny ruch,  
Legenda zmartwychwstaje stara  
i budzi się Król-Duch.  
Ze snu się budzi wiekowego,  
Oburącz chwyta miecz,  
Na czele hufca bojowego  
Chce wrogów pognać precz.*

*Lecz ciszy nocnej nie przerywa  
Zaciężnej broni szczęk.  
Nie do bojowej używa sławy  
Legendy starej jęk.  
To jęk sumienia praw narodu,  
Praojców groźny zew,  
To skarga bólu i zawodu,  
To woła polska krew.  
Woła o prawa dla swej woli,  
O silny polski ster,  
By łódź co płynie do niewoli  
Wydobyć z mętnych sfer.  
Woła o spokój dla swej pracy,  
By polskiej ziemi szmat  
Stał się bez waśni i pajaców  
Legendą z dawnych lat.  
I w serce wpływa nowa wiara  
Gdy zabrzmi dzienny ruch.  
...Legenda zmartwychwstanie stara  
I zbudzi się Król-Duch.*

Po wyjeździe Zmory 28 sierpnia 1939 roku na zgrupowanie mobilizacyjne, znalazłam jego stary portfel, w którego wnętrzu znajdowały się listy pisane przeze mnie, gdy przebywał w Warszawie, a ja w Wilnie. Listy te były bardzo zniszczone, przedarte na zgięciach, żółkłe. Są one najlepszym dowodem, jak bardzo byłam uczuciowo zaangażowana w stosunku do niego, jak bardzo go kochałam.

Listy przytaczam w całości:

*Złotko moje najmilsze, dziubeczku mój najdroższy. Siedzę w domu sama i myśleć mogę tylko o Tobie - książki nie biorę do ręki, do niczego nie mam ochoty, tylko jestem strasznie rzewna dla Ciebie. Błąkam się po mieszkaniu, zaglądam w twarz Twojej fotografii, w każdym zakątku mieszkania znajduję Ciebie, kładę się na kanapie, zamykam oczy... widzę Ciebie, myślę o Twej pieśczoćce... Przyjechałeś do mnie stęsknionej i biednej i znowu Cię nie ma, a mnie się zdaje, że w ogóle nie wracałeś jeszcze i że Cię tak dawno nie ma.*

*Uczuвам jakby fizyczny ból-tesknotę do Ciebie, jesteś mi potrzebny nie tylko do wielkiego szczęścia, ale jesteś mi potrzebny uprost do życia. Ja obecnie nie mogę sobie wyobrazić, jak to być mogło, że nie wiedząc jeszcze o Tobie, chodziłam po świecie i było mi dobrze.*

*Ty mnie Dziubeczku, urobites, Tyś mnie pierwszy zainteresował i poruszał ze mną tematy, które ja, kojarząc z Twoją osobą zaczęłam przeżywać. Tyś poruszył we mnie uszpioną zmysłowość, Tyś mi pokazał, co to pocałunek, pieśczota, Tyś mnie nauczył kochać. Tyś ze mnie zrobił kobietę, jeżeli teraz taką jestem. Całą sferę uczuciowo-zmysłową Tyś ukształtował, właściwie ujawniała się ona patrząc na Ciebie, podchwytываłam Twe myśli i słowa, odnajdywałam tę wspólność zrozumienia. Dostyc, że teraz jestem tylko Twoja, mój kochany, wyłączna i lękliwa, aby tego co obecnie posiadam, nie stracić.*

*W życiu codziennym czuję Ciebie, jak coś strasznie miłego i bliskiego, ale jednocześnie nieraz przez myśl mi przelatuje, że ja Cię więcej kocham niż Ty mnie, a po Twym powrocie z Warszawy, gdy tylko Cię zobaczyłam, gdyśmy poszli do mego pokoju, gdy całowałam te moje drogie łzy i mokre oczy - poczułam błogość, że jednak jestem dla Ciebie czymś bardzo bliskim, że mnie kochasz, że życie moje dla Ciebie jest może tak drogie, jak Twoje dla Mnie. Gdy mi powiedziales, co czujesz, byłam strasznie szczęśliwa, że jestem Ci potrzebna, że kochana i że jednak myśli moje poprzednie straszliwie były płonne, a spowodowane bojaźliwą mą miłością.*

H.

List drugi. Wilno, dnia 11 stycznia 1929 r.

Kochany Zmoreczku!

*Ogromnie się ucieszyłam wczoraj z otrzymanego listu a potem z telefonu, od razu inny humor we mnie wstąpił i poszłam na bal, na którym świetnie się bawiłam aż do 6 1/2 rano. Potem się przespałam do 2 po południu i teraz wstałam. Na balu obracałam się ciągle wśród oficerów 4 pułku ułanów, przy zakąskach (bo kolacji właściwie nie było) siedziałam ze Świerczyńską, Obiedzińską i panami Świerczyńskim<sup>25</sup>, Obiedzińskim, Rozwadowskim, Antonem itd. Tańczyłam z Przewłockim<sup>26</sup>, który mnie porwał Budzyńskiemu podczas kotyliona i był dla mnie strasznie rzewny, powiedział, że na mnie czekał, że chce ze mną*

tańczyć na balu wojewódzkim itd. bardzo był miły i wesoty. Byłam w swej nieśmiertelnej sukni i wyobraż sobie znowu wielka furora. Tyle komplementów się nasłuchiłam! Nawet Marychna Smolska i Ożyński powiedzieli, że powinnam tej sukni nie zdejmować, że w żadnej innej mi tak dobrze nie będzie itd. Uczesana byłam bardzo dobrze, tak że jak wychodziłam z balu i spojrziałam w lustro - byłam sobą zachwycona! - Nie śmieję się Dziubeczku - jednym słowem zabawa była doskonała - pili panowie zdrowie samochodów itd.

Chcę pójść teraz na bal wojewódzki 1-go lutego, Dziubeczku, zrób tak, żebyś mógł przyjechać tu na 1-go. Koniecznie. Będę miała nową liliową suknię i chcę koniecznie pójść z Tobą na bal. Parczewski wyjechał do Warszawy, jutro wraca, pracy mam mało, w perspektywie tylko wielki wyjazd w Nowogródzkie w poszukiwaniu metryk po parafiach dla wielkiego procesu Parczewskiego. Chciałabym tylko, aby był mniejszy mróz, gdyż można się przeziębnić.

Zmoreczku, ciesz się na skórę wężową, ale może teraz lepiej kup dywan do jadalnego, o którym marzę, a węża jeszcze się zdąży kupić, nie ucieknie. Tylko dywan, żeby był duży, jak się krzesła odstawia od stołu, żeby nie zaczepiać o brzeg dywanu i przy rozsuwaniu stołu o jedną deskę, żeby obejmował stół wzdłuż, a jaki to ma być, to sam zbadasz w Warszawie. Posyłam Ci fotografię, tylko jedna udała się Łuczyńskiemu, przysłę Ci też drugą, którą robił Marcinowski - spotkawszy się w wołkokach na ulicy. Całuję mocno mego Dziubeczka kochanego. Na balu mówiono, że jedyną moją wadą jest to, że jestem zakochana w mężu. Opisz mi pobyt w Piotrkowie i Trzebnicy. Hala.

List trzeci. Wilno, dnia 11 lutego 1929 r. (pisany gdy Zmora chorował w Warszawie).

Zmoreczku mój kochany!

Telefon zepsuty w Warszawie, nie mogę się dodzwonić, jak Twoje zdrowie, a Ty znaku o sobie nie dajesz. Stefan też nie pisze, ani telegrafuje. Jestem strasznie niespokojna i okropnie smutna, że nie jestem z Tobą Dziubeczku. Chcę jechać do Warszawy i prawdopodobnie uczynię to w tych dniach. Może we środę wieczorem. Tak mi Ciebie żal Zmoreczku, że jesteś taki opuszczony, marzę o tym, aby pojechać do Ciebie i razem z Tobą w jednym pokoiku być 24 godziny na dobę. Czemu Ty



*mnie Dziubeczku nie dajesz znać o sobie, zadeszuj, zaraz przyjadę. Parczewski dzisiaj pojechał zwyczajnym pociągiem do Warszawy. teraz kurjerem jedzie dziekan Zawadzki, przez niego wysyłam paczkę i list. Parczewski obiecał, że Cię odwiedzi i da mi znać, czy mam przyjechać. Tak mi ciężko, jak widzę, że oni jadą do Warszawy, a ja zostaję. Świnia ten Parczewski, widzi, jak jestem tym wszystkim zdenerwowana, to mógłby mię postać do Warszawy, a to jeszcze odmawia i opowiada, że nic na pewno poważnego nie jest, a mnie tak strasznie przykro, że masz przecież żonę, która Cię tak bardzo kocha i jesteś sam. Dziubek - wezwij mnie do siebie. Jeżeli jeszcze teraz jesteś chory, to przyjadę. Ale wiesz, taki brak wiadomości może do rozpacz doprowadzić. Miałam dzisiaj jedną sprawę w Sądzie Pokoju, jutro występuję honorowo w Sądzie Okręgowym, pojutrze mam w Sądzie Okręgowym sprawę Biszewskiego, za którego dostałam już awansem 100 złotych, a potem szlus. Nie mam na widoku nic, aż do 20 lutego. 15-go miało być u mnie zebranie aplikantów, ale odwołam, bo chcę 13-go wieczorem pojechać do Ciebie. Po grypie nie można wychodzić z domu, więc będziemy siedzieli razem w Twoim pokoiku i będzie dobrze. Całuję Cię bardzo, bardzo mocno, Dziubeczku Mój Najukochańszy. Strasznie Cię Kocham i tak mi źle bez Ciebie. Twoja Hala.*

Listy te czytałam już po wyjeździe Zmory na front. Czytałam je wielokrotnie, czekając na wiadomości o nim. Potem przyszedł ostatni list męża z Kozielska. Zostawiłam go u Janka, którego tak kochał i którego już nigdy w życiu nie miał zobaczyć.

## Rozdział VII

### MOSKWA

Dnia 25 września 1925 roku pisałam do Mamy z Warszawy: *Maciupeńka moja Mamo! Dzisiaj wieczorem o godz. 12-ej wyjedziemy prawdopodobnie do Moskwy. O 2-ej mają nam dać już gotowe paszporty z wizami.*

*Wczoraj byliśmy ze Zmorą u Zwolińskich<sup>27</sup>, gdzie jest istotny babiniec, oprócz cioci i czterech córek jeszcze Janinka Puzynianka<sup>28</sup>. Byliśmy też u Bormannów, może dzisiaj zajdziemy do stryjenki Zenki. Kupiłam buty na gumowej podeszwie i chodzę sobie jak na wacie – bardzo wygodnie i cicho. (...) Niech Mama mi pisze często i szczegółowo o wszystkim, bo Choć Zmora jest maciupeńka, ale mocno markotno było z domu teraz wyjeżdżać (...).*

*Całuję mocno rączki Rodziców i Cioci<sup>29</sup>, Stacha. Ściskam. Hala.*

Drugi list był już z Moskwy. 28 września 1925: *Kochani Rodzice! Wczoraj przyjechaliśmy ze Zmorą do Moskwy. Drogę mieliśmy bardzo wygodną, sleeping od samej Warszawy. Z Warszawy wyjechaliśmy o 12-ej w nocy, na dworcu były tylko Hela Skolimowska i Zula Zwolińska z kwiatami (co mnie bardzo wzruszyło) następnego dnia o godz. 11-ej byliśmy w Stołpcach, potem przejechaliśmy granicę jeszcze w polskim pociągu, bolszewicy wskoczyli do pociągu, bardzo grzecznie wzięli paszporty, w Niogorełym rewidowali rzeczy nasze osobiste i choć wszystko przetrzasali i np. na czarny materiał jedwabny patrzyli niechętnie, jednak nic nie oclili. W Niogorełym widzieliśmy Cziczzerina, który jechał do Polski.*

Po wzięciu kąpieli w domu i po przebraniu się, zjedzeniu obiadu graliśmy na gramofonie, a wieczorem autem wszyscy pojechaliśmy na wystawę psów, a więc: Major, Zmora, por. Rawicz i ja.

Na wystawie debiutował doberman Majora „Teddi”. Daleko bardzo, w jednym z pawilonów wystawy przemysłowej w zagrodach – cudowne psy. Szczekanie straszne, hałas, że uszy bolą. Pies Majora „Teddi” na perskim dywanie leżał sobie, dostał 3 medale: 2 srebrne i jeden brązowy. Był na wystawie jeden mały szczeniak (brat „Teddie’ego”), którego matka też dostała nagrodę za szczeniaki, a ojciec był królem wystawy. Właściciel tego pieska, znajomy panów, zaproponował kupno Zmorze, no i zabraliśmy go od razu do samochodu i do domu. Jest bardzo ładny – proszę sobie wyobrazić, że urodził się bez ogona, co jest dowodem wielkiej rasy!

Dziś w nocy piszczał bardzo, więc go Zmora wziął do łóżka i wtedy był cicho. Mieszkanie jest sympatyczne, pokój mój bardzo ładnie urządzony, Zmory perskie szale wiszą na ścianach, na łóżku kapa z cieniutkiej koronki, makaty, śliczne drobiazgi itd. Ale przenosimy się niedługo do jeszcze lepszego mieszkania. W tej chwili Rawicz gra na fortepianie, Major gdzieś pojechał. Zmora czyta gazety, a ja piszę. Byliśmy dziś rano na spacerze na mieście, ruch duży, na ulicach brudno, chociaż wszędzie stoją kosze na papiery, wiszą skrzynki na okurki itd. Na ulicach duży szary tłum, źle ubrani, widziałam wojsko i GPU a wczoraj jadąc i wracając z wystawy panowie pokazywali mi wszystkie gmachy rządowe, urzędy, czerezwyczałki itd. Na nas wszyscy się oglądają, biorą nas za cudzoziemców, pewno za Amerykanów.

Proszę pisać co słycać w domu o wszystkim szczegółowo. Bardzo czekam wiadomości i myślę często o domu, jestem rzewna. Całuję bardzo mocno rączki Rodziców i Cioci, Stacha ściskam, klarnetnikowi przesyłałam ukłony. Hala.

Trzeci list nosi datę 9 października 1925 r.

Kochani Rodzice! Bardzo jestem spragniona wiadomości z Balinpoła, toteż czekam niecierpliwie niedzieli, bo może poczta dyplomatyczna coś dla mnie przywiezie. Chciałabym długiego i szczegółowego listu, takiego jak Mama pisała do Paryża, o wszystkim, o krowach, o gospodarstwie, o codziennym życiu i nowinach w rodzinie. Ja czuję się doskonale, chociaż właściwie nie mam nic do roboty, jednak cały dzień



*mam zajęty i wcale się nie nudzę. Szyję, reperuję Zmorze jego rzeczy, które tu były. Czytam gazety, bawię się z psami, które są strasznie miłe, gram na gramofonie i od czasu do czasu wyjeżdżam ze Zmorą autem na spacer. Byliśmy niedawno w Sokolnikach, bardzo mi się podobały. Złożyliśmy wizyty w poselstwie, z wielką pompą i fasonem, wszystkim dygnitarzom, rewizytowano już nas.*

*Okazało się, że żona radcy Wyszyńskiego, to jest dawna mała Zosia Wyszyńska, córka dyrektora Klemensowa, która tylko jeden raz była w Strzyżowie i wówczas na klombie przed domem walczyliśmy z nią z osami. Ale ona tego nie pamięta. W ogóle nie jest sympatyczna. Jest też w poselstwie żona jednego z urzędników, a moja dawna koleżanka z Kijowa, z domu Linde; był to taki słynny jołop w klasie. Najsympatyczniejszą osobą, z której prawdopodobnie będę miała tu pociechę, jest p. Brücknerowa, żona sekretarza Delegacji Reewakuacyjnej. Major Kobylański jest chory, wyrwano mu ząb, potem zrobił się wrzód i różne komplikacje. Leży zabandażowany, spuchnięty, ja się nim trochę opiekuję, wmuszam w niego jedzenie.*

*W przyszłym tygodniu przenosimy się na nowe mieszkanie tam będą wielkie szyki. Jest to pałacyk, „osobniak” – należący dawniej do jakiegoś bardzo bogatego jubilera, teraz odnawiają go zupełnie, robią drugą łazienkę itd. Ataszat zajmie cały parter (4 oficerów i ja) a na górze będą mieszkały różne fiske z poselstwa. Koło domu w ogródku jest nowy plac tenisowy, którego urządzenie kosztowało 800 dolarów, podobno jest lepszy od tego, który mają Anglicy tutaj. Służba będzie mieszkała w bardzo dobrych suterrenach. Stołować nas będą mieszkańcy I piętra, ale jadać mamy u siebie na dole! Dużo się teraz mówi o przenosinach, o rozlokowaniu, o meblach itd. Bardzo bym chciała, żeby się można było przenieść jak najprędzej i żeby można było się rozpakować. Zmora zajęta, ciągle czyta gazety i pisze raporty. Jest bardzo „mała” i coraz mniejsza. Dzisiaj tu pada śnieg i to już nie pierwszy raz.*

*Bolszewii wcale tu nie odczuwam, spokojnie, bezpiecznie i od pewnego czasu sprzedają tu 40% wódkę, więc pijanych mnóstwo i jak się jedzie autem wieczorem ulicami, to szofer musi lawirować między kołyszającymi się na nogach przechodniami. Co słychać w domu? Czy ciocia Nusia<sup>10</sup> wyjechała, jak zdrowie Kaja, czy Stach zapisał się na uniwersytet? Nasz „Nal” jest bardzo przyjemny, zły i choć małutki ale już*



*dużo kombinuje. Mamo kochana, niech Mama pisze często do swej córuchy, która tak rzuwnie ciągle myśli o domu i chciałaby wszystko wiedzieć. (...) Całuję rączki Taty i Mamy i Cioci, Stacha ściskam. Hala.*

A więc przeprowadziliśmy się do tego pałacyku, gdzie zajęliśmy jeden olbrzymi pokój, dawny salon z kominkiem. Była też dla nas oddzielna łazienka. Zmora oczywiście porozkładał na ziemi dywany wschodnie, które nabył w Moskwie, a na ścianach pozawieszał szale tureckie, więc było przytulnie, chociaż mebli nie było zbyt wiele. Jadalnię w hallu, przeważnie we czwórkę: Major Kobylański, kapitan Grudzień lub porucznik Rawicz, Zmora i ja. Major miał ten brzydki zwyczaj, że jeżeli ktoś przy stole chciał coś powiedzieć, to on momentalnie przerywał i mówił sam, jakby go nic nie obchodziło to, co ktoś chciał powiedzieć. Był snobem, poza tym eleganckim, wysokim mężczyzną, kawalerem. Jego siostra była żoną Michała Mościckiego, syna późniejszego Prezydenta Rzeczypospolitej, więc przewróciło mu się chyba w głowie, mając takie koligacje.

Willa była położona na Arbackim Piereułku, małej uliczce łączącej się z ulicą bardzo ruchliwą – Arbatem. Zmora ciągle pisał na maszynie, gdyż był referentem prasowym. Czytał wszystkie gazety i relacjonował w raportach to, co mogło zainteresować Sztab Generalny. Ja zwiedzałam miasto, wychodziłam samotnie i spacerowałam. Robiłam drobne zakupy. Zmora w wolnych chwilach grał w tenisa z sekretarzem ambasady japońskiej Maczidą. Ten mały człowieczek musiał bardzo wysoko podskakiwać serwując, aby ostra piłka przeszła ponad siatką. Rozmawiałam z nim często. Był miły i opowiadał mi, że ma narzeczoną. Miał jej fotografię, ale jeszcze nigdy w życiu jej nie widział. Ja byłam zdumiona i zapytałam go, jak on może się żenić z osobą, której nie zna i nie wie, czy będą sobie odpowiadali charakterami. Na to poważnie mi odpowiedział, że jego rodzice gwarantują mu, iż zrobili należyty wybór i że na pewno będzie z nią bardzo szczęśliwy. Stało się jednak inaczej, o czym dowiedziałam się znacznie później.

Drugim sekretarzem ambasady japońskiej był Imajda. Obydwa te nazwiska w brzmieniu polskim brzmiały groteskowo, bo jednym można było mówić: – „ma” – „czy da?” a o drugim „i ma” „i da”. Byliśmy kiedyś zaproszeni przez sparring-partnera Zmory na operę-balet *Korsarz*. Poprosił, abyśmy przyjechali do niego i razem pojedziemy do

Teatru Wielkiego. Zmora ubrał się w czarne ubranie, ja włożyłam czarną aksamitną suknię i pelerynkę z nurków i pojechaliśmy do Maczidy. W poselstwie japońskim zajmował on 2 pokoje. Wchodziło się do pokoju przechodniego, za którym znajdowała się jego sypialnia. W pierwszym pokoju usadowił nas przy stoliku, na którym stał gramofon. Nastawił płytę z jakąś muzyką i zaczął się nam przyglądać, że jesteśmy wystrojeni. On był ubrany codziennie. Wobec tego postanowił się przebrać. Nam służący postawił przy gramofonie 2 szklanki herbaty. Maczida poszedł do swej sypialni i zjawił się w pokoju, gdzieśmy siedzieli, bez butów, trzymając spodnie ręką z przodu, w rozchełstanej koszuli i ze zwisającymi z tyłu szelkami.

Przechodził do korytarza, aby dać lokajowi buciki do wyczyszczenia. Buciki niósł w rękę. Gdy wrócił po oddaniu butów, usadowił się na podłodze na aparacie do treningu wiosłarskiego i zaczął się gimnastykować. Myśmy pili herbatę i patrzyli na niego, jak on to robi, bo poruszał się w tył i wprzód na siedzeniu i machał rękami. Gdy lokaj przyniósł mu wyczyszczone półbuciki, siadł koło mnie i nakładał buty, poprawiał skarpetkę, a jednocześnie rozmawiał z nami. Potem poszedł do sypialni i wrócił wyelegantowany w ciemnym garniturze. Ten sposób bycia, bezceremonialny i pozbawiony wstydlivości jest podobno właściwy Japończykom.

Pojechaliśmy do opery. Wystawa wspaniała, scena kapiała złotem, stroje były bardzo bogate. Tańczyła słynna tancerka Gelcer. Myśmy siedzieli w pierwszym rzędzie tuż przed parapetem, za którym była orkiestra. Parapet z czerwonego aksamitu był wytarty i podarty. W łóżach reprezentacyjnych siedzieli dygnitarze. Dużo brodatych w czarnych rubaszkach z kołnierzykami zapinanymi z boku. Podczas antraktu publiczność posilała się na sali, wydobywając z papieru kanapki, jadła kiełbasę i robiąc szum na sali rozmawiała głośno, przekrzykiwała się ze znajomymi. Ja zrobiłam gafę, bo widząc w łoży parterowej kosookiego osobnika zapytałam Maczidę czy to też jest Japończyk. Widziałam wzburzenie u Maczida. Jak mogłam Chińczyka wziąć za Japończyka? Ale tę nieznajomość rasową wybaczył mi i nadal pozostaliśmy w zgodzie.

Jeżeli chodzi o samopoczucie w Moskwie, to było ono dobre, chociaż wiedzieliśmy, że jesteśmy bezustannie śledzeni. Naprzeciwko naszej willi po drugiej stronie „piereułka” był niski domek, gdzie za firan-

ką można było zobaczyć człowieka, który godzinami wysiadywał przy tym oknie<sup>31</sup>. Wiedzieliśmy, że to jego obowiązek. Zmora mi opowiadał, że zaraz za willą stał zawsze motocykl, który za każdym razem gdy samochód poselstwa wyjeżdżał z bramy – jechał za tym samochodem. W lecie, gdy mnie jeszcze nie było, Zmora często jeździł na basen. Były trzy rodzaje basenów: damski bez kostiumów, męski bez kostiumów i ogólny – w kostiumach. Gdy Zmora się rozbierał, to robił to samo motocyklista, gdy kończył kąpiel – tamten też się ubierał. Ale kiedyś wracając do domu Zmora obejrzał się i widzi, że motocyklisty nie ma. Wtedy poprosił szofera aby się zatrzymał, *poczekamy na motocyklistę, widocznie coś mu się popsło, a jeżeli nas nie odprowadzi będzie miał „naganiaj”*.

No i czekali, aż tamten nadjechał. Było to objawem poczucia humoru u Zmory. Inaczej reagował na inwigilację radca poselstwa – Jaksatyr. Wszędzie, gdzie chodził, czy do sklepu czy kina, szedł za nim osobnik, którego obecność tak go denerwowała, że prosił o przeniesienie go do centrali, do MSZ w Warszawie.

Nastała mroźna zima. Śniegu rzecz jasna z trotuarów nie sprzątano, chodziło się więc po udeptanym śniegu na chodnikach, gdzie były wzniesienia i doły. Ludzie przewracali się<sup>32</sup>. Mieliśmy półbuty na tzw. słoninie arabskiej, na gumie, która się nie ślizgała i ani śnieg ani ślizgawica nam nie przeszkadzały. Ale takich butów w Moskwie się nie widziało. Dlatego też tubylcy brali nas od razu za cudzoziemców i dorożkarz na przykład podjeżdżał do nas wykrzykując *Inostraniec pojedziem* lub chłopak sprzedający gazety – *Inostraniec kupi gazetę*.

Przeżyłam kiedyś bardzo przykrą przygodę w Moskwie. Była to psia przygoda. Major Kobylański miał psa „Teddi” – o którym już pisałam. Dumny był z niego, bo pies otrzymywał medale na wystawach. Ale właściwie on tym psem mało się interesował, nie okazywał mu serca, pies nie był do niego przywiązany. Natomiast Zmora tego psa szalenie lubił i wszędzie z nim chodził na spacer. Gdy była zorganizowana parada psów przez „Związek Lubiteli dobermanów i germańskich owczarków” – Zmora paradował w pochodzie prowadząc na smyczy „Teddiego”. Należał bowiem do tego związku i był informowany telefonicznie czy też listownie że na przykład: *roditoś piat szczenkow z koich tri biez chwosta*. I właśnie jednego z tych pięciu i „biez chwosta”



kupiliśmy za 60 dolarów i nazwaliśmy go „Nalem”. Przyjechał potem z nami do Wilna.

Pewnego dnia wybrałam się do miasta zabierając „Teddiego”. Pies był tak tresowany, że chodził przy nodze bez smyczy. Byliśmy już daleko od domu, gdy Teddi zobaczył na drugiej stronie ulicy psa. Jednym susem rzucił się na jezdnię w jego kierunku. To były sekundy! Tymczasem jechał autobus, pod który wpadł Teddi. Leżał na jezdni – jeszcze żył. Podbiegłam do niego, wzięłam go na ręce, na których skonał. Co ja przeżywałam – to można sobie wyobrazić. Cudzy pies, wartościowy, którym się Major chwalił. Jak ja oczy pokażę w domu, no i Zmora. Jak ja mu zakomunikuję o śmierci Teddiego? Nie mogę się pokazać w domu. Niosłam go do dorożki i gdy przyjechałam do ataszatu na podwórzu wywołałam służącego, który zwłoki Teddiego umieścił w składziku. Nikogo w domu nie było, a ja nie miałam odwagi zostać w mieszkaniu, aby się ze Zmorą nie spotkać i poszłam na miasto. Nie przyszłam na obiad i na kolację. Wróciłam zmęczona i zdenerwowana, po długim błakaniu się po mieście, dopiero późnym wieczorem. Służący już opowiedział domownikom o tragedii. Niepokojono się o mnie. Zmora miał czerwone oczy od płaczu. Wiedział już i Major o wszystkim. Nie powiedział on nic, ale od tego momentu poczułam, iż stosunek jego do mnie uległ zmianie. Ten opanowany człowiek miał do mnie słuszny żal. Ja to przejście z Teddim przeżyłam bardzo mocno, przede wszystkim z uwagi na Zmorę, który był do psa bardzo przywiązany.

W Moskwie byłam bezrobotną żoną, więc chodziłam dużo po mieście, często bywaliśmy w Komisji Reewakuacyjnej, na czele której stał prof. Kuntze. Był też tam prof. Morelowski, z którym i z jego żoną kontaktowałam się później w Wilnie. Po wojnie został on profesorem historii sztuki na Uniwersytecie Wrocławskim. On to przywoził z Kanady arrasy wawelskie.

Po rocznym pobycie w Moskwie Zmora został odwołany do Warszawy. Wieźliśmy ze sobą „Nalę”, z którego wyjazdem było dużo koro-wodów. Trzeba było mieć pozwolenie z Ministerstwa Rolnictwa na wywiezienie rasowego psa, zaświadczenie zdrowia jego, jak również dowody szczepień. Na granicy celnicy chcieli, abym płaciła cło. Byłam oburzona i tłumaczyłam celnikowi, iż Polska powinna podziękować mi, że wiozę takiego rasowego psa, jakich u nas jest bardzo mało, że



będzie on poprawiał rasę. Ojciec „Nala” – „Alaks von Kaucenhoff” – był rzeczywiście wspaniały! Widziałam go na wystawie psów. Wykrył on 140 przestępstw. Koło niego siedział milicjant, jego opiekun i współpracownik. Jechaliśmy sleepingiem w towarzystwie greckiego dyplomaty. Prosiłam go, aby wziął psa, a ja jego teczkę czy walizeczkę i pójdziemy do pociągu. I tak zrobiliśmy. Gdy wyszłam na peron bez psa, celnik mnie zapytał co będzie z psem, gdyż jeżeli nie zapłacę cła, to go wezmą do klatki i będę musiała go w Warszawie wykupić. Odpowiedziałam, że nie mam już psa, gdyż ofiarowałam go ambasadorowi greckiemu. Przyznaję się do tego, że oszukałam celnika, posłowie czy ambasadorowie mieli bowiem „laisse-passer” na 2 strony. W wagonie poseł oddał mi psa, a ja jemu teczkę. Okazało się, że ogrzewanie w sleepingu było zepsute, a na dworze był mróz, więc marzyłabym bardzo w przedziale w nocy gdyby nie pies, który leżał mi od ściany przy plecach i ogrzewał mnie swym ciepłem.

Po powrocie do Polski zaczęłam aplikację sądową, zdałam egzamin sądowy, potem rozpoczęłam 2-letnią aplikację adwokacką. Właściwie Moskwę wspominam jako odpoczynek w czasie mego długiego i pracowitego żywota.

Chciałabym opisać jeszcze pewien szczegół z podróży mego męża, który jechał z Warszawy do Moskwy. Jechały tym samym wagonem do Moskwy żony Wiczorkiewicza i Bagińskiego<sup>33</sup>. Miały jakieś kłopoty w drodze. Mąż mój się nimi zaopiekował i potem otrzymał od władz sowieckich podziękowanie na piśmie.

Jak już pisałam, Zmora przeszedł do 23 Pułku Ułanów, obejmując dowództwo I szwadronu w Podbrodziu a potem w Białym Dworze. Byliśmy więc też 5 lat oddzieleni i tylko jeździliśmy do siebie. Wreszcie Zmora przeszedł do sztabu brygady kawalerii pod dowództwo gen. Rudolfa Dreszera i tam pracował do wybuchu wojny. Nareszcie skończyło się jeżdżenie do Białego Dworu i byliśmy razem.

Po 10 latach małżeństwa urodził się nam synek – Jan – zwany Pulusiem<sup>34</sup>. Jakże Zmora był szczęśliwy mając to dziecko! Nosił go w beczku, gdy płakało, później poświęcał mu swój wolny czas. Mały Pulus jeździł na nim konno lub siedział mu na ramionach, tarzali się obaj po dywanach, chodzili razem na spacer. Pokazywał mu statki na Wilii lub lokomotywy. Kochał to dziecko ogromnie i obcując z nim był szczęśli-

wy. Puluś na dworcu płakał, gdy go z rąk ojca ktoś zabierał. Nie było mu sądzone cieszyć się dalszym rozwojem ukochanego syna, a syn, którego pozostawił jako czteroletnie dziecko – nawet go nie może pamiętać.

Ogromna krzywda stała się temu pól sierocie, że pozbawiony został kochającego ojca. Zmora zginął tragicznie, zamordowany w Katyniu. Ostatnia wiadomość przyszła od niego z Kozielska. Wachmistrz Korbel z I szwadronu 23 Pułku Ułanów opowiadał mi, że w czasie kampanii wrześniowej spotkał się ze Zmorą w okocach Brześcia. Zmora wahał się dokąd iść. Miał jednak większe zaufanie do Rosji niż do Niemców. A tymczasem wszyscy moi kuzyni i stryjeczni bracia z niemieckich obozów jenieckich powrócili! Zmora został w lesie katyńskim na zawsze.

## **Rozdział VIII**

### **SPORT W MOIM ŻYCIU**

Mając rodziców uprawiających sport, idąc w ich ślady i ja od wczesnego dzieciństwa prowadziłam ruchliwy tryb życia, gimnastykowałam się i uprawiałam sport. Ojciec mój sam jeździł świetnie konno, znał się na koniach, lubił bardzo wyścigi, na które nas zabierał, gdy byliśmy w Warszawie. Nigdy nie grał w totalizatora, oglądał konie na paddocku, wypowiadał swe zdanie o ich budowie, możliwościach i szansach w gonitwie. Gdy byliśmy później w Wilnie, organizował wystawy końskie, sprowadzał do Związku Hodowców Koni szwedzkie konie pociągowe dla poprawienia rasy naszych koni roboczych, pisał do „Jeźdźca i Hodowcy” itd. Matka moja też będąc panną jeździła konno jeszcze na siodłach z damskim łękiem, świetnie pływała, przepływając bez trudności rzekę Bug, nad którą to rzeką położony był Strzyżów, cukrownia, której dyrektorem był mój ojciec. Właściwie tam najwięcej było sportu w czasie mego dzieciństwa. A więc przy domu był kort tenisowy i wszyscy domownicy (za wyjątkiem ojca) grali w tenisa. Były też duże możliwości uprawiania sportu konnego. My dzieci mieliśmy kuce, były też konie specjalnie przeznaczone do konnej jazdy: „Hiawata” – ze stadniny stryja gen. Wojciecha Falewicza, z Marwy pod Kownem. Druga klacz kurtyzowana, kara i piękna nazywała się „Łaska”. Do konnej jazdy była też przydatna klacz chodząca w czwórce – lejcowa, gniada, która miała jednak zerwane nogi, więc potykała się. Matka moja w rozmowach z ojcem przestrzegała, że jeżeli będę jeździć na tej lejcowej, to mogę spaść z niej przy potknięciu się na większej szybkości. Ale

ojciec, który mnie wychowywał bardzo samodzielnie i jak chłopca, odpowiedział, że – *do ziemi niedaleko*.

W Strzyżowie my dzieci miałyśmy zupełną swobodę i nieraz rodzice nie wiedzieli, co robimy i gdzie jesteśmy. Nie mając tak zwanych „gigantów” postanowiliśmy sami je skonstruować. Mieliśmy sznur, ktoś z nas wlaź na niewielkie drzewko i przywiązał sznur do jego wierzchołka. Na drugim końcu zrobiło się pętlę, w którą się wsuwało i podskakując i biegając wokół – osiągało się to, że sznur okręcał się koło drzewa a potem odkręcał się sam i następował moment, gdy się latało wysoko i znowu doprowadzało się do zakręcania wokół drzewka. Gdy właśnie byłam w najprzyjemniejszej pozycji, wysoko nad ziemią, sznur się oberwał upadłam i... pękł mi obojczyk. Nikt się tym jednak nie przejmował, nie nosiłam nawet żadnego opatrunku i nadal trwały dziecinne szaleństwa. Łaziliśmy dużo po drzewach. W ogródku za pałacem były wielkie rozłożyste kasztany. Każde z nas miało „swój” kasztan, na którym się rezydowało i miało w dziuplach swoje kryjówki. Niedaleko domu był staw, a więc zimowa ślizgawka. Były saneczki do zjeżdżania z górki.

Po Strzyżowie nastąpiła przerwa w beztróskim życiu. Wyjechaliśmy do Rosji. Tam tylko w czasie wakacji spędzonych w Koźance, cukrowni Branickich, miałam możliwość jeżdżenia konno z moją przyjaciółką Wandą Bałutis. Po powrocie do Polski, po froncie znalazłam się w Wilnie dopiero w roku 1920, ale zajęta studiami nie miałam czasu na uprawianie sportu.

W splądrowanym podczas wojny Balinpolu było skromnie bardzo i koni wierzchowych początkowo nie było. Ale mój brat stryjeczny Tadeusz Falewicz, znany jeździec, miał konia Rosenfelsa, który zresztą wygrał mu na wyścigach 45 tysięcy złotych i tego konia, gdy został wycofany z toru, przysłał do nas na reproduktora, więc miałam możliwość jeżdżenia na koniu wyścigowym, który był jednak bardzo trudny do prowadzenia.

Potem, gdy wyszłam za mąż za kawalerzystę, co dzień rano ordynans przyprawdzał nam dwa konie wierzchowe i zanim szliśmy w mężem do pracy robiliśmy ładną przejażdżkę za Wilno, przeważnie w stronę Karolinek. Towarzyszył nam zawsze doberman „Nal”, przywieziony jako szczenię z Moskwy. Bardzo rasowy, świetnie skaczący przez



koło zawieszono we drzwiach lub też przez kolejny rząd krzesel. „Nal” wiedział, że przyprowadzą konie i od wczesnego ranka siedział na parapacie okna oczekując na nie. A gdy je przyprowadzano, wyskakiwał do przedpokoju skowycząc z radości. Na ulicy doskakiwał im do pysków a konie wcale się go nie bały.

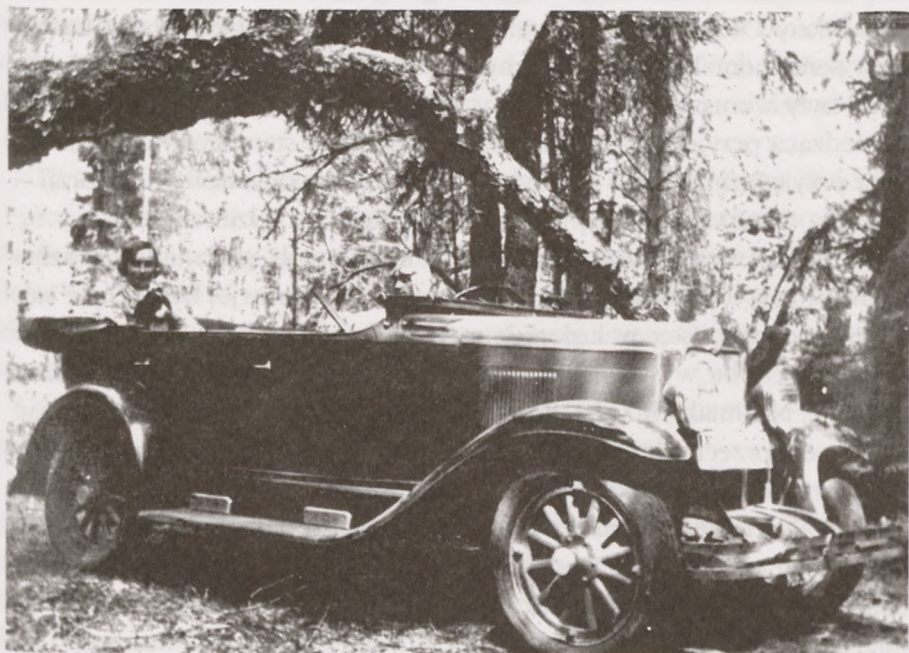
Jak już pisałam jedynym środkiem lokomocji między Podbrodziem a Białym Dworem – była przejażdżka konna. Nie było to daleko, bo tylko siedem kilometrów. Przebierałam się w strój do konnej jazdy w Kasynie w Podbrodziu i potem podczas całego mego pobytu w Białym Dworze rzadko zsiadałam z konia, rozjeżdżaliśmy po lasach, polach, a nawet na Pohulanę – miejsce szkoleniowe wojska odległe o 20-30 kilometrów. Z Białego Dworu zrobiliśmy kiedyś rajd do Ornian zaproszeni przez państwa Michałostwa Tyszkiewiczów. Tam właśnie, gdzie mój patron Walenty Parczewski prowadził sprawy jej męża hr. Michała Tyszkiewicza, właściciela dużego majątku Orniany z przyległościami w powiecie święciańskim – poznałam Ordonkę. Zamiast patrona jeździłam na rozprawę do Święcian i występowałam w sądach w Wilnie. Majątek Orniany położony był blisko granicy litewskiej, a od Białego Dworu, gdzie stacjonował I szwadron 23 pułku Ułanów Grodzieńskich, którym dowodził mój mąż, oddalony był o jakieś 15 kilometrów. Był to majątek leśny o dużej powierzchni, chyba 10.000 hektarów. Fundum – pałac był w czasie wojny zniszczony, ale częściowo potem odbudowany, kilka olbrzymich pokoi było wyremontowanych tak, aby właściciele przejeżdżając mieli gdzie się zatrzymać.

Michał Tyszkiewicz miał też mieszkanie w Wilnie, przy ul. 3 Maja róg Kasztanowej (gdzie dużo później, bo w roku 1944, gdy Tyszkiewiczowie tam już nie mieszkali, znalazłam schronienie). Michał Tyszkiewicz pisywał dla swej żony teksty piosenek, rozjeżdżał po Polsce i stosunkowo rzadko bywał w Ornianach.

Kiedyś przed wojną jechałam pociągiem z Wilna do Warszawy w jednym przedziale z wracającą z występów grupą aktorów, między którymi znajdował się Jarossy i Ordonka. Byłam wówczas zgorzonna zachowaniem się Ordonki, która wprowadzała szum i hałas w przedziale, szczebiotała, siadała panom na kolanach, jednym słowem zachowywała się jak rozpuszczone dziecko. Zupełnie inaczej było dużo później, gdy zaproszeni byliśmy do Ornian. Było to lato. Jedynym środkiem

lokomocji była konna jazda, jechać trzeba było lasami, wąskimi ścieżkami i leśnymi drózkami w pięknej scenerii starego drzewostanu, ale też trochę na chybił trafił skracając drogę, tak że trzeba było jechać gęsiego.

Ten, który jechał na przedzie ostrzegał następnych, żeby się pilnowali od uderzeń gałęzi, które zwisały nad ścieżką na wysokości głowy jeźdźca. Wówczas podnosiliśmy rękę, aby amortyzować uderzenie gałęzią po głowie, lub – jeżeli się udawało – odsuwaliśmy ją. I ciągle poza tym byliśmy niepewni, dokąd ta obrana ścieżka nas doprowadzi. Oby tylko nie przekroczyć granicy litewskiej, co mogłoby wywołać „międzynarodowe” komplikacje! Po przyjeździe do Ornian, gospodarze nas miło powitali. Był wtedy u nich brat Ordonki, skromny młody człowiek urzędnik pocztowy z Warszawy p. Pietrusiński, który mi opowiadał, że rozkoszuje się wsią, że wstaje rano i boso biegnie zbierać i konsumować truskawki w ogrodzie, chodzi na spacerów itd. Ordonka wydała mi się bardzo małego wzrostu, na nogach miała białe pepegi bez obcasów, poruszała się jak dziewczynka i była bardzo wesoła.



Autorka w samochodzie Michała Tyszkiewicza (męża Ordonki) w drodze do jego pałacu w Ornianach

Zaproponowano, aby przed kolacją pójść, czy pojechać nad pobliskie jezioro i wykapać się. Ja nie miałam kostiumu kąpielowego, ale Ordonka powiedziała, że mi użyczy i nie wiem jak to się stało, bo Ordonka była szczupła i mała, a ja gruba i miałam 168 cm wzrostu, jednak kostium na mnie wlaź i kąpiel była wspaniała. Podziwiałam wówczas postawę Michała Tyszkiewicza, był ślicznie zbudowany, miał piękne cienkie w kostce nogi. Potem wróciliśmy do dworu, gdzie podano kolację. Tutaj oczywiście celebrowała hr. Tyszkiewiczowa. Lokaj w białych rękawiczkach usługiwał podając z lewej strony półmiski, zwracał się do Ordonki *Pani Hrabino...*

Podczas kolacji przyniesiono pocztę, którą ktoś przywiózł z Podbrodzia. Ordonka poznawszy charakter pisma, gdy wzięła list do ręki wykrzyknęła: *och to pisze Hemar*. Wyjęła list z koperty i kartkę z tekstem dla niej napisanym. Była bardzo rada i zaczęła ten tekst czytać. Czytała przecież pierwszy raz, ale czytała go tak, jakby była na scenie. Byliśmy wszyscy zdziwieni i zachwyceni słysząc ten tekst w jej wykonaniu. Poza mną z mężem byli jeszcze na kolacji oficerowie z I szwadronu: porucznicy Konopka i Danielczyk, a może i por. Janowski. Tekst Hemara, jak inne teksty Ordonki, był specyficzny, bo Ordonka wkładała w każdy tekst sentymentalny czy tragiczny – wiele swoistego uczucia. Jej piosenki były wzruszające. Czy wtedy, gdy na scenie była biedną szwaczką siedzącą przy maszynie, czy wtedy, gdy grała starą Żydówkę, matkę syna przyjeżdżającego z Ameryki, który ginie w katastrofie na morzu – potrafiła wyciskać łzy, a śpiewając o miłości – „rozdzierać” serce.

W Wilnie występowała nie tylko na koncertach, grała także w sztukach. Umiała się zawsze odpowiednio ubrać. Suknie jej były lejące się, długie, powłóczyste, w kolorach tęczowo-pastelowych. Wyglądała na scenie na osobę wysoką. Nie miała postawy z natury, ale umiała temu zaradzić. Nie miała dużego głosu, ale umiała nim znakomicie operować i ten śpiew przechodzący w „parlando” porywał publiczność i powszechnie uznawano jej wielki talent.

Tak się złożyło w czasie wojny, że przez około miesiąca w czasie masowych wywózek do Rosji nocowałam w mieszkaniu Ordonki, gdzie została jej garderobiana i dwa duże psy rasy Saint-Bernard. Przez ten miesiąc co dzień wieczorem z synkiem moim, który miał wtedy 8-9 lat (było to w zimie), jechaliśmy z saneczkami, na których były różne po-



trzebne rzeczy do spania, nocowaliśmy i rano wracaliśmy do domu. Chodziło o to, żeby nie być w nocy u siebie...

W mieszkaniu Ordonki mieszkał aktor, Łukasz Łukaszewicz, dobry znajomy piosenkarki. Podziwiałam opiekę Łukasza nad psami. Z żywnością było bardzo trudno, Łukasz pracował w restauracji jako kelner. Zbierał więc różne pozostałości z talerzy i przynosił do domu. Psy spały na dywaniku przy łóżku Łukasza, patrzyły mu w oczy z czułością i przywiązaniem. Były mu wdzięczne. Gdy trzeba było repatriować się, Łukasz zabrał oba psy. Potem w Polsce oddał jednego znajomej pani w Gdańsku i płacił jej za utrzymanie. Jeździł odwiedzać tego bernardyna. Drugi był u niego, potem zachorował i zginął.

Gdy Ordonka pojechała do Sowietów, wiem, że była w teatrze żońnierskim formującego się tam Wojska Polskiego. Znalazła się w Libanie, tam zapadła na gruźlicę płuc. Chorowała bardzo długo. Była podobno bardzo uduchowiona, cierpliwa, dobra dla otoczenia. Opowiedano mi, że umarła jak święta. Pochowana jest w Bejrucie. Łukasz pojechał tam z wycieczką, odszukał na cmentarzu jej grób. Złożył kwiaty. Mąż Ordonki pracował w „Wolnej Europie” i zmarł w Monachium. Nie wiedziałam, że Ordonka miała też talent malarski. Będąc w Londynie w roku 1976 odwiedziłam znajomych, państwa Gołkowskich, którzy pokazywali mi obrazek malowany przez Ordonównę – z podpisem *Hanna Ordon*.

W związku z gawędą, którą miał ostatnio w telewizji Jerzy Waldorff – przypomniła mi się jeszcze jedna sprawa. Gdy przyjechał po nią do Podbrodzia bryczką pełnomocnik Michała Tyszkiewicza p. Borowik, żeby ją odwieźć do Ornian, Ordonka zapytała dlaczego konie są takie chude. Na to Borowik skarżył się, że nie mają owsa, Ordonka wyjęła z torebki 500 zł i dała na owies dla koni...

Zrobiłam tę dygresję o Ordonce, bo to również wiąże się ze sportem konnym.

Później byliśmy kiedyś zaproszeni z mężem do Ornian na polowanie na wilki. Polowałam już nieraz, jako że mój ojciec i bracia byli zapalonymi myśliwymi, ale nigdy nie polowałam na wilki. Strzelb nie było dużo, gospodarz Michał Tyszkiewicz, kilku oficerów i my z mężem. Zorganizowane było w ten sposób, że nagonka szła w kierunku strzelców ustawionych co kilkadziesiąt metrów, a za myśliwymi zawie-



szona była na małej wysokości lina, do której przywiązane były kawałki kolorowych materiałów. Okazuje się, że wilk pędzony w stronę tego sznura, gdy go zobaczy zatrzyma się, nie przeskoczy i wtedy jest okazja go upolować. Że wilki były w tym ostępie, to doniósł Tyszkiewiczowi leśniczy, ale wszyscy byliśmy ciekawi, w jakim kierunku będą biegly i kto będzie miał okazję strzelać do nich. Wszyscy byliśmy podnieceni, każdemu z nas mogła się trafić okazja, że wilk wyjdzie na niego. Gdy już nagonka była blisko i następował ten decydujący moment, trzymając strzelbę w pogotowiu oglądałam się na prawo i lewo w kierunku sznura, gdzie mógł się wilk zatrzymać. I zobaczyłam go przy sznurze, gdy odwrócił się do mnie głową w całej swej okazałości: szeroka głowa, długa sierść szyi. Poruszyłam się przykładając fużę do strzału. To były sekundy! Rzucił się w bok i znikł. Czy tego, czy innego, ale zabito jeszcze jednego wilka na tym polowaniu.

Drugim razem polowałam na wilki u pana Mieczysława Bohdanowicza, emocji było dużo, ale wilk się gdzieś przemknął i polowanie pozostało bez rezultatu.

Pamiętam, jak dostałam w prezencie od ojca strzelbę kalibru 28. Była to broń lekka firmy „Manufacture Legoissee d'armes à feu”. Pierwszą zwierzyną, jaką zabiłam, była słonka na wieczornych ciągach. Strzał był do niej trudny, gdyż zaczynał się zmierzch, słonki lecą wysoko, wydając specjalny dźwięk, który zawiadamia myśliwych, że słonka przelatuje nad młodniakiem; ale nie wiadomo z której strony nadleci. Słonki lecą bardzo prędko. Gdy spadła po strzale trudno by ją było znaleźć, ale wytresowany do polowania wyżeł od razu ją zaaportował. Towarzysze myśliwi wysmarowali mi potem twarz krwią tej słonki, bo podobno są takie obyczaje, że przy pierwszej zwierzynie upolowanej trzeba delikwentowi twarz pomazać. Polowałam na pardwy, brodząc nieraz po kolana w rojstach lub skacząc z kępki na kępkę, przechodząc przez zalane wodą rowy itd. Pardwa też jest rzadkim ptakiem i nie każdy rutynowy myśliwy miał możliwość na nie polować. W Wigilię Bożego Narodzenia u nas w Balinpolu zawsze było polowanie z nagonką na zające. Zapraszani byli myśliwi, krewni i koledzy braci. Ja oczywiście też brałam udział w tych polowaniach. Przejeżdżaliśmy z miotu na miot sankami (rozwałkami), a w umówionym miejscu i godzinie zjawiała się Mama, która przywoziła zmarzniętym myśliwym wspaniałą gorący bi-

gos z grzybkami, który jedliśmy na dworze przy saniach. Mama odjeżdżała, a myśmy polowali dalej.

Przyjechałam kiedyś do Podbrodzia, gdyż następnego dnia, 3 listopada 1929 roku miał się odbyć Bieg Myśliwski. Oczywiście po biegu w kasynie oficerskim zbierał się cały korpus oficerski pułku, był uroczysty obiad itd. Nie pojechałam więc do Białego Dworu, tylko razem z mężem przenocowałam w pokojach gościnnych Kasyna. Była też ze mną bliska mi osoba, Wanda Bałtutis<sup>35</sup> przyjaciółka z czasów pobytu na Ukrainie w roku 1917-1918, potem studiowałyśmy razem w Paryżu, a potem w Wilnie ja aplikowałam, a ona pracowała w szkolnictwie. Przyjechałyśmy z Wilna nie w celach sportowych ale towarzyskich. Obudzono nas rano, bo wszyscy się szykowali na bieg.

Por. Konopka miał świetną klacz „Noc”, doskonale naskakaną, a on sam udziału w zawodach nie brał, bo był contre-mastrem. Zaczął mnie prosić, abym pojechała na jego „Nocy” na bieg. Ja nigdy nie skakałam przez przeszkody, jeżeli kiedy skoczyłam, to tylko w polu przez rów, więc nie projektowałam wzięcia udziału w tym biegu. Por. Konopka zaczął mi tłumaczyć, że ja mam jej tylko nie przeszkadzać, że ona jest świetnie naskakana i że każdą przeszkodę weźmie. Ja się broniłam, jak mogłam i za nic nie chciałam ryzykować blamażu. Ale z drugiej strony miałam wielką ochotę spróbować, bo byłby to dla mnie zaszczyt brać udział w tak trudnym biegu. No i uległam namowom i pojechałam na tej „Nocy” cudownej. Wanda też zdobyła jakiegoś konia – i pojechała ze mną.

Przytoczę sprawozdanie w wileńskim „Słowie” z 8 listopada, zamieszczone w rubryce sport: *Bieg myśliwski w dniu Św. Huberta w 23 pułku Ułanów:*

*W dniu Św. Huberta 3 listopada br. odbył się w 23 pułku ułanów w Podbrodziu tradycyjny „Bieg myśliwski”. Do niego stanęło 10 oficerów i 2 amazonki: p. Helena Sztukowska i p. Wanda Bałtutis. Bieg odbył się pod przewodnictwem mastra p. mjr. Święcickiego w bardzo urozmaiconym i umiejętnie wybranym terenie na przestrzeni 7 kilometrów. Uczestnicy przebyli 6 przeszkod: hyrda, rów, płot z cienkich drągów, ogrodzenie we wsi, zasięki na drodze i jeszcze raz hyrda. Bardzo urozmaicił i ożywił „bieg myśliwski” – stromy zjazd z góry i przebycie w bród rzeki Dubinki. Bieg odbywał się na ogół w trudnych warunkach, gdyż pogo-*

*da nie sprzyjała i padał deszcz, skutkiem czego grunt był rozmoknięty i grząski. Bieg odbył się jednak do końca bez wypadków. W brawurowym finiszu, który się rozpoczął na znak mastra i okrzyk „hilala”... zwycięstwo odniosła p. Falewicz-Sztukowska, bijąc wszystkich innych uczestników biegu. Druga amazonka p. Wanda Bałtutis przebywała całą trasę również bez błędu. Owacjom na cześć dzielnych sportswomenek nie było końca.*

Tyle krótko o biegu. Ale ileż to było emocji i strachu, aby bez przygotowania, na nieznanym koniu puszczać się na taką imprezę. Gdy koń wskoczył do rzeki Dubinki, wszystko było dobrze, ale brzegi były tak strome, że koń nie mógł wyleźć i długo trwała szamotanina, zanim wyskoczył z rzeki. Rzeczulka bowiem nie była szeroka i nie głęboka, ale miała brzeg prostopadły. Pamiętam, że wspinaliśmy się na bardzo stromą górę porośniętą małymi sosenkami i krzakami. Trzeba było stać w strzemionach i trzymać się grzywy jedną ręką, aby się nie zsunąć z siodła. Potem galop na polance, która w pewnym miejscu była odgrodzona żerdziami. Konie w gromadzie, a było ich ogółem 16, gdy pędzą obok siebie – są bardzo podniecone. Przy skoku, zbyt byłam nachylona do przodu oddając wodze i przy lądowaniu może za mocno ją trzymałam, bo „Noc” uderzyła łbem w moją szczękę.

Zabolało bardzo, ale poruszyłam szczęką aby się przekonać, czy nie jest pęknięta czy złamana i nadal galopowaliśmy, gdy ku naszemu zdziwieniu master Świącicki wskoczył przez zamkniętą bramę podwórza do zagrody chłopskiej. Musieliśmy robić wszystko to co on, a więc kolejno skakaliśmy przez bardzo wysoki płot (bramę). Ostatnia przeszkoda – już za tym gospodarstwem zagrażała wąską drogę i też była bardzo wysoka. Skoczyłam. Czy koń był niezawodny, czy miałam szczęście – i tu poszło dobrze. Wreszcie przegalopowaliśmy na duży plac ćwiczebny, gdzie na drugim końcu stała wiecha – to była meta. I teraz już tempo większe, bo to już bieg płaski, no... i zwycięstwo.

Miałam też okazję jeździć na nartach za koniem, na placu ćwiczebnym przy dosyć dużym śniegu koń dosiadany przez żołnierza, miał na sobie uprząż, od której szły 2 długie linki zakończone drążkiem, za który narciarz się chwycił. Koń galopował i wszystko było łatwe, gdy się jechało prosto, natomiast przy zakrętach trzeba było tak narty ustawić, aby zakręt pokonały. A więc przechylało się nartę do wewnątrz w



stronę zakrętu i wysuwało się jedną nartę naprzód (zewnątrzną). Najgorsze było to, że koń galopując wyrzucał grudki śniegu, które oślepiły narciarza. Dla zrobienia manewru zakręcania, trzeba było mieć bardzo silne nogi w kostkach. A ten szalony pęd – był wspaniały! Potem w Balinpolu próbowałam jeździć na nartach za sankami na linie przywiązanej do sanek, ale to już nie było to, co za koniem. Kiedyś na Pośpieszce były zawody skiringowe i stawało do nich trzech oficerów – w tym Zmora. Przyjechał wówczas ostatni, ale zjawił się do domu z pięknym kryształem, który mam do dziś i zakomunikował: *uprawdziej przyjechałem ostatni i kryształu nie dostałem, ale go sobie kupiłem jako nagrodę*. Za sankami jeździliśmy też w Białym Dworze, bo sanki były, ale żadnego ekwipażu poza tym nie było.

W latach 1935-1937 Zmora zajął się bardzo lotnictwem sportowym, skończył kurs pilotażu, rozentuzjasmowany był tym sportem. Został nawet prezesem Aeroklubu Wileńskiego. Nigdy jednak nie lataliśmy razem. Puluś miał już rok, Zmora się obawiał, że w ewentualnej katastrofie może stracić obojga rodziców, więc zaproponował, abym latała jako pasażer z kpt. Januszem Kurnatowskim, który akurat został przydzielony do Areoklubu z ramienia Min. Komunikacji. I tak się zaczęło! Już przy pierwszym locie w maszynie, gdzie były podwójne stery, wytłumaczył działanie sterów głębokościowych i kierunkowych i oddając mi prowadzenie kazał lecieć. Miejsca w powietrzu dużo, to nie to – co samochód, gdzie auto napotyka na ciągłe przeszkody. Prowadzenie więc samolotu na jednakowej wysokości na większych przelotach nie jest rzeczą trudną. Gorzej było, jak trzeba było startować czy lądować. Ale i tego się nauczyłam po pewnym czasie. Przy pierwszym locie, gdy przy lądowaniu zamknęłam gaz – pan Janusz odezwał się spokojnie: *nosem w dół, bo upadniemy w korkociąg*.

Zaczęło się szkolenie. A więc start: rozpedzało się awionetkę na płycie startowej i w pewnym momencie pan Janusz mówił: *już drążek na siebie*. To były emocjonujące chwile! Z lądowaniem było więcej kłopotu. Jestem w powietrzu w pewnej odległości od lotniska i przystępuję do lądowania, właśnie lekko „nosem w dół”. Jestem już nisko, a tu chałupy pode mną czy kartofliska, więc znowu gaz i znowu w górę, robię lekki wiraż, nadlatuję bliżej lotniska i zamykam gaz, zniżam się, jestem nad lotniskiem, ale gdy trzeba siadać, lotnisko się kończy i za-



czyna się kartoflisko, więc znowu gaz, znowu do góry, znowu wiraż i podchodzenie do lądowania. Trzeba było kilka razy wymierzać i kombinować, jaka jest potrzebna odległość od miejsca lądowania w zależności od wysokości i kiedy zamykać gaz i jaki mieć kąt nachylenia. Potem było lepiej, potem dobrze, dostawałam pochwałę od pana Janusza. Ale nieraz było tak, że pan Janusz sam wylądował manipulując swoim drążkiem sterowym. Orientację w terenie miałam dobrą i kiedyś leciałam nad jezioro Narocz z kapitanem Babińskim, o którym opowiadano, że miał własny samolot, stary gruchot, którym z Warszawy do Krakowa leciał tydzień, bo widząc w majątkach, nad którymi przelatywał, dym z komina (domyślając się, że przygotowuje się obiad) lądował gdziekolwiek, zjawiał się we dworze mile witany i zapraszany do obiadu. Poza tym motor mu ciągle nawalał, więc lądował w nieprawdopodobnych miejscach i startował z łączek, placyków, aby naprawić usterki i znowu lecieć, a gdy słyszał, że w motorze znowu jest „kapusta”, znowu lądował. Miał pobity rekord lądowania nie na lotnisku! Była to cyfra olbrzymia.

Otóż lecieliśmy nad Narocz i gdy byliśmy niedaleko jeziora Świr pokazałam mu na północny-wschód, że tam leży Balinpol. Wracając znad Naroczy właśnie przy jeziorze Świr, kapitan Babiński obrał ten kierunek i zorientowałam się, że lecimy do Balinpolu. Ale gdzie tam wylądować? Nadlecieliśmy nad majątek dosyć nisko, a druty telefoniczne prowadziły w różnych kierunkach, nadlecieliśmy nad gazon i wysokie świerki. Ja byłam przerażona, co ten człowiek wyprawia! Samolot był RWD 8, dwuosobowy, siedzieliśmy jeden za drugim, wreszcie na skrawku rżyska za czworakami kapitan pięknie wylądował. Start był jeszcze trudniejszy, gdyż teren nie był gładki, a kawał rżyska krótki. Byliśmy w Balinpolu z godzinę. Puluś bał się samolotów. Gdy „Zmora” nadlatywał nad Balinpol rzucając mu coś słodkiego, Puluś krzyczał: *zamykać okna, zamykać drzwi* i nie chciał wychodzić z domu. Gdy był maleńki i jeszcze się dobrze nie wysławiał, a pytano go, gdzie tata i mama, pokazywał rączką w niebo...

Lubiłam bardzo rozmawiać z lotnikami o ich przygodach. Opowiadał mi kiedyś jakiś lotnik – major, góral z pochodzenia, jak był w Grudziądzu i leciał na samolocie wojskowym nad jeziorem. Samolot zaczął się palić, a on wyskoczył ze spadochronem i widzi, że wyląduje na

środku jeziora. Jednak w ostatniej chwili powiew wiatru znosi go na brzeg, gdzie szczęśliwie ląduje, o pół metra od jeziora. *Wsiadłem wtedy do pociągu i pojechałem do Ostrej Bramy podziękować za takie zakończenie.*

Por. pilot Henryk Wirszyłło też opowiadał, jak mu się zapalił samolot nad lasem (a właściwie materiał drzewny pod motorem). Gdy chciał lądować i pikował, ogień szedł w kierunku kabiny, gdzie siedział, a więc musiał lądować ślizgami bocznymi i akurat tak się złożyło, że znalazł się nad młodym brzeźniakiem. *Tu będzie miękko* pomyślał i szurnął ślizgami po czubkach brzoźek osiadając miękko i szczęśliwie. Ludzie przybiegli i ugasili pożar ziemią. Inny pilot opowiadał, jak wylądował przymusowo wśród gałęzi dużego drzewa. Skrzydła odpadły a on pozostał w kabinie, zawieszony między gałęziami i nie mógł się wydostać. Dopiero okoliczni ludzie przybiegli i zdjęli go.

Zmora uważał, że pan Janusz nie lubi latać. Mówił, że polecą za lasem i zaraz wraca, ale po takim zarzucie pan Janusz postanowił, że polecimy daleko np. do Grajewa, gdzie dowódcą 9 pułku strzelców konnych był mój brat stryjeczny – Tadeusz Falewicz. Pomyśl ten był nagły, a więc bez żadnych rzeczy potrzebnych do nocowania, poleciliśmy do Grajewa. Ja cały czas prowadziłam samolot, ale w Grajewie na jakimś placu wylądował Kurnatowski. Brataśmy nie zastali, była tylko bratowa – Zosia z Lubańskich Falewiczowa, wydzwoniła z Warszawy drugiego lotnika, kpt. Ojżyńskiego, który przyleciał i świetnie się tam bawiliśmy, ale nazajutrz były wielkie trudności ze startem. Tam gdzie lądowaliśmy nie mogliśmy startować, więc rolowaliśmy szukając możliwości. Naokoło bagna i tylko w jednym miejscu znajdował się twardy cypel wchodzący w bagna. Kurnatowski zdecydował się startować z tego cypla położonego nieco nad błotkami. Rozpędził samolot, wjechał na cypel i kiedy cypeł się kończył a pan Janusz podnosił go w górę, samolot zaczął opadać i byłam przekonaną, że opadniemy w bagno, tymczasem nad samym już bagnem, będąc niziutko, samolot się podźwignął i wzniósł w powietrze. Emocje były silne...

Innym razem lecieliśmy do państwa Bohdanowiczów, do majątku niedaleko Starej Wilejki. Lądować trzeba było na koniczynie, która jest dobrym miejscem do lądowania, jeżeli nie jest wysoka, ale tu koniczyna nie była ścięta i rzędami leżały na niej pozbierane w kupy kamienie.

Pan Janusz kilkakrotnie podchodził do lądowania, bojąc się, aby nie zaczepić skrzydłami o sterty kamieni, wreszcie wybrawszy najszerszy pas między rzędami kamieni – wylądował szczęśliwie. Ze startem było gorzej. Koła hamowane były przez koniczynę, więc ja pojechałam koleją w określone miejsce, gdzie lądowanie było możliwe, a pan Janusz wystartował sam. Maszyna była lżejsza i udało się wszystko dobrze.

Poleciliśmy kilkoma samolotami z Aeroklubu do Nieświeża, gdzie miał być „fest”, a więc dużo ludzi się zjedzie i chcieliśmy robić propagandę lotniczą. Jednym samolotem leciał pilot sportowy Kurec, który ważył 160 kilogramów i dla którego RWD zrobiło specjalnie dużą kabinę. Był on synem właściciela tekturowni, człowieka bardzo bogatego, więc mógł obstalować sobie własną awionetkę. Przyłot nasz wzbudził sensację wśród mieszkańców Nieświeża. Zakwaterowaliśmy się wszyscy w żydowskim hoteliku, gdzie pamiętam, że było tyle gości, że przyjezdni z prowincji nocowali nawet na podłodze w korytarzu hotelowym.

Zaproszeni byliśmy z kilkoma oficerami 27 pułku ułanów, który stacjonował w Nieświeżu, na obiad przez Radziwiłła. Młody ks. Radziwiłł był oficerem rezerwy tego pułku<sup>36</sup>. Zjawiliśmy się wszyscy piloci i oficerowie we wspaniałej rezydencji Radziwiłłów, zamku usytuowanego w podkowie. Usługiwali nam lokaje w strzeleckich ubraniach i białych rękawiczkach. Ale obiad był bardzo „cienki”, podławy i gdyśmy wstali od stołu, to oficerowie kawalerzyści podeszli do nas zapraszając nas do swego kasyna, gdzie dyskretnie obiecywali nam lepsze jedzenie. Pod wieczór zjawiliśmy się w kasynie 27 Pułku Ułanów. Był z nami również młody Radziwiłł. Kolacja była doskonała a alkoholu było bardzo dużo. Chętnie pito i atmosfera była bardzo wesoła. Byłam zmęczona emocjami lotu. Nazajutrz był powrót do Wilna. Godzina była późna, chciałam wracać do hotelu, ale oficerowie nie wypuszczali. Wreszcie się wymknęłam i biegłam trotuarem, gdyż pędził za mną jeden z oficerów, chcąc mnie sprowadzić z powrotem do Kasyna. Ale udało mi się dobiec do hotelu, przedostać się do pokoju mego przez leżących na ziemi w korytarzu śpiących ludzi i zamknęłam się na klucz. Oficer biegnący za mną stukał do drzwi, przez drzwi mu perswadowałam, aby wrócił, bo ja nie wyjdę. Więc odszedł, a ja szykowałam się do snu i miałam już szlafrok na sobie, gdy ktoś zaczął się wspinać do otwartego okna. Był



upał, noc była bardzo gorąca. Okazało się, że to ten sam oficer, mając w czubie, wdrapywał się na wysoki parter mego okna i wreszcie siadł na nim i powiedział, że nie odejdzie, dopóki mnie z hotelu nie zabierze do Kasyna. Długie były perswazje z podchmielonym porucznikiem, nie pamiętam już, jak się nazywał, ale widząc mój upór – wrócił sam do Kasyna, gdzie niektórzy piloci bawili się do samego rana.

Z przygód lotniczych pamiętam też lot z Warszawy do Wilna z pasażerem Zygmuśmiejem Buyko (obecnie radca prawny w Katowicach). Wylecieliśmy z Lotniska Mokotowskiego przy niezłej pogodzie bez pobrania prognoz meteorologicznych. W drodze okazało się, że jest straszny wiatr. Rzucano nami niesamowicie. Biedny Zygmunt Buyko siedząc za nami (RWD L3 jest 3-osobowa) czuł się fatalnie. Postanowiliśmy zatrzymać się w Grodnie, gdzie wylądowaliśmy ku przerażeniu załogi lotniska, gdyż komunikat meteorologiczny wstrzymywał loty. Miałam w Grodnie koleżankę szkolną, majorową Buszkiewiczową. Zatelefonowałam do niej, a ona zaprosiła nas wszystkich do siebie. A wiatr szalał, aura się zmieniała, więc chętnie skorzystaliśmy z jej gościnności i tam nocowaliśmy. Buszkiewiczowa była osobą bardzo towarzyską, mieszkała w piętrowej willi, przyjmowała nas serdecznie zakropioną alkoholem kolacją. Po obfitym posiłku Buyko mając dosyć podróży awionetką pojechał koleją do Wilna. Myśmy z panem Januszem zostali na noc.

Ja miałam spać na wielkim, wysokim łożu, w drugim pokoju, w gabinecie nieobecnego pana domu – pan Janusz. Byłam zmęczona, więc zaraz po kolacji poszłam spać, a mój towarzysz i koleżanka jeszcze zostali na dole w jadalni, gdzie popijali i gaworzyli. Skonstatowałam, że łóżko przeznaczone dla mnie było niewygodne, bo wyższe po środku niż po bokach. Wobec tego postanowiłam zrobić kawał kpt. Kurnatowskiemu i zamienić się łózkami, a na wielkim łożu pod kołdrę położyłam 2 fotele. Gdy pan Janusz przyszedł do gabinetu, gdzie gospodyni przeznaczyła mu nocleg, okazało się, że jest już przeze mnie zajęty. Powiedziałam mu, że wygodnej kanapy nie opuszczę i zaczęliśmy się przekomarzać. Straszyl mnie, że się wpakuje na drugiego, wreszcie poszedł do pokoju przeznaczonego dla mnie. Po chwili wrócił z powrotem mówiąc, że tam już ktoś śpi. Przecierał oczy podejrzewał siebie, że ma pijackie halucynacje, wreszcie zobaczył, że pod kołdrą są meble. Rano odlecieliśmy do Wilna...



Kiedyś później spotkałam Buszkiewiczową w Ciechocinku, gdzie byłam na kuracji i mieszkałam w „Sienkiewiczówce”, ona zaś – jako żona majora w „Pomorzance”. Namówiła mnie, aby pójść do Millera na dancing. Nie miałyśmy w Ciechocinku znajomych, ja więc wzdragalam się przed pójściem, ale ona pewna siebie, twierdziła, że wszystko będzie dobrze. Poszłyśmy. Byli tam fordanserzy, eleganccy panowie, wytworni w obejściu. Podejrzewałam, że byli to „biali” rosyjscy oficerowie. Doskonale się bawiłyśmy tańcząc ze świetnymi tancerzami, a ja ciągle myślałam tańcząc, jak im się płaci za taką usługę. Przy ostatnim tańcu włożyłam partnerowi banknot do kieszonki, pocałował w rękę i sprawa była załatwiona.

Kiedyś byliśmy całym naszym towarzystwem na lotnisku i pan Janusz zaproponował, aby się przelecieć. Gdy byliśmy już w powietrzu powiedział, że polecimy nad morze przez Warszawę. Cały czas ja prowadziłam maszynę, wylądowaliśmy na Mokotowie. Pan Janusz zaprowadził mnie do swojej garsoniery na ul. Polnej, gdzie miałam przenocować, a on wypuścił się na Warszawę i zjawił się dopiero rano, aby mnie zabrać na lotnisko i lecieć dalej nad morze. Przedtem zrobił mi świetną kolację z puszek, których miał duży zapas. Był wielkim smakoszem. (Gdy po kilkudziesięciu latach spotkaliśmy się w Londynie, też sam przyrządził mi obiad z wielu dań i do każdej potrawy było odpowiednie wino).

Leciliśmy do Gdyni. W pewnym momencie zaczęło nami rzucać, czarne chmury nas otaczały, widać było błyskawice. Myśleliśmy, że może bezpieczniej będzie wracać do Warszawy, ale gdyśmy zobaczyli taką samą sytuację na ogonie, kontynuowaliśmy lot na północ. Zrobiło się zupełnie ciemno. Drażek sterowy przejął pan Janusz, bo trzeba było dużej siły aby nim manipulować i utrzymać samolot na odpowiednim poziomie. Sytuacja była groźna, bo poza ulewą, która zmniejszała widoczność, szalejące wokół błyskawice stwarzały niebezpieczeństwo pioruna. Kierunek jak nam się wydawało – mieliśmy właściwy. Mieliśmy busolę i wysokościomierz. Awionetki wyposażenie w przyrządy miały skromne.

Burza minęła i nadlatywaliśmy nad morze, którego brzegi były oświetlone osiedlami. Pan Janusz był milczący podczas burzy, a teraz zakomunikował mi, że te oświetlone osiedla pod nami – to Prusy Wschod-

nie. Przymusowe lądowanie w takich sytuacjach wiąże się z wieloma kłopotami natury formalnej, poza tym zawsze jest niebezpieczne. Nie mieliśmy potrzebnych dokumentów, bylibyśmy przetrzymani przez władze policyjne itd. A ja miałam za dwa dni proces w Postawach<sup>37</sup>, na który musiałam się stawić. Byliśmy więc pełni niepokoju, ale schodziliśmy niżej, aby się rozejrzeć w sytuacji i szukać miejsca do lądowania. Pan Janusz mylił się jednak sądząc, że to Prusy, bo byliśmy nad naszym wybrzeżem, był już wieczór, ciemno, pan Janusz pokazywał mi gdzie świecą się Gdynia, gdzie Sopot, Oliwa, Gdańsk, ale lotnisko było w Rumii.

Lotnisko było oświetlone. Wylądowaliśmy na płycie zalanej kompletnie wodą. Obsługa lotniska biegła do nas po wodzie myśląc, że samolot skapotował, a gdy zobaczyli, że wysiadamy cali i zdrowi byli szalenie zdziwieni, że odważyliśmy się lecieć w tak straszną burzę. Zakazane bowiem były wszelkie loty i lotnisko było puste. Burza porobiła nawet pewne straty na lotnisku, coś im tam połamało. Wydzwonił się z lotniska taksówkę i pojechaliśmy do hotelu do Gdyni. Gdyśmy zamawiali dla nas pokoje pan Janusz wyciągnął z jakiejś torby butelkę szampana i powiedział tylko portierowi: „zamrozić”. Janusz Kurnatowski był człowiekiem inteligentnym, pełnym fantazji i dowcipu oraz gentelmenem w każdym calu. Zjedliśmy kolację, ja po emocjach byłam zmęczona i poszłam spać a on wypuścił się na miasto. Wrócił chyba bardzo późno, a gdy go rano budziłam, był zupełnie nieprzytomny i wyskoczył z łóżka, wsadził głowę pod kran i tak się orzeźwił. Opowiadał, że spotkał znajomego oficera marynarki i z nim siedział długo w jakiejś knajpie. Wracaliśmy z powrotem już bez burzy i niebezpieczeństwa przez Warszawę, gdzie znowu pan Janusz gdzieś zginął odwiedzając znajomych i matkę, a gdyśmy już lecieli do Wilna kazał mi wziąć „tor pod pachę” i lecieć, bo on jest zmęczony i będzie spał.

W roku 1936 był zorganizowany zlot z całej Polski samolotów sportowych i właścicieli prywatnych samolotów z Wilna nad jeziorem Narocz (mającym 84 km<sup>2</sup> powierzchni – największym przed wojną jeziorem w Polsce). Przylecieli – pamiętam – z Krakowa małżeństwo lekarskie dr Michalakowie, przyleciał senator Rudowski z 12-letnią córką Magdą, właściciel majątku Półwiesk pod Rypinem. Senator Rudowski miał 3 córki, które uczyły się w Warszawie, był wielkim entuzjastą lot-

nictwa sportowego, w Półwiesku pole koniczyny było miejscem startu i lądowania, a na dachu stodoły było wielkimi literami napisane: Półwiesk. Była też kicha wskazująca kierunek wiatru. Swoją awionetką woził dla dzieci do Warszawy prowiant. Jego córeczka Magda opowiadając, jaki mieli lot, używała fachowych wyrażen np. że „wiatr był tylnooogonowy”, a „tor mieli pod pachą”. Latała z ojcem bardzo często i też była entuzjastką tego sportu.

Dla przygotowania tego zjazdu Aeroklub zwrócił się do wójta gminy kobylnickiej, pana Mariana Gumowskiego, aby zorganizował obiad dla uczestników zjazdu – zlotu w Kobylniku. Zachowałam list Gumowskiego do Aeroklubu w odpowiedzi na tę prośbę z kapitalnymi uwagami, które warto tu przytoczyć:

*Kobylnik, dnia 22 VI 1936 roku*

*Marian*

*Gumowski*

*Wójt Gminy Kobylnickiej*

*Do Aeroklubu Wileńskiego*

*w Wilnie*

*ul. Arsenalska*

*na ręce p. Pilsiaaka*

*Nawiązując do omawianego w dniu 17/II br. w Kobylniku za bytnością J.W. Panów projektu rozkładu dnia 28 czerwca br. oczekując łaskawego listu J.W.P. zapowiedzianego z możliwymi zmianami i szczegółami przylotu i pobytu gości, niniejszym proszę o możliwie rychłą odpowiedź, czy i w jakim zakresie miało być przygotowane przyjęcie i czy można rachować na to, iż uczestnicy pokryją koszty wspólnego obiadu.*

*Ja ze swej strony proponuję następujące załatwienie:*

*Wszystkich gości, zdawałoby się, należałoby podzielić na dwie kategorie: pierwsza, tych, którzy bez wysiłku pokryją wydatek około 4 zł za obiad i około 5 zł za obiad z czarną kawą i likierem. Tą cyfrą byłyby objęte zakąski na zimno: wędlina, ser holenderski i śmietankowy, ryba faszerowana – szczupak, smażona sielawa na zimno i szczupak w galarecie, śledź królewski, wódki gatunkowe, piwo, woda sodowa. Zupy: rosół z makaronem na kurze i barszcz z pierożkami, o ile będzie dzień chłodny i barszcz zamieniony na chłodnik przy dniu upalnym. Drugie: kurczęta nadziewane z sałatą i może z części chłodnych zakąsek prze-*



nieść jedną z ryb np. sielawę do drugiego dania na gorąco. Deser: krem śmietankowy, lody cytrynowe i śmietankowe, poziomki. Zwiększyłyby się cena obiadu o zł 2 do 3, w zależności czy i ile by się wypilo trunków droższych – wina i koniaku.

Druga kategoria gości, którzy by nie mogli sobie pozwolić na tak znaczny wydatek na jeden obiad, to też niepostrzeżenie przy ogólnym stole z innej strony droższe rzeczy jak: likier, wina i koniak – nie byłyby konsumowane, co zmniejszyłoby koszty obiadu do 4 zł, jak wyżej lub o ile uważaliby J.W.P.P. można byłoby te koszty obniżyć lub całkiem skreślić, o ile ta ostatnia kategoria nie byłaby zbyt liczna. Zresztą pozostaje to do uznania i listowego omówienia przez J.W.P.P. O ile więc z powyższego uznaliby J.W.P.P. coś nieodpowiadającego może sposobowi odżywiania się lotników, lub cen, uprzejmie proszę o natychmiastową odpowiedź, aby można było w czas coś zmienić w podanym projekcie i mieć również czas na dokonanie zakupów tego, czego się nie dostanie na miejscowym rynku. Proszę również o poinformowanie czy na dzień 28 VI bm. ma być wywieszona (ustawiona) chorągiew lub może rozpięty krzyż wzorem dnia 14 VI br.

Z poważaniem M. Gumowski

P.S. Sprawa żagłówek została załatwiona jak również i sprawa użycia motorówek.

Gdy się w roku 1977 czyta to, co było napisane w roku 1936, czyli 41 lat temu, to wierzyć się nie chce, że na głuchej wsi można było urządzić takie wykwintne przyjęcie i to za tak małe pieniądze.

Po zakończonej sportowej imprezie otrzymaliśmy z mężem bardzo serdeczne listy z podziękowaniem od p. Rudowskiego, gdzie dopisała się p. Rudowska oraz córeczka Magda. Senator pisał... *Jeszcze raz serdecznie pragnę podziękować za Ich przemiłą gościnność i przeprosić za ambaras, jaki swoim najazdem zrobiliśmy. Mamy nadzieję, że choć częściowo będziemy mieli możliwość zrewanżować się przyjmując Sz.P. w Półwiesku. Piękna jest Wasza dzielnica i mili bardzo jej mieszkańcy (...)* Magda opisuje drogę powrotną. *Mechanicy w Aeroklubie Warszaw.,* orzekli, że zgięty jest, czy spaczony ster i musi być naprawiony, więc jeden dzień zatrzymaliśmy się w Warszawie, by skutecznie naprawę. *Widzieliśmy się w Warszawie z p. Wołodią, który w przelocie nad morze ma lądować w Półwiesku, więc oczekujemy go. Przesyłamy wszystkim*



*miłe pozdrowienia i spodziewamy się gościć niedługo, jeszcze w lipcu Szanownych Państwa.*

Wołodia, to ten gruby Wołodia Kurec, który miał specjalnie ze względu na swą tuszę przerobioną kabinę w awionetce.

W tym liście z 3 lipca 1936 Magda Rudowska tak pisała o przelocie: *Kochana Pani!*

*Strasznie miłe mamy wspomnienia w ogóle z Wileńszczyzny i gościnności u Państwa. Według umowy piszę mój list z lotem do domu. Do Grodna bardzo rzuciło, potem trochę mniej, gdy weszliśmy na tysiąc sto metrów. Lecieliśmy prawie 2 godziny. W Grodnie byliśmy już o godz. pół do trzeciej a siedzieliśmy do piątej. Zjedliśmy „podsobę”, którą nam Pani dała i nad rzekę. Tam wykąpaliliśmy się i wygrzali, naleli benzyny i jazda do Warszawy. Potem leciało się nam świetnie, bardzo było przyjemnie. O wpół do siódmej byliśmy w Warszawie. Na drugi dzień mieliśmy lecieć do Półwieska, ale w sterze coś pękło i poleciliśmy dopiero na drugi dzień o czwartej godzinie. Rano w poniedziałek zabił się jeden pilot z Aeroklubu. Jeszcze wieczorem, w środę byliśmy u Państwa Prausów, był tam Drzewiecki, który opowiadał swoje wrażenia z Afryki, szalenie ciekawe rzeczy. Wróciliśmy o jedenastej, a wstaliśmy o czwartej rano, wcale nie mogłam wstać, tak strasznie chciało mi się spać. Strasznie dużo mieliśmy rzeczy, ale start poszedł dobrze, wiatr był lewoogonowy i w Półwiesku byliśmy o 6-ej. Lecieliśmy 55 minut. Wszyscy spali dopiero Ewcia ich obudziła. Lataliśmy jeszcze 15 minut po Półwiesku i po drugim majątku obejrzeć i dać czas siostrze moim ubrać się. No i potem opowiadałam im bez końca.*

*Jeszcze raz dziękujemy za gościnność i prosimy Państwa do Półwieska. Cauję Panią bardzo mocno i pozdrowienia dla Pana przesyła.*

*Magda Rudowska*

Nie mogę opisać w tych wspomnieniach wszystkich moich lotów. Było ich dużo. Pamiętam jednak, że przeżywałam emocje, gdy poleciałam z por. Zakrzewskim i trzeba było lądować na niewielkim placu. Schodził więc on do lądowania ślizgami, pochylając maszynę na bok i w ten sposób zmniejszał pułap prędko, ale dla mnie było to coś nowego, należało chyba do akrobacji.

Nie znałam jeszcze wówczas zagadnienia „zamiany sterów”, gdy przy głębokich wirażach następuje zmiana sterów. Takie właśnie wiráže spo-

wodowały śmierć śp. pilota Gidwiłły, który w dzień urodzin Marszałka poleciał do Zułowa (gdzie się Marszałek urodził) i tam chciał lotem złożyć mu życzenia.

W roku 1938, dnia 25 czerwca odbył się Międzynarodowy Rajd Automobilklubu Polskiego. Pierwszy etap prowadził z Warszawy nad jezioro Narocz do wsi Kupa. Ta cicha wieś położona nad brzegami jeziora Narocz zamieniła się w miasteczko automobilowe. Na przyjęcie gości wyjechali wileńscy automobiliści, którzy serdecznie witali nadjeżdżających zawodników. Na kwatery zajęte były wszystkie schroniska a nawet wagon salonowy oddany do użytku zawodników przez dyrekcję kolejową. Sprawnie zorganizowano obsługę techniczną i punkt żywnościowy.

Prasa wileńska opisując ten Rajd, w którym brały udział 62 samochody (a do mety przyjechało 61) podała wzmiankę w sprawozdaniu pod tytułem *Podniebny Salut*:

*Koło godz. 3 po południu nad parking nadleciał samolot RWD pilotowany przez p. mec. Sztukowską w towarzystwie instruktora kpt. Krzykowskiego (omyłka: powinno być Kurnatowskiego). Samolot ten zatoczył kilka wiraży nad parkingiem po czym wylądował na lądowisku w pobliskich Kobylnikach. P. Sztukowska w ten sposób pragnęła odwiedzić swego krewnego, który jest vice-komandorem rajdu oraz złożyć wizytę automobilistom.*

Zaś w „Polsce Zbrojnej” z dnia 27 VI 1938 roku w sprawozdaniu z pierwszego międzynarodowego rajdu, gdzie zwycięstwo odniósł Wiedeńczyk Wessely, który z Warszawy nad Narocz jechał 5 godzin 42 minuty, była wzmianka, że *na mecie powitała zawodników pilotka p. Sztukowska oraz oddział kawalerii*<sup>38</sup>.

Zawodnicy zagraniczni i polscy byli zachwyceni organizacją Rajdu, zachwyceni Naroczem, piękną drogą, szczególnie trasą Wilno-Narocz. Porządek i dyscyplina była na szosach, znakowanie i pokazywanie kierunków jazdy doskonałe. Wszyscy byli zadowoleni. Gdy zawodnicy byli już niezbyt daleko od mety leciałam nad szosą nad nimi na dosyć niskiej wysokości i mogłam dobrze obserwować ich zmagania. Spotkałam tam mego szwagra Stefana Sztukowskiego<sup>39</sup>, znanego automobilistę warszawskiego i członka Aeroklubu Warszawskiego.

Podczas mych lotów miałam też takie zdarzenie, a było to w Budstawiu, gdy wracaliśmy z Januszem od państwa Oskierków. Na przygod-

nym lotnisku p. Janusz miał rolować do startu, zapuścił silnik i w tym momencie samolot nosem usunął się w dół tak, że kręcące się śmigło zaryło się w ziemię. Ja natychmiast wyłączyłam gaz, za co mnie pochwalono, bo p. Janusz tego nie zrobił.

Przejdę wreszcie do ostatniego tragicznego wydarzenia w lecie 1938 roku. Wracaliśmy z panem Januszem znad Narocza do Wilna, gdy na horyzoncie przed nami zrobiło się zupełnie czarno. A więc burza! Chcieliśmy się przedrzeć przez jakieś okienko wśród chmur, ale nigdzie nie było żadnej szpary w tej czarności. Jeszcze nie padało, ale nadlatujące chmury zapowiadały, że lada chwila lunie. Awionetką zawsze można uciec od burzy zwykłej, gdyż szybkość maszyny jest większa od szybkości wiatru. Rozglądaliśmy się w tych chmurach, jak się przemknąć na północny-zachód ale nie było możliwości. Zaczęło nami rzucać, to były trudne chwile, jakie przeżywaliśmy. Trzymając drążek trzeba było dużej siły, aby wyprostować maszynę. Nie było żadnej możliwości dalszego lotu do domu i postanowiliśmy wrócić nad Narocz. Wichura była cały czas, jeszcze nie padało, gdy zawróciliśmy i orientując się już nie „kicha” czy krzyżem na ziemi, ale dymem wychodzącym z kominów domów, nad którymi przelatywaliśmy, domyślaliśmy się, jaki jest kierunek wiatru, gdyż startuje się i ląduje zawsze pod wiatr. Wylądowaliśmy szczęśliwie, a widząc, że burza się zbliża zaczęliśmy zabezpieczać maszynę. A więc złożyliśmy jej skrzydła i przywiązaliśmy linkami samolot do haków wbijanych w ziemię. Samolot był kryty RWD-13, deszcz zaczął padać, ja weszłam do kabiny aby się schronić przed deszczem, pan Janusz jeszcze coś robił przy zabezpieczeniu maszyny. Był on w jasnym garniturze, więc chcąc mu podać gumowy jego płaszcz, który był w bagażniku za tylnym siedzeniem, wstałam aby otworzyć zamek błyskawiczny i podać mu płaszcz.

W tym momencie poderwało awionetkę jak piórko, pękły linki i ja siedząc w kabinie byłam toczona przez huragan koziółkując razem z samolotem i objając się o wnętrze samolotu posiadającego cały szereg przyrządów mosiężnych, krawędzi itp. Całe szczęście, że wiatr „zdmuchnął” mnie nie w kierunku pola czy łąki, lecz w kierunku młodego lasu. I po wywinieciu wielu koziółków oparłam wreszcie na drzewie. Pan Janusz biegł za samolotem i myślał, że już nie żyję. Gdy dopadł, zaczął wybijać szyby celofanowe, aby mnie wydostać z wnętrza samolotu. Ja



przytomności nie straciłam, nic mnie nie bolało, powiedziałam mu, aby szybko nie wybijał tylko otworzył mi drzwiczki, które były na górze, gdyż samolot leżał na boku, miał strzaskane skrzydła, uszkodzoną kabinę (motor był w porządku). Wówczas on otworzył drzwiczki, podał mi rękę i tak wydostałam się na zewnątrz. Huragan szalał, drzewa mniejsze kładły się, miało konarami dużych drzew, łamało je, deszcz lał jak z cebra. Pan Janusz zdecydował, aby się oddalić od samolotu, bo kierunek wiatru może się zmienić i możemy dostać w łeb 300-kilogramowym motorem. Pantofle zostały w samolocie, zleciały mi z nóg podczas koziółkowania, byłam więc bosa, bo cienkie pończochy od razu się podarły. Odeszliśmy na pewną odległość i przykucnęliśmy pod jakimś krzakiem. Huragan nadal szalał. Zauważyłam, że moja biała sukienka, która oblepiła się na mnie, zaczyna robić się różowa, więc zapytałam pana Janusza, czy ja jestem ranna, bo nie czułam żadnego bólu. On mi odpowiedział, że mam rozciętą skórę na głowie, skąd płynie krew i zabarwia moją sukienkę na różowo. Poprosiłam go o chustkę i położyłam ją na głowie, aby zatamować krew.

Trzeba było szukać ratunku. Wyszliśmy więc spod tych krzewów i z trudnością doszliśmy do jakiejś chałupy, aby się dowiedzieć, gdzie tu jest jakaś miejscowość, gdzie jest lekarz. Powiedziano nam, że idąc na przelaj przez rżyska, to o jakieś 2 km mieszka p. dr Dybowska w swoim folwarku. Idąc drogą musieliśmy przełazić przez powalone drzewa, burza jeszcze szalała, ale o mniejszym nasileniu. Wyszliśmy na pole we wskazanym nam kierunku przez ludzi i boso po rżysku szłam w kierunku zabudowań lekarki. W nogi kłuło ściernisko, ale ja byłam w takim szoku, że mnie nic nie bolało: woda spływała mi z włosów na twarz, tworząc loczki „wiekuistej ondulacji” na twarzy i czerwieniąc suknie. Przedstawiałam obraz nędzy i rozpacz. Lekarka zabrała się do opatrunku. Ścięła włosy w okolicy rany, która okazała się długa na 15 cm, przecięta jak gdyby nożem do czaszki. Zszywanie wcale mnie nie bolało, chociaż skóra na głowie jest gruba i półksiężycowa igła była siłą wbijana w brzeg rany.

Położono mnie do łóżka. Pan Janusz wyjechał wydzwoniwszy sobie z posterunku policji samochód z Wilna. A ja zostałam u lekarki. Posiniaczona byłam do tego stopnia, że nie tylko ramiona miałam granatowe, ale nawet paznokcie u nóg. Nazajutrz przysłano po mnie samochód, ale



lekarka mnie nie puściła, uważając że mogłam mieć wstrząs mózgu i w tym stanie jechać ponad 100 kilometrów nie jest wskazane. Ale po kilku dniach znowu przyjechało auto i wyjechałam do Wilna. Po drodze spotkałam jadących na manewry gen. Rudolfa Dreszera i Zmorę, któremu pan Janusz już opowiedział, ale bardzo oględnie o wypadku. Zmora zrobił zdjęcia tego spotkania i sfotografował gen. Dreszera na tle rozbitego samolotu. Oni pojechali na manewry, a ja do domu. Po drodze obserwowałam połacie lasów połamanych na wysokości człowieka.

W domu dostałam temperatury i sprowadziłam konsylium: internistę i chirurga. Internista nic nie wykrył niebezpiecznego, a chirurg po zdjęciu bandaży stwierdził ropowicę. Penicyliny wówczas nie było. Głowa była tak spuchnięta, że miękka była jak poduszka. Zabrano mnie do szpitala. Krwiaki w niektórych miejscach przetwarzały się w ropne guzy wielkości śliwki. Lekarze starali się robić kanały między raną a tymi miejscami ropnymi, tam pakowali długie kawałki merli a przy opatrunkach je wyciągali i wkładali czyste i stan się nie polepszał, lecz pogarszał. Wówczas zdecydowano się na operację: otwarcie zropiałego miejsca, przecięcie trójkąta skóry i odchylenie go, by mieć bezpośrednio dojście do zropiałych miejsc i należyte ich wyczyszczenie. Ta operacja była robiona na żywo, bez znieczulenia. No i dwa miesiące pobytu w szpitalu świadczy o powadze mych okaleczeń. Gdy już byłam w domu i zaczynałam chodzić na rozprawy, nazywano mnie „Elizabeth Arden”, bo taka była etykiетка reklamowa tej firmy produkującej kosmetyki.

W gazecie „Wieczór Warszawski” Nr 192 ukazał się artykuł pod tytułem: *Trupy, ruiny, połamane lasy – plon straszliwego huraganu.*

*Postawy dnia 8, 7. Specjalna komisja bawi na terenie powiatu postawskiego celem ustalenia strat poniesionych przez ludność podczas huraganu, który nawiedził tamtejsze okolice przed dwoma dniami. Na terenie gminy miadziolskiej, postawskiej, kobylnickiej burza zniszczyła 85 osiedli, 36 domów mieszkalnych, 355 budynków gospodarczych. Wiele osób zginęło na skutek uderzenia piorunu. We wsi Syrki piorun zabił 15-letnią pastuszkę Julię Kowinko. W miasteczku Stary Miadzioł waląca się strzecha przygniotła 65-letniego Mowszę Iskryna, który poniósł śmierć na miejscu. Podobnie zginął pod zwaliskami stodoły Aleksy Koczergo we wsi Koczergi. Gdy huragan nadchodził, na jeziorze Batrym 2 kobiety przejeżdżały łodzią. Potężny poryw wiatru podniósł na jezio-*

rze ogromną falę, która wyróciła łódź i obie niewiasty: Aleksandra Mełko i Maria Czerniawska utonęły. Zwłok dotychczas nie odnaleziono. Wobec wielkiej głębokości pozostaną one na zawsze w odmetach jeziora. Oprócz tego na prowizorycznym lądowisku koło jeziora Narocz przy miejscowości Kobylnik został poważnie uszkodzony szukający w lądowaniu schronienia przed burzą samolot pilotowany przez Jana Kurnatowskiego. Ogólne straty wyrządzone przez huragan sięgają pół miliona złotych. Władze zorganizowały doraźną pomoc dla ofiar, które w wielu przypadkach dosłownie pozostały bez dachu nad głową. W trzech gminach pow. postawskiego zasiewy zostały całkowicie zniszczone. Szczególnie ucierpiały lasy. Drzewa na znacznych przestrzeniach są powyrywane z korzeniami i leżą pokotem. Wiele strzech zostało odniesione przez wiatr na odległość paru kilometrów.

Po zupełnym wyzdrowieniu pojechałam na lotnisko, aby się przekonać, czy czasem wypadek nie pozostawił po sobie urazu? Czy będę jeszcze chciała latać? Okazało się, że nie miałam „urazu”, ale „Kokoszka Wileńska” (tak się nazywała awionetka) nie nadawała się już do latania. Oprócz motoru, wszystko było połamane, rozbite. Pan Janusz wyjechał do pułku do Lidy. Nie miałam ani RWD-13, ani towarzysza i tak skończył się mój bardzo lubiany sport lotniczy, pełen wrażeń, niezapomniany. Skończyła się kariera przygodnego pilota...

Z zaświadczenia lekarskiego, które znalazłam teraz w moim „archiwum” wynika, że stawałam przed komisją lekarską, która po zbadaniu mnie uznała, iż nadaję się na elewa kursu, który chciałam ukończyć – szybowcowego. Wojna pokrzyżowała plany nam, Polakom i potem po wojnie już tylko lubiłam latać pasażerskimi odrzutowcami – bo to przypominało mi moje młode lata.

Jeszcze może o panu Januszu Kurnatowskim. W roku 1939 przez Rumunię przedostał się do Francji. Był w Lyonie, skąd miałam od niego wiadomości. Po upadku Francji dostał się do Anglii, gdzie służył w polskich formacjach lotniczych. Latał nad Niemcy, walczył. Kiedyś w samolocie, gdy był obserwatorem, zemdleł. Wycofano go z lotów przenosząc do instruktazu. Ożenił się z moją młodszą koleżanką z Kijowa, której dawałam wówczas korepetycje z matematyki. Przypomniała to mi w 1963 roku w Londynie. Ta Ela Bisping-Podlowska I voto była hr. Lubieniecką, pan Janusz był jej drugim mężem. Dopiero po wojnie, gdy

w roku 1963 odwiedziłam w Londynie mego brata, wypiliśmy bruder-szaft. Przyszedł wówczas do mnie, gdzie mieszkalam u adw. Sukiennic-kiej, z pękiem czerwonych róż. Mówiłam do niego: *Panie Januszu, tyle było plotek na nasz temat przed wojną, tyle podejrzeń, a myśmy się nigdy nawet nie pocałowali.* A on na to – *Może i szkoda.*

Będąc w Londynie w drodze powrotnej z Meksyku i Kanady w roku 1968 widziałam raz jeszcze Janusza. Potem otrzymywałam od nich listy. Janusz ciężko zachorował, przypuszczałam, że to był rak płuc, palił nałogowo, dusił się kaszlał, bardzo cierpiał, pisał, żeby do niego przyjechać, przysłał zaproszenie. Nie pojechałam. Z tego co pisała Ela, widać było, że jest on ciągle w szpitalu, że źle wygląda i czuje się fatalnie. Miał opiekę. Chciałam go wspominać jako wspaniałego kompana i przystojnego męż-czyznę. Nie chciałam go widzieć w takim stanie, jak jest teraz.

W rozmowie z Januszem trzeba było domyśleć się prawdy „między wierszami”. Nie można było nic brać dosłownie. Sam wiedział o tym, że inni wiedzą i nazywał to „bzdurkami”. Był skryty, bardzo opanowany, ślicznie ułożony – jeżeli chodzi o formy towarzyskie. Oczytany, zaprzy-jażniony z malarzami, aktorami, światem warszawskiej bohemy. Był uro-czy! On nauczył prof. Pruszkowskiego prowadzić samolot, wtedy Prusz-kowski kupił sobie awionetkę i na wystawę – Biennale do Wenecji leciał własnym samolotem. Był bardzo zaprzyjażniony z Zabetą Pruszkowską, żoną Tadeusza Pruszkowskiego. W ogóle przyjaciółek miał wiele...

Matkę jego wojna zaskoczyła w pensjonacie w Balinpołu. Potem mieszkała u mnie w Wilnie. Robiono jej udaną operację katarakty. Była to osoba bardzo inteligentna, czytana, znająca języki. Po kilku latach zachorowała i przewiozłam ją do Balinpoła. Tam zmarła, pochowana obok mego ojca, brata... na wiejskim cmentarzu. Gdy mu o tych cza-sach opowiadałam, miał oczy pełne łez. Był mi wdzięczny. Po tej dłu-giej i ciężkiej chorobie zmarł w roku 1975, w Londynie.

Znalazłam listy jego pisane przed wojną. Kilka z nich przytoczę; 24 II 1939 r.:

*...Nie, nie ma błota w Lidzie... wielkie szerokie pole lotniska zastane białe, śnieg leży, nie głęboki co prawda, ale dość aby pokryć to co naj-brzydsze. Matowy odbłask tych dni białych i bezsłonecznych czuję w sobie; taki właśnie jestem; równy, biały położył się ten odbłask na moich bliznach i na moich Boże się pożał sprawach... Źle, że pani choruje, że*



Cię boli, o ile słyszałem była Pani na „ostatki” w Klubie Prawników, ale może to wiadomość fałszywa. Pyta Pani, czy mam dużo pracy – dużo, nawet bardzo dużo, ale to dobrze. Od rana wczesnego jestem przeraźliwie czynny – uczę, nakłaniam, przekonuję, wytykam, przynaglę, popycham, naciskam, nawet odzywam się ostro, kiedy potrzeba i jest bardzo dobrze, tak jak jest. A wieczorem u siebie jestem jak mówca, który z wyniosłej trybuny sprzed oblicza wielkiego audytorium znika po wielkiej oracji w cieniu kulis... ręką ociera pot z czoła, przygasza „płomienny” wzrok, ruchy przycisza i nerwy przycisza, zwalnia muskuly i myśli spuszcza z obroży takiej czy innej. Wtedy znów jest zaraz wiele wrażliwości, ale wtedy, to jest właśnie życie... Janusz.

P.S. Za liścik Pani Halu miła ukłon piękny i podzięką. Ale jeszcze napisać proszę. Do Wilna nie przyjadę, bo mnie nie zapraszają tak, jakbym chciał, a ja bardzo dużo chcę... lecz łatwo się wyrzekam. J.

II list, bez daty.

Oto jego treść.

Nie pisz do mnie proszę miłych liścików, bo mieszasz szyki. Już się nastawiłem na Nią, wyszydzałem Ją i oskarżam – ale na pocztę naszą biegam – list chwytam jak zdobycz, do norki niosę, tam dopiero czytam. Ach, Hala przebrzydła – znowu cię chcę udusić... Janusz.

III list z 17 VII 1938 r.

Upały, pełne lato, stoi nad światem, niebo leje żar na ziemię jak ukrop do niecki. Leniwe myśli wolne i z wszelkiego sensu wyprażone ruchy. Jak tam droga Pani Halu, co Pani robiła w Warszawie, kiedy Pani wyjechała do Morszyna?

Z kim się właściwie Pani umówiła do tego miejsca, bo działanie było całkowicie ukartowane, to przecież jest oczywiste! I znowu przychodzi mi uparta myśl do głowy, że nie pomyliłem się ani na jotę – wtedy, kiedy jak to już dawno mówiłem żartem, a przemyślałem podświadomie: miła, zmuszająca do trwalszych uczuć, powierzchowna, trochę zdawkowa... To było na balkonie. J.

List IV z 28 VII 1939 (do Morszyna gdzie byłem na kuracji):

OOOOO! leży, ma głodówkę, wygląda jak straszdytło, blada, słaba, gruba... Ale dlaczego taka blada, słaba, gruba – leżysz tak daleko ode mnie. J.

Janusz był bardzo wygimnastykowany, gdy był młodszy miał jakieś



mistrzostwo w biegu na 400 metrów. Przekonałam się o jego sprężystości i zręczności na lądowisku w Kobylniku. Chcąc uruchomić samolot, gdyż starter zawodził, śmigłem zaczął kręcić, oczywiście po każdym zamachu odskakiwał aby nie dostać uruchomionym śmigłem w łeb. Śmigło zapaliło motor i samolot bez obsługi zaczął startować. Widocznie był włączony bieg. Janusz biegł za samolotem, dognał go, wspiął się na kabinę i to jedną ręką, a drugą wyłączał gaz. Był tak wyczerpany fizycznie i nerwowo po tym incydencie, że wracaliśmy do Wilna następnego dnia.

Janusz nie lubił tańczyć. Niejednokrotnie namawiałam go do tańczenia, ale mi odpowiadał: *ja bardzo lubię trzymać w objęciach kobietę, ale po co mam z nią latać po sali*. Mnie nazywał zimną jaszczurką, ja się broniłam przekonując go, że jaszczurki nie są plazami – są ciepłe.

Latając często nad Narocz chcę wspomnieć również o płk. hr. Konstantym Przeździeckim<sup>40</sup>, noszącym barwy 14 pułku ułanów jazłowieckich. Pułkownik miał motorówkę i domek urządzony na łodziach, który to domek motorówka od brzegu do brzegu przyciągała. Domek miał kabinę płócienną do przebierania się, dach był miejscem do opalania się na kabinie, były: kanapki, stoliki, radio oraz miesięczniki i tygodniki w różnych językach. Na obiad jeździliśmy do schroniska położonego na brzegu jeziora, a po obiedzie wracaliśmy motorówką na jezioro. Do pomostu przy kabinie przyczepione były kajaki, którymi można było jeździć po jeziorze. Bywało tak, że umawialiśmy się z pułkownikiem, iż w określony dzień przylecimy do Kobylnika i tam czekał na nas Przeździecki ze swoim pięknym samochodem i odwoził do schroniska, gdzie też wszyscy nocowaliśmy.

Po tych perypetiach, jakieśmy mieli z Januszem w czasie naszych lotów, w rozmowie z ludźmi opowiadał: *Tej jaszczurki dobić nie mogę. Myślałem, że po tej ostatniej katastrofie będzie jeździła na wózku i wreszcie będę miał spokój, a ona straci swoją energię no i nie będzie się już nikomu podobata*. Takie żarciki rzucał Janusz, ale wiadomo było, że myśli co innego.

Kuzynka Janusza Kurnatowskiego p. Irena Lorentowicz wydając swe wspomnienia umieściła zdjęcie Janusza w swej książce. Mówiła też o nim bardzo ciepło. W dedykacji dla mnie wspomniała o naszej wspólnej sympatii dla tego człowieka.

## Rozdział IX

### MOJE TRZY WIĘZIENIA

Przez okres trzech lat byłam w Wilnie kuratorem więziennym. Była to praca społeczna, która interesowała mnie bardzo. Nieraz zastanawiałam się nad tym, że, dopóki nie zapadnie wyrok, przestępcą zajmują się ludzie inteligentni, a więc sędzia śledczy, prokurator, potem sędziowie, lekarze-psychiatrzy, adwokaci – ludzie z wyższym wykształceniem. A po wyroku, wtedy gdy przyjdzie czas na karę ale i na resocjalizację, na przygotowanie się do powrotu do życia w społeczeństwie, skazańcy mają już do czynienia tylko z „oprawcami”, ludźmi ograniczonymi, którzy absolutnie nie mają najmniejszych kwalifikacji do wychowania więźnia. Któż bowiem przejmował i przejmuje stanowiska strażników więziennych? Stanowisko to w praktyce mało się różni od sytuacji samego skazańca. To, że po odbyciu przepisowej ilości godzin pracy „klawisz” będzie miał możliwość powrotu do domu, do rodziny, na wolność – nie zmienia faktu, że dozorca przebywa większą część życia w ponurych murach więzienia i jego głównym zadaniem jest dążenie do zwiększania dolegliwości kary. Ludzie wrażliwi i traktujący więźnia zbyt łagodnie nie nadają się do tej pracy, a kierownictwo wymaga od nich takiego stosunku do więźnia, aby odczuwał on dolegliwość więzienia, bał się kar dyscyplinarnych, które mogą decydować o opinii na jego temat. Wobec zbyt licznych „dyscyplinarek” więzień może być uznany za „niepoprawnego” i nie kwalifikującego się do przedterminowego zwolnienia. Na dozorców przeważnie idą ludzie bezwzględni, twardzi, przykrzy w obcowaniu z więźniem. Resztę robi, a więc demoralizuje gruntownie ich praca w więzieniu, negatywny stosunek otoczenia i kontakt z niepoprawnymi często recydywistami.

Poznałam tych ludzi dobrze będąc kuratorem i byłam świadkiem usunięcia bardzo dobrej i inteligentnej dozorczyńi, tylko za to, że była lubiana przez więźniarki i należycie je oceniała. Dozorcami w więzieniu na Łukiszkach, które mieściło 1.000 więźniów, byli osobnicy, którzy ani nie znali, ani nie umieli stosować metod pedagogicznych. Po wyroku więzień dostawał się w ręce prostaków, o twardych sercach, absolutnie nieprzygotowanych do pracy „wychowawczej”, nie mających żadnego przygotowania do tej trudnej, ale i ciekawej i społecznie niezwykle ważnej pracy.

Prowadząc sprawy karne, odwiedzając swych klientów – nasłuchiwałam się wiele od więźniów i więźniarek, jaka jest ich sytuacja. W tym czasie powstał w Wilnie „Patronat Więzienny”, do którego rzecz jasna wstąpiłam. Prezesem patronatu został profesor prawa karnego Bronisław Wróblewski, sekretarką była pani Sumorokowa, żona pisarza hipotecznego, ja z zapałem objęłam prace kuratora więziennego. Niektóre sprawy opisałam w swym pamiętniku sądowym, gdyż oczywiście, gdy więźniarka prosiła mnie o obronę, przyjmowałam ją – jako pracę społeczną – i broniłam za darmo. Zjechałam sobie wtedy wiele „przyjaciółek” i wspominam ten okres mego życia jako bardzo ciekawy.

Z Prokuratury Apelacyjnej otrzymywałam prawo wstępu do więzienia o „każdej porze dnia i nocy”, gdy jednak szłam do mego klienta, który mnie wzywał pisemnie – miałam zawsze dodatkowe pozwolenie od władz śledczych lub też władz sądowych.

Odwiedzałam więc więźniarki kolejno, rozmawiałam z nimi sam na sam. Zwierzały mi się ze swych smutków, tragedii życia rodzinnego, i zauważyłam, że zabójczynie stanowią najciekawszą grupę więźniów kryminalnych. Czyny ich przeważnie były popełnione pod wpływem silnego wzruszenia psychicznego i stosunek ich do zawodowych przestępczyń (np. złodziejek) był bardzo pogardliwy. Była to elita – arystokracja więzienna. Mając zebrany dość duży materiał zaproponowałam ówczesnemu dyrektorowi Rozgłośni Wileńskiej Polskiego Radia Witoldowi Hulewiczowi, że chciałabym o niektórych sprawach patronackich powiedzieć przed mikrofonem. Zgodzono się i wygłosiłam szereg prelekcji o różnych kategoriach skazanych, mówiłam o sądownictwie dla nieletnich i wreszcie o samym więzieniu „Łukiszki”<sup>1</sup>, poruszając między innymi fakty, gdy łamane było prawo. Czasami bowiem w więzie-

niu pozostawały kobiety, u których psychiatrzy dopatrzili się pozbawienia poczytalności, i postanowienia Sądów orzekały umieszczenie tych kobiet w zakładach psychiatrycznych. Tymczasem zamiast w szpitalu siedziały one w więzieniu, razem ze zdrowymi kobietami, tworząc sytuację bezprawną i stanowiąc dodatkową dolegliwość dla pozostałych więźniarek, które doznawały specjalnych katuszy siedząc z osobami chorymi psychicznie. Wygłosiłam na ten temat bardzo ostre przemówienie, które mam zachowane do dziś. Mówiłam tam o nieprzestrzeganiu prawa i popełnianiu przez władze czynów niehumanitarnych<sup>42</sup>. Raport o moim wystąpieniu otrzymało Ministerstwo Sprawiedliwości i Prokuratura Apelacyjna.

Po mojej pierwszej pogadance radiowej *O zabójczyniach* natychmiast zadzwonił do mnie, jeszcze do rozgłośni, Witold Hulewicz, który wyraźnie wzruszony, bardzo pozytywnie ocenił moją wypowiedź i prosił mnie, abym – jeśli tylko mogę – nadal poruszała te sprawy w radio. Starłam się to robić możliwie najlepiej, aby informować opinię publiczną o tych sprawach.

Kuratorem więziennym byłam chyba przez 5 lat, dobrze już nie pamiętam, ale po mnie nikt nie zajął tego stanowiska. Chodząc na „Łukiszki” nie przypuszczałam, że już niedługo nastąpi taka sytuacja, że podczas okupacji dwukrotnie do tego samego więzienia będzie mnie prowadził gestapowiec i wiele miesięcy spędzę w tych samych celach, które odwiedzałam jako kurator.

Zostałam więźniarką gestapo.

Pierwsza z tych spraw nie była poważna. Zarzucano mi, że przesyłam do Warszawy, w której przebywała moja znajdująca się w trudnych warunkach materialnych rodzina, pewną ilość dolarów. Dowiedziałam się bowiem, że moja bratanica Hala Falewiczówna – w rodzinie nazywana „Dziką” jest ciężko chora na gruźlicę, podczas gdy jej ojciec (a mój stryjeczny brat) Andrzej, siedział w obozie dla jeńców wojennych w Murnau. Jego żona – Zocha z Lenczewskich Falewiczowa opiekowała się schorowaną teściową, moją ciotką – generałową Falewiczową i swoim kilkunastoletnim synem – Jankiem. Wysłałam im złotą „dwudziestodolarówkę” przez jedną panią, która często przechodziła przez granicę, a którą znał mój kuzyn – Olo Bormann. Pani Halinie (bo tak się nazywała), która handlowała kosmetykami, Olo dał ode mnie pienią-



dze, ale pech chciał, że właśnie wtedy przyłapano ją na granicy. Ona powiedziała władzom, że dolary dostała od mojego kuzyna, Olo z kolei „wyklepał” mnie. I tak wszyscy znaleźliśmy się w kryminale, nic o sobie wzajemnie nie wiedząc.

Pamiętam, że byłam wówczas w Balinpolu w ogrodzie owocowym, gdy przyszedł do mnie bardzo zdenerwowany Ludwik Sempoliński, ukrywający się u nas pod nazwiskiem Kalina<sup>43</sup>, informując, że Gestapo przyjechało po mnie. Namawiał, abym się ukryła w ogrodzie: być może zechcą szukać, ale na razie rozmawiają z matką, która zapewnia, że nie jestem w Balinpolu lecz w Wilnie. Pogoda była marna, zaczęło padać, ja kładąc się na ziemi ukryłam się między krzakami malin. Sempoliński też odszedł w głąb ogrodu, żeby nie być widzianym. Kilka razy przychodził do mnie, mówiąc abym nie wychodziła, bo jeszcze jest Gestapo. Wreszcie przyszedł do mnie, zawiadamiając, że mogę już wyjść, bo odjechali, ale... zamiast mnie – zabrali moją matkę. Pojechałam natychmiast do Wilna, aby dowiedzieć się, co będzie z moją mamą, ale nie mogłam być w swoim mieszkaniu, gdzie już była rewizja. Znalazłam przytułek u mojego uniwersyteckiego kolegi – Zwierki na ulicy 3 Maja. Przybywszy do Wilna dowiedziałam się, że podczas rewizji, gdy gestapowcy zabierali niektóre rzeczy, przebywający tam uciekinier z Warszawy – Zygmunt Kowalewski zapytał gestapowców, co to wszystko znaczy, a gdy mu powiedziano, że to rewizja, on stwierdził, że to rabunek. Wówczas usłyszał *Kommen Sie mit* i powędrował do Gestapo. Pana tego torturowano, aby powiedział, gdzie jestem, nie wytrzymał tortur i wydał mnie. Wówczas gestapo przyszło na 3 Maja, gdzie się ukrywałam. Na dzwonek, myśląc że to wraca pan domu – otworzyłam drzwi. *Sind Sie Sztukowska? – ja – Kommen Sie mit.*

Gestapowiec w czarnych okularach odprowadził mnie do Gestapo, które mieściło się w gmachu Sądu na ulicy Mickiewicza przy placu Łukiskim. Areszt był w piwnicach tego gmachu. U góry cel były okienka, przez które można było zobaczyć stopy ludzi przechodzących koło gmachu. Tam spotkałam w umywalni ogólnej mojego lokatora, którego twarz była sina, pokrwawiona i nosiła ślady tortur stosowanych wobec niego. Nie miałam do niego żalu i pretensji. Dowiedziałam się już, że moja sprawa była mała, a jego cierpienia musiały być okrutne.

W celi, w której siedziałam, były jeszcze dwie młode Żydówki, z

których jedna siedziała pod zarzutem ucieczki z getta, a druga – że spała z jakimś Niemcem. Były młode, wesole i nie zdawały sobie sprawy z tego co im grozi. Rano kazano nam sprzątać korytarze, obie chętnie to robiły zaglądając do innych cel. Pamiętam, jak mi opowiadały, że w jednej celi siedzi młody człowiek, który klęczy i modli się. One otworzyły celę i dały mu coś do zjedzenia. Obsługa aresztu w gmachu Sądu była litewska. Trzeba pamiętać, że Litwini – kolaborowali z Niemcami i jedynie na najwyższych stanowiskach w administracji byli Niemcy. Zwykłymi strażnikami byli Litwini.

Młode Żydówki opowiadały mi o swoich śledztwach i mówiły, że ten Niemiec, który je przesłuchuje, jest wysokim brunetem, nosi czarne okulary i nazywa się Martin Weiss. (Przy drugim aresztowaniu miałam z nim spotkanie).

Na ścianach celi więźniowie wypisywali swe nazwiska. Znalazłam tam między innymi nazwisko mojego kolegi adwokata Stanisława Węśławskiego, który już z Gestapo nie wrócił do domu. Spotkałam go raz, gdyśmy się mijali na schodach w Gestapo. Był to moment. On – krótkowzroczny, nie miał okularów, więc ja tylko do niego szepnęłam, gdyśmy się mijali. Nie zdążył jednak odpowiedzieć. Dowiedziałam się później, że został rozstrzelany. Żona jego mieszkała potem w Toruniu, gdzie i ja osiedliłam się z Teatrem Dramatycznym z Wilna. Synowie Stasia Węśławskiego są w Polsce. Jeden z nich to wiolonczelista z Opery Warszawskiej a drugi osiedlił się w Gdańsku i jest inżynierem.

Pilnująca nas obsługa litewska traktowała nas bardzo różnie. Czasami kazano nam trzepać sienniki na podwórzu, co było dowodem życzliwości, bowiem umożliwiało nam przebywanie na powietrzu, ale kiedyś młody, przystojny i elegancki Litwin powiedział do mnie *Ty polska swinio...*

Pobyt mój w Gestapo był niedługi. Przesłuchiowano mnie tylko parę razy po czym przewieziono wprost na Łukiszki, gdzie zamknięto mnie w więzieniu, które tak dobrze – ale w jakże innej sytuacji – poznałam.

Posadzono mnie w dużej celi, gdzie za towarzyszki miałam młode dziewczyny, które nic sobie nie robiły z tego, że siedzą. Najważniejszym ich zadaniem było nawiązywanie kontaktu z więźniarkami siedzącymi w sąsiedniej celi. Podziwiałam wprawę, z jaką posługiwały się one alfabetem Morse'a stukając w ścianę. Zawsze znały nazwiska wszyst-

kich więźniarek, komunikowały się ze sobą wzajemnie, załatwiały sprawy powiadomienia rodziny, czy prośby o przeprowadzenie pilnych spraw. Wszystkie kobiety były nadzwyczaj zdyscyplinowane i miały obowiązek wykonania poleceń. W sąsiedniej celi siedziała między innymi panna Prokopowiczówna, biorąca udział w działalności konspiracyjnej.

Jeśli w godzinach rannych – ale wcześniej niż zwykle – zapanował ruch na korytarzu, oznaczało to, że kogoś zabierają „na rozwałkę”. Cella nasza miała jedno umieszczone wysoko okienko, ale niebezpiecznie się było do niego wspinać. Jeśli „bocian” – strażnik siedzący na dachu, zobaczył twarz w oknie – miał prawo strzelać bez uprzedzenia. Ale jakoś tam wyglądano. Jedna z dziewcząt zasłaniała wtedy „Judasza” (okienko w drzwiach), a inna, podtrzymywana przez pozostałe więźniarki ostrożnie wyglądała przez okno, aby zobaczyć kogo zabierają do stojącej na podwórzu, zakrytej ciężarówce. Pamiętam dzień, jak zabierano na rozstrzelanie pannę Prokopowiczównę.

Po miesięcznym pobycie zostałam wypuszczona razem z tym pobitym panem i moją Mamą. W więzieniu już mnie nie przesłuchiowano. Wyszedł też i Olo Bormann.

Druga moja sprawa była „gardłowa”. Chodziło o przechowywanie 16-letniej Żydówki w Balinpolu. Moja znajoma pani Abramowicz-Wolska<sup>44</sup> zwróciła się do mnie z prośbą, abym ratowała jej najlepszą uczennicę, Żydówkę, która jest urodzona we Francji, szkołę podstawową ukończyła w Belgii, więc zna świetnie język francuski i może uchodzić za Francuzkę. Błagała, aby ją zabrać do Balinpoła, gdzie znajdował się wtedy mój siedmioletni synek – Puluś. Pani Abramowicz przyprowadziła później tę dziewczynę, niepodobną do Żydówki, która przez 6 miesięcy pobytu u nas w Balinpolu nie powiedziała ani słowa po polsku. Udawała Francuzkę i nawet w rozmowach ze służbą „rozmawiała” na migi, aby nie zdradzić absolutnie swego pochodzenia. Papiery oczywiście miała fałszywe – jako Teresa Zielińska (a prawdziwe nazwisko brzmiało – o ile sobie przypominam – Szubicz. Może nie pamiętam i przekręcam. Nie jestem pewna).

Wszystko było dobrze, ale nas administrator (Treuhandler) z ramienia Niemców, zresztą bardzo przyzwoity człowiek, powiedział mojej matce, że niebezpiecznie jest dłużej trzymać panią Teresę w Balinpolu. Udało mi się ją ulokować w sąsiednim mająteczku, skąd niestety Gesta-



po ją zabrało. Kto ją wydał, nie mam najmniejszego pojęcia. Po pewnym czasie przysłano mi wiadomość, że Teresa jest w getcie wileńskim. Po krótkim czasie dostałam pisemne wezwanie do Gestapo. Znając poprzednią reakcję Gestapo, gdy nie znaleziono mnie w Balinpolu i zabrano mamę – zdawałam sobie sprawę, że muszę pójść na wezwanie. Wiedząc, co w więzieniu jest potrzebne, co trzeba gdzieś głęboko schować aby władze nie znalazły – spakowałam się i z tym „węzełkiem” niezbędnych rzeczy, ciepło ubrana, w narciarskich spodniach i butach, z zaszytymi w futrze rzeczami, których mieć nie wolno (jak ołówek, scyzoryk, igły, nici itd.), wyruszyłam do dobrze sobie znanego gmachu Sądów.

Była to zima, 11 listopada 1942 (Święto Odzyskania Niepodległości). Pokazałam wezwanie. Przesłuchiowano mnie w gmachu, nie w areszcie-piwnicy gdzie siedziałam poprzednio. Przesłuchujących było siedmiu. Ja do winy się nie przyznałam twierdząc uparcie, że nie wiedziałam, że Teresa jest Żydówką, że przyjechałam do domu mojej matki, w którym znajdował się mój syn, aby mógł on – jako małe dziecko – przyswoić sobie język francuski. Oni krzyczeli na mnie: *das ist eine Lüge!*<sup>45</sup> Ja przekonywałam ich, że mogą przecież pojechać do Balinpola, przesłuchać służbę, która nigdy nie słyszała z ust Teresy polskiej mowy. O ile jej czegoś było potrzeba, komunikowała się ze służbą na migi. Mówiłam, że wierzę, że oni są sprawiedliwi i wykryją prawdę, którą ja głoszę. Mówiłam tak sugestywnie, że kończąc przesłuchanie powiedzieli, że zostaną zaprowadzona na Łukiszki, sprawa będzie się wyjaśniać. Wtedy wszedł ósmy gestapowiec, wysoki brunet w ciemnych okularach. Ja go zapytałam spokojnie *Sind-Sie Herr Weiss?*

A skąd ja go znam? – spytał.

Ja na to, że dwie więźniarki z którymi poprzednio siedziałam mówiły, że Pan jest przystojny, wysoki brunet, ma *Schwarze Brille* i że jest Pan sprawiedliwy. Wówczas on ustawił tych siedmiu i pytał po kolei, czy ja znam ich nazwiska, ale powiedziałam, że nie znam.

Rozmowa się skończyła. Gestapowcy chcieli sprawdzić, co mam w torbie, ale ja im powiedziałam, że wiem co można a czego nie – a tam wszystko jest dozwolone.

Poprowadzono mnie przez plac Łukiski, do więzienia, które tak dobrze znałam. Po drodze gestapowiec zatrzymał jakąś kobietę i zapy-



tał *Jude*? Kobieta pokazała dowód osobisty, w którym było napisane, że jest karaimką. Tych Niemcy nie tępil. Są to semici nie uznający talmudu. W Wilnie było ich sporo, mieli swoje świątynie w Trokach i w Wilnie na ul. Łukiskiej.

Wprowadzono mnie do kancelarii i zrobiono konfrontację z Teresą, która zobaczywszy mnie struchlała i w swoich zeznaniach płątała się, mówiąc na przykład, że znałam ją przed wojną, co było nieprawdą. Wiedziałam, że jest w takim stanie, że nie wie co mówi. Dowiedziałam się później, że rozstrzelano ją podobnie jak i jej matkę. Po konfrontacji przeprowadzono mnie do więzienia. Dostałam się do dużej celi, w której towarzystwo było mieszane, były inteligentki i były proste babin-y z rynku czy ze wsi.

Spotkałam tam dwie swoje stare klientki, złodziejki, które mówiły różnym babom, które popłakiwały po powrocie z kuchni, gdzie obierały kartofle, że dla nich to zaszczyt, że siedzą w takim towarzystwie. Znając już dobrze obyczaje więzienne jedna z nich „sprawiedliwie” dzieliła otrzymywane paczki od rodzin, a druga – pamiętam – przekonywała mnie, że jej się słusznie należy to, co ukradła. Bo to jest wielka sztuka wyciągnąć na przykład z wewnętrznej kieszeni marynarki portfel, tego trzeba się uczyć od dziecka.

Złodziejki były bardzo sprawiedliwe przy dzieleniu jedzenia. Z paczkami było tak: były tak zwane „dni paczkowe”. Wtedy strażnik Litwin przynosił koszyk, który trzeba było rozładować i oddać pusty. Papiery też nam zabierano i opakowania też. Wpadłyśmy na pomysł aby część papierów zatrzymywać i zwracać je przy następnym „dniu paczkowym”, ale już z napisanymi listami. Listy trzeba było pisać mało widocznie, a papierów tych strażnicy nie sprawdzali. Na gazetach, które otrzymywa-  
liśmy, szły też listy mało dostrzegalne. Gdy nadchodziło Boże Narodzenie, przeniesiono mnie do mniejszej celi, gdzie jako towarzyszkę miałam pannę Baniewiczównę, córkę znanego kupca mającego swój sklep z ubraniami i płaszczami naprzeciwko ratusza. Osoba ta, wiedząca, że Prokopowiczówna została rozstrzelana i należąc do tejże organizacji – przypuszczała, że czeka ją ten sam los. Była bardzo spokojna i opanowana. Klęczała na ławce z łokciami opartymi na stole i modliła się cichutko. Wyroki w tych sprawach były zaoczne. Mówiła do mnie, że jest tak przygotowana na śmierć, jak gdyby trzeba było tylko nacisnąć

klamkę, i... przejść do innego pokoju. Moja sytuacja była podobna, tylko że ja ciągle wierzyłam, że Niemcy dojdą do przekonania, że „Mademoiselle” była rzeczywiście przeze mnie uważana za Francuzkę. Ciągle miałam tę iskrę nadziei, że się uratuję. Jeszcze w czasie mojej bytności w tej celi przyniesiono Baniewiczównie jej wyrok skazujący ją na rok więzienia. Radość moja była wielka!

Siedziała razem z nami na „Łukiszkach” osóbką, która siebie nazywała „Krasnoludkiem”. Miała ogromne zdolności artystyczne. Władze więzienne to dostrzegły – więc poproszono ją, by zrobiła zabawki na choinkę, która miała być postawiona w kaplicy więziennej. Ponieważ „krasnoludek” poczuła do mnie sympatię, powiedziała, że bez mojej pomocy ona tego nie zdąży wykonać. Władze więc zgodziły się na to, abym była w tej samej celi co ona. Ja lepiałam łańcuchy i pomagałam w krajaniu kolorowych papierów, a ona rysowała gwiazdy, aniołeczki, laleczki itp. Laleczki przydały się do prowadzenia korespondencji z domem. Dozorczynie – Litwinki przynosiły na naszą prośbę skrawki różnych materiałów i z tego robione były laleczki, baletnice lub krasnoludki. I właśnie czapki krasnoludków służyły za idealne miejsce na grypsy, które chowało się w tych wysokich kapeluszach. Oddając kosz po paczkach przyniesionych przez strażnika kładłyśmy tam listy zawierające wiadomości o ludziach i sprawach. Do dziś dnia mam te laleczki, które dostawał ode mnie mój synek z więzienia. Mam też list pisany przez Krasnała do Pulusia opisujący historię swej sprawy i życia w zamaskowany sposób.

Na parterze siedział też aresztowany ksiądz katolicki. Widziałam, jak odbywa się spowiedź i rozgrzeszenie bez bezpośredniego zetknięcia się z księdzem, ale na odległość. Komunikacja „przez morze” i tutaj miała miejsce. Więźniarki „stukwały” do siebie przez kaloryfery. Więźniowie wiedzieli, kogo przywieziono, kogo zabrano, czy też wzięto wcześniej rano do „budy”.

W więzieniu zachorowałam na gripę. Początkowo leżałam w celi, potem przeniesiono mnie do szpitala więziennego, w którym spotkałam się z uprzednio mi nieznaną panią Haliną, związaną w pierwszej mojej sprawie z Olem Bormannem i ze mną. Pani Halina była wesołą osobą, nie robiącą sobie nic ze sprawy przemytu moich pieniędzy do Warszawy. Napisała wiersz, który zachowałam do dziś. Zachowałam

też kilka „aniołków” wyciętych z grubego papieru, zrobionych w więzieniu przez „krasnołudka”. Byłam jeszcze w szpitalu, gdy zjawił się „krasnołudek”, która mi wyjaśniła, że chora nie jest, ale chciała koniecznie być ze mną, więc udła jakąś chorobę, czy atak bóleści i przeniesiono ją do szpitala. Niestety „krasnołudek” tkwiąca głęboko w konspiracji została, jak później się dowiedziałam, przez Niemców rozstrzelana...

Gdy wracam myślą do więzienia na „Łukiszkach”, to wspominam solidarność, jaka panowała w stosunkach między współwięźniarkami. Nie rozmawiało się o sprawach, ale na każdym kroku odczuwało się życzliwość dla współwięźniarek niedoli. Dzieliliśmy się paczkami, udzielałyśmy sobie rad, robiłyśmy wszystko, aby się nie załamywać. Siedzenie bezczynne szalenie deprymuje, niezależnie od tego, czy ma się sprawę poważną czy błąhą. Dla zabicia czasu robiłyśmy więc różne robótki ręczne. Nauczyłam moje współtowarzyszki na pamięć wierszy. Pamiętam młode dziewczyny, powtarzające recytowany przez Sempołińskiego wiersz *Człowiek*, który powstał w czasie mej pracy suflerskiej w „Teatrze Miniatur” w Wilnie<sup>46</sup>.

Po równo trzymiesięcznym pobycie w więzieniu, 11 lutego 1942 roku zostałam zwolniona. Byłam jeszcze chora. Miałam jednak możliwość zawiadomienia mojej matki, że następnego dnia wychodzę i że jestem chora. Zabrawszy manatki, szczęśliwa nad wyraz znalazłam się przy bramie. Prosiłam strażnika więziennego, aby zobaczył przez okienko, czy jest dorożka i mama. Nie było nikogo. Prosiłam, że poczekam, ale nie zgodził się, otworzył bramę i wypchnął mnie na ulicę. Był mróz i zadymka. Ledwo stałam na nogach. Miałam gorączkę i byłam bardzo słaba. Co robić? Iść nie mam siły, więc stać i czekać? Też w gorączce? Zdecydowałam się iść w stronę placu Łukiskiego i moim celem było mieszkanie i czytelnia ciotki Elżbiety Żukowskiej<sup>47</sup>, na ulicy Mickiewicza, niedaleko Sądów. Wlokłam się a nie szłam, odpoczywałam co chwilę, zatrzymując się u znajomych na Montwiłowskim Zaułku, który miałam po drodze i wreszcie dowlokłam się do Ciotki, gdzie zastałam Mamę i Pulusia, który wtedy miał już siedem lat.

To było moje drugie więzienie, ale los tak chciał, że po 9 latach, w Polsce, przeżyłam trzecie, trwające siedem miesięcy i chyba najcięższe więzienie...



Dlaczego znalazłam się po raz trzeci „pod kluczem”? Mieszkała u mnie wówczas moja bratanica, Wanda Falewiczówna, nazywana w rodzinie „Tutą”. Matka jej, a moja bratowa mieszkała początkowo w Legnicy, potem zaś w Morągu. Stosunki między matką a córką nie układały się dobrze. Pewnego dnia Tuta zatelefonowała z Legnicy, że chciałaby być u mnie w Toruniu. Oczywiście zaprosiłam ją serdecznie, przyjechała i chodziła do szkoły. W tym okresie początków stalinizmu, w latach 1949-1950-1951 prawie w każdym liceum w Polsce zbierały się grupki młodzieży, które rozmawiały o walce z bolszewikami i o odzyskaniu niepodległości. Powstawały tajne organizacje młodzieżowe. Wiem, że takie organizacje były w Olsztynie, Grudziądzu, Inowrocławiu i w wielu innych miejscowościach. Taka też organizacja powstała w liceum, do którego chodziła Tuta, o czym absolutnie nie wiedziałam i odwiedzanie Tuty przez kolegów w jej pokoju uważałam za rzecz zupełnie naturalną. Gdy wyjechałam w swoich zawodowych sprawach do Warszawy, dostałam telefoniczną wiadomość, że Tutę aresztowano, w domu jest czterech ubowców, którzy czekają na mój powrót i założyli „kocioł” – to znaczy, że każdego, kto przychodzi do mego mieszkania, zatrzymują.

Zdając sobie sprawę, że mogę być aresztowana, wróciłam jednak natychmiast po tym telefonie do Torunia. Otworzył mi drzwi ubowiec i zakomunikował, że u mnie jest „kocioł” i nikt nigdzie z mego mieszkania wyjść nie może. Powstała wówczas sytuacja czasami wprost śmieszna. Ubowcy chodzili do sklepów po zakupy, otwierali drzwi i od razu oświadczały wchodzącym, że nie wyjdą z mieszkania. Przyszła sąsiadka z Balinpoła, właścicielka Tautaliszek pani Szaniawska, starsza osoba, która była zrozpaczona, bo w domu zostawiła chorą, leżącą w łóżku osobę, nad którą sprawowała opiekę. Perswadowała ubowcom, że jej obecność jest w domu nieodzowna – nic nie pomogło. Nie wypuszczono jej. Potem zjawił się nauczyciel, który uczył Janka angielskiego – też wsiąkł. Nie wrócił do domu, więc zaniepokojona żona przyszła się dowiedzieć, co się stało – i ją zatrzymano. Panie są zrozpaczone, że gdy nie wrócą do domu, to ich syn i córka przyjdą dowiedzieć się, dlaczego nie wracają. Postanawiają więc się modlić. Siadają na kanapie i patrząc przez okno parterowego mieszkania modlą się. A ich modlitwa wygląda mniej więcej tak: *Ojcze mój któryś jest w niebie – a może otworzyć*



*okno i dać im znać żeby nie wchodzili – święć się imię Twoje – pewno nie pozwolą nam otworzyć okna – przyjdź królestwo Twoje – może jednak nie przyjdą – bądź wola Twoja – ale oni się będą bardzo niepokoić – jako w niebie tak i na ziemi, – żeby ich szlag trafił.*

Nie tylko kanapy i tapczany były zajęte, ale w fotelach też spano. Wsiąknął też w tym „kotle” i antykwariusz, od którego kupowałam kolekcjonerskie przedmioty. Ponieważ długo nie wracał do domu, więc żona przyszła dowiedzieć się, co się stało, że mąż tak długo nie wraca – no i tragedia, ona też nie może wrócić do domu. Ale odważna i pyskata babcia zaczęła po prostu krzyczeć, że troje dzieci śpi w domu i zapowiedziała, że jeśli jej nie wypuszczą, to wybiję szybę i będzie krzyczała, że tu mordują ludzi. Uzyskała, co chciała – wypuszczono ją do domu. (Nie po raz pierwszy przekonałam się wtedy, że krzyk jest dobrą bronią na ubowców).

Ten stan rzeczy trwał kilka dni i nocy. Janek mój zachowywał pełną równowagę duchową i grał z ubowcami w szachy, a gdy odchodzili powiedział: *jaka szkoda, że już odchodzą...*

Ale w pewien czas po aresztowaniu Tuty i po „kotle” w nocy zadzwonił dzwonek, a w drzwiach stanęło dwóch oficerów w mundurach, oświadczając, że mają pisemne postanowienie zastosowania wobec mnie aresztu tymczasowego, żebym się szykowała do wyjścia z domu. Oni czekali, a ja zaczęłam się pakować. Do tzw. „petersburskiej torby”<sup>48</sup> wkładałam różne rzeczy i trwało to dość długo. Zniecierpliwieni ubowcy pytali mnie co ja robię – a ja na to, że zabieram najpotrzebniejsze rzeczy. Na to oni: – *a skąd Pani wie co jest potrzebne?* Ja na to – *trzeci raz idę do więzienia, to mam doświadczenie co jest potrzebne a co nie.* Ubrałam się po zimowemu (był to 28 luty 1951 r.) i w towarzystwie tych dwóch oficerów poszłam do Urzędu Bezpieczeństwa. Była godzina 2 w nocy, ale tam był ruch i w godzinach nocnych. W gabinecie naczelnika odbyła się pierwsza rozmowa. Dowiedziałam się, co mi zarzucają. Mianowicie na podstawie art. 18 mkk (Małego Kodeksu Karnego) oskarżona jestem o to, że nie doniosłam o tym, co się stało przed kilkoma dniami.

Parę dni wcześniej, w godzinach południowych zjawił się u mnie kolega szkolny mojej bratanicy, Wiącek i poprosił, abym mu pozwoliła wejść do pokoju Tuty. Powiedział, że wysłany jest przez Tutę aby zala-

twić pewną sprawę. Zdziwiona wpuściłam go do pokoju, sama stając w drzwiach i widziałam jak on podszedł do łóżka i wyjmował jakieś papiery spod koldry, które następnie wrzucił do pieca kaloryferowego stojącego w przedpokoju. Oczywiście fakt ten dał mi podstawę do przypuszczenia, że Tuta też jest wplątana w jakąś działalność konspiracyjną. Zadowolona byłam, że spalono coś, co mogłoby świadczyć przeciwko niej. Okazało się później, że to były ulotki, które młodzież rozrzucała w tramwajach, a ich treść była wyraźnie antysowiecka. Tenże Wiącek opowiedział w UB o swojej wizycie u mnie i stąd aresztowanie, za to, że „wiedział, a nie powiedział”. Noc tę przesiedziałam częściowo w gabinecie u naczelnika, a częściowo w boksach dla aresztowanych. W sąsiednim boksie siedział Wiącek.

Będąc tam słyszałam rozmowy, jakie prowadzili aresztowani. Dowiedziałam się, że moja bratanica Tuta siedziała nad nami, na pierwszym piętrze. Słyszałam, jak wołano do niej: *Tuta, przyznaj się do wszystkiego, bo myśmy się już przyznali. Nie daj się mordować.* Ja nie miałam z nią kontaktu, ale później ona sama i jej koledzy opowiadali, że była mocno pobita i twarz miała posiniaczoną. Co się z nią stało potem – nie miałam pojęcia. Dowiedziałam się o niej dopiero dużo później, gdy odbywała karę 6 lat więzienia początkowo w Toruniu przez rok, potem rok w Fordonie i trzeci rok w Bojanowie. Wtedy wyszła amnestia i z Bojanowa została zwolniona.

Całą noc spędzoną w boksie nie spałam, przysłuchiwałam się tylko rozmowom i intensywnie myślałam. W pewnym momencie przyszedł strażnik i kazał mi iść do ubikacji, gdzie nie było innego siedzenia jak tylko klozetowe. Nie trwało to długo i znowu wróciłam do swojego boks. Wtedy słysząc rozmowę młodzieży utwierdziłam się w słuszności zarzutów stawianych mi podczas wstępnego przesłuchania, że będę pociągnięta do odpowiedzialności karnej, bo wizyta Wiącka u mnie i spalanie ulotek będzie dla władzy wystarczającą podstawą do pociągnięcia mnie do odpowiedzialności z art. 18 m.k.k.

Mój pobyt w Toruniu był bardzo krótki. Odwieziono mnie samochodem do Bydgoszczy. W celi byłam sama. Było tam zimno. Spanie było prymitywne, na ławie, na której była twarda słomiana mata, a w nagłówek kocyk. Spało się w ubraniu, tylko bez butów. Wezwano mnie od razu na przesłuchanie. Było to w nocy. Krzeselko z oparciem, na-

przeciwko biurko przesłuchującego. Przesłuchania trwały ciągle, ale ta pierwsza noc w Bydgoszczy była bardzo dokuczliwa. Kiedy już przesłuchujący odchodzili, zostawałam pod „opieką” młodego ubowca, który siedział przy biurku, a mnie zamieniono krzeselko z oparciem na stół bez oparcia. Lampa świeciła prosto w twarz. Wiedziałam o metodach przesłuchiwania oskarżonych i gdy tylko zostałam z tym młodym ubowcem, powiedziałam mu, że ja na krzeselku siedzieć w nocy nie będę i że się położę na podłodze i tak zrobiłam. Podłoga była z czerwonej cegły. Mój „opiekun” pochylony nad biurkiem – zasnął. Wówczas ja wstałam i przed samym nosem tego „opiekuna” pisałam grypsy licząc na to, że znajdzie się potem okazja wysłania ich na wolność. Gdy następnego dnia wstałam z tego twardego legowiska, mając na sobie granatowy kostium, stwierdziłam, że cały był wypaprany w czerwonej cegle.

Przesłuchania często odbywały się w nocy. To była ich „technika”. Strażnik otwierał w nocy drzwi do celi i wołał: *szykować się do przesłuchania*. Wówczas będąc całą dobę ubrana w kostium, złaźiłam z twardego posłania, nakładałam buty i czekałam na ponowne otwarcie drzwi. Gdy drzwi się otwierały, prowadzona byłam krętymi, żelaznymi schodami na I piętro. Ale czasami czekałam parę godzin, po czym strażnik otwierał drzwi i oświadczał, że przesłuchania nie będzie. Była to jedna z form gnębienia więźniów. Byłam ciągle w celi sama, ale nawiązałam kontakt z sąsiednią celą, w której siedział prof. Foss – germanista z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Sposób kontaktowania się był następujący. Jego i moja ławka była osadzona na wspólnej żelaznej szynie mającej trochę luzu i gdy się kładło na tej ławce a głowę spuszczało w miejsce, gdzie była szyna, to słyszało się głos z sąsiedniej celi.

Jego mordowano bezsennością. Trwało już to dwa tygodnie. Zmieniał się przesłuchujący a on przez 24 godziny na dobę musiał siedzieć na stołku oślepiiony rażącym światłem lampy i odpowiadał w kółko na te same pytania. Był zupełnie załamany. Potem go wypuszczono bez sądu. Umarł po 2 tygodniach. Stawiano mu zarzuty, że przed wojną był szpiegiem w Królewcu. Tam on studiował germanistykę. Kiedyś przyłapano mnie na tym, że rozmawiałam z prof. Fossem i strażnik powiedział, że będę ukarana. Otworzył drzwi i prowadził w stronę „karceru”



- celi karnej. Nie wiedziałam, co mnie spotka, ale byłam przerażona, bo „karcery” były straszne, wiedziałam to od innych ludzi. Przygotowana byłam na najgorsze, gdy strażnik prowadził mnie w stronę „karceru”, tymczasem spotkałam się z niespodzianką. Odprowadził mnie on do innej celi, a nie „karceru”, a co najważniejsze, zastałam tam już kobietę, z którą siedziałam aż do czasu przeniesienia mnie do dużego więzienia na Wałach Jagiellońskich.

Kobieta ta pochodziła z gospodarstwa rolnego spod Świecia. Wchodząc do celi i zobaczywszy ją wydałam okrzyk zadowolenia: *chwata Bogu – jest człowiek!* W rozmowie z nią dowiedziałam się, że stawiano jej zarzut szpiegostwa. Prosta kobieta mająca 2 małych dzieci! Zrozpaczona, przestraszona, gdyż przesłuchujący powiedział jej przed siedmioma miesiącami, że za szpiegostwo jest tylko jedna kara – kara śmierci. Nie myła się, nie jadła, a gdy dochodziły głosy dzieci przez małe okienko wysoko w piwnicy wołała: *zamknąć, zamknąć!*

Dowiedziałam się od niej, że ma brata, który mieszka w Szwajcarii i który jej przesyła paczki z pończochami czy rajstopami prosząc, aby ona z kolei wysłała te rajstopy w różne miejsca. Poza tym władze śledcze nie interesowały się jej osobą, siedziała już 7 miesięcy czy dłużej, nikt jej nie wzywał na dalsze przesłuchanie, a ona ciągle powtarzała, że nie jest niczemu winna, że nie wie o żadnym szpiegostwie, a co do mnie uważała, że nie jestem tą osobą, za którą się podaje, tylko jestem Wandą Wasilewską i specjalnie mnie posadzono w tej celi, abym się od niej wszystkiego dowiedziała i napisała potem o niej książkę. Po pewnym czasie nabrała jednak do mnie zaufania i starałam się jej wytłumaczyć, że jej obawy są niepotrzebne, bo na pewno ją niedługo wypuszczą. Starałam się w rozmowach poruszać tematy jej bytowania na wsi, rozmawiałam o jej gospodarstwie rolnym, ile ma krów, jakie to są krowy, co sieją itp. Pomijałam sprawę jej małych dzieci, bo ten temat ją całkowicie doprowadzał do rozpacz.

Prosiłam aby jadła, pokazywałam, co można zrobić z chleba – mianowicie różaniec. Chleb nam dawano wojskowy, czarny, bardzo smaczny. Z tego chleba można było zrobić różaniec. Taki różaniec robiłam już na „Łukiszkach”. Chleb miętosiło się przez parę dni, pluło się na niego, aby był trochę podsuszony, nakłuwało się igłą z cienkim sznurkiem. Ja już miałam zrobiony taki różaniec. Opuszczając celę zosta-



wiłam go za kaloryferem, niewidoczny, ale myślałam sobie – że jeśli znajdzie się jakiś zrozpaczony człowiek, znalezienie różańca może go podnieść na duchu.

Po pewnym czasie przyszła do naszej celi młoda osoba. Była to pielęgniarka ze szpitala z przedmieścia Katowic. Zwierzyła mi się, że była u niej „skrzynka”, otrzymywała zakazaną literaturę. Władzom nie powiedziała komu tę literaturę przekazywała. Była to dzielna osoba. Jej mąż wy dostał się z Polski za granicę. Oboje małżonkowie byli w czasie okupacji w AK. Ta nowa nasza współwięźniarka też miała dużo do opowiadania. Dziewczyna ta w czasie okupacji była w Kedywie AK, przeszkolona przez szkołę minerską brała udział w wysadzaniu mostów w powietrze. Mając do mnie zaufanie opowiadała mi o swoich przygodach z czasów okupacyjnych. Było to na terenach lubelszczyzny. Armia Krajowa miała swoje „wtyczki” w Gestapo. Taka właśnie „wtyczka” zawiadomiła, że określonego dnia Niemcy będą wywozili na rozstrzelanie więźniów. Egzekucja miała się odbyć w lesie, do którego to miejsca trzeba było przejechać przez most. Ona właśnie brała udział w minowaniu tego mostu. Grupa żołnierzy AK czekała na przejazd Niemców i więźniów. Na przodzie jechał samochód niemiecki, za nimi więźniowie i jeszcze jeden samochód z niemiecką ochroną. Żołnierze przepuścili pierwsze dwa samochody, a trzeci – z ochroną wysadzili wraz z mostem w powietrze. Zrobiło się zamieszanie, na pierwszy samochód poszło główne uderzenie partyzantów, którzy wybili wszystkich Niemców. Więźniowie tak się przestraszyli, że zbili się w gromadę, tak że Akowcy musieli ich zmuszać do ucieczki, gdyż Niemcy byli o 5 km, trzeba było działać szybko, rozproszyć się i jak najszybciej uciekać od miejsca wybuchu.

Opowiadała ona interesująco, jak jechała kiedyś na rowerze wioząc broń i przewróciła się. Teczka jej upadła na jezdnię. Przejeżdżał akurat Niemiec, który elegancko się zatrzymał i pomógł jej podnieść teczkę...

Kiedyś oddział partyzancki AK stacjonujący w jakiejś wiosce, powiadomiony został o tym, że Niemcy mają przyjść do tej wsi. Trzeba było się rozproszyć i pozbyć broni. Włożono pistolety do teczki i kazano jej ukryć broń. Na cmentarzu był grób, który służył Akowcom za schowek. Cmentarz był okolony murem a brama była przy ulicy, a więc przy widocznym miejscu. Dziewczyna z wielkim trudem przedarła się przez

ogrodzenie i pobiegła. Grób był murowany i miał ciężkie przykrycie. Udało jej się podnieść nakrywę, podeprzeć ją czymś, zejść po drabinie prowadzącej do grobu, głębiej schować broń, ale, gdy była już z powrotem na drabince i chciała zrobić nieco większą szparę, podstawki pod przykrywą obsunęły się i pokrywa opadła. Zrozpaczona dziewczyna nie była w stanie jej dźwignąć. Została żywcem zamknięta w kamiennym grobie! Siedziała na drabince i ogarnął ją wielki strach. Liczyła wprawdzie, że odnajdą ją, ale kto i kiedy? Co stanie się z Akowcami? Mogli wszak nie przypuszczać, że powstała taka sytuacja! Będą jej szukać, ale czy domyślą się, gdzie jest uwięziona? Na wół żywa czekała na zmiłowanie, a czas jej się dłużył niepomiernie. Po pewnym czasie postyszała głosy. Bała się wołać ratunku, bo nie była pewna, kto idzie. Głosy się przybliżyły i okazało się, że to swoi. Znalezione ją wreszcie i wół żywą wydobyto z grobu.

Opowiadała mi również, że kiedyś jechała konno wioząc jakieś meldunki. Było ciemnowo. Do wsi, do której jechała, prowadziły dwie drogi rozchodzące się w miejscu, w którym stał przydrożny krzyż. Dojechawszy do krzyża zastanawiała się, którą drogą jechać. Na lewo prowadziła droga szersza, bardziej uczęszczana, na prawo – ścieżka. Chciała jechać na lewo i kiedy konia skierowała na tę drogę – koń nie chciał iść. Zmuszała go, ale on nie chciał ruszyć się z miejsca. Spiesząc się pojechała na prawo, a gdy dojechała od razu spytano ją, którą jechała, bo właśnie na szerokiej drodze spotkałaby Niemców. Uważała, że to nie był przypadek, że Pan Bóg czuwał nad nią i że ją uratował...

Opowiadała mi też o akcji, w której udziału nie brała, ale byli tam jej koledzy i opowiadali jej o przebiegu tej akcji. Było to odbicie więźniów politycznych z powiatowego więzienia (nie pamiętam dziś nazwy). Gdy przebranych w niemieckie mundury Akowcom otworzono bramę więzienną, partyzanci kazali strażnikom stanąć twarzą do ściany a sami powypuszczali z cel i z podziemia więźniów, którzy byli przeznaczeni na stracenie.

Są to tylko niektóre opowiadania tej dziewczyny o działalności Armii Krajowej na Lubelszczyźnie. Została ona do chwili obecnej już szczegółowo opracowana, ale przytaczam opowieści mojej współwięźniarki, by na tym tle pokazać lepiej postać tej wspaniałej dziewczyny. Pewnego dnia zawołano ją na przesłuchanie. Byłyśmy wszystkie trzy przestra-

szone, że będą ją torturować, aby wydała tego, kto dał jej te papiery. Nieco później dowiedziałyśmy się, iż jest w innej celi w areszcie ubowskim i dobrze się trzyma. Co się z nią następnie stało – nie wiem. Ale jestem przekonana, że nie wydała nikogo.

Jeszcze jeden epizod z aresztu na Chodkiewicza: kiedyś otwary się drzwi do celi i wszedł strażnik robiąc rewizję, czy więźniowie nie mają czegoś zakazanego. W drzwiach stał oficer o semickim wyglądzie w randze porucznika i obserwował, jak strażnik nas rewiduje. Ja w kieszeni bluzki miałam medalik. Strażnik ten medalik wyjął i zabrał. Powiedział, że żadnych metalowych przedmiotów więźniom mieć nie wolno. Ja na to, że to nie metal a symbol i rzecz dla mnie ważna i szanowana. Strażnik swoje: zabronione i koniec. Wtedy ja zwróciłam się do oficera – Żyda i powołując się na dekret o wolności wyznania i sumienia poprosiłam o zwrot symbolu religijnego, który chcę mieć u siebie. Oficera jakby szlag trafił. Zbaraniał i po chwili powiedział do strażnika jedno tylko słowo: *oddać*.

Po miesiącu pobytu w areszcie w piwnicy UB powiedziano mi, że zostanę odtransportowana do dużego więzienia, które znałam, będąc obrońcą siedzących tam klientów. Ogarnęła mnie radość, że nareszcie nie będzie to piwnica, będą całkiem inne warunki bytowania i może skończy się nieustanna obawa przed nocnymi przesłuchaniami.

W celi pozostała samotnie moja pierwsza towarzyszka. Dowiedziałam się później, że po moim wyjściu popełniła samobójstwo wieszając się na pętli zrobionej z pasm podartych majtek. A kiedy czasy uległy pewnej zmianie i po śmierci Stalina nastąpiła „odwilż”, rodzina zmarłej złożyła skargę do Prokuratury żądając przeprowadzenia śledztwa w sprawie śmierci tej więźniarki zamęczonej za niepopelnione przestępstwo. Byłam wezwana do Wojewódzkiej Prokuratury w Bydgoszczy jako świadek, aby wyjaśnić przyczynę tego samobójstwa – bo rodzina twierdziła, że ją zamordowano. Zeznawałam parę godzin. Nie podejrzewałam tego, aby ona była zamordowana czy zakatowana torturami. Ale stan psychiczny zmarłej był tak straszny, że postanowiła widocznie zrobić to, co jej przesłuchujące władze sugerowały, że zostanie powieszona za szpiegostwo. Nikt jej przez okres 6 czy 8 miesięcy nie badał, nie wzywał do siebie. Kobieta ta pozostawiła dwoje małych dzieci. Prosta kobieta ze wsi czekała na to powieszenie – zrobiła więc to sama,



nie widząc żadnej nadziei uratowania swego życia. Powiedziałam przesłuchującemu mnie prokuratorowi, że władza winna jest jej śmierci, przez lekceważenie jej sprawy i władza odpowiada za śmierć tej kobiety. To ona doprowadziła ją do takiego stanu, w którym targnęła się na swoje życie! Ja z opowiadań zmarłej znam jej sprawę, która wyglądała niegroźnie i na pewno by jej żadnej winy za to wysyłanie paczek, które otrzymywała od przebywającego za granicą brata nie udowodniono.

Z celi na Chodkiewicza, gdzie była siedziba UB, przemaszerowałam więc pod strażą na Wały Jagiellońskie, do dużego więzienia położonego obok gmachu Sądów. Więzienie to znałam, gdyż przyjeżdżałam tam do moich klientów. Oczywiście znałam tylko poczekalnie i pokój wdzień. Teraz przyszło mi się zapoznać dokładniej z całym gmachem. Pierwszą rzeczą po przekroczeniu progu więziennego była wizyta u lekarza. Lekarzem był też więzień polityczny skazany na 10 lat. (Drugi lekarz przychodził do więzienia z wolności). Lekarz ten wypytywał mnie o stan mego zdrowia i o dolegliwości. Wówczas powiedziałam mu, że właściwie nie cierpię na żadną dolegliwość tylko mam strasznie zharatane nerwy. Gdy kazał mi zamknąć oczy i wyciągnąć ręce przed siebie, ręce te po prostu „latały”. Wówczas lekarz powiedział, że skieruje mnie do szpitala więziennego, na oddziale kobiecym więzienia.

Była to duża izba, w której stało 6 czy 8 łóżek, nie pamiętam dokładnie ile. W więzieniach nie wolno używać łóżek w dzień, natomiast zakaz ten nie dotyczył szpitala – jeżeli się chciało, można było leżeć choćby cały dzień. Nie wszystkie łóżka były zajęte. Wśród więźniarek była kobieta, Wódecka, która już pięciokrotnie targała się na swoje życie. Zjadała igły, rozbijała szyby, szkłem przecinała sobie żyły. Poza tym była tak agresywna, że strażniczka bała się sama wchodzić do środka tej szpitalnej izby. Pamiętam, że miała rude, piękne włosy, o które specjalnie dbała. Kiedyś dopatrzyła się u drugiej więźniarki, że ta ma gnidy we włosach. Zrobiła straszną awanturę: więźniarka nie chciała być badana i obie się szamotały. Załomotałam w drzwi i zakomunikowałam strażnikom o gnidach czy wszach w szpitalu. Tę zawszoną więźniarkę zabrano. Nie wiem, co się z nią stało.

Wódecka opowiadała mi koleje swego życia. Była już karana. Właściwie to ja mam sprawiedliwe wyroki – mówiła. *Za fałszowanie dolarów – 5 lat, to słusznie, 8 miesięcy – za usiłowanie przekroczenia grani-*



cy – też słusznie, za usiłowanie ucieczki z więzienia – strażnicy byli przekupieni przez męża, gdy jako więźniarka pracowała przy jedwabnikach w ogrodach nad Wisłą w Fordonie... Mąż jej Żyd uciekł na Zachód a ona została złapana.

W szpitalu nie obowiązywał ścisły rygor więzienny, ale towarzystwo było rozmaite. Strażniczka wiedziała, że jestem adwokatem i zwróciła się do mnie w następującej sprawie: na oddziale kobiecym siedziały przeważnie więźniarki pozostające w śledztwie. Niektóre chciały pisać pisma do Prokuratury o uchylenie aresztu śledczego, ale nie wiedziały jak to się robi. Strażniczka poprosiła, aby wyjść na korytarz i napisać więźniarkom te pisma. Zgodziłam się na to chętnie. Moje podania miały bardzo dobry skutek, bo więźniarki wypuszczono. Rozniosło się po oddziale kobiecym, że adwokat pisze skuteczne podania i zażalenia, więc często strażniczka otwierała cele, aby mnie wypuścić na korytarz, gdzie był przygotowany stolik, dwa krzeselka, papier itp.

Wódecka zauważywszy moje wyjścia na korytarz zaczęła podejrzewać, że mam jakiś podejrzany kontakt z władzami więziennymi i tak mnie stale dokuczała, że prosiłam o przeniesienie mnie ze szpitala do jakiegokolwiek innej zwykłej celi. Zgodzono się i zabrawszy swe skromne manatki przeniosłam się do celi, gdzie były trzy dziewczyny, już po wyroku: Władzia Czerepak, Inka i Hania. Jedna dostała 5 lat, druga i trzecia chyba po 8, za należenie do nielegalnej organizacji młodzieżowej.

Tutaj atmosfera była zupełnie inna. Dziewczyny przyjęły mnie bardzo serdecznie i z Władzią Czerepak koresponduję do tej pory, a minęło przecież od czasu; kiedy byliśmy razem – już 30 lat. Władzia Czerepak pracuje obecnie w Zakładach Gumowych w Grudziądzu, o losie pozostałych nic nie wiem.

Były to dziewczynki „ideowe”, twarde i bardzo sympatyczne. Kiedyś zszedł do naszej celi tzw. „polityczny” ubowiec, pracownik więzienia i pytał je jakie mają wyroki i za co siedzą. Władzia twardo odpowiedziała *tylko po 5 lat*, a Inka tak samo hardo *tylko 8 lat*. Za co? *Za organizację*.

Wówczas nie było prawie na Pomorzu miasteczka, w którym nie powstawałyby na terenie szkół takie mniej lub więcej formalne związki czy organizacje. Wiem o Inowrocławiu, Grudziądzu, Olsztynie, Kcyni, Szubinie no i oczywiście o Toruniu.

Kiedyś Hankę „Czarną” za jakieś przekroczenie regulaminu więziennego, czy gadanie – posadzono do „karca”. Po 3 dniach przyszła do celi zupełnie załamana, brudna, nieuczesana. Tłumaczyłam jej, że „stawianie się” w więzieniu zupełnie nie ma sensu, że szkodzi się samemu sobie. Ale to „gadanie” świadczyło o odwadze młodzieży, o wyrobionych przekonaniach politycznych.

O mojej bratanicy Wandzie Falewiczównie mogę dodać, że gdy wyszła amnestia, a ona miała odsiedziane z sześcioletniego wyroku już trzy lata z kawałkiem, to przyjechałam po nią do Bojanowa za Poznaniem, aby ją zabrać z więzienia. Od stacji kolejowej do obozu karnego dla młodzieży żeńskiej był chyba kilometr, może więcej. Zadzwoniłam i poszłam do Zarządu Więzienia prosząc o przepustkę. Spotkałam tam naczelnika, który powiedział, że Falewicz wychodzi z więzienia niepoprawiona. Wiem, że odbywając swą karę coś przeskrobała, więc poszła do „karceru” na 21 dni. Hanka „Czarna” po 3 dniach była załamana, a Tuta na pytanie naczelnika, który ją odwiedzał w „karcu” – jak się czuje, odpowiedziała *jak w więzieniu – To niby jak?* – ponowił swe pytanie – *Jak pan naczelnik będzie siedział – to będzie wiedział...*

Był to obóz dla 2.000 dziewcząt. Więźniarki polityczne siedziały razem ze złodziejkami, prostytutkami... Język, jakim się posługiwały, hałaśliwe zachowanie, kłótniowość tych dziewcząt były dodatkową dolegliwością dla więźniarek politycznych. Gdy Tuta jeszcze przebywała w obozie, a ja chciałam robić starania, aby była jak najszybciej zwolniona, sugerowałam jej listownie, aby poszła do lekarza więziennego i otrzymała zaświadczenie, że ma dolegliwości ginekologiczne. Zrozumiała moje intencje i sugestie i potem mi relacjonowała, gdyśmy już szły z obozu na dworzec kolejowy. *Tak Ciociu, ale był bardzo zdziwiony, bo u innych to można było czwórką koni zakręcać...*

Wyszła z Bojanowa dobrze wyglądająca, wesola i dzielna, opowiadała mi po drodze, jak jedna z więźniarek, gdy się źle zachowywała, to ją strażnik zaprowadził do naczelnika, który na nią krzyczał i mówił, że jej nogi z d... powyrywa, wówczas ona na kraty korytarzowe wlaźła i strażnik nie mógł jej doprowadzić do celi. A gdy wreszcie sama zlaźła, to ją znowu do naczelnika zaprowadził, a na zapytanie o powód swego postępcu, odpowiedziała, że z powodu tej groźby naczelnika. Bała się, że zaraz przystąpią do wyrywania...

Trzy lata zmarnowanego życia mojej bratanicy pokrzyżowały jej plany. Pracuje obecnie jako siostra operacyjna w Szpitalu na Banacha w Warszawie.

W oddziale kobiecym więzienia w Bydgoszczy panowała czystość. Strażnik lub strażniczka często próbowali palcem sprawdzić, czy kurz na parapetach jest starty, czy podłoga czysta itp. itd. Chodziłyśmy na spacer w butach, ale wchodząc do celi nakładało się pantofle. Jedzenie było możliwe. Żołnierski czarny chleb, kawa zbożowa rano i wieczór, na obiad litr zupy. Dla mnie to było za dużo, więc połowę oddawałam Władzi, która miała dobry apetyt. Ale ten półlitrowy dodatek był już ciężko zjadany, więc jak dzieci musiała zjadać za różne „zdrowia” przyjaciół, rodziny itp. Strażniczki były raczej uczynne, jedna tylko stara osoba była wrzeszcząca i nieprzyjemna. Prosiłam, aby dano jakieś zajęcie, więc po pewnym czasie chodziłam z innymi kobietami na strych, gdzie reperowałyśmy bieliznę więzienną i w ten sposób czas prędeż nam schodził.

Nie wolno było przez judasza zaglądać do innych cel. Kiedyś będąc na korytarzu zajrzałam do kilku cel ciekawa, jakie towarzystwo siedzi, strażnik to zauważył i kazał mi stać obróconej za karę do ściany.

W bydgoskim więzieniu rozmowy Morseem były szeroko stosowane i podziwiałam spryt tych dziewcząt, które wiedziały, kto gdzie siedzi i za co. Tutaj już nie stukano przez ścianę, ale przez kaloryfery.

Jak odbywała się kąpiel?

Przychodziło się do mieszczącej się w piwnicach łaźni, gdzie znajdowało się moc pryszniców. W rozbieralni zostawiało się bieliznę i mundur więzienny, gdy już potrzebował prania. Nago, w nieopalanym pomieszczeniu stałyśmy pod prysznicami czekając aż przyjdzie strażniczka i otworzy prysznice. Było tam bardzo zimno. Po prysznicu czekałyśmy często również długo, zanim dano nam czystą bieliznę. Potem zimnymi korytarzami wracałyśmy do naszych cel.

Co dwa tygodnie można było w kantine coś kupić, jeśli miało się pieniądze na swoim koncie więziennym. Palącym sprzedawano papierosy, można było kupić kiełbasę, cukier, bułki, cebulę. Jedzenie trzymało się na oknie, które było bardzo wysoko. Jedzenie bardzo prędko się psuło. Podobnie było pod tym względem: na „Łukiszkach” i w bydgoszczy.



Biblioteki więzienne mają częstych czytelników. Na „Łukiszkach”, gdy zażądałam książki, dano mi złośliwie książkę w języku angielskim, licząc, że nie potrafię sobie z nią dać rady. Tymczasem książka okazała się być bardzo interesującą. Była to praca pod tytułem *Borsal Institutions* poświęcona organizowaniu instytucji penitencjarnych dla młodzieży i zajmująca się ich resocjalizacją i reedukacją. Stąd narodziły się potem moje zainteresowania tym zagadnieniem. Przedmowa do książki zawierała 60 stron, a dotyczyła wieku dojrzewania nieletnich. Już po wyjściu z więzienia znalazłam obszerną literaturę na ten temat (Kryjski, Teresa Büler i wielu innych). Bardzo mi to pomogło w moich obronach w sprawach karnych młodzieży. Borsal Institution opiekowała się więźniem po wyroku i również po opuszczeniu przez niego więzienia, znajdując mu pracę, umożliwiając naukę zawodu. Takich domów dla nieletnich było w Anglii 5-6 dla chłopców i jeden dla dziewcząt. Odtąd koledzy uważali mnie za specjalistkę w sprawach młodzieży. Litewski strażnik przynoszący mi ze złośliwym uśmiechem angielską książkę – nie zdawał sobie sprawy, jaką przysługę mi sprawia...<sup>49</sup>

Po paru miesiącach mego pobytu w więzieniu w Bydgoszczy zostałam powiadomiona, że moja rozprawa odbędzie się w Sądzie Wojskowym na sesji wyjazdowej w Toruniu. Zaczęłam się szykować. Wyprałam więzienne ubranie. Prasowanie odbywało się w ten sposób, że kładło się na całą noc rozłożoną spódnicę i kurtkę z szarego płótna pod siennik czy materac. Rano przyszedł do mnie milicjant, aby mnie zaprowadzić do aresztu milicyjnego na ul. 1 Maja w Bydgoszczy. Gdy zjawiłam się tam z milicjantem i oddano mnie pod opiekę MO dowiedziałam się, że dopiero następnego dnia rano przyjdzie po mnie milicjant i pojedziemy do Torunia na rozprawę. Kierownik aresztu zachowywał się w stosunku do mnie bardzo przychylnie dając mi na noc nowy i czysty koc. Ale o godz. 8-ej wieczór była zmiana i następny mój „opiekun” widząc nowy koc, zabrał go dając mi stary i brudny. Okazało się, że był to areszt tymczasowy dla różnych, przeważnie pijanych ludzi i noc ta była dla mnie niezapomniana.

Areszt składał się z dużego pomieszczenia, gdzie znajdowały się rzędy „kojców”, na których pojedynczo osadzono tych pijaków, którzy się strasznie awanturowali i podziwiałam cierpliwość strażników milicyjnych (!?), którzy rozmawiali z pijakami spokojnie i uprzejmie mó-



wiąć, że jutro ich wypuszczą i pójdą do pracy. Wrzask i spory z aresztowanymi trwały całą noc! Niektórzy aresztanci rzucali się na milicjantów, ale na drugi dzień byli zaskoczeni tym, że znajdują się w areszcie, grzecznie sumitowali się przed milicjantami i... wędrowali do pracy.

Gdy siedziałam w więzieniu, odwiedził mnie mój obrońca, adwokat Mitkiewicz z Bydgoszczy, ale na rozprawę do Torunia przyjechał bardzo znany adwokat warszawski Mieczysław Maślanko<sup>50</sup>.

Jak wyglądał ten dzień?

Rano zjawił się milicjant, który eskortował mnie do Torunia. Jechaliśmy pociągiem, mieliśmy jeszcze trochę czasu, prosiłam, aby mi pozwolił zobaczyć się z Jankiem i siostrą męża – Zosią Malewską, która prowadziła mi dom w Toruniu. Milicjant zezwolił i spotkanie odbyło się w parku, naprzeciwko mego mieszkania na Bydgoskiej<sup>51</sup>. Podobno za zezwolenie na rozmowę z Zosią i Jankiem dostał potem dwa tygodnie „koszarniaka”. On mnie po wyroku odstawił do więzienia w Bydgoszczy. Gdyśmy już byli bardzo blisko bramy więziennej, zatrzymał się, i powiedział, że w więzieniu nie będzie mógł się już ze mną pożegnać, ale chciał to zrobić teraz i pocałował mnie na pożegnanie w rękę.

Rozprawa sądowa była pewnego rodzaju sensacją w Toruniu. Sala była pełna, a pod ścianami stało sporo ludzi. Byli też koledzy, sędziowie.

Zarzut „że wiedział a nie powiedział” ostał się i Sąd Wojskowy skazał mnie na rok pozbawienia wolności, że nie doniosłam do władz o spaleniu ulotek przez Wiącka. Wróciłam więc do Bydgoszczy już jako więzień karny. Stosunek do takiego więźnia jest zastrzony, bo w przypadku więźniów śledczych władze liczą się z tym, że więzień może zostać niewinny, okaże się, że siedział bezpodstawnie. Ale w tym okresie siedziało tyle ludzi niewinnych, którzy po odbyciu kary zostali zrehabilitowani i płacono im nawet odszkodowania za niesłuszne skazanie.

Zwolniono mnie po siedmiu miesiącach więzienia, a więc po upływie połówki wymierzonej mi kary. Sprawa moja pociągała jednak za sobą dalsze ujemne skutki, gdyż adwokat karany pozbawiony zostaje prawa występowania w Sądzie i praktyki adwokackiej. Założyłam więc później rozprawę rewizyjną, która zakończyła się uniewinnieniem mnie. Zastosowano już przy tym nie osławiony *Mały Kodeks Karny* ale oskar-

żono mnie z art. 148 k.k. *Kto pomaga do zatarcia śladów przestępstwa podlega karze itp.* Uniewinniono z innego § tego samego artykułu, który stanowi, że nie podlega karze ten, który dokonuje zatarcia śladów przestępstwa, które może pociągnąć za sobą odpowiedzialność jego samego lub jego najbliższych.

Zostałam uniewinniona, mogłam powrócić i powróciłam do praktyki adwokackiej a po pewnym czasie Sąd Wojewódzki w Bydgoszczy zasądził nawet na moją rzecz odszkodowanie za bezzasadne więzienie w ciągu siedmiu miesięcy – wypłacając mi w sumie 14.000 zł!

Tak zakończyło się moje trzecie i (mam nadzieję) ostatnie więzienie w moim życiu.

## Rozdział X

### DYSCYPLINARKI

W swojej wieloletniej karierze adwokackiej miałam dwie „dyscyplinarki”. Pierwsza miała miejsce w Wilnie, druga odbywała się już po wojnie w Łodzi i Warszawie.

Chcę opisać te sprawy.

W Wilnie zwrócił się do mnie mój kolega, adwokat Witold Jankowski, prosząc aby go zastąpić na wyjazdowej Sesji Sądu Okręgowego w Lidzie na sprawie Litwina, który był oskarżony o tajne nauczanie języka litewskiego<sup>52</sup>. Powiedział, abym się nie przejmowała wyrokiem, bo klient zostanie na pewno skazany. Pojechałam do Lidy. W czasie rozprawy zeznawał świadek oskarżenia tzw. „laps”, czyli tajniak, który zeznając w sprawie powiedział, że mój klient był już karany za podobne przestępstwa. Ponieważ oskarżony karanym nie był, zaprotestowałam. Wówczas tajniak powiedział, że istotnie skazanym nie był, bo miał znajomości w Sądzie i został uniewinniony. Na to ja z kolei zaripostowałam, oświadczając, że *oto staję przed Sądem pierwszy lepszy chłystek i ośmiela się krytykować wyroki Wysokiego Sądu*. Tajniak po rozprawie złożył na mnie skargę do Rady Adwokackiej, że nazwałam go publicznie „chłystkiem”. Rada Adwokacka musiała mi zrobić sprawę za obrazę świadka i skazana zostałam na „upomnienie”.

Druga sprawa miała miejsce już po wojnie, w Toruniu. Byłam wówczas rzecznikiem dyscyplinarnym w Toruńskiej Radzie Adwokackiej, więc jako członek Rady nie mogłam być sądzona przez Radę Toruńską, lecz od razu przez Radę Naczelną.

Klient mój, znany restaurator, właściciel dużego domu w Toruniu był w czasach przedwojennych oficerem rezerwy, a w czasie okupacji

przyjął volkslistę II grupy i sądzono go za „odstępstwo od narodowości”. Sądzono go z tzw. „dekretu czerwcowego” i groziła mu poważna kara. Prokurator podkreślał w swym przemówieniu, że oskarżony zdradził Ojczyznę, był przecież polskim oficerem, a stał się Niemcem bez żadnej potrzeby.

Broniłam oskarżonego sytuacją przymusową, w której się znalazł. Nie miał on bowiem żadnej rodziny na terenie tzw. „Generalnej Guberni”, do której z Pomorza uciekała polska inteligencja, miał liczną rodzinę, czworo dzieci, z których jedno ułomne, po Heine-Medinie. Jeśli zaś chodzi o to, że był oficerem rezerwy – to nikt go nigdy nie widział w mundurze, tylko w jego restauracji – gdzie podawał potrawy. Musiał zostać w Toruniu, gdzie nie wolno było rozmawiać po polsku, a u niego w domu zamieszkiwali Niemcy, których się panicznie bał i którzy radzili mu przyjąć volkslistę. Powiedziałałam też, że Sądy w Generalnej Guberni też w tym czasie nie sądziły, w imieniu Rzeczypospolitej – tak jak przysięgały, tylko „w imieniu prawa” i podpisały odpowiednią deklarację. I dobrze zrobiły – dodałam – bo Polak Polaka sądził inaczej, niż gdyby to robili Niemcy. I w jednym i w drugim przypadku była sytuacja przymusowa...

Zrobiono mi sprawę za obrazę Sądu i jeździłam do Warszawy na rozprawę dyscyplinarną. Broniłam się sama. W skład sądzących adwokatów wchodził m.in. adwokat Mieczysław Maślanko, z którym się później zaprzyjaźniłam i który mnie bronił w sprawie karnej w Toruniu. Mając duże doświadczenie w obronach z tzw. „czerwcówki” i „sierpniówki” przedstawiłam sytuację Polaków na Pomorzu, gdzie za mówienie po polsku wsadzano ludzi do obozu. Znam sprawę żony krawca, szyjącego przed wojną piękne mundury, który w czasie okupacji szyl Niemcom. W jego pracowni byli uczniowie, którzy między sobą rozmawiali po polsku, a ona bojąc się o nich, ostrzegała by nie afiszowali się polszczyzną. Oskarżono ją potem, że zabraniała mówić po polsku... Znam też sprawę kobiety, która w Bydgoszczy w schronie prosiła, by nie mówiono po polsku, bo ona będzie odpowiadać potem za to jako dozorczyńi domu. Sądzono ją potem i dostała 12 lat więzienia! Znajomy mój prokurator Sądu Najwyższego Joachim Markowicz łamał sobie potem głowę, w jaki sposób uchylić ten straszliwy wyrok. On sam opowiadał mi o tym!



Förster w Gdańsku powiedział w jednym ze swych przemówień, że jeśli ktokolwiek na Pomorzu nie przyjmie volkslisty będzie „zmiciony z powierzchni ziemi”. Przedłożyłam Sądowi broszurę biskupa Adamskiego, w której opisuje on sytuację Polaków na terenach włączonych do Rzeszy i który zwrócił się do Londynu, do biskupa Gawliny z zapytaniem co ma radzić ludziom, którzy się do niego zwracają, jak ma się zachować „chcąc zachować twarz”. Wtedy biskup Gawlina odpowiedział mu „Nie dać się wyrzucić z tych ziem, jak nie można inaczej – przyjmować volkslistę”.

Potem wyszła nowa ustawa, która znacznie łagodziła kary a art. 4 tej ustawy przewidywał uniewinnienie, jeśli człowiek, który miał nawet grupę II, odbył służbę wojskową polską, jeśli był sam lub jego rodzina była zagrożona wysiedleniem i jeszcze wymieniano jakieś dwa powody, których już w tej chwili nie pamiętam.

Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa w Generalnej Guberni, gdzie nikogo nie prześladowano za język polski – a inaczej było na Pomorzu. Obozy koncentracyjne położone po drugiej stronie Wisły pełne były Polaków...

Pomimo moich argumentów, skazano mnie na „naganę”. Z taką karą nie mogłam być członkiem Rady Adwokackiej, więc złożyłam odwołanie do Sądu Najwyższego, który wówczas był w Łodzi. Epilogiem było „upomnienie” – najniższa kara w postępowaniu dyscyplinarnym i skazano mnie nie za „obrazę Sądu” tylko za użycie niewłaściwego porównania. Sądził mnie Sędzia Mieczysław Szerer, którego poznałam przed wojną na sprawach młodzieży komunistycznej w Wilnie. Broniliśmy wtedy razem.

Ponieważ obie sprawy nie dyskredytowały mnie, żałuję, że tych „dyscyplinarek” było tylko dwie. Były bowiem sytuacje i to zarówno przed wojną jak i po wojnie, że obrona odważna, krytykująca posunięcia władzy – dla adwokata, który mówił prawdę, bronił – mając całkowitą rację – stanowczo i odważnie, mogła zakończyć się bardzo nieprzyjemnie.

Weźmy chociażby na przykład nagminne skazywanie rolników za nieodstawianie kontyngentów. Siedziały wtedy dziesiątki tysięcy zupełnie niewinnych rolników. Tego właśnie roku spadł 9 maja śnieg, co bardzo uszkodziło młode jeszcze oziminy i rolnicy absolutnie nie byli

w stanie wywiązać się z dostaw. Ale – co było ciekawe i smutne zarazem – Rada Adwokacka wydała w tym czasie na piśmie polecenie, aby nie podnosić w obronach zarzutu wysokości wymiaru żądanego przez władze kontyngentu. Miałam właśnie wówczas sprawę w Aleksandrowie Kujawskim, gdzie podniosłam ten zarzut, ale o piśmie Rady Adwokackiej dowiedziałam się dopiero po powrocie do Torunia. Podpisałam, że „przyjęłam je do wiadomości”. Kolega mój, starszy adwokat miał wielkie przykrości z tego powodu, że podnosił w swoich obronach sprawę wymiaru kontyngentu<sup>33</sup>. Mnie się upiekło!

Pamiętam inną sprawę – leśniczego spod Torunia, którego broniłam w Sądzie. Oskarżono go o to, że współpracował z Niemcami i był zły dla ludności polskiej. Groziło mu co najmniej 3 lata więzienia. Stanęło w Sądzie kilkunastu świadków, którzy zeznawali, że leśniczy był szalenie rygorystyczny i ktokolwiek cokolwiek z lasu zabierał – gniewał się, nie pozwalał – był ostry i karał. Jednym słowem: współpracował z Niemcami i krzywdził miejscową ludność.

Widać było, że sędzia Sądu Specjalnego – Bukowski złym okiem patrzył na oskarżonego, gdy na końcu przewodu zjawił się inspektor leśnictwa, który znał podsądnego jeszcze sprzed wojny i zeznał, że oskarżony jest człowiekiem, który o dobro państwowe dba jak o swoje własne. Był zawsze bardzo uczciwym i wzorowym pracownikiem leśnictwa, dbał o las i nie pozwalał kraść, nie uznawał przekupstwa, jednym słowem jest to człowiek bardzo wartościowy, wysoko moralny.

Na zeznaniach tego ostatniego świadka oparłam całe swoje przemówienie obrończe. Zapadł wyrok uniewinniający, mimo kilkunastu świadków oskarżenia. Zeznania tych kilkunastu świadków, którzy szkalowali oskarżonego, była to zemsta ludzi, którzy samowolnie wycinali drzewa.

Świadek-inspektor wyjaśnił Sądowi, że oskarżony przed wojną był wzorowym pracownikiem, jest nim również w chwili obecnej. Trudno od niego wymagać, aby zdemoralizował się w ciągu kilku lat okupacji.

Ciekawe i bolesne były sprawy w okresie stalinizmu. Sądy Wojskowe, Sądy Specjalne i Sądy Powszechne „miały ręce pełne roboty”. Większość spraw pochodziła z fałszywego oskarżenia i wielu było niesłusznie osądzanych. Przede wszystkim dotyczy to Akowców. Na ławie oskarżenia zasiadali wspaniali ludzie, gorący patrioci, ludzie ideowi, odważ-

ni. Skazywani byli na bardzo wysokie kary. Po śmierci Stalina, w czasach, w których w Polsce ster rządów przejął Gomułka, ludzie ci zostali częściowo zrehabilitowani. Zapłacono im nawet znikome odszkodowania.

Pamiętam w Toruniu wypadek, gdy Urząd Bezpieczeństwa polecił ujawnić się tym, którzy byli w konspiracji w Armii Krajowej. Oficer UB (Z jednym okiem, nazywał zdaje się Sadokierski) dawał „słowo honoru”, że nikomu z głowy włos nie spadnie, tylko – żeby się wszyscy ujawnili. Tymczasem postąpiono podstępnie. Ludzie z podziemia przyznawali się do tego, że w czasie okupacji byli w AK myśląc zapewne naiwnie, że nic im się nie stanie, dostaną medale i może jeszcze pojedą ulicą Szeroką z biało-czerwoną flagą! Biedacy, jakże słabą mieli pamięć! Nie pamiętali już ani „procesu szesnastu” ani starych, sowieckich wypróbowanych praktyk. Zostali oskarżeni o współpracę z okupantem, o działalność wymierzoną przeciwko Armii Czerwonej i Ludowemu Państwu Polskiemu. Byli skazywani na wysokie kary z karą śmierci łącznie. W sprawie Sylwana Stankiewicza zapadł wyrok 10 lat więzienia, a w drugim grupowym procesie jego syna – też posypały się wysokie kary. Straszne rzeczy działy się w sądownictwie polskim: cóż z tego, że niektórzy uratowali się odsiedziawszy 8-12 lat więzienia (i wyszli ze zniszczonym zdrowiem, często, aby umrzeć zaraz po zwolnieniu). Ale iluz zginęło: gen. Fieldorf bohaterski dowódca Kedywu Armii Krajowej, wspaniała postać (o którym napisać zamierza książkę przyjaciel mego bratanka – dr Rybicki, D-ca Warszawskiego Oddziału Kedywu), gen. Krzyżanowski „Wilk” – D-ca Wileńskiego Okręgu Armii Krajowej, płk Juszyrat, lotnik, bohater Bitwy o Anglię, który wrócił do Polski i wielu, wielu wspaniałych patriotów – Polaków.

Na pewno znajdują się ludzie, którzy ten okres opiszą (bądź już opisali) znacznie lepiej ode mnie. Adwokat Aniela Steinsbergowa w książce o procesie Kazimierza Moczarskiego opisała technikę mordowania ludzi, którzy byli torturowani i przyznali się do wszystkiego, co im imputowano. A sposobów torturowania, jak to wyliczył Moczarski w swoim słynnym memoriale, było czterdzieści kilka. Odbywały się sądy kapturowe, bez obrony, w więzieniu, w małym pokoiku na Rakowieckiej, które to miejsce poznałam oczekując kiedyś na więźnia karnego, którego mieli zwolnić nazajutrz. Chciałam go o tym poinformować.

Piszę tę parę uwag świadoma tego, że inni, młodszy zrobią to lepiej ode mnie. Ale nie mogę jednak milczeć, nie mogę o tym nie wspomnieć, skoro byłam świadkiem i to często świadkiem naocznym tego, co działo się w sądownictwie polskim w tamtych strasznych latach. Latach pogardy...



## Rozdział XI

### TOWARZYSTWO OPIEKI NAD ZWIERZĘTAMI

W Toruniu z inicjatywy pana Chrzanowskiego powstało Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami, do którego od razu się zapisałam. Było to zrozumiałe – w swych wspomnieniach wielokrotnie dawałam dowód mego umiłowania zwierząt. Ponieważ byłam prawnikiem, dano mi stanowisko Radcy Prawnego Towarzystwa.

Zbieraliśmy się od czasu do czasu dla omówienia bieżących spraw, a każdy z nas miał w klapie dość duży znaczek i miał prawo interweniować, gdy widział, że ktoś znęca się nad zwierzęciem. Członek Towarzystwa miał prawo skierować sprawy znęcających się do Kolegium Administracyjnego, celem ukarania winnego grzywną. Miałam kiedyś osobiście wypadek, gdy na ulicy w Toruniu zobaczyłam wóz konny, w którym jechało trzech żołnierzy sowieckich, a za wozem na linie przyczepiona była krowa. Krowa nie nadążała za wozem i lina, którą była przywiązana, była napięta do tego stopnia, że krowę po prostu dusiła.

Widząc to podeszłam do wozu i porosiłam o zatrzymanie, a gdy stanęły, pokazałam znaczek w klapie i powiedziałam po rosyjsku: *U nas nie lzia izdiewatsa nad żywotnymi* (*U nas nie wolno znęcać się nad zwierzętami*). Interwencja (O dziwo!) okazała się skuteczna, jeden z żołnierzy bez szemrania zszedł z wozu i krowę prowadził z tyłu, za wozem...

Ale były różne sprawy. Na przykład na jednej wsi pod Toruniem wściekł się pies, którego zastrzelono, i powiatowy weterynarz nakazał

milicji zastrzelić wszystkie psy na wsi, sądząc widocznie, że jest to najprostsze rozwiązanie sprawy. Założył, że wszystkie mogły być pogryzione przez tego wściekłego psa, co było absolutnie nieprawdopodobne. Nastąpiło więc na rozkaz tego szalonego weterynarza wykonanie jego polecenia. Psy przywiązano do budy i na oczach rozpaczających dzieci były one zabijane przez milicję. W związku z tym zarządzeniem działały się „dantejskie” sceny.

Na domiar złego Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami zostało pozwane przez tego weterynarza, który wniósł skargę o znieważenie przez Towarzystwo jego osoby (była akcja prasowa na ten temat). Ja stanęłam w obronie Towarzystwa, broniąc jego dobrych intencji. Towarzystwo stało bowiem na stanowisku, że można było inaczej załatwić sprawę, a nie dopuścić do rzezi wszystkich zwierząt w całej wsi. Każdy z właścicieli zwierząt zgodziłby się chętnie na pewną izolację i obserwację psa, która to obserwacja na pewno nie zakwalifikowałaby się do uśmiercenia wszystkich psów. Koniec sprawy był korzystny dla Towarzystwa, bo zaskarżeni lekarze zostali niewinnieni.

Charakterystyczne dla „czasów”, które nadchodziły, było to, że nie odpowiedzialny weterynarz został pociągnięty do odpowiedzialności przez swoje władze zwierzchnie czy też Izbę Lekarską, ale ci, którzy występowali w imię rozsądku, elementarnych zasad humanizmu i uczciwości zawodowej. Tak się wtedy zaczęło u nas dziać...

Druga sprawa była dość głośna.

W „Expressie Wieczornym” w Warszawie ukazał się artykuł zatytułowany: *W zakładach mięsnych w Toruniu świnie pływają w gotującej się wodzie*. W artykule tym opisane zostały praktyki stosowane w zakładach toruńskich. Świnie, które miały być zabite prądem elektrycznym, a następnie rzucone do basenów z bardzo gorącą wodą (celem zdjęcia sierści z mięsa) nie zostawały uprzednio zabite i konały pływając w basenie w bardzo gorącej, niemal gotującej się wodzie. „Gazeta Bydgoska” przedrukowała to, co napisano w Warszawie. Oczywiście obydwie wzmianki były komentowane przez mieszkańców miasta jako dowód niehumanitarnych stosunków panujących w Zakładach Mięsnych. Ale Zakłady Mięsne były bardzo duże, podlegały Zarządowi Miejskiemu w Toruniu i poczuły się dotknięte treścią obydwu artykułów. Obydwa czasopisma pozwano do Sądu za pomówienie i szerzenie nie-

prawdziwych wiadomości. „Express Wieczorny” przysłał swego adwokata, „Gazeta Bydgoska” swego adwokata z Bydgoszczy, z ramienia Zarządu Miasta w charakterze oskarżyciela miał wystąpić adwokat Maciej Bajraszewski, mój kolega jeszcze z czasów wileńskich. Ja w tej sprawie miałam wystąpić w charakterze obrońcy Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, bo Towarzystwo również wypowiadało się przeciwko Zarządowi i Zakładom Miejskim oskarżając je o brak nadzoru i dopuszczenie do tego, aby zwierzęta żywe pływały w ukropie.

Wszyscy byliśmy zebrani na korytarzu w Sądzie i przekonywaliśmy Bajraszewskiego, że przegra sprawę, bo takie przypadki istotnie miały miejsce i możemy podać wielu naocznych świadków, że naprawdę było tak, jak pisały gazety. Mówiliśmy, że Bajraszewski popierając oskarżenie narazi tylko Zarząd Miejski na straty, koszta sądowe i adwokackie strony pozwanej i namawialiśmy go, aby cofnął oskarżenie o znieważenie w Sądzie, bo wtedy strona oskarżona nie będzie żądała żadnych kosztów. I tak się też stało.

Mam pamiątkę z tamtych czasów, bo dostałam od Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami książkę pod tytułem „Psychologia zwierząt”<sup>54</sup> z bardzo miłą dedykacją prezesa Chrzanowskiego podnoszącą moje zasługi w Towarzystwie Opieki nad Zwierzętami w Toruniu.

## Rozdział XII

### YAD VASHEM

Leży przede mną oświadczenie napisane w Łodzi 14 grudnia 1951 roku przez Ludwika Sempolińskiego. Oto jego treść:

*Niniejszym stwierdzam, że Ob. Helenę Sztukowską poznałem we wrześniu 1939 roku w Wilnie, kiedy jako uchodźca znalazłem się tam z moją matką i zamieszkałem u Obywatelki Heleny Sztukowskiej. W tym okresie mieszkanie Ob. H.S. stało się przytuliskiem dla szeregu uchodźców z Warszawy, którym bezinteresownie udzielała gościny, dzieląc się tym co miała w okresie wielkich trudności aprowizacyjnych. Między innymi oprócz mnie znaleźli się u niej red. Michał Orlicz, Feliks Parnell, Świerczewska i Dziewoński (znani aktorzy). Ob. Orlicz będąc w trudnych warunkach mieszkał i otrzymywał pełne utrzymanie przez rok czasu, co z wdzięcznością wspomina spotkawszy się ze mną dziś – 14 XII 1951 r. Od roku 1940-1941 (do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej) Ob. Sztukowska pracowała jako suflerka w teatrze „Miniatur”, którego byłem jednym z kierowników. W roku 1940 wyrzucili z mieszkania Ob. H.S., tak że razem ze mną i moją matką zamieszkaliśmy w mieszkaniu Ob. H.S. na ul. Jezuickiej, bez żadnych wygód, wody w kuchni, przy czym Ob. H.S. mieszkała tam przez całą okupację. W momencie wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, w czasie bombardowania Wilna wyszliśmy większą grupą, piechotą z miasta na wieś i znaleźliśmy schronienie w skromnym folwarczku matki H.S. zwanym Balinpołem, gdzie przebywaliśmy przez półtora roku. W grupie tej znaleźli schronienie m.in. Józef Edelsztejn – rekwizytor teatru „Miniatur”*



oraz inż. Horwicz, obaj Żydzi, a ponieważ jednocześnie z nimi ukrywałem się i ja, pod nazwiskiem Kaliny, jako poszukiwany przez hitlerowców za odtwarzanie postaci Hitlera, więc obie obywatelki, tj. Helena Sztukowska i jej matka narażały się bardzo, a mimo to nie dały tego nigdy poznać po sobie, goszcząc nas bardzo serdecznie i bezinteresownie. W związku z pobytem moim u Ob. Heleny Sztukowskiej udzieliłem wywiadu w „Expresie Wieczornym” zimą 1947 r. w którym podziękowałem Ob. H.S. za uratowanie mi życia. Jednocześnie stwierdzam bezinteresowność Ob. H.S. w stosunku do każdego, kogo ukrywała. Byłem bezpośrednim świadkiem w czasie pobytu tam Ob. Józefa Edelszteina, który był biedakiem i kiedy zginęło mu jedyne okrycie w czasie, gdy wychodził do swojej rodziny w Warszawie, wyekwipowała go w ciepły kubrak, ubranie i żywność. Widziałem się z nim jeszcze pod Lidą, w folwarczku Hawinowicze, gdzie ukrywałem się po aresztowaniu Ob. Heleny Sztukowskiej, kiedy musiałem opuścić Balinpol. Stamtąd pomogłem mu się przedostać przez Pińszczyznę do Warszawy, gdzie udał się do teatru prowadzonego przez Michała Znicza, gdzie na pewno zginął. Inż. Horwicz również wyszedł z Warszawy i był u rodziny Heleny Sztukowskiej przywożąc pozdrowienia. Poza tym oprócz nas ukrywała Ob. H. Sztukowska przez 5 miesięcy w Balinpolu Żydówkę, udającą Francuzkę, zwaną „Mademoiselle”, a kiedy żandarmeria wysledziła jej obecność, ukryła ją w sąsiedztwie. Za ukrywanie jej Obywatelka H. Sztukowska siedziała w więzieniu niemieckim. Niezależnie od tego Obywatelka Helena Sztukowska ukrywała drugą Żydówkę, siostrę swojej sekretarki z synkiem u siebie, w Wilnie na ulicy Jezuickiej, gdzie po wyzwoleniu Wilna zamieszkała na stałe i została w tym mieszkaniu po wyjeździe Obywatelki H.S. z Wilna. W grupie osób, które ukrywała Ob. Helena Sztukowska w Balinpolu, znalazła się również Ob. Sukiennicka z synem, ukrywająca się przez pięć miesięcy przed Gestapo pod nazwiskiem Topolska, które poszukiwało ją jako komunistkę. Po wyzwoleniu, w roku 1944 znów wróciła do teatru i pracowała jako suflerka, najpierw w teatrze „Miniatur”, a potem w teatrze dramatycznym pod dyrekcją Stefana Martyki. I z tym teatrem oraz z „Lutnią” została ewakuowana do Torunia w maju 1945 roku, gdzie jeszcze przez 2 miesiące pracowała jako suflerka i ustąpiła przeszedłszy do zawodu adwokackiego.

*Podając te wiadomości o osobach i faktach, które pamiętam, pomijam inne fakty, o których słyszałem i osoby którym Obywatelka Helena Sztukowska pomagała, a których osobiście nie znałem.*

*Słowem – przez cały czas okupacji Obywatelka Helena Sztukowska zachowała wspaniałą postawę jako człowiek, wykazała dużo odwagi i ofiarności, jednym słowem jako obywatelka świeciła wzorem i przykładem w czasie okupacji. Stwierdzam to z całą świadomością, jako jeden z tych, którzy żyją i życie zawdzięczają właśnie bezinteresownej ofiarności Obywatelki Heleny Sztukowskiej.*

*Ludwik Sempoliński*

Oświadczenie Sempolińskiego, napisane w samym środku „stalinowskiej nocy”, w roku 1951, kiedy wyszłam z więzienia i założyłam rozprawę rewizyjną, pełne eufemizmów i charakterystycznych dla „tamtych lat” sformułowań (zamiast „pani” – ciągle „obywatelka”, „skromny folwarczek” itp.), przypomniało mi ogromną liczbę drobnych, a czasami bardzo poważnych wydarzeń z okresu II wojny. O niektórych z nich (jak historia „Mademoiselle”) pisałam już w swoich pamiętnikach, ale było tych faktów tak wiele, tak czasem groźnych i niebezpiecznych, że pamiętnik mój byłby niepełny, gdybym o tych sprawach nie napisała.

Wydaje mi się, że powinnam swoją pracę w latach okupacji pokazać na tle tego, co działo się w Wilnie przed wojną. Lata moich studiów i wiele lat późniejszego życia spędziłam bowiem w tym, jak mówił Piłsudski, „miłym mieście”, w którym słyszało się zewsząd różnojęzyczny gwar. Blisko 40 % mieszkańców stanowili Żydzi. Było ich pełno w mieście. Część żyła w getcie – całkowicie odizolowana od życia polskiego, część jednak, przede wszystkim inteligencji, wtopiła się w życie kulturalne kraju. Wilno – jak wszystkie kresowe miasta, w których istniały duże mniejszości narodowe (obok Żydów – Litwini, Rosjanie, Białorusini, Tatarzy i Karaimi) – pełne było tolerancji. Miałam na studiach i potem w izbie adwokackiej wielu kolegów Żydów, z którymi stosunki układały się jak najlepiej, nie było żadnych konfliktów narodowościowych.

Już po wojnie dostałam od mojej mieszkającej w Londynie przyjaciółki – Haliny Sukiennickiej zdjęcie, przedstawiające „in corpore” Wileńską Izbę Adwokacką. Co najmniej połowa z twarzy na fotografii zdradzała charakterystyczne cechy semickie. Większość tych ludzi zgi-

nęła tragicznie w latach okupacji niemieckiej, wielu rozstrzelanych zostało w lasach ponarskich pod Wilnem...

Przed wojną mówiło się, „że każdy szlachcic ma swojego Żyda”. Jeśli to prawda, to byłam wyjątkową szlachcianką, miałam bowiem nie jednego, ale stu Żydów, z którymi razem walczyłam na froncie, studiowałam, pracowałam, przyjaźniłam się, a w czasie okupacji starałam się, jak tylko mogłam, pomóc im w ich straszliwym losie. Na Wileńszczyźnie było ich pełno. W Balinpolu, w majątku moich rodziców, gdzie matka moja w latach trzydziestych zorganizowała pensjonat, dostawcą mięsa był Żyd z pobliskiego miasteczka. Wszystkie miasteczka na wschodzie Polski pełne były Żydów. W niektórych stanowili oni zdecydowaną większość mieszkańców, często nie umieli dobrze po polsku. Biedota, ale nawet i inteligencja żydowska mówiła ze sobą w żargonie albo po rosyjsku. Tak było też i w Wilnie.

Skąd wzięli się oni na Wileńszczyźnie? W większości poza ludnością pochodzenia żydowskiego osiadłą tu od wieków byli to tzw. „Litwacy”, których Car usunął z Rosji ustalając tzw. „Czerta Osiedłości”. Wypędzeni z Rosji zadomowili się na Wileńszczyźnie tworząc prawdziwe „państwo w Państwie”. O tym, jak państwo to wyglądało, przekonać się można w książce wydanej w 1974 roku w Stanach Zjednoczonych. Praca ta złożona z dwóch potężnych tomów (z małym aneksem) zatytułowana jest „*Jerosolima of Lithuania*”. Znalazłam tam wielu znajomych, kolegów z Uniwersytetu Wileńskiego i z praktyki adwokackiej. Jest tam również (na str. 470) moja fotografia podpisana w trzech językach: po angielsku, hebrajsku i rosyjsku. Podpis jest następujący: Adwokat Helena Sztukowska uratowała rodzinę Blumenthal-Szapiro. W albumach tych jest m.in. zdjęcie prof. Czeżowskiego z żoną i córką. Zdjęcie to zrobione zostało w Jerozolimie, dokąd Czeżowski został zaproszony przez 12 ludzi, którym uratował życie w tych strasznych dniach zagłady narodu żydowskiego. Prof. Tadeusz Czeżowski był moim bardzo dobrym znajomym. Figuruje w tej książce jeszcze wielu Polaków, którzy ratowali, narażając, a często poświęcając swe życie – ludziom pochodzenia żydowskiego.

Ale jednocześnie, po zaznajomieniu się z tą książką, widać jak Żydzi na Wileńszczyźnie byli wspaniale zorganizowani. Mieli oni własne szkoły, własne związki skupiające przedstawicieli różnych profesji. Był zwią-



zek lekarzy, inżynierów, kupców, nauczycieli itp. itd. Były dwie korporacje żydowskie na Uniwersytecie<sup>55</sup>. W adwokaturze też ich było dużo. Można to zobaczyć na tym zdjęciu, które otrzymałam z Londynu, gdzie widnieje prawie cały okrąg wileńszczyzny z Wilna oraz innych miast – jak Białystok oraz Grodno, lub tych, w których były sądy grodzkie.

Stosunki z adwokatami pochodzenia żydowskiego były w Wilnie dobre, w przeciwieństwie do innych okręgów, gdzie toczyła się bezwzględna walka o udział w organach kierowniczych jak to miało miejsce np. w Galicji, gdzie była duża przewaga Żydów w adwokaturze. U nas w Wilnie i na prowincji wileńszczyzny ustalono za obopólnym porozumieniem, że Żydom przydziela się odpowiednią liczbę miejsc. Chodziło o to, aby wszyscy delegaci traktowani byli jednakowo, tak jak kandydaci polscy i jeśli Polacy mieli jakieś zastrzeżenia co do osoby kandydata, to Żydzi zmieniali go przy jakiejś okazji. Bywało i odwrotnie. Wszyscy wtedy głosowali na wspólnie wybranych kandydatów. Tak było w Wilnie, jak w Warszawie – nie wiem.

Jak doszło do mojej działalności w ukrywaniu Żydów podczas okupacji niemieckiej?

Chodząc prawie codziennie przed wojną ulicą Mickiewicza, na której był Sąd, przechodziłam obok małego sklepiku żydowskiego, w którym do późnych godzin nocnych można było kupić żywność. Żona właściciela była energiczna i ona właściwie kierowała tym sklepem. Mąż jej nawet nie umiał mówić po polsku. Zwykle przynosił jakieś skrzynki, układał towar. I do tego ograniczała się jego praca w sklepie.

Sklepiczarka miała trzy córki: Ethel, Maszę i trzecią, której imienia nie pamiętam. Kiedyś kupując coś zapytałam co robi Ethel? Odpowiedziano mi, że jest chora i leży w łóżku. – A co jej dolega? – Mówi od rzeczy, jest nieprzytomna! Postanowiłam do niej zajść. Rzeczywiście mówiła coś od rzeczy, jak nieprzytomny człowiek. Wtedy powiedziałam matce, że leżenie w łóżku nic nie pomoże, trzeba ją umieścić w szpitalu uniwersyteckim na oddziale psychiatrycznym. Po pewnym czasie, gdy już Ethel była w szpitalu, spotkałam dwie lekarki – psychiatrki, z którymi o niej rozmawiałam. Pamiętam, że jedną z lekarek była Jakubiańcówna, znana z tego, że oglądała mózg Marszałka Piłsudskiego. Nazwiska drugiej nie pamiętam, ale znana była z tego, że uważała, iż chorych psychicznie nie należy trzymać w szpitalu lecz leczyć ich wśród



zdrowych ludzi na wsi. Była więc pionierką nowoczesnych koncepcji psychiatrii. Obie znały Ethel i prognozowały, że chora wyzdrowieje. Leczone ją kąpielami ale również i farmakologicznie. Lekarki twierdziły, że przyczyną choroby był przebyty szok: po skończeniu szkoły powszechnej Ethel chciała się dalej kształcić, a matka kazała jej przestać myśleć „o takich głupstwach” i sprzedawać w sklepie...

Po wyjściu ze szpitala Ethel wróciła do domu, a po pewnym czasie zjawiała się u mnie jej matka, z prośbą, bym umożliwiła Ethel pisanie na maszynie. *Ona tak lubi pisać na maszynie, jak przyjdzie do Pani mecenasa i popiszze sobie trochę, zrobi jej to wielką przyjemność.*

Tak więc Ethel zaczęła do mnie przychodzić i „coś tam sobie pisać”. Po pewnym czasie, gdy ją poznałam bliżej, zaproponowałam, aby zamiast pisania jakichś niepotrzebnych pism – pisała dla mnie, a ja będę jej dyktowała. Wykazała znaczną biegłość w pisaniu i wtedy zaproponowałam jej, aby została moją sekretarką. Robiła szybkie postępy. Bywało tak, że nie miałam czasu osobiście przeczytać akt, bo musiałam stawać w jakiejś innej sprawie, a akta wydawano tylko do godz. 12.00, wtedy Ethel szła w moim imieniu, a potem referowała mi po południu tę sprawę, tak dobrze i wnikliwie, że ja wiedziałam doskonale na podstawie jej relacji – jak bronić.

Imię jej Ethel – zmieniłyśmy na Edwardę i Edzia awansowała tak szybko, że inni znani adwokaci, jak mecenas Łuczywek, czy Kowalski chcieli ją zatrudnić w swoich kancelariach.

Tak to trwało aż do wybuchu II wojny i do początku okupacji. Nie było już pracy, nie było polskich Sądów, Edzia uciekła przed Niemcami na Wschód. Tam wstąpiła do formowanego przez gen. Andersa polskiego wojska i po wojnie wylądowała w Londynie. Gdy jeszcze istniały w Anglii szkoły dla polskich dzieci (mieszczące się w barakach w Cambridge) – była telefonistką. Wstąpiła na jakieś kursy, które stworzyły jej możliwość dalszej kariery. Ostatnie lata spędziła pracując w radio. Jest teraz na emeryturze.

Tymczasem w Wilnie, podczas likwidacji Getta przez Niemców zginęli rodzice Ethel i jej młodsza siostra. Niemcy nasilają terror. Gina też znajomi wspaniali Polacy: adwokat Engiel, profesor Pelczar, profesor Gutkowski. Wyrzucają mnie z mojego dużego mieszkania, do mieszkania gdzie nie ma wygod, jest ciemna kuchnia. Dom znajduje się w

pobliżu Wileńskiego Getta, vis a vis koszar, do których wracają z miejsc egzekucji pijani litewscy żołnierze.

Jestem ciągle w Wilnie, ale karmi mnie Balinpol.

Pewnego dnia ktoś dzwoni, otwieram. Przed drzwiami stoi z dwuletnim synkiem na ręku siostra Edzi – Masza i mówi: *Niech mnie Pani ratuje z uwagi na moje dziecko*. Wzięłam ją oczywiście. Ukrywałam przez 3 lata w różnych miejscach, ale zasadniczą bazą było moje mieszkanie na ulicy Jezuickiej 7. Masza przez pewien czas pracowała jeszcze w Getcie, ale jakoś wymykała się z niego i przychodziła do mnie na Jezuicką (która biegła bardzo blisko murów Getta). W domu u mnie był bezustanny ruch, ukrywali się poszukiwani przez Gestapo Polacy konspiratorzy i odbywały się spotkania wyższych władz Akowskich. Ukrywamy Sempolińskiego z moją matką, ukrywamy poza tym adwokat Sukiennicką z dwunastoletnim synem, rekwizytora teatru „Miniatur” młodego Żyda z Warszawy. Również inżyniera Horwicza – Żyda, który miał papiery dostarczone przeze mnie i twierdził, że dając odpowiednie papiery – 5 razy uratowałam mu życie. Pamiętam, jak stwierdziłam, że Masza z dzieckiem jest zagrożona, to w nocy zaprzęgåłm konia do sanek, zabrałam Maszę i jej dziecko oraz służącą Maszy – Polkę i w nocy przez las, wąskimi zasypanymi przez śnieg drogami, wywiozłam ją, coraz to wywracając się w śnieg, do pustego domku letniskowego. Wracałam stamtąd w nocy sama odprzegając konie tak, że nikt nie wiedział o mojej nocnej eskapadzie. Balansowałam między Balinpołem a Wilnem. Mój synek – Janek był tak przyzwyczajony do konspiracji, że nieraz zapytywał mnie w sekrecie, czy można przy jakimś panu powiedzieć „to czy owo”.

Ukrywani przeze mnie Żydzi opowiadali mi o swoich okropnych, mrozących krew w żyłach przejściach.

Kiedys Magdalena (Masza) schowana była w piwnicy u jakiegoś dozorca, który wyjeżdżał na handel do Kowna. W piwnicy był wykopany dół i otwór był zasłonięty parawanem tak, że nie był widoczny dla patrzących od strony drzwi wejściowych. Akurat wtedy, gdy w kryjówece znajdowała się Masza z synkiem Szymkiem, złodzieje przyszli kraść węgiel. Tak jednak byli zajęci kradzieżą, że nie zajrzeli za parawan. Innym razem Magdalena ukryta była na strychu z synkiem. Szymek musiał rozmawiać szeptem, aby się nie zdradzić. Biedny chłopiec tak

był przyzwyczajony do „szeptania”, że jak przychodził z matką do mnie, to też mówił tylko szeptem.

Adwokat Izraelitówna opowiadała mi o następującym, wstrząsającym wydarzeniu. Pewna grupa Żydów ukrywała się w jakimś domu na 1 piętrze. Posłyszeli, że Gestapo ich szuka i wówczas po drabinie weszli na strych tego domu, wciągnęli za sobą drabinę i zamknęli wejście na strych. Była między nimi kobieta, która miała niemowlę i uciekinierzy z Getta obawiali się, że dziecko zapłacze i tym zdradzi ich obecność na strychu. Uzgodniono więc, że jak dziecko zakwili – to zostanie zatuszone. Stali więc tak nad tym dzieckiem z wyciągniętymi rękami, gotowi do zaciśnięcia ich na gardle dziecka ci biedni, zrozpaczeni i doprowadzenia do zdziczenia ludzie, ale dziecko spało spokojnie i wszyscy się tym razem uratowali. Gestapo na strych nie weszło...

Wyjść z getta było bardzo trudno, bo straż żydowska pilnowała lojalnie i zostawiła po sobie jak najgorszą pamięć. Masza mówiąc o „Judenpolizei” – trzęsa się wprost z oburzenia. Były wypadki, że młode Żydówki chcąc się wydostać z Getta spotykały się z propozycją *albo mi się oddasz, albo nie wyjdiesz*. Zrozpaczone, zapłakane, zhańbione kobiety oddawały się na stojąco, pod ścianą, by potem wyjść na miasto i zdobyć kawałek chleba dla głodujących dzieci.

O tym, że ukrywam Żydów, wiedziało sporo osób. Moje mieszkanie na Jezuickiej położone było blisko Getta i często wpadali do mnie zupełnie nieznanymi Żydzi zostawiając jakieś walizki na przechowanie i prosząc, bym zatrzymała je do chwili, gdy zdecydują się na ucieczkę z Getta. Wkrótce zjawiali się znowu, zabierali pozostawione rzeczy i wędrowali dalej... O tym, że Sztukowska nie tylko przechowuje rzeczy, ale jeszcze je oddaje..., też się roznosiło szeroko. Wszystko to było bardzo niebezpieczne, ale – wobec ogromu nieszczęść, ilości zagrożonych – nieuniknione.

Przykładem tej „famy” być może następująca anegdota. Ciotce Janinie Niewodniczańskiej-Falewicz zarekwirowano jeden pokój, w którym mieszkał Niemiec, inżynier, który zatrudniał parę Żydów mających tzw. „szajny”, czyli zezwolenie na przebywanie w mieście (poza murami Getta) w określonych godzinach. Ciotka znając świetnie języki, w tym również niemiecki, nawiązała znajomość z tym Niemcem wykorzystując ten kontakt dla różnych konspiracyjnych celów. Składali sobie



wzajemnie wizyty, a ja odwiedzając Ciotkę zostawiałam w kieszeni palta najbardziej kompromitujące papierki bez obawy, że może to kogoś zainteresować. Niemiec pochodził z Bawarii, spod Monachium, był katolikiem, a jego samochód stanowił prawdziwe laboratorium dla badania materiałów pędnych. Niemiec mówił biegle po francusku. Poznać było można, że to człowiek dobrze wychowany i pochodzący z inteligenckiej rodziny. Okazało się potem, że znał naszego sąsiada Bile-  
ra, który miał dom nad Wilią położony o kilka kilometrów od Balinpo-  
la.

Jadąc do Bilera Schmidt (tak się bowiem nazywał przymusowy loka-  
tor Ciociny) zatrzymał się kiedyś w Balinpolu, przedstawił się i chciał  
coś wymienić na jakieś produkty spożywcze. Kierowca jego był Wie-  
deńczykiem, z zachowania sądząc niegroźny, co potwierdziły zresztą  
dalsze zdarzenia. Pracująca u Schmidta para Żydów nie dostała „szaj-  
nów” – zezwolenia na pracę poza murami i powinna była wrócić do  
Getta. Biedni Żydzi klęczeli przed Schmidtem, prosząc aby mogli pozos-  
tać u niego. Wtedy Schmidt kazał kierowcy odwieźć ich do... Balinpo-  
la. W Balinpolu dom był pełen ukrywających się. Radziłam przerwucić  
ich na Białoruś, gdzie jeszcze nie przystąpiono do akcji likwidowania  
Żydów, tak jak na Wileńszczyźnie. Granica z Białorusią odległa była od  
Balinpola o 14 km, Kierowca zgodził się, pod warunkiem, że ja z nim  
pojadę i pokażę, gdzie ma ich wysadzić. Podjechaliśmy pod samą gra-  
nicę, gdzie były możliwości niepostrzeżonego przejścia – rósł tam gęsty  
las i Żydzi wysiedli.

Kierowca odwiózł mnie do Balinpola i powrócił do Wilna. Nazajutrz  
rano wychodzę na balkon i patrzę, a od bramy wjazdowej idzie ta  
nieszczęsna żydowska para... W domu nie było miejsca. Ulokowali się  
w czworakach u naszych fornali. Ja musiałam wyjechać do Wilna. Nie  
wiem, czy się uratowali.

Gdy zaczęła się ofensywa sowiecka i przyszły wojska rosyjskie, było  
to szczęściem i wyzwoleniem dla Żydów, którzy wtedy gremialnie opusz-  
czali Wileńszczyznę udając się przede wszystkim do Izraela. Magdalena  
pozostała po naszym wyjeździe do PRL w moim wileńskim mieszkaniu,  
ale i ona po pewnym czasie opuściła Wilno, była kilka dni w Warsza-  
wie, gdzie znalazła się w grupie emigrantów – Żydów udających się  
drogą morską do Izraela. Nie zastałam jej już w Warszawie, gdy przyje-



chałam z Torunia, aby się z nią zobaczyć. Powiedziano mi, że wyjechała poprzedniego dnia. Masza z synkiem była bardzo krótko w Izraelu, bowiem siostra jej męża, szwagierka namówiła ją, aby przenieśli się do Meksyku, gdzie ona mieszkała. Oświadczyła, że ich urządzi. Masza wyszła bowiem powtórnie za mąż za Dawida Szapiro, który przyjechał do Wilna będąc oficerem w sowieckim wojsku, a po demobilizacji pracował w dawnym sklepie Braci Jabłkowskich w Wilnie. Magdalena z mężem i synkiem (którego mąż adoptował i dał mu swoje nazwisko) pracowali początkowo w handlu. Gdy po wyjeździe z Izraela Magdalena znalazła się w Meksyku, nawiązałam z nią korespondencję. Magdalena miała różne fachy. Wypiekała jakieś ciastka, handlowała, a jej mąż miał sklep z butami.

Szymek dojrzał szybko i błyskawicznie zaczął robić karierę. Stworzył jedyną w Meksyku aptekę posiadającą lekarstwa dla kur. Sprawdział te leki ze Stanów Zjednoczonych i lekarstwa te podawane były w postaci zastrzyków doustnie. Ma dziś ogromne biuro zatrudniające sekretarki, maszynistki, stworzył też własną dużą fermę kur – zatrudnia 80 meksykańczyków z weterynarzem na czele. Ma tę ogromną fermę, wielkie mieszkanie w Meksyku i ładne mieszkanie w Nowym Jorku.

Szymek ożenił się ze śliczną dziewczyną, Angielką, która przyjęła judaizm, albowiem Magdalena, która zachowała wszystkie obyczaje żydowskie wymagała od Ann, aby przeszła na wyznanie mojżeszowe.

W roku 1968 byłam w Meksyku na zaproszenie Szymka. Przysłano mi bilet na samolot. Zezwolenie na wjazd do Meksyku dostać jest trudno. Przy moim zaproszeniu musiał pomóc adwokat, a Szymek wpłacił 10.000 pezów kaucji, że nie zostanę w tym kraju.

Bawiłam u nich dwa miesiące. Wracając zatrzymałam się 5 dni w Kanadzie, w Montrealu.

Przyleciałam samolotem, w którym było tylko dwudziestu kilku pasażerów. W Montrealu dużo pasażerów wysiadło, a mało wsiadło. Tak więc na odcinku Montreal-Meksyk na 6 foteli w jednym rzędzie – byłam tylko jedna. Miałam do dyspozycji 6 koców i 6 poduszek, ale nie spałam ani godziny! Rozmawiałam z pilotem samolotu, który spacerował po pokładzie. Powiedziałam mu, że ja też kiedyś byłam pilotem. Wtedy zaproponował mi, żebym siadła na drugim fotelu obok pilota i gdy to zrobiłam, tłumaczył mi, gdzie jesteśmy. Oglądałam miasta, które

z wysokości kilku tysięcy metrów wyglądały jak małe ogniki. Oczekiwa-  
no mnie na lotnisku z kwiatami, zapłacono kaucję i zawieziono do  
mieszkania Magdaleny i jej męża. W moim pokoju stał olbrzymi bukiet  
czerwonych róż.

Do Meksyku, do mieszkania Magdaleny przyjechałam w okresie  
przedświątecznym (przed świętami Paschy – Wielkiejnocy), gdy nie  
można było jeść chleba. Jedliśmy tylko mace. Pamiętam, kiedyś gdy  
wyszłam ze swego pokoju w nocy, zobaczyłam palącą się świecę. Po-  
myślałam, że Magdalena zapomniała ją zgasić, więc skrzętnie zdmuch-  
nęłam ogień. Rano Magdalena zapytuje: kto to zrobił? Oczywiście przy-  
znałam się, że ja to zrobiłam. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, bo oka-  
zało się, że zgodnie z wymaganiami religii świeca musiała palić się do  
końca.

W okresie świątecznym byliśmy zaproszeni do żydowskiego domu  
na tzw. seider – coś w rodzaju naszej uczyty wielkanocnej. Przy stole  
siedziało 20 a może i więcej osób. Na głównym miejscu zasiadało trzech  
starszych panów w jarmułkach na głowach, którzy mieli otwarte książ-  
ki i modlili się kiwając się. „Zawodzili”, a reszta towarzystwa przysłu-  
chiwała się temu w milczeniu. Była w towarzystwie młodzież. Nawet  
chłopcy, którzy chodzili do angielskich szkół – musieli nałożyć jarmułki  
i modlić się.

Dopiero po tych ceremoniach nastąpiła uczta świąteczna. Przyjęcie  
było niezwykle obfite, ale składkowe. Ponieważ nie mogliśmy zjeść  
wszystkich podanych nam smakołyków zaproszono nas również na-  
stępного dnia. Mnie nazwano „szabesgojem”.

Byłam w Meksyku dwa miesiące, zwiedzałam z Magdaleną miasto i  
okolice. Zwiedzałyśmy kościoły, słynną „Czarną Madonnę” z Guadalu-  
pe, pokazywano mi synagogi, zabytki pozostałe po Majach, wspaniałe  
piramidy...

Gdy odwiedziliśmy cudowny obraz „Czarnej Madonny” widzieliśmy  
jak kobiety szły przez cały plac prowadzący do kościoła na kolanach,  
obnażały kolana (bo szkoda im było pończoch) i czasami opierały się o  
ramię towarzyszącego im mężczyzny.

Wjazd do piramid jest płatny, a na piramidy trudno się wchodzi,  
albowiem stopnie są bardzo wysokie. Magdalena siedziała na pierw-  
szym stopniu a ja wspierałam się nieco wyżej, aby mnie sfotografowano.

Gdy zwiedzałam synagogi zauważyłam, że w niektórych z nich przedmioty kultu przewiązane były sześciokrotnie drutem kolczastym. Wszędzie paliło się po sześć świec, a na Akademii we wspnianym gmachu Akademii Muzeum Martyrologii Żydowskiej było nawet sześciu recytatorów. Wszystko to było na pamiątkę 6 milionów Żydów pomordowanych w czasie Holocaustu. W wielkiej sali koncertowej w Meksyku ściany były pokryte polichromią przedstawiającą cierpiące twarze ludzi w pasiakach.

Po skończonym pobycie w Meksyku poleciałem do Montrealu. Mieszkałam u swojej koleżanki p. Sawczyńskiej, która pracowała jako kioskarka na lotnisku. O moim pobycie w Montrealu dowiedziała się generałowa Szylingowa, siostra znajomego Tadeusza i Andrzeja Falewiczów rtm. Dobrowolskiego, Attaché Militaire Poselstwa RP w Meksyku, z którym widziałam się u Magdaleny. Generałowa poznała mnie w Montrealu z niezwykle interesującym człowiekiem, Rabbi Sternem – filozofem i myślicielem bardzo szanowanym nie tylko przez Żydów. Zadzwoiła do niego prosząc o spotkanie ze mną, mówiąc, że ratowałam w czasie okupacji wielu Żydów, a teraz właśnie wracam z Meksyku, gdzie byłam zaproszona przez jednych z uratowanych.

Spotkanie z Rabbi Sternem wspominam z największym rozrzewnieniem. W ogromnej synagodze z estradą i salą jadalną obok, zgromadziło się po nabożeństwie kilkaset osób, zasiadając przy stolikach tak jak w restauracji. Rabbi Stern wprowadził mnie na estradę, poprosił biesiadujących o ciszę i trzymając mikrofon w ręku wygłosił przemówienie, podnosząc moje zasługi przy ratowaniu Żydów, mówiąc o moim stosunku do Żydów itp. Po czym... oddał mi mikrofon mówiąc, – *a teraz Pani dokończy moją wypowiedź*. Bez przygotowania, nie wiedząc co powinnam powiedzieć, zapytałam tylko Rabbiego, czy mogę mówić po francusku. Gdy otrzymałam zgodę, podziękowałam bardzo uprzejmie za przemówienie Rabbiego Sterna, powiedziałam jeszcze to, co wiedziałam o losach Żydów Wileńskich i pomocy, jaką okazywało im społeczeństwo polskie w tych strasznych czasach okupacji. Cała sala biła mi brawo! Na pamiątkę tego dnia dostałam od Rabbiego Sterna *Stary Testament* z dedykacją: *Pan Bóg jest jeden*. Gdy zakończyła się uroczystość, zaczęli do mnie podchodzić rozmaici Żydzi z różnych stron świata i rozmawiać w różnych językach. Dopytywali się o szczegóły mojej



pomocy Żydom. Poznałam tam również pp. Kamrasów z Wilna. Pani Kamrasowa jest córką adwokata wileńskiego mec. Komgolda, a więc córką mojego kolegi. Po skończonej ceremonii zostałam wraz z koleżanką, generałową Szylingową i jeszcze kilku osobami zaproszona na obiad do restauracji położonej na 37 piętrze, ze szklanymi ścianami, przez które był widok na cały Montreal. W restauracji tej nie było żadnej obsługi, przygotowywane były różne potrawy od zakąsek aż po torty i lody. Jedzenie ustawione było w piramidy. Goście wybierali sobie, co chcieli.

Od tego spotkania pp. Kamrasowie przysyłają mi co rok 10 lub 13 dolarów na Święta Bożego Narodzenia, a pamiętam, że jeden z Żydów, który żegnał mnie na lotnisku, wpakował mi do kieszeni kilkanaście pojedynczych banknotów dolarowych, abym mogła sobie coś kupić w samolocie, który miał mnie zanieść do Polski...

Wdzięczność, z jaką spotykam się ze strony Magdaleny, jest wzruszająca! Gdy przed paru laty wybierałam się do Anglii, Magdalena dwukrotnie przylatywała tam z Meksyku. Po raz pierwszy przyleciała wtedy, gdy miałam być, ale na skutek opóźnienia formalności paszportowych i wizowych pobyt mój opóźnił się o parę miesięcy. Przyjechała potem drugi raz i spędziła ze mną, u mego syna 10 dni, zawsze czuła, serdeczna i wdzięczna. Dostałam od niej piękne karakuly, a gdy sumitowałam się odrzekła: *Pani zrobiła dla mnie nieco więcej...*

Podczas mego pobytu w Meksyku zjawił się redaktor żydowskiej gazety i przeprowadził ze mną obszerny wywiad. Gazetę tę posiadam do dziś, jest tam fotografia całej naszej trójki: Magdaleny, Szymka i mnie.

Rozpisałam się o Magdalenie, bo dzięki stałym kontaktom, jakie z nią utrzymuję, pamięć o niej jest mi najbliższa. Ale Żydów, którzy przewinęli się przez moje mieszkanie na Jezuickiej, przez Balinpol, którymi się opiekowałam, było bardzo wielu. Wymieniłam niektórych z nich, o niektórych pisze Sempoliński. Nazwiska wielu uleciały mi z pamięci.

Podczas mego pobytu w Wielkiej Brytanii w roku 1982 otrzymałam z Jerozolimy pismo zawiadamiające mnie o przyznaniu z organizacji Yad Vashem „Medalu Sprawiedliwi między Narodami” oraz upoważniające mnie do zasadzenia drzewka w Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie.



30 maja z rąk ambasadora Izraela w Londynie otrzymałam ten Medal oraz dyplom zawierający tekst w języku hebrajskim i francuskim. Cytuję tekst francuski:

*Diplome d' honneur*

*La present Diplome atteste qu'en sa seance du 18 fevrier 1982 La Commision d'Hommage aux Justes des Nations etablie par l'Institut Commemoratif des Martyrs et des Heros Yad Vashem, sur la foi des temoignages recueilles par elle, a rendu hommage a Sztukowska Helena, qui, au peril de sa vie a sauve des Juifs persecutes pendent la periode de l'holocauste en Europe, lui a decerne la Medaille des Justes parmi les Nations et l'a autorisee a planter un arbre en son nom dans l'Allée Justes sur le Mont du Souvenir a Jérusalem.*

*Fait a Jérusalem, le 23 mai 1982*

(-) .....

(-) *pour l'Institut  
Yad Vashem*

(-) .....

(-) *pour la Commision  
des Justes*

Nie mogę powiedzieć, aby wyróżnienie to nie sprawiło mi przyjemności. Wszak niewiele ponad 3.000 osób na całym świecie je posiada. W Polsce – tacy wybitni ludzie jak Zofia Kossak-Szczuczka czy Władysław Bartoszewski. Drzewka w Alei Sprawiedliwych na Wzgórzu Pamięci w Jerozolimie nie posadziłam. Nie miałam już sił, aby tam pojechać. Uczynił to w moim imieniu ktoś z Instytutu Yad Vashem. Ale z radością patrzę na dyplom, który przypomina mi, że ludzie nie zapominają...

Podczas mego ostatniego pobytu w Nieborowie, gdzie wraz z moim bratankiem Jankiem Falewiczem pracowałam nad ostateczną wersją fragmentów moich wspomnień, spotkałam się z pisarzem Julianem Strykowskiem, który pięknie przeczytał hebrajski tekst dyplomu. Strykowski jest bardzo miłym, cichym, skromnym człowiekiem, mówi też cicho, ale jakoś ciepło i serdecznie. Kiedyś, gdyśmy siedzieli w palarni, opowiadał nam, że nigdy, ale to nigdy nie całuje kobiet w rękę, że nie jest w stanie przyzwyczać się do tego obyczaju...

Gdy wyjeżdżając do Warszawy żegnałam się z nim, złożył pocałunek na mojej dłoni. Spojrzał wymownie na mojego bratanka i szepnął

cichutko: Yad Vashem! Sprawiedliwi między narodami!

Nieborów, kwiecień 1984 r.

#### Przypisy

- 1 Ojciec mój pracował w Kijanicy w latach 1903-1905.
- 2 Ojciec był dyrektorem cukrowni w Trościańcu tylko przez jedną kampanię cukrowniczą – w 1906 r.
- 3 Również był tam tylko przez okres 1 kampanii – w roku 1907. Rzeka Sejm łączy się z Desną – prawostronnym dopływem Dniepru.
- 4 Bawiliśmy się z „Chrupkiem” w parku „w chowanego”. „Chrupek” widząc kogoś z nas nadbiegających – chował się z drugiej strony drzewa. Gdy zaglądało się na stronę, na której był ukryty – przebiegał na drugą stronę pnia itd.
- 5 Ciotka moja Janina Falewiczówna wyszła za mąż za carskiego generała Felicjana Niewodniczańskiego, który z pierwszego małżeństwa miał syna Luńka i córkę Maję.
- 6 Była to moja pierwsza miłość. Aby mu zaimponować wdrapywałam się w Strzyżowie na wysokie drzewa. Uwielbiałam stawać obok niego.
- 7 Niemcy wymordowali wszystkich gości weselnych. Ocalała tylko panna młoda – która pojechała do fotografa i ukrywający się na strychu bracia Horodyńscy.
- 8 O teatrze tym napisano wiele. Jest m.in. znakomite wspomnienie Jarosława Iwaszkiewicza.
- 9 Jadzia Sulima-Świechowska wyszła za mąż za inż. rolnika Alexandra Kozłowskiego. Po wojnie zamieszkali w Olsztynie i mają dwoje dzieci oraz liczne wnuki.
- 10 fasowanie – pobieranie z magazynu.
- 11 surogowanie – zmiana asortymentów żywienia.
- 12 ta praca dawała mi masę satysfakcji, czułam się wtedy stuprocentową „sanitariuszką”, a nie „personelem administracyjnym” szpitala.
- 13 Joanna Wierusz-Kowalska, siostra mojej Matki. Dalej mowa o jej dzieciach.
- 14 wicedyrektor Strzyżowa. Po wojnie wyjechał do Mandżurii gdzie budował cukrownie.
- 15 Jedna z licznych sióstr mojej stryjenki Heleny z Falewiczów generałowej Wojciechowej Falewiczowej, Maria wyszła za mąż za posła do dumy, właściciela Jotajń na Żmudzi, Kazimierza Zawiszę i miała z nim 5-ro dzieci: Jurgisa, Aleksandra, Marję, Andrzeja, Krystynę i Jana. Alexander zginął na froncie w 1919 r.
- 16 Mam nawet tytuł: „Ciotka afrykańska” (wśród licznych wojaży Cioci Niny jeden był w teren egzotycznej Afryki. Odtąd nazywaliśmy „Ciocinę” – „Ciotką Afrykańską”).
- 17 Mam fotografię ich wszystkich i całego naszego rocznika. Może uda mi się to podać w Aneksie.
- 18 członek polskiego rządu emigracyjnego w Londynie.
- 19 Ludwika z Kotowskich Rudzka, słynna „Kika” Rudzka (z londyńskiego „Ogniska”), fundatorka cennych poloników z Muzeum im. Gen. Wł. Sikorskiego w Londynie. Bardzo ładne wspomnienia poświęcone jej osobie znajdują się w

- czwartym tomie „Pamiętnika Kijowskiego” (Londyn 1980, Orbis Books) s. 14. W kiosku „Kiki” w Londynie sprzedalam wiele zrobionych przeze mnie, w czasie mej pracy rękodzielniczej, naszyjników z kasztanów, kukurydzy i żołądźci.
- 20 do dziś żyje w Łodzi ich córka S. Zofia Falewiczówna z zakonu S.S. Urszulanek.
- 21 rektor SGH.
- 22 Będąc zimą 1983 r. w Nieborowie dowiedziałam się, że spadkobiercy Blacka wiele jego rzeźb przekazali do zbiorów polskich.
- 23 obecna żona prof. Leszczyńskiego, członka Polskiej Akademii Nauk.
- 24 Romankiewicz był Rosjaninem białogwardzistą, który służył u Denikina, a po rozbiciu jego oddziałów przedostał się w jakiś sposób do Polski. Skończył on prawo w Kijowie i był adwokatem w Wilnie. Bardzo przyjaźniliśmy się. Po wojnie odwiedzałam go w Cambridge.
- 25 przyjaciel Jarosława Iwaszkiewicza, posłużył mu za model bohatera w opowiadaniu „Panny z Wilka”.
- 26 gen. bryg. Marian Roman Przewłocki.
- 27 Ciotka moja Zofia Falewiczówna wyszła za mąż za uczestnika Powstania Styczniowego Mikołaja Zwolińskiego i miała cztery córki: Zulę, Helę, Maryjkę i Walę oraz syna Olutka.
- 28 Jej starsza siostra Alexandra Falewiczówna wyszła za Xawerego ks. Puzyń i miała z nim dwie córki: Janinkę (później kanoniczkę) i Basię Gruzewską (Barbie), która umarła w Argentynie.
- 29 Siostra mojej matki – Joanna Wierusz-Kowalska.
- 30 Joanna z Więckowskich Wierusz-Kowalska.
- 31 Metoda „obserwacji uczestniczącej” w epoce komputerów stosowana jest nadal. Nie ma na świecie instytucji bardziej przestrzegającej tradycji jak... policja.
- 32 Skąd my to znamy? Czyżby to był bilet wizytowy systemu?
- 33 Wieczorkiewicz i Bagiński WP, Komuniści, próbowali wysadzić w powietrze Cytadelę Warszawską, skazani na karę śmierci, następnie mieli być wymienieni ze szpiegami polskimi w ZSRR. Zastrzeleni przez konwojującego ich policjanta Muraszkę (!).
- 34 Jan Maciej Paweł Sztukowski urodził się w Wilnie dnia 25 lipca 1935 r.
- 35 wspomnienia o Wandzie Bałtutis przedstawiłam poprzednio.
- 36 Mowa zapewne o ks. Antonim-Jerzym Mikołaju Radziwille ur. w 1912 (synu ks. Leona 17. ordynata na Nieświeżu).
- 37 miasteczko powiatowe na Wileńszczyźnie, stosunkowo niedaleko Dźwiny (granicy lotewskiej).
- 38 żadnej kawalerii jako żywo nie widziałam.
- 39 ppłk Stefan Sztukowski, oficer artylerii przeciwlotniczej, znany automobilista, m.in. mąż znakomitej aktorki operetkowej Lucyny Messal (popularnej Messalki), a następnie znanej śpiewaczki z „Qui Pro Quo” – Olgi Kamińskiej (specjalistki od rosyjskich romansów). Stefan zmarł w Warszawie w roku 1984.
- 40 Był czwartym dowódcą 14. pułku ułanów jazłowieckich (od 8.02.1922 do 16.12.1925)
- 41 Cykl pogadarek radiowych z Wilna zachowałam w swoim archiwum i postaram się je przygotować odrębnie.

- 42 op. cit. s. 189
- 43 Ludwik Sempoliński, jako parodiujący Hitlera odtwórca popularnego szlagieru Hemara *Ten wąsik, ach ten wąsik* z programu „Qui pro quo” – *Orzeł czy Rzeszka*, w 1939 poszukiwany przez władze niemieckie ukrywał się u nas przez czas dłuższy.
- 44 Pani Abramowicz-Wolska ostatnimi laty mieszkała tuż koło mnie, obok Senatorskiej w Warszawie.
- 45 To jest kłamstwo (niem.).
- 46 w czasie pobytu na „Łukiszkach” zrobiłam różaniec z chleba, który ofiarowałam po wojnie kuzynowi – Andrzejowi Falewiczowi. Dziś różaniec ten znajduje się w wielkiej oszklonej gablocie zawierającej najcenniejsze ordery i odznaczenia rodziny Falewiczów, w zbiorach mego bratanka – J.K. Falewicza.
- 47 siostry Elżbieta i Antonina Żukowskie, obydwie członkinie POW, bliskie współpracowniczkami i przyjaciółkami (jeszcze z czasów wileńskich) marszałka Piłsudskiego prowadziły w Wilnie znaną czytelnię im. Tomasza Zana.
- 48 Ta sama, która mi służyła na froncie w 1920 r. i w więzieniach niemieckich w Wilnie.
- 49 Zainteresowanie sprawami polityki społecznej i resocjalizacji są u nas rodzinne. Zajmował się tym zagadnieniem (i sporo pisał) mój dziad – Karol Falewicz (1830-1914). Zajmowała się ja, zajmuje się tym mój bratanek – Jan Karol Falewicz, który ma na swym koncie sporo publikacji w tym zakresie.
- 50 Najsylniejszy obrońca przed Sądami Wojskowymi w latach stalinowskich.
- 51 naprzeciw mojego ładnego mieszkania z dużym ogródkiem przy ul. Bydgoskiej 48 znajdował się piękny, ciągnący się aż po dolinę Wisły park toruński.
- 52 Często gloryfikując czasy przedwojenne zapominamy o ich cieniach. Jakże dużo niestety było tych cieni, które znajdują dziś swą analogię.
- 53 Adwokat toruński – mec. Przysiecki.
- 54 książka napisana przez wybitnego uczonego, pierwszego Prezesa Polskiej Akademii Nauk – Jana Dembowskiego.
- 55 Ciekawe, że ta niesłychana – jak np. na stosunki panujące w innych sąsiednich krajach autonomia, swoboda organizacji itp. nie znajduje w książce żadnego odbicia. Jeśli już o tym mowa – to o nielicznych, jak na ówczesne czasy – ekscesach antysemitycznych! Jest coś niesprawiedliwego w tej książce!





## ZAWIĄZANIE

# Część II



## ZAMIAST WSTĘPU

Ciotka moja, Helena z Falewiczów Sztukowska zwróciła się do mnie z prośbą o pomoc w uporządkowaniu swych pamiętników. Przystałem na tę propozycję. Praca ta zafrapowała mnie, bo w papierach znalazłem wiele nieznanych mi wspomnień o rodzinie, wiele opowieści o czasach których nie danym mi było poznać. Z pamiętników wyłania się sylwetka osoby, która jest mi szczególnie bliska i której pewne, niedocenione przeze mnie cechy charakteru: prostota, skromność, powściągliwość i prawdomówność - rysują się wyraziście.

Pierwotnym zamiarem było podzielenie zapisków i wspomnień na dwa odrębne tomy. Pierwszy - zawierałby wspomnienia natury osobistej, drugi - zapiski związane z adwokaturą i wykonywanym przez bez mała pół wieku zawodem. Zamiaru tego nie udało się w czystej formie zrealizować. Zarówno więc do skończonego przed rokiem temu weszły wspomnienia wiążące się z praktyką adwokacką, jak i do przygotowywanego obecnie tomu „Zapisków wileńskiego obrońcy” wprowadzono wspomnienia rodzinne. Wspomnienia te chciała autorka nazwać swoją „Drogą do Wilna”. Mówią one bowiem o ściśle związanych z tym miastem i tymi ziemiami losach rodziny, które zdecydowały wszak o tym, że studia i praca zawodowa ciotki również zespoliła się integralnie z Wileńszczyzną.

Wspomnienia rodzinne, z których składa się część I niniejszego tomu, przedstawiają dzieje mego dziadka, Karola Szczęsnego Falewicza, jednego z przywódców powstania styczniowego na Litwie, członka Rządu Narodowego; dalej jego syna, a ojca autorki, Jana Marcina Falewicza, wicemarszałka Sejmu Litwy Środkowej; z kolei jego siostry, Janiny z



Falewiczów Niewodniczańskiej, prezeski Polskiego Białego Krzyża w Wilnie oraz ciotek Antoniny i Elżbiety Żukowskich, peowiaczek, działaczek niepodległościowych, społecznych i kulturalnych z Wilna.

Do części wspominkowej dołączono również rozdział traktujący o studiach autorki na Uniwersytecie Stefana Batorego.

Nieco inny charakter mają pozostałe materiały zawarte w tym tomie.

W latach 1927-1929 autorka wygłosiła przed mikrofonem Polskiego Radia w Wilnie dwa cykle pogadank. Pierwszy z nich, związany z doświadczeniami płynącymi z pracy w Patronacie Więziennym, mówił o realiach pobytu w więzieniu, opisywał słynne wileńskie „Łukiszki”, w których nota bene ciotka znalazła się w czasie okupacji niemieckiej jako więzień, oskarżona o ukrywanie Żydów. Cykl drugi - dotyczył spraw wiążących się z emancypacją kobiet, czym ciotka zajmowała się intensywnie będąc działaczką Towarzystwa Kobiet z Wyższym Wykształceniem.

Technika radiowa sprzed sześćdziesięciu laty była oczywiście inna niż obecnie. Pogadanki szły „na żywo” i ich autor przygotowywał sobie co najwyżej dyspozycje. Tak więc zaledwie w kilku przypadkach autorka pozostawiła dokładną treść swych wypowiedzi. Zachowały się teksty mówiące o pewnych kategoriach więźniów (zabójczynie, złodziejki - recydywistki, podpalaczki, przestępcy - dzieci) oraz dotyczące opisu więzień (Łukiszki), sprawa patronatu więziennego i utworzenia sądownictwa dla nieletnich. Teksty te włączyliśmy do części II-giej. Znalazły się w niej również dyspozycje do pogadank na temat równouprawnienia kobiet i związany z tymi sprawami artykuł ze „Słowa”. Wydaje się, że wszystkie te teksty mogą powiedzieć wiele nie tylko o osobowości i losach autorki, ale i o rzeczywistości społecznej Wilna lat dwudziestych.

Do części trzeciej wprowadzono zapiski dotyczące 12 spraw karnych, w jakich autorka stawała. Zapiski te powstały w Toruniu w końcu lat siedemdziesiątych, na podstawie kompletnego, ocalonego z Wilna archiwum kancelarii adwokackiej. Wśród opracowanych brak jest spraw politycznych. Autorka nie posiadała już wtedy przekazanych do Biblioteki Uniwersytetu Mikołaja Kopernika akt dotyczących procesu „Po Prostu” i wileńskiej lewicy akademickiej, w której to sprawie stawała wraz z Haliną Sukiennicką i warszawskim adwokatem Mieczysławem Szererem.

Przed przekazaniem do UMK archiwum zostało jednak jeszcze wykorzystane przez Hannę Jędrychowską, która w wydanej staraniem „Czytelnika” książce *Zygzakiem i Po Prostu* opublikowała obszernie wspomnienie o skupionej wokół Henryka Dembińskiego grupie młodych wileńskich komunistów.

Opracowane przez autorkę sprawy karne rozpatrywane były przez sądy wileńskie w latach dwudziestych (dołączono do nich jedną tylko sprawę powojenną). Wydaje się, że podobnie jak pochodzące z tego samego czasu audycje radiowe i artykuły, mówią one wiele o życiu i obyczajach Wileńszczyzny i wschodnich rubieży II Rzeczypospolitej. Wskazują na bezmiar nędzy i ciemnoty panujący w kurnych białoruskich chatach. Taka sama ciemnota przebija jednak z przygotowanej już po wojnie „obrony” dwukrotnego mordercy Mieczysława Materli, który popełnił zbrodnię już nie w Polsce „C” czy „B”, ale na zamożnym i statecznym Pomorzu. Tak więc być może słuszniej byłoby doszukiwać się przyczyn relacjonowanych, przerażających często czynów nie tyle w „koszmarnych czasach sanacji” co w mrocznych zakamarkach duszy ludzkiej, wśród ludzi żyjących w rozmaitych systemach i pod różnymi szerokościami geograficznymi. Podobnie jak zło i występki niezależnie od czasu i miejsca występują wartości, które zwykliśmy cenić najwyżej: prawda, dobro i piękno. Wiele takich ponadczasowych wartości zawarte jest w tym tomie luźnych zapisków i chyba warto, aby pochyleni nad nimi członkowie rodziny (bo do nich głównie praca jest adresowana) na te wartości zwrócili szczególną uwagę.

*Jan Karol Falewicz*

Warszawa, czerwiec 1985 r.

## I. ZAPISKI RODZINNE

### Korzenie

Pół wieku bez mała spędziłam w sądowych kuluarach. Stawałam przed sądem blisko dziewięć tysięcy razy. Jeszcze w Toruniu miałam kajet, w którym spisane były wszystkie moje „terminy”, ale podczas przeprowadzki gdzieś „zapodział się”.

Dziś, gdy patrzę na swoje życie z perspektywy lat osiemdziesięciu, wydaje mi się wprost niemożliwe, bym wybrała jakikolwiek inny zawód niż adwokaturę. A przecież nie od razu się na nią zdecydowałam. Miałam zdolności do nauk ścisłych, w szkołach dobrze mi szła matematyka - dawałam nawet z niej korepetycje. Śladem Ojca i dziadunia myślałam szukać kariery na politechnice. Byłam wychowana wśród braci w domu pełnym ludzi ciężkiej pracy. Żałowałam, że nie urodziłam się chłopcem, ubierałam się po męsku. Rodzice zostawiali mi dużą swobodę - to zobowiązuje. Tak więc wcześniej zaczęłam myśleć o swoim zawodzie.

Mam przed sobą pensjonarski sztambuch założony jeszcze w Kijowie, na dobre dwa lata przed maturą. Na jego pierwszej stronie widnieje ręką mego ojca skreślony dworek. Jak na Litwiną przystało jest „z drzewa lecz podmurowany”, o dwuspadowym dachu, z ganeczkiem wspartym na dwóch kolumnach. Dookoła sad, w dali lasy. Obok dworu otoczona starymi drzewami aleja wjazdowa. Po bokach rozrzucone drewniane budynki gospodarskie. Na dachu gumna - bocianie gniazdo. Przed dworkiem duży dziedziniec, rzeczułka, mostek, wyprężony wóz drabiniasty, pasie się koń, kobieta niesie dwa kubły wody...

A na drugiej stronie Ojciec napisał te słowa:

*Wkrótce obierzesz sobie zawód, wybierz taki jaki najlepiej się podoba, jednocześnie aby był użytecznym, gdyż nie wolno uprawiać „sztuki dla sztuki”. Jesteś zdolną - trzeba to zużytkować. Jednocześnie warto coś umieć robić fizycznie - to daje większą niezależność w życiu i nie potrzebujesz w wielu rzeczach pomocy.*

*Szczęścia na świecie nie ma - jest tylko obowiązek i chwilowa przyjemność. Największa przyjemność - w spełnianiu obowiązku i w obcowaniu z naturą. Praca w otoczeniu natury - najnormalniejsza i najzdrowsza.*

*Nie wychodź nigdy ze swojej sfery. Z zaściankowych pochodzisz - wróć do zaścianku. Bądź demokratką w życiu materialnym ale arystokratką duchową (to jest polski demokratyzm!). Nie rób krzywdy ludziom, pracuj i pamiętaj o Bogu i Ojczyźnie.*

*Tata.*

A poniżej znajduje się taki oto dopisek:

*Na drugiej stronie wizerunek pałacu obszarnika nie podlegający wywłaszczeniu - życzę ci dorobienia się takiego majątku i samej na nim pracować.*

Gdy czytam dziś te życzenia Ojca spisane w Kijowie podczas rewolucji bolszewickiej, widzę, że większość tych życzeń spełniłam.

Wybrałam sobie zawód obrońcy sądowego. Przez blisko pięćdziesiąt lat broniłam ludzi, często nieszczęśliwych, pokrzywdzonych, prześladowanych. Wielokroć broniłam ich bezinteresownie. W latach trzydziestych występowałam w procesach wileńskiej młodzieży komunistycznej z grupy „Po Prostu”. Broniłam ich razem z Haliną Sukiennicką i wybitnym adwokatem warszawskim Mieczysławem Szererem. Po wojnie występowałam w procesach prześladowanych akowców, księży, różnych Bogu ducha winnych „wrogów klasowych”. Broniłam wspólnie ze znakomitym obrońcą politycznym, wieloletnim więźniem Wronek - rehabilitowanym po październiku adwokatem Lis-Olszewskim. Nie była to bynajmniej „sztuka dla sztuki”, przed którą przestrzegał Ojciec.

W czasie wojny nie występowałam w sądach. Sądy były niepotrzebne. Wystarczało NKWD i Gestapo. Ale mogłam bronić ludzi w inny sposób. W Wilnie i na wsi u mojej Matki w Balinpolu przechowywałam tych, którzy w czasie okupacji niemieckiej zagrożeni byli w sposób



szczególny. Przechowywałam Żydów.

Staralam się zawsze być demokratką. Traktowałam na równi mauluczkich i możliwych tego świata. Dom mój był zawsze otwarty dla porządnych ludzi. Nie robiło mi różnicy, skąd pochodzą.

Przez moje mieszkanie, czy to w Wilnie na ul. Mickiewicza, czy na Bydgoskim Przedmieściu w Toruniu przewinęło się setki ciekawych ludzi: adwokaci, plastycy, uczeni. Pamiętam wielu z nich: byli to prawdziwi arystokraci ducha.

Do mojego dużego (cztery ogromne pokoje w amfiladzie) mieszkania w Toruniu przychodzi Tymon Niesiołowski. Przychodzi nie w porę. Przygotowuję się właśnie do jakiejś trudnej sprawy. Mówię mu to...

- To nic, że nie masz dla mnie czasu. Ja tu sobie usiądę, posiedzę, popatrzę. Tak lubię tu siedzieć... a ty pracuj...

Przychodzi Witold Hulewicz, Antoni Bohdziewicz, Lorentz, Byrscy, Morełowski, Tymon, przychodzi plejada wykładowców Uniwersytetu Stefana Batorego a potem Mikołaja Kopernika: Janina Hurynowiczówna, Karol i (do czasu) Konrad Górski.

Moje wileńskie mieszkanie pełne zebranych przez Zmorę wschodnich dywanów, perskich szali, pięknych sztychów i białej broni - tętni życiem.

Tak samo życiem tętni mieszkanie w Toruniu. Na ścianach Tetmajer, Tymon, Rouba, Jamontt, Ciesielski, *Zaślubiny św. Katarzyny* ze szkoły Caravaggia, wileńskie sztychy, porcelana. Tu, w moich pokojach Bohdziewicz kręcił sceny do *Rzeczywistości* a Zanussi - do *Iluminacji*.

Piękne były to mieszkania! A wszystko zawdzięczałam sobie, własnej pracy, wyrzeczeniom i zaradności. Myślę, że Tata byłby ze mnie zadowolony...

Staralam się spełnić życzenia Ojca również odnośnie prac ręcznych. Każdą wolną chwilę wykorzystywałam na mereżkowaniu, wyszywaniu. Po wysiedleniu z Wilna „na wszelki wypadek” uzyskałam uprawnień rzemieślnicze. Robiłam korale, naszyjniki, klipsy, broszki, bransoletki z kasztanów, żołądzi, grochu, fasoli, bobu, kukurydzy, suszonych owoców itp. Sprzedawałam potem tę biżuterię w Cepelii w Toruniu, ba, nawet zagranicą. Pamiętam, że Kazikowa Rudzka w Londyńskim „Ognisku” sprzedała wiele moich naszyjników. Także Carlotta w Norwegii...

Robiłam paski, torebki i różne wyroby kaletnicze z kolorowych plastików otrzymywanych z Anglii. Wszystkie te prace ręczne wykonywałam oczywiście nie przerywając swojej praktyki adwokackiej, wykorzystując każdą wolną chwilę.

Stosunkowo najslabiej wypełniłam pragnienie Ojca, bym obcowała na co dzień z naturą. Nie mieszkałam nigdy stale na wsi. Ale i tu miałam pewne osiągnięcia. Z wyjątkiem miesięcy spędzonych w Paryżu i w Moskwie, całe dojrzałe życie upłynęło mi w dwu miastach pełnych zieleni, gdzie codzienny kontakt z przyrodą był zapewniony. Były to najpiękniejsze, a w każdym razie jedno z najpiękniejszych miast Polski: Wilno i Toruń. Mieszkałam na krańcach tych miast. W Wilnie na końcu ulicy Mickiewicza, nad Wilią. Okna mego ogromnego, siedmiopokojowego mieszkania wychodziły na Wilię i Zwierzyniec. Po prawej stronie widać było cerkiew, po lewej ulicę Witoldową i karaimską kenesę. Pod oknami toczyła swoje fale rzeka wypełniona niekończącymi się tratwami. Szczególnie pięknie wyglądały one na widocznym z okien zakręcie rzeki. W Toruniu mieszkałam w domu z dużym ogrodem na ulicy Bydgoskie Przedmieście. Od wczesnej wiosny do później jesieni wszystkie popołudnia starałam się spędzać w ogródku, pracując w nim, czytając, odpoczywając, pijąc z gośćmi kawę, opalając się. Z drugiej strony ulicy zaczynał się wielki, ciągnący się aż do Wisły park. Idąc nim można było wydostać się na łąki prowadzące przez wiele kilometrów wzdłuż koryta rzeki.

W obydwu tych mieszkaniach, w których spędziłam większą część życia - czułam się więc prawie jak na wsi. W czasach wileńskich kontakt ze wsią ułatwiała mi bliskość Balinpoła, w którym spędzałam święta, weekendy i wakacje. Folwark moich rodziców leżał bowiem o 40 km od Wilna, w górze Wilii.

Wojna, która przerwała moją karierę zawodową w Wilnie, śmierć Zmory, który zginął w Katyniu oraz zmiany, które zaszły po II wojnie światowej, spowodowały, że nie dorobiłam się „własnego gospodarstwa”, którego mi życzył Ojciec. Przypuszczam, że gdyby wypadki potoczyły się inaczej - do tego by doszło, bo zarabiałam dobrze, a do wsi ciągnęło mnie bardzo.

Z naturą związana byłam ponadto poprzez uprawiane sporty. Dużo jeździłam konno, polowałam, latałam awionetką. Przez cały pobyt Zmory

w Białym Borze jeździłam do niego na weekendy spędzając czas na długich konnych rajdach po okolicznych lasach. Opisuję to w swych pamiętnikach w rozdziale *Sport w moim życiu*.

Po wojnie w Toruniu kupiłam sobie samochód, który służył mi nie tylko do zajęć służbowych. Często jeździłam z moimi gośćmi i przyjaciółmi na spacerów do pobliskich lasów. Odwiedzałam mieszkającą pod Bydgoszczą, w pięknym Ostromecku rodzinę mojego bratanka Karola (Boba) Falewicza.

Tak więc częściowo i w tym względzie starałam się wypełnić wpisane do mojego kijowskiego sztambucha życzenia.

Tata odegrał w ogóle wielką rolę w moim życiu. Wprawdzie o wyborze kierunku studiów zadecydowały namowy mojego przyjaciela jeszcze z czasów powrotu z Ukrainy - Tadzia Rutkowskiego, ale za to studia rozpoczęłam na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, dokąd ściągnęłam po wojnie bolszewickiej wraz z moimi rodzicami.

Wileńszczyzna była krajem rodzinnym Ojca. Tam mieszkali dziadkowie, tam się wychował. Tam obok prochów jego rodziców i dziadków spoczęły kości Ojca.

Jakie są dzieje naszej rodziny?

Dziadunio Karol urodził się 8 maja 1830 roku w guberni mińskiej na samej granicy guberni mohylewskiej i witebskiej. Jego ojciec wywodzący się ze szlachty zaściankowej<sup>1</sup> Jan Felix był wychowankiem Uniwersytetu Wileńskiego, filomata, rówieśnikiem i kolegą Zana i Mickiewicza. Po skończeniu studiów Jan Felix ożenił się z Joanną Zubowiczówną i rozpoczął pracę jako prefekt szkoły powiatowej w Chołopieniczach a następnie jako profesor w Leplu. Łączyła go serdeczna przyjaźń z Janem Czczotem, kiedy ten druh Mickiewicza przebywał przez 10 lat w Leplu na posadzie sekretarza w zarządzie kanału berezyńskiego. W domu mego pradziada znajdował Czczot to, czego z dala od stron ojczystych mu było najbardziej potrzeba, nie tylko wytchnienia po pracy ale i upragnioną, ciepłą, rodzinną atmosferę. Ta przyjaźń i długie wieczorne „rodaków rozmowy” wryły się głęboko w pamięć mego dziada i być może zadecydowały o dalszych jego losach. Nauki gimnazjalne pobierał dziadunio w Mohyłowiu, a następnie kształcił się w szkole inżynierów wojskowych w Petersburgu. Po ukończeniu studiów w roku 1850 awansowany na oficera został przydzielony do służby w okręgu



wojskowym w Rydze. Aczkolwiek miał przed sobą karierę wojskowo-inżynierską, porzucił jednak po dwóch latach służbę i przeniósł się na inżynierię dróg i komunikacji. Po upływie jednak paru lat podał się do dymisji i odbył podróż po zachodniej Europie. Jej efektem było parę dobrych artykułów (jak np. o szkołach reformy w Belgii), które umieścił w petersburskim „Słowie”. Należał do redakcji tego pisma i był w przyjaźni z jego właścicielem, późniejszym zesłańcem na Sybir - Józefatem Ohryzką. W gronie współpracowników „Słowa” zetknął się między innymi z późniejszym dowódcą Powstania Styczniowego na Litwie - Zygmuntem Sierakowskim. W Towarzystwie Wolno-Ekonomicznym w stolicy nad Newą wygłaszał odczyty. W roku 1859 opublikował broszurę pt. *Uwagi o nadużyciu spirytusowych napojów* wchodząc w ten sposób do grona XIX-wiecznych polskich działaczy trzeźwościowych.

Osiadłszy w kraju u starszego brata inżyniera Aleksandra w Wiljanowie pod Werkami pracował na roli. Ożenił się z Julią Żukowską. W dobie przedpowstaniowej brał czynny udział w sprawach publicznych. Obdarzony niepospolitą energią był wielce pomocny dla Jakuba Gieyszтора, Seweryna Romera i Mariana Czapskiego przy układaniu statutu Towarzystwa Rolniczego. W czasie samego Powstania Styczniowego był sekretarzem Rządu Powstańczego (II składu Wydziału zarządzającego prowincjami Litwy). Na skutek tego we wrześniu 1863 roku został aresztowany i skazany na karę śmierci. Od szubienicy uratował go szczęśliwy zbieg okoliczności (rozbieżność imion w wyroku i w papierach). Spędził półtora roku w kazamatach twierdzy dyneburskiej, gdzie więziony był wraz z malarzem Alfredem Romerem i innymi powstańcami. Od wieloletniej zsyłki uratowała go interwencja wpływowych osób (właściciela pobliskich Werek, ks. Wittgensteina). Po uwolnieniu mógł pozostać w kraju i oddać się wszechstronnej pracy społecznej. Dzierżał uroczysko Werki pod Wilnem, był jednym z inicjatorów Banku Ziemskiego w Wilnie, pracował przy budowie kolei Lipawo-Romeńskiej, był założycielem kasy pożyczkowo-oszczędnościowej w Werkach (jednej z pierwszych instytucji tego rodzaju na Litwie). Był wreszcie długoletnim członkiem wileńskiej Rady Mięskiej. Zmarł w Wilnie 8 października 1911 roku otoczony powszechnym szacunkiem i miłością. Pochowany na cmentarzu (dziś ponoć zniszczonym) w Kalwarii Werkowskiej, leży tam obok swej żony i dzieci.



W przepięknych Werkach, które przez wiele lat dzierżawił dziadunio, urodzili się kolejno stryj Wojciech (późniejszy generał, właściciel Marwy), 11 listopada 1867 roku mój ojciec - Jan Marcin, następnie ciocina (Janina), stryj Wincenty i ciocia Maryjka.

Dzieciństwo minęło Ojcu w Werkach. Nauki pobierał najpierw w domu a potem w gimnazjum wileńskim, mieszkając na stacji u swej ciotki (siostry dziadunia Karola) Elżbiety Ułasewiczowej. Przeniósł się następnie do Petersburga, gdzie ukończył wydział chemii na miejscowej politechnice. Jako inżynier chemik rozpoczął pracę w cukrowniach na Podolu. Wkrótce został wicedyrektorem położonej w pobliżu Białej Cerkwi Branickich, należącej do nich cukrowni Szamrajówce. Dyrektorem jej był mój drugi dziad, Kazimierz Prus-Więckowski. Ojciec bowiem w roku 1898 ożenił się ze starszą jego córką - Wandą.

Po opuszczeniu Szamrajówki Ojciec pracował w wielu cukrowniach na Ukrainie i Podolu. Pamiętam tylko niektóre z nich: w latach 1903-1905 był dyrektorem cukrowni w Kijanicy, potem w Trościańcu i Błahodatieńsku nad rzeką Sejm, by lata 1908-1914 spędzić jako dyrektor cukrowni w Strzyżowie nad Bugiem, już w Hrubieszowie, w Kongresówce.

Po wybuchu wojny światowej zbliżający się front zmusił nas do opuszczenia Strzyżowa. Przenieśliśmy się do Biełgorodu na głębokiej Ukrainie, gdzie w latach 1914-1916 Ojciec administrował majątkiem i kierował cukrownią pani Sumowskiej w Rubieżnojem. Wybuch rewolucji zastał Ojca w Kijowie, gdzie był dyrektorem fabryki „Ziemińskiego Sajuza” na Kureniówce, pod Kijowem.

Po powrocie do Polski Ojciec rozpoczął w roku 1919 pracę nad odbudową zniszczonej w czasie działań wojennych cukrowni w Strzyżowie. W roku 1920 przywdział mundur i jako oficer przebywał wojnę na froncie.

Po wojnie wrócił wreszcie na umiłowaną Litwę i zaczął gospodarować rozgrabionym w czasie działań wojennych majątkiem, pozostawionym przez dziadunia Karola, Balinpołem.

Okres spędzony na Ukrainie, w Strzyżowie jak i późniejsze losy mego Ojca opisałam w rozdziałach pt. *Dzieciństwo, Młodość, Rok 1920* zawartych w pierwszym tomie pamiętnika. Tam też w rozdziale poświęconym moim studiom w Paryżu cytuję listy Tatusia, z których wy-

nika jak głęboko mądrym był on człowiekiem.

Ostatnie lata od roku 1920 aż do śmierci w roku 1935 Ojciec przeniósł się do Balinpolu. Gospodarował w nim pracując równocześnie przez pewien czas w Banku Ziemskim i Towarzystwie Ubezpieczeniowym w Wilnie.

Podobnie jak dziadunio - Ojciec był również działaczem społecznym. Nie lubił jednak wysokich godności i tylko w latach Litwy Środkowej włączył się do pracy politycznej. Był marszałkiem sejmiku wileńsko-trockiego oraz posłem (a przejściowo nawet vice-marszałkiem) Sejmu Litwy Środkowej. Jego podpis figuruje na akcie Inkorporacji Litwy do Polski.

Ojciec cichy, skromny, prostoduszny, zakochany w zaściankowej szlachcie, której dokoła było pełno, był zupełnym przeciwieństwem swego starszego brata, generała Wojciecha Falewicza. Był wszechstronnie uzdolniony. Świetnie rysował, malował, grał na wszystkich instrumentach, na fortepianie, skrzypcach, harmonii i fisharmonii. Pamiętam jego występy w czasie wakacji spędzanych wraz z Bormanami (Hela, Marynka, Ola) w Strzyżowie, gdy grywał na fisharmonii stojącej w małym saloniku.

Ojciec zmarł w Balinpolu, w maju 1935 roku w wieku lat 68. Pochowany na wiejskim cmentarzu w Bujwidzach spoczywa w ukochanej przez siebie wileńskiej ziemi.

Zaraził mnie swoją miłością do tego kraju. Spowodował, że wielką część swego dojrzałego życia, aż do „Exodusu” w 1945 roku spędziłam na Wileńszczyźnie. Urodziłam się w Werkach, parokrotnie odwiedzałam je jako dziecko. Byłam też w czasie wakacji u dziadunia w Balinpolu i u stryja Wojciecha w podkowieńskiej Marwie. Ale o urokach tamtych stron dowiedziałam się najlepiej wertując płócienny szkicownik mego Ojca.

### Przypisy

<sup>1</sup> W rodzinie mówiło się o zmianie nazwiska (Woyna-Falajewicz - na Falewicz) w czasie buntu ks. Glińskiego za czasów Zygmunta Starego, o urzędach i senatorskiej krwi. Ale ja to między bajki włożę...

## SZKICOWNIK OJCA

Wśród pamiątek rodzinnych Matka moja przechowywała szkicownik Ojca. Leży on teraz przede mną: nieduży, oprawny w szare zgrzebne płótno, wiązany na kokardkę, wypełniony jest kilkudziesięciu rysunkami i akwarelami. Niektóre z nich są podpisane, opatrzone datą i miejscem powstania. Wyróżnić można dwie grupy rycin. Pierwsza - to „kraj lat dzieciennych” - pejzaże, wnętrza, sylwetki zwierząt i ludzi z rodzinnych Werek i okolic. Rysunki te powstały głównie w latach 1884-88. Pierwszy datowany rysunek przedstawiający drewniany dworek w Werkach, w którym urodził się, wychował i spędził młodość, wyszedł spod ręki 17-letniego „malarza” i sygnowany jest w 84 roku, a więc sto lat temu.

Druga grupa to sceny myśliwskie malowane przeważnie w latach 1897-89.

W szkicowniku stanowiącym zapewne prezent dla mojej Matki znajduje się ponadto kilka rycin nie mieszczących się w tych grupach. Są to szkice budynków cukrowni, sceny z wyścigów konnych, akwarelka przedstawiająca scenę wyimaginowanego pojedynku oraz druga - ukazująca dom, w którym moi rodzice spędzili pierwsze miesiące po ślubie.

Wśród obrazków Werek starannością i pięknem wyróżnia się „pejzaż zimowy z okien p. Dziadźki” rysowany kredką (przez J.M. Packielewicz - z adnotacją malarza, że z „pełnym natchnieniem po blinach gryczanych” dzieło to powstało) rysunek samotnej sosny rosnącej w ukochanym przez Ojca werkowskim gaiku, dom rodzinny, parę rysunków werkowskich „chateczek”, z których każda posiada własną, często

romantyczną nazwę, rysunki z pobliskiej Kuny, świetny obrazek grobli na stawie pod Jerozolimką, pyszny widok Kalwarii (rysowany jak wskazuje komentarz przez przyjaciela Ojca - Rosjanina Riazunowa), szkice koni, zaprzęgów, werkowskie postacie. W tej grupie mieści się również rysunek starej kuźni i akwarelki prezentujące werkowski wołownik, chateczki, sylwetkę starego Jakuba przechadzającego się w nocy z latarnią w ręku po dziedzińcu, wewnątrz kuźni z postaciami kręcących się przy ogniu pana Makarewicza i Jurki Biwojnisa, czy wewnątrz obszernej kuchni z wielkim piecem chlebowym i wreszcie parę pysznych pejzaży podmokłych łąk werkowskich.

Wśród pochodzących z różnych lat obrazków myśliwskich znajduje się potężny łosć rysowany piórkiem, rysunek barłogu niedźwiedziego, jego akwarelową replikę, obrazek przedstawiający „Jak Tata pudłował do dzika w Cichoburzu” (zapewne pochodzący już z balin polskich czasów) oraz szereg zimowych pejzaży sygnowanych: „Erył 1898”. Są to - jak przypuszczam - polowania w okolicach domu, w którym moi rodzice zamieszkali po ślubie: akwarelka przedstawiająca myśliwych rozstawionych na stanowiskach pod lasem, pogoń psów myśliwskich za zwierzyną, bieg za lisem, polowanie na zające, sarny przy paśniku, polowanie na jastrzębia, „głuszec na wab”, ciąg słońek itp.

Większość rysunków jest przez Ojca opisana. Miejscami żartobliwy a miejscami liryczny komentarz pochodzi z różnych okresów. Sądzić tak można i z treści, i z różnic w charakterze pisma. Napis otwierający „galerye obrazów” oraz opis pierwszych rysunków wyszedł spod pióra sztubaka i położony został zapewne w roku 1888. Pozostałe rysunki opisał Ojciec przed pokazaniem, czy ofiarowaniem szkicownika mojej Matce, około 1898 roku. Nieliczne dopiski, jak np. refleksja o tułaczym życiu na Ukrainie i w głębi Rosji, powstały jeszcze później, po urodzeniu („Kaziuka” i „Helenki”) ale jeszcze przed narodzinami drugiego syna, o którym Ojciec nie wspomina.

Tych rysunków, wskazujących na znaczne plastyczne uzdolnienia Ojca - niestety powielić nie jestem w stanie. Pozostaną one jedynym egzemplarzem w rodzinnym archiwum. Chciałabym natomiast udostępnić fragmenty komentarzy do rysunków kreślonych ręką 17-letniego młodzieńca a następnie - sposobiącego się do ożenku, 30-letniego mężczyzny.



Z kart szkicownika przebija serdeczna miłość ziemi wileńskiej, sentyment ogromny do rodzinnego domu, umiłowanie ludzi spotkanych w młodości. Przesuwa się przed oczyma czytelnika plejada pracowników werkowskiego folwarku, w większości zadziornych zaściankowych szlachciców, w stosunku do których Ojciec nieodmiennie stosuje formę „Pan”. Tak więc widzimy sędziwego „pana Joachima” - totumfackiego dziadunia, dalej stangreta, woźnicę i werkowskiego stróża w jednej osobie - „pana Jakóba” zwanego również „murgrabią - siedunem”, kowala przedniego pana Makarewicza, fornala - „dziadźkę Januszewskiego”. Migają przed naszymi oczyma sylwetki Marcinka Sienkiewicza, Jurki Biwojnisa, wspomnianego już przyjaciela Ojca - Riazunowa. Widzimy też moich dziadków (a pra-pra dziadków Patryka i Dominika) Karola i Julię Falewiczów, kryjących się pod kryptonimem „gospodarza” i „gospodyni”.

Gawędy przesyccone są charakterystycznymi cechami osobowości mego Ojca, czytając je uderza nas jego pogodne usposobienie, dobroduszość, życzliwość dla ludzi, poczucie humoru, prostota, demokratyzm i przede wszystkim głęboka miłość do ziemi wileńskiej i jej mieszkańców.

A oto komentarz Ojca do swoich rysunków:

*Galerya obrazów znakomitego malarza Peckielewicza wraz z objaśnieniami zasłużonego artysty (bez pomocy p.p. Gorzkowskich, co malarzowi jeszcze większą chwałę przynosi iż nie tylko kwaczem<sup>1</sup> lecz i piórem obracać umie).*

\*\*\*

*Przedstawiona po drugiej stronie sosna rośnie w moim gaiku. Obraz przeczy prawu fizycznemu, jakoby jedno ciało miało zajmować tylko przestrzeń mu przynależną, bo oto jeden i ten sam człowiek siedzi po prawej i lewej stronie drzewa, a człowiekiem tym jest „Cypluk”<sup>2</sup>. Kto nie może go poznać niech pojedzie do Czerwonego Dworu<sup>3</sup> i przekona się, iż rychtyk tak samo wygląda. Obraz jest malowany w dzień letni, upalny, czego dowodem żar i gorące bijące z obrazu<sup>4</sup>. W dali widać topole i jakiś cień dworu wprowadzony do obrazu dla idei „Wolność Tomku w swoim domku”. Kółtataj w „Ractawicach” jest tyleż potrzebny co i owe to topole w moim obrazie<sup>5</sup>.*

Wizerunek na stronie I-szej przedstawia znany w całym kraju wotownik, wozownie, chlew chuteczkowy, powiatkę, część gruszki, na której malarz swoją młodość spędził wraz z zacnymi kolegami, dziennik dla bydła, szopkę na gnój. Het! w perspektywie aleje klonową idącą do Gulbińskiej drogi, na dziedzińcu pasie się „Ciechanka” z „Kinderem”<sup>6</sup> a pan murgrabia Jakób kroczy z kluczami od gumna do stajni: obraz malowany w maju, kiedy gnój wożą na pola, stąd też odpowiednio wrażenie robi na znającym się na sztukach pięknych widzu, niebo w stylu włoskim, olejno malowane, gdyż pod ręką był bleiweiss „szklarza” malującego okno.

\* \* \*

Pocziwa nasza chata<sup>7</sup> co więcej jak przez ćwierć wieku tylu ludzi przyjmowała, ugaszczała i niewielu nawet do Abrahama wyprawiała (S.P. Kazio, pan Jakób, zacny człowiek i rolnik Ksawery i pani Pietrowska). W koszarze zaś umarł Kościuk „Kliszowy”. Oto z frontu na lewo widać okno gabinetu gospodarza, któremu nieznośny krategus z tysiącem wróbli „zastania gospodarstwo”. Na balkonie pewnie sama gospodyni robi pończochę i przez okulary patrzy, że jabłka w sadzie opadają a więc zebrawszy poły idzie pozbierać takowe myśląc: będzie ser jałteczny dla synów i wnuków (synowych zaś niech czort weźmie).

Na salce<sup>8</sup> pan Joachim zażywa poobiedniej drzemki<sup>9</sup>, bo chmura nadchodzi, więc wszystko jedno koniczynę zaleje, pod praczkarnią, której dach na tle dziewiczego boru się świeci stoi pewno koń z beczką, a głuchy Sienkiewicz w stolarni poprawia grabie i wyklepał już nowo przywiedzione przez mleczarza kosy. Na przednim planie stoi klon - siedliśko nietoperzy, a do bramy wjeżdża w drabince „dziadźka Gawęda” na brykaczu i z munsztukiem pod siedzeniem.

\* \* \*

Wizerunek konia „Drozda” kupionego u żyda liweranta<sup>10</sup> w Wilnie. Dobry to był koń i wesoły. Podróżował dużo i w drabince, i pod siodłem. Wziął także zaszczytny udział na weselu pana Joachima ciągnąc resorowaną bryczkę w Trójce. Obraz niedokończony, gdyż malarz gdzieś się śpieszył w pole.

\* \* \*

Nieboszczka „Kuna” z żyjącą „Kunką”<sup>11</sup> – w tej ostatniej mieszkał w czasie dzielny Ogiński z nieśmiertelną „Rogownią”. Wyrzymała bowiem najcelniejsze strzały wszystkich myśliwych niemenczyńskiej i kalwaryjskiej parafii a nawet i z dalszych okolic. Siaki taki próbował roztrzaskać tę „podrzutkę” lecz „Rogownia” wychodziła zwycięsko.

Z komina bucha dym. Znać, że pani Joachimowa bliny smaży, a pułkownik i pan Joachim z „Giszką” na ręku przygląda się malarzowi siedzącemu na kamieniu po drugiej stronie rowu. Tutaj za one czasy żyli Żongołłowiczowie<sup>12</sup> i był staw, młyn i browar, a okoliczne Borciałówki, Witkobała, Karłowy rojst, Kutnia i Piwnice obfitowały w zwierza. W kuńskim lesie Dziadunio siedząc na obławie w Tomie wyróżnął do wilka, że aż 5 grankulek przez gardło wylazło, w Borciałówkach młodziutki dziadzia Wincenty palił do wilka spod gonu, że aż zdechła bestya w Parnuszkich błotach (psy aż spod Ustronia<sup>13</sup> zawróciły wilka). Nie staje miejsca wyliczyć tu wszystkie ważniejsze historyczne wypadki w rodzaju np. jak to Dziadunio łapał w biały dzień zbójów, którzy przez kuński staw wplaw się rzucili itp. W późniejszych latach „Kuna” szczyliła się mnóstwem epizodów z życia myśliwskiego (tysiącem pudeł Dziadzi Józefa do kuropatw w Żarniszkach) i życia domowego. Setki ludzi się tutaj przenicilo, a wszystkim było dobrze i wesoło. Pod geograficznym względem „Kuna” znakomita ze swego stanowiska na trakcie z Woroniszek do Smagur.

\* \* \*

Pszczelniszki, Murowanka, czworak, czyli nasze „Chateczki”. Przed oczyma widza także Makarowszczyźniany bór, wąwóz od stawku aż do Wili i Kojrańskie góry. Pszczelniszki sławne z twardych jak kamień sapieżanek (do których malarz z rodzeństwem za pozwoleniem stelmachy Wachenia miał wielkie nagabanie) i z rybołówstwa. Jeźgóra też bowiem i krasnopióra brały się dobrze na robaki i na chleb, a wędek dostarczał Wacheń. Nawet w późniejszych czasach z „Gołębnika” przychodziliśmy piechotą „powędzić rybę” na zupę. Mieszkała tu w swoim czasie i rodzina Ogińskiego, a bywały i ucztły świetne. Sam pamiętam, jak p.p. Borkowscy z papierni<sup>14</sup> zajadali grochowe bliny z miodem i krupniczką popijali (a i malarz naturalnie nie oblizywał się - tylko



zajadał z nimi pospołu). Obecnie dużo się zmieniło. Sad zdziczał. Gruszki nie rodzą, dużo drzew wyschło, pasieka (przecież była i pasieka - zapomniałem dodać i z panem R. nieraz takową kurzyłem) została zniszczona przez uczonych pszczelarzy, którzy po „warszawsku” się z nią obchodzili. W chacie mieszka obecnie „szklarz”.

\* \* \*

Widok spod Pszczelniszek na kopy zebranej koniczyny, Czerwonkę (gdzie ś.p. Abramowa znakomite obwarzanki piekła) i Kalwarye. Obraz niedokończony, ponieważ malarzowi pilno było koniczynę na wozy nakładać: wierzchołki Wyszarów zakrywają gmach kościoła. W dolinie płynie ruczaj przez łąkę. Tędy od brzozowej polanki przez Szostaka studnię zwykle słomki ściągają, a czasem i sarny wychodzą wodę pić. Pora na obrazie przedstawiona - przed wieczorem, dzień czerwcowy, nie upalny, wszystko oblane czerwonymi promieniami zachodzącego za Wyszary słońca.

\* \* \*

Na drugiej stronie przedstawiony „Staw pod Jerozolimką”, z niego płynie ruczaj przez naszą łąkę (łąka błotnista w części ukos dawala 5 do 8 wozów siana). W owym ruczaju malarz za młodu ze „Stasiukiem” łapali „sakiem” (sak robiliśmy sami, ukradłszy gdzieś siatki z rozsadników) płotki i krasnopióry, które z wiosenną wodą powychodziły ze stawu. Rybołówstwo szło pomyślnie dopóki razu jednego „Stasiuk” nie zajrzał kogoś z pałacowej władzy idących do nas od strony Jerozolimki. Wówczas nadeszła chwila krytyczna. Sak poszedł do olszaka w gęstwinę - a sami drapacego na bosaka po żwirowych drózkach parku, o mało nie pogubiwszy p...k<sup>15</sup> i obejrzelśmy się dopiero pod młockarnią pewni, że nas i chart nie zgoni i mając w ręku swoje trofea - blaszany garniec pełen ryby. Od tej pory parę razy jeszcze, bardzo ostrożnie próbowaliśmy łapać ryby, ale już z mniejszym skutkiem, bo trzeba było wciąż jednemu oglądać się, czy kto za kark nie złapie.

W stawie za czasów malarza paru ludzi się utopiło - niejaki Korwelis razem z koniem wjechawszy pijany do wody (powracał z Wilna) i fornal nasz (bardzo dobry chłopiec imieniem Michałka) kąpiąc się i pławiąc zdaje się konie. Zwierzyna na stawie rzadko się trzymała, co kilka



lat jakaś mizerna cyranka wysiedziała kaczęta ot i wszystko. Zimą towarzysztwo Jeruzolimskie wychodziło czasem na ślizgawkę a w olsznieku za stawem w lecie przedstawiali nawet raz „Ballady Hiszpańskie”.

\* \* \*

Po tamtej stronie znakomity na całą okolicę upust, zbudowany przez samego gospodarza (majstrem był bardzo dobry stolarz Rogowski, który budował i wodociąg w pałacu). Woda z upustu obraca młockarnie, sieczkarnie i młyn. Mechanikami tutaj byli: Fryc, Kaczanowski i obecnie Szulski. Rozcinał najlepiej dawniej snopy do młocarni „Dziadźka Januszkiewicz”. Malarz zwykle podawał snopy rozcięte do cepów, wygarniał słomę spod grobli, nosił snopy z torpów, a gdy to wszystko się sprzykrzyło, z towarzyszami jeździł na krach podpierając się widłami. Latem pod upustem bywała znakomita kąpiel spadowa. Do innych też przyjemności tej okolicy zaliczyć trzeba: wożenie owsa, jęczmienia z pól do młocarni, odwożenie wymłóconego zimą zboża w workach na górę do gumna<sup>16</sup>, obfite zapasy malin czerwonych i czarnych rosnących w olszniekach naokoło (w dolnym parku), a jeszcze więcej w dawnych czasach: wyprawy po konie za „młocarnie”, gdzie młodniaki z brażdźaliny, kaliny, łoży, czeremchy dostarczały malarzowi i jego rozeństwu znakomitych pleśniaków, tysaków, białonóżków itp.

Przez upust prowadzi także dróżka do Kalwaryi, dokąd w Niedzielę na piechotę przez tyle lat, tyle znajomości i dobrych ludzi chodziło (nb S.P. pan Joachim nigdy nie lubił przez dolny park chodzić lecz zwykle przez Makarowszczyznę). Zimą w czasie ponowy na stawku pod upustem bywała massa tropów zajęczych (dopóki żył ks. Piotr)<sup>17</sup>. Artyści (trochę gorsi od autora) malowali nawet stawek (Riazanów i inni, Marszewski zdaje się także).

\* \* \*

Było to roku pańskiego (obacz po tamtej stronie<sup>18</sup>) w sobotę przed Zielonymi Świątkami, kiedy malarz odprowadziwszy konno na Bismarku swą „Kukawkę” z Izabelina aż pod Trynopol, jadąc w kurzu i pyłe obok bryczki i prawdopodobnie wdychając (naturalnie nie od kurzu i upału) powróciwszy do chaty, zły jak siedem grzechów głównych, a smutny jak noc, zachciało się bowiem „Kukawce” na gwałt wyjeżdżać i

wszelkie perswazyje w niwecz poszły - jednakże - na złość jej musiała znów wrócić do Izabelina na czas jakiś przez Werki (gdzie siedziała jak zdurniawszy) i Ustroń. Chciał szukać pociechy w pędzlu, ale temat nie przychodził - więc z panem R.<sup>19</sup> poszli sobie na spacer aż pod gaik i tu pan R. nakreślił przedstawiony po drugiej stronie pejzaż: łąk żyta, ktoś idzie po miedzy, klony, bór i Kalwarya. Szkice na boku: jeden oznacza Kalwarye z Werczek namalowany tak pysznie potem przez Borysowa.

Jak dziś wspomnę, paskudny to był dzień i stokroć gorszy od podobnego 24 czerwca 1889 r. Stąd nauka taka: trzeba dla „nich” być gorszym niż się jest w istocie, to wówczas „one” będą dla Ciebie lepszymi. Ale to wszystko na nic... chyba kiedy syn z tych sentencji skorzysta.

\* \* \*

A oto nasza kuźnia przeniesiona spod młocarni na górę. Gdy jeszcze była na dole, służyła za wędłarnie, za kuźnię dla huzarów, co stali w młocarni, a razu jednego Brodowski (pastuch) topił w niej zdechłego knura na tłuszcz, miły zapach rozchodził się po całych Werkach; na górze dostąpiła większego honoru - p. Makarewicz bowiem przeniósł się do niej z ziemiłanki (na starym drywotniku<sup>20</sup>) postawił tam czemprędziej miech i horno nową kłodę pod kowadło, nowy postument pod korbę i nowy dyl dla warsztatu i porozwieszawszy na ćwiekach sznajdery, obcęgi, „mutterdorniki” itp. instrumenty i godła swego fachu zaczął kuć jak i przedtem. Był to typ „swego rodzaju”, jakich już chyba nie ma nigdzie i nie będzie. Kując prawie przez lat 30 zawsze jednakowo, zawsze niby ciężko, chociażby najmniejszym młotkiem, powtarzając z piersi za każdym uderzeniem „hu”. Ile to on ukuł kar, szłaj, bryczek, drabinek, narogów, podków, koni, polic, przypańców, bron, drapaczy, kluczy, kluczyków, ile też nanitował dzbanów i dzbanków, pobielił rydli i samowarów, mawiając przy tem zwykle: „jaki ja kowal - ja nie kowal, ja parobek, jak kraj - naczałnik przykaże, to trzeba iść (z przeproszeniem) h...o nakidać, kosić, małucić, usie uże, andynariu uziali a miani (nie znaju czacho) nie dajuc”.

Większość życia tego człowieka była przepętniona sceptycyzmem, sarkazmem, pesymizmem, szyderstwem - trochę zazdrością, komizmem. Z jego kuźni jak z Akademii Umiejętności w Krakowie sypały się nowe wyrazy i słowa języka polskiego jak to: „szklar”, „lukiernik”, „bilard-

nik”, „murgrabia-siedun” itp., a wszystkie odpowiednie osobom, których oznaczały. Skąpy i oszczędny, pensje brał w końcu roku, ordynarie też nie co miesiąc (utyskując niby iż mu się nie daje), niestrychowanej osminy nigdy nie pozwolił wsypać do worka, lubił bardzo swe dzieci - kiedy czasem dostawał od kogoś z nas jakichś łakoci (cukier, lub jabłko, śliwki) zwykle z namaszczeniem zdjąwszy czapkę kładł podarunek na gzemście horna mówiąc: „to dla dzieci będzie na święto, dostawszy papierówkę także odkładał „dla siebie na święto”. Zawsze wszystko wiedział co się gdzie dzieje w okolicy, udając, że nic nie wie. Niektórych osobistości (K.Ż.<sup>21</sup>) był nieprzejeđnanym wrogiem mawiając „Hetyj durniła Kab jeho choroba abo pamesitsa abo zgnije u Sibirie”<sup>22</sup>). Każdą czynność odbywał ze specjalnym można nazwać „Makarewiczowskim namaszczeniem” i foretelem, byle nie tak jak ludzie robią. Kiedy zruciał snopy w gumnie to raz nawet zrucił i był (z przeproszeniem) w jednej koszuli, stojąc na belce cały w pyłe i w pocie - ładny przedstawiał widok, szczególnie dla pańienek zwiedzających często werkowskie gumno, lecz pan Makarewicz powiadał: „przy robocie wstydu nie ma” i zostawał niewzruszony na wstydlive wykrzykniki pańienek uciekających z gumna.

Wielką przyjemnością było dlań dzwonić na obiad lub śniadanie. Wówczas kładł czapkę na słupku, żegnał się i obiema rękami ciągnął sznurek kilka minut, jakby na przekór ś.p. p. Joachimowi, który zwykle jedną i to lewą ręką, przechodząc i prawie nie zatrzymując się, ledwie raczył parę razy (nigdy więcej) targnąć za sznurek. W czasie pożaru domu, gdy wszyscy już byli na dachu, pan Makarewicz jeszcze z namaszczeniem dzwonił...

Na robotę rzadko kiedy się spóźniał, z roboty odchodził ostatni. Idąc mówił pacierze i zaczynając od kuźni do bramy szedł zwykle z odkrytą głową przez szacunek dla Pana Boga i dla pańów siedzących na ganku. Do kościoła chodził rzadko, ale jak już szedł - to uyelegantowany należycie. A więc aksamitny garnitur, czerwona koszula i kolczyk wyczyszczony świeżo piaskiem i kredą błyszczał w jednym uchu. Gdy udało mu się jakąś robotę gruntownie i mocno zrobić, zwykł był z zadowoleniem mawiać oddając gotową do użytku: „zahnau zakołaciu mat' jeho try tysiaczy s połowinój i sam czort zubami nie wyciabnie”. I rzeczywiście nie tylko sam czort ale i sam pan Makarewicz nie mógł w razie



czego bez naruszenia całości przedmiotu rozebrać owej silnej i mocno ukutej lub okutej rzeczy lub przyrządu. Kończąc jednak te parę słów trzeba przyznać jednakowoż, iż pomimo swych dziwactw itp. był to człowiek sumienny i dobry pracownik. Z takim daj Boże zawsze żyć i pracować.

\* \* \*

Na tamtej stronie znakomity szkic przedstawiający jadących malarza z Wincukiem na trójce do Izabelina. Jak widać zima śnieżna, zawieraj, wilków tylko nie staje, ale ponieważ malarz nie Kowalski-Wie-rusz, więc i bez nich obejść się może.

\* \* \*

### **Ś.P. Pan Jakób.**

Dawne lata. **Zima**, mroźny wieczór, sanna. „Szpak” w bołoblach, w czerwonych sankach to kłusem, to kurcgalopem pośpiesza, dzwonek dudni przy bołobli. Na „siedzeniu” dwaj gimnaziści okutani w ojcowskie futra (wracają z domu do miasta). Na przedniej ławeczce Jakób w kozuchu i burce, w wojtokach, w podwójnych rękawicach (wełnianych i skórzanych) siedząc bokiem szturcha od czasu do czasu długim, czeremchowym biczowiskiem „Szpaka”, który podskoczywszy parę razy wy-czekuje na następne szturchnięcie lub bat.

Jedziemy drogą „poza Wilii”<sup>23</sup>. Mijamy prędko pałacowe zabudowa-nia, szosę, słup Werkowski, budkę przy szosie, chatki trynopolskie, klasztor, kapliczki i w lesie, pod górą (starą dawną drogą) „Szpak” zwalnia i idzie krokiem.

„Niech trochę wysapi się” odzywa się Jakób i obróciwszy się do nas, odchrząknąwszy i zrobiący dźwięk nosem jakby chciał wysmarkać się, tak prawi:

- „Gadają (nie wiem ci to prawda), że na tamtej drodze, w lasku, jak kiedy, przejmują...”<sup>24</sup>

- ale musi być nieprawda, bo już komu, komu - ale nam, jak tyle jeździm do miasta i nigdy nic trafiło się...”

Dalej gadać nie ma czasu. „Szpak” już weszedł na górę. Gimnaziści radzi, że nikt kijem po głowie nie grzmotnął, ani zza drzewa, ani od kapliczki, gdzie ksiądz zamurowany. Ruszamy kłusem, na równym polu



mała zawieja... Człowiek nie rozgląda się po stronach... ale, ot, już błysnęło światło w szynku u Szepszela, kilka koni marznie na ulicy, w środku bałas. Mija się liczne szynki. Światła w domach migają. Jakób popędza żwawo. Otóż i most Zielony, zjeżdżamy z góry. Zdejmujemy czapki przed krzyżem...

W dali świecą się równo latarnie wileńskiej ulicy. Za chwilę jesteśmy na Zawalnej. Jeszcze chwilka i ciotka Ułasewiczowa<sup>25</sup> odmyka drugie drzwi sionek.

- „A mojiż wy moi - a na pewno pomarżliście! Monika - samowar!”. Z sanek wnoszą sakwojaż z butką chleba<sup>26</sup> i dzbanek mleka. Po herbacie jeden z uczniów jeszcze kłóci się z kuzynkami; drugi powtarza ostatni wykład Szatkowicza, za który może jutro otrzymać pałkę lub czwórkę. Jakób też dostał herbaty, ze spodka się napił, zebrał gazety i wraca truchcikiem do domu, pomocny otwiera mu bramę, odmyka stajnie, drzwi skrzypią grubo, potem cienie. „Szpak” nakryty chustką kraciastą (wytkaną w Kunie) prawie suchy, lecz Jakób jeszcze chomonta nie zdejmuje, odmyka tymczasem swą stajenkę. Para kotów miaucząc go spotyka. Zapala latarnię. Stawia na stołku. Zaryglowuje drzwi od dworu. Przygotowuje sobie pościel na słomie w przeorynie<sup>27</sup>. Mija przynajmniej godzina. „Szpakowi” zarzuca brzemkę koniczyny, zdejmuje chomont i poi go z wiadra. Poprawiwszy następnie widłami podściółkę idzie sam kłaść się, aby nazajutrz wcześniej od innych wstać.

**Wiosna**. Już od rana Jakób w czapce czarnej, wielkiej jak blin, w garniturze starym tabaczkowym-szarym, w fartuchu, w butach obszer-nych przywiązuje drzewka. Pęki roboży sterczą mu z obu kieszeni, za nadrą (za fartuchem) pęk sznurków, ma nawet kawałek maści ogrodniczej i siaki taki scyzoryk. Czynność swą odbywa powoli, nie spiesząc się, z miną wielkiego ogrodnika...

**Lato**. Dzień upalny, czerwcowy, w powietrzu cicho i duszno, od strony Wilna gromadzą się chmury, jeszcze w pół do pierwszej a już p. Joachim wstał spod gruszki i ostatnie kary pomaga zaprzęgać. Sam wskakuje i jazda na pole...

W gumnie tylko Marciuk Sienkiewicz pozostał i przyjdzie Makarewicz. Dużo ludzi nie potrzeba, dla pośpiechu będą walić na tok. Już pierwsza para „Żuki pstrok” z półwozem koniczyny kłusem wjeżdżają do gumna, lejce i bicz na toku, sznur odwiązany, fernal zeskakuje i

wespół z Marciukiem, który klnie co słowo „Kab Ciebie choroba...” pchają widły, pół wozu od razu zsuwa. Wskakuje i za chwilę wóz opróżniony wyjeżdża. Przez dziennik koło obory na prost, wali zasapany Makarewicz, którego już w drodze Kaczanowski uprzedzał, aby spieszył do gumna. Wreszcie i p. Jakób przynoszący w czerepie dla kotów z obiadu jakieś poliwiki z nakrojonym chlebem i popatrzawszy na niebo zaczyna mruczeć, ubiera „Dobrodzieja” i „Blondynkę” w angielskie chomonta i lejce i trendzelki i przewiesiwszy przez plecy rzemienne lejce i postronek wierówczany na naszylniki prowadzi do gumna, gdzie stoją jeszcze paradne kary<sup>28</sup> z żelaznym stopniem z tyłu. Malarz pomaga zaprzęgać i już wyjeżdżamy w pole. Jakób oparty o drabinę trzyma się obiema rękami i wciąż gderze malarza:

– Nie pędzi, nie pędzi, jeszcze pośpieim...

„Dziadźka Januszkiewicz” już macha ręką, aby do niego po kopy zajeżdżać. Kary stają. Malarz siedzi konno na „Dobrodzieju” i jak artylerzysta podjeżdża od kopki do kopki. „Dziadźka” porzuciwszy fajkę i przekręciwszy kozyrka<sup>29</sup> na bok, przysiadając bierze po dobrej pół-kopce na raz, aż widły trzeszczą i zarzuca koniczyną Jakubu, który gderze wciąż:

– Czemu Waspan spieszysz, co z tego, że wywróci się wóz - trzeba złożyć regularnie.

I rzeczywiście, wóz złożony jak torp - duży, szeroki, ledwie włązi w bramę, zaczepia gałęzie klonów na dziedzińcu. „Dobrodziej” wspaniale i energicznie potrząsa głową, a gogąca „Blondynka” rzuca miłe spojrzenie poza siebie i w strony. Wreszcie wietrzyk powiał - chmura gdzieś poszła na „Kojrany” i 30 wozów pięknej pachnącej koniczyny spoczęło na toku w gumnie. Ostatnie wozy przyjechały prawie po ciemku, więc nie zrzucone czekają do rana. Na dzienniku krowy dują, a Żaluk bab straszy, pobrzękują tańcuchy prowadzonych do stajni koni, skrzypią zamykane wrota w gumnie, ktoś w polu śpiewa „Dobranoc o Jezu”, w Kalwaryi na Anioł Pański dzwonią...

**Jesień.** W perspektywie dwa dni świąt i ostatniej lekcji nie było, malarz klusem przyleciał na kwaterę, a tu już na małym dziedzińcu stoi mała bryczka, „Dobrodziej” i „Blondynka” drzemią, Jakób na koźle w brązowej kurtce, okrągłej watowanej czapce (bo już zimno) i w kożuch, którego siwy kotnierz wyłazi z burki. Pani Jakubowa w kraciastej

chustce (czarno z białym) stoi przy koniach i klóci się z mężem o żółd miesięczny, wreszcie po długich targach Jakób wydobywa z kieszeni kapszuka<sup>30</sup> i wylicza odpowiednią sumę, pytając wciąż „a po co?“, „a na co?“ itd. Za godzinę przychodzi Wojciech i za chwilę już pluskamy się w Snipiszskim błotku konsystencji przecieranej kaszki. Za rogatką zmienia się szynele na burki i cieplejsze palta, jedziemy na Bołtupie. Jesień w cudnej pełni, kartofle na polach kopią, Brzeźniak koło Bołtupia otoczony zielonym sośniakiem sam żółto-czerwony zdaje się buchać płomieniem. Około Czatyربی gliniaste błoto, jedziemy więc tuż poza chatą Pawła. Z Góry Kalwaryjskiej najcudniejszy pejzaż się wynurza. Brzeźniaki na naszym polu palą się, pałac błyszczący na tle czerwonego boru, oto i krzyż. Klony tracą liście - pełne ich rowy, w których runi zielona. W domu z obiadem czekają. W ogródku parę jabłek cudem ocalałych przebijają między gałęziami.

I w jesieni swego życia pan Jakób pozostał takim samym prawie jak i przed 20 laty: spokojnym, łagodnym, małomównym, rzadko już tylko gderliwym, w kozuchu większą część roku, z kijaszkiem, klucze za pasem, a w wieczór i z latarką, wciąż był w pracy. Od obory do gumna, od gumna do stajni, młocarni, dreptał wciąż pilnując cudzego dobra (jak mówią) i tak aż do śmierci prawie (chorował bowiem ledwie kilka dni). Uczciwie pełnił co do niego należało, za co niech lekka Mu będzie ziemia Kalwaryjskiego Mogilnika!

\* \* \*

„Są chwile w życiu człowieka” - jak mówi, jeśli pamięć nie myli, pan Rolewicz pannie Justynie, a w tych chwilach tyle sensu - co i w owej sławetnej rozmowie p. R. z p. Justyną.

Wyrazem jednej z podobnych chwil ma być przeciwległej strony malowidło: szlachcic wali w teń (na pojedynku) urzędnika telegraficznego (ma być jednakowoż to jenerał). Sekundantem szlachcica - „kozak-družba” zaś tamtego jakiś diabeł szwedzki czy kurlandzki (postać mistyczna).

Zdaje się, gdzie ten sens?

A jednakże jest ów dramatyczny epilog zwierciadłem, niby - jak mówią - duszy malarza, a raczej bezsensowności polki - tramblanki, którą w tej chwili twórczej u malarza tańczyli mu na łbie wszyscy dia-



bli. Jednym słowem była to jedna z chwil bezmyślnego szata, który od czasu do czasu w życiu ogarniał malarza. Że owe palenie we łbie nie doszło do skutku, zawdzięczać trzeba jedynie temu, że malarz nie miał czasu, urlop się skończył, trzeba było remontu patrzyć i buraki polaryzować, a więc porzuciwszy nurty Dżuwinę pośpieszył w stopy, tam jeszcze prześladowała go parę godzin febra Witebska, narysował bowiem parę rodzajowych scen z wierszami małoruskimi (niestety cenne te za- bytki poezji i sztuki ojczystej zostały przez Dr P. skonfiskowane) i nieod- kładając ani chwili poszedł do ogrodu, aby ździebełko angielskiej trawki ofiarować ci! Wandziu moja miła!

Ludzie przyzwoici „powiedzą” „jak można” tak raptownie nie zapo- minając nawet o tamtej (bo to przecież niepodobna). A im na to „catuj- cie mnie...”.

Niczym cię nie sprofanowałem, jak nożem przecięte co było od tego co się wówczas zaczęło. Nie śmiałem nawet myśleć o żadnym handlu! Broń Boże! Ty byłaś na uboczu i patrzyłaś na te wszystkie głupstwa moje, ale w nich nigdy nie uczestniczyłaś. I jeśli zwracam się myślą do owych głupstw, to tylko przez ciekawość! Dziś te bazgroły niech służą przy Twoim pogodnym usposobieniu na temat dla bajeczek Kaziukowi i Helence<sup>33</sup>.

Sentencja taka: kto uwielbia swą narzeczoną, a jeszcze z nią nicze- go nie splotził - żaden dowód, że ją kocha. Kto mówi - „kocham żonkę” - temu wierzę. Kto powiada - „kocham nad wszystko swą narzeczoną” - niech każe się wypchać!

Kto chce szczęśliwie się ożenić, powinien patrzeć czy czystą spódni- cę nosi zawsze panna i oświadczając się nie mieć kataru...

\* \* \*

Zachciało się malarzowi, aby jego narzeczoną „podeptała kudły nie- dźwiedzie”, więc przed ślubem na parę tygodni już był w ostępie.

Za wioską o wiorstę w lesie, przy drodze, pali się ogień. Obławników kilkudziesięciu grzeje się - rozmawiają półgłosem. Osacznik wreszcie ustawił ich szeregiem, daje znać zamilczeć, rozdzielamy się, osacznik prowadzi strzelców, drugi leśnik obławników. Przeszliśmy cicho w mil- czeniu z pół wiorsty, osacznik pokazuje jamki na śniegu (śląd niedźwie- dzia). Niedźwiedź (jak i prawie każdy zwierz) pójdzie na otrop, jeden



ze strzelców 1-szy N. stanął na tropie, o kroków 20 od niego na ścieżce stawiają mnie, dalej Szpielowski i inni.

Zostawszys sam jeden - jakoś niewyraźnie stać na odkrytej drodze, włożę więc za wywrotnię, stawiam sztucer na ziemi, dubeltówkę do ręki, pada strzał. Obławnicy krzyknęli tuż prawie przy strzelcach (odstęp bardzo mały), słyszę coś w gałęziach zatrzeszczało naprzeciwko mnie, wreszcie pies pognał. Pada na lewo jeden strzał, drugi, trzeci. Stoję chwilę spokojnie. Wreszcie słychać głos strzelców. Schodzą się. Niedźwiedź poszedł po linii, pudłowali i wypuścili go, szedł do mnie na sztych, zwiertzył czy spostrzegł 1-go strzelca i pod kątem prostym zawrócił. Pozostało tylko uwiecznienie bartłogu<sup>34</sup>...

\* \* \*

Przerzuc taskawy czytelniku dwie karty z powrotem, a ujrzysz piękną akwarelę przedstawiającą siedzibę pewnego małżeństwa w ciągu 6-ciu miesięcy po ślubie. Od ulicy biegnie czysta ścieżka do ganku, po obu stronach grządki pełne kwiatów ręką W(andy) sadzonych, świerki i brzoźki posadzone przez malarza rozweselają ukraiński pejzaż przypominający Litwę. Bzy kwitną od strony sąsiadów i przed oknami. Kadź z wodą przy ścianie. Stąd W(anda) czerpała polewając kwiatki. W chacie czysto i tak miło - przyjemnie, że człowiek z ochotą przeżyłby w niej do końca życia. Tutaj nas pierwszy raz Seweryn (serce) z kamratem poczciwym witali chlebem i solą. Tu W(anda) jak błędna owca błąkała się 1-szy dzień nie wiedząc, jak do kogo zacząć przemawiać, tutaj ona gospodarzyć zaczęła dumna ze swej roli i razem bojąc się wszystkiego! Tutaj... ale co tu gadać długo. Tutaj pół roku płynęło życie tak, że i ptasiego mleka nie potrzeba było. Dobrzy ludzie nigdy nie odmówili zaprosin, a po gościnności nie trzeba było jeździć za morze, a zatem wszystkim było dobrze, lecz bieg ludzkiego życia (niestety) nie od nas zależy. Trzeba było w dzikie stepy ruszać i odtąd tułactwo się rozpoczęło. Ale jakoś to będzie. Daj Boże tylko wrócić...

Przyjemnie wspominać, jak nas pięknie pożegnali - i to pociecha. Tymczasem chciałoby się zamieszkać „dom na ojczystej roli”, tylko jej nie ma. Prawo jednakie przysługuje nam kupić sobie po śmierci parę łokci - trzeba i z tego być zadowolonym. A to mogliby nie pozwolić i grzebać umarłych!

Takim gorzkim akcentem kończy się komentarz do szkicownika mego Ojca. Wbrew pierwotnemu zamiarowi przytaczam go w całości, bo wydaje mi się, że rzuca snop światła na sylwetkę mego Ojca, pod którego wpływem kształtowałam się i rosłam. Nie jest to jedyna przyczyna. Wydaje mi się, że niefrasobliwa gawęda sprzed 100 lat wiele mówi o ziemi i ludziach, wśród których mi żyć przyszło i wśród których spędziłam najpiękniejsze lata mego życia w Wilnie i Balinpołu.

### Przypisy

- 1 Kwacz - zwitek pakul lub szmat przymocowany do długiego kija, używany do smarowania smołą, rozprowadzania farby, rodzaj pędzla.
- 2 Prawdopodobnie Parczewski - kolega mego Ojca.
- 3 Pod Wilnem były dwa Czerwone Dwory: 1) o 27 w. od Wilna w parafii Niemenczyn, własność Parczewskiego, 39 2) o 15 w. od Wilna - 60. Ponieważ Ojciec mój miał kolegę Parczewskiego, chodzi zapewne o 1).
- 4 „Cypluk” pali dymiącą fajkę
- 5 Nie wiem, czy mowa o obrazie Jana Matejki czy o Panoramic Raclawickiej
- 6 Przed wołownikiem pasie się kobyła ze źrebakiem.
- 7 Dworek zamieszkały przez dzierżawcę Werek - Karola Szczęsnego Falewicza, mego dziada. Werki był to folwark z pałacem (projektowanym przez Gucewicza) położony na prawym brzegu Wilii o 7 wiorst od Wilna.
- 8 „salką” nazywano pokój na strychu.
- 9 Na następnej kartce dopisek ręką ojca kreślony: „Już zażywa wiecznej drzemki, gdyż 4 marca 1899 usnął i zanieśliśmy go do Kałwaryi. *Bidny baćka pamior* - jak mówią”.
- 10 Dostarczyciel, przedsiębiorca hurtowy.
- 11 Kuna - folwark w powiecie wileńskim o 21 wiorst od Wilna. Położony był na kresach dóbr werkowskich (koło Rzeszy i w pobliżu folwarku Aleksandra Falewicza - Wilianowa), ulubione miejsce polowań mieszkańców werkowskiego dworku.
- 12 Żongolowiczowie - bliscy krewni Falewiczów.
- 13 Ustronie - folwark brata babuni Juli Falewiczowej - Ignacego Żukowskiego.
- 14 W Werkach w pobliżu folwarku znajdowała się fabryka papieru.
- 15 Łza się w oku kręci, gdy widzimy jak wychowani byli ludzie pokolenia mego Ojca: nawet „portki” są wykropkowane jako nieprzyzwoite słowo (francuski źródłosłów!).
- 16 Gumno - (star.) pomieszczenie na niewymłócone zboża, tyle co stodoła.
- 17 Ks. Piotr Wittgenstein, właściciel Werek.
- 18 Rysunek Kałwaryi: 11 czerwca 1888. Sobota przed Zielonymi Świątkami.
- 19 Przyjaciel mego Ojca - Rosjanin Riazunow.
- 20 Miejsce do rąbania drzewa.
- 21 Być może chodzi o Karola Żukowskiego, brata mojej babki.

- 22 Przekleństwa te rzucił za srogie figle, jakie od owego Pana doznawał, szczególnie za upominki na kowadle (przyp. ojca).
- 23 tyle co wzdłuż Wilii (gwar.)
- 24 napadają i grabią (gwar.)
- 25 Ciotka Elżbieta Ułasewiczowa była siostrą dziadunia Karola Falewicza.
- 26 Tyle co bochenek chleba (gwar.).
- 27 Tyle co boks na konia w stajni.
- 28 kary - wóz drabiniasty
- 29 kozyrek - daszek od czapki
- 30 kapszok - portmonetka
- 31 Śnipiszki - przedmieście Wilna z kościołem św. Rafała, przed którym stała wielka dzwonnica z postacią Chrystusa uginającego się pod ciężarem Krzyża. Tamtędy prowadziła droga do Werek. Panorama Śnipiszek uwieczniona jest w *Albumie Wileńskim* Wilczyńskiego.
- 32 W jakim to paragrafie oznaczono, ile trzeba czasu niby zapomnieć niby - kochanie jednej dziewczki, aby niby zacząć niby - kochać drugą? (przyp. ojca)
- 33 Kaziuk - mój starszy brat Kazimierz Antoni. Helenka - to ja.
- 34 Nieudane polowanie na niedźwiedzia jest udokumentowane rysunkiem barłogu niedźwiedzia rysowanym w Kuźmiczach na Polesiu 17 grudnia roku pańskiego 1897. (Rysunek ten posiada replikę akwarelą).

## CIOTKA AFRYKAŃSKA

Po przyjeździe do Wilna zamieszkałam u siostry mego ojca, ciotki Janiny z Falewiczów Niewodniczańskiej. Ciocina, nieco młodsza od ojca (urodziła się w 1872 roku) była osobą wszechstronnie uzdolnioną, muzykalną, znającą języki, rzutką, pełną dynamizmu, biorącą czynny udział w życiu społecznym i kulturalnym Wilna, przy czym co nieco „postrzeloną”. Niemcy, którym podczas wojny w Wilnie dała się swoją aktywnością we znaki, nazywali ją „verrückte Tante von Balinpol”.

Gdy jeszcze byłam na froncie, Ciotka pisała do mnie namawiając na studia w Wilnie (była przeświadczona, że niezwłocznie zostanie tam otwarty uniwersytet) i zapraszając mnie do siebie, na Jagiellońską. Tak też uczyniłam. Zaraz po zakończeniu służby w szpitalu polowym i po paru dniach spędzonych w Warszawie, pierwszym pociągiem pojechałam do Ciociny. Zapisalam się na uniwersytet, zaczęłam chodzić na wykłady...

Ciocina uważając, że mój dotychczasowy spartański tryb życia ukształtowany po cukrowniach, wśród chłopców, w anormalnych wojennych warunkach w Białgoradzie, Kijowie czy na froncie bolszewickim - nie był właściwy dla młodej „panienki z dobrego domu”, postanowiła nadrobić luki w moim salonowym wykształceniu, wyrobieniu towarzyskim, wprowadzić w świat i poprawić moje maniery.

Często zabiegł te śmieszyły mnie, ale w sumie zawdzięczam ciotczynej edukacji wiele, mile wspominam lata zamieszkałe u niej, bądź pod jej opieką, organizowane przez Ciotkę bale, venty, czy „pracowite piątki”, na których uczyłam się mereżkowania. Przez pewien czas mieszkałam u Ciotki, a potem w tym samym domu - tylko na innej klatce



schodowej, gdzie wynajęłam pokój po przyjeździe mej przyjaciółki. Ściągnęłam bowiem do Wilna Jadzię Śmiechowską, u której rodziców mieszkałam przed maturą w Lublinie i z którą lożując we wspólnym pokoju bardzo zaprzyjaźniłyśmy się. Po przyjeździe Jadzi, która zapisała się na polonistykę, mieszkając w pustym pokoju (spałyśmy na ziemi, na materacach) spędziłyśmy tam cały okres studiów. W dalszym ciągu często spotykałyśmy się z Ciotką, która roztaczała nad nami dyskretną opiekę.

Barwna to była postać! Jak na swój czas była osobą wykształconą. Wprawdzie nie miała za sobą studiów uniwersyteckich, ale w latach 1887-89 uczęszczała w Krakowie na słynne, prowadzone na wzór angielski „Wyższe kursy dla kobiet”. Kursa te organizował przy stworzonym przez siebie Muzeum Techniczno-Przemysłowym znany społecznik i zbieracz Adryan Baraniecki. Ciotka uczęszczała przez rok na wykłady Wydziału Nauk Historyczno-Literackich, a po drugim Wydziale poddała się egzaminom zdając takowe ponownie z „postępem celującym” z fizyki, chemii, botaniki, zoologii, mineralogii, geologii, astronomii popularnej, higieny i gospodarstwa domowego. Wykładowcy na kursach Baranieckiego rekrutowali się głównie z profesorów znakomych krakowskich gimnazjów - św. Anny i Sobieskiego, ale zdarzali się wśród nich i profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zapewne także w Krakowie zaczęła Ciocina uczyć się śpiewu. Jej nauczycielem był wybitny tenor Aleksander Myszuga. Ciocina pracowała nad swym głosem wiele lat i pobierała nauki jeszcze w czasie pobytu śpiewaka we Lwowie. Nie wiem, czy talent Ciociny, czy inne walory jej osoby podziały tak silnie na wybitnego tenora, że postanowił on wylansować swą uczennicę i zorganizował jej debiut sceniczny. Ciocina, która na tę okoliczność przybrała pseudonim artystyczny Nina Boyary (mam jej bilecik wizytowy na to nazwisko z „Pobogiem” w rogu), wybrała się na podbój Lwowa. Leży przede mną afisz lwowskiego teatru hr. Skarbka (pod dyrekcją Ludwika Hellera), który zapowiada, że *we wtorek, 3-go kwietnia 1900 roku występ Niny Boyary i jednocześnie przedostatni występ Aleksandra Myszugi, Juliana Jeromina i Józefa Szymańskiego. Po raz pierwszy w sezonie wystawiona zostanie „Favorita” wielka opera w 4-ch aktach Donizetii’ego. W rolach głównych wystąpią: Alfons XI, król Kastylii - p. Szymański; Leonora di Gu-*

zman - pna Nina Boyary; Fernando - p. Myszuga; Baltazar, przeor klasztoru - p. Jeromin; Inez - powiernica Leonory - pni Kasprowiczowa; don Gasparo, oficer - p. Malawski; ponadto: panowie, damy dworu, paziowie, gwardia, mnichy, pielgrzymi. Rzecz dzieje się w Kastylii w roku 1340. Kapelmistrz: Henryk Jarecki, reżyser - Julian Myszkowski.

Debiut nie zakończył się sukcesem. Informuje o tym lwowska prasa, w której, w rubryce „Literatura i sztuka”, w szpalcie poświęconej teatrowi czytamy:

*Wczorej wystawiono po raz pierwszy w tym sezonie melodyjną operę Dionizetti'ego „Favorite”. Partię tytułową odśpiewała debiutantka, panna Nina Boyary. Był to jej pierwszy występ na deskach teatralnych i tem się widocznie tłumaczy, że przez cały wieczór nie odstępowała jej trema, ta największa nieprzyjaciółka początkujących artystek. Ona to sprawiła, że panna Nina Boyary, której głos w niższym rejestrze brzmiał pięknie i bardzo dodatnie wywierał na słuchaczach wrażenie, intonowała fałszywie, ilekroć sięgała do rejestru wyższego. Oczywiście niepowodzenie to jeszcze potęgowało zmieszanie młodej śpiewaczki. A szkoda było, bo panna Boyary posiada zresztą wszystkie warunki na znakomitą artystkę, wielką inteligencję wogóle a muzyczną specjalnie, temperament sceniczny, grę pełną zrozumienia i dystynkcji, ujmującą powierchowność, wykwiłtne ruchy i sympatyczny głos mezzosopranowy. Pamięciowo swą rolę opanowała doskonale i wogóle wszystko byłoby dobrze, gdyby nie owa fatalna intonacja, o której wspomnieliśmy wyżej. Jesteśmy głęboko przekonani, że następny występ tej młodej adeptki sztuki będzie...”* i tu, niestety, recenzję ucięto.

Jak było dalej - nie wiem. Czy pierwszy występ był ostatnim, czy na nim się skończyły występy Ciociny? Recenzji dalszych nie mam. Mam jednak parę listów ze Lwowa, już po owym fatalnym debiucie, w którym są miłe słowa pod adresem wokalnych talentów Ciociny. Chyba nie zostałyby one napisane, gdyby kariera teatralna Panny Boyary ograniczyła się do „premierowego występu”. Mam też fotografię ze Lwowa obok Ciociny stoi z jednej strony hrabia Fryderyk Skarbek, a z drugiej – Aleksander Myszuga. Zdjęcie to zdaje się świadczyć, że Ciocina pozostała we Lwowie czas jakiś. Kariery scenicznej jednak nie kontynuowała z całą pewnością. Swoje umiejętności śpiewacze wykorzystywała przede wszystkim na różnego rodzaju imprezach towarzyskich, dobro-

czynnych, na balach i w salonach wileńskich. Dawała się czasem słyszeć jeszcze na scenie, o czym pisze „Goniec Codzienny” z 7(20) grudnia 1910 roku donosząc o kolejnym występie wileńskiej „Lutni”.

*Ktoś, co chce z sił lokalnych, przy warunkach miejscowych stworzyć sobie ustawiczną biesiadę na wzór najdoskonalszy, marząc o orkiestrach „Gewandhausu” lub o chórach stolic świata, ten mógłby po sobotnim wieczorze „Lutni” snuć nieziszczalne porównania. Jednak słuchacz sprawiedliwy musi oddać należne pochwały pod adresem nowego dyrygenta p. Wyleżyńskiego, całej orkiestry coraz lepiej zgranej i tego chóru, który będąc zawiązkiem „Lutni” wileńskiej dziś już sprawia trudne zadania, jako jedyny polski zespół w naszym mieście o pewnej kulturze muzycznej (...). Najlepszym wskaźnikiem, iż rozwój tej instytucji biegnie po linii najściślej odpowiadającej potrzebom muzycznym publiczności wileńskiej jest niezaprzeczony, bo oczywisty fakt, że „Lutnia” przyciąga coraz szersze warstwy zarówno w wykonawcach jak i słuchaczach. Ostatnio mieliśmy występ p. Janiny Falewiczówny, który skupił na sobie całą uwagę wieczoru. Utalentowana ta śpiewaczka o niepospolitej kulturze muzycznej Wilnu dawała się słyszeć bardzo rzadko. Głos jej znały i cenily salony wileńskie - od estrady stroniła, a ulegała tylko natarczywym prośbom. W sobotę głos jej zabrzmiał w całej pełni i świetności. Kryształicznie czysty, wyrzeźbiony w każdej tonacji a tak swobodny i władający dykcją wyraźną, jasną i otwartą, iż przykuwa ucho słuchacza - głos ten zdobył sobie przebojem publiczność od parturu do galerii. Na widownię posypało się kwiecie. Dłonie zrywały się do oklasków. Publiczność „Lutni” wogóle serdecznie wita wykonawców, w tym jednak wypadku nie miała granic swej miłej natarczywości. Zaszuga dla „Lutni” p. Falewiczówny jest wprowadzenie pieśni tak tragicznie a przedwcześnie zmarłego Karłowicza, który wspaniale wyśpiewał dole i niedole. Oby nazwisko tego kompozytora jak najczęściej figurowało w programie „Lutni”...*

Recenzję podpisano literami F.H.

Ciocina jeździła, śpiewała, zajmowała się działalnością społeczną, ale długo nie wychodziła za mąż. Przypuszczać można, że powodem tego były wybujałe oczekiwania, tęsknoty artystyczne, czynne absorbujące czas życie społeczne. Czwarty krzyżek na karku, a tu nic...

Wreszcie jednak coś się ruszyło. W archiwum „Ossolineum” zacho-



wała się korespondencja dziadunia Karola z kuratorem Zakładu im. Ossolińskich, autorem ciekawych pamiętników, Edwardem Pawłowiczem. Oto list wysłany z Werek 12 lipca 1908 roku:

*Wielce Szanowny Panie Edwardzie!*

*Serdecznie dziękujemy za łaskawą o nas pamięć. Schodzą się prawie w jednym czasie trzy jednoty: 1) niedawno zapoczątkowana w Pradze jednota wszechsłowiańska, 2) rocznica Unii (jednoty) Lubelskiej, 3) ślub naszej Janiny z p. Zygmuntem (synem Aleksandra z Koszewicz) Skirmuntem 31 VIII 08 w Kościele Kawaleryjskim pod Werkami. Oby te trzy jednoty zespolone posłużyły do uszczęśliwienia ludzi, kraju i całej ludzkości. Z wysokim poważaniem i przyjaźnią*

*Karol Falewicz*

Sprawa wydania córki musiała dziaduniowi mocno leżeć na sercu, skoro w tak dostojnym towarzystwie ją stawiał. Mimo że do wyznaczonego terminu było zaledwie trzy tygodnie, do ślubu jednak nie doszło. „Verrückte Tante” zerwała zaręczyny, a w rodzinnych opowieściach mówiło się na ten temat coś na ucho... Ale decyzja zamążpójścia zapadła i ciotka niedługo potem wyszła za mąż za wdowca, generała, lekarza Felicjana Niewodniczańskiego. Jenerał służył na Dalekim Wschodzie, we Władywostoku. Do kraju przyjeżdżał rzadko. W ciągu całej swej dwudziestopięcioletniej służby wojskowej miał tylko cztery urlopy. Podczas każdego z nich poznawał jedną z przyszłych małżonek, wywoził ją do swego miejsca pobytu, płodził z nią dzieci<sup>1</sup>, po czym delikwentka umierała a doktor brał następny urlop...

W roku 1910 zabrał więc z sobą Ciotkę Ninę, która parę lat spędziła na Dalekim Wschodzie mając tam (a w każdym razie opowiadając) niesłychane przygody. Pływała więc statkiem podczas straszliwej burzy na morzu Żółtym, statek się rozbił, porwali ją piraci, udało jej się z ich rąk wydostać, błąkała się po pustyni itp. itd.

Pożycie Ciotki z jenerałem nie układało się jednak najlepiej, a powodem konfliktów - jak wieść familijna niosła - był oburzający fakt, że jenerał korzystał w nocy z urynału... Tego delikatnej, artystycznej duszyczce było już za wiele. Poza tym w wypadku Ciociny trafiła jednak kosa na kamień. Zamiast trzeciej żony czas było pochować jenerała...



Mam przed sobą wyciąg z jego służby, który przytoczę ze względu na dość charakterystyczny typ kariery:

1. **Szarża. Imię i nazwisko:** Radca Stanu (Statskij Sowieтник) Felicyan Niewodniczański

2. **Stan. Służb.** Naczelnny Lekarz Władywostockiego Szpitala Wojskowego

3. **Posiadane ordery i odznaczenia:** Św. Stanisława 3. st. z miecz.; Św. Anny 3 st. z miecz.; Św. Stanisława 2 st. z miecz.; Św. Anny 2 st. z miecz.; Św. Włodzimierza 4 st. z miecz.; Medal Pamiątkowy panowania Aleksandra III, Medal za wojnę Chińską; Medal za wojnę Japońską; medal jubileuszowy 300-lecia Domu Romanowych.

4. **Data urodzenia:** - 1863 r.

5. **Z jakiego stanu pochodzi:** Szlachcic guberni Mińskiej.

Awansowany na stopień „Koleżskij Sowieтник” ze st. Przydziel. z woli Dow. do 4. p. Strzelców Wsch.-Syberyjskich. Kierował ekspedycją do walki z dżumą w południowej Mandżurii na granicy Chińskiej, w miejscowości Inkoy (New Chwang), gdzie przebywał 13 miesięcy.

Odbył całą kampanię japońską jako naczelnny lekarz 1-go Szpitala Polowego I-ej Armii, który operował w najbliższej do bitew linii i sferze ognia nieprzyjacielskiego w bitwach na rzece Szache, pod Mukdenem, Laojanem i innych - 1904-1905.

Awansowany za odznaczenie się na stopień „Statskij Sowieтник” ze starszeństwem w grudniu - 1906.

Przydzielony z woli Dowództwa do Władywostockiego Miejscowego Szpitala Wojskowego na stanowisku Naczelnego Lekarza w lipcu 1910.

Zmarł jako lekarz Naczelnny tego szpitala - 6 grudnia 1913.

6. **Wyznanie:** Rzymsko-Katolickie.

7. **Wykształcenie:** Ukończył Akademię Wojenno-Medyczną w Petersburgu.

8. **Uposażenie pobierane:** według norm przewidzianych.

9. **Przebieg służby:**

Ukończył Akademię Medyczną ze stopniem lekarza i został mianowany Młodszyim lekarzem do Gorsko-Mordowskiego Pułku Kozaków Terskich w mieście Olty na granicy perskiej 16 stycznia 1888 (starego stylu).

Początek służby wojskowej - 16 stycznia 1885.

Zatwierdzony w stopniu „Tytularnyj Sowieтник” ze starszeństwem - 7

lutego 1888.

Awansowany na „Koleżskij Asesor” ze st. - 7 lutego 1897.

Przeniesiony na własne żądanie do Niżegorodzkiego pułku dragonów do m. Piatigorska (Kaukaz Północny) na posadę młodszego lekarza.

Awansowany na stopień „Narodnyj Sowiebnik” ze st. - 7 lutego 1895.

Przydzielony do Akademii Wojenno-Medycznej w Petersburgu dla prac nad doktoratem, uzyskał stopień Doktora Medycyny oraz Chirurga Polowego - 1895-1897.

Przeniesiony z woli dowództwa do Władywostoku, jako ordynator szpitala Wojskowego - 1897.

Wyruszył jako Naczelnny Lekarz Szpitala Polowego z Korpusem Generała Liniewicza na kampanię przeciw powstańcom Bokserskim - 1900-1901.

Wojna z Japonią i bitwy na rz. Sache, pod Mukdenem, Laojanem i innych od 27 I 1904 do 5 V 1905.

**10. Pozostawanie poza służbą:**

Urlop wypoczynkowy z zachowaniem uposażenia - 1892.

Urlop dwumiesięczny z zachowaniem uposażenia - 1895.

Urlop trzymiesięczny z zachowaniem uposażenia - 1902.

Urlop czteromiesięczny z zachowaniem uposażenia - 1910.

**11. Stan familijny:** 2 synów z pierwszego małżeństwa, jedna córka z drugiego małżeństwa, trzeci raz ożeniony jest z Janiną z Falewiczów.

**12. Czy posiada nieruchomości:** nie posiada.

**13. Kary sądowe lub dyscyplinarne:** nie było.

**14. Udział w pochodach wojennych i bitwach:** Ekspedycja przeciw powstańcom bokserskim r. 1900, 1901.

**Adnotacja:** W służbie wymienionego lekarza nie było powodów do pozabawienia go prawa na otrzymanie odznaki „biezporocznej służby” lub odwołujących termin wystugi teże.

Podpisy

Po śmierci generała Niewodniczańskiego Ciocina wróciła do swoich prac społecznych, a nadto zajęła się wychowywaniem pasierbicy, Maji Niewodniczańskiej.

Prace społeczne Ciotki były różnorodne. Najczęstszą formą była działalność charytatywna na rzecz dzieci znajdujących się w ochronkach.

Ciotka zajmowała się zdobywaniem środków i kształceniem opiekunek, pozostawała w tej sprawie w korespondencji z generałową Zamoyką z Kórnika. O pracy jej mówi list od Edwarda Pawłowicza.

*Lwów, Ossolineum, 24/11 listopada 1908.*

*Podana w jednym z dzienników wileńskich wiadomość o zamierzonym przez Panią zorganizowaniu w Towarzystwie Wileńskim szerokiego koła pracownic na korzyść ubogiej dziatwy przejmuję mnie najżywszą radością na dowód, że jest Pani córką nieodrodną swego ojca! Aby zaś wziąć w tym szlachetnym dziele choć małuczki udział posyłam Pani odpis dwu grobowych wierszy, które warto, aby były odczytane i zapamiętane w szeregu zamierzonych odczytów (...) Rodzicom Pani łączę wyrazy poważania i przyjaznych uczuć. Oddany sługa i przyjazny jako wielbiciel piękna w pieśni*

*Edward Pawłowicz*

*p.s. W załączeniu podaję wiersz na grobowcu Jana Czeczota w Rotnicy około Druskiennik ułożony przez Antoniego Edwarda Odyńca:*

*„Młodość przepędził w pracy dla nauki i cnoty,  
Wiek męski przetrwał mężnie w próbach i cierpieniu,  
Miłość Boga i ludzi - treść jego istoty,  
Cel życia - droga ku zbawieniu.*

*Imię jego w Ojczyźnie jest wiecznie związane  
Z Adamem Mickiewiczem i Tomaszem Zanem.*

*Jako wiesz czym oni byli - schyl skroń przed tym głazem  
Pomyśl, westchnij i módl się za wszystkich trzech razem”.*

W pracy swej Ciocina związała się blisko z Heleną Römer-Ochenkowską, córką Alfreda Römera, który był więziony po Powstaniu wraz z dziaduniem w twierdzy Dyneburskiej. Razem zakładały biblioteki i czytelnie ludowe, organizowały teatry amatorskie. W czasie I-szej wojny ciotka założyła Komitet Pań w Wilnie i prowadziła IX sekcję tego Komitetu (opieka nad ochronami). Wraz z nią pracowały - nasza kuzynka Janinka Mazarakowa, Marya Tyszkiewiczowa, Zofia Bortkiewiczowa, Helena Sokołowska, Jadwiga Cywińska, Marya Biegieńska i Marya Motwiłowa.





Bal na cele dobroczynne zorganizowany przez ciotkę Falewicz-Niewodniczańską



„Poloneza czas zacząć” mówi ciotka (Pierwsza z lewej na balu Polskiego Białego Krzyża w Wilnie)



Aby zdobyć środki na prowadzoną przez siebie działalność charytatywną ciotka organizowała liczne bale, zabawy i wenty.

Zaraz po odzyskaniu niepodległości Ciocina stworzyła sieć placówek „Białego Krzyża” organizacji, której celem była pomoc kulturalno-oświatowa dla żołnierzy. Z biegiem czasu organizacja rozbudowała się i zajęła się również świadczeniem pomocy dla repatriantów i ich dzieci. Pamiętam zdjęcie ciociny jako Prezesa „Białego Krzyża” w Wilnie w towarzystwie marszałka Piłsudskiego i biskupa Bandurskiego. Szczególnie ożywioną działalność prowadziła organizacja PBK po zawarciu traktatu ryskiego. „Dziennik Wileński” nr 84 donosi: *Prezes Państwowej Rady d/s Repatriacji p. Władysław Grabski zawarł porozumienie z Centralnym Towarzystwem Rolniczym, które objęło patronat nad powiatami świeciańskim i oszmiańskim. Polski „Biały Krzyż” organizuje akcję dożywiania i organizuje prace zarobkowe dla repatriantów...*

A oto dalsze notatki prasowe na ten temat:

*Polski „Biały Krzyż” posłał dla niezwłocznie potrzebujących pomocy repatriantów Smorgoń 50 pudów kaszy mannej, 10 pudów soli, 5 pudów mydła i 5 pudów cukru. W najbliższych dniach wysyła wóz, parę koni z uprzężą, pługi i żyto pod zasiew.*

\* \* \*

*Polski „Biały Krzyż” założył Komitet w Sołach. Zadaniem Komitetu jest rejestracja repatriantów potrzebujących pomocy, sprawa ochron oraz zbadanie stanu gospodarstw repatriantów.*

\* \* \*

*Podczas pobytu w Smorgoniach prezeski Polskiego „Białego Krzyża” p. Niewodniczańskiej i przewodniczącego Sekcji Pomocy dla repatriantów przy PCK p. Kamińskiego ludność Smorgoń zapytana o najpilniejsze potrzeby wyraziła następujące życzenia: 1) kupno dla niej traktorów do zrównania ziemi spod okopów i ruin (przestrzeń około 5 tysięcy dziesięcin); 2) dostarczenie jej żyta pod zasiew, 3) dostarczenie narzędzi i inwentarza potrzebnego do uprawy roli. Podanie to podpisali repatrianci ze Smorgoń i okolic.*

Ciotka była w swoim żywiole. Jej aktywność osiągnęła szczyty w trakcie Tygodni Polskiego „Białego Krzyża”. W ciągu tych dni nasilenie

różnorodnych imprez (zabawy, kawy, wenty), z których dochód przeznaczony był na cele tej organizacji, przybierało największe rozmiary. O jednej z takich imprez w notatce pt. *Czarna kawa* donosi wileńskie „Słowo”: *W niedzielę 3 grudnia trzeci dzień Tygodnia Polskiego „Białego Krzyża”, na cele kulturalno-oświatowe dla naszego żołnierza w lokalu Domu Oficera Mickiewicza 13 od godz. 5 p.p. odbędzie się czarna kawa. Główną atrakcją zabawy będą łaskawe występy artystów naszych teatrów i sił amatorskich. W przerwach przygrywać będą orkiestry wojskowe.*

*Czynnym protektorem „Czarnej kawy” jest generał Griebisz przy pomocy pułkownika Mroczyńskiego oraz współudziale następujących pań gospodyń: delegatowa Romanowa, generałowa Rydz-Śmigłowa, Janina Niewodniczańska, Janina Burhardtowa, Janina Kisielowa, Zofia Jaczowa, Eugenia Kozlińska i p. Sende.*

*Miłą reminiscencją dawnych „Panieńskich Podwieczorków” będą nasze panienki, jako uprzejme gospodynie, częstując gości aromatyczną kawą i wyborowymi pączkami.*

*Cena biletu wejściowego: 1000 marek.*

A oto kolejna informacja:

*19-go b.m. odbyło się w Werkach poświęcenie internatu dla inteligentów - repatriantów utrzymywanego przez Polski „Biały Krzyż”. Poświęcenia dokonał Biskup Bandurski, który w dłuższej mowie nawiązując do słów poety Krasińskiego o tych, którzy domu nie mają i tych, którzy bezdomnym przytułku dostarczają, zobrazował nędzę repatriantów, którzy powracając do kraju nie mają gdzie się pomieścić, nie mają gdzie głowy przytulić, a zarazem zashugę tych, którzy się ich niedołą zajmują. W odpowiedzi Prezes PBK p. Niewodniczańska, zaznaczyła, że dzięki ofiarom społeczeństwa Polski „Biały Krzyż” był w stanie otworzyć internat w Werkach i że rola PBK polega głównie na administrowaniu tym, co społeczeństwo składa. Po poświęceniu Polski „Biały Krzyż” podejmował zaproszonych gości kawą. W czasie przyjęcia wygłosili mowy: zastępca delegata rządu p. Rzewuski, Prezes PBK pani Niewodniczańska, b. poseł na Sejm Wileński p. Ostrowski oraz p. Stan. Łopaciński. Obecni na poświęceniu byli - Matżonka Naczelnika Państwa p. Piłsudska, ks. infułat Michalkiewicz, Zastępca Delegata Rządu p. Rzewuski, Kurator Okręgu Szkolnego p. Gąsiorowski, dyr. Malecki z rodzi-*

*na, wice-prezydent miasta p. Łokuciewski, b. poseł do Sejmu Wileńskiego p. Jan Piłsudski oraz wiele osób ze sfer finansowych i społecznych. Pensjonarze internatu ofiarowali bukiet Małżonce Naczelnika Państwa, pani Piłsudskiej oraz Prezesowi PBK p. Niewodniczańskiej.*

Informację powyższą uzupełnił „Dziennik Wileński”, który stwierdził, że *dla uświetnienia uroczystości dyrektor Sawicki w imieniu Banku Zjednoczonych Ziem Polskich złożył na ręce p. Niewodniczańskiej 100.000 mk w celu użycia tej sumy na zwiększenie racji żywnościowych dla dzieci mieszkających w internacie. Internat w Werkach zorganizowany w ubiegłym miesiącu zamieszkuje około 80 osób, przy czym z górą 20 dzieci. Przy internacie funkcjonuje szkoła. PBK nosi się z zamiarem otwarcia w Wilnie dwóch dalszych internatów dla dorosłych i młodzieży. Dotychczasowe zabiegi rozbijają się jednak o brak lokalu.*

Żyłka społecznikowska Ciotki wyładowywała się też w licznych zapisach testamentowych. Sporządzanie testamentów było jedną z jej pasji. Zaczęła je pisać jeszcze jako stosunkowo niestara kobieta, jeszcze przed pierwszą wojną światową. W papierach pozostawionych przez Ciotkę znaleźliśmy kilkanaście testamentów własnoręcznych, notarialnych i sporządzonych przy świadkach. Spadkobiercami byli kolejno wszyscy członkowie rodziny młodszej generacji. We wszystkich testamentach jednak znajdowały się poważne legaty na cele społeczne, a więc na budowę szkoły im. Julii Falewiczowej, na stowarzyszenie im. Stanisława i Józefa Montwiłłów, na Towarzystwo Wzajemnej Pomocy Nauczycieli i Wychowawców w Wilnie itp., itd.

Inną pasją Ciotki było podróżowanie. Jeździła dużo. W latach panieńskich, przed I wojną światową zjeździła parokrotnie całą zachodnią Europę, potem poznała Daleki Wschód i Syberię. Pomiędzy wojnami była wielokrotnie we Francji, a w latach dwudziestych spędziła wiele miesięcy w północnej Afryce. Podróż do Afryki w tym czasie była u nas dość egzotyczna; nie była typową trasą wycieczek Polaków. Ciotka - już dobrze po pięćdziesiątce zjeździła całą północną Afrykę i zasypywała rodzinę kartkami z Casablanki, Marokka, Algeru, Oranu, Tunisu, spod piramid i z Kairu. Wszyscy byliśmy też zarzucani fotografiami Ciotki podróżującej po pustyni na wielbłądzie. Afrykańska podróż Ciotki i jej rozliczne przygody zaskarbiły jej w rodzinie przydomek „Ciotki Afrykańskiej”. Stąd też tytuł rozdziału.



Ciocina wyjechała do Afryki między innymi ze względów zdrowotnych. Cierpiała na astmę, paliła okropne antyastmatyczne papierosy i poradzono jej, że suchy afrykański klimat może dobrze wpłynąć na jej drogi oddechowe. Nie wydaje mi się, aby wiele pomógł, ale Ciocina i tak w dobrej formie przekroczyła siedemdziesiątkę. Do końca życia zachowała aktywność i rzutkość. Prowadziła skomplikowane interesy finansowe, zawsze na skraju bankructwa, z którego jakimś cudem w ostatniej chwili wykręcała się. Po pierwszej wojnie lokowała kapitały w handlu zbożem, w drukarni, przez pewien czas finansowała jakiś zespół rewiowy we Francji. Lata poprzedzające drugą wojnę światową poświęciła na organizację i prowadzenie letniska w należącej do siebie, położonej na wysokim brzegu Wilii części Balinpoła. Folwark ten o nazwie Gałganiszki przechrzcila dźwięcznie na Janinowo, wybudowała tam parę drewnianych domków i urządziła w nich pensjonat. W latach przedwojennych w mająteczkach kresowych była moda na prowadzenie pensjonatów. Zajmowała się tym również moja mama, która w Balinpołu wybudowała specjalny dom dla letników. Takie pensjonaty prowadzone były w wielu litewskich majątkach naszych krewnych, przyjaciół i sąsiadów. W Dokurniszkach i Żylinkach Żylińskich itp. Trzeba jednak przyznać, że działalność tego typu zainspirowała Ciotka Nina.

Mam przed sobą broszurkę wydaną przez Towarzystwo Rozwoju Ziemi Wschodnich (Sekcję Turystyki i Koło Wilnian) zatytułowaną *Wakacje we dworach na Ziemiach Wschodnich*:

*Janinowo - majątek (wł. Janina Niewodniczańska-Falewicz) pow. Wileńsko-Trocki, poczta Punżany, stacja kolejowa Santoka, oddalona o 3 km, dojazd końmi. Wilno oddalone o 45 min. drogi kolejną. Niemenczyn odległy o 14 km, do kościoła 2 km. Poczta, telegraf i telefon w Punżanach oddalonych o 2 km.*

*Mieszkania dla letników mieszczą się w trzech willach położonych na wysokim brzegu rzeki Wilii, przy lesie sosnowym oraz w leśniczówce. Oświetlenie naftowe. W pobliżu dworu las i rzeka Wilja. Tenis, siatkówka, 3 plaże: piaszczysta, trawiasta i żwirowa, 3 kajaki, do spacerów bryczka, jazda konna, biblioteka, radio, fortepian. Polowanie po porozumieniu, rybołówstwo, grzybobranie, jagody. Piękne spacery. Pensjonat może pomieścić 40 osób w pokojach 1, 2, 3 i 4 – osobowych. Posiłki 4 razy dziennie, na żądanie 5 i 6 razy. Za dopłatą kuchnia specjalna.*



*Oplata dzienna od osoby 3.75 do 4.50 zł. Dzieci we wspólnym pokoju do lat 10 płacą 2 do 2,50 zł. Rodziny z dziećmi przyjmowane są za poprzednim porozumieniem. Za pościel dolicza się 10 % do rachunku. Przyjmowani wyłącznie chrześcijanie. Obsługa dodatkowa za dopłatą. Towarzystwo młode. Pensjonat czynny od 15 maja do 1 października. Zapisy przyjmuje i udziela informacji p. Zofia Falewiczowa: Warszawa, ul. Flory 2 m 1.*

Informacje te są uzupełnione w specjalnym afiszu reklamującym Letnisko Janinowo: *okolica bardzo malownicza, w lasach kurbany. Ładne wycieczki, blisko ujście Żejmiany, góry Świątnickie, jezioro Dubińskie. Janinowo jest na szlaku do jeziora Narocz i wiele innych ciekawych i ładnych wycieczek.*

Powyższe informacje o Janinowie były trochę przesadzone, jak to zwykle z reklamą bywa. Ale wiele ludzi, którzy spędzili tam urlopy, było bardzo zadowolonych. Do dziś dnia takich spotykam.

Ciotka wykazywała aktywność do końca. Jeszcze w czasie okupacji w Wilnie, będąc już po siedemdziesiątce, wykorzystując swoją biegłą znajomość języka niemieckiego (i posiadany tupet) pomagała wielu ludziom. Po wojnie repatriowała się do Polski. Zatrzymała się najpierw u mnie w Toruniu, potem czas jakiś mieszkała w Zalesiu u Andrzeja - Jana Falewicza do jego pięknej willi w Wiśle. Niezbyt dobrze ułożyły się stosunki Ciotki z nielubianą powszechnie żoną Naka - Włoszką Lucie i Ciotka ostatnie lata swego życia spędziła w domu starców w Cieszynie. Tam zmarła w roku 1950 przeżywszy lat 78. Nie mogłam być na jej pogrzebie. Z Torunia wyjechał tylko mój lokator a wieloletni lekarz Ciociny - Zygmunt Kowalewski. Na pogrzebie było tylko parę osób. Tak smutny był koniec tej barwnej i popularnej wśród krewnych i znajomych „afrykańskiej ciotki”.

### **Przypisy**

- 1 Luniek, jego syn z 1-go małżeństwa odwiedzał nas w Strzyżowie, a po II wojnie światowej spotkałam go w gmachu UB, gdzie mijaliśmy się w drodze na przesłuchanie. Luniek był dyrektorem PUR w Bydgoszczy i w latach stalinowskich aresztowali go jako wroga klasowego.

## ANTONI I ELIASZ

Gdy myślę o swoich studenckich (i nie tylko studenckich) latach w Wilnie, nie sposób nie wspomnieć o dwóch wspaniałych kobietach: Antoninie i Elżbiecie Żukowskich. Obydwie te moje ciotki, bratanice babuni Julii Falewiczowej ukończyły wyższe studia, były działaczkami społecznymi i niepodległościowymi, peowiaczkami, współpracowały z Józefem Piłsudskim i całe swe długie życie związały ściśle z życiem kulturalnym i społecznym Wilna. Przez ich mieszkanie, przez prowadzoną przez nie czytelnię przewijało się wiele wybitnych i ciekawych osób. I ja bywałam często w ich domu, pożyczałam książki, wysłuchiwałam interesujących opowieści. Podczas okupacji w ich to właśnie domu znalazłam pierwsze schronienie po wypuszczeniu mnie z więzienia Gestapo.

Ciotki moje strasznie bolały, że nie urodziły się chłopcami. Aby w jakiś sposób zaradzić temu „złu” w prywatnym życiu przyjęły męskie imiona. Wołały na siebie „Antoni” - zamiast Antonina i „Eliasz” - zamiast Elżbieta.

Ciotka Elżbieta umarła na Mazurach zaraz po repatriacji z Wilna. Kuzyn mój (też już obecnie nie żyjący) Eugeniusz Paukszta napisał po jej śmierci wspomnienie pośmiertne. Przytoczę dłuższe fragmenty, bowiem trafnie oddaje on atmosferę domu ciotek Żukowskich i kreśli sylwetkę ciotki Elżbiety.

*Ważkie rzeczy się działy w latach 1861-63 pod dachem zmurszałym starego dworku powileńskiego, opodal malowniczych brzegów Zielonych Jezior. Dniami, nocami przybywali do Ustronia, posiadłości Ignacego Żukowskiego, jacyś cywile, zajeżdżali oficerowie, przybiegali z tajny-*

mi meldunkami łącznicy. Mieścił się tu główny punkt łącznościowy oddziałów powstańczych Wileńszczyzny - z okolic Trok, Kiertuszy, Giedrojć, Łabonar i innych. Stąd biegły po tajnych naradach rozkazy, tu się rozstrzygały ważne decyzje, szły słowa podniecy i otuchy.

Powstanie upadło. Lecz w Ustroniu nadal nastrój pełen był podniecenia i napięcia. Oto ukrywał się tu czas dłuższy dowódca grupy - Wyśłouch, odstawiony potem przez właściciela lasami, w przebraniu, do Kurlandii - skąd wyemigrował już dalej. Niepokoili też mieszkańców dworku losy Karola Falewicza, szwagra braci Ignacego i Wincentego Żukowskich, przywódcy powstania na Wileńszczyźnie i członka Rządu Narodowego na Litwie, więzionego w kazamatach Dyneburga.

W atmosferze domu o takich tradycjach wakacje lat szkolnych spędza córka Ignacego Żukowskiego, urodzona w 1863 roku w Twerze, Elżbieta, wraz ze swą starszą o kilka lat siostrą Antoniną. Atmosfera ta odbija się echem w całym przyszłym twórczym, pełnym ofiary i poświęcenia ich życiu...

...Otoczenie młodej Elżbiety Żukowskiej w Twerze tworzyła liczna kolonia polska - wygnańcy i emigranci po powstaniu 1830-1831 roku. Wystarczy wymienić dra Czajczyńskiego, córka którego była żoną znanego działacza Konrada Niedziałkowskiego, pierwszego wojewody wileńskiego, a matką poetki Wandy Dobaczewskiej i Mieczysława Niedziałkowskiego, wodza duchowego PPS-u, zamordowanego przez Niemców. Stąd pochodziła też Zofia Kuleszanka, działaczka PPS-u i żona Franciszka Prausa - pierwszego ministra oświaty Niepodległej Polski.

W Twerze skupiała się też najbardziej postępową ówczesną inteligencją rosyjską z takimi jednostkami z tzw. „Ziemstwa” jak Rodiczewicz, ks. Trubeckoj, Pietrunkiewicz i inni.

Wpływ ludzi postępowych, o wybitnej kulturze, blisko związanych z domem Żukowskich, o fantastycznie przywiązanych do rodzinnej Wileńszczyzny - kształtował już w zaraniu drogi przyszłej działalności obu siostr - Elżbiety i Antoniny.

Śledzi baczne oko żandarma carskiego. W takt muzyki odbywają się ćwiczenia gimnastyczne, na boiskach wre zapal sportowy. Nie ma chyba nic niebezpiecznego w „Zakładzie Wychowania Fizycznego dla kobiet”, prowadzonym przez siostry Żukowskie. Była to pierwsza placówka, utworzona przez siostry, po skończeniu przez Elżbietę studiów wy-



ższych w Petersburgu i osiedleniu się po powrocie z wycieczki do Włoch i Francji na stałe już w Wilnie w roku 1887.

Zakład w rzeczywistości jest pretekstem, pod osłoną którego odbywają się kursy społeczne, religii, polskiego i historii dla przyszłych czołowych działaczek terenu. Do dziś dnia żywym jest wspomnienie tych zajęć wychowawczo-fizycznych.

Jednakże psi węch żandarmerii wyczuwa coś niedobrego. Jest to okres generał-gubernatorstwa Orzewskiego, okres słynnego procesu „Krożańskiego”, okres wzbierającego wrzenia w przededniu gorących dni 1905 roku. Zakład zostaje zlikwidowany.

Właśnie w tych latach rewolucyjnych zakładają z kolei siostry Żukowskie bibliotekę-czytelnię, która staje się na długie lata najpoważniejszą placówką kulturalno-oświatową Wilna, centrum ruchu umysłowego, społecznego i politycznego. Umiejętny dobór i selekcja książek, wysoki poziom kierowniczek, przystosowanie lektury dla potrzeb każdej z warstw ludności, konsultacje i porady w czytelni udzielane - tworzą szeroki zastęp czytelników. Młodzież szkolna i rzemieślnicy cieszą się szczególną opieką i popieraniem niestrudzonych działaczek. Ceny były niskie, a kogo nie stać było na abonament, korzystał z biblioteki bezpłatnie i takich było bodaj najwięcej...

Wielu wybitnych działaczy dzisiejszej Polski uczestniczyło w tych licznych konspiracyjnych zebraniach, jakie odbywały się w lokalu pań Żukowskich. Nie było tu przywilejów politycznych, żadnych partyjnych wyjątków - wszystko to uczciwe i prawe, co oddane w pełni sprawie polskiej - znajdowało pełną opiekę i poparcie. Tu w bibliotece był właśnie teren spotkań działaczy różnych kierunków, uzgodnienia wspólnej taktyki w stosunku do wroga-gnębiciela. Co dnia nieomal bywał tam prof. Tadeusz Wróblewski, słynny obrońca polityczny, człowiek wysokiej kultury i umysłu. Przychodzą postępowi działacze litewscy i białoruscy, jak np. słynny poeta białoruski Franciszek Biuhaszewicz i wielu, wielu innych.

Nie tylko poparcie i mądra rada płynęły z czytelni - wiele spraw ważnych znajdowało tu także i pomoc materialną...

W ciągłej walce z cenzurą, w baczności przed okiem carskiego szpicla - trwała praca sióstr Żukowskich, pełna oddania i poświęcenia aż do dni wielkiej burzy dziejowej lat 1914-1918. I wtedy, gdy wykuwały się



losy nowopowstającej Polski, gdy huczały armaty i kule świszczwały praca biblioteki nie ustaje. Nie tyle praca na zewnątrz, oficjalna - ile ta, w tajnej konspiracji ukryta...

Zatopotał skrzydłami biały orzeł, głosząc radosną wieść niepodległości, zew trudu i pracy w wolnej ojczyźnie. Stały na zew też siostry Żukowskie...

Biblioteka rozrastała się stale osiągając liczbę ponad 30.000 tomów, obejmujących działy: naukowy, młodzieżowy, dziecięcy i beletrystyczny (z wyjątkiem tzw. żółtej lektury). I nadal jak w czasach niewoli, skupia się tu życie kulturalne miasta. Niestrudzonym przyjacielem i doradcą, jak i dawniej, jest do dnia swej śmierci ś.p. Tadeusz Wróblewski i inni. Wszystko to jest przepojone tą atmosferą wysokiej kultury, pogody i obowiązku, jaki cechuje obie siostry.

Przy wybitnym ich współudziale założone zostaje Towarzystwo Naukowe im. Tomasza Zana w Wilnie, które rozwija szeroką pracę oświatową na terenie miasta. Towarzystwu temu w roku 1935 ofiarowują siostry Żukowskie swą bogatą, niezmiernie cenną bibliotekę.

Najwyższą radością jest im, gdy mogą widzieć w prastarych, jasnych salach czytelni Towarzystwa setki głów młodzieży, ludzi starszych i naukowców, schylone nad książką. Tu rośnie i dojrzewa nowe pokolenie Polski, stąd biorą początek cenne studia naukowe.

Aż przychodzi 1 wrzesień roku 1939 - nowy kataklizm dziejowy. W obawie przed zdekompletowaniem i zniszczeniem biblioteki ratuje Elżbieta Żukowska sytuację (bo Antonina jest obłożnie chora) zabierając część książek z Towarzystwa im. Tomasza Zana i zakładając czytelnię prywatną.

I znów w okresie okupacji staje się lokal biblioteki centrum życia kulturalnego miasta. Także i centrum życia politycznego, zakłada się tam punkt przekazywania meldunków i rozkazów. W księgach biblioteki przechowuje się akta wywiadu, nielegalną literaturę itp. Odbywają się tajne spotkania najwybitniejszych działaczy politycznych i czołowych dowódców partyzanckich...

A nad tym wszystkim niezmordowanie czuwa Elżbieta Żukowska. Zawsze pogodna, pełna poświęcenia, bezkompromisowości w sprawach zasadniczych, o ogromnym wpływie moralnym na otoczenie, posiada dziwny talent niwelowania sprzeczności, wyszukiwania tego, co łączy,

a nie co rozdziela, pełna jednocześnie optymizmu - podziwiana, szanowana i kochana przez wszystkich.

Ciężkie przeżycia związane ze śmiercią ukochanej siostry nie odrywają jej jednak od pełnionych funkcji - duchowej przewodniczki i pośredniczki. Wysoka kultura, głębia myśli sprawiają, że i nadal w wolnych chwilach pracuje umysłowo, dużo czytając, szczególnie ukochanego przez się Norwida, przelewając na papier swe spostrzeżenia. Próbuje nawet poezji... Jak wielka jest energia tej 80-letniej staruszki, dowodem jest prawie codzienne chodzenie na ranną mszę św. do pobliskiego kościoła. Jest bowiem głęboko religijna. Ale religijność ta bez bigoterii, raczej upadająca w jakiś mistycyzm, połączony jednocześnie z realizmem...

\* \* \*

Niosą się echem po Polsce coraz to nowe wieści żałobne. Żegnamy coraz to innych przedstawicieli minionego pokolenia, które stworzyło podstawy pod odrodzony byt państwa polskiego. Optakujemy ich z żalem i czcią. Żalem, bo chociaż śmierć to nieodmienna dola człowieka, ale nieodmienny jest dla niej też ból i żal. Ze czcią bo pracą i trudem życia swojego czci naszej i szacunku są godni.

Zgasała w ostatnich dniach listopada 1945 roku Elżbieta Żukowska. Śmierć dosięgła ją w Łuczanych na ziemi mazurskiej, w dni parę po przybyciu transportem z Wilna. Cichy, bez rozgłosu był jej pogrzeb. Nie danem jej było skutkiem przemian wielkich dziejowych spocząć w rodzinnych grobach na cmentarzu w Kalwarii pod Wilnem. Brakło tych wszystkich i spośród starszych i młodzieży, spośród inteligencji, rzesz robotniczych i wsi, którzy tak wiele jej zawdzięczają. Losy rzuciły ich w różne krańce kraju. O zgonie przyjaciółki, nauczycielki i przewodniczki mało kto wiedział.

\* \* \*

Niechaj ta mała wiązanka wspomnień będzie skromnych kwiatów biało-błękitnych bukietem na grób jej w imieniu tych wielu, co tyle jej zawdzięczają, których nauczycielką, powiernicą była i przyjaciółką - rzuconym. Bukietem kwiatów biało-błękitnych, jak czysta w jej bieli i błękitcie była jej dusza. I drugim bukietem na grób złożonym pamięć jej

*uczujmy; Bukietem kwiatów biało-czerwonych. Barwami odrodzonej Polski, dla której swe życie w pełni poświęcić umiała...*

*Żyła bowiem nie dla siebie, a tylko Bogu i Polsce a ludziom...*

Ilekcję spojrzę na wiszący u mnie portret Adama Asnyka, który narysowała ciocia Elżbieta - muszę myśleć o tej niepospolitej kobiecie, z którą związały mnie nie tylko węzły krwi ale i sympatia prawdziwa. Patrząc na ten doskonały portret myślę sobie, jak wszechstronnie uzdolnieni byli ludzie, z którymi zetknęłam się w czasie mych studiów w Wilnie. Zarówno „Antoni” jak i „Eliasz” były starannie wykształcone, władały językami obcymi, były muzykalne, malowały, rysowały i rzeźbiły nawet, pisały teksty polityczne, społeczne, kulturalne, układały wiersze. A wszystko to czyniły niejako na marginesie swej ciężkiej, wieloletniej pracy społecznej, politycznej i kulturalnej, której poświęciły całe swoje życie. Ich to przykład wpłynął na to, że dążyłam do jak najszybszego zdobycia zawodu i rozpoczęcia samodzielnej pracy. Że wkrótce już rozpoczęłam wieloletnią walkę o równouprawnienie kobiet, że poczułam się jeszcze mocniej związana z Wilnem i ziemią wileńską.

## USB

Rok akademicki 1920/21 rozpoczął się na Uniwersytecie Wileńskim jesienią, tak jakby się nic nie stało. A przecież w ciągu wakacji stało się bardzo wiele. Kraj, który dopiero co odzyskał niepodległość, znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Bolszewicy przerwali linie frontu i ruszyli na zachód. Profesorowie i studenci, którzy rozpoczęli studia w roku dziewiętnastym, przywdziali mundury, złapali za karabiny i ruszyli na front. Nie wszyscy wrócili.

Przez Wilno dwukrotnie przetoczyła się zawierucha wojenna. Miasto było jednak stosunkowo mało zniszczone. W jesieni korytarze uniwersyteckie zaroily się nowymi studentami. Na Wydział Prawa kandydatów nie było zbyt wielu, nie trzeba było zdawać wstępnego egzaminu na studia. Tak więc po powrocie z frontu, późną jesienią i ja znalazłam się wśród młodych ludzi biegających po korytarzach. Chodziłam nadal w mundurze. Nie miałam nic innego do włożenia. Dwór w Balinopolu był rograbiony. Nasze rzeczy albo zginęły w Strzyżowie, albo zdały się podczas wieloletniej tułaczki po Ukrainie.

Rozpoczęły się wykłady, na które pilnie uczęszczałam. Na pierwszym roku miałam Prawo Rzymskie, Teorie Prawa, Historię Prawa Polskiego i Historię Prawa na Zachodzie Europy. Z różnych stron świata zjeżdżali się wykładowcy tworząc wkrótce interesujące środowisko naukowe.

Prawo Rzymskie wykladał nam profesor Franciszek Bossowski. Pochodził z Galicji. Skończył studia na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przed wojną pracował w prokuraturze galicyjskiej, a po odzyskaniu niepodległości w Generalnej Prokuraturii R.P. Był to poważny uczyony, noszący godnie dużą, siwiejącą brodę. Był członkiem Polskiej Akademii Umie-

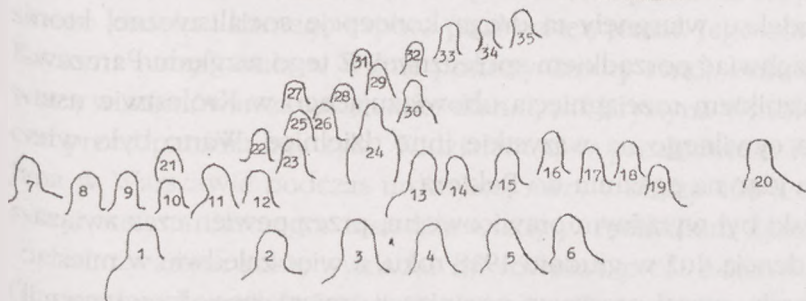


jętności w Krakowie oraz różnych zachodnio-europejskich towarzystw naukowych. Mówił i pisał w wielu językach. Idąc doń na egzamin mieliśmy zrozumiałą treść.

Diametralnie różny od poprzedniego był profesor Jerzy Lande, który wykładał teorię prawa. Uśmiechnięty, młody. Przyjechał do nas z Warszawy, gdzie był adwokatem a następnie pracował w Ministerstwie Sprawiedliwości. Profesor Lande karierę naukową rozpoczął właściwie u nas. Wykładając na USB habilitował się równocześnie w Krakowie, a po moim odejściu z Uniwersytetu dostał tam katedrę. Opowiadał mi mąż mojej kuzynki Jadzi Stella-Sawickiej z Krakowa, Stanisław Leszczycki, że Lande wraz ze wszystkimi profesorami UJ aresztowany był przez Niemców i spędził czas dłuższy w obozie w Sachsenhausen, gdzie dzielnie się zachowywał.

Historię Ustroju Polski wraz z Historią Polskiego i Litewskiego Prawa wykładał profesor Stefan Ehrenkreuz, ostatni rektor Uniwersytetu Stefana Batorego, który wywieziony przez Rosjan zginął gdzieś na wschodzie. Ehrenkreuz był działaczem PPS, przyszedł do nas z Warszawy, gdzie wykładał na Uniwersytecie. Związał się na stałą z Wilnem i USB. Był, o ile mnie pamięć nie myli, senatorem RP.

Nie bardzo mogę sobie przypomnieć, kto wykładał nam Historię Prawa na Zachodzie Europy. Wydaje się, że był nim specjalista od prawa międzynarodowego - profesor Wacław Komarnicki (brat znanego Tytusa). Komarnicki rok 20. spędził na froncie, potem prowadził rokowania rozejmowe w Baranowiczach. Pod koniec moich studiów, podczas wykładów prawa międzynarodowego, gdy został już dziekanem Wydziału Prawa, okazywał pewne zainteresowanie moją osobą. Jemu to właśnie zawdzięczam, że posiadam dyplom uniwersytecki z numerem „1”, co jest nie tylko wyróżnieniem ale i miłą pamiątką. Rocznik, który rozpoczął studia w roku dziewiętnastym, uzyskał absolutorium, ale nie otrzymał magisterium. Egzaminu magisterskie jako pierwszy zdawał nasz rocznik. Ale z tym numerem pierwszym było jednak chyba jakieś „szacher-macher”. Na moim roku studiowała Gienia Dziedziulówna i ona powinna otrzymać ten dyplom. Wszakże litera „D” poprzedza w alfabecie literę „F”. Inna rzecz, że Gienia wcześniej wyszła za mąż za kolegę ze studiów - Wiścickiego. Może było to na tyle wcześnie, że otrzymała dyplom na literę „W”.



- 78 / a / -

1. Prof. Franciszek Bossowski /prawo rzymskie/; 2. Prof. Stefan Ehrenkruz /hist. ustroju Polski/;
3. Prof. Alfons Parczewski /prawo kościelne/; rektor USB; 4. Prof. Władysław Zawadzki /ekon. polit./;
5. Prof. Wacław Komarnicki /Hist. ustr. na zachodzie Europy, praw. międzyn. /, dziekan Wydz. Prawa;
6. Prof. Kazimierz Petruszewicz /post. cywil./; 7. Mgr Zbigniew Turcki; 8. Mgr Franciszek Wismont;
9. Prof. Bronisław Wróblewski /prawo karne/; 10. Mgr por. Galinat; 11. Prof. Zygmunt Jundziłł /prawo cywilne/;
12. mgr .....; 13. Prof. Jerzy Lande /teoria prawa/; 14. Prof. Mieczysław Gutkowski /skarbność i statystyka/;
15. Prof. Adam Chełmoński /prawo handlowe i gospodarcze/; 16. mgr Kusztyjko;
17. Mgr Teodor Nagórski /Bombawerk/; 18. Mgr .....; 19. Mgr Giedrojc; 20. Mgr Andrzejkowicz;
21. Mgr Zukowski; 22. Mgr Jan Wiścicki; 23. Mgr Eugenia Dziedziulówna-Wiścicka /Szabalska/;
24. Helena Falewiczówka; 25. Mgr Swirska; 26. Mgr Wacław Cywiński; 27. Mgr .....;
28. Mgr .....; 29. Mgr Stanisława Zawadzka-Iszoryna; 30. Mgr Olimpia Mokrzecka; 31. Mgr Pikiel;
32. Mgr .....; 33. Mgr .....; 34. Mgr .....

Profesorowie i absolwenci Wydziału Prawa i Nauk Społecznych USB po rozdaniu dyplomów (1924).

Profesor Komarnicki gorąco namawiał mnie do szukania kariery w dyplomacji. Dzięki niemu więc w dużej mierze zdecydowałam się na studia w École des Sciences Politiques oraz na praktykę w Konsulacie Polskim w Paryżu. Przyjrzałam się wtedy pracy w dyplomacji i uznałam, że ten typ kariery niezbyt mi odpowiada.

Egzaminy z pierwszego roku zdałam pewnie choć tylko „dostatecznie” i pojechałam na wakacje do rodziców do Balinpoła.

Na drugim roku studiów zaczęły się wykłady z Prawa Kościelnego (wraz z prawem małżeńskim), które prowadził rektor Uniwersytetu Stefana Batorego - Alfons Parczewski. Była to bardzo wybitna postać. Wszyscy moi profesorowie byli młodzi. Żaden nie przekroczył pięćdziesiątki! Nawet siwobrody profesor Bossowski był młody. Jedynym starcem był sędziwy rektor Uniwersytetu. Gdy zdawałam u niego, miał już dobrze po siedemdziesiątce. Miał już za sobą bogatą karierę naukową, społeczną, polityczną. Była to postać iście renesansowa! Był adwokatem, historykiem, wybitnym działaczem społecznym i politycznym. Znany był ze swej działalności antypruskiej, interesował się kulturą łączyką i Mazurami, był uczestnikiem strajku szkolnego w 1905 roku oraz posłem do Dumy, w której zasłynął jako obrońca unitów.

Parczewski był wielkim admiratorem Kodeksu Napoleona i ustawodawstwa cywilnego Królestwa. Był też przeciwnikiem stworzenia nowej jednolitej kodyfikacji cywilnej na ziemiach polskich. Obawiał się, że do nowego kodeksu wtargnęły tą drogą koncepcje socjalistyczne, które zdolne są zachwiać porządkiem społecznym. Z tego względu Parczewski był rzecznikiem rozciągnięcia obowiązującego w Królestwie ustawodawstwa cywilnego na wszystkie inne dzielnice. Warto było wiedzieć o tym idąc na egzamin do Rektora.

Parczewski był wyraźnym prawicowcem, przez pewien czas związany był z endecją. Już w grudniu 1918 roku, a więc zaledwie w miesiąc po 11 listopada, został prezesem organizacji zmierzającej do restauracji uniwersytetu wileńskiego (Warszawski Komitet Odrodzenia Wszechnicy Polskiej w Wilnie). Po przyjeździe do Wilna zorganizował Wydział Prawa i został pierwszym jego dziekanem. W następnych wyborach Parczewski oddał dziekanat Komarnickiemu, a sam został kolejnym (po Ludwiku Kolankowskim) rektorem Uniwersytetu Stefana Batorego. Podpisy takich właśnie władz Uniwersytetu figurują na moim dyplomie.



W przeciwieństwie do prawicowca Parczewskiego następny profesor naszego Wydziału był wyraźnym lewicowcem: Władysław Zawadzki wykładał Ekonomię Polityczną. Był on działaczem PPS i ożeniony z Haliną Niedziałkowską, siostrą jednego z przywódców PPS, redaktora naczelnego „Robotnika”, Mieczysława Niedziałkowskiego. Już po ukończeniu przeze mnie Uniwersytetu Zawadzki był kolejnym dziekanem Wydziału Prawa, był też dyrektorem wileńskiej Izby Przemysłowo-Handlowej. W latach trzydziestych Zawadzki przeniósł się do Warszawy, gdzie został vice-ministrem a następnie ministrem skarbu. Będąc w opozycji do Piłsudskiego odszedł jednak z pracy w rządzie i wykładał na SGH.

Wykłady prawa politycznego wraz z nauką o Państwie i z Prawem Narodów prowadził opisany już przeze mnie Waclaw Komarnicki.

Na III-cim roku Skarbowości i prawa skarbowego wykładał nam ekonomista, profesor Mieczysław Gutkowski. Był on wielkim patriotą Wilna i Wileńszczyzny. Pamiętam, że pisał jakieś prace na temat gospodarki finansowej Wilna.

Kolejnym mym profesorem był bardzo przystojny przyjaciel ciotek Żukowskich, urodzony podobnie jak i one w Twerze, profesor prawa karnego Bronisław Wróblewski. Kolegował on z Komarnickim w Dorpacie, w czasie wojny działał w Komitecie Lednickiego w Moskwie, a po powrocie do kraju objął katedrę na USB. Opiniował on projekt polskiego kodeksu karnego i sporo pisał na ten temat. Jego żona, malarka Krystyna namalowała w Wilnie portrety Zmory i mój. Portrety te nadal wiszą w moim warszawskim mieszkaniu, zaś Krystyna Wróblewska jeszcze przed paroma laty żyła. Widziałam ją w prezbiterium Katedry Św. Jana w Warszawie podczas uroczystej mszy z okazji 400-lecia Uniwersytetu Stefana Batorego: zasiadała wtedy w Prezydium Zjazdu.

Na czwartym roku wykładał mi również prof. Adam Chełmoński (prawo handlowe), który w czasie wojny był przedstawicielem Rady Regencyjnej w Petersburgu i w Moskwie, a po wojnie objął katedrę w Wilnie, będąc jednocześnie posłem na Sejm i zasiadając w Komisji Kodyfikacyjnej. Już po opuszczeniu przeze mnie murów USB przeniósł się do Warszawy i został tam wiceministrem czy ministrem sprawiedliwości.

Pod koniec moich studiów zjawili się na wydziale cywiliści. Przede



wszystkim mój adorator, wybitnie przystojny mężczyzna - Zygmunt Jundziłł, wywodzący się ze znanej od lat związanej z Wilnem rodziny, który był cenionym wileńskim adwokatem. Jeszcze w czasie wojny światowej Jundziłł działał wielce na terenie Wilna prowadząc komitety obywatelskie. Po odzyskaniu niepodległości, jeszcze jako stosunkowo młody człowiek (nie miał chyba 40-ki) został profesorem prawa cywilnego. Słuchałam jego wykładów z zainteresowaniem, a gdy po zamążpójściu rozpoczęłam aplikanturę - utrzymywaliśmy kontakty towarzyskie - Jundziłł był dziekanem Rady Adwokackiej, a potem członkiem komisji kodyfikacyjnej. Był przystojny. Jego fotografia w czeczotkowych ramkach wisi w moich pokojach. Jundziłł był zbieraczem i kochał się w pięknych przedmiotach. Poza wspólnym zawodem mieliśmy więc wspólne zainteresowania. Mam w swych zbiorach jakieś przedmioty, które pochodzą od niego.

Zupełnym przeciwieństwem pięknego o arystokratycznych rysach, prawnicowego senatora był wykładowca procedury cywilnej, sędzia a potem adwokat Kazimierz Petruszewicz. Znany ze swych lewicowych przekonań wychowywał się w Rosji. Był członkiem rosyjskiej partii socjaldemokratycznej. Kilkakrotnie więziony i skazany na zesłanie był w czasie rewolucji członkiem rady polskiej ziemi mińskiej i ziem białoruskich. W 1919 roku został Prezesem Sądu Okręgowego w Mińsku Litewskim. Potem był Prezesem Sądu Apelacyjnego Ziem Wschodnich. W Wilnie był parokrotnie dziekanem Rady Adwokackiej, prezesem Sądu Dyscyplinarnego Izby Adwokackiej, wiceprezesem Tow. Prawników im. Daniłowicza. Barwna to była postać ten sędzia Petruszewicz! Kochał ziemię mińską! Pisał o zwyczajach włościańskich ziemi nowogródzkiej i Polesia!

Jego syn Kazio Petruszewicz był członkiem wileńskiej „lewicy akademickiej”, jednym z oskarżonych w procesie „Po prostu”, w którym broniłam. Przechodził on najdziwniejsze koleje losu. „Służył w marynarce”, podczas wojny brał udział w partyzantce radzieckiej. Po II wojnie był chyba Ministrem Żeglugi, potem wrócił do nauki, był w Polskiej Akademii Nauk i na uniwersytecie. Był straszliwym stalinowcem, wielbicielem Łysenki i Miczurina. W latach siedemdziesiątych zmarł jako rewizjonista pokłócony z władzami.

Takie było moje ciało profesorskie. Takie jak i całe Wilno. Gorące,



Adwokat wileński Zygmunt Jundziłł, profesor prawa cywilnego na USB, senator Rzeczypospolitej, zbieracz, kuzyn autorki (przez Balińskich)

pełne najróżnorodniejszych poglądów, wymieszane, niejednorodne, burzliwe. Obok konserwatystów i endeków pojawiali się socjaliści o bardzo nieraz radykalnych poglądach. Byli senatorzy, byli posłowie, byli członkowie rządu, byli ludzie którzy, przeszli potem w latach trzydziestych przez Berezę Kartuską.

Tacy byli profesorowie! A jacy koledzy? Było na naszym roku wielu interesujących studentów i studentek. Zawiązywały się, w miarę upływu lat studiów, przyjaźnie. Niektóre z nich, długotrwałe, wytrzymały próbę czasu i dotrwały do późnej starości. Jedną z takich starych przyjaciółni jest moja zażyłość z Gienią Dziedziulówną. Siadywałam z nią często na jednej ławce począwszy od pierwszego roku studiów. Zaprzyjaźniłyśmy się. Gienia, z którą uczyłam się do egzaminów, bywała często u nas na wsi w Balinpolu. Wyszła za mąż za naszego wspólnego kolegę z roku - Janka Wiścickiego. Została potem adwokatem w Wilnie. Kolegowałyśmy w czasie studiów, podczas aplikantury i już po egzaminie adwokackim, gdy równolegle prowadziłyśmy kancelarie adwokackie. Spotykałyśmy się na co dzień w sądzie i w życiu towarzyskim.

Podczas wojny Gienia ze swym drugim mężem Szabelskim wyjechała do Francji. Mieszka tam po dziś dzień. Przez wiele lat prowadziła w Paryżu sprawy odszkodowań wojennych, emerytur z tego tytułu itp. Brała aktywny udział zarówno w życiu zawodowym, jak i społecznym. Jest członkiem zarządu zasłużonego dla kultury polskiej Towarzystwa Historyczno-Literackiego, które ma swą siedzibę na wyspie św. Ludwika w starym gmachu Biblioteki Polskiej. Pracuje w różnych organizacjach dobroczynnych. Jest szalenie aktywna. Podczas mojej ostatniej wizyty u Janków w Prestbury Eugenia Szabelska wraz z inną moją koleżanką z wileńskiej palestry, adwokatką Haliną Sukiennicką brały udział w jakimś zjeździe prawniczek i odwiedziły mnie w Anglii. Spędziłyśmy bardzo miłe dni wspominając sobie dawne lata.

Przyjaźniłam się również ze Zbyszkiem Turskim, kolegą z roku, a następnie wybitnym wileńskim a potem warszawskim adwokatem. Zbyszek już nie żyje, ale do dziś dnia odwiedza mnie jego żona, autorka wziętych książek o robotach ręcznych (hafty, robienie na drutach itp.).

Na naszym roku studiowały Stasia Zawadzka, późniejsza Iszoryna, Olimpia Mokrzecka i Świrska (imienia nie mogę sobie przypomnieć),



które poznały mi po studiach z oczu. Z kolegów pamiętam Janka Wiścickiego, późniejszego męża Gieni Dziedziulówny, Teodora Nagórskiego, Franciszka Wismonta, Wacka Cywińskiego. Poza tym jeszcze Giedrojcia, Żukowskiego. Pikiela, Łukaszewicza, Kuszlejkę (imion nie pamiętam).

Na wykłady do nas przychodził major Kuczyński, którego zwaliśmy „parasolarzem”. Wszyscy oni są uwidocznieni na zdjęciu, które mam w swoim archiwum. Nie wszystkich kolegów jestem dziś w stanie rozpoznać, posłałam więc to zdjęcie z prośbą o uzupełnienie brakujących nazwisk do Gieni Szabelskiej. Ale również bez skutku. No cóż, od tamtej chwili minęło już sześćdziesiąt lat!

Jest tam jeszcze na fotografii por. Galinat, który przychodził na wykłady z wojska. Wielki to był legionista i zrobił potem karierę w wojsku. Gdzieś wyczytałam, że jako oficer sztabowy był on w czasie wojny łącznikiem między internowanym w Rumunii marszałkiem Rydzem Śmigłym a władzami Polski Podziemnej.

Tylko niektóre wspomnienia z czasów studenckich przebiły się przez te bujne 60 lat mojego życia. Pamiętam, jak w miarę studiów ożywiało się życie studenckie na Uniwersytecie. Do Wilna zaczęli się zjeżdżać Polacy z różnych stron świata. Podczas przerwy w wykładach rozmawialiśmy na szerokich korytarzach ze studentami innych wykładów i innych lat studiów. Na uniwerku zaczęły tworzyć się korporacje akademickie, powstał Bratniak. Humory nam dopisywały: bawiliśmy się i studiowaliśmy, jedno nie przeszkadzało drugiemu. Wojna była wygrana, ale jakie będą losy tego kraju, w którym żyliśmy? Miał o tym zadecydować Sejm, czy inkorporacja czy unia? Ojciec mój akurat w tym okresie był wicemarszałkiem sejmu, ale potem zrzekł się tego odpowiedzialnego stanowiska, miał bowiem duże obowiązki w Balinpolu.

Wreszcie Sejm Litwy Środkowej uchwalił inkorporację. Na tym historycznym dokumencie znalazł się podpis mego ojca. Radość całego polskiego społeczeństwa była ogromna. Odbiło się to na całym naszym życiu codziennym. Urządzane były liczne bale, zabawy. Odbywały się one w kasynie lub w pałacu biskupim, gdzie mieszkał wojewoda. Bywały i mniejsze zabawy organizowane w salach wojskowych, pułkowych. Zabawy i bale organizowała również Ciocina, która była Prezeską Białego Krzyża. Chodziłyśmy na nie z Jadzią Świechowską, moją



przyjaciółką z Lublina, którą ściągnęłam na studia do Wilna. Mieszkałyśmy razem. Najpierw u Cioci Niny, potem w nieumeblowanym pokoju w tym samym domu. Z czasem dostaliśmy większe mieszkanie, w którym zatrzymywał się również przyjeżdżający do Wilna mój Ojciec. Ojciec był marszałkiem sejmiku Wileńsko-Trockiego, Prezesem Rady Nadzorczej Ubezpieczeń Społecznych i administratorem majątku Hrabiego Pusłowskiego. W czasach, gdy jeszcze nie było wiadomo, jak potoczą się losy Wileńszczyzny, debatowano również na Zachodzie na temat granic Polski. Wszyscy z zainteresowaniem śledziliśmy dyskusję na temat przyszłości Śląska. Po którejś kolejnej filoniemieckiej wypowiedzi przedstawiciela Wielkiej Brytanii, gdy stanął on na stanowisku, że cały Śląsk powinien przypaść Niemcom, wszędzie w Polsce zawrzało. Wraz z kolegami: Terką Staniewiczem i Kazimierzem Rudzkiem (którego nazywaliśmy Bubkiem) postanowiliśmy przyłączyć się do protestów. Wymyśliłam rodzaj naszej demonstracji. Uszyłam niemiecką flagę i przyszyłam do niej napis na wstążce: „Uścisk bratni z powodu Górnego Śląska”. W nocy zakradliśmy się pod Hotel „George’a”, w którym mieszkał Anglik mr Mokett, będący z ramienia Anglii obserwatorem tego, co dzieje się w stosunkach polsko-litewskich. Na balkonie pokoju Moketta wisiała flaga brytyjska. Postanowiliśmy powiesić obok flagę niemiecką z powyższym napisem. Wzięliśmy drabinę służącą do konserwacji urządzeń elektrycznych w hotelu. Ja wdrapałam się na nią i umocowałam flagę na balkonie, Terka podtrzymywał drabinę a Kazik pilnował na rogu, czy ktoś nie idzie. Nazajutrz rano pobiegłam pod hotel zobaczyć co się dzieje z flagą. Nie było jej. Byliśmy bardzo ciekawi, co się stało i przez Kazika Rudzkiego, który jako adiutant gen. Żeligowskiego miał możliwość wyjaśnienia co stało się w Hotelu „George’a”, dowiedzieliśmy się prawdy. Okazało się, że w nocy obok hotelu przechodził patrol, który zauważył flagę niemiecką obok brytyjskiej i zdjął ją. Ale o incydencie wiedzano zarówno w wojsku jak i misji angielskiej. Pan Mokett został bowiem również o wszystkim poinformowany. Nieco później, gdy byłam na dworcu, gdzie czekałam na swój pociąg do Balinpoła, odjeżdżał generał Żeligowski. Stojąc jeszcze na breku zobaczył mnie na peronie i pogroził mi palcem. I on również wiedział o zawieszeniu tej flagi. Ale groził dobrotliwie. Zapewne solidaryzował się z nami. Również kpt. Wąsowicz z II Oddziału, który sprawę „badał”, nie potępiał naszej trójki.



Dużą rozrywkę stanowił dla nas przyjazd studentów z innych uniwersytetów np. z Holandii. Studenci ci byli bardzo sympatyczni i ciekawi. Fotografowaliśmy się razem mając pozamieniane czapki. Na czele naszej grupy klęczał Janek Baliński. Przywiózł on tę wycieczkę pracując w międzynarodowych organizacjach studenckich. Janek był moim powinowatym (jego Ciotka Maria Balińska z Jaszun wyszła za mąż za mojego wuja - Jana Michała Falewicza) i spotykała się z nim potem często w czasie moich studiów w Paryżu.

Zorganizowaliśmy Holendrom jazdę sankami do Werek. Oni, którzy nigdy śniegu nie widzieli, byli tą wycieczką zachwyceni. Jazda wycieczkami na saniami była dla nich nieznaną atrakcją. Po wizycie w Wilnie studenci wyjechali do Zakopanego, gdzie już zupełnie stracili głowę. Jak opowiadał mi Janek, byli naszym krajem zachwyceni.

A więc trochę się bawiłam, trochę pracowałam, ale przede wszystkim uczyłam się. Chodziłam na seminaria z ekonomii, gdzie napisałam dużą pracę seminaryjną na temat teorii wartości Johna Stuarta Milla (odtąd nazywano mnie na studiach Millową), na innym seminarium pisałam pracę na temat sądów przysięgłych oraz na jeszcze innym o ustawie uwłaszczeniowej.

Nie chcąc brać od rodziców pieniędzy na moje drobne wydatki, znalazłam zatrudnienie opracowując tzw. rejestry ubezpieczeniowe. Robiłam to w domu. Dostawałam do obliczenia całe gminy. Musiałam sumować kwoty ubezpieczeniowe poszczególnych budynków i każdy taki rejestr musiał się bilansować. Nabrałam wprawdy w sumowaniu i dostawałam za to miesięcznie znaczne kwoty pieniędzy. Było to (już po reformie Grabskiego) około 200-300 złotych miesięcznie, a więc stanowiło jak na moje studenckie potrzeby bardzo dużo.

Mimo tego, że łączyłam naukę z pracą i zabawą, mimo że coraz więcej miejsca zajmował w moim życiu Zmora, na uniwersytecie szło mi coraz lepiej i na czwartym roku po raz pierwszy zaliczyłam egzaminy z wynikiem „dobrym”, a nie jak w latach poprzednich - „dostatecznym”.

Zajęcia na uniwersytecie stawały się zresztą w miarę upływu lat coraz ciekawsze, a w szczególności interesowało mnie - jak przystało na przyszłego karnistę - prawo karne.

Kończąc studia nie podjęłam jeszcze ostatecznej decyzji co robić



dalej. Komarnicki namawiał mnie na obranie kariery dyplomatycznej, ja coraz częściej myślałam o zamążpójściu. O tym, że zostałam adwokatem, zdecydowały dopiero dwa moje wyjazdy zagraniczne: roczne studia na École des Sciences Politiques w Paryżu oraz, już po zamążpójściu, wyjazd do Zmory na placówkę w Moskwie. Obydwa wyjazdy rozczarowały mnie do dyplomacji. Po powrocie do Wilna rozpoczęłam aplikację sądową a potem aplikację adwokacką. Moim patronem był Walenty Parczewski, znakomity cywilista wileński, specjalizujący się w wielkich sprawach majątkowych. Okres powojenny, liczne sprawy o rewindykację dóbr skonfiskowanych przez zaborców dawały Parczewskiemu ogromne pole do prowadzenia intratnych procesów. Zamiłowania cywilistyczne mojego patrona sprzyjały również moim zainteresowaniom karnistycznym. Mec. Parczewski nie interesował się sprawami karnymi i powierzał mnie ich prowadzenie. Również przysyłał mi klientów wówczas, gdy po egzaminie adwokackim otworzyłam już własną kancelarię. Parczewski powierzał mi również sprawy cywilne. To dzięki niemu poznałam Michała Tyszkiewicza z Ornian, późniejszego męża Ordonki, z którymi zaprzyjaźniłam się. W poprzednim tomie moich pamiętników pisałam o tym. Teraz pokazuję tylko swoje zdjęcie w wysłanej po mnie na dworzec wspaniałej limuzynie Tyszkiewicza.

W szybkim czasie wyrobiłam sobie dużą klientelę. Zaczęłam również pracować jako kurator w Patronacie Więziennym. Moje doświadczenia posłużyły mi za kanwę do przygotowania cyklu audycji radiowych: „Z wędrówki po wileńskich więzieniach”. Pracowałam także w Towarzystwie Kobiet z Wyższym Wykształceniem i moje zainteresowania problemem równouprawnienia kobiet znalazły swój wyraz w cyklu audycji radiowych i artykułach w wileńskim „Słowie”. Chciałabym do moich skreślonych w tym i poprzednim tomie wspomnień dołączyć omówienie niektórych ze spraw karnych prowadzonych przeze mnie w Wilnie, oraz pogadanek radiowych i artykułów prasowych. Może właśnie te autentyczne teksty, które udało mi się ocalić z Wilna, powiedzą więcej o moich wileńskich problemach niż potrafią to wyrazić wspomnienia pisane po pół wieku.



## II, WĘDRÓWKI PO WILEŃSKICH WIĘZIENIACH

### Zabójczynie

Cela widzeń w więzieniu. Cicho otwierają się drzwi i dozorczyńni wypuszcza aresztantkę. Przede mną stoi kobiecina w wielkiej chustce na plecach, zgarbiona, ze zmęczonym wzrokiem i przelęknioną twarzą. Nigdy niczego od Patronatu nie żąda, niczego się nie domaga, przyszła – gdyż ją sama zawołałam. Pochodzi z powiatu brasławskiego. Siada przede mną na stołku i mówi: – Już siedem lat, proszę pani, siedzę w więzieniu, a mam bezterminowe. Dwa razy pisałam o ulaskawienie do Prezydenta, żeby chociaż „srok” dał. Sąd nie przepuszcza”. Twarz kobiety jest woskowa, usta blade i bezzębne, chociaż nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat.

– A było to, proszę pani, tak: ojciec miał nas dwie córki, jedną wydał za mąż bogato i wyposażył, a ja żyłam przy ojcu. Jak wyszłam za mąż – ojciec wziął mego męża w prymuki. Ziemi było dwanaście dziesięcin, a oprócz tego mąż mój miał w tej samej wsi sześć dziesięcin gruntu. Dopóki matka żyła wszystko było dobrze. Po śmierci matki, ojciec ożenił się z drugą, zaczęły się niesnaski. Ojciec sprzedał połowę tej ziemi, a sześć dziesięcin pierwszej dał mnie, później jednak pod namową macochy, chciał naszą ziemię odebrać. Pewnej nocy zamordowano ojca i macochę. Mąż mój, ja, syn najstarszy 17-letni i sąsiad z sąsiedniej wsi – zostaliśmy aresztowani. Po wyroku męża mego i syna wywieziono do więzienia na Świętym Krzyżu. Sąsiad – współnik umarł na Łukiszkach. Mąż miał bezterminowe, syn – 15 lat ciężkiego więzienia. Wkrótce umarł

mój mąż, a w rok później syn. Zostałam sama.

Widzę jak po zmęczonej i zbolalej twarzy kobiety spływają łzy.

– Ja o tym zabójstwie nie wiedziałam, może mąż był w zмовie z sąsiadem, ale ja w tej sprawie niewinna. Mam proszę pani jeszcze troje dzieci w domu, podczas mej niewoli one dorosły, córki za mąż powychodziły, a syn jest kaleka, garbus. Czasami dzieci przyjeżdżają do mnie na widzenie, dodają otuchy i ja – proszę pani – nie mówię im o tym, że mam bezterminowe, bo one by płakały; one myślą, że ja wyjdę. A może Dobry Bóg da mi przed śmiercią jeszcze chwilę szczęścia, żebym mogła choć trochę z dziećmi przeżyć.

Więźniarka pracuje cały dzień na warsztatach, za pieniądze ze swej pracy kupiła sobie dwie ciepłe chustki. Jest bardzo smutna.

– Bo wszak tutaj słoneczne promienie, co tam radują i co tam podnoszą, smucą i gnębią – bo tutaj więzienie – tak pisał z więzienia Kasprowicz.

Wchodzi druga: starsza kobieta, blada, uśmiechnięta o jasno-niebieskich oczach. Twarz miła, oczy szczere.

Mając 9 lat – proszę pani – wyszłam z domu i służyłam po gospodarzach. W domu była bieda, ojciec miał tylko 4 dziesięciny ziemi, a dzieci było nas ośmioro. Trudno było żyć, trzeba było iść służyć. Pałam świnie, później pracowałam na roli. Jak pamiętam dziecinne czasy, ojciec był zły dla matki, często ją bił, był gwałtowny i zawzięty, tygodniami z matką nie rozmawiał – ja też taki mam charakter, tylko nie jestem zawzięta: przepraszam od razu. Gospodarstwo też u ojca źle szło, stryjowie mieli też tyle samo ziemi co my, żyli jakoś, a u nas nigdy nic nie było, ojciec zamieniał, handlował i nigdy nawet konia nie mieliśmy. Przed wojną wyjechałam do Rosji, służyłam w Petersburgu. Wróciłam do domu w 1919 r. Matka moja już nie żyła, zamieszkałam z ojcem, siostrą, jej dziećmi i jej mężem przy ojcu.

Z ojcem nie raz kłóciłyśmy się, ale zawsze ojca przepraszalam. Kiedyś na jesieni, jak nam kartofle obrodziły, a u brata był neurodzaj, żona chora i pięcioro dzieci w chacie, dałam bratu w sekrecie przed ojcem dwa worki kartofli. Ojciec strasznie się na mnie gniewał, wypędził z domu i wówczas trzy tygodnie byłam u brata, ale potem pogodziliśmy się z ojcem i wróciłam do domu.

– A jakże to było, żeście zabili ojca? – pytam.

– Ciężko mnie o tym mówić, pani – kobieta płacze – gdy tylko pomyślę o tym strasznym przestępstwie – serce mnie boli. Co mnie doprowadziło do tego nie wiem, dotychczas nie mogę zrozumieć. Szliśmy z ojcem do Brasławia, 7 kilometrów, ojciec miał na mnie odpisać ziemię – sad. Zimno było, wiatr, śnieg padał, choć było to w pierwszych dniach marca. Widocznie diabeł mnie pomagał; od słowa do słowa pokłóciliśmy się z ojcem *prosto z niczego*. Ojciec uderzył mnie pałką po rękę, wówczas chwyciłam kamień i uderzyłam ojca w głowę, ojciec upadł, nie wiem, co się ze mną stało, nie pamiętam, w jakimś szale, kamieniami podobno cztery razy ojca jeszcze uderzyłam. Było to już koło wsi, przez którą przechodziliśmy. Z okna wszystko widział jeden człowiek, który nadbiegł, mnie zabrali do mojej stryjecznej siostry, która mieszkała w tej wsi, tam się opamiętałam i płakałam, siostra też płakała – ojca powieźli do szpitala w Brasławiu, gdzie zmarł. Mnie zabrano do policji. Było to dziewięć lat temu, a za tę ciężką zbrodnię, którą popełniłam, pokutować muszę do śmierci. Jak był sąd – nic nie pamiętam; nie wiem, co adwokat mówił, byłam nieprzytomna z rozpaczy. Dostałam dwanaście lat ciężkiego więzienia.

Więźniarka wycierała mokre oczy fartuchem. – Już niedługo może wyjdę, proszę pani, z pieniędzy zarobionych w warsztacie kupiłam sobie nowe buciki, bieliznę na wyjście, wyjdę na pewno. Przechowuję na swobodne. Wszystkie długoterminowe jak wyjdą chorują, odzwyczaiły się od świeżego powietrza, my ciągle w więzieniu, rozdelikaczone. I chciałabym pozostać w Wilnie, przy jakim zakonie jako posługaczka, żebym tylko mogła chodzić do kościoła. Pracowałam nad charakterem i nie jestem już teraz taka jak kiedyś”.

Człapiąc wielkimi pantoflami, z grubego sukna, wraca do swej celi, coraz to się obraca i powtarza: „dziękuję pani”.

Wchodzi trzecia: duża, trzydziestoletnia kobieta o ładnej matowej cerze, z podłużnymi niebiesko-szarymi oczami w pięknej oprawie. Ma duże zmysłowe usta. Patrząc na nią wierzyć się nie chce, że to również zabójczyni.

Wraz ze swym współnikiem skazana została w 1921 roku przez Sąd Doraźny na karę śmierci.

Jego rozstrzelano, jej generał Żeligowski zmienił karę śmierci na bezterminowe ciężkie więzienie. Siedzi już osiem lat.

Twarz ma rumianą, nie widać wycieńczenia po długim siedzeniu w murach więziennych, w celi pozbawionej słońca i świeżego powietrza.

Widocznie organizm mocny, przetrzymał dużo i przetrzyma jeszcze.

– A jakże to było z tą sprawą? – pytam.

– Ja jego poznałam w lutym, zakochał się we mnie i chciał się ze mną żenić. Ja byłam mężatką, ale mój mąż zginął na wojnie bez wieści. Mieszkałam w Wilnie z matką i bratem, pracowałam na fabryce i prałam bieliznę. On mieszkał na tej samej ulicy o kilka domów. Matka jego była stróżową, był też w domu chłopak – siostrzeniec.

Moja matka namawiała mnie, żęby wyjść za niego, ale on wcale mi się nie podobał; mały był, niezgrabny. Namawiał mnie, żeby z nim żyć bez ślubu – a ja go niecierpiałam...

Tak też zeznaje więźniarka – ale akta mówią inaczej. W kwietniu zginęła stróżowa i jej siostrzeniec, w mieszkaniu znaleziono zakrwawioną maglownicę, którą sam syn zaniósł do policji. Po pewnym czasie z dołu kloacznego wyciągnięto dwa trupy: stróżowej i siostrzeńca. Stróżowa miała rozbitą głowę, chłopiec gardło poderżnięte. Przyglądał się trupom obojętnie. W śledztwie zeznawał, że został namówiony przez nią.

– Ja matkę zabiłem maglownicą, a jak ona zarżnęła chłopca – nie wiem – mówił władzom.

W mieszkaniu więźniarki znaleziono jej bieliznę świeżo wypraną, buciki i spódnicę zamordowanej.

Więźniarka ta pisała trzy razy o ułaskawienie do prezydenta. Są „nie przepuszcza”. Wysoka kobieta o ślicznych oczach wyciera łzy i idzie znów do swego warsztatu tkackiego, aby przy nim tkać. Bezterminowo...

Pomimo tego pojęcia „bez terminu”, „na zawsze”, „bez sroku”, żadna więźniarka nie wierzy w te słowa, każda oczekuje jakiegoś nieprzewidzianego, cudownego zdarzenia, które przywróci jej wolność. Wierzy i myśli o wyjściu lada dzień prawie każda. Całkowicie zdeternowanych jest mało.

– Proszę pani, ja mam wszystko przygotowane na wyjście – ubranie, buciki, chusteczkę na głowę i pieniędzy trochę mam zarobionych...

– A kiedyż się zwalnacie?

– Ja mam bezterminowe...



Do celi, w której się znajduję, wchodzi kobieta: mała, tęga, jeszcze młoda, wdzięcznie uśmiechnięta, siada przede mną, zaciska swój więzienny kaftan, ręce zaciera – bo zimno, w uśmiechu pokazuje swe zdrowe zęby i opowiada:

– Byłam córką dość zamożnego gospodarza z wołyńskiego. Ojciec miał siedem dziesięcin gruntu. Mając 21 lat wyszłam za mąż za gospodarza, który miał sześć dziesięcin. W posagu dostałam 300 rubli i dwie krowy. Mąż będąc jeszcze kawalerem wyjechał do Ameryki, zarobione pieniądze wkładał w gospodarstwo, do pracy na roli nie był jednak uzdolniony, nie umiał kosić, zawsze zostawał z tyłu i opowiadali ludzie, że czasem ze złości rękami trawę rwał. Trzeba było zawsze wynajmować kogoś do pracy. Po dwóch latach życia z mężem miałam dwoje dzieci, pieniądze rozeszły się. Mąż mówi: – wiesz co, pojedę znowu do Ameryki, no i pojechał. Nie było go lat kilka. Ja zostałam sama. Pracował u nas parobek, który również został, jak powrócił mąż z dolarami. Podobno mąż dużo dolarów przywiózł. Kilka tysięcy. Ja niegramotna to i nigdy nie liczyłam, ale dużo ich było. Mąż mój zakopywał te pieniądze zawsze w chacie, brzegami chaty, a jak trzeba było rozmienić trochę na wydatki, któreś z nas stawało na czatach i wykopywaliśmy... Ludzie wiedzieli, że mamy dolary i mówili, że mamy ich cały worek. Tak przeżyliśmy w dostatku 3 i pół roku... Wreszcie znaleziono męża zamordowanego na drodze. Parobek i ja skazani zostaliśmy na bezterminowe.

– A jakże Wam tu jest w więzieniu? pytam.

– Proszę Pani, sumienia bym nie miała, żebym powiedziała, że źle. Tego nikt nie powie. Jakbym się dzisiaj zwolniła, ciężkie byłoby moje życie na swobodzie. Każdy patrzyłby na zbrodniarkę. Dzieci mam troje, jedno w ochronie, jedno u bratanka męża, jedno u matki. Ciężko tylko siedzieć jak nie ma terminu i tak tęskno do dzieci.

Kobieta płacze... ale uśmiecha się przez łzy:

– Co tu mam się tłumaczyć. Mnie przecież nikt nie uwierzy. Ale w więzieniu są dla mnie dobrzy, pracuję ciężko przy warsztatach tkackich cały dzień.

Wstaje ze stołka, łzy ociera końcem włóczkowej chustki na głowie, całuje mnie w rękę:

– Jak człowiek się przed panią trochę wygada, pożali, to odrazu lżej

się robi na duszy i spokojniejszy i weselszy.

Znika za drzwiami.

Wchodzi następna: średniego wzrostu, trzydzieści osiem lat, mieszkanka Bezdan. Jest czyściutko ubrana, spod więziennej kapoty widać śnieżnej białości bluzkę, chusta perkalowa, ciasno zawiązana na głowie i końcami związana na czole. Włosy ma rude, splecione w warkocze, upięte na głowie. Już siedem lat pracuje w pralni więziennej, skazana na 10 lat bez zaliczenia śledztwa.

– Proszę Pani, żeby można było prosić Pana Prezydenta o zaliczenie aresztu śledczego – 3 lata – niech to Pani robi dla mnie.

Mąż jej był kolejarem, pomocnikiem maszynisty. Umarł w lutym 1920 roku. Dziecko ma już 14 lat, jest w internacie na Antokolu.

– Jak się tu dostała?

– W lecie 1920 roku przyszła do niej jakaś nauczycielka z walizeczką i poprosiła o nocleg. Podobno miała biżuterię przy sobie, czy pieniądze. Nauczycielka w domu więźniarki została zamordowana. Moją rozmówczynię sądził sąd litewski. Przesiedziała około dwóch lat w więzieniu i została uniewinniona. Sąd polski osądził ją powtórnie i uznał winną zabójstwa. Więźniarka jest grzeczna, układna, w więzieniu cieszy się dobrą opinią.

I tak przychodzą, jedna po drugiej, typy najróżniejsze: sympatyczne, odpychające, chore, zwyrodniałe; wszystkie głęboko nieszczęśliwe. Jest ich w tej chwili na Łukiszkach 110 kobiet, niektóre z małymi dziećmi.

Między długoterminowymi są dwie kobiety – przypadek zrządził, że siedzą w jednej celi, nigdy, już od sześciu lat z sobą nie rozmawiają. Mężowie zostali skazani przez Sąd Dorażny na kary śmierci i rozstrzelani; żony – jedna na bezterminowo, a druga na dwanaście lat. Wszyscy w tej samej sprawie.

Mieszkali w Wilnie razem, razem powracali z Syberii w 1922 roku. Mężowie pochodzili z Wileńszczyzny, a pożenili się z Sybiraczkami. W 1923 roku udusili kobietę, która u nich nocowała. Ograbili ją i podzielili się rzeczami denatki. Sprawcami byli mężczyźni. Podżegaczkami – rzekomo kobiety. Do winy jednak nie przyznają się. Obydwie piszą w więzieniu pamiętniki. Obydwie robią miłe wrażenie: jedna śniada, z silnymi ciemnymi rumieńcami, brunetka, jeszcze młoda, przystojna, dopiero w więzieniu nauczyła się mówić po polsku. Jest córką rybaka z

Syberii. Rodzeństwa było dużo, w domu żyć było ciężko, służyła więc jako służąca posługaczka na parostatkach, które kursowały po Jeniseju. Na jednym ze statków bufet trzymał jej późniejszy mąż. Poznali się, pokochali i pobrali. On był Polakiem a kawałek ziemi miał w oszmiańskim powiecie, toteż, gdy tylko było można powrócić z Syberii, zaproponował żonie aby wyjechała z nim do Polski. Ona nie chciała – przywiązana była do rodziny, do rodziców starsuszków, którym materialnie pomagała. Zresztą nic ją z Polską nie łączyło, wychowała się na Syberii i – jak twierdzi – panicznie bała się tego wyjazdu. Ale uległa mężowi i z dwójgiem dzieci ruszyli w drogę. Jechali razem z drugą rodziną sybiraków. Podróż była uciążliwa, w większych miastach pociąg zatrzymywał się tygodniami i miesiącami. Pieniądze, które wzięli na drogę, rozchodziły się szybko. Nikt z nich nie pracował. Sytuacja stawała się ciężka. Na tych długich postojach starali się zdobyć jakoś grosza. Kobiety chodziły po targowiskach, trochę handlowały; sprzedawały swoje rzeczy, ubrania, biżuterię.

Wreszcie stanęli: jedni w Oszmianie, drudzy u rodziny w Wilnie. Na ziemię w oszmiańskim nie było żadnych dokumentów, posłane były przez konsulat, ale nie nadchodziły. W wynajętym mieszkaniu w Oszmianie, bez pracy, bezskutecznie oczekiwali papierów. Wreszcie mąż pojechał do Wilna. Tam spotkał się ze znajomymi z podróży i zaczął obmyślać sposoby zarobkowania. Żonę zabrał z Oszmiany i na spółkę ze znajomą rodziną z Syberii założyli małą garbarnię. Tu dokonana została zbrodnia – epilogiem której jest więzienie – obydwie siedzą – jak na ironię w jednej celi i nie rozmawiają ze sobą. Dlaczego? Nie wiem! Każda z nich twierdzi, że tylko mężowie są winni – one zaś o niczym nie wiedziały. Jak było naprawdę? Dzieci tych kobiet są w ochronie. Dwa razy do roku przychodzą na widzenie do matek.

Rozłąka z dziećmi to największa męka kobiet w więzieniu. Rozmawiają o nich w celach. Jedna z nich pokazywała mi starannie przepisany wiersz Krasińskiego.

*Wśród ścian więzienia, tak osierocieję  
Że będzie szukał – w pająku brata!  
I o dźwięk mowy ludzkiej będzie błagał kata!  
Aż miną chwile, dni, miesiące, lata.*

*Żadne do niego nie zajrzą nadzieje!  
I duch twój w końcu na nic znikczemnieje.*

*Życiem wiek cały przemarnił w więzieniu  
W nędzy, w chorobie, w ciemności, w milczeniu!  
Pamięci ziomeków coraz niewidomszy.  
Tym co mnie znali, coraz nieznajomszy.  
Od kochających – coraz mniej kochany,  
Aż teraz pewno całkiem zapomniany.*

Na zimnych murach więzienia na Łukiszkach wypisane są naiwne wierszyki. Któż to składał te częstochowskie rymy? Okazało się, że to członek bandy rabunkowej, piękna, młoda dziewczyna o męskiej budowie i męskiej sile. Kochliwa i poetyczna. W bandzie zbójów napadła na przejeżdżającą lasem furmankę, na której jechało trzech Żydów. Pierwsza wyskoczyła z krzaków i zatrzymała konie. Żydzi zostali wymordowani. Dziewczyna dostała kilkanaście lat ciężkiego więzienia. Teraz wydlubuje na ścianach poematy...

Staralam się pokazać słuchaczom nieco typów kobiet, jakie spotyka się w więzieniach. Z jakimi ja spotykałam się w więzieniu na Łukiszkach w ciągu mej pracy w Patronacie Więziennym. To one są najczęściej ukarane, ale po zetknięciu i w rozmowie z nimi, uważam, że są najsympatyczniejsze ze wszystkich grup więźniarek. Dozorczynie potwierdzają moje spostrzeżenia. „Zabójczynie” są spokojne, zrównoważone, posłuszne, grzeczne. Na ogół przez wszystkich w więzieniu lubiane. Czas wypełniała pracą, do której garną się chętnie. Wśród „zabójczyń”, jakie spotkałam na Łukiszkach, było niewątpliwie dużo przestępczyń przypadkowych, których nieszczęsny los skierował do popełnienia występного czynu. Większość spraw była wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności.

Niektóre teorie kary: jak teoria ochrony społecznej twierdzi, że kara pozbawienia wolności nie powinna mieć zastosowania w stosunku do ludzi, którzy nie są dla społeczeństwa niebezpieczni. Dotyczy to kategorii, o której mowa. Jeżeli już raz zabiły – to nie ma obawy, aby mogły zabić po raz drugi. I słusznie pisał w „De Profundis” Oskar Wilde. „*Wartość działań penitencjarnych wyraża się w tym, jakie ona daje rezultaty, czym się staje człowiek, który przeszedł przez więzienie.*”



Broniłam kiedyś młodą kobietę, która zabiła męża degenerata, człowieka, który był dla niej potworem, poniżał ją i obrażał każdym swym uczynkiem, maltretował i gnębił. Kobieta skazana została na pół roku więzienia, chociaż w rozmowie ze mną spodziewała się 10 lat; była całkowicie zrezygnowana. Ale czy i nawet te pół roku dało jakieś rezultaty?\*

---

\* Pogadanka wygłoszona w rozgłośni wileńskiej Polskiego Radia w dniu 9 lutego 1929 roku.

## ZŁODZIEJKI

Przed dwoma tygodniami mówiłam państwu o zabójczyniach, odsiadujących karę ciężkiego bezterminowego lub długoterminowego więzienia, dzisiaj opowiem państwu o ludziach zupełnie innych – jeżeli chodzi o psychologię przestępcy – o złodziejkach i to recydywistkach.

Tamte były to kobiety o więcej lub mniej ujmującym wyglądzie, dostatnie na swobodzie i bez względu na majątkowe tło biedą dokonywanych zabójstw, względnie zamożne – tu zaś mamy do czynienia przeważnie z nędzą i – tym złym doradcą.

Siedzi przede mną blada kobieta w ciąży i prosi o jakiegokolwiek szmaty na pieluszki i kołderkę dla dziecka, za tydzień odchodzi do szpitala i nie ma nic, aby noworodka zawinąć. Pytam, gdzieście mieszkali na swobodzie? Proszę pani, jakem wyszła niedawno z więzienia, nie miałam się gdzie podziać, mój mąż jeździ na asenizacyjnych beczkach, on to nocuje, gdzie popadnie – mnie nikt nie chciał wziąć do siebie, nie miałam miejsca na ziemi, tożem nocowała po ustępach, pracy nie miałam, połakomiłam się na kawałek słoniny i teraz siedzę; Pani! mąż pijak czy on o mnie patrzy, wiadomo, co zarobi – przepije.

– Ile macie wyroków? pytam drugą.

– Odsiedziałam już sześć, a teraz siedzę jako śledcza, też za kradzież. Mąż mój był policjantem – przodownikiem, ponieważ bardzo pił, więc go zredukowali. Pochodził z Poznania, więc wyjechał z Wilna, a mnie zostawił samą z dzieckiem. Wyjeżdżając zabrał co lepsze moje rzeczy i nie było go dwa lata. Ja cierpiałam nędzę. Zaczęłam kraść, posadzili mnie do więzienia.

– A coście kradli?

– Ubrania, proszę pani – to była pierwsza sprawa, drugi wyrok to był niesłuszny, ja tej kradzieży wtedy nie popełniłam, nawet byłam chora, za trzecim razem to zegarek. Po pewnym czasie przyjechał mój mąż. Zabrał mnie do Poznania, ale na dworcu w Poznaniu wziął moją walizkę i gdzieś zginął. Wracałam do Wilna. Zatrzymałam się w Mławie, gdzie na rynku popełniłam dwie kradzieże, odsiedziałam tam i wróciłam do Wilna. Tutaj poznałam się z jednym człowiekiem, który był potem moim kochankiem. Był on zawodowym złodziejem. Siedział przy mnie dwa razy. Bałam się jego, bo to proszę pani ze złodziejem zejść się łatwo, ale rozejść trudno, potem przywykłam do niego. On był dla mnie dobry, opiekował się mną jak chorowałam. Ze sobą na złodziejstwa nigdy mnie nie zabierał, ale potem zachorował, miał suchoty i musiałam kraść dla nas dwojga.

– A gdzieście jego poznali?

– W więzieniu proszę pani. Spotkałam go na schodach, gdzie tylko mogliśmy staraliśmy się ze sobą rozmawiać. Gdy się zwalniałam, dałam mu swoje nazwisko. Po wyjściu on mnie odnalazł przez biuro adresowe. Służyłam wtedy jako kucharka w restauracji, to mnie z posady zerwał i tak już żyliśmy razem. Umarł on niedawno, pochowałam go.

– A co będziecie robić, jak was zwolnią?

– Pójdę służyć, już mam dosyć więzienia, jestem dobrą kucharką, może pracę znajdę.

– I okradnicie swoich państwa? pytam ją.

– Boże broń, pani – swoich państwa nigdy bym nie okradła.

– A dlaczego?

– Zawsze państwo, u których służyłam, byli dla mnie dobrzy, można przecież iść okraść nieznanomych. Dziecko moje jest u matki, która trochę się mnie wyrzekła, ale niezupełnie. Brat i siostra to wcale mnie znać nie chcą...

Więźniarka jest chuda, robi wrażenie istoty chorej, twarz ma ospowatą, oczy jasno szare, jak gdyby zaciągnięte mgłą.

Wchodzi do celi trzecia kobieta, jest ciężarna. Niedawno była sprawa, dostała rok. Ma czworo dzieci: dwoje patronat umieścił w ochronie, dwoje zostało w domu na opiece siostry więźniarki. Ojciec robotnik pracuje na bocznicy kolejowej, pije strasznie, na dzieci nic nie daje.

– Jak byłam w domu to chociaż jego trochę pilnowałam, jak pienią-

dze otrzymywał, starałam się cokolwiek dostać od niego dla dzieci, a teraz... Siostra jak przychodzi na widzenie, to opowiada, że zawsze pijany przychodzi, uwali się i śpi, albo i wcale nie przychodzi po kilka dni. W domu bieda, dzieci obdarte i głodne, a ja co im dam? Chodziłam po robotach dorywczych, prałam bieliznę, myłam okna, podłogi, ale to mało. To mój trzeci wyrok. Naprawdę, proszę pani, to ja robiłam z nędzy, jakże można poradzić sobie w uczciwy sposób. Ja nie taka, jak inne tutaj złodziejki. One od młodości kradną, a ja tylko teraz, jak moim dzieciom głód w oczy zajrzał. I czy można, pani, tak ciężko karać biednych ludzi, jak Sąd mnie ukarał? Przecież czasy trudne, pracy nie ma – a jak ja siedzę w więzieniu moim dzieciom jeszcze gorzej, mąż rozpija się do reszty.

Przypominam sobie jak będąc w Paryżu, gdzie opiekowałam się Polkami siedzącymi w więzieniu St. Lazare, spotkałam tam rosyjską księżnę, więźniarkę śledczą oskarżoną o kradzież 100 franków. Historia niezmiernie tragiczna. Zrujnowana kompletnie w Rosji przez przewrót bolszewicki ucieka z mężem do Berlina. Mąż ma pracę, ale źle płatną. Po pewnym czasie mąż udaje się do Paryża, przypuszczając, że tam uda mu się lepiej urządzić. Zostawia żonę w Berlinie i obiecuje jej, że z chwilą zainstalowania się w Paryżu zabierze ją do siebie. Przechodzi pół roku, mąż nie pisuje. Urusowa jedzie na własną rękę do Paryża, aby odszukać męża, dowiedzieć się co się z nim dzieje. Dowiaduje się, że mąż żyje, ale mieszka z jakąś młodą osobą i o żonie myśleć nawet nie chce. Biedna opuszczona kobieta, nie mając z czego żyć, zostaje kelnerką w trzeciorzędnej restauracyjce, dostaje tam obiad i ma napiwki. Za pokój musi płacić 100 franków miesięcznie. Rozchorowuje się i obiady i napiwki urywają się, za mieszkanie nie ma z czego zapłacić, nędza zupełna. Bierze więc 100 franków leżące na stole u lokatora tegoż hoteliku i dostaje się do więzienia. Jest to osoba w starszym wieku, dystygowana w ruchach, siwa, o rasowej twarzy, na której maluje się gehenna przeżyć. Czy została skazana i co się z nią następnie stało – nie wiem.

Drugi wypadek również znany mi z życia emigracji rosyjskiej. Po wielkich przeżyciach dostają się do Paryża, oficer gwardii rosyjskiej, pochodzący z arystokracji z żoną i dzieckiem. Wyprzedają wszystko, co mają, wreszcie on dostaje pracę szofera. Matka chce kupić dziecku



sweterek. Z małą sumką pieniędzy udaje się do wielkiego magazynu, wybiera sweterki, lecz za mało ma by zapłacić. Wówczas chowa sweterek pod płaszcz i wychodzi ze sklepu. Na ulicy, pod wpływem zastanowienia uświadamia sobie czyn którego się dopuściła, widzi, że jest złodziejką. Zrozpaczona wpada z powrotem do magazynu, aby sweterek podrzucić i tu łapie ją *gardien*. Siedzi w więzieniu, oczekując sądu.

Ale wróćmy do „Łukiszek”! Są tam kobiety, które życie całe spędziły na kradzieżach. Na przykład kobieta 68-letnia o bystrych małych oczkach, które nie mogą spojrzeć prosto w oczy, rozstrzelone, biegające, to recydywistka, ale która ma szczęście. Była tylko dwa razy karana, pierwszy raz za kradzież cebuli z wozu, drugi raz za słoninę. Przed Sądem stanie, skurczy swą nędzną postać i będzie żebrała litości u sędziego: że jest biedna, że to z głodu, że nie pozwalają żebrać i dostaje karę łagodną. A właściwie to spryciarz, który dopiero w więzieniu wśród swego towarzystwa opowiada o swych sukcesach, za które ręka sprawiedliwości jeszcze po nią nie sięgnęła. Bezcelnie mi twierdzi:

– Panienko, jak Boga kocham, lepiej w więzieniu jak na swobodzie, tu i mięsa dadzą i zupa tłusta, wszyscy dobrze się obchodzą – naprawdę tu lepiej!!!

A gdy wie, że ją nikt z dozorczyń nie słyszy, opowiada w celi, jak się panom pugilaresy wyciąga z kieszeni, jak za srebrny port-cigar można kupić pluszowe palto.

Staje przede mną dziewczyna 29-letnia, oczy czerwone, twarz nalaną, poznaję ją – niedawno się zwalniała, po zapomogę przyszła do patronatu, pamiętam, że podejrzenie mi wyglądała, kazałam zbliżyć się, alkohol aż buchał. Z trzaskiem wyjechała za drzwi. Teraz znowu jest w więzieniu.

Od 1921 roku trudni się kradzieżami, przedtem zajmowała się ponczoszarstwem. Ma już pięć wyroków.

Ostatnia sprawa, proszę pani, to byłam niewinna, przyznałam się i dostałam 2 lata, a gdybym się nie przyznała, Sąd dałby 5 lat na pewno, ja naumyślnie tak powiedziałam. Do poprzednich kradzieży przyznaje się.

Za bolszewików było ciężko, przyjechała z Kowna jedna moja znajoma i namówiła mnie, żeby zajmować się kradzieżami. I tak już poszło. A przy tym, proszę pani, nie mam żadnych papierów, nie mam

metryki, a jak iść do pracy, to każdego najpierw pyta o dokumenty.

Kiedy siedziałam w więzieniu z wyroku, którym dostałam półtora roku, zachorowałam i dano mi urlop z więzienia na chorobę, kiedy termin urlopu miał się ku końcowi, uciekłam z Wilna do Oszmiany i tam służyłam w zajezdnym domu, pracowałam uczciwie, bo w ogóle nigdybym nie okradała swoich chlebobawców.

Tak była na nielegalnym urlopie 10 miesięcy aż ją odnaleziono i odstawiono do więzienia, do odbycia reszty kary. Sprawdzano co przez ten czas robiła, okazało się, że nie kradła, więc jej nie ukarano dodatkowo.

– Ja w więzieniu nigdy nie kradnę.

– Czy wy zajmujecie się też i w więzieniu kradzieżami? – pytam

– Pewno – proszę pani ciągle coś któreś z więźniarek ginie, to pończochy, to podwiązki, to chustki – przejdzie przez dziesięć rąk tak, że i nikt nie złapie i nie odnajdzie i wychodzi na swobodę...

Dowiaduję się od dozorczydni, że moją adeptkę do stanu małżeńskiego niedawno wiązano i zakładano na nią kaftan bezpieczeństwa.

– Co to było – pytam, toż to wstyd awanturować się w więzieniu.

– Proszę pani – poszłam ja z tą, z którą siedzę, do prokuratora, ja w sprawie metryki, a ona przed prokuratorem skarży się, żeby ją przenieść, bo ja ją biję. Taka mnie złość wzięła, niech prosto powie, że chce do innej celi się przenieść, a nie to żeby niesłusznie mnie obgadywać i plotki robić. Aż pięści zacisnęłam.

I byłaby chętnie swą towarzyszkę wobec prokuratora nabiła, toteż gdy dopadła ją w korytarzu i chwyciła za włosy – pierze leciało – skończyło się na kaftanie bezpieczeństwa.

Jest na Łukiszkach dziewczynka w wieku 15-16 lat. Jest to nieszczęśliwe stworzenie, złodziejka recydywistka, posiada zdaje się 16 wyroków. Kradnie drobiazgi, to łyżkę, to dwa złote, co się zdarzy, pochodzi z Nowogródzkiego, mówi po białorusku. Służyła przedtem u gospodarzy na wsi, u Żydów w Nowogrodku, bo w domu macocha zła, ojciec zawsze zabierał sobie cały zarobek dziewczynki, która stale pracując nie miała dla siebie nic. Zaczęła kraść. Siedziała już w Warszawie w więzieniu na Długiej, gdzie jej było bardzo dobrze, teraz jest na Łukiszkach i ponieważ nie ma w Polsce ani jednego zakładu wychowawczego poprawczego dla dziewcząt, więc siedzi razem z dorosłymi kobietami,

poza tym jest ciężko chora wenerycznie, zniewolona przez jakiegoś osobnika i zarażona, lecz się w szpitalu więziennym.

Druga młoda dziewczyna to sierota zupełna. Ojciec i matka zmarli osiem lat temu, miała daleką rodzinę na Litwie, dokąd się udała, ale ją wysiedlono. Nie miała ani domu, ani ubrania, ani stałej pracy. Chodziła na wieś kopać kartofle, albo na dniówkę najmowała się do innych robót.

– Za pierwszą sprawę to ja siedziałam niewinnie – nie popełniłam tej kradzieży. Potem to już kradłam i zawsze myślałam, że mnie nie złapią, że uniknę odpowiedzialności. Jestem chora na nerki, po zwolnieniu się nie wiem co będę robiła – nie mam nikogo do kogo mogłabym się udać o pomoc.

I tak przesuwiają się przeróżne typy złodziejek. Twarze nędzne, blade, zbiedzone życiem i wycieńczone powietrzem więziennych murów, niepoprawne – uważające więzienie za azylum życiowe, do którego się przychodzi na połóg, lub wypoczynek. I pytamy się, dlaczego nie pracują, dlaczego nie wezmą się do jakiegoś uczciwego zajęcia, dlaczego z wiedzą o tym, że czeka ich coraz sroższa kara – kradną i dostają się do więzienia?

A któż im da pracę, kto będzie miał zaufanie do kobiety, posiadającej piętno więzienia, kto weźmie na służącą, kto powierzy klucze recydywistce? Kto wierząc w poprawę poda rękę kobiecie staczającej się w otchłań nędzy? Często pierwszy wyrok decyduje o dalszym losie człowieka, on go eliminuje ze społeczeństwa, puszcza w środowisko fachowo-występne i nieraz przypadkowy przestępca wychodzi z więzienia „kuty na cztery nogi”. Ma już znajomości, zna sposoby – nie żegnają go w więzieniu, ale mówią mu: do widzenia.

I w tym błędnym kole uwija się plejada przestępców: kradnie – bo nie ma pracy i zaufania w społeczeństwie, a nie ma zaufania i pracy – bo kradnie.\*

---

\* Pogadanka wygłoszona w rozgłośni wileńskiego Polskiego Radia w dniu 23 lutego 1929 roku).

## O PODPALACZKACH I PATRONACIE WIĘZIENNYM

W trzeciej swej pogadance o świecie przestępczym chciałabym opowiedzieć państwu o jeszcze niektórych typach przestępców – o podpalaczkach. Dziwna rzecz, że winni zbrodni podpalania są w większości wypadków ludźmi nie bardzo normalnymi lub też symulantami. Są to osoby przeważnie o bardzo niskim poziomie rozwoju intelektualnego, lub też wprost niepoczytalne ze względu na chorobę psychiczną, lub też są to ludzie, którzy w toku całego przebiegu ich sprawy sądowej, jak również później, gdy odsiadują karę w więzieniu, symulują chorobę psychiczną i robią to tak umiejętnie, z taką siłą woli i konsekwencją w utrzymaniu linii, którą obrali, że zwykłemu śmiertelnikowi, jak również otoczeniu jego, pod którego dozorem więzień się znajduje (a więc na przykład administracji zakładów karnych) – wydaje się, że jest to człowiek niepoczytalny, chory – tymczasem jest to bardzo zręczny symulant, na którym pozna się jedynie lekarz psychiatra.

W więzieniu na Łukiszkach znajduje się kilka osób, które Sąd uznał za niepoczytalne, sprawy ich zostały umorzona i zapadła decyzja Sądu, aby więźnia czy więźniarkę umieścić w zakładzie dla umysłowo chorych. Tymczasem sytuacja jest rozpaczliwa. Na Wileńszczyźnie, w ogóle na kresach nie ma ani jednego zakładu dla chorych umysłowo, a przepełnione małe oddziały przy szpitalach ogólnych chorych nie przyjmują. Ludzie chorzy psychicznie, którzy popełnili przestępstwo, muszą siedzieć w więzieniu w warunkach zupełnie nieodpowiednich, gdzie nie może być mowy o leczeniu ludzi tak nieszczęśliwych. Wypuścić ich niepodobna, gdyż są rzeczywiście ludźmi niebezpiecznymi. O jednej



takiej kobiecie powiem słów kilka. Jest to młoda kobieta, lat 25, podpalaczka, o sprawie swej nic nie mówi i nie można się od niej dowiedzieć, co podpaliła, w jakich okolicznościach. W więzieniu jest niespokojna, ciągle myśli widocznie o swobodzie, o wydostaniu się z więzienia, toteż gdy znajdzie się na podwórzu więziennym, pędzi do bramy i z chęcią by ją rozbiła, byle uzyskać swobodę. W więzieniu, w obrębie jego murów okalających same budynki, jest bardzo dużo małych dziedzińców, oddzielonych jedne od drugich wielkimi bramami. I gdy dozorczyńni prowadząc ją dochodzi do bramy i otwiera ją, radość biednej więźniarki jest nadzwyczajna, pędzi przez nią ku wolności... i znajduje się w drugim podwórku, skąd prowadzą dalsze bramy do dalszych podwórek. Nieraz zwraca się do dozorczyńni i mówi:

– Słucja, ty masz klucze, otworzymy tak bramę, żeby nikt nie widział i pójdziemy z tobą na swobodę – (więźniarka wszystkim mówi „ty”). Pójdziemy do lasu, nazbieramy grzybów, nakopieśmy kartofli i będziemy żyć, ja ciebie tu w więzieniu zostawię

Lub też prosi kogo spotka o zapalki, które są jej największym marzeniem.

– Dajcie mnie jedną zapalkę, jak nikt nie będzie widział wieczorem, podpale wszystkie sienniki – zobaczysz – zwraca się do dozorczyńni, jak będzie ładnie.

Więźniarka nie chce zmieniać bielizny, ani się kąpać, a robi to dopiero wtedy, gdy dozorczyńni jej obieca, że również i ona zmieni koszulę i też się wykąpie. Kobieta tę trzeba umieścić w specjalnym zakładzie, tymczasem nie ma gdzie, wypuścić jej nie można, gdyż ze swym zamiłowaniem do zapalek i ognia będzie podpalała wszystko, co będzie mogła.

Jest też druga kobieta, podpalaczka, chora umysłowo: dogadać się z nią prawie zupełnie nie można; nie wie, jak się nazywa wieś, z której pochodzi, jak długo siedzi w więzieniu. Powtarza bezładnie, że jest niewinna, że do chaty wrócić nie może, bo wioska ją do chaty nie puści. To znów – że boi się być sama w chacie, bo ją będą bili, mrugają oczami, które tępo ślizgają się po ścianach celi, cerę ma ziemistą, jest spokojna, zdeterminowana, posłuszna. Siedzi w celi wraz z innymi kobietami. To są typy chore, dla których nie miejsce w więzieniu...

Ale są i inne. Wchodzi do celi kobieta już starsza, Białorusinka, do-

stała 6 lat za podpalenie, siedzi już prawie 4 lata, prosi o pomoc przy przedterminowym zwolnieniu.

– Proszę pani było tak: podczas wojny wioska nasza była bardzo zniszczona, wyjechaliśmy do Rosji – 3 rodziny: my i dwaj bracia mego męża z rodzinami. Gdyśmy z rodziną brata następnie do Polski wracali, znaleźliśmy tylko jedną chatę, trzeciego brata, w której zamieszkaliśmy – wszyscy razem. Stosunki rodzinne nie były dobre, toteż staraliśmy się jak najprędzej wybudować sobie chatę i wyprowadzić od bratowej. W międzyczasie jeden mój syn się ożenił i też zamieszkiwał razem ze wszystkimi. Gdyśmy się wyprowadzili z mężem, dwoma synami i córką do nowej chaty, zaproponowaliśmy żonatemu synowi i synowej, aby z nami razem zamieszkali, tymczasem synowa buntowana przez bratową pozostała u niej wraz z małym dzieckiem i przeprowadzić się do nas nie chciała. Było mi bardzo przykro i boleśnie, że synowa ulegała namowom nieżyczliwej nam bratowej. Na nowym miejscu drugi mój syn chciał żenić się i iść w prymy. Toteż pewnego razu urządziliśmy u siebie przyjęcie dla swatów z wódką i ja nie zaprosiłam bratowej – nastąpiła obraza i złość do nas wszystkich całej tamtej rodziny braterskiej. Zaczęto dokuczać synowej, tak że ta postanowiła się do nas przeprowadzić. Gdy jednak zabierała rzeczy i dziecko, aby opuścić chatę, bratowa rzuciła się na nią, aby jej dziecko odebrać i w rezultacie czego dziecko zostało uduszone. Między dwiema rodzinami wywiązała się formalna walka. Bratowe złapały się za głowy, wreszcie w trakcie szamotania się, starały się chwycić palcami głownie z pieca, jedna drugiej oczy żarem zasypać. Wypadły z chaty i szamotały się jeszcze na podwórzu. Po pewnym czasie chata stanęła w ogniu, jak również stodoła, a z powodu wiatru ogień rozszerzył się na sąsiednie budynki. Spaliły się, proszę pani, nasze 2 budynki i sześć domów obcych ludzi – w chacie spaliły się rzeczy mojej synowej, toteż ona teraz mieszka oddzielnie, zła jest na mnie za te straty. W chacie bieda, bo mąż bardzo stary i przy żywiole nawet chodzić nie może, córeczka mała, całe gospodarstwo – 5 dziesięcin w rękach syna młodego, który nawet nie może nigdzie pójść na zarobek. I przyznałam się do winy, ponieważ powiadano mi, że synom moim grozi więzienie, oni byli również w chacie podczas szamotania się, więc żeby nie było na nich, ja powiedziałam, że to ja podpaliłam chatę. Ja to dla dzieci zrobiłam. Kobieta ta

placze i prosi, aby zrobić jej „skidkę” – przedterminowe zwolnienie...

Była na Łukiszkach podpalaczka, też ciekawy typ więźniarki, obecnie wywieziono ją na Pomorze. Miała bezterminowe ciężkie więzienie, a następnie prezydent Rzeczypospolitej ulaskawił ją i zmienił na 10 lat ciężkiego więzienia. Pochodziła z kresów, była Białorusinką, mąż jej dawno zmarł, 2 synów pożeniło się, 2 córki były na służbie. Kobieta ta była w rozpadającej się chałupie sama, ziemi było bardzo mało, chleba dla niej jednej brakowało. Cały dorobek pozostał po jej pierwszym mężu (była bowiem dwukrotnie zamężna), którego rodzina zamieszkiwała tę samą wieś i która chciała zmusić kobietę do opuszczenia chaty i skrawka ziemi. Toteż gdy syn pomagał matce poprawiać walącą się chatę, krewni męża nocą demolowali całodzienną pracę syna i powtarzało się to parokrotnie. Kobieta zapalała żądzą zemsty do brata męża, który był przyczyną jej nędzy i postanowiła go spalić. Podpaliła jedną zagrodę, ale pół wsi poszło z dymem! Podczas pożaru była u sąsiadki, robiła wrażenie przerażonej nieszczęściem, pobiegła z innymi ludźmi pożar gasić i gapić się, wypowiadała swój żal. Początkowo przyczyny pożaru nie były nikomu znane. Przyjechali do wsi wywiadowcy, mając ją w podejrzeniu, udali się do jej chaty i w rozmowie z babą powiedzieli:

– Ale to dobrze, że te gałgany się spaliły, gdybyśmy wiedzieli, kto to zrobił, dalibyśmy mu 25 rubli złotem.

Na to baba:

– Panoszko, to dajcie mnie, bo ja wieś spaliłam.

Poziom intelektualny i moralny tej kobiety był bardzo niski, wspominając następnie w więzieniu swój czyn powtarzała:

– Mnie było źle, niech i oni zobaczą co to bieda, dobrze im tak”.

Był to człowiek o prymitywnych pragnieniach, aby było co jeść i czym się okryć, poza tym żadnych innych myśli, ani dążeń... Dzieci jej odwiedzały matkę w więzieniu kilkakrotnie, po rocznym niewidzeniu się nie miała z nimi o czym mówić. Była to kobieta już bardzo stara, wysoka, ale mocno przygarbiona, twarz miała zwiędłą i zmarszczoną, często mówiła sama do siebie...

I całą tą plejadą przestępców, kobiet i mężczyzn podczas ich pobytu w więzieniu, jak również rodzinami więźniów po opuszczeniu tych murów opiekuje się „Patronat Więzienny”. Jest to instytucja społeczna, która ma na celu poprawę stanu moralnego i bytu materialnego więź-



niów we współdziałaniu z władzami więziennymi: wychowanie, nauczanie i uzdolnienie do pracy zarobkowej nieletnich sprawców czynów przestępnych, następnie dopomaganie uwolnionym z więzień do powrotu do społeczeństwa, do ustalenia bytu oraz przyjmowania pod dozór uwolnionych przedterminowo. Do zadań tej instytucji należy również wspieranie pod względem moralnym i materialnym rodzin więźniów.

Bezpośrednimi wykonawcami zadań patronatu w stosunku do osób lub rodzin znajdujących się pod jego opieką – są kuratorowie.

Kuratorowie, którzy mają karty wstępu wydawane im przez Ministerstwo Sprawiedliwości, odwiedzają w pewne określone dni więzienie i przyjmują podania lub też petycje więźniów zgłaszających się do nich osobiście. A więc więźniowie proszą na przykład o przygotowanie ubrania na wyjście, gdy się niedługo zwalniamy, wówczas kurator sprawdza, co dany więzień posiada ze swego ubrania w depozycie więziennym, uzupełnia braki najniezbędniejsze garderoby więźnia, niektórzy proszą o dożywianie, co daje się w niektórych wypadkach, gdy na przykład więzień jest chory. Niektórzy więźniowie proszą o pisanie im podań o ułaskawienie do Prezydenta, lub też o przedterminowe zwolnienie. Jedni proszą o zaopiekowanie się rodzinami, pozostałymi na wolności bez żadnych środków do życia, drudzy szukają porady prawnej w różnych swych sprawach cywilnych i karnych, niektórzy proszą o obronę w Sądzie, a są wreszcie tacy, którzy jedynie pragną się przed kimś wygadać, wywnętrzyć, opowiedzieć o domu, rodzinie, o swej sprawie sądowej. Wszyscy się tłumaczą, wszyscy prawie są niewinni, wszyscy są ofiarami ludzi złych, lub też sprawą fatalnych okoliczności życiowych. Kurator przede wszystkim musi sobie zdobyć zaufanie więźniów, nie moralizować zbyt, gdyż więźniowie tego nie lubią, a okazać mu zainteresowanie się jego losem. Ludzie, za którymi zamknęły się ciężkie bramy więzienne, odseparowujące ich od całego społeczeństwa, którego niedawno byli jeszcze członkami, są wrażliwi na każdy przejaw dobrej chęci ze strony tego społeczeństwa. Przyjście kuratora do więzienia początkowo ich dziwi, następnie ujmuje, gdyż widzą w nim osobę wyrozumiałą, która może dla swego kaprysu, w każdym razie nie dla interesu, chce właśnie rozmawiać i pocieszać, jak również wspomagać takiego „wyrzutka społeczeństwa”, za którego nasze rygo-



rystyczne społeczeństwo uważa każdego, który dostaje się do więzienia.

Jeżeli chodzi o działalność Patronatu w zakresie opieki nad uwolnionymi z więzień, to polega ona przede wszystkim na zaopatrzeniu uwolnionych z więzień w odzież, pożywienie, środki lekarskie, narzędzia pracy itd., tudzież na ułatwianiu im przyjęcia do schroniska, domu pracy, warsztatów itd.

Patronat udziela zapomogi, daje niekiedy zwrotne pożyczki, jak również ułatwia zwolnionym dostanie się do miejsca ich zamieszkania.

Patronat Więzienny wspiera rodziny więźniów, dając im odzież i pożywienie, opiekę lekarską w razie potrzeby, umieszcza dzieci więźniów w ochronkach, przytułkach i szkołach, zakłada swoje ochronki, jak również domy noclegowe dla dorosłych.

W miastach, w których znajdują się Sądy dla Nieletnich, patronat pomaga sądom w organizacji instytucji kuratorów sądowych, rozciąga opiekę nad nieletnimi powierzonymi Patronatowi przez organy sądowe, organizuje obronę dla nieletnich w sądach, występuje do prokuratora z podaniami o pozbawienie niegodnych rodziców i opiekunów władzy rodzicielskiej i opiekuńczej, otwiera izby czasowego zatrzymania nieletnich, pozostających pod śledztwem w tym celu, aby nieletni przestępcy nie siedzieli ze starszymi więźniami. Patronat współpracuje z zakładami wychowawczo-poprawczymi dla nieletnich itd.

Cele Patronatu są bardzo szerokie, a urzeczywistnienie ich zależy przede wszystkim od ludzi ofiarnych i chętnych do pracy społecznej, jak również od środków materialnych, jakimi rozporządza. Pożądane więc jest, aby jak najszerze warstwy społeczeństwa były członkami patronatu i zasilaly jego kasę przez skromną składkę w wysokości 50 groszy miesięcznie. Musimy sobie zdać sprawę z tego, że w więzieniach dużo jest przestępców przypadkowych, którzy jedynie dzięki fatalnemu zbiegowi okoliczności i warunkom życiowym stanęli w kolizji z kodeksem karnym, którzy dla społeczeństwa są zupełnie bezpieczni i drugiego analogicznego przestępstwa nie popełnią. Czy ten, kto pod wpływem silnego afektu, wzruszenia duchowego zabija żonę lub ojca, jest zbrodniarzem niebezpiecznym, zdolnym następnie do zabójstwa kogo innego – nigdy w życiu.

Ale nawet, jeżeli weźmiemy pospolitych złodziejasków, to przyj-

ście im z pomocą po opuszczeniu więzienia, może ich powstrzymać od recydywy. Bywają wypadki, że wypuszczony złodziej idzie naumyślnie ukraść drobiazg, aby z powrotem dostać się do więzienia, gdy na swobodzie nie umie zorganizować sobie życia, wytracony jest z normalnych stosunków, nosi na sobie piętno więzienia, pracy dostać nie może, bo ktoś weźmie złodzieja, jeżeli tyle ludzi uczciwych tej pracy łaknie. Sytuacja takiego człowieka jest smutna. Społeczeństwo może i powinno wyjść na przeciw potrzebom takich ludzi. Zrobić to może i robi Patronat Więzienny, którego działalność staram się Państwu przedstawić w cyklu pogadańk zawierających wrażenia z wędrówek po więzieniach wileńskich.\*

---

\* Pogadanka wygłoszona w rozgłośni wileńskiej Polskiego Radia w dniu 9 marca 1929 roku.

## PRZESTĘPCY DZIECI

Zanim przedstawię państwu pewne zasady, na których nowoczesna nauka i doświadczenie oparły ideę walki z przestępczością nieletnich, dziś chciałabym przesunąć przed państwem znowu różne typy przestępców, tym razem dzieci, aby dać możliwość krytycznej oceny instytucji Sądów w odniesieniu do żywych istot, wiedząc, jakie przestępstwa są przez nich popełniane, kim są dzieci-przestępcy, z jakiego środowiska się rekrutują, jak są wychowywane, jakie mają cele i upodobania itd., jaki element przedstawiają *en masse* i co dla nich może zrobić społeczeństwo.

Bo czyż możemy tak samo ustosunkować się do przestępców – dzieci, jak i do przestępców ludzi dorosłych, czyż te same miary co do dorosłych możemy stosować do nierozwiniętych fizycznie istot o nieskrystalizowanych charakterach, których umysły i serca to *tabula rasa*, na której życie, warunki, otoczenie, stosunki rodzinne, towarzystwo, gry i zabawy, koledzy – kreślą pewien profil i tworzą ten albo inny typ dziecka.

Dzieci takie uciekają nieraz od rodziców, włóczą się i nie mają dachu nad głową. Są to dzieci niewychowywane, w które nikt nie wpaja odpowiednich zasad etycznych, nie nauczono ich dostosowywać się w społeczeństwie, światopogląd ich nie zgadza się ze światopoglądem ogółu – słowem, ze szkoły wychowania ulicznego przechodzą one bezpośrednio na drogę przestępstwa.

Odpowiedzieć sobie musimy na pytanie, z jakiego środowiska rekrutują się te szeregi dzieci przestępczych, czy są one szczęśliwe, czy mają choć w drobnej części zaspokojone marzenia i pragnienia, czy odczuwają ciepło domowego ogniska, wiedzą, co to matczyne pieszczoty?

Obserwacje nad siedmioletnimi przestępcami wykazują, iż przeważnie pochodzą one ze środowisk wielkiej nędzy i amoralnej atmosfery, są dziećmi wyrobników, żebraków, lub też sierotami. Jest to w ścisłym związku z dzieckiem opuszczonym, zaniedbanym i krzywdzonym, a największy kontyngent przestępców dają dzieci ulicy, o które nikt się nie troszczy i nad którym nikt nie czuwa.

Pamiętam, gdy zwiedzałam oddział dla nieletnich więzienia celkowego we Fresnes pod Paryżem, pani Barneau, *surveillante chef*, wieloletnia pracowniczka kolonii penitencjarnej w Cadillac powiedziała mi wówczas:

– Nie dzieci powinny tu siedzieć, ale ich rodzice.

Na pytanie moje zadane tej kobiecie, która posiadała tak duże doświadczenie, oparte na długich obserwacjach, co przeważnie pchało dzieci do czynów występnych, odpowiedziała mi:

– Dziwna rzecz, ale doświadczenie przekonywuje mnie iż w bardzo wielu wypadkach złe pożycie rodziców jest niejako przyczyną występków ich dzieci, ponura atmosfera domu, gdzie panują waśnie, kłótnie, gdzie autorytet rodziców jest całkowicie zniszczony, tam dziecko odarte ze wszystkiego stara się o wydostanie z tego domu, szuka przyjemności poza nim, staje się pastwą ulicy, która daje mu różnorodność wrażeń, ale jednocześnie naraża na złe towarzystwo i tworzy szkołę występku. Nie ma kto wpoić w takie dziecko zasad etycznych; pojęcia złego i dobrego mieszają się w jego dziecięcym umyśle; dobrem jest to, co sprawia chwilową przyjemność, złem – co przykrość za sobą pociąga. Głód, zimno, szturchańce, nuda – to złe; – kawałek chleba, ciepły łachman, kieliszek wódki, chwilowo rozgrzewający skostniałe członki, wypalenie wyżebranego, lub ukradzionego papierosa – to dobre.

W takich pojęciach wyrastają całe pokolenia dzieci ulicy, jedne uczą się od drugich; wytwarza się cały specjalny świat zupełnie odrębnych pojęć i upodobań. Gdyby ktoś spoza tego świata zechciał rozmówić się z takim dzieckiem i tłumaczyć mu, że postępuje nieodpowiednio, dziecko albo nie zrozumiałoby go zupełnie, albo nie uwierzyłoby i wyśmiałoby. Poza tymi warunkami społecznymi, poza ujemnymi stronami wychowania – mamy często do czynienia również z obciążeniami dziedzicznymi; dzieckiem alkoholika, weneryka, zdegenerowaniem amoralnym, bądź zacofaniem umysłowym, nie zdającym sobie sprawy z dokona-



nych czynów, bądź psychopatycznym, o chorobliwie wrażliwej strukturze psychicznej i nerwowej.

Spotkałam okaz takiego dziecka w Wilucianach w zakładzie wychowawczo-poprawczym koło Nowej Wilejki. Zewnętrznie to mały potworek: ma 12 lat, jest niskiego wzrostu, głowę ma wielką i niekształtną, nos spłaszczony, usta wywinięte, przez które – gdy mówi – wystawia język, mowa strasznie niewyraźna; odnosi się wrażenie jak gdyby chłopiec ten miał sztuczne podniebienie, sepleni, wysuwa język na zewnątrz i wydaje z trudem artykułowane dźwięki – uszy ma wielkie, prawie całkowicie zarośnięte, oczy jasno-szare zamglone – ogólne wrażenie jest wręcz odpychające. Pochodzi z Nieświeża, gdzie posiada rodzinę, ojciec umarł, chował go ojczym – siedzi za kradzieże, których popełnił mnóstwo, ostatnio ukradł pierścionek jakiemuś oficerowi, przedstawił się do jego mieszkania w koszarach. I pomimo wyraźnego zwyrodnienia, które widać na pierwszy rzut oka, chłopak ten jest bardzo silny, gwałtowny i zawsze gotów do bójki. Do nauki niezbyt chętny, chociaż tępoty nie przejawia. Takie dziecko jest bezwzględnie produktem jakichś grzechów przodków. Pomimo ciągłych ucieczek z zakładu nie opuści go prędko, gdyż jest to lombrozowski typ urodzonego przestępcy.

Obok tego rodzaju chłopców spotykam w tym samym zakładzie wychowawczo-poprawczym chłopców zupełnie innych, miłych, sympatycznych, dzieci zupełnie normalne, które posiadają cechy łobuzerskie wspólne prawie wszystkim dzieciom w tym wieku i dzieci te tylko dzięki niskiemu poziomowi intelektualnemu i brakowi zrozumienia kwestii wychowania młodych w środowisku, z którego pochodzą, dostają się do zakładu wychowawczo-poprawczego, gdzie *nolens-volens* muszą obcować z jednostkami wiele gorszymi od siebie i często wprost niepoprawnymi. Czy jest na przykład przestępcą chłopak wiejski, który zabiera swej matce – kradnie 150 złotych, jedzie z zapadłej wioski do Wilna, do wymarzonego miasta, kupuje w księgarniach książki za 90 złotych, jedzie do Werek i z powrotem samochodem, za resztę pieniędzy kupuje sobie cukierków i tu kładzie na nim rączkę policja, która z ramienia matki poszukuje go. W konsekwencji matka nie darowuje mu tej „kradzieży” i tak chłopak siedzi w zakładzie poprawczym, pochłaniając w dalszym ciągu literaturę historyczną, opisy, podróże itd. Jest to

może typ nawet bardzo dodatni, żądny wrażeń i wiedzy, którego zadowolnić nie mogło pasanie świń, czy krów na wsi, chciał się wydostać na szerszy świat, zobaczyć duże miasto, przejechać się samochodem i dlatego dokonał kradzieży. I gdyby takie dziecko pochodziło z rodziny inteligentnej, nie stanęłoby w kolizji z kodeksem karnym, a nawet gdyby tak było – nie byłoby sprawy sądowej.

Wiózł mnie końmi do zakładu ze stacji Nowa Wilejka jeden z wychowanków, pytam się go, a za cóż siedzisz? Ten głowę spuszcza i ze wstydem się przyznaje:

– To nie ja jeden proszę pani, to nas kilku pasło świnie wioskowe. I tak przyszło coś do głowy, to złapali jednego małego prosiaczka, zakłuli, osmalili, a potem upiekli i zjedli – to za to my i siedzimy.

Przy maszynie nożnej do szycia siedzi mały chłopak o rysach semickich: pytam się go za co siedzi: „Za rower”.

– Wynająłem rower w Brześciu na pół godziny i pojechałem nim do Białej Podlaskiej, gdzie zamierzałem go sprzedać co najmniej za 50 złotych, za te pieniądze kupiłbym sobie ubranie, poszedłbym do kina, kupiłbym papierosów, ale złapali.

Jest to syn fotografa, matka jak również brat przebywają w Rosji, chłopiec uczeń I klasy gimnazjum wychowywał się na ulicy – teraz i ojciec już nie żyje. Mały Eljasz doskonale szyje, jest inteligentny, na zadawane mu pytania z geografii czy historii odpowiada doskonale i jest powszechnie lubiany.

W 90 % przestępstwa popełniane przez nieletnich to kradzieże. Kradzieże z nędzy, z namowy, z przyzwyczajenia, potem wreszcie z nałogu.

Bardzo mało jest dzieci – zabójców i ci przeważnie są przestępcami przypadkowymi.

Na Łukiszkach zetknęłam się z dwoma chłopcami. Jeden ma lat 17, drugi – 16. Pierwszy siedzi już cztery miesiące i za cóż? Pracował w fabryce w Olkienikach, był jednocześnie członkiem przysposobienia wojskowego. Wracał wraz z kolegami ze zbiórki wieczorem i wszyscy szli na zabawę. Chłopak miał przy sobie bagnet od karabinu. Chcąc zwerbować na zabawę dziewczynę z chaty zastukali do okna tak mocno, że wybili szybę. Wypadł z domu gospodarz, dwaj chłopcy uciekli, winowajca pozostał i na nim skupiły się objawy gniewu gospodarza.

Chłopak bagnetem zranił tego człowieka w brzuch, co spowodowało śmierć.

Drugi chłopak był członkiem strzelca i u siebie na podwórku strzelał do butelek; naturalnie przy takich okolicznościach dużo jest zwykle gapiów. Chłopak postrzelił dziecko, które następnie zmarło. Teraz w wielkiej depresji siedzi w więzieniu. Obaj oskarżeni o nieumyślne spowodowanie zabójstwa.

Siedzi obecnie w Wilunianach szesnastoletni chłopak spod Brześcia. Opowiadał mi o sobie co następuje:

– Ojciec mój już bardzo dawno zmarł, rodzeństwa nie mam, jestem jedynakiem i mieszkalem razem z matką na 16 morgach ziemi. Było ciężko, bo pracować nie było komu, matka jest stara ma 50 lat, ja jeszcze do pracy niezupełnie wprawny, to też pasłem wiosce bydło, za to sąsiedzi ziemię nam zaorali. W sąsiedztwie naszym mieszkał mój wuj, a brat matki. On chciał ziemię naszą zagarnąć, chciał matkę i mnie z torbami puścić i dopiero sądem odebraliśmy my te 16 dziesięcin, na których zasiedliśmy z matką. Wuj był bogaty, miał młyn ale nie przestawał nas gnębić i zawsze groził, że wszystko jedno, ziemia będzie jego. Byliśmy przez niego zastraszeni, bił nas z matką i wreszcie, gdy młyn swój przeniósł do innej wioski o 30 kilometrów od nas, przyszedł do nas i kazał mnie jechać z nim do młyna, w którym miałem pracować. Matka była zrozpaczona, mówiła mi nawet przed wyjazdem, żebym uciekł, ale ja wiedziałem, czym to pachnie. Pojechałem z wujem, który obchodził się ze mną okrutnie, bił mnie i miałem wrażenie, że chce się w ogóle mnie pozbyć, aby móc następnie po swojej siostrze, a mojej matce ziemi zabrać. Razu jednego w chacie wieczorem już po pracy zaczął mnie straszyć, bić kijem, byłem wprost nieprzytomny z bólu, myślałem, że mi kości połamię, miałem rany na całym ciele i byłem katowany bez litości, wówczas chwyciłem stojącą w chacie siekierę i walnąłem nią w wuja, który upadł, a następnie w drodze do szpitala zmarł. Wsadzili mnie do więzienia, siedziałem 13 miesięcy w Kobryniu i Siedlcach we wspólnych celach z inteligentami. Ciężko było siedzieć, bo jedzenie było bardzo złe, nic nie robiłem cały dzień, każdy z nas leżał na łóżku, opowiadał jeden drugiemu o swoich sprawach. Moi towarzysze, to byli urzędnicy, którzy siedzieli za nadużycia; matka odwiedzała mnie często, przynosiła pożywienie. Na sprawie stawali nasi



sąsiedzi, byli dla mnie dobrzy, wszyscy dobrze za mną świadczyli, ale cóż, teraz muszę pokutować... Matka teraz sama siedzi na ziemi, ciężko starej kobiecie, toteż chciałbym jak najprędzej się zwolnić i pójść do domu pomagać matce w pracy.

Drugi chłopak, ten w wieku lat 16-tu, pochodzący z Garwolina spod Warszawy, opowiada mi inną historię:

– Rodzice moi są rolnikami, mają 18 morgów ziemi. Pewnego razu w niedzielę przyszło do naszej wsi dużo chłopaków z sąsiedniej wsi i rozpoczęli bitwę, w której jako przeciwne strony brały udział nasze wioski. Rzucaliśmy kamieniami, ja zupełnie niechcący uderzyłem kamieniem w głowę jednego chłopca nawet pochodzącego z naszej wsi i chłopak ten następnie zmarł. Ja dostałem za to rok więzienia.

Umieszczono go w zakładzie wychowawczo-poprawczym, skąd się zwolni wtedy, gdy rada pedagogiczna uzna, iż poprawił się i może pójść do domu. Czy się poprawił?

Są jeszcze inne typy. Staje przede mną mały chłopczyk, o śniadej cerze i oczach jak węgle – okazuje się – cygan, nie ma ojca, ani matki, wychowywał go stary dziadek, który był w miasteczku rymarzem. Wreszcie dziadek zachorował i poszedł do szpitala, dziecko zostało same. Skradł jakiemuś Żydowi z mieszkania kożuch kryty sukmem i sprzedał go za 10 złotych.

– Kupiłem prosię pani za to dziadkowi i sobie jedzenia, bułek, maśła, wszystkiego i zaniósłem do szpitala.

Inny znowu:

– Rodziców nie mam, ojciec w Ameryce, a matka porzuciła nas dwoje dzieci i uciekła do Rosji z żołnierzem. Myśmy zostali z bratem mali. Wychowywał nas dziad i babka, którzy potem umarli. Ja służyłem dwa lata u gospodarza, nic mi on nie płacił, nie dawał ubrania, toteż zabrałem gospodarza marynarkę, żeby się przyodziać.

Chłopak ten mało rozwinięty, ale pracowity, sam się nauczył czytać i pisać. To była jego pierwsza kradzież.

Jest jeszcze jeden chłopak, karany za podrabianie pieniędzy. Lat 15, blady, twarz dosyć inteligentna, widać nerwowy i szczerzy, pięści zaciska i opowiada, że będąc na Syberii, skąd przyjechał z rodzicami, nauczył się robić pieniądze, że wtedy dużo osób znajomych robiło pieniądze i on się temu przyglądał. Teraz w Polsce kupił cyny, zrobił formy z



gipsu i odlewał 50 groszówki. Wiedział, że tego robić nie można. Zrobił 20 złotych takim bilonem i sprawa się wykryła.

Jednym z najmłodszych przestępców w Wilucianach jest chłopczyk, który siedzi w zakładzie wraz ze swym starszym bratem już dwa lata, a teraz ma 11 lat, dwoje rodzeństwa w ochronce, rodziców nie mają, ojciec był blacharzem, służył na kolei, matka umarła, gdy już byli w zakładzie. W domu była nędza, dzieci te zbierały żelazo wszędzie koło kolei, składów, dworca i następnie sprzedawali je po 70 groszy pud, a pieniądze oddawali matce. Chłopak uczy się dobrze i chociaż zawadziaka i łobuz – ma dobrą opinię i kocha bardzo swego starszego brata. Gdy pierwszego dnia bratu felczer zakładowy przecinał jakiś wrzód i brat się darł w niebogłosość, chłopak posłyszawszy krzyk jego, leciał mu na pomoc i chciał stawać w obronie jego, uważając że go krzywdzą. I takich przykładów mnóstwo.

Profesor Mogilnicki w swej książce *Przestępstwo a dziecko* powołując się na zebrane przez Makowskiego autobiografie wychowanków oddziału dla nieletnich w domu pracy w Moskwie, pisze słowami dziecka:

„Ojciec mój – umarł na paraliż, matka chodziła bez zajęcia i żyła z żebraniny. Ojciec był pijakiem, bił matkę jak się upił. Matka mnie wypędziła, mówiąc: idź sobie gdzie chcesz. Poszedłem włóczyć się po ulicach”.

– „Moi rodzice byli pijakami – opowiada inny – a kiedy się popili, nie miałem co jeść, płakałem i budziłem ich, ale nie wstawali. Brałem więc kij i biłem rozwalonych na łóżku ojca i matkę. Wtedy wstawali i znów posyłali po wódkę...”

Opuszczony przez rodziców chłopiec pisze: *„Czasem nic się nie zdobędzie, nie ma gdzie nocować, poprosi się o jakiś nocleg i śpi jak psiak. Sprzykrzyło mi się takie życie i zgłosiłem się sam do domu pracy.”*

Inny chłopak stracił matkę, a ojciec pił i bardzo bił syna, a ten uciekł wreszcie z domu. Tak opowiada o pierwszym dniu włóczęgi:

– Zacząłem się włóczyć z kąta w kąta, ale dzień się skończył i zapadła noc. Nie wiedziałem, gdzie się podziać i wlałem do jakiejś beczki, a kiedy się chciałem położyć, w beczce coś zaryczało. Wskoczyłem przerażony. Ale się wkrótce uspokoił i zdecydowałem się wypędzić stworzenie z beczki. Zacząłem wrzucać do beczki kamienie, wkrótce rozległ się głośny pisk i nieprzyjaciel uciekł. Z przyjemnością zasnąłem. Na-

zajutrz obudziłem się wesoly i zadowolony z noclegu.

Wychowankowie tegoż oddziału tak opowiadają na zadane im pytanie: „Dlaczego popełnia się przestępstwa”?

– Przestępstwo – zapewnia jeden z chłopców – powstaje stąd, że biedaka zmusza do niego nędza. Żebrze o jałmużnę, lecz mu odmawiają. Naturalnie, nie ma co jeść. Jakiś czas jest głodny, a potem zaczyna po trochu kraść. Kradnie, następuje coraz gorsze rozgoryczenie, zaczyna rabować...

*Przestępstwo – pisze inny – np. kradzież, zaczyna się od dzieciństwa. Dziecku podoba się jakaś rzecz, ale ta rzecz jest cudza, kradnie ją, a jeżeli raz ukradnie i nie wyda się, to doprowadzi do większych kradzieży.*

Stanisław Hamczyk w swej pracy o wynikach badań inteligencji wychowanków zakładu wychowawczo-poprawczego w Studzieńcu daje życiorysy wychowanków z tamtego zakładu, a więc:

Syn biednego wyrobnika, po śmierci rodziców został oddany przez starszą siostrę do służby, a nie znalazłszy tam żadnej opieki i dozoru, oddawał się włóczędztwu i kradzieży owoców z cudzych ogrodów. Z namowy starszej siostry ukradł kurę i za to został oddany pod sąd.

Syn prostytutki, utrzymującej dom publiczny, do kradzieży namówiony został przez jedną z prostytutek mieszkających u jego matki, a chociaż wzbraniał się, ostatecznie pod wpływem groźby, udał się do komórki, w której znajdowały się na składzie różne przedmioty stanowiące własność wszystkich lokatorów i zabrał stamtąd palto, kilka talerzy i szklanek, wszystko to wręczył namawiającej go kobiecie.

Przykład rodziców popchnął kolejnego na złą drogę. Matka bowiem była pijaczką, a ojciec brał z synem udział w kradzieży. Będąc na służbie u pewnego gospodarza do paszenia bydła, namówiony przez starszego brata, ukradł fuzję pozostawioną przez jakiegoś strzelca. Fuzję tę zabrał starszy brat i oddał ojcu, który ją ukrył.

Czwarty opisany – od najmłodszych lat pozbawiony opieki rodzicielskiej zmuszony był żyć własnym przemysłem. Dziecinnych lat nie pamięta, gdy zaś podrośł o tyle, że był w stanie zapracować na utrzymanie, zajmował się drobnymi przysługami. Jeżeli jednak niekiedy nie mógł znaleźć sposobu zarobienia choćby kilku groszy, uciekał się do żebraniny, a przyciśnięty głodem, przywłaszczał sobie różne drobne

przedmioty spożywcze. Przyjąwszy służbę u pewnej znanej złodziejki, zaczął wkrótce wspólnie z nią lub na własną rękę kraść zawodowo.

Czyż dziecko żyjące i rozwijające się w takich warunkach może się stać jednostką silną i rozumną, dostosowaną do współżycia z tym społeczeństwem, którego wymagania od pierwszych lat staczają je coraz bardziej na dno nędzy i występku? Czy dziwić się będziemy, jeżeli wyrosły z takiego dziecka człowiek nie będzie się stosował do wytworzonych przez to społeczeństwo przepisów, od przyjętych w nim zasad?

Dziecku takiemu dano życie, a nie dano możliwości utrzymania się przy tym życiu inaczej, jak tylko za pomocą działalności antyspołecznej. Jest to dzikie zwierzątko rzucone na ulicę, bez opieki, kierunku i umiejętności życia w kulturalnym społeczeństwie ludzkim. Ale czyja w tym wina – proszę Państwa?\*

---

\* Pogadanka wygłoszona w rozgłośni wileńskiej Polskiego Radia w dniu 23 marca 1929 roku.

## SĄDOWNICTWO DLA NIELETNICH

Setki lat upłynąć musiało, zanim świat zrozumiał tę taką prostą na pozór zasadę, że dziecko, które spełniło przestępstwo, nie jest niczym innym, tylko dzieckiem. Jest to jakieś dziwne przekleństwo, ciężące od wieków nad światem, że rzeczy najprostsze najtrudniej do przekonania ludzi trafiają. Dopiero od chwili, kiedy nauka prawa karnego przestała się zajmować wyłącznie przestępstwami jako abstrakcjami prawnymi i zwróciła się do przestępców, jako żywych ludzi, zaczęto badać przede wszystkim przyczyny przestępstw. Kryminaliści zrozumieli, że najostrzejsze kary nie zmniejszą liczby spełnianych przestępstw, jeżeli się nie podetnie ich korzeni, nie zniszczy tych ziarn, z których przestępstwa wyrastają, skoro tylko znajdą podatny grunt dla siebie.

Spostrzeżono wkrótce, że najniebezpieczniejszymi i najbardziej niepoprawnymi są ci przestępcy, którzy rozpoczęli swoją działalność w dzieciństwie. Już pierwsze, najbardziej powierzchowne badania wykazały, że takich jest olbrzymia większość, że poza nielicznymi względnie wyjątkami, cała niezliczona masa ludu więziennego składa się z przestępców od dziecka, ze skazańców, którzy po raz pierwszy przekroczyli mury więzienne mając kilkanaście lat.

A więzienie to dobra szkoła dla początkującego zbrodniarza. Rzucone z tej lub innej przyczyny na drogę przestępstwa i wtrącone do więzienia dziecko uczy się w nim dalej swego przeciwspołecznego rzemiosła; starsi doświadczeni koledzy wtajemniczają je we wszystkie szczegóły i po kilkumiesięcznym pobycie zamiast lęklivego, wahającego się nowicjusza, po odbyciu „kary poprawczej” wychodzi z więzienia młody weteran, zaprawiony w dobrej szkole. Wie on już, jak się ukrywać w



chwili kradzieży, jak chować zdobyte przedmioty, jak zacierać ślady przestępstwa, jak się tłumaczyć przed policją lub sędzią śledczym, jak wypatrywać najobfitszą i najmniej ryzykowną zdobycz. A kiedy, pomimo to, po wielu udanych wyprawach jedna się nie udała, łapią go znowu i sąd skazuje go znowu na „więzienie poprawcze”, w którym nie dość jeszcze sprytny młodzieniec otrzymuje dalsze wykształcenie, „poprawia” to, co jeszcze było niedość wyrobione. I znowu po kilku-miesięcznym pobycie idzie w świat młodociany przestępca, zasobny w nową wiedzę i szukający okazji do nowej kolizji z kodeksem karnym.

Zdawałoby się, że ludzkość powinna była od razu spostrzec, że taki sposób reagowania na przestępstwa nie prowadzi do celu, że zamiast zmniejszać liczbę przestępstw, powiększa ją znakomicie. Ale niełatwo było przełamać rutynę i intercję, a często nawet upór uczonych i praktyków. Toteż prawo karne po dawnemu zajmowało się abstrakcyjnymi konstrukcjami przestępstw, ustawodawstwa wprowadzały coraz to nowe kary, a przestępczość zwiększała się coraz bardziej. Recydywa rosła i dochodziła do 70-80 %. Rosła zwłaszcza liczba młodocianych przestępców.

Statystyka wszystkich prawie krajów dowodziła, że liczba nieletnich przestępców wzrastała w zatrważający sposób, a wszystkie dotychczasowe środki poprawy nie osiągały celu.

Różnica, jaką dawne ustawodawstwa robiły pomiędzy przestępcą dorosłym a przestępcą-dzieckiem, była więcej formalną niż faktyczną, nie sięgała do głębi. Polegała wyłącznie prawie na pewnym złagodzeniu kary lub na uwolnieniu od niektórych rodzajów kar, np. od kary śmierci. Rolę odgrywały przeważnie względy humanitarne – lecz nie dążenia polityki kryminalnej.

Koniec dziewiętnastego wieku przyniósł pod tym względem zasadniczą zmianę. Teorie szkół antropologicznej i socjologicznej, które wstrząsnęły całym zmurszałym gmachem klasycznej szkoły prawa karnego i od przestępstw oderwanych zwróciły wzrok kryminalistów ku żywym przestępcom, wywołały wysunięcie na pierwszy plan sprawy przestępczości dzieci. Zaczęły się podnosić coraz to liczniejsze głosy, że dziecka nie można uważać za przestępcę, nie można poddawać go całemu rygorowi systemu karnego, opartego na idei kary – odwetu, kary – zemsty, że jeżeli w ogóle walkę z przestępczością należy rozpoczynać

od źródła, od usuwania przyczyn przestępstw, to przede wszystkim winno się tę metodę stosować do przestępców-dzieci.

Teoria jednogłośnie wypowiedziała się za tym, że system walki z przestępczością dzieci musi ulec radykalnej zmianie, że nie można karać dziecka za to, że nie ma ono rodziców, ani za to, że jest głodne i zziębnięte, ani za to, że nie wychowano go należycie i nie wpojono w nie zasad etycznych, ani za to wreszcie, że nauka prawa karnego dotychczas rozwijała się tylko w ciszy gabinetów, a zamykała oczy na realia codzienności. Zetknięcie się z życiem praktycznym przekonało, że nie tylko zwykłe środki, ale i zwykła procedura karna, stosowana do dorosłych przestępców, zupełnie nie odpowiada warunkom, w jakich powinna się odbywać walka z przestępczością dzieci.

Obecnie już wszyscy, którzy interesowali się losem dziecka – przestępcy zgodzili się na jedno: sprawy nieletnich o spełnienie przestępstwa należy ześrodkować w instytucjach nowego typu, zwanych sądami dla nieletnich. Mają to być Sądy więcej z imienia niż z treści, gdyż zasadniczym ich zadaniem winno być nie tyle sądzenie spraw, ile opiekowanie się danym dzieckiem, powzięcie decyzji, jak z nim postąpić, żeby z jednostki społecznie szkodliwej lub niebezpiecznej zrobić istotę dodatnią. Zakres tych sądów znacznie rozszerzono uznając, że należy im także powierzyć opiekę nad dziećmi w ogóle, a w szczególności nad dziećmi opuszczonymi, zaniedbanymi, krzywdzonymi i anormalnymi.

Pierwsza zrozumiała i zajęła się reformą sądownictwa w stosunku do nieletnich, naturalnie, Ameryka. Podobnie jak i w innych krajach stan rzeczy w Ameryce był wadliwy; do dzieci mających 6-lat skończonych, sądziły je te same środki zabezpieczające co i do dorosłych, sądziły je te same sądy, według tej samej procedury. Chociaż ustawy pozwalały na oddawanie dzieci do lat 16 do przytułków i kolonii poprawczych zamiast więzień, lecz środek ten stosowano tylko do skazanych na więzienie długoterminowe, za drobniejsze zaś przestępstwa skazywano dzieci na kary krótkoterminowe i zamykano w więzieniach razem z dorosłymi. Wobec kar surowych i nieodpowiednich, jakie stosowano do dzieci, wielka ilość przestępstw spełnianych przez nie, nie dochodziła do sądu, gdyż społeczeństwo nie chciało narażać młodocianych przestępców na szkodliwy wpływ więzienia. Dzieci pozostając w

tych samych warunkach, które je popchnęły do przestępstwa, spełniały je po raz drugi i trzeci i stawały się przestępcami z przyzwyczajenia. Te zaś, które odbyły karę więzienia krótkoterminowego, zawsze prawie wpadały w recydywę. Około 1870 roku zorganizowano w St. Zjednoczonych Ameryki Północnej system dozoru opiekuńczego, który polegał na tym, że opiekunowie bywali w sądach podczas spraw nieletnich i jeżeli ze sprawy wynikało, że można się było spodziewać poprawienia dziecka, prosili sędziego, żeby go nie skazywał na więzienie lub kolonię poprawczą, lecz żeby je oddał pod ich opiekę. Następnie inicjatywa społeczna rozwinęła się w kierunku stworzenia odrębnego sądownictwa dla nieletnich.

Impuls do tego dała między innymi Hannah Kent Shaff, oburzona pewnym wypadkiem sądenia dziecka przez sąd karny. W roku 1899, gazety w Filadelfii umieściły portret dziecka, a nad nim wielkimi literami napis: „Szczyt zbrodniczości”. Była to ośmioletnia dziewczynka, która umyślnie podpaliła dom. Kiedy ją sąd zapytał, dlaczego to zrobiła, dziecko odpowiedziało: „żeby zobaczyć pożar i straż ogniową”. Dziecko sądzono na posiedzeniu publicznym, uznano za zbrodniarkę i skazano. Dziecko to straciło matkę mając dwa lata, wychowywało się początkowo w domu sierot, potem w garkuchni. Nie znało nigdy żadnych przyjemności, nie miało przyjaciół, nie miało okazji do rozwinięcia w sobie poczucia odpowiedzialności za swoje czyny. Po wyroku umieszczono je w zakładzie poprawczym razem ze starszymi dziewczętami, których doświadczenie na polu przestępstwa szło zupełnie innymi drogami. Jaka przyszłość czekała to ośmioletnie dziecko? Panią Kent Shaff uderzyła niesprawiedliwość takiego postępowania z dzieckiem. Powzięła ona szczerzy zamiar wydostania tej dziewczynki z zakładu poprawczego i udało się jej wychować dziecko na sympatyczną i zupełnie uczciwą dziewczynę. Wypadek ten stał się dla Hanny Kent Shaff bodźcem do walki z dotychczasowym postępowaniem karnym względem dzieci.

W lipcu 1899 roku powstaje pierwszy Sąd dla Nieletnich w Chicago, następnie w innych miastach. Z biegiem czasu sądy takie powstają w Anglii, Belgii, Holandii – Skandynawii, a obecnie są już prawie we wszystkich państwach europejskich.

Jakże się ta sprawa przedstawia u nas. Po utworzeniu się Państwa Polskiego dekretem z dnia 7 lutego 1919 roku ustanowiono trzy Sądy



dla Nieletnich: w Warszawie, Łodzi i Lublinie. W roku 1921 Komisja Kodyfikacyjna opracowała projekt całej Polski, ale projekt ten nie został wcielony w życie. Przewidywał on następujący ustrój: do prowadzenia spraw nieletnich Sąd Okręgowy miał wyznaczać na czasokres trzyletni jednego lub więcej sędziów oraz jednego lub więcej zastępców. Sędziowie ci mieli nosić miano sędziów dla nieletnich i rozpoznawaliby sprawy jednoosobowo. Instancją odwoławczą miał być Sąd Apelacyjny, który do prowadzenia tych spraw wyznaczałby ze swego grona trzech sędziów, którzy rozpatrywaliby sprawy kolegialnie. Przy każdym sądzie dla nieletnich miało być stworzone schronisko w celu tymczasowego umieszczenia nieletnich do lat 17 i będące pod kontrolą sędziego dla nieletnich. Były to projekty.

Dotychczas więc mamy w Polsce jedynie trzy sądy dla nieletnich (przez warszawski sąd przechodzi corocznie około 3000 spraw). Są to tylko sądy pokoju, w kompetencji których są drobne przestępstwa dzieci, co zaś do występków i zbrodni, to sprawy te podlegają kompetencji sądów ogólnych. W Wilnie na przykład wykroczenia nieletnich podlegają rozpoznaniu jednemu sędziemu pokoju, mającemu poza tym swoją sekcję, czyli człowiekowi, który przeciążony jest pracą tej sekcji i fizycznie nie jest w stanie rozpoznać w prędkim czasie i z należyтым pietyzmem spraw sądu dla nieletnich, przed którym procedura jest zupełnie inna.

Urządzenie zewnętrzne sądu dla nieletnich, sposób prowadzenia spraw winny wykluczać surową ostentację i oficjalność sądów ogólnych. Rozprawa winna odbywać się przy drzwiach zamkniętych, aby występki dziecka nie nabierały rozgłosu. Audytorium onieśmiela dziecko, które odmawia składania wyjaśnień.

Studia naukowe nad nieletnimi przestępcami ustalają, że 65 % z dzieci przestępców to jednostki anormalne, bądź zacofane umysłowo, nie zdające sobie sprawy z dokonanych czynów, bądź psychopatyczne osobniki o chorobliwie wrażliwej strukturze nerwowej i psychicznej. I całe te zastępy dzieci bezkrytycznych, sugestywnych, biernych, zatrutych gruźlicą czy alkoholem, które trafiają do sądu, winne być badane przez lekarzy specjalistów dla ustalenia ich psychofizycznego stanu. Sąd winien zbadać warunki bytu i życia tych przestępców, środowisko, w którym się obracają, dla uplastycznienia wszystkich okoliczności, które trzeba brać pod uwagę przy kierowaniu losem nieletnich. A na to trze-



ba mieć czas, trzeba się tej pracy prawno-społecznej poświęcić całkowicie i dlatego tworzenie sądów dla nieletnich w większych miastach Polski uważam za konieczne.

Nowa ustawa o Sądach Powszechnych, która weszła w życie z dniem 1 stycznia 1929 roku, przewiduje w art. 4, iż – „Ministerstwo Sprawiedliwości może w drodze rozporządzenia tworzyć w sądach okręgowych osobne sądy dla nieletnich w siedzibie i poza siedzibą Sądu Okręgowego oraz określać granice okręgów sądów dla nieletnich”.

Miejmy nadzieję, że władze miarodajne skorzystają ze swych pełnomocnictw i wkrótce stworzą w większych ośrodkach kraju takie instytucje, jakie są w każdym kulturalnym państwie.

Nowy kodeks postępowania karnego, który wejdzie w życie z dniem 1 lipca 1929 roku (jest to pierwsza praca komisji kodyfikacyjnej ujednostajniająca procedurę karną na obszarze całej Rzeczypospolitej), przewiduje również specjalne postępowanie przed sądami dla nieletnich. Przede wszystkim sprawy toczą się bez śledztwa (art. 594), a właściwie śledztwo prowadzi sam sędzia dla nieletnich, który może wykonać poszczególne czynności dochodzenia zlecić kuratorowi nieletnich, członkowi patronatu nad nieletnimi, lub nawet godnej zaufania osobie prywatnej. Dochodzenie to ma na celu (art. 569):

- ustalenie okoliczności czynu zarzucanego nieletniemu,
- stopnia rozwoju umysłowego i moralnego nieletniego oraz innych danych niezbędnych do ustalenia, czy nieletni działał z rozeznaniem,
- charakteru i przeszłości nieletniego, warunków, w jakich żył i wychowywał się, stosunków moralnych i materialnych jego i jego rodziny oraz środków nadających się do jego poprawy.

W tym celu w razie potrzeby sędzia zarządza badanie lekarskie.

Według nowego kodeksu postępowania karnego nieletnich prewencyjnie nie umieszcza się w więzieniu, lecz oddaje się ich pod nadzór odpowiedzialny rodziców, opiekunów lub innej osoby godnej zaufania z dodaniem w razie potrzeby dozoru kuratora, albo też zatrzymuje się go w specjalnym schronisku dla nieletnich.

Rozprawa odbywa się przy drzwiach zamkniętych (art. 605) i obecnymi mogą być przedstawiciele towarzystwa patronatu nad nieletnimi, a na ogół nieletni pozostaje w sali posiedzeń o tyle tylko, o ile sędzia uzna to za niezbędne (art. 606).

Instancją apelacyjną od Sądu dla Nieletnich, jest Sąd Apelacyjny.

Tyle w krótkości o samej procedurze. Na zakończenie powiem, iż wraz z tworzeniem Sądu dla Nieletnich należałoby tworzyć wszędzie w Polsce patronaty nad nieletnimi przestępcami i dopiero te dwie instancje pracując razem mogłyby stworzyć warunki sprzyjające dla walki z przestępczością nieletnich.\*

---

\* Pogadanka wygłoszona w rozgłośni wileńskiej Polskiego Radia w dniu 20 kwietnia 1929 roku.

## WIĘZIENIE „ŁUKISZKI”

W centrum Wilna, opodal placu Łukiskiego, na którym odbywają się tradycyjne „Kaziuki” czyli wielkie jarmarki w Dzień Świętego Kazimierza, w pobliżu sądów, kościoła świętego Jakuba, wznosi się kompleks budynków z popielato-żółtej cegły, okolonych wysokim murem. Jest to wielkie więzienie zbudowane podobno na miejscu dawnego cmentarza mahometańskiego, przed około 30 laty i zwie się Łukiszkami – każdy wilnianin i nie tylko wilnianin, ale i ludność okoliczna zna to magiczne słowo „Łukiszki”. Dla niejednego jest ono postrachem, dla wielu przedmiotem minionych wspomnień, a dla niektórych – miejscem, gdzie można po nędznym i beznadziejnym życiu pełnym zmagania się z losem znaleźć spokojny przytułek, ciepłą strawę i ciepły kąt – jednym słowem jedyną możliwość egzystencji. Więzienie to wybudowali Moskale, toteż nad poziomem wszystkich gmachów wznosi się krzyż prawosławny i wymalowana na kolor zielony kopuła cerkwi. Obecnie z cerkwi tej zrobiono kościół więzienny, ale charakterystyczna kopuła jednak sterczy i żywo przypomina niedawną naszą przeszłość. Niejedna dusza polska cierpiała za miłość do ojczyzny, niejedno życie polskie zmarniało w zmaganiu się z wrogiem – ku uzyskaniu niepodległości.

Więzienie to jest otoczone murem, w którym gdzieniegdzie znajdują się żelazne bramy. Ten groźny olbrzym cichy i ponury ma swe własne, odrębne życie, swój świat zainteresowań, swoje zwyczaje i pragnienia. Życie tego kolosa egocentryczne, nie uzewnętrznia swych radości, czy smutków, nie łączy się niczym z ogólnym trybem życia całego miasta, jest samotne, a świat zewnętrzny nie stara się do niego wnikać, nie interesuje się nim wcale, przechodzi mimo z takim uczuciem, jak prze-

chodzień mija okno wystawowe składu trumien. I tylko wieczorem, gdy światełka zapalą się w maleńkich okienkach więzienia i na płaszczynie kilku pięter migają jak świętojańskie robaczki, ludzie wiedzą, że tam jednak ktoś jest, ktoś żyje, myśli i może czuje, jakiś nieznaną człowiek, który pewno jest zbrodniarzem i dobrze, że go tam zamknięto.

Gmach ten jest spokojny i smutny, a tysiąc prawie ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci – stanowi to „państwo w państwie” – ludzi znajdujących się poza nawiasem społeczeństwa. Bo jakież jest ten stosunek społeczeństwa do więźnia. Ogół nie interesuje się więźniami wcale, a gdy się wypowiada, stoi na wrogim stanowisku... traktując ich jak wyrzutków społeczeństwa. Każdy, kto siedzi czy siedział w więzieniu jest człowiekiem złym, bo inaczej by nie siedział, nosi na sumieniu jakieś nieznanne społeczeństwu grzechy, popełnił występne czyny – jest jednostką szkodliwą, do której nikt nie ma zaufania, którą nie warto nawet się zajmować, gdyż jest więcej „uczciwej” biedy na świecie. Piętno więzienia przesładuje w dalszym ciągu więźnia już po zwolnieniu go, utrudnia mu powrót do normalnego życia, staje nieraz przeszkodą do uczciwej pracy. Bo czyż społeczeństwo odróżni jednostkę nieszczęśliwą, która tylko dzięki głodowi, nędzy, namowie lub w ogóle niewinna siedziała w więzieniu od zatwardziałego zbrodniarza, od człowieka niebezpiecznego dla społeczeństw? Same słowa „siedział w więzieniu” wystarczają za paszport, z którym już nie poruszy się spokojnie w świecie i należeć będzie zawsze do kategorii „mętów” społecznych. Ludzie nie wnikają w meritum sprawy, nie zastanawiając się nad źródłami przestępczości w ogóle – nic więc dziwnego, że człowiek z piętnem kary przejmuje ich jedynie odrazą i pogardą.

W odległych czasach, gdy wszechwładnie panowała zasada „oko za oko” i „zab za zab” – więźnia wtrącono do lochu i żadne władze już się nim nie zajmowały. Jedynym ratunkiem było społeczne sumienie, serce i ofiarność ludzi, którzy rzucali zgłodniałym istotnie – jak dzikim zwierzętom – jadło do lochów.

Teraz wszakże nauka prawa karnego zmieniła swe metody i weszła na inne tory, karząc już nie przestępstwo, ale przestępcę – żywego człowieka, z którego psychologią musi się liczyć. Obecnie przynajmniej w teorii strona przedmiotowa przestępstwa nie jest usunięta w części, a



przeciwnie, wraz z pojęciem celowości kary – wchodzi do wszystkich nowoczesnych kodeksów karnych. Przepęczę zajmuje się państwo, chce go odseparować od społeczeństwa wymierzając karę uwzględniającą zarówno zasadę prewencji szczególnej za sam czyn i ogólnej – w celu odstraszenia jego samego, jak i innych od popełniania nowego przestępstwa. I tak jak i społeczeństwo uważa, że rola jego jest skończona, państwo, władza – nakarmi więźnia, odzieją, wymierzą zasłużone cierpienie i wypuszczą, kiedy potrzeba. Po co więc zajmować się więźniami?

A tymczasem twierdzą, że przyjdzie z pomocą więźniowi leży w naszym najgłębszym interesie – jest tylko naszą samoobroną – poza pewną ilością jednostek zwyrodniałych i niepoprawnych szara masa tłumu więziennego to ludzie, mało różniący się od całego społeczeństwa, ludzie, którzy tylko mieli pecha w życiu; okoliczności, warunki życiowe popchnęły ich na drogę występku; między nimi jest wielu przestępców przypadkowych, jakim może być każdy z nas – których Ferri wypuściłby na wolność w innej głoszonej przez siebie zasadzie ochrony społecznej...

Więzień, za którym zamykają się bramy więzienia, jest zupełnie sam, nici łączące go ze społeczeństwem zostały zerwane, pozostaje mu tylko kara i cierpienie. Więzienie „Łukiszki” pochłania w swych murach około 1000 takich ludzi. Jest to więzienie stosunkowo nowe, a więc zbudowane niedawno przed wojną według nowoczesnych wymogów, ma gwiazdowe założenie architektoniczne, co ułatwia dozór i redukuje administrację, posiada podwórka do spacerów, jest suche i ciepłe.

Nie będę tu wdawała się w krytykę takich lub innych systemów więziennych, dosyć, że w opinii fachowców system więzienia Łukiskiego wykonany jest doskonale i wzorowo. Panuje tam ład, porządek, wielka czystość, odżywianie więźniów jest dobre, więźniowie pracujący otrzymują dodatkowe porcje, administracja więzienna jest stosunkowo uprzejma, grzeczna, traktowanie więźni jest bez zarzutu.

„Sumienia chyba bym nie miał, żebym cokolwiek mówił złego o naszych dozorcach i administracji – to dobrzy ludzie; ale cóż więzienie zawsze niewola – trzeba cierpieć” – tak mówi mi wielu ludzi, którzy właśnie przed kuratorem więziennym mogliby wysypywać jak z rękawa szereg skarg i narzekań.

Jednak tego nie czynią – widocznie pod tym względem jest wszystko albo prawie wszystko w porządku. Przy więzieniu znajduje się dział pracy, a więc więźniowie karni zatrudniani są przy różnych warsztatach rzemieślniczych: szewskim, krawieckim, introligatorskich, tokarskich, poza tym więźniowie pracują w piekarniach, kuchniach, więźniarki w pralniach, warsztatach tkackich, gdzie robią kilimy i więźniennych w szpitalach, pracują w korytarzach, gdzie robią porządki. System oparty jest na jak najbardziej idącej samowystarczalności i stara się wciągać do pracy jak największą ilość więźni.

Jedną z wielkich bolączek więzienia „Łukiskiego” stanowią umysłowo chorzy, przebywający w więzieniu bądź śledztwie, bądź już jako więźniowie, którzy właściwie więźniami być nie powinni, gdyż sąd sprawy ich umorzył i w decyzji swej postanowił umieścić w zakładzie psychiatrycznym. Tymczasem sytuacja jest rozpacзлиwa, na Wileńszczyźnie, w ogóle na kresach, nie ma ani jednego zakładu dla umysłowo chorych, a małe oddziały psychiatryczne przy szpitalach są przepelnione, chorych nie przyjmują.

Na ten smutny stan rzeczy (widoczny nie tylko w więzieniu) każdy mieszkaniec zwróci uwagę, gdyż niemal co dzień wszyscy widzimy psychicznie chorych spacerujących po ulicy, rozmawiających do siebie, zaczepiających przechodniów itd. Co się zaś tyczy ludzi chorych umysłowo, którzy popełnili przestępstwo, muszą oni siedzieć w więzieniu w warunkach dla nich zupełnie nieodpowiednich, gdzie nie może być mowy o leczeniu, o poprawie w pogodnej atmosferze, w której zakłady specjalne dla umysłowo chorych leczą i uzdrawiają ludzi tak nieszczęśliwych. Wypuścić ich niepodobna, gdyż są niebezpieczni, ale trzymanie w więzieniu jest rzeczą wysoce niehumanitarną i wołającą o pomstę do Boga.

Dam państwu kilka charakterystyk i obrazków. A więc siedzi na „Łukiszkach” człowiek, którego losy były następujące: pochodzi on spod Krakowa, jest żonaty, ma czworo dzieci, podczas wojny polsko-bolszewickiej walczy w szeregach armii polskiej, zostaje ranny i kontuzjowany pod Radzyminem, odznaczony krzyżem *Virtuti Militari* i czterokrotnie Krzyżem Walecznych, następnie jako inwalida dostaje działkę ziemi tuż pod Wilnem, otrzymuje rentę inwalidzką i z rodziną zamieszkuje domek ciężko pracując na roli; poza tym wskutek kontuzji choruje cięż-

gle. Posiadał on dla swego bezpieczeństwa rewolwer, na który miał pozwolenie, jak zresztą prawie wszyscy osadnicy wojskowi, względem których tak źle usposobiona jest ludność miejscowa. Manipulując rewolwerem powoduje strzał raniąc lekko żonę i dziecko, które żona trzymała na ręku – żona oskarża męża o usiłowanie zabójstwa. Toczy się śledztwo. Oskarżonego umieszczają w więzieniu, gdzie miewa on ciągłe ataki epilepsji. Sąd uznaje go wreszcie za niepoczytalnego w chwili dokonanego czynu, sprawę umarza i postanawia celem dalszego leczenia umieścić go w zakładzie psychiatrycznym, tymczasem człowiek ten siedzi w więzieniu i doskonale rozumiejąc, jak mają się okoliczności sprawy – domaga się ciągle i usilnie, aby wykonano decyzję Sądu. I jakaż jest na to rada; odpowiednich zakładów na Wileńszczyźnie nie ma, zakłady pomorskie może by i przyjęły, ale za pewnym wynagrodzeniem i któż ma za niego płacić? Zwracano się do Prokuratury, ale ta jest bezradna, gdyż Ministerstwo odpisuje, że nie ma kredytów, nie jest w możliwości zaradzenia złu.

Otóż pytamy się, czy możliwym jest, aby w Niepodległej Ojczyźnie były pieniądze na budowanie nowych sądów, na remonty gmachów, na umeblowanie, na polerowanie podłóg; są pieniądze na togi i inne rzeczy, a nie ma tych kilkuset złotych miesięcznie, aby kilku chorych wyrwać z więzienia i zgodnie z decyzją sądu umieścić w zakładzie leczniczym. To jest bezprawie, to jest pogwałcenie fundamentalnych artykułów kodeksu postępowania karnego (art. 10), to jest formalne przechodzenie nad krzywdą ludzką wbrew prawu i humanitaryzmowi, które jednak bądź co bądź Polska powinna podnieść do godności najwyższej!

Chory, o którym mówiłam, za każdą bytnością prokuratora czy kuratora więziennego prosi, błaga, zaklina;

– Nie trzymajcie mnie tutaj, leczcie mnie, przecież nie jestem więźniem”, ale słów tych biurokracizm polski nie słyszy i dlatego nie reaguje na to wielkie zło.

Wspomnę o drugim typie umysłowo chorej kobiety: jest to młoda kobieta, podpalaczka, o sprawie swej nic nie mówi, przeważnie bredzi bez związku i sensu – w więzieniu jest niespokojna i jedyną myślą, jedynym jej marzeniem jest wydostanie się z więzienia na wolność, o którą walczy, kołacząc do każdej bramy więziennej. Sąd sprawę rów-



niez umorzył uznając ją za niepoczytalną i postanowił umieścić w zakładzie dla umysłowo chorych, tymczasem i ją trzyma się w więzieniu wbrew decyzji i więzi bezprawnie. Kobieta ta się męczy, sama męczy otoczenie, czyli towarzyszek, które kolejno muszą jej do towarzystwa siedzieć, gdyż samej jej w celi zostawić nie można, bije szyby, wpada w szal, męczy administrację więzienną, która nie ma sił ani czasu na ciągłe borykanie się z chorą, zresztą i ci ludzie mają serca i widząc krzywdę i cierpienie ludzkie, również jej żalują. W momentach, kiedy przestaje ona bredzić, a w wysiłku swego skołatanego i biednego mózgu chce wypowiedzieć swój ból i swe cierpienie, kiedy gorzko płacze i prosi dozorczynię:

– Otwórz drzwi, puść mnie, ja chcę iść do domu – nie trzymajcie mnie tutaj” – wówczas pytamy się władz miarodajnych „co czynić zamierzacie, aby zaradzić złu”?

Kobieta ta ma dobre serce, oddaje swój chleb innym więźniarkom, a ostatnio podczas mej bytności w więzieniu powiedziała mi:

– Był u nas prokurator, ale poszedł i nie daliśmy mu zupy ani chleba podczas obiadu – trzeba było jemu dać, to może by kazał bramę otworzyć, wypuścić mnie na swobodę, na pewno był głodny – ale poszedł”.

I typów takich w więzieniu mamy wiele, czterech takich siedzi i czeka na załatwienie tej kwestii przez Ministerstwo. Społeczeństwo ze swej strony domaga się od władz miarodajnych ukrócenia bezprawia i potraktowania tej sprawy jako niecierpiącej zwłoki.

Więzienie Łukiszki jest przeważnie więzieniem śledczym, po wyroku długoterminowi więźniowie są stąd wywożeni do innych więzień, przeważnie w poznańskie lub na Święty Krzyż, zostają tylko ci, którzy mają krótsze terminy swych kar. Natomiast siedzą na Łukiszkach kobiety w liczbie około dziesięciu osób, które mają wyroki bezterminowe. Pracują na warsztatach tkackich, robią sukno na ubrania więzienne, jak również bardzo ładne, artystyczne kilimy i dlatego nie przewożą ich do innych więzień karnych, gdyż potrzebne są do pracy. I o tych kobietach, o których mówiłam szczegółowo w poprzedniej pogadance, chciałabym słów parę powiedzieć. Jest to arystokracja, że się tak wyrażę oddziały kobiecego na Łukiszkach. Są to kobiety o bardzo miłej powierzchowności, sympatyczne w rozmowie, zawsze bardzo zrównoważone i spokojne, pełne godności – lubiane przez całą administrację



więzienną, nie sprawiają jej nigdy żadnego kłopotu swym zachowaniem się, zawsze posłuszne i pracowite. Z dużą dozą pogardy patrzą one na ten różnorodny tłum złodziejek, recydywistek, ulicznic itd., uważają siebie za bezwzględnie wartościowe, gdyż są tu tylko z powodu jakiegoś nieszczęścia, przeznaczenia, fatalnego zbiegu okoliczności. Doznały strasznej krzywdy, ponieważ, nie wydały swych najbliższych i teraz siedzą za zabójstwa: ojca czy matki, męża czy kochanka i to słowo „wiecznie” – „bezterminowo” wywołuje w nich cierpienie i lęk. Jednakowoż wszystkie one mające tkać kilimy na Łukiszkach bezterminowo, nie wierzą w te słowa „na zawsze”, każda oczekuje jakiegoś nieprzewidzianego zdarzenia, które przywróci jej wolność, wierzy w przewroty i myśli o wyjściu lada dzień.

Całkowicie zdeterminowanych jest mało.

– Proszę pani, ja mam już wszystko przygotowane na wyjście, ubranie, buciki, chustkę na głowę i pieniędzy trochę mam zarobionych w dziale pracy.

– A kiedyż się zwalnicie? – pytam.

– Mam bezterminowe.

I opieka nad tymi kobietami redukuje się przeważnie do opieki moralnej – nic nie potrzebują, jedzenie mają dobre, ubrania mają porządne, pragną tylko przejawu życzliwości ludzkiej, otuchy, nadziei i trochę serca – najmniejszy drobiazg jest wydarzeniem epokowym dla człowieka, który w szarych ścianach swej celi widzi te same kraty, to samo niebo, raz chmurne, raz słoneczne, to samo okienko w drzwiach wejściowych i te same twarze dozorców. Bagatelka robi wielką przyjemność, książka do nabożeństwa, brulion do pamiętnika, ołówek – to są prezenty, które na długi przeciąg czasu wyrwywają więźnia z dotychczasowej monotonii życiowej, rozjaśniają mu horyzont i rozweselają. Więźniarka taka pragnie przede wszystkim przed kuratorką wygadać się, wypowiedzieć swe wszystkie żale i kłopoty, opowiedzieć o rodzinie, opowiedzieć o sprawie, popłakać i trzeba tego wszystkiego wysłuchać spokojnie, potem pocieszyć, że może prezydent ułaskawi i więźniarka wychodząc z celi – pokoju widzeń, obciera końcem swej chustki wewnętrznej oczy i mówi:

– Teraz panienoczku, lżej – teraz lepiej jak z panią trochę porozmawiałam.

I opuszcza kuratorkę z tą radosną myślą, że jednak jest ktoś, kto zupełnie bezinteresownie z dobrej i nieprzymuszonej woli przychodzi do nich do więzienia, rozmawia z nimi, pociesza, w razie potrzeby pomaga. Wraca powoli człapiąc pantoflami do swej cichej, samotnej celi w wielkim więzieniu położonym w centrum ruchliwego miasta. Ja też opuszczam gmach więzienia z myślą, że moja praca kuratora więziennego ma jednak głęboki społeczny sens.\*

---

\* Pogadanka wygłoszona w Rozgłośni Wileńskiej „Polskiego Radia” w dniu 12 kwietnia 1929 r.

## PRAWDY STARE LECZ ZAWSZE AKTUALNE

Rzucę tu kilka myśli do rozważenia i chciałabym, żeby te sprawy, które jedynie w krótkich słowach naszkicuję, mogły zwrócić uwagę słuchaczek dzisiejszego radia, a może nawet wywołać wśród nich dyskusję. Bo nie chodzi mi tu o to, by popisać się wygłoszeniem jakichś odkrywczych tez, teorii czy udzieleniem mądrych rad. Przeciwnie, uwagę zwrócić chciałam na fakty pozornie nieważkie, które dopiero po namyśle nabierają znaczenia i zaczynają niepokoić.

Usłyszałam kiedyś zdanie – które oburzyć musi każdą z nas, ale w uzasadnieniu którego tkwi duża doza gorzkiej prawdy. Powiedziano mi: największą krzywdę robią kobietom młodym – kobiety starsze. „Więc i matka również?” – zapytałam? – Ona przede wszystkim! Bo kobiety, które w życiu doznały dużo zawodów i krzywd, chcąc uchronić swe córki od cierpień, które niesie walka ze złem, w której pomyslnie rezultaty uwierzyć nie są w stanie – wdrażają w młode pokolenie poczucie niższości kobiety, sposobią je do poddania i uległości. Stawiają przed nimi jako najważniejszy i jedyny możliwy do osiągnięcia ideał, to co tak świetnie określił Mickiewicz słowami „heroizm niewoli”. Nie heroizm walki i czynu człowieka wolnego – ale heroizm przetrwania, przecierpienia, poddania się rozkazom i woli tych, którzy nam rozkazywać mogą i powinni.

Zmieniły się warunki życia, ale zmieniły się tak nagle w stosunku do całych wieków poddaństwa kobiet, że muszą się one teraz zdobyć na wielki wysiłek, aby jednym susem przeskoczyć wiele szczebli na drabinię życia, aby wyzbyć się całkowicie balastu owego „heroizmu niewoli”.

Nie mówię o silniejszych, wybitnych jednostkach, ale o przeciętnej niewieście. Ogół kobiet popełnia błędy, które się będą na nich mścić

ły, a co gorsze – popełnia je w wychowaniu córek i uczennic. Coraz częściej się słyszy, że kobiety nie utrzymują tego co zostało im dane, bo... No właśnie, bo co? I tutaj słyszy się głosy pełne oburzenia wskazujące na szereg rzekomych wad ujawnianych i win popełnianych przez kobiety w pracy. Nie wspomnę już o powtarzającym się zarzucie skłonności do flirtu w czasie poświęconym pracy, bo przecież flirtu nie uprawia się samotnie, więc jasne jest, że obie strony ponosić muszą odpowiedzialność.

A więc jakie są te rzekome wady?

Po pierwsze: brak poczucia odpowiedzialności. Przychodzi taka panienka do biura, pracuje źle, ale jak się jej zrobi uwagę, płacze albo obraża się, bo dotknięto jej godność niewieścią. Tak mówią jedni. A inni?

Po drugie: kobiety rzekomo nie są zdolne do pracy niezależnej, samodzielnej, na stanowisku kierowniczym. „Słuchać i wykonać to ona potrafi, ale na własną rękę powziąć decyzję – broń Boże”!

Po trzecie: jak trudno pogodzić brak solidarności kobiet z wieczną zazdrością? Dlaczego w organizacjach, do których należą prawie wyłącznie kobiety, na prezesa przeważnie zostaje wybrany któryś z nielicznych mężczyzn? Bo każda członkini woli głosować na niego niż pozwolić na wywyższenie swej koleżanki, a ponadto, brak im odwagi by przyjąć na siebie odpowiedzialność. Słyszy się jeszcze inne zarzuty: współpraca z kobietami jest męcząca, bo wprowadzają one do biura wymagania życia towarzyskiego, chcą mieć salon zamiast biura. Podwładne żądają na przykład, żeby szef przyszedł się im przedstawić, bo ona jako kobieta nie może mu się przedstawić, jak tego wymaga zwyczaj danej instytucji. A niech no która dojdzie do wyższego stanowiska, niech okaże większe zdolności, z jaką pogardą mówić będzie o kobietach, o „babskich plotkach”, ich kłótniach, intrygach i głupstwach; pragnie podkreślić, że już wyrosła ponad to wszystko.

Czemu to kobiety tworzą kobiece związki polityczne, skoro mogą należeć do partii, które istnieją? Jednocześnie zaś okazują dziwną obojętność w stosunku do spraw, które dotyczą kobiet, lub przede wszystkim kobiet. Jak na przykład ustawodawstwo o ochronie pracy kobiet, temat, który należałoby poznać i zdanie ogółu kobiet pracujących mogłoby mieć znaczenie. Lub aktualne teraz ustawodawstwo małżeńskie, dyskutowane jest wszędzie szeroko z punktu widzenia kościoła, pań-



stwa, społeczeństwa, ale kobiety musiałyby przede wszystkim swoje zdanie wypowiedzieć, bo na nich spadają największe w rodzinie ciężary, największa odpowiedzialność i one są tej rodziny prawidłowym cementem. Dalej pozostaje kwestia regulacji urodzin, upadku moralności, walki z prostytutką. Czego chcą kobiety? co myślą o tym? Jakiego rozwiązania tych zagadnień żądają na przyszłość? Jakie wskazówki dadzą swym córkom? Czemu prowadzimy strusią politykę, zamykając oczy na sprawy, które nas boją? Czy dlatego, że wymagają one więcej odwagi, wiary i siły, niż nas stać? A może często fałszywy wstyd?

Przytoczyłam tu kilka przykładów wad, które nam zarzucają; zarzutów tych jest wiele, bardzo często w większości są one niesłuszne, ale czy my się bronimy?

Czemu nie ma zebrań, wieców, artykułów w prasie? Mówię nie ma, bo to co jest to kropla w morzu, która nie ma znaczenia ani dla uświadomienia szerszego ogółu kobiet, ani nie może wpłynąć na zmiany w ustawodawstwie.

Co damy przyszłemu pokoleniu? Czy wady, które nam zarzucają: brak poczucia samodzielności, inicjatywy, kaprysy i histerie, brak niezależności i należytego stosunku do pracy? Czy patrząc na uczennice i studentki możemy powiedzieć, że one będą wiedziały, jak powinien żyć i pracować człowiek wolny? Czy uważają pracę za obowiązek i szczęście, czy tylko za przejściowy etap do małżeństwa? Czy dajemy im ten ideał pracy i rozwoju duchowego jako cel życia, zamiast jedyne go tradycyjnego ideału i celu dziewczyny: małżeństwa?

Proszę mnie źle nie zrozumieć, gdy mówię, że małżeństwo musi przestać być jedynym celem życia kobiety. Uważam tylko, że powinno się wskazywać córkom szersze cele, a gdy będą rozumiały, czym jest praca, zyska na tym również i rodzina.

Niechże ideałem przyszłego pokolenia kobiet będzie działanie, czyn, szlachetna walka. Niech „heroizm wolnego człowieka” zastąpi „heroizm niewoli”, czyli bierne, mniej wartościowe, niewolnicze uleganie złym losom i wstydlive zamykanie oczu i uszu przed tym, co kobietę najbardziej dotyczy i boli.\*

---

\* Pogadanka przygotowana w roku 1929 dla rozgłośni wileńskiej Polskiego Radia w ramach cyklu audycji o równouprawnieniu kobiet.

## OBRONA GODNOŚCI OSOBISTEJ

Zasadą każdego systemu prawnego jest ponoszenie odpowiedzialności za czyn lub jego zaniechanie tylko przez bezpośredniego sprawcę. Jeżeli prawo, w zakresie wynagrodzenia szkód materialnych dopuszcza odpowiedzialność osób trzecich, które mogą odpowiadać bądź za osoby od nich zależne, bądź – znajdujące się pod ich opieką (np. mocodawcy za pełnomocników, instytucje za zatrudnionych w nich pracowników, rodzice za małoletnich dzieci), to czyni to ze względu na interes materialny pokrzywdzonego i odpowiedzialnością obciąża wyłącznie majątek. Natomiast nie można karać osoby, która nie zawiniła. Ażeby kogoś skazać, należy uznać go winnym. Czyn podlegający karze musi być więc skutkiem zachowania się osoby karanej, a nie kogo innego. Pociąganie do odpowiedzialności osoby, która nie zawiniła, byłoby sprzeczne nie tylko z obowiązującymi przepisami, lecz również z poczuciem słuszności.

Do rzędu czynów, za które sprawca winien odpowiadać, należą wszelkiego rodzaju zniewagi w słowie lub czynie, „rzucane w twarz” lub zaoczne. Przepisy kodeksów karnych zaliczają zniewagi do przestępstw, ściganych przy pomocy aparatu państwowego. Jednakże za wyjątkiem znieważania osób urzędowych w czasie lub z powodu pełnienia przez nich obowiązków z ich stanowiskiem związanych – organy władzy państwowej nie biorą na siebie inicjatywy ścigania. Uzależniają to ściganie od woli osoby znieważonej, która występuje w tych wypadkach w charakterze oskarżyciela.

Zależnie od wrażliwości tej osoby, jej pojęcia o honorze, od stopnia zniewagi, chęci szukania satysfakcji przy pomocy sądu, okoliczności w

których zniewaga miała miejsce – układają się różnie dalsze losy zatargów honorowych. Czasem drobny konflikt przy ustąpieniu miejsca w przejściu, wagonie lub teatrze może doprowadzić do starcia w pojedynku, czasem zaś ciężką zniewagę puszcza się w niepamięć. W sprawach tych trudno bowiem o regułę. W rzeczach drobnych raczej należy unikać postępowania honorowego lub sądowego, wybaczyć nietaktowne zachowanie, przeprosić za nierozważne słowa, natomiast z momentem zaczepienia godności ludzkiej, uczciwości i podważenia do niej zaufania – należy niewątpliwie reagować w sposób najbardziej stanowczy i niezwłocznie. Oczywiście, że należy mieć na uwadze osobę, która dopuściła się zniewagi, jej wiek, stan zdrowia, które to okoliczności mogą wykluczyć możliwość otrzymania satysfakcji, bądź samą zniewagę uczynić niepoważną.

Jeżeli chodzi o obrażającego, który obraził niesłusznie i bezpodstawnie – będzie rzeczą najbardziej moralną, natychmiast lub z chwilą zrozumienia popełnionej niewłaściwości, a czasem uczynionej krzywdy, by przeprosił on, odwołał, dał wszelkie możliwe zadośćuczynienie. O ile jednak obrażający uważa, że zniewagi się nie dopuścił, lub że miał pełne podstawy do poczynienia zarzutów – powinien odpowiadać lojalnie przed sądem państwowym lub honorowym, dowodząc słuszności swego stanowiska w pełnej godności obronie.

Skoro dochodzi do momentu, gdy należy wystąpić w obronie obrażonego honoru, względnie odpowiadać za zniewagę, której się dopuściło, powstaje kwestia, kto ma wystąpić z żądaniem satysfakcji, względnie – kto winien być wezwany do udzielenia satysfakcji. Tutaj jest ważnym momentem, by reagować natychmiast, oczywiście nie wzajemną zniewagą – lecz daniem do zrozumienia, w sposób niedwuznaczny, że się jest obrażonym. Od razu więc, w samym momencie zatargu stają wyraźnie naprzeciw sobie dwie strony: obrażający i obrażony. Nie ma tu miejsca na osobę trzecią. A jednak i dziś jeszcze można napotkać odmowę ze strony mężczyzny dania satysfakcji kobiecie przed sądem honorowym i propozycję przysłania w zastępstwie męża lub brata w celu załatwienia zatargu według kodeksu Bożewicza lub Zamoyskiego. I dziś zdarzają się wypadki, że mąż (rzadziej brat lub ojciec) zostaje wzywany za czyn swej żony, lub też występuje w obronie jej honoru.

Trzeba podkreślić, że jest w tym pewna doza winy kobiet. Gdyby

umiały się one właściwie zachować w chwili zatargu, gdyby jasno uprzytomniły sobie, że nie powinny nie tylko uciekać się do opieki osób trzecich, lecz nawet nie powinny do niej dopuszczać, że korzystanie z ofiary innego jest upokarzające, zwłaszcza, gdy się mogą same bronić i odpowiadać, gdyż kategorycznie zabroniły wszczynanie postępowania bez ich udziału i same wystąpiły w swoich własnych sprawach, tworząc fakty dokonane, niewątpliwie przyczyniłyby się do szybszego załatwienia zatargu, do wzmocnienia poczucia prawa i odpowiedzialności, do rozpowszechnienia sądów honorowych zamiast pojedynków. Byłoby to poza tym zgodne z zasadą, że za czyn winien odpowiadać tylko jego sprawca, a bronić swej godności winien w pierwszym rzędzie ten, czyja godność została znieważona.

Oczywiste, sprawa odpowiedzialności honorowej kobiet nie zależy wyłącznie od ich stanowiska. Najwięcej w tym przedmiocie przesądów panuje wśród mężczyzn. W istocie, czyż nie jest coś rycerskiego, bohaterskiego niemal pełnego samozaparcia w wystąpieniu w obronie znieważonej czci niewieściej. Czy nie uprawnia to jednocześnie do sprawowania opieki i nie stanowi źródła praw?

Mówiono, że cześć kobieca to przede wszystkim cześć ludzka. Ale kobiety nie tylko chcą mieć rycerskich mężów, ojców, braci, nie tylko chcą słuchać o ich wyczynach, lecz przede wszystkim chcą mieć szacunek do siebie i mieć prawo wymagać szacunku od ludzi. Stać je na to, by nie tylko dorzuciły swój dorobek do ogólnego dorobku społecznego, lecz by czyniły to samodzielnie, nie obarczając nikogo szczególną nad nimi opieką. Na równych prawach!

Cóż zdawałoby się słuszniejszego? Można by się nawet powołać na przykład historyczny. Wszak już w bardzo odległych czasach kobiety były dopuszczone do tzw. „pojedynków sądowych”. Nowe projekty postępowania honorowego, które wykluczają pojedynki, stają na gruncie powszechności i zniesienia różnicy płci. Są jednak zwolennicy „reformy” postępowania honorowego, którzy wypowiadają się przeciwko zniesieniu tej różnicy, uważając że wówczas do sądów honorowych – jak pisze mgr K. Rybicki – „przyjdą wszystkie przekupki spod Żelaznej Bramy”. Przykład ten miał być charakterystyczny dla zatargów kobiecych, a tymczasem wskazuje na ignorowanie udziału kobiet w pracy społecznej, politycznej, zawodowej i na niezrozumienie sprawy demo-



kratyzacji postępowania honorowego, a przede wszystkim kwestii poczucia godności osobistej. Wszak równie dobrze można sobie wyobrazić zatarg nie między handlarkami, lecz między handlarzami starzyzną. Czy tylko dla nich byłoby wskazane poddanie tego zatargu przez nich powołanemu sądowi w miejsce załatwienia go w drodze bójki? To więc co dotyczy handlarzy ma nie dotyczyć handlarek?

Skoro każdy z nas, i kobieta i mężczyzna, może być zmuszony okolicznościami do wszczęcia postępowania za zniewagę lub też może być wezwany do odpowiedzialności, należy wiedzieć o tym, że są dwie wzajemnie się wykluczające drogi postępowania: przed sądem państwowym lub honorowym.

Pojedynek oczywiście wykluczam. Nie dlatego, że kobiety nie mogłyby brać w nim udziału! Gdyby ten sposób załatwiania zatargów był słuszny, sprawiedliwy, odpowiadający dzisiejszemu poczuciu moralności, nic chyba innego nie pozostawałoby współczesnej kobiecie, jak być przygotowaną na możliwość pojedynkowania się. Tylko, że zasada zmycia obrazy krwią obrażonego jest niesprawiedliwa, krwią obrażającego – niemoralna, krwią cudzą – przestępcza. Pojedynek zaś bezkrwawy, odbyty dla formy, nie oczyszcza, lecz wręcz ośmiesza. Kodeks Karny pragnąc uniknąć choć cienia przypuszczeń, że pojedynek jest uprawniony, nie wymienia go nawet jako okoliczność łagodzącą, wprowadzając w ten sposób karalność za zabójstwo lub uszkodzenie ciała spowodowane w pojedynku na ogólnych zasadach.

Są więc dwie drogi. Obie są równie dobre, bo nie wydaje się, by wymiar sprawiedliwości sądów państwowych w sprawach o zniewagi był szczególnie niekorzystny. Zależy to przede wszystkim od stron i charakteru zatargu. Ponieważ większość tego rodzaju spraw, które dochodzą do sądu, stanowią niepoważne połajanki, powtarzane wielokrotnie pomiędzy stronami i wyciągane przed sąd dopiero w razie zatargu innej natury, głównie w zamiarze ukarania przeciwnika, nic dziwnego, że i samo postępowanie sądowe nabiera momentów groteskowych i mało mających wspólnego z obroną godności osobistej. O ile jednak sprawa zostanie postawiona poważnie, to i sąd więcej jej czasu i rozważki poświęci.

Jeżeli jednak strona obrażona z tych lub innych względów woli nie uciekać się do pomocy sądów państwowych, może wezwać osobę,

która ją znieważyla przed Sąd Honorowy. Instytucja tych sądów jest już szeroko rozpowszechniona i ustaliły się w drodze zwyczajowej pewne zasadnicze normy postępowania. W ostatnich jednak czasach, w związku ze wzmożoną akcją przeciwko pojedyńkom, wyłoniła się potrzeba ujęcia tych norm w kodeksie, któryby ułatwił postępowanie, ustalił zasady i zapobiegł mogącym powstać trudnościom. W tym kierunku poszedł szereg wysiłków indywidualnych i zbiorowych. Najbardziej dojrzałym i najlepiej odpowiadającym potrzebom życia jest Powszechny Kodeks Honorowy w opracowaniu prokuratora Sądu Najwyższego Jana Gumińskiego, wydany przez Ligę Reformy Postępowania Honorowego. Omówieniem tego kodeksu zajmiemy się innym razem.\*

---

\* Przygotowane jako tekst pogadanki dla Rozgłośni Wileńskiej „Polskiego Radia” w cyklu nt. równouprawnienia kobiet. Rok 1929.

## PRZESADY

Istnieją pewne zjawiska w życiu, wobec których logika bywa bezsilną. Przeciw poprawnej argumentacji wysuwane są obyczajowe uwarunkowania naszej prakultury, stwarzając w ten sposób precedens do pozostawiania całego szeregu anormalnych wierzeń, które w określeniu psychologii patologicznej noszą nazwę przesądów czy też zabobonów. Jednym z takich przesądów jest bezwzględnie sprawa kobieca.

Zdawałoby się, iż kwestia ta nie powinna już u nas istnieć, gdyż Polska, idąc za przykładem państw germańskich i anglo-saskich, umożliwiła kobiecie rozwój jej indywidualny, a w prawie politycznym podniosła ją do godności pełnoprawnego obywatela.

Sejm ustawodawczy uchwalił Konstytucję Rzeczypospolitej, głosząc w naczelnych zasadach równość wszystkich obywateli wobec prawa, a tym samym, że „urzędy publiczne są w równej mierze dla wszystkich dostępne na warunkach prawem przepisanych”. Ta sama Konstytucja dała kobiecie czynne i bierne prawo wyborcze, w art. 101 zagwarantowała każdemu wolność wyboru zajęcia. I chociaż według ustawy zasadniczej naszego państwa żadna ustawa nie może stać w sprzeczności z Konstytucją, ani naruszać jej postanowień, a wszystkie niezgodne z nią przepisy i urządzenia prawne winne być uzgodnione z Konstytucją najpóźniej w ciągu roku od dnia jej uchwalenia – do dziś dnia jednak, czyli po 6 latach od uchwalenia Konstytucji istnieją uchwały niezgodne z nadanym przez Konstytucję prawem zasadniczym równouprawnienia obywateli. Do tych przepisów, sprzecznych z ustawą zasadniczą naszego państwa, należą postanowienia, ograniczające kobiety w wyborze zawodów prawniczych: adwokaturze i sądownictwie. Takim ostrzem,

skierowanym przeciwko kobiecie-prawniczce jest dekret z 8-go lutego 1919 r. o aplikacji sądowej, który zawiera następujące zdanie: „kobieta może odbywać aplikaturę w celu przygotowania się do zawodu adwokackiego”.

Ponieważ w b. zaborze pruskim kandydat na adwokata według tamtejszych przepisów musi być przez dwa lata asesorem, prokuratorem lub sędzią, aby być przyjętym do stanu adwokackiego, więc w ten sposób kobieta w b. zaborze pruskim ma zamkniętą drogę nie tylko do sądownictwa, ale i do adwokatury.

Jeżeli chodzi o stan prawny u nas w Polsce, to mamy taką anomalię, że kobieta będąc posłem czy senatorem uchwała ustawodawstwo dla całego narodu przy rządach parlamentarnych; nie ma prawnych przeszkód aby została prezydentem czy też ministrem sprawiedliwości i mianowała sędziów, natomiast sędzią być nie może.

Zasady demokratycznego ustroju gwarantują każdemu prawo wolności wyboru zajęcia, w praktyce zaś sąd zmusza kobietę prawniczkę, pod groźbą odrzucenia podania o aplikaturę, umieszczenia w nim rodzaju zobowiązania, że w przyszłości ma zamiar poświęcić się zawodowi adwokackiemu, co przecież jest pogwałceniem art. 101 Ustawy Zasadniczej naszego państwa.

I jakie mogą być w rzeczywistości motywy, które przemawiają przeciwko kobietom, na tym zaszczytnym stanowisku sędziego?

Oklepane komunały o przesadnej łagodności, wpływowości nie mogą być chyba brane pod uwagę, gdyż dotyczą one w równej mierze mężczyzn laików, z których rekrutuje się na przykład sąd przysięgłych, na którym robi wrażenie nie tylko mowa stron, ale nawet nastrój sali, policjant i ława oskarżonych.

Kobieta odpowiednio wychowana, wykształcona i przyzwyczajona do techniki wymiaru sprawiedliwości nie może być bardziej stronną czy wpływową od mężczyzny, natomiast pewne dostatnie cechy psychiki kobiecej, jaką jest np. intuicja, subtelniejsze wyczucie sytuacji, może jedynie dopomóc do wykrycia prawdy materialnej.

Zresztą istnieją pewne artykuły prawne dotyczące jedynie kobiet, gdzie one powinny głos zabrać.

Ze względów konkurencyjnych dla mężczyzn dopuszczenie kobiet do magistratury nie jest przecież rzeczą groźną. Czy tu może być mowa



o jakimś napływie kobiet do sądownictwa? Mogą wejść do niego jedynie jednostki bezwzględnie wybitne, gdyż sposób nominacji, czy też wyboru przez samych sędziów to gwarantuje. A jeżeli będzie kobieta, która wzbudzi zaufanie i szacunek sędziów, tak, że będą chcieli mieć ją w swym gronie, to na pewno nie zawiedzie ona zaufania, jak nie zawiodła go nigdzie, gdzie mogła mieć w społeczeństwie stanowisko poczesne (Anglia, Skandynawia, Ameryka). Weźmy np. sądownictwo dla nieletnich. Sami mężczyźni wiedzą dobrze, że kobieta rozumiejąc lepiej duszę dziecka, mając na ogół większe zdolności pedagogiczne – może skuteczniej pokieruje losem dziecka – przestępcy, znajdzie sumiennie przyczynę zła i wskaże drogę naprawy, o którą polityce kryminalnej chodzi przede wszystkim. Są przecież wypadki, że sędziowie dla nieletnich mężczyźni, zwracają się obecnie do kobiet po pomoc dla wyjaśnienia pewnych tajemnic sprawy, gdyż dziecko w obcowaniu z kobietą jest więcej szczerze i otwarte.

Kobiety więc prawniczki w obecnym stadium życia państwowego kraju domagają się usilnie dopuszczenia ich do sądownictwa, zgodnie z Konstytucją, co praktycznie przede wszystkim wyrazić się powinno w objęciu stanowisk w sądach dla nieletnich.

Od czterech lat mniej więcej kobiety, które wyszły z polskich wyższych uczelni, pracują w sądownictwie jako aplikantki sądowe, po zdaniu jednak egzaminu sędziowskiego zmuszone są wychodzić do adwokatury.

Zjazdy delegatów zrzeszeń aplikantów zawodów prawniczych z roku 1923, następnie 1926 wyniosły rezolucje, aby u czynników miarodajnych domagać się usilnie dopuszczenia kobiet do sądownictwa, a w b. zaborze pruskim również do adwokatury.

Rezolucje te są wyrazem poglądów całego młodego pokolenia prawników polskich, uchwalane są przez mężczyzn kolegów-aplikantów i dowodzą zaufania, jakie pokładają w kobiecie-prawnicze.

Tegoroczny zjazd młodych prawników stanął również na stanowisku, że konieczne jest spowodowanie zmian w obowiązującym ustawodawstwie przez wydanie ustawy bądź rozporządzenia uprawniającego kobiety do wstąpienia w poczet adwokatury na terenie Sądów Apelacyjnego w Poznaniu, Toruniu i Katowicach, jak również o spowodowanie wydania ustawy bądź rozporządzenia uzgadniającego – Kon-

stytucją obowiązujące przepisy o aplikaturze sądowej przez dopuszczenie kobiet do odbywania tej aplikantury w celu przygotowania się do zawodu sędziowskiego i adwokackiego. A życie samo rozstrzygnie, czy kobieta, mając formalną możliwość osiągnięcia pewnego stanowiska – dojdzie do tego celu.

W związku z tą sprawą dn. 5 kwietnia delegacja z dwóch delegatek prawniczek i prezesa Rady Naczelnej Związku Zrzeszeń Aplikantów Zawodów Prawniczych Rz.P. uzyskawszy audjencję u Pana Ministra Sprawiedliwości Meysztowicza została bardzo przychylnie przyjęta i spotkała się ze strony p. Ministra z wielkim zainteresowaniem się tą kwestią, tak żywo zajmującą ogół kobiet.

Pan Minister zajął się postulatami wysuwanymi przez Radę Naczelną Związku Zrzeszeń Prawniczych i przyrzekł swe całkowite poparcie w uzgodnieniu dotychczasowych przepisów z Konstytucją.

Kobiety – prawniczki żywią nadzieję, że dobra wola Pana Ministra, wolnego od przesądów, otworzy im drogę do wydajnej i pełnej poświęcenia pracy w polskim sądownictwie.\*

---

\* Artykuł opublikowany w wileńskim „Słowie” z dnia 16 kwietnia 1927 r. (Nr 1401 – rok VI. Nr 88.

### III. ZAPISKI SĄDOWEGO OBROŃCY

## SPRAWA ROTMISTRZOWEJ A. NOWICKIEJ

Sprawa, którą chcę opisać, toczyła się dnia 18 maja 1938 r. przed Sądem Okręgowym w Wilnie. Wybrałam ją z szeregu innych spraw karnych, w których brałam udział jako obrońca, z uwagi na odmienną linię obrony przyjętej przez dwóch obrońców. Znaczenie miała też osoba oskarżonej oraz miejsce, gdzie zostało popełnione przestępstwo.

Wielki parterowy drewniany dwór był pozostałością majątku ziemskiego, który niegdyś istniał na prawym brzegu Wilii. Zniknęły zabudowania gospodarcze, pozostał tylko jeden budynek, duży dwór z podjazdem od bramy przy ulicy. Naokoło pustkowie, bardzo rzadko porożrucane domki, przy niebrukowanej uliczce, odległe od siebie, nieogrodzone. Poza dworem z zabudowań folwarcznych zachowały się jedynie składziki przy bramie wjazdowej, a za domem ogród, który stokiem schodził do brzegu rzeki. Właścicielem domu i samotnym jego mieszkańcem był rotmistrz Nowicki, hobbista, który jako zamiłowany zbieracz obrazów i wschodnich dywanów urządzał dom nieco po staroświecku. Kiedyś, gdy jechał służbowo do Warszawy, wchodząc do przedziału 1-szej klasy zobaczył panienkę, która okazała się zamieszkałą na Litwie Kowieńskiej jego kuzynką. Z rozmowy rotmistrz dowiedział się, że panienka jedzie do Polski z zamiarem wstąpienia do klasztoru. Zdziwił się bardzo tym postanowieniem, tym bardziej, że kuzynka okazała się ładną, zgrabną i miłą osobą. Rotmistrzowi udało się odciągnąć kuzynkę od jej zamiaru i stało się wreszcie tak, że panienka już jako żona rotmistrza zamieszkała w wielkim samotnym dworze nad

rzeką. Mieli dwoje dzieci, służąca była przychodzącą, a ordynans też przychodził rano, a wieczorem wracał do koszar. Rotmistrz też często miał służbę w koszarach, podróże służbowe, manewry. Pani Nowicka często zostawała w nocy sama z dziećmi.

Od pewnego czasu Rotmistrzowa zauważyła, że ze składziku koło bramy wjazdowej ginęły różne mało wartościowe rzeczy: narzędzia, zepsute meble, stara kołdra itd. Zaczęło ją to niepokoić, że ktoś kręci się koło domu po nocy, psuje skobel przy zamku, zabiera jej rzeczy. Zawsze rano szła do składzika zobaczyć, czy zamek jest cały. Wieczorem po ułożeniu dzieci do snu, zostawała sama i nie mogła zasnąć. Myślała o tym, że ów włamywacz może zakraść się do domu. Wyobrażała sobie sytuację, w której i dzieci jej mogą być zagrożone przez tego nieznanego. Wieczorem i w bezsenne noce ogarniał ją strach. Gdy kładła się do łóżka, leżała z otwartymi oczami, które patrzyły w ciemne oczodoły pozbawionych okiennic okien, co jeszcze bardziej podniecało jej wyobraźnię. Mąż był wtedy na manewrach. Taki stan trwał dość długo. Przez kilka tygodni właściwie nie kładła się w ogóle do łóżka, lecz czuwała – siedząc na kanapie w gabinecie, skąd było widać bramę wjazdową.

Pewnej nocy, gdy spojrzała w okno, zobaczyła przy składziku światło elektrycznej latarki. Wówczas zerwała się z kanapki, zdjęła wiszący nad kanapką krótki kawaleryjski karabinek, który był nabity, otworzyła drzwi od przedpokoju, stanęła na progu ganku, zarepetowała i mierząc przed siebie wystrzeliła, trafiając... wprost w głowę policjanta, który chciał skontrolować, czy ktoś się nie dobiera do składzików.

Okazało się, że na inspekcję przyszło dwóch policjantów. Po pierwszym strzale ten drugi krzyknął „nie strzelać – tu policja”. Zanim przyjechało pogotowie, pani Nowicka przyniosła poduszkę, aby podłożyć ją pod głowę leżącego policjanta.

Przeżycie związane z wypadkiem, spowodowało poronienie, gdyż pani Nowicka była w ciąży. Znalazła się w szpitalu. Właśnie wtedy odbył się pogrzeb policjanta. Za trumną szedł z wieńcem Rotmistrz. Był on człowiekiem zamożnym, a zdając sobie sprawę z moralnych i finansowych skutków śmierci policjanta wdowie po nim rotmistrz kupił dom. Miało to potem znaczenie dla obrotu sprawy karnej.

Przeciwko pani Nowickiej prokuratura wniosła akt oskarżenia za-



rzucając jej popełnienie zbrodni z art. 225 kk z roku 1932. Mimo tego zarzutu oskarżona przebywała na wolności. Obronę powierzono dwóm osobom: znanemu starszemu adwokatowi mieszkającemu – tak jak i ja – na ulicy Mickiewicza w Wilnie o nazwisku – o ile sobie przypominam Kulikowski oraz mnie, wówczas jeszcze stosunkowo młodemu obrońcy.

Może to kogoś dzisiaj dziwić (i słusznie), jednak w owych czasach powierzenie obrony równolegle dwóm adwokatom nie zobowiązywało ich do uzgadniania jednolitej linii obrony. Każdy bronił tak, jak uważał za potrzebne i słuszne.

Odbywałam wielokrotnie konferencje z oskarżoną przed rozprawą. Dążyłam do tego, aby pozyskać jej zaufanie, a w zamian otrzymać od niej szczerze i prawdziwe informacje. Chyba udało mi się to. Na pytanie dlaczego strzelała, czy chciała zabić złodzieja, bo tak się przyznawała u sędziego śledczego – oskarżona zaprzeczyła. Widziałam, że kobieta ta była zupełnie załamana. Tłumaczyła mi ciągle, że nie wie, dlaczego strzelała, że była w jakimś strachu, zdenerwowaniu. Powtarzała:

– Czyżbym chciała zabić człowieka, który mi zabiera bezwartościowe rzeczy, ja nie chciałam nikogo zabić, ja nie wiem dlaczego ja to zrobiłam.

Zrozpaczona swym czynem myślała tylko o jego skutkach, o śmierci ojca rodziny, jedyne go jej żywiciela, człowieka, którego intencją była chęć pomocy jej w tej strasznej dla niej samotności, a nie o swoim własnym losie.

Mówiła do mnie, że nie żał jej było właściwie tych ginących pozbawionych wartości drobiazgów, które były wykradane z rupieciarni, ale fakt, że ktoś obcy w złych intencjach chodzi po nocy koło jej domu, zagląda w okna, może wtargnąć do mieszkania, doprowadziło ją po prostu do stanu chorobliwego.

Doszłam do wniosku, że długotrwałe czuwanie, bezsenność, obawa o los dzieci, strach, musiało być przyczyną sięgnięcia po karabin. Zdałam sobie sprawę, że nie chodzi tu o błąd, lecz że inne psychiczne czynniki spowodowały tragedię. Zaczęłam szukać pomocy w literaturze fachowej, a więc w psychiatrii. Znalazłam pracę prof. Bleulera z Zurychu i Kraeplina z Monachium<sup>1</sup>, twórców współczesnej psychiatrii. Tam znalazłam potrzebną podbudowę moich spostrzeżeń, stwierdze-

nia, że u ludzi nerwowych mogą nastąpić anormalne stany, skutek tak zwanej „nerwicy oczekiwania” (*Erwartungsneurose*). Powodem tego mogą być okoliczności zewnętrzne jak noc, bezsenność, samotność. *Następuje wtedy hamowanie właściwości krytycznych mózgu, a wzmożona pobudliwość popycha do czynów irracjonalnych. Przyczyną może być też zaburzona orientacja w sytuacji, lub fałszywy sposób percepcji zjawisk zewnętrznych.*

To, co pisali uczeni, świetnie pasowało do sytuacji oskarżonej. Ponadto w aktach sprawy znajdowało się zaświadczenie lekarskie, iż oskarżona jest chora na gruźlicę włóknistą i że pożądanym jest, aby usunąć ciężę. Ona zaś pragnęła urodzić dziecko i to też było powodem jej zmartwienia i zdenerwowania.

Nadszedł dzień rozprawy. Wdowa po zabitym w żałobie była na sali rozpraw. Widać było, że nawet ona zdawała sobie sprawę z tego, co musi przeżywać oskarżona. Ta ostatnia zaś błada, słaba po przebytej chorobie, przyjęłaby każdą karę, każde cierpienie, byle tylko można było odwrócić to, co się stało.

Na rozprawie oskarżona wyjaśniała Sądowi Okręgowemu cicho i skąpo, że ona teraz nie może sobie wytłumaczyć swojego postępku, że „coś” ją po prostu zmusiło do sięgnięcia po karabin, bo dzieci w pokoju nie spały, bo mogła im się stać krzywda. O stanie psychicznym oskarżonej dowodził fakt, że przesłuchana przez sędziego śledczego w dzień zabójstwa zeznawała, że nie chciała zabić posterunkowego policjanta. W dalszym ciągu przesłuchiowań mówiła zaś, że złodzieja. Chciała wykazać pewną logikę swego postępowania, nie rozumiejąc, iż irracjonalność postępku właściwie odzwierciedla jej stan psychiczny. Na rozprawie już ochłonęła. Wyjaśniła szczerze, że nie chce zabić złodzieja, lecz „coś co było w niej” pchnęło ją do oddania strzału.

Pierwszy przemawiał adwokat Kulikowski. Jego obrona polegała na przyjęciu koncepcji błędu. Chciała zabić złodzieja, a zabiła policjanta. W tym kierunku poszła jego obrona. Mówił również o obronie koniecznej, dopuszczał jako drugą przesłankę obronnej linii urojoną obronę konieczną, wnosił o nadzwyczajne złagodzenie kary.

Moje stanowisko było odmienne: broniłam oskarżonej stanem nerwowo-psychicznym, opierając się na autorytetach naukowych. W aktach sprawy było zaświadczenie lekarskie wydane po zabójstwie, z któ-

rego wynikało, że oskarżona była wyczerpana nerwowo, cierpiała na bezsenność, ma depresję, skłonność do samobójstwa. Wylaniało się zagadnienie, czy były to objawy nowe. Lekarz biegły stwierdzał, że skutki ostatnich przeżyć mogły pogorszyć jej stan, ale już i przedtem jest stan musiał być zły. Powoływałam się w obronie na profesora Kraepelina, który twierdził, że ludzie uważani za zdrowych, normalnych, wykrywali u siebie stan nerwicy wyczekiwania po jakimś nieszczęśliwym wypadku. Dalszym zagadnieniem było to, czy ciąża mogła mieć wpływ na to, co się stało. Powoływałam się również na profesora Józefa Novaka z Wiednia, który w pracy pt. *Biologie und Pathologie des Weibes* mówiąc o wpływie ciąży na system nerwowy pisał – *ciąża jest jednym z najważniejszych przeżyć dla kobiety i poważnie wpływa na jej psychikę (...) następują zmiany w działalności gruczołu wydzielania wewnętrzznego i na tym tle powstają intoksykacje, które na skutek krążenia we krwi ciężarnej trujących produktów przemiany materii, powodują wzmożoną pobudliwość systemu nerwowego, co objawia się w omdleniach, wymiotach, oblewaniu się potem itd.*

Twierdziłam, że ciąża u oskarżonej mogła wpłynąć na jej system nerwowy. Całość mojej obrony sprowadzała się do twierdzenia, że nerwica oczekiwania, wpływ ciąży, przeżycia związane z ewentualną koniecznością usunięcia ciąży, stały się przyczyną znacznie zmniejszonej poczytalności oskarżonej w chwili czynu. Przekonywałam, że szczerze i prawdziwe są wyjaśnienia oskarżonej na rozprawie, a nie składane bezpośrednio po czynie, kiedy znajdowała się ona w szoku. Mój wniosek sprowadzał się do zastosowania nadzwyczajnego złagodzenia kary, w oparciu o art. 18 kk (z roku 1932).

Ogłoszono wyrok, na który czekała cała sala Sądu Okręgowego, gdyż sprawa była wyjątkowa. Sześć miesięcy więzienia z zawieszeniem, przy zastosowaniu art. 18 kk.

Ciężar spadł z serca! Wyrok był dla mnie satysfakcją. Sąd Okręgowy w uzasadnieniu podzielił moją koncepcję obrony.\*

### **Przypisy**

1 Podręcznik psychiatrii, wydanie w języku rosyjskim – Berlin 1920 r.

\* Artykuł opublikowany w numerze bydgosko-toruńskim „Palestry” nr 12 z 1977 r. w rubryce – Wspomnienia pt. „Z pamiętnika obrońcy”.

## SPRAWA M. GRIGORIEWA

Gdy dzwonek zadzwonił, udałam się do przedpokoju, aby otworzyć drzwi. Na schodach stał młody, wysoki człowiek, z jasną falującą czupryną i przyjemnym głosem spytał, czy może wejść i porozmawiać. Wchodząc do przedpokoju wyciągnął ręce, aby się przekonać, gdzie są ściany. Poprosiłam go do gabinetu. Mężczyzna ten z wyciągniętą ręką, posuwał ją po ścianie, aż do drzwi gabinetu. Zorientowałam się, że młody człowiek jest ślepy. Podsunęłam mu fotel, a gdy usiadł przy biurku, zapytałam, co go do mnie sprowadza. Prosił mnie o obronę w sprawie karnej. Na pytanie, jaką ma sprawę, nie od razu otrzymałam odpowiedź.

Widać było, że się skupia, że ma trudności w zebraniu myśli, że przekazanie mi informacji o sprawie nie jest tylko samym przekazaniem faktów, ale że to, o czym ma mi opowiedzieć, jest ciężkim przeżyciem dla niego i po prostu nie wie, od czego zacząć. Milcząc, rozmyślał, jak opowiedzieć o tym, co się stało. Ja czekałam. Widząc jego zmieszanie i zdenerwowanie o nic nie pytałam. Wreszcie zaczął opowiadać.

– Rok temu na zabawie poznałem dziewczynę, która mnie oczarowała swym wdziękiem, urodą i zakochałem się w niej od razu. Widywałem ją bardzo często, bo prawie codziennie po pracy udawałem się do niej. Mieszkała razem z matką, która jednak w lecie opiekowała się mieszkaniem jednego z wileńskich adwokatów. Mogliśmy więc być sami niejednokrotnie, łączyły nas bardzo bliskie stosunki. Dziewczyna mówiła mi, że mnie kocha i byliśmy szczęśliwi. Przyzwyczałem się do jej towarzystwa, nie szukałem innych dziewcząt, nie przebywałem w towarzystwie kolegów. Pragnąłem jedynie być z nią całe popołudnia,



nieraz noce. Mówiliśmy z nią o małżeństwie. Ja byłem elektromonterem, zarabiałem nieźle, ona była sprzedawczynią. Praca moja była jednak sezonowa i nastął moment, gdy roboty nie było a ja dostawałem jedynie zasiłek. Ponadto otrzymałem wezwanie do odbycia służby wojskowej. Matka Jadzi, bo tak się nazywała moja dziewczyna, zaczęła buntować córkę, uważając że nie stanowi odpowiedniej partii dla niej. Dlaczego? Było nam przecież bardzo dobrze ze sobą. Chodziliśmy razem do kina, na spacer, ona uważała się za moją narzeczoną, kochał się i nie myślałem, że Jadzia może mnie porzucić.

Ale po pewnym czasie zauważyłem zmianę w jej stosunku do mnie: nie chciała się pokazywać ze mną na mieście, niekiedy nie znajdowała dla mnie czasu, ale pozostała czuła dla mnie.

Pewnego dnia dostałem wiadomość z domu, że ojciec jest ciężko chory i prosi, aby przyjechać do niego. Miałem wrócić w poniedziałek rano. Okazało się, że stan zdrowia ojca poprawił się, pobyłem u rodziców pół soboty i część niedzieli. Rodzice byli bardzo zadowoleni z odwiedzin. Postanowiłem jednak wracać w niedzielę wieczorem. Oczywiście po przyjeździe do miasta kroki swoje skierowałem wprost do Jadzi. Było już późno, ona mieszkała na parterze, a niezupełnie zakryte storą okno tworzyło szparę, przez którą można było widzieć, co dzieje się w pokoju”.

Przestał opowiadać i widać było, że z trudem przychodzi mu opanowanie się, ręce mu drżały, skupiał myśli.

– W mieszkaniu był mężczyzna, siedzieli obok siebie w czułych uściskach. Znałem tego człowieka, był to policjant, nie utrzymywałem z nim bliższej znajomości. Po tym odkryciu dostałem chyba szoku i odszedłem od okna, poszedłem do domu.

Przekonałem się, że narzeczoną mnie zdradza, oszukuje, że ma innego mężczyznę. Postanowiłem nie zdradzać się z tym, co zobaczyłem i po południu do niej zaszedłem. Udałem, grałem spokojnego, ale wszystko we mnie wrzało. Była czuła dla mnie, ale ja już nie wierzyłem w szczerść tych objawów serdeczności. Przed oczami miałem ciągle ich obraz widziany przez okno. Nie byłem jednak w stanie rozmawiać z nią na ten temat. Była mi tak droga, że chciałem ją przed sobą wytłumaczyć, że może to były żarty, a może ją upił – różne absurdalne myśli mi przychodziły do głowy. Postanowiłem ją śledzić; po rozstawaniu się

z nią przychodziłem później ustalić, co ona robi, z kim się widuje. Przyszedłem po kilku dniach w nocy, stanąłem pod jej drzwiami i słyszałem jej śmiech i głos mężczyzny i słowa, które wypowiadali. Takie śledzenie jej doprowadziło mnie do przekonania, że Jadzia jest osobą fałszywą, przewrotną, że mnie nie kocha, a kocha kogo innego. Widok tej kobiety w ramionach innego mężczyzny był dla mnie tak wielkim cierpieniem, że życie moje przestało mieć jakąkolwiek wartość. Spotkania z Jadzią zaczęły wywoływać we mnie uczucie wstrętu, pogardy, nawet nienawiści. Ale ponieważ nienawiść rodzi się z miłości, czułem, że jeszcze ją bardzo kocham i byłem bardzo nieszczęśliwy. Wytworzył się u mnie taki stan, że nie widziałem innego wyjścia jak śmierć. Myślałem o samobójstwie, bo moje życie bez niej nic nie było warte.

Przed wojną zdobycie broni było rzeczą łatwą, a w tym wypadku Grigoriew zauważył w mieszkaniu adwokata, u którego pracowała matka Jadzi, rewolwer, który zabrał i schował do kieszeni. Nie myślał o zabójstwie Jadzi, ale ostatnia przed tragicznym wydarzeniem rozmowa tak go oburzyła, zdenerwowała, że słysząc jak każe mu opuścić swój dom i zrywa z nim zupełnie, sięgnął do kieszeni, wyjął rewolwer i strzelił do niej z bliskiej odległości celując w głowę, a następnie przyłożył sobie lufę do skroni i pociągnął za cyngiel 3 razy. Miały być dwa trupy – nie było żadnego. Jadzia była raniona w okolicy czoła, ale tak wysoko, że kula robiąc ranę na czole w okolicy włosów przesunęła się tylko po głowie i utkwiała w ścianie. Kule zaś, które były skierowane do niego, przeszły poza gałkami ocznymi powodując uszkodzenie nerwów wzrokowych. Stąd prawie całkowita ślepotą. Grigoriew widział tylko cienie. Gdy zjawił się u mnie, nie był już elektromonterem, lecz pensjonariuszem Schroniska dla Ociemniałych, gdzie wyplatał koszyki.

Konsekwencją tej nieszczęśliwej miłości była sprawa karna o usiłowanie zabójstwa.

Sprawa ta nie była sprawą codzienną, dlatego też dnia 1 kwietnia 1932 roku do wielkiej sali Sądu Okręgowego przy ulicy Mickiewicza przyszło bardzo dużo widzów, zachęconych wzmiankami w prasie o jak zawsze intrygujących i sensacyjnych tytułach.

Poszkodowana, zeznając przed Sądem potwierdziła wszystko to, co powiedział oskarżony. W ich zeznaniach nie było żadnych sprzeczności. Uznała swoją winę, przyznała się do tego, że go oszukiwała itd.

Oskarżony opowiedział to, co poprzednio opowiadał mnie. Dziewczyna ze skrucną i samooskarżeniem przedstawiła Sądowi swoje grzechy i tym samym broniła oskarżonego, jak tylko mogła.

Jasne było od początku, po przeczytaniu aktu oskarżenia, że mamy do czynienia z usiłowaniem zabójstwa z afektu, pod wpływem silnego wzruszenia psychicznego (obecnie mówi się wzburzenia psychicznego), ale i z tego artykułu kara może być wysoka.

Dla obrońcy sprawa była bardzo wdzięczną do obrony. Nawet prokurator w swym przemówieniu zaznaczył, że „spowiedź” oskarżonego całkowicie zasługuje na wiarę.

Dziewczyna jest zdrowa, nic się jej nie stało, małą bliznę na czole pokrywała loczką, tak że nie było widać nawet ewentualnego oszpeca. A oskarżony? Sam na siebie wydał wyrok, i to śmierci, sam był dla siebie katem, bo ten wyrok wykonywał, a teraz jest ślepcem plecącym koszyki w Zakładzie dla Ociemniałych...

Dnia 4 kwietnia 1932 roku w dzienniku „Głos Wilna” ukazało się długie sprawozdanie z procesu kończące się tymi słowami: *Doskonałe przemówienie adwokat Szukowskiej tak oddziało na słuchaczy, że wszyscy obecni na sali, nie wyłączając mężczyzn – płakali. Nawet sędzia miał oczy pełne łez.*

Sąd skazał oskarżonego Grigoriewa na 6 miesięcy więzienia zawieszając karę na 3 lata.

## SPRAWA MARII KORZENIOWSKIEJ

Maria Korzeniowska pochodziła spod Lidy, gdzie na wsi posiadała z mężem małe 4-hektarowe gospodarstwo rolne z bardzo starymi zabudowaniami i lichą ziemią, więc życie ich było bardzo biedne. Maria wychodząc za mąż nie wiedziała, że ten, kogo poślubia, jest człowiekiem psychicznie chorym. Wprawdzie sąsiedzi śmieli się nieraz z niego, twierdząc, że gada od rzeczy, że jest „niezgodny” i bardzo gwałtowny, ona jednak podejrzewała sąsiadów, że są złośliwi i każdego obmówią, kto tylko nie jest im powolny. Wyszła więc za mąż i dopiero w codziennym życiu okazało się, że mąż jest nienormalny. Traktował żonę okrutnie, bił ją, wymyślał jej ordynarnie, a pracował w gospodarstwie tylko wtedy, kiedy miał ochotę, niesystematycznie, tak że nawet ciężka praca na roli, zwykle wykonywana przez mężczyzn, spoczywała na barkach nieszczęsnej kobiety-żony. Mieli czworo dzieci. Gdy Maria pracowała w polu, mąż zostawał w domu i bawił dzieci lub też próbował przygotować posiłek. Był trudny w pożyciu. Wszystko go drażniło, wybuchał bez powodu, groził jej nożem, bił bez przyczyny. Maria poczęła robić starania, aby go umieścić w zakładzie psychiatrycznym, ale napotykała wielkie trudności, gdyż wieś wówczas nie była ubezpieczona, trzeba było za pobyt i leczenie płacić, a nie było na to środków. Gdy urodziło się piąte dziecko, mąż Marii często zostawał w domu, widać było, że lubi to niemowlę, nosi je na rękach, całował, tulił do siebie. Pieszczoty te jednak skończyły się tragicznie. Gdy któregoś dnia Maria wróciła z pola do domu, znalazła dziecko nieżywe. Pytała męża co się stało, a mąż jej tłumaczył, że on nie wie, co się stało, bo on żadnej krzywdy dziecku nie zrobił, tylko dziecko tulił i pieścił. Widocz-



nie robił to tak mocno, że dziecko udusił. Będąc w chacie małe dzieci potwierdziły, że tak było w istocie, jak ojciec mówił. Było w tej sprawie prowadzone dochodzenie. Ale sprawę umorzono. Dziecko umarło i koniec. Życie płynęło dalej w cierpieniach i męce. Mężowi przychodziły do głowy różne koszmarnie pomysły. Śmierć dziecka, które udusił spowodowały to, że przyjęto go wreszcie do zakładu psychiatrycznego. Historia choroby począwszy od roku 1921 do dnia wypisania go z zakładu w roku 1927 daje obraz stanu jego zdrowia, a jednocześnie obrazuje tragiczne życie tych dwojga ludzi, gdy chory przebywał jeszcze w rodzinie na wsi.

Rozpoznanie kliniczne było następujące: dementia organica. Choroba podstawowa – psychosis luetica; powikłanie – otępienie organiczne mózgu.

Rok 1921: urojenia prześladowawcze, omamy skomplikowane o treści przykrej. Jest złośliwy, cechuje go negatywizm. Stany podniecenia, bezsenność. Na sali zachowuje się agresywnie, wypowiada urojenia prześladowcze, bije chorych. Krzyczy, wymyśla, usiłował uderzyć lekarza, bywa izolowany, napada na najbliższe otoczenie. Przy badaniu stawia opór, nie odpowiada lekarzowi na pytania. Wygląd jego twarzy zdradza gniew. Pokarmy przyjmuje niechętnie.

Rok 1924: rozmawia bez sensu. Przychodzi żona, która chce go „oswobodzić”. Biję swego sąsiada – chorego Deryna, obraża czynnie innego chorego, nie daje się zbadać, jest podniecony, agresywny, cyniczny, sypia źle.

13 stycznia 1927 roku rozmowa z doktorem przebiega bez sensu, chory chce iść do domu.

17 czerwca 1927 roku wobec przeludnienia oddziału psychiatrycznego zostaje wypisany bez „objawów remisji”.

Chory powrócił więc na wieś, do żony, do dzieci. Wypisano go formalnie z powodu przeludnienia, ale właściwie dlatego, że nie było środków na opłacanie szpitala. Gdy przebywał te kilka lat w zakładzie, żona odwiedzała go często. Do stacji kolejowej było daleko, szła piechotą, a w woreczku na plecach niosła dla niego coś do jedzenia, coś bardzo skromnego, chleb własnej roboty, kawałek mięsa czy ciasta. Jechała koleją i wracała zmęczona i nerwowo wyczerpana do swojej gromadki.

Gdy mąż powrócił do domu, pożycie z psychicznie chorym stało się nie do zniesienia. Gdy pierwszy raz rozmawiałam z Marią w więzieniu po tragedii, jaka nastąpiła, pytałam, co znaczą liczne blizny na jej twarzy. Odpowiedziała mi, że to mąż przychodził do niej w nocy i szczyrym kaleczył ją przecinając skórę na twarzy. Stąd szereg blizn na policzkach.

Wreszcie doszło do tragedii. Gehenna, jaką przeżywała ta kobieta, doszła bowiem do zenitu. Ponad granice wytrzymałości ludzkiej. Maria wzięła siekierę i w nocy kilka razy uderzyła nią w głowę śpiącego męża.

Będąc członkiem Patronatu Więziennego i kuratorem więziennym, miałam pod opieką kobiety tam osadzone i znałam Marię która nie mając obrony prosiła, abym ją broniła, czekała już bowiem na rozprawę. Było to w roku 1930.

Dziećmi jej zajęli się sąsiedzi, na rozprawie nie było nikogo z bliskich, bo nikogo bliskiego nie miała.

Na pytanie Sądu dlaczego zabiła męża, odrzekła cicho: „on mnie tak nadojadł”. Przewód sądowy był krótki. Jeden ze świadków widział krew na skroni i uchu Marii przez zadany cios nożem przez męża. Mało jednak było ludzi we wsi, którzy wiedzieli, co przeżywa ta kobieta w pożyciu z mężem. Nie skarżyła się, była cierpliwa i łagodna. Skazana została na jeden rok więzienia za zabójstwo pod wpływem silnego wzruszenia psychicznego. Odwiedziłam ją po rozprawie w więzieniu. Opowiadały mi więźniarki z tej samej celi, że Maria leży krzyżem na cementowej podłodze i one muszą ją siłą podnosić, aby się nie przeziębila i nie rozchorowała. Powtarza też Maria „zabiłam człowieka – muszę pokutować”. Gdy rozmawiałam z nią o wyroku, który był łagodny, powiedziała:

– Tak się bałam, aby mi kary nie zawiesili z uwagi na dzieci, bo przecież ja muszę jakoś odpokutować za odebranie życia człowiekowi, dlatego że popełniłam wielki grzech.

## JAK DOSZŁO DO UNIEWINNIENIA DWÓCH KOBIET?

Na ławie oskarżonych w Sądzie Okręgowym w Wilnie zasiadły 4 maja 1937 roku dwie kobiety. Jedna z nich młoda, przystojna, z zawodu freblanka, oskarżona o to, że poddała się nielegalnemu zabiegowi spędzeniu płodu i druga starsza w wieku lat 57, znana w mieście jako doświadczona położna, pod zarzutem, iż dokonała zabiegu spędzenia płodu. Młodą oskarżoną broniło dwóch adwokatów: adwokat Andrejew i adwokat Witold Jankowski. Ja broniłam położną.

Jeżeli chodzi o oskarżoną, której 24 marca 1937 roku miano spędzić płód, to przyznała się ona do winy, opisując jak najdokładniej i bardzo drobiazgowo przebieg zabiegu, zarówno jak i co zabieg ten poprzedziło. Zeznała więc, że mając zatrzymane miesiączkowanie, którego oczekiwała około 20 marca, zaczęła podejrzewać, że jest w niepożądaney zresztą ciąży. Poznała bowiem w Ognisku Akademickim Kazimierza Kozłowskiego, który był wyjątkowo pięknym mężczyzną, nawiązała z nim bliższą znajomość i została jego kochanką. Kozłowski podawał się za studenta. Później okazało się, że studentem nie był, ale miał możliwość bywania w Ognisku Akademickim, a otoczenie uważało go za studenta. Z przywilejów tych chętnie korzystał. Oskarżona poznała Kozłowskiego w lutym, w karnawale. Poza tańcami w Ognisku młoda dziewczyna przyjmowała Kozłowskiego u siebie. Mieszkała wraz z koleżanką panną Prokszanką, która jej nie krępowała, a postawa tej koleżanki odegrała znaczną rolę w dalszym rozwoju wypadków. Janina Rejszerówna, tak się bowiem nazywała młoda oskarżona, składając wyjaśnienia w Sądzie Okręgowym oskarżała się specjalnie silnie relacjo-

nując wyczerpująco, iż po podejrzeniach, że znajduje się w ciąży, udała się do akuszerki pani Marii Brzeziny razem z koleżanką panną Prokszanką. Akuszerka po zbadaniu stwierdziła, iż oskarżona jest w ciąży i jednocześnie podjęła się usunięcia płodu dokonując w ciągu kilku dni zabiegów i manipulacji na osobie jej za wynagrodzeniem w wysokości 30 złotych.

Oskarżona Rejszerówna dokładnie opisywała dom, w którym Brzezina mieszkała, klatkę schodową, wejście, mieszkanie położnej, fakt, że naprzeciwko znajdował się lasek. Umebłowanie mieszkania opisywała nieco mniej dokładnie. Wyjaśniła, iż nocowała u Brzeziny, która zakładała jej jakieś tampony itp. Oskarżona trzydziestu złotych nie miała, a brać pieniędzy od kochanka nie chciała, więc pożyczyła od znajomych. Do akuszerki odwiózł ją dnia 24 marca 1937 roku Kozłowski i ciągle był przy niej – jak najczulszy narzeczony. Pamiętała osobę służącej Brzeziny, która była w sąsiednim pokoju, gdy zabieg był robiony. Służąca ta była średniego wzrostu. Przy zabiegach nie widziała krwi, ani krwotoku. Poza tym usprawiedliwiała się ze swego postępku, bo Kozłowski zrobił na niej bardzo silne wrażenie, miał na nią wielki wpływ i dlatego oddała mu się po tak krótkiej znajomości. Wyjaśnienia oskarżonej potwierdzone zostały przez jej najbliższą koleżankę i przyjaciółkę. Świadek Prokszanka była razem z Rejszerówną u Brzeziny. Wiedziała wszystko o zabiegu i o pożyczaniu pieniędzy na zabieg. Zeznała przed Sądem, że Kozłowski często przychodził i zostawał na noc, a „ja wtedy zasypiałam”. Zeznała dalej, że Rejszerówna 26 i 27 marca nie była w pracy, po powrocie od akuszerki siedziała na łóżku i miała krwawienie. Zdawałoby się, że wszystko jest jasne jak słońce, zabieg był i teraz trzeba tylko prosić o łagodny wymiar kary, co też uczynił broniąc jej adwokat Adrejew.

Druga oskarżona – którą broniłam – nie przyznawała się do winy. Twierdziła, że Rejszerówny dotąd nigdy na oczy nie widziała, że jej nie zna i żadnego zabiegu nie dokonywała. W okresie od 24 do 27 marca była ciężko chora po operacji wyrostka ropnego. Miała zapalenie otrzewnej (penicyliny wówczas nie było) temperaturę 40° i w tym stanie wzywany był chirurg doktor Janowicz (operował doktor Achwatowicz). Stan był tak poważny, że wezwany ksiądz Hryniewiecki wyspowiadał ją i dawał ostatnie namaszczenie. Doktor Janowicz był świadkiem i



zeznał o bardzo ciężkim stanie chorej. Inni odwiedzający ją również to zeznali. Okazało się, że mąż Brzeziny, który pracował jako portier w hotelu Georges'a nie przychodził do pracy z powodu choroby żony. Zeznawał jeszcze świadek – kobieta dostarczająca wiejskie produkty, która była akurat wtedy gdy u Brzeziny był lekarz i ksiądz. Doktor Sumorok stwierdził, że stan akuszerki był tak groźny, że absolutnie wykluczał możliwość robienia przez nią jakiegokolwiek zabiegu. Ale pielęgniarka przychodząca robić opatrunki pooperacyjne zeznawała, iż chora czasem czuła się lepiej... Wezwany na rozprawę został również jako świadek Kozłowski. Przyszedł pod konwojem 2 policjantów, a Rejszerówna gdy go zobaczyła – upadła bez przytomności. Sąd przerwał rozprawę, a myśmy cucili dziewczynę i doprowadzili do stanu umożliwiającego udział w procesie.

Na początku rozprawy postawiłam uwzględniony przez Sąd wniosek, aby do sprawy dołączone zostały akta sprawy Kozłowskiego. Z akt tej sprawy wynikało, że Kazimierz Kozłowski został skazany na 15 lat więzienia za zabójstwo. Sprawa jego znajdowała się w Sądzie Apelacyjnym z rewizją prokuratora.

Co za zabójstwo? Dlaczego Rejszerówna mdleje? Sprawa Kozłowskiego okazała się potworna. Mieszkał on u jakiejś zupełnie samotnej staruszki. Sąsiedzi zauważyli, że staruszka nie wychodzi z mieszkania (a było to 24 marca, data nam już znana). Zaczęto dobijać się do mieszkania, a gdy to nie odniosło skutku, nikt nie otwierał – zawiadomiono policję. Policja wyważyła drzwi i zastała mieszkanie splądrowane, a na kanapie znalazła ślady krwi. Podejrzenie padło od razu na lokatora, został on po kilku dniach aresztowany. Rejszerówna nic nie wiedziała, że jej kochanek był zabójcą, on też nie przyznawał się do winy, ale prosił ją pod jakimś pretekstem, aby w razie jakiegokolwiek badania zeznała, że dnia 24 marca i przez dni następne była ciągle w jego towarzystwie i że jej robiono u Brzeziny zabieg celem spędzenia płodu. Kozłowski najpierw prosił, potem wymagał, a wreszcie groził. Stwarzał sobie w ten sposób alibi nie tylko w osobie Rejszerówny, ale i Prokszówny. Dlatego tak dokładnie obie, w zмовie ze sobą i Kozłowskim opisywały przebieg tego sfingowanego zabiegu, jak również dokładna była opisywana przez nie topografia miejsca, w którym się on rzekomo odbył. Okazało się później, że Kozłowski swą ofiarę

poćwiartował i w walizce wyniósł na przedmieście, gdzie wrzucił ją do rzeki.

Ohydne morderstwo było typowo rabunkowe. Podczas sprawy dwóch kobiet wyrok w sprawie Kozłowskiego nie był jeszcze prawomocny. Prokurator domagał się surowszej kary.

W obronie omawiałam sprawę przyznawania się oskarżonej Rejszerówny. Pomogła mi w tym książka *Biologia i patologia kobiety*, praca zbiorowa pod red. Halbana – rozdział napisany przez profesora Heinricha Eifingera i *Położnictwo* Maxa Runge, gdzie podane były rozmiary płodów. Właśnie zeznania Rejszerówny były najlepszym dowodem niewinności mojej klientki. Lepszym nawet niż „żelazne alibi” w postaci jej operacji i choroby. Rozmiar 3-tygodniowego płodu stanowi około 4 mm, miesięcznego – 7 mm. W tych warunkach, jeżeli nawet istotnie był to początek ciąży u Rejszerówny, to żaden lekarz ani rutynowa акушерka, jaką była Brzezina, nie próbowaliby usuwać ciąży, bo taki mały „groszek”, mimo skrobienia mógłby pozostać. Rozpoznanie ciąży i zabieg może nastąpić później, gdy płód ma np. 7 centymetrów.

Epilogiem sprawy, mimo przyznania się do winy Rejszerówny, był wyrok uniewinniający obydwie kobiety.

Tak się złożyło w moim życiu, że siedząc w czasie wojny w więzieniu niemieckim w Wilnie znalazłam się w jednej celi z Rejszerówną, która okazała się miłą towarzyszką celi. Opowiadała mi o swej tragicznej miłości i wzdrygała się wówczas na samo wspomnienie tej tragicznej nocy, gdy Kozłowski po zamordowaniu staruszki zjawił się u niej z czułościami. Gdy ona jeszcze o niczym nie wiedziała, a ten człowiek, który ledwo zmył krew ze swoich rąk – tulił się do niej i tymi rękami ją obmacywał. Rejszerówna, która dowiedziawszy się, że szukają Kozłowskiego pod zarzutem morderstwa i obawiając się, aby nie wciągnięto jej do tej potwornej sprawy, zgodziła się na stworzenie alibi sądząc, że będzie również to dobre dla niej.

Ludzie wiedzieli o jej romansie z Kozłowskim. Sprawa spędzenia płodu mogłaby się skończyć sześcioma miesiącami więzienia, może z zawieszeniem. Dlatego to kłamstwo było tak starannie wyreżyserowane. Obydwie z Prokszanką chodziły oglądać miejsce, w którym Brzezina mieszka i na sprawie dużo więcej wiedziały i mówiły niż człowiek, który nie myśli o zapamiętywaniu szczegółów topograficznych, lecz o

celu wizyty. Nie przewidziały obydwie jednak tego, że Brzezina będzie miała alibi, a fałszywe zeznania staną się koronnym dowodem jej niewinności.

Sąd Apelacyjny wyrok uniewinniający zatwierdził.

## SPRAWA PORTIERÓW

Zwrócił się do mnie jeden z trzech portierów z hotelików III kategorii, położonych przeważnie w pobliżu dworca, prosząc o obronę w sprawie, w której był oskarżony, a mianowicie ciągnięcie zysku z nierządu. Przedstawiony w konkluzji aktu oskarżenia, stan faktyczny wyglądał tak: klienci zatrzymujący się w tych hotelach, przeważnie przyjezdni z okolicy chcący załatwić sprawy w mieście, niejednokrotnie zwracali się do portierów z zapytaniem czy też prośbą o sprowadzenie „dziewczynek”. Portierzy ci znali oczywiście okoliczne uliczki i zaułki starego miasta, gdzie mieściły się domy publiczne, znali również mieszkania poszczególnych kobiet trudniących się nierządem. Portier przywoływał na prośbę klienta prostytutkę, a ona dawała mu za to 2 złote, dzieląc się w ten sposób swoim wynagrodzeniem.

Każdy z portierów siedzących na ławie oskarżonych miał adwokata. Mój klient w akcie oskarżenia znajdował się na pozycji trzeciej. Świadcami były dwie córki Koryntu i policjantka z brygady obyczajowej, która doniosła o tym, że portierzy brali wynagrodzenie od prostitutek i sama w tej sprawie prowadziła dochodzenie.

Poza mną w procesie, jako obrońcy, było jeszcze dwóch adwokatów mężczyzn. Dziwili się, że ja występuję w takiej sprawie, która w ujęciu prokuratora miała posmak krzywdy wyrządzanej kobietom, które pochodzące zwykle z marginesu społecznego były godne pożałowania. A ja jako feministka czy sufrażystka walcząca o prawa kobiecie byłam specjalnie na to uczulona.

Rozpoczął się proces. Dwóch pierwszych oskarżonych nie przyznało się do winy i bronili się tym, że w tym okresie kiedy zarzucano im



popelnienie przestępstwa czynem ciągłym – nie byli w ogóle obecni w pracy, bo mieli urlopy, że nie było ich w ogóle w mieście, ale świadków na okoliczności nie byli w stanie dostarczyć. Twierdzili, że wówczas właśnie zastępowali ich inni pracownicy czasowo angażowani. Poza tym wyjaśniali, że żadnych pieniędzy od prostytutek nie brali i o niczym nie wiedzą.

Jednym słowem wykręcali się, jak mogli i wszystkiemu zaprzeczali. Mój klient przyznał się do pobierania od tych kobiet, które przyszły na rozprawę w charakterze świadków – po 2 złote, tłumacząc się, że nigdy tych pieniędzy nie żądał, ale one mu same dawały. Poza tym opowiedział, że gdy klienci hotelowi zażądali sprowadzenia dziewczynek, to on musiał biec do mieszkania tych pańienek, nieraz na odległą ulicę, niezależnie od pogody, w mróz lub deszcz, aby je zawiadomić, że mogą zarobić od „lepszego gościa”. Ja jeszcze nie miałam obmyślonej obrony.

Stanęli przed sądem świadkowie, a więc na początek prostytutki. Prokurator pytał, czy dawały pieniądze i ile. Przyznały, że dawały – po dwa złote. Wówczas pytałam świadka, ile zarabia nie w hotelu, ale od gościa na ulicy.

– Gdy stoję pod mostem kolejowym – to złotówkę.

– A ile pani zarabia w hotelu?

– Tam są zawsze lepsi goście. Płacą 10 złotych, obstalowują kolację z alkoholem i traktują delikatnie.

– Czy pani ma jakąkolwiek pretensję do portierów?

– Nie mam.

– Czy oni od Pani żądali pieniędzy?

– Nie – ale ja byłabym świnią, gdybym mu nie dała za fatygę. Przecież on wybiegał z portierni, śpiesząc się biegł do mnie, aby mnie zawiadomić, że mogę tak dobrze zarobić.

Obie kobiety zgodnie stwierdzały przed sądem, że portierzy im żadnej krzywdy nie robili, a przeciwnie, są im wdzięczne. Gdy zjawiała się policjantka przed obliczem sądu i zeznawała, że ona wszczęła tę sprawę, gdyż ciągnąć zysków z nierządu zabrania kodeks karny, zapytałam świadka czy prostytutki kiedykolwiek skarżyły się na portierów, że im zabierają pieniądze, czy też żądają pieniędzy. Odpowiedź była przecząca. Nie – one się nie skarżyły.

Zaczęliśmy bronić. Moi koledzy bronili zgodnie z linią obrony oskarżonych, swoich klientów. Bo jakże można było inaczej? Ja mogłam inaczej. Mój klient przyznawał fakty pobierania tych dwóch złotych. Jeżeli istnieje w kodeksie karnym taki artykuł, to jaki on ma cel? – pytałam. Chyba ochronę kobiet trudniących się nierządem. Jeżeli te kobiety – przeważnie wciągane do tego procederu przez nędzę czy przypadek potrzebują opieki, aby ich nie krzywdzono, to sprawa ta nie daje podstaw do stosowania tego przepisu. Powiedziałam, że prostytutki powinny postawić pomnik portierom z wdzięczności za to, co oni dla nich robili. Bo przecież portier nie ma obowiązku odrywać się od swego zajęcia i biec po ulicach, aby zawiadomić dziewczynę o tym, że się akurat nadarza wspaniała okazja zarobku. Dziesięć złotych zamiast jednej złotówki, a poza tym kolacja i dobre traktowanie! Nie żądano pieniędzy, ale one same uważały, że trzeba mu coś dać za fatywę. Suma dwu złotych była przez nie same wyznaczana jako sprawiedliwe wynagrodzenie. Gdzież tu jest ta krzywda ludzka nieszczęśliwych kobiet nad którą prokurator szaty rozdziera?

Obserwowałam jak zachowywał się sędzia Zaniewski, który sądził tę sprawę. Początkowo był zniecierpliwiony wykrętami dwóch pierwszych oskarżonych, bo nie było podstawy nie wierzyć świadkom, którzy stwierdzali okoliczność dawania dwóch złotych, a jednocześnie wykazywały za to przed sądem wdzięczność dla portierów. Obrona kolegów też nie była zbyt przekonująca. Gdy zaś ja „wyjechałam” z tym pomnikiem – słuchał. Widać było, że ta brzydka sprawa musi być załatwiona łagodnie, gdyż rzeczywiście jedynie formalne względy przemawiają za skazaniem w ogóle, a o żadnej krzywdzie nie może być mowy. Sędzia szukał w myślach, jak wybrnąć z tej sytuacji i uznał, że jednak to był zysk z nierządu.

Wyrok brzmiał: 8 miesięcy z zawieszeniem dla wszystkich. Zdawałam sobie sprawę, że udział mój w tej sprawie był znaczny – pomógł i kolegom. Tylko szkoda, że to zawieszenie zahamowało dobre uczynki portierów!!!

## POTWÓR

W mojej długiej karierze adwokackiej tylko trzykrotnie klient mój był skazany na karę śmierci. Pierwszy raz dostałam zawiadomienie z Sądu Apelacyjnego, że zostałam wyznaczona z urzędu do obrony człowieka skazanego na karę śmierci i mam go bronić w Sądzie Apelacyjnym. Przejrzałam sprawę, która wydała mi się potworna. Klient był oskarżony o zabójstwo swojej żony w sposób niespotykane bestialski. Skazany był rolnikiem, miał gospodarstwo i żonę, mieli dzieci czy nie, nie pamiętam. Wspomnienie to piszę bowiem z pamięci - bez akt. Pożycie ich początkowo układało się nie najgorzej. Oboje pracowali: on na roli, ona w domu i koło domu. Ale przyszedł kryzys w małżeństwie. Mąż zakochał się w pewnej młodej dziewczynie, a żona przeszkadzała mu w amorach. O rozwodzie nie mogło wtedy być mowy.

Chłop natomiast oszalał na tle swej miłości. Z żoną nie utrzymywał stosunków i zaczął ją systematycznie maltretować. Wymagał wiele pracy, traktował brutalnie. Żona była pracowita i jako gospodyni nie można jej było nic zarzucić, ale teraz stała się w domu tylko służącą, bo mąż zwał na nią całą pracę, a sam wychodził z domu i wracał późno. Chodził do kochanki, a żona nie była mu potrzebna.

Wpadł wreszcie na szatański pomysł: pod jakimś pretekstem zawołał żonę na strych, a tam przewrócił ją na ziemię i wbił jej kołek do pochwy. Kobieta nie orientowała się, co on ma zamiar jej zrobić. Był to olbrzymi, silny mężczyzna. Gdy zobaczył, że nastąpił krwotok, ściągnął żonę po drabinie w dół, tak że cała drabina została zalana krwią. Gdy kobieta dowlokła się do łóżka, on poszedł do sąsiadów powiedzieć, że żona jest chora, że nagle zachorowała. Przyszły sąsiadki, zobaczyły krwa-

wienie i poszły po pomoc lekarską. Zabrano ją do szpitala. Nastąpiło zakażenie pooperacyjne. Nie było wówczas penicyliny. Kobieta zmarła, ale zdążyła opowiedzieć lekarzom, co było powodem krwotoku.

Sąd Okręgowy, który sądził tego człowieka, stanął na stanowisku, że zadając jej ten uraz, skazany liczył się ze śmiercią żony i świadomie chciał tego. Kołkiem przebita została macica, jak również uszkodzona śluzówka pochwy! Sąd Okręgowy skazał więc oskarżonego na karę śmierci.

Poszłam do więzienia, aby się od niego czegoś dowiedzieć. Gdy wprowadzono go do celi widzeń, byłam przerażona jego wyglądem. Jeżeli zgodnie z teorią Lombrosa istnieją typy przestępcze, to na pewno człowiek ten był właśnie takim typem. Olbrzymi mężczyzna, z wielką głową, oczy rozstawione daleko jedno od drugiego, twarz szeroka, czoło niskie, długie ręce zwisające do kolan, wygląd raczej potwora niż człowieka. Aż mi było przykro przeprowadzać z nim rozmowę.

Z rozmowy wywnioskowałam, że jest to najprymitywniejszy klient, jakiego dotąd w życiu miałam. Jego tłumaczenie było niejasne. Jedno co powtarzał z uporem to to, że nie chciał, aby ona umarła, ale chciał, żeby nie była jego żoną. Po długotrwałych pytaniach, na podstawie jego odpowiedzi doszłam do przekonania, że chciał żonę okaleczyć jako kobietę, żeby nie żyć z nią, a z inną, która mu się podobała. Prymitywizm tego człowieka był niespotykany, a środek, jaki obrał dla przeprowadzenia swych celów też bez precedensu w kronikach sądowych.

W Sądzie Apelacyjnym wysunąłem tezę, iż człowiek ten nie chciał zabić swej żony, że to absolutnie nie leżało w jego intencjach. Gdyby chciał ją zabić, to przecież miał inne narzędzia zbrodni, które było, bardziej skuteczne, choćby siekiere, czy inne ciężkie narzędzie. Wyobrażał on sobie, że jego żona po tym zabiegu będzie kaleką i nie będzie miała pretensji do współżycia z nim, a wtedy on będzie mógł mieć tę swoją ukochaną. Zespół sędziów Sądu Apelacyjnego długo nie wychodził z gotowym wyrokiem. Sędziowie zastanawiali się nad moją koncepcją obrony, a gdy się zjawili: wyrok brzmiał - dziesięć lat, co stanowi najwyższy wymiar kary za zadanie ciężkiego uszkodzenia ciała. A więc moja linia obrony zwyciężyła! Podśądny nawet nie umiał mi podziękować za obronę. Wyrok przyjął bez entuzjazmu, prawdopo-



dobnie do jego świadomości nie dochodziło nic z tego, o czym była mowa na rozprawie.

Jego dalsze losy nie były mi znane.

## KLESKA

Jula była nieładna, miała szeroką twarz z wystającymi kośćmi policzkowymi, małe wypłowiałe niebieskie oczki i chropowatą cerę. Ojciec od małego dziecka jej nie lubił, nazywał „durną” i przy każdej okazji bił ją nielitościwie. Bo ojciec Juli był złym człowiekiem. Rodzina bardzo się go bała i drżała przed jego gniewem, którego następstwem mogło być wielkie nieszczęście. Sąsiedzi też go nie lubili, bo z nikim z nich nie żył w zgodzie i byle jaka różnica zdań prowadziła do awantury i bójki.

Kiedyś przed laty, gdy Jula była jeszcze bardzo mała, ojciec jej wyjechał do Ameryki i spędził tam około 10 lat. Opowiadano, że uciekł przed wymiarem sprawiedliwości za zabójstwo jakiegoś „Justyna”, groziło mu ciężkie więzienie. Powrócił na nieszczęście Juli, jak również całej rodziny, bo ojca nikt nie kochał i nie szanował. Jedyne matka, choć też szturchana i bita, umiała z pokorą i łagodnością ugłaskać rozwścieczonego męża. Inne dzieci też dostawały od ojca cięgi. Młodsza siostra Juli zmarła mając kilkanaście lat od tego, że – jak mówili wszyscy – ojciec jej „środku powybił”. Jeden z synów również zmarł w 17-tym roku życia na skutek tego, że mu ojciec poprzetrzącał „lekkie” (płuca). Taki już był ten Kajetan Sabynicz z dalekiego dzisiejszego powiatu na głębokich kresach. Jula nie była zupełnie głucha, ale miała tak mocno przytępiony słuch, że trzeba było bardzo głośno mówić do niej, aby słyszała. To też było sprawką ojcowską, bo gdy Jula pracowała w ogrodzie i kiedyś zmęczona pieleńiem zasnęła na grzędzie, ojciec zobaczywszy ją śpiącą obudził ją uderzeniami kamieni w głowę. Widocznie te fakty się powtarzały, ludzie to widzieli a na rozprawie jeden ze świadków zeznał, że gdy zasnęła na polu przerywając buraki, to też budził ją ojciec kamieniami.

Jula bała się ojca jak złego ducha, widziała w domu tyle zła, które ojca ręka zdziałala, że unikała spotkania z nim, unikała rozmowy, bo zdawała sobie dokładnie sprawę, że narazić się może ojcu każdej chwili byle czym, a o nieszczęście nietrudno. Nikt nie stanie w jej obronie, gdyż poradzić nic nie zdoła, tak samo jak ona nie mogła bronić siostry i brata, gdy dostawali ciosy, których ich wątłe, dziecinne jeszcze ciała znieść nie potrafiły. Jula w każdej chwili gotowa była uciec jak najdalej, aby nie stanąć twarzą w twarz przed groźną postacią ojca. Wszyscy go znali jako człowieka złego, gwałtownego, który bijąc otoczenie, rozładowywał swoją energię. Może to był człowiek chory psychicznie, psychopata czy sadysta, ale nikt go nie badał, nikt nie śmiałby wyjawić swych wątpliwości co do poczytalności tego człowieka. Sabynicz szczególnie nie lubił córki Juli, która wyszła za mąż nie po jego myśli, którą nazywał głupią i przyznawał się do tego jawnie, że patrzeć na nią nie może.

Bite przez niego dzieci uciekały nieraz do sąsiadów zamieszkałych około 10 kilometrów, aby tylko być jak najdalej od ojca. Wiedzieli ludzie o jego sprawkach, o konieczności ucieczki do Ameryki, o katowaniu rodziny, dlatego też na rozprawie, gdzie sędzono czyn dokonany przez Julę, wszyscy ją bronili, jak tylko mogli, żalowali ją, gdyż była to kolejna ofiara ojca – potwora. Na rozprawie dnia 11 lutego 1932 roku zeznawała matka Juli, mówiła o czynach przestępczych męża, o przyczynach zgonu dwojga dzieci i nienawiści, jaką Kajetan pałał do córki i mówiła, że samego zajścia nie widziała, gdyż gdy wróciła do domu zastała go już nieżywego, leżącego w kałuży krwi.

Opowiadała o tyranizowaniu dzieci i o tym, że stale bił Julę, która miała od tego przytępiony słuch. Zresztą wszyscy charakteryzowali denata ujemnie; i to samo zeznawał mąż Juli, przed którym się uskarżała. Brat zeznawał, że Jula miała pokrwawione stopy, gdy w dniu zabójstwa szła do domu po buty, ale ich nie mogła włożyć i wróciła na pole, bo ojciec ją odganiał kamieniami.

Jak doszło do zabójstwa ojca?

5 sierpnia 1931 roku syn Kajetana – Grzegorz zdenerwował ojca, gdyż konie weszły w szkodę u sąsiada i ojciec uderzył Grzegorza. Wstawił się za nim Atrachimowicz, mąż Juli i uderzył teścia. Potem jednak wszyscy poszli pracować na pole, a Kajetan siedział na stercie żerdzi na

podwórzu, gdzie obrzucał kamieniami Julę, gdy wracała z pola, bo pokrwawiła sobie stopy i chciała nałożyć buty. Julia wróciła na pole, ale po pewnym czasie, gdy nie mogła boszo pracować, spróbowała znowu pójść do domu po buty. I wówczas gdy znalazła się na podwórzu, ojciec zerwał się z żerdzi, podbiegł do chaty, chwycił kosę, która była zawieszona pod strzechą i z tą kosą ganiał po podwórzu wołając:

– Ja cię zarżnę.

Słyszał to przechodzący sąsiad co zeznał w sądzie. Julia wiedziała co ją czeka, jeżeli ojciec ją dopadnie, uciekała, wreszcie znalazła schronienie w domu, wpadła do sieni i zamknęła drzwi, ale ojciec chcąc otworzyć drzwi napierał całym ciałem, a był człowiekiem atletycznej budowy, był przecież silniejszy od Juli, robiła się szpara w drzwiach, której nie miała siły zlikwidować. Gdy ojciec otworzył drzwi, Julia chwyciła za siekierę, która leżała na pierńku w sieni, gdzie zawsze rąbano drzewo na rozpałkę i uderzyła ojca. Zadawała ojcu razy, nawet wtedy, gdy już leżał na ziemi. Przed Sądem wyjaśniała:

– Rąbałam siekierą ojca dopóki nie zabiłam.

Bała się, że wstanie i ją wykończy na pewno. Akt oskarżenia obejmował obojga Atrachimowiczów, ale mąż został uniewinniony, gdyż świadkowie zeznali, że wtedy gdy drugi raz Julia poszła po buty, on został na polu i był cały czas zajęty pracą. Julia zaś została skazana na 4 lata więzienia za zabójstwo pod wpływem silnego wzruszenia psychicznego. Ja jako obrońca stałam na stanowisku, że należy ją uniewinnić, gdyż stan faktyczny do dnia krytycznego jak również to, że ojciec miał w ręku tak niebezpieczne narzędzie jak kosa i krzyczał, że ją zarżnie, wszystko to daje podstawę, aby uznać iż Julia działała w obronie własnego życia.

Julia była przecież osobą cierpliwą, spokojną, zahukaną przez ojca i maltretowaną od dziecka, bała się ojca jakby przeczuwając, że może ją spotkać los nieżyjącego rodzeństwa. Zrozumiały był jej odruch chwycenia za siekierę, która przygotowana do innych celów leżała „pod ręką”. Dlatego uważałam, że Sąd Okręgowy i Apelacyjny, który wyrok zatwierdził, niesłusznie skazał Julię Atrachimowiczową. Sprawę Juli uważałam za klęskę, a wyrok za niesprawiedliwy. Być może sądy powodowały się zasadą prewencji ogólnej, ale wyrok był sprzeczny z poczuciem prawnym społeczeństwa.



## SPRAWA MARIII PIELKOWEJ

Maria z Giedrojciów Pielkowa i Stefan Purto znali się od dziecka. Bawili się na podwórku, biegali po ulicach miasta i lubili się bardzo. Maria jako młoda dziewczyna była wesoła, lubiła zabawę i towarzystwo. Ale drogi ich się rozeszły. Ona wyszła za mąż, on się ożenił. A jednak... „stara miłość nie rdzewieje”. Żona Purty uciekła i wówczas zaczął on odwiedzać Marię, skłaniać ją do tego, aby odeszła od męża i zamieszkała z nim. I tak się też wreszcie stało. Purto był Żydem i dostarczał do wojska materiały budowlane. Kochali się wzajemnie i życie układało się kochankom jak najlepiej. Bogacili się, bo ojciec Marii – stary Giedrojc na terenie swej posiadłości położonej na przedmieściu Wilna posiadał żwirownie, a żwir był cennym materiałem budowlanym, który Purto eksploatował dostarczając go do wojska wraz z innymi materiałami. Purto kupił plac w mieście i zamierzał się budować. Maria pomagała mu we wszystkim, a przede wszystkim dbała o niego, o jego zdrowie, a gdy był chory troskliwie go pielęgnowała. Purto bowiem był słabego zdrowia i niejednokrotnie zapadał na różne choroby a wtedy Maria, jak zeznali świadkowie, pielęgnowała go bardzo troskliwie i rozpaczała, że jego życie jest w niebezpieczeństwie. Żyli w zgodzie, Maria była szczęśliwa. Ale sielanka ta trwała tylko do czasu, dokąd żyła żona Purty. Po jej śmierci wszystko się zmieniło. Purto poczuł się znów człowiekiem wolnym, zaczął bywać w rodzinie zmarłej żony, gdzie mieszkała jej siostra, która przez pewien czas była u Purtów gośposią. Rodzina zmarłej żony zeznawała potem przed sądem, że Purto zamierzał ożenić się ze szwagierką. Zmienił się też zupełnie jego stosunek do kochanki – Marii. Wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że po-

winna opuścić jego dom. Zaczęły się kłótnie, dochodziło do rękoczynów. Jeżeli dawał pieniądze na życie gosposi, to zastrzegał, że to jest na jedzenie tylko dla niej i dla psa, a nie dla Marii. Poniżał jej godność osobistą, a gdy rodzina Marii, widząc, w jakiej sytuacji jest Pielkova, że jest wypędzana z domu, że jest poniewierana przez Purcę, starała się pojednać kochanków, to Purto wyjął z kieszeni dwadzieścia złotych, wręczył jej ojcu mówiąc „to na wierówkę (sznur), aby się na niej Maria powiesiła”. Siostra Marii zeznała, że słyszała groźby Purcy, że Marię zastrzeli, jeżeli nie wyjdzie z domu. A jednocześnie świadkowie zeznawali na rozprawie, że gdy Purto był ciężko chory na serce, Maria dawała na mszę w Ostrej Bramie – na intencję uratowania Stefana Purcy.

Żyła z tym człowiekiem 9 lat, była do niego przywiązana, wybaczała mu wiele jego nielojalnych postępów, bo Purto był kobieciarzem. Dorobił się on dzięki Marii i jej rodzinie, którzy dostarczali mu żwir, a Maria załatwiała mu wszelkie sprawy handlowe i była wierną kochanką. Wreszcie przelała się miarka...

Dnia 8 listopada 1932 roku w nocy Purto wrócił do domu pijany, począł grozić rewolwerem, zaczęli się szamotać, żądał, aby Maria natychmiast wynosiła się z domu, wówczas wyrwała mu rewolwer z ręki i zaczęła do niego strzelać, a po oddaniu strzałów pobiegła do komisariatu policji oddając broń i mówiąc, że zabiła człowieka. Taka była wersja oskarżonej, którą przedstawiła sądowi. Nikogo ze świadków przy tym nie było, nie było więc wersji innej. Przy sekcji zwłok okazało się, że z rewolweru oddano 4 strzały z których jeden uszkodził aortę Purcy i jego zgon był natychmiastowy.

Świadków na tej rozprawie było bardzo dużo i stworzyły się dwa obozy: jeden oczerniający Marię, drugi usprawiedliwiający jej postępek, bo słyszano, jak do tej pory Purto krzyczał:

– Wynoś się z mego domu, nie jesteś moją żoną, mam ciebie dosyć.

W „Kurierze Wileńskim” z 20 maja 1933 roku ukazało się sprawozdanie z procesu Marii Pielkovej. Tytuł był jak zwykle frapujący i zachęcający do przybycia na salę Sądu Okręgowego. W notatce pt. *Cztery strzały do kochanka* pisano: *korytarze i sala Sądu Okręgowego pulsowały wczoraj podnieconym thumem dam z półświatka wileńskiego, zlatujących się jak muchy do miodu na sprawę Marii Pielkovej, zabójczynie zamożnego przemysłowca, swego kochanka – Stefana Purcy. Trzech*

*woźnych z trudem dawano radę tej inwazji niewieściej segregując ją przy pomocy dwóch policjantów na „szczęśliwe”, tj. posiadające karty wstępu i zawiedzione oraz „zrozpaczone” tj. odprawione z kwitkiem ich drzwi. Na sali wytworzył się tłok i zaduch nie do opisania, a popłoch powstał wtedy, gdy policja zaczęła sprawdzać bilety wstępu i wyprowadzać te osoby, które jakimś cudem przedostały się bez biletu na salę. Rozczarowanie natomiast nastąpiło wtedy, gdy na ławie oskarżonych zjawiała się zabójczyni. Pryśt czar, jaki wytwarzał się koło postaci kochanki dla której Purto porzucił żonę, której zapisał cały swój majątek i z którą – najważniejsze – żył 9 lat. Na ławie oskarżonych zasiadła kobieta nietadna, o twarzy płaskiej, rysach grubych i nieciekawych, nawet wulgarnych. To nie Gorgonowa!*

Tak pisała prasa. Na sprawę zjawił się adwokat K. jako powód cywilny w charakterze przedstawiciela „opiekuna nad mieniem Purty”.

Ja broniłam Pielkovej razem ze wspomniałym adwokatem Andrejewem. Na początku rozprawy, wiedząc, że adwokat już złożył powództwo cywilne i został dopuszczony, mecenas Andrejew szepnął mi „wywalimy go z sali”. Bardzo był sympatyczny stosunek do mnie tego doświadczonego, doskonałego karnisty, który mnie zostawił tę rolę, aby usunąć z sali drugiego „prokuratora”, jakim był zawsze powód cywilny. Wiedział, że to mi zrobi przyjemność i będzie moim sukcesem.

Sąd zmienił decyzję dopuszczającą powoda cywilnego i uznał na mój wniosek, że „opiekun nad mieniem Purty” nie odpowiada wymogom art. 74 k.p.k. Ten pierwszy sukces został osiągnięty po długich korowodach i polemice przed sądem.

Na rozprawie Maria Pielkowa „spowiadała się” (jak się wyraziła gazeta) szczerze. Sprawozdanie z procesu przytacza jej wypowiedzi:

– Wypędzał mnie z domu, jeżeli się nie wyniesiesz – powiedział – to cię wyniosę. Wstydu będziesz miała na całą kamienicę. W ostatnią niedzielę w parę dni przed zabójstwem, wziął rewolwer i zaczął mi grozić, potem uderzył mnie nim w brodę. Wybiłam mu z ręki rewolwer, który wpadł pod łóżko. Gdy go odszukiwał – uciekłam do ojca. Ostatnie siły wycisnął ze mnie, ostatnią krew wypił... A byłam mu przyjacielem, któremu zawdzięcza wszystko i życie i majątek. Gdybym go nie pielęgnowała w chorobie, dawno by nie żył. Był bardzo chorowity. Gdy go poznałam, nie miał nic. Dorobiliśmy się majątku wspólnymi siłami. Po-

czątkowo pomagał nam mój ojciec. Plac kupił przy pomocy materialnej moich rodziców. Kochaliśmy się od dzieciństwa. Gdy wyszłam za mąż nie dawał mi spokoju, napastował mnie. Poszłam do niego, bo go kochałam. Ja bym go nigdy nie zabiła, był mi najdroższy.

Włożyła ta kobieta w ten stosunek całe swoje życie: „młodość i pracę”. Kiedy cudowne lata skończyły się, a bajka prysła, bilans jej życia wykazywał tylko straty, „gdyby nie traktował jej jak psa, nie byłoby tragedii”, to były argumenty obrony relacjonowane w prasie jak również to, że po przemówieniu obrony kobiety na sali zalewały się „potokiem łez”.

Prokurator wnosił o zmianę kwalifikacji czynu Pielkowej: zabiła w stanie silnego wzruszenia, ale czy jednak moralne tortury były tak wielkie, by miała się uciekać aż do krańcowego zakończenia sprawy? Mogła przecież odejść.

Obrona miała odpowiedź na ten argument prokuratora, że dla kobiety miłość jest treścią życia. Mężczyźni jest łatwiej odejść, co zresztą często czyni.

Wyrok: półtora roku z zaliczeniem 8 miesięcy aresztu prewencyjnego.

Po wyroku oskarżona wychodziła z sali rozradowana. Kłaniała się Sądowi mówiąc: dziękuję, dziękuję.

Ale prokurator Pan Dowbór złożył apelację domagając się kary surowszej. Pisał:

– Przyjmując nawet całkowicie motywy wyroku Sądu Okręgowego (przewodniczył sędzia Kaduszkiewicz – prezes Sądu Okręgowego), charakteryzujące tło czynu oskarżonej, trudno jest pogodzić się, by ceną życia ludzkiego dało się okupić ceną półtora roku pozbawienia wolności. Zbyt łagodne potraktowanie przez Sąd czynu zdesperowanej kochanki przez obranie względem niej sankcji karnej zbliżonej do jej dolnej grupy ogólnej, nie daje społeczeństwu gwarancji ochronnych przy tego rodzaju przestępstwach.

W Sądzie Apelacyjnym walczyłam wszelkimi argumentami: „Prokurator był zdania, że Pielkowa powinna była odejść. Jednocześnie bronił Purtę wszelkimi siłami, bez zastrzeżeń. Zapomniał o jego groźbach, okrucieństwie, nie licząc się z sytuacją tej, która pod groźbą surowego miecza sprawiedliwości siedzi teraz na ławie oskarżonych i zmuszona



jest uzasadnić swój krwawy czyn. Zabójstwo na tle uczuć, rozrachunek dwojga kochających się ludzi? Powiedzieć można, że jakimkolwiek jest człowiek oczekujący wyroku – „biały czy czarny”, nie stoi on poza nawiasem instynktu pierwotnego, nie jest wyłączony spod prawa ulegania afektom. Pielkova była kochającą, lojalną, wierną – była przez wiele lat bez zarzutu.

Sąd Apelacyjny jednak podzielił argumenty prokuratora i skazał Pielkova na 3 lata więzienia.

Tak skończyła się sprawa skrzywdzonej kochanki. Wyrok był dwakroć surowszy niż w sądzie pierwszej instancji.

## TADEUSZ SZELIGOWSKI PRZECIWKO REDAKCJI „SŁOWA”

Sprawa, którą chcę opisać, wpłynęła do Sądu Okręgowego w roku 1929 jako zniesławienie prasowe, a osoby biorące udział w tej sprawie były znanymi osobistościami w świecie kulturalnym Wilna.

Oskarżycielem, a moim klientem, był muzyk, twórca opery *Bunt Żaków*, w późniejszych latach dyrektor Filharmonii w Poznaniu, a oskarżonym był redaktor odpowiedzialny pan Wojdyłło, który puścił do druku 12 kwietnia 1929 roku obraźliwy artykuł pióra Stanisława Cat-Mackiewicza, który jednak nie podpisał się swoim nazwiskiem, lecz pseudonimem: Klemens Nemezjusz Ogórkiewicz.

Inkryminowany artykuł Mackiewicza miał tytuł *Kiedy chce się mówić brzydkie wyrazy?*. I tu Cat wyliczył okoliczności, w których u człowieka szlachetnego (za jakiego rzecz jasna autor się uważał) chce się mówić brzydkie wyrazy. Następuje to według Cata wtedy, gdy skumulują się razem cztery okoliczności. A więc pierwsza: gdy człowieka coś bardzo oburzy; druga: gdy człowiek wie, a przynajmniej wierzy, że to oburzenie wypłynęło u niego z jego lepszych, szlachetniejszych instynktów; gdy wie, że to oburzenie w nim powstałe nie jest dowodem jego egoizmu, lecz przeciwnie, że jest to oburzenie naprawdę altruistyczne, niezależne od jego interesów materialnych a związane ze światem idei. Zwłaszcza silnie działa chęć mówienia brzydkich wyrazów właśnie, wtedy, gdy obrażony jest w człowieku jego zmysł estetyczny, gdy ktoś w sposób trywialny naruszył w danym człowieku jego równowagę wrażeń estetycznych. I tu Cat powołuje się na hr. Stanisława Tarnowskiego – wzór posągowej wstrzemięźliwości. W takiej okoliczności nawet hra-

bia Tarnowski umiał powiedzieć brzydki wyraz!

Trzecią okolicznością powodującą oburzenie jest to *gdy człowiek wie albo przynajmniej wierzy, że chociaż jego święte oburzenie jest słuszne i wszyscy się mniej więcej z tym zgadzają, to jednak ci wszyscy nie tylko nie są tak podnieceni danym oburzającym faktem jak on – lecz przeciwnie, wobec tego faktu zachowują się dość zimno, potępiając go w sposób łączący spokój z obojętnością.*

Czwarta okoliczność zachodzi wreszcie *gdy człowiek oburzony czuje, że mimo to, jego święte oburzenie jest słuszne i szlachetne i wyływa-jące nie z egoistycznych pobudek, lecz przeciwnie z altruizmu lub światła idei – to jednak żadnymi argumentami nie potrafi on przekonać swoich bliskich, aby tak samo strasznie się oburzali jak on się oburza. Gdy zobaczy dokoła siebie tę współczującą zaledwie obojętność – wtedy choć głową o mur bij.*

To więc właśnie, że inni nie oburzali się podobnie jak Cat, zmusiło go do użycia pod adresem Tadeusza Szeligowskiego pokaźnej liczby brzydkich wyrazów.

Tadeusz Szeligowski pojechał pierwszy raz do Paryża i przysłał stamtąd swoją korespondencję jako wyraz swoich wrażeń z podróży i pobytu w stolicy Francji. Te *Listy z Paryża* tak rozwścieczyły Cata, że w artykule drukowanym w „Słowie” nazwał Szeligowskiego dziesięć razy „bydlakiem”. Co wywołało taką wściekłość Mackiewicza?

Pamiętam pierwszą korespondencję o podróży i mam drugą o pobycie w Paryżu. Wszystko to napisane natychmiast po przybyciu do stolicy Francji. Po przeczytaniu tej korespondencji nie odniosłam wrażenia, żeby pan Szeligowski miał protekcyjny stosunek do Paryża. Zwracał on uwagę na życie ulicy, na zachowanie się Amerykanów, na handlarzy starzyzną, śpiewających na targu pcheł, który to śpiew podobny jest jego zdaniem do śpiewu liturgicznego. Autor, jako muzyk, zauważył, że muzyk francuski Charpentier użył tych nawoływań w operze *Luise*. Pi-sze o taniej prasie dostępnej dla każdego robotnika, o radości pracy i wiary we własny pieniądź, który się dewaluował, (a jednak to są zawsze pieniądze), o seansach kinowych urozmaiconych występami, o organizowaniu przystępnych tanich przedstawień itp. Jednocześnie krytykuje system napiwków. Były to może spostrzeżenia banalne, ale nic okropnego ani zdrożnego!

Ale Ogórkiewicz napisał, że oto w jednym z codziennych pism wileńskich znalazł się „List z Paryża” napisany przez jakiegoś bydlaka. I dalej „właśnie ten bydlak nie dopuścił się żadnego przestępstwa za które możnaby za rękę chwycić i powiedzieć, pójdziem na Łukiszki. Dalej cytuję felieton Cata: Oczywiście śmieszne jest, że człowiek, który przejechał bez przesiadania i wysiadania po raz pierwszy rutę Warszawa – Zbąszyń – Berlin – Kolonia – Paryż – czyli w obecnych czasach rutę dość banalną i którą dość ludzi jeździ i nie tylko opowiada o tej swojej podróży w sposób niesłychanie pouczający i ogólno-kształcący, ale wypowiada o krajach, które przejechał, sądy tak syntetyczne i „głębokomyślnie”, że aż płakać się chce. Oto próbka: „tragarze belgijscy patrzą tylko na moją kieszeń, jest to cecha, która we Francji występuje jeszcze silniej” albo „na ogół podróż od granicy belgijskiej do Paryża nie przedstawia nic ciekawego”. Co można zobaczyć specjalnie ciekawego przez okno ekspresu, który mijają pola, domy, stacje? Przypomina mi się amerykańska dziennikarka, która leciała odrzutowcem nad Meksykiem i zwróciła się do pilota, aby leciał niżej i wolniej, bo ona musi o Meksyku napisać reportaż.

Jak się jedzie pociągiem przez Holandię ze ślicznymi schludnymi domkami, można zwrócić uwagę, że w mieszkaniach nie ma firanek, lub też można zobaczyć, jak kobiety szorują trotuary i ściany swych domków. Co do tragarzy francuskich, to wiem z własnego doświadczenia, że żerują oni na cudzoziemcach i żądają 2 czy 3 razy więcej niż tragarze w Londynie.

Rozgniewało bardzo Mackiewicza stwierdzenie Szeligowskiego że: *A już dla kogoś zajmującego się działalnością artystyczną, malarstwem, rzeźbą lub muzyką Francja przedstawia atrakcję niebywałą, jako domicilium wszystkiego co piękne i wzniosłe. Pisze Cat: „jest w tym poglądzie niewątpliwie wiele słuszności, ale i sporo zastrzeżeń widocznych wszakże dopiero tu na miejscu”. Pisze tak człowiek – komentuje Cat, który sądzi, że „Mały Łuk” stoi koło Pałacu Inwalidów, czyli człowiek, piszący swój list może w parę godzin po przyjeździe do Paryża. Że w ogóle cały ten list jest tak napisany, jakby mógł napisać ktoś, kto był powiedzmy na Marsie i którego wszyscy pytają: no powiedz cokolwiek co tam widziałeś – wszystko dla nas będzie ciekawe, wszystko będzie rewelacją.* Cat pisze dalej: „bydlak udziela trochę swoim czytelnikom



studiów nad pruskim kolejnictwem, że pociągi chodzą regularnie jak w Polsce, rewizja celna też jak w Polsce". Wszystko to wypływa z śmiesznej zarozumiałości nabranej widać w specyficznych warunkach życia autora listu w Wilnie, która wyrobiła w nim widocznie przekonanie, że może o wszystkim pisać jak Sienkiewicz. Tu zachwyca się Cat listami z Ameryki Sienkiewicza: „bo tam każdy wyraz miał swoją barwę, plastykę, bo Sienkiewicz swoim piórem umiał malować kolory i cienie, nadawać swym opowiadaniom wypukłość i wklęsłość, nadawać im dźwięk, smak i zapach". Dalej pisze Cat: „Wszystko to co w pierwszej z „listu z Paryża” zreferowałem, wskazuje tylko na śmieszność, na tępą zarozumiałość autora, na brak samokrytycyzmu literackiego, na nieaktualność wreszcie, ale to wszystko nie jest jeszcze przestępstwem. Oburzenie wywołało we mnie dopiero uplasowanie przez autora swej osoby wobec Paryża. Oburzył ten ton niedbale komplementujący, powiedziałbym nieomal protekcyjny, z jakim to bydlę pisze o Paryżu. „Pierwsze wrażenie od razu dodatnie i trzeba przyznać imponujące” (...) „Nie chodzi mi o to, że to bydlę nie umie sobie dać rady nawet z własną korespondencją, bo oczywiście albo dodatnie albo imponujące, od biedy można powiedzieć dodatnie a nawet imponujące, a w żadnym razie nie dodatnie i nie imponujące, ale chodzi mi o ten fakt pewności siebie wobec takiego jedynego na świecie zjawiska jak Paryż. On przyznaje się, że jest dodatnie – widzieliście go! Chciałoby się krzyknąć najdonośniej: na kolana przed Paryżem barbarzyńco!!! Co ty masz tu do przyznawania! Tutaj każda ulica, każdy dom ma nerw czuły i delikatny tego mózgowia świata, mózgowia kultury globu, którym jest Paryż.

To co bydlę nazywa dodatnie i imponujące – to przecież ruch paryski nie mający sobie równego na świecie. Są wielkie zbiegowiska na globie Londyn, New-York, Chicago. Ale tylu Amerykanów przyznało, że tam ten ruch nie ma dziesiątej części tego temperamentu, tej nerwowości, tej inteligencji wreszcie. „Cóż tam nadzwyczajnego w tym Paryżu, zapytał mnie ktoś? „Ruch panie, zobaczy pan tam jak jedzie paryski automobil.

Wielkie bulwary! Potężny potok pędzących aut w potężnych snopach światła reklam, którymi żarzą się wielkie ulice nieomal od pierwszego do ostatniego piętra. Blask jest tak duży, ruch na ulicy tak porywający, że nie wie się, czy to huk tak płonie, czy żar światła tak buczy. Wszystko

się miesza w tym wspaniałym pulsie wielkich ulic wielkiego miasta. Mogłem chodzić od 9 do 1 i 2 w nocy po wielkich bulwarach, wtulać się w ten puls gigantyczny i myśleć, że gdy Sienkiewicz pisał swój opis pożaru Rzymu, to arcydzieło grozy i potęgi, które nas trzyma w napięciu przez kilka rozdziałów książki – nieprzerwanego opisu, że ten opis, który trzęsie wyobraźnię wcielając w siebie maximum potęgi, maximum ruchu, maximum ognia, to tu te właśnie bulwary paryskie służyły mi za natchnienie, były mi modelem. Bulwary paryskie w nocy, a płonący Rzym – to naprawdę są dwa obrazy sobie współmierne”. Tak pisał oczarowany Paryżem Cat-Mackiewicz.

*Czy dlatego Paryż nazywają stolicą świata, że tam jedzie „w ten i we w te” – 8 rzędów samochodów? Czy do Paryża ludzie jeżdżą przede wszystkim dlatego, że tam bulwary są rzęsiście oświetlone i że w nocy ten ruch się nie zmniejsza, a światła nie są wygaszane?*

Mając występować w imieniu zniesławionego Tadeusza Szeligowskiego czułam pewną treść. Walczyć z takim polemistą jak Cat-Mackiewicz – to nie przelewki. Co zabawniejsze – sama przed laty pisałam do redagowanego przez Cata „Słowa” korespondencję z Paryża. Starannie szykowałam podobną porcję zarzutów dla Cata, uważając, że jego oczarowanie Paryżem jest płytkie, i że jego właśnie można posądzać o parafiańszczyznę, prymitywne gusta i że sam popełniając tak wiele gaf w ocenie Paryża, nie miał podstaw, aby rzucać na kolana mego klienta.

Mackiewicz pisze, że w Paryżu dość jest zrobić dziesięć kroków, aby przejść taki dystans, jaki dzieli kulturę Sydney od kultury Petersburga lub Berlina od Tokio. *To nie jedno miasto lecz splot dziesiątków miast. Każda ulica ma tu inną fizjonomię.* Przesada!

Mieszkałam rok akademicki w Paryżu, mieszkałam w kilku dzielnicach, „nosiło” mnie wówczas wszędzie, gdzie można było zobaczyć coś ciekawego. Mackiewicz powołując się na Daudeta (grubego Leona) – jak go protekcyjnie nazywa, też chce wciągać w siebie powietrze ulic, napawać się zapachem, a przede wszystkim jako znany smakosz i obżartuch próbować smaku potraw i win. Jakże płaskie są tego impresje, które przeciwstawia impresjom Tadeusza Szeligowskiego!

Ani o architekturze, ani o muzeach, ani o miastach Sekwany, bukiniściach. Ani o instytucjach naukowych, ani o Quartier Latin z Sorboną i École de Mines, Ogrodem Luxemburskim, ani o bohemie artystów ma-

larzy na Placu du Tertre, ani o Louvrze do którego można chodzić przez rok i jeszcze go dobrze nie poznać...

Szeligowski pisał o tym, że Francuzi spędzają połowę życia na ulicy, siedząc na niewygodnych krzeselkach w trotuarowych kawiarenkach. Píše więc o paryskich realiach. Czyżby to nie podobało się Catowi?

Nie! Pan Mackiewicz przyczepił się, że Szeligowski za mało okazał zachwytu dla bulwarów paryskich, uznał to za wystarczający powód, by nazwać go dziesięć razy bydlakiem. Mackiewicz przyznał, że po ukazaniu się tego artykułu dał felieton do przeczytania osobie, zdanie której ocenił zupełnie wyjątkowo. Spotkał się z ostrą krytyką. Napadnięto na niego z całą bezwzględnością! Nie można pisać o kimś *bydla-ku* tylko dlatego, że mu się artykuł nie udał. *Kto ci powiedział, że twój lepszy... A co ludzie powiedzą, że jak Piłsudski nawymyślał, to i ty go nasładujesz. Bóg mi świadkiem, pisze Cat, że mi autor „Listu z Paryża” nic nie zrobił. Wiem, że był w Wilnie urzędnikiem na poczcie i cenionym przez swych przyjaciół muzykiem! Ja go dotychczas nigdy nie obrażałem. Żyliśmy na tyle zgodnie, na ile dwóch wilnian szanujących siebie nawzajem żyć potrafi. I wyraz bydlak rzucam tylko dlatego, że swoją korespondencją obraził mój zachwyty, który czuję do Paryża (...). Oświetlone bulwary przyprawiające o nostalgię, gdyż nerwy tak porывa ruch, że zaczynasz bać się samotności. Choroba ta opada cię na wielkich bulwarach, jakby zła grypa (...). Tu każda prawie ulica jest inna, inną ma fizjonomię, inaczej na nas patrzy, inaczej pachnie.*

Bulwary którymi się Mackiewicz zachwyca, pachną spalinami i zaturują środowisko. Czyżby Mackiewicz odbierał ten zapach jako zapach perfum Coty'ego czy Gerlaina?!

Autor obraźliwego artykułu wiedział, że z tego powodu będą kłopoty dla „Słowa”. Sam nie chciał się ujawniać, chociaż z uwagi na styl, formę i napastliwą treść wszyscy wiedzieli, że nie fikcyjny Ogórkiewicz go napisał, lecz Cat. Pod koniec artykułu zwrócił się do panów literatów wileńskich i im też się dostało. *Miał rację Boy pisząc o Krakowie z czasów gdy powstawało „Wesele”, że tam jeden drugiego opisywał i było w tej atmosferze „coś z partykularza i coś z renesansu”. „Ale tam wszyscy byli utalentowani od Wyspiańskiego do Malczewskiego. A u was? Jakże u was jest dużo auto i nawzajem adoracji i jakże niedużo talentu. Ta atmosfera adoracji i wymiany komplementów bez umiaru jest*



*przyczyną, że taki to jedzie do Paryża i pisze takie korespondencje. A ja muszę narażać redaktora „Słowa” na wszelkie prawa i towarzyskie konsekwencje mego wystąpienia.*

Tym samym zakończenie ujawniło powtórnie, kto był autorem artykułu.

Po ukazaniu się tego z zamierzeniem skandalicznego artykułu w sferach kulturalnych Wilna powstało oburzenie. Już następnego dnia 13 kwietnia 1929 roku w „Kurierze Wileńskim” ukazał się artykuł podpisany przez „Borsuka” pod tytułem „*Co wolno wojewodzie...*”. Po dłuższym milczeniu zabrał znów głos na łamach „Słowa”, silący się na dowcipy i pretendujący do miana „estety”... Ogórkiewicz. Tym razem zastanawia się on nad kwestią bynajmniej nie estetyczną i kiedy się chce mówić brzydkie wyrazy?

*Wyznaje szczerze, że jest to temat całkiem oryginalny. Niżej podpisanemu na przykład, nigdy taka chęćka nie przychodzi. No ale są różne organizacje psychiczne! Ogórkiewicz chce używać brzydkich wyrazów, bo obrażony został jego zmysł estetyczny (...). Jego poczucie estetyczne zostało podrażnione przez korespondencję z Paryża (...), poczuł więc chęć użycia brzydkich wyrazów, ale co gorsza swą chęć zmienił w czyn (...). Jeżeli zabieram w tej sprawie głos, to jedynie w tym celu, aby stwierdzić ze smutkiem zastraszające obniżenie etyki dziennikarskiej i dobrych obyczajów prasowych. Jeżeli wrażenia paryskie nie przypadły Ogórkiewiczowi do gustu, to jeszcze nie upoważnia go w najmniejszej mierze do postugiwania się ordynarnymi i wysoce obraźliwymi epitetami pod adresem autora korespondencji. Do czegoż to dojdzie? Mnie dajmy na to nie trafia zupełnie do przekonania cielecy zachwyty nad Paryżem... czyż mam prawo nazwać Ogórkiewicza idiotą?... Dokąd idziemy doprawdy? Kończy swój artykuł „Borsuk”.*

17 kwietnia 1929 roku w „Kurierze Wileńskim” ukazał się list do redakcji podpisany przez Witolda Hulewicza.

*Szanowny Panie Redaktorze! Wybryk osobnika ukrywającego się pod pseudonimem „Ogórkiewicz” na łamach „Słowa” nie miał jeszcze precedensu w prasie wileńskiej. Odprawa, jaką otrzymał od p. „Borsuka” na łamach „Kuriera”, wydaje się być zbyt łagodna. To jest coś więcej jak obraza jednego człowieka. Chodzą po mieście pogłoski, że autorem felietonu w „Słowie” jest sam redaktor naczelny tego pisma. Istotnie, pew-*



ne właściwości stylu zdawałoby się potwierdzać takie przypuszczenie. Zarazem jednak nie wierzę, aby to było możliwe. Pan Mackiewicz powinien publicznie zaprzeczyć. Interweniować tu powinien w obronie przyzwoitości dziennikarskiej Syndykat Dziennikarzy Wileńskich. Nie wątpimy, że szanowny Prezes pan Czesław Jankowski, którego pióro nigdy nie zhańbiło się „bydlęcymi” wyrażeniami przeprowadzi energiczne śledztwo i winnego postawi pod pręgierzem. Redakcja „Słowa” powinna wyprzeć się odpowiedzialności za poziom manier Ogórkiewicza, inaczej udzieli raz na zawsze swoim przeciwnikom prawa używania w stosunku do redakcji „Słowa” podobnie niekulturalnych wyrazów.

Nastąpiły dalsze wypowiedzi w prasie, tym razem samego Mackiewicza. Dnia 18 kwietnia tegoż roku w kronice pod tytułem „różne” Mackiewicz przytacza list Hulewicza, w którym wyraził on swe oburzenie i żądał, aby syndykat dziennikarzy przeprowadził śledztwo i postawił winnego pod pręgierz. *Nie widzę powodu ujawniania Ogórkiewicza... pisze Cat i dalej na końcu felietonu Ogórkiewicza napisane było: muszę narazić redaktora „Słowa” na wszystkie prawne i towarzyskie konsekwencje mego wystąpienia. Sądzę, że to jest dostatecznie jasne i wyraźne. Z najgłębszym szacunkiem i poważaniem Stanisław Cat-Mackiewicz.*

20 kwietnia 1929 roku ukazuje się dalszy kpiący list Ogórkiewicza, do którego dołączono jego fotografię i adres. Zawierał on dalsze „wygłupy” dla poirytowania „ludzi” Hulewicza. Radzi mu, aby się do niego zwrócił osobiście dla załatwienia sprawy formalnie (pojedynek?) jak również prosi o wykorzystanie aktualnej sytuacji w celu rozreklamowania jego poradni estetycznej. Zażarta polemika prasowa przybrała na sile. Dnia 21 kwietnia w „Kurierze Wileńskim” ukazuje się długi na dwóch szpaltach artykuł pana Jana Bułhaka, słynnego i powszechnie cenionego artysty fotografika pod tytułem „Rodzina Ogórkiewiczów”. Bułhak pisał: *Od niejakiego czasu zagnieżdżyła się w Wilnie odmiana rycerzy pióra, którzy chowając się za herbową tarczą mitycznego rodu „Ogórkiewiczów” odnoszą łatwe zwycięstwa w walce z ludźmi lub objawami życia wileńskiego, które im nie podobają się... Rodzina Ogórkiewiczów samozwańczo pasowała się na dozorcę opinii publicznej i w tym charakterze grasowała bezkarnie, ponieważ nikt widocznie nie*

kwapił się ze strzelaniem z armaty do wróbla”.

„Jednakże w dniu 12 kwietnia Ogórkiewiczza ujawnili w felietonie „Słowa” łączącym ordynarnie człowieka Bogu ducha winnego, całkiem nową stroną swej działalności, mimo której żaden uczciwy człowiek nie może przejść bez protestu. Ogórkiewiczze w długim wywodzie ośmielają się głosić i uprawiać niesłychaną zasadę, że wolno jest napadać i lżyć publicznie ludzi za odmienne poglądy lub odmienną skalę gustów i upodobań”. Dalej Bułhak pisze o „Liście z Paryża” Szeligowskiego opisującym swe wrażenia z podróży mniej lub więcej oryginalnie czy unikalnie, ale w sposób pozbawiony jakichkolwiek zaczepności i nie gorszy zapewne od wielu innych tego rodzaju... W swym artykule Ogórkiewicz dla zadokumentowania swej estetycznej wyższości nad autorem listu z Paryża, nazywa go dziesięć razy „bydlakiem”. Otóż takie obyczaje polemiki dziennikarskiej należy bezwzględnie napiętnować. Budzą wstręt i oburzenie. Nie wolno zamykać komuś ust ordynarną połajanką dlatego, że inaczej niż my czuje, myśli czy rozumie. Nie wolno podszywać się pod płaszczyk obrońcy prawdy czy piękna, gdy się popełnia zwyczajną brutalność dla dogodzenia li-tylko własnej niepowściągliwości. A wreszcie na miły Bóg – do czegośmy doszli w naszym zharbaryzowaniu gdyby potrzeba było tłumaczyć i uzasadniać elementarne nakazy słuszności i przyzwoitości.

Wreszcie 28 kwietnia ukazał się list do redakcji „Kuriera Wileńskiego” treści następującej: *Wielce Szanowny Panie Redaktorze! Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich w Wilnie uważa za swój obowiązek zająć stanowisko wobec felietonu zamieszczonego dnia 12 IV w „Słowie” podpisanego pseudonimem „Ogórkiewicz”, a godzącego pod pozorem krytyki w osobistą cześć pana członka Zarządu Z.Z.L.P. dr. Tadeusza Szeligowskiego. Najostrzejsza krytyka może być wypowiedziana bez słów ordynarnych. W tym wypadku anonim tych słów użył w stosunku do człowieka, który w ciągu szeregu lat zasłużył się w życiu kulturalnym Wilna. Rzucanie obelg zza parawanu pseudonimu stosowane zwłaszcza na łamach pisma, które w swoim czasie szczytyło się, że przeprowadziło kampanię o podniesienie etycznego poziomu prasy wileńskiej, wywołać musi protest opinii publicznej, obrażonej obniżanej poziomu kulturalnego. Prosząc uprzejmie o zamieszczenie powyższych słów w najbliższym numerze Jego poczytnego pisma. Pozostajemy*

z głębokim poważaniem Zarząd Związku Zawodowego Literatów Polskich w Wilnie.

Następują podpisy: *Stanisław Pigoń, Helena Romer, Witold Hulewicz, Wanda Dobaczewska.*

Przygotowując się do obrony honoru pana Szeligowskiego zwracałam uwagę na pływaczę Mackiewicza w zachwycie nad bulwarami i Świętą Genowefą, chcąc mu dać ripostę, że jeżeli używać słów na poziomie „połajanek” z rynku, to można by i pod adresem Mackiewicza użyć wielu nieprzyzwoitych wyrazów. Nie za oświetlane bulwary bowiem i 8 rzędów samochodów – nazywają Paryż stolicą świata.

Ale redaktor odpowiedzialny pan Wojdyłło rozmawiał z nami namawiając do ugody. Długo leżała sprawa czekając na wyznaczenie. Odbędzie się chyba dopiero w 1931 roku. Wyrok był skazujący. Zapowiedziano apelację, wyrok nie był jeszcze prawomocny. Otrzymałam od pana Szeligowskiego z Lyonu, gdzie był z koncertami, list, że zasadniczo zgadza się na polubowne załatwienie sprawy, gdyż wcale mu nie zależy na tym, aby karę odsiadywał p. Wojdyłło. Gdyby to miał uczynić sam pan Mackiewicz, zapewne byłby mniej skłonny do szukania polubownego załatwienia sprawy. Pan Szeligowski postawił warunki niezbyt trudne do zrealizowania przy odrobinie dobrej woli. Tak więc: po pierwsze: ogłoszenie na tym samym miejscu i takimi samymi czcionkami, a więc w felietonie przeproszenia go w formie dowolnej, byleby tylko znalazły się słowa określające wyraźnie żal z powodu złej woli redakcji, które nie pozwoliłyby mieć wątpliwości, że redakcja uważa takiego rodzaju postępowanie na bardzo niekulturalne i ordynarne.

Sprawę stylizacji oddawał w zupełności w moje ręce mając do mnie pełne zaufanie. Po drugie: *zwrot poniesionych przeze mnie kosztów, według moich rachunków* (pozostawiając sprawę wysokości sumy do mego uznania). *Naturalnie wyobrażam sobie, że wliczy Szanowna Pani taskawie w tę sumę swoje honorarium.* – Jako warunek trzeci Pan Szeligowski postawił żądanie wpłacania sumy przyznanej przez Sąd wg wyroku I instancji na cele dobroczynne. *Przypuszczam, że warunki moje nie są ciężkie i że strona przeciwna je przyjmie i sprawę ostatecznie załatwi.* – pisał Szeligowski – *Proszę Panią uprzejmie o taskawe zawiadomienie mnie o rezultacie pertraktacji albo bezpośrednio albo też przez telefon do mojej Matki. Łączę wyrazy prawdziwego poważania*

nia, serdeczne pozdrowienia oraz ucałowanie rączek. Na tym list się skończył.

W rezultacie długo trwających pertraktacji doszło do przeproszenia napisanego takimi samymi czcionkami i pokrycia kosztów sądowych i adwokackich.

Tak zakończyła się jedna z licznych spraw o zniesławienie, które miał Cat-Mackiewicz. Gdy mówi się o tym publicznie, przypomina się anegdota o innym znanym przedwojennym pamfleciście. *Skończyłem się jako publicysta* – skarżył się przyjacielowi Adolf Nowaczyński – *od dwóch tygodni nikt nie wzywał mnie na pojedynek.*



## SPRAWA ANNY I STEFANA KAMIENIECKICH

Na ławie oskarżonych w Sądzie Okręgowym zasiadły trzy osoby: Anna Kamieniecka, jej syn Stefan Kamieniecki i jego cioteczny brat Stefan Łukaszewicz.

Anna Kamieniecka była wdową. Za życia męża prowadziła gospodarstwo domowe mężowi i szwagrowi, gdyż bracia nie podzielili się ziemią po śmierci rodziców i pracowali razem. Gdy mąż Anny umarł, pozostała ze szwagrem i nadal była gospodynią na sporym gospodarstwie. Szwagier był wprawdzie żonaty z kobietą z pobliskiej wsi, ale miała ona swoje gospodarstwo, nie chciała przenosić się do męża, który tylko do niej dojeżdżał. Anna poza pracą gospodyni umiała szyć i przyjmowała robotę od ludzi jako krawcowa.

Drugi oskarżony Stefan Kamieniecki był chłopcem przystojnym, zgrabnym, zdolnym i chętnym do nauki. Jego stosunki ze stryjem Aleksandrem układały się bardzo dobrze. Stryj nie miał dzieci, więc całe uczucia ojcowskie i opiekuńcze przeniósł na bratanka. Ponieważ Stefan chciał się dalej uczyć po skończeniu szkoły wiejskiej, posłał go do Szczuczyna do seminarium nauczycielskiego. Na wszystkie święta i wakacje Stefan przyjeżdżał do stryja i matki. Stryj opłacał internat, ubierał chłopca, okazywał mu dużo serca i wszystko układało się jak najlepiej.

Ale stosunki między stryjem a matką zaczęły się psuć. Kiedyś po wizycie u żony Aleksander oznajmił Annie, że żona chce do niego się przenieść. Anna była związana uczuciowo z Aleksandrem - od lat była jego kochanką. Opuszczenie domu, w którym przebywała od czasu zawarcia ślubu, było dla niej osobistą tragedią. Szwagier zaczął stosować wobec niej represje w postaci ordynarnego traktowania jej, obra-

żania, bicia, głodzenia, nieoddawania jej pieniędzy ze wspólnej gospodarki. W domu stworzyło się istne piekło.

Ale o bratanka Stefana stryj Aleksander dbał, posyłał mu pieniądze, zaspokajał jego potrzeby, traktował go jak własnego syna. Po długich zmaganiach i ciężkich cierpieniach Anna dom ten opuściła i zamieszkała kątem u sąsiada z tej samej wsi - który miał dom „na dwa końce”, czyli o dwóch wejściach. Dom ten znajdował się na końcu wsi i tam Anna zarabiała szyciem. Od czasu do czasu przychodziła do Aleksandra upominać się o należność z gospodarstwa, ale ex kochanek skąpił i wymawiał się tym, że go Stefan dużo kosztuje. Jak potem zeznawał któryś ze świadków, że żalił się nawet do sąsiadów, iż mu Anna podkrađa zboże. Stefan był nadal w mieście i uczył się. Po skończeniu seminarium dostał pracę w biurze w Lidzie, stał się inteligentem, w pracy swej miał już osiągnięcia. Wykazywał ambicje uzyskania coraz to lepszego stanowiska i w dalszym ciągu odwiedzał stryja i matkę.

Matka, wiedząc co jej jedyny i ukochany syn zawdzięcza stryjowi, nie wtajemniczała go w swoje stosunki ze stryjem, zdobywała się na obiektywizm w ocenie stosunku tych dwojga ludzi do siebie i zdawała sobie sprawę, że sama nie byłaby w stanie dać tego synowi, co uczynił dla niego stryj.

Była jednak ogarnięta nienawiścią do Aleksandra, który tak brutalnie z nią postąpił, porzucił ją, podeptał jej ambicję kobiecą i nieludzkim traktowaniem zmusił do opuszczenia własnego domu.

Gdy miała dużo roboty krawieckiej, przywoływała do siebie mieszkającego w tej samej wsi siostrzeńca Stefana Łukaszewicza, który praktykował u krawca i już znał się na tyle na tej pracy, że mógł jej pomóc wykończyć pilne roboty. I w nim znalazła powiernika. Jemu opowiadała o swej krzywdzie, o tym, że musi się tułać po obcych kątach, ona, dawna gospodyni na dobrym gospodarstwie. Opowiadała mu, jak ją Aleksander głodził zamykając przed nią szafy i spiżarnie, gdzie były prowianty, jakie urządzał awantury łącznie z rękoczynami, aby ją zmusić do opuszczenia domu i nieraz powtarzała: „takiego, to tylko zabić”.

Obaj Stefanowie: Kamieniecki i Łukaszewicz, gdy ten pierwszy przyjeżdżał z miasta, widywali się i kolegowali ze sobą; chodzili razem na zabawy. Łukaszewicz nie był jednak w domu Aleksandra, od czasu, gdy ukradł mu jakiś drobiazg (kawał kiełbasy) i wtedy stryj kolegi nie

pozwolił mu wchodzić do swego domu. Ale chłopcy widywali się poza domem. Stefan Kamieniecki wiedział od kuzyna, że ma on karabin i zajmuje się kłusownictwem. Łukaszewicz nie cieszył się we wsi dobrą opinią i na późniejszym procesie wszyscy świadkowie mówili o nim ten „złodziej”.

Stefan Kamieniecki, gdy przyjeżdżał do wsi, zatrzymywał się u stryja, czasem nocował u matki, ale w rozmowach nie stawał po stronie matki, bo nie chciał zrywać z człowiekiem, który był jego dobrodziejem i zastępował mu ojca.

Pewnego razu młody Kamieniecki przyjechał do domu stryja. Wieczorem, gdy siedzieli w domu, światło się paliło w mieszkaniu stryja i w pokoju o 2 oknach byli tylko stryj i bratanek, słychać było, że ktoś chodzi przed domem i stryj powiedział „jakaś hołota tam chodzi” i zasłonił okno. Wtedy padł strzał, który trafił stryja w klatkę piersiową.

Po strzale Aleksander wybiegł z domu na dwór krzyknąwszy przedtem tylko „synku ratuj się” (co powtórzył na rozprawie Stefan Kamieniecki). Pobiegł do sąsiedniego domu, a gdy nadbiegli sąsiedzi żył jeszcze i na pytanie, kto jeszcze z nim był, odpowiedział: „nasz Stefan”.

Po strzale przerażony Stefan Kamieniecki również wybiegł na dwór. Była zadymka, rozejrzał się, nie zauważył nikogo i pobiegł do matki, aby jej powiedzieć o wypadku. Był rozdygotany, przerażony. Matka go uspakajała: „nie ty przecież strzelałeś”. Oboje pobiegli do stryja. Policja była już zawiadomiona. Ślady zasypane były śniegiem. Stryj Aleksander nie żył.

Aresztowano Stefana Łukaszewicza, Stefana i Annę Kamienieckich.

W śledztwie nikt z oskarżonych nie przyznawał się do winy. Przeciwno wszystkim razem (z dodatkiem również Zubryka, u którego Anna Kamieniecka mieszkała) sporządzono akt oskarżenia. Konkluzja tego aktu brzmiała: „oskarża się o to, że: *„Stefan Kamieniecki i Stefan Łukaszewicz dnia 16 lutego 1929 roku we wsi Osowo pow. lidzkiego działając świadomie, wspólnie i po wzajemnym porozumieniu się między sobą, dopuścili się zabójstwa Aleksandra Kamienieckiego, strzelając do niego z zasadzki w zamiarze pozbawienia życia - przez okno z karabinu i powodując ranę piersi na wylot, połączoną z przebicciem górnego płata płuca i krwotokiem wewnętrznym, skutkiem czego po kilkunastu minutach Aleksander Kamieniecki zmarł.*

*A następnie... oskarża się Annę Kamieniecką i Antoniego Zubryka, że w styczniu i lutym 1929 roku we wsi Osowo... nie biorąc bezpośredniego udziału w zabójstwie Aleksandra Kamienieckiego, działając po uprzednim porozumieniu się między sobą podżegli Stefana Łukaszewicza i Stefana Kamienieckiego do powyższego zabójstwa z zasadzki, skutkiem czego zostało ono popełnione.*

Na rozprawie zbadanych zostało ponad 20 świadków. Zapadł wyrok skazujący Annę Kamieniecką, Stefana Kamienieckiego i Stefana Łukaszewicza na bezterminowe ciężkie więzienie. Zubryk z powodu braku jakichkolwiek dowodów został uniewinniony. Na rozprawie złożyłam apelację.

W Sądzie Apelacyjnym wyrok Sądu Okręgowego zmieniono w ten sposób, że uznano wszystkich trzech skazanych za winnych zarzucanych im zbrodni, ale nie z zasadzki i skazano na karę zamknięcia w ciężkim więzieniu na przeciąg piętnastu lat każdego.

Sąd Apelacyjny odrzucił moje podanie o wezwanie na rozprawę apelacyjną 3 świadków, których zeznania mogły mieć istotny wpływ na treść wyroku pisząc w uzasadnieniu, że *„okoliczności, które mają stwierdzić świadkowie zdaniem Sądu Apelacyjnego bynajmniej nie wykluczają winy oskarżonych dokonania przestępstwa im zarzucanego i wobec tego nie mogą mieć wpływu na treść orzeczenia o ich winie.*

Nie będę tu cytować motywów Sądu Okręgowego, które zawierają 10 stron maszynopisu oraz wyroku Sądu Apelacyjnego, który ma 14 stron maszynopisu. Wyrok zapadł, kiedy jeszcze na Kresach obowiązywał kodeks karny rosyjski. Przytoczę jedynie treść mojej kasacji złożonej do Sądu Najwyższego w Warszawie, z której wynika, co zarzucałam powyższym wyrokom przez przytaczanie szeregu naruszonych artykułów. Broniłam bowiem Annę i Stefana Kamienieckich, a oskarżonego Łukaszewicza bronił adwokat Daniłowicz z Grodna.

Wnosząc o uchylenie wyroku Sądu Apelacyjnego w Wilnie z dnia 18 września 1930 roku pisałam:

*„Sąd Apelacyjny nie oparł wyroku na całokształcie okoliczności sprawy, a uzasadniając swój wyrok nie wyjaśnił wcale, dlaczego nie brał pod uwagę tych okoliczności stwierdzonych przez świadków, które przemawiają na korzyść oskarżonych. Jednocześnie powołanie się na słuszne stanowisko Sądu Okręgowego byłoby wystarczające, gdyby wyrok Sądu*



Okręgowego był bez zarzutu. Tymczasem Sąd Okręgowy w motywach swych streszczając początkowo zeznania oskarżonych, a następnie cytując je w całości lub też omawiając pobieżnie zeznania świadków, stwierdził, że mniemanie o winie Stefana Kamienieckiego opiera się na następującym rozumowaniu: „o tem, by Kamieniecka namawiała do zbrodni swego syna Stefana Kamienieckiego ani ona sama, ani Łukaszewicz nie mówią, lecz nie ulega wątpliwości, że Stefan Kamieniecki w tym spisku również czynny udział przyjmował”. Takie twierdzenie Sądu Okręgowego nie opiera się na żadnych dowodach przemawiających za winą oskarżonego Kamienieckiego, gdyż Sąd Okręgowy nie analizował absolutnie zeznań świadków, którzy stwierdzili fakty bardzo istotne dla oskarżonego Kamienieckiego, mianowicie iż stosunki jego ze stryjem do ostatniej chwili były jak najlepsze: a więc zarówno zeznań żony zabitego jak i innych (wymieniam szereg świadków) nie przeanalizowano, a więc zeznań prawie wszystkich świadków badanych w pierwszej instancji. Sąd Okręgowy nie wyjaśnił w swych motywach dlaczego nie wziął pod uwagę zeznań tych świadków, którzy mówiąc o zgodnym pożyciu bratanka ze stryjem wypowiedali się za nienawiścią oskarżonego Kamienieckiego, gdyż w ich pojęciu, jeżeli ktoś z kimś przez cały czas bardzo dobrze żyje, nie ma powodu i celu zabijania. Dalej pisałam: Sąd Apelacyjny wypaczył okoliczności sprawy i wyciągnął przeto zupełnie błędne wnioski. Nie analizując również jak i Sąd Okręgowy zeznań powyższych świadków powiada: „jednakowoż wszystkie te podkreślenia rzekomo dobrej swej zażyłości ze stryjem nie były przedtem wysuwane, nie nadają się obecnie do sprawdzenia i należy wątpić czy istotnie miały miejsce(...)”.

W protokóle rozprawy sądowej w Sądzie Okręgowym zeznania wyraźnie są zaprotokołowane i twierdzenia Sądu Apelacyjnego, „iż nie wysuwane były przedtem nie odpowiadają rzeczywistości(...)”.

Dopatruję się również wypaczenia okoliczności sprawy i wyciągnięcia błędnych wniosków przez Sąd Apelacyjny w tym, iż według mniemania Sądu Apelacyjnego oskarżony Kamieniecki wiedział o bardzo złych stosunkach stryja z jego matką (...). Może dlatego - piszę w swych motywach - ostatnimi czasy mieszkał u Zubryka a nie u stryja. I tu Sąd Apelacyjny powołuje się na oświadczenie samego oskarżonego. Co jak to widać z protokołu Sądu Apelacyjnego z dnia 18 września i co rów-

niez zostało stwierdzone przez Sąd Okręgowy Stefan Kamieniecki do ostatniej chwili mieszkał u stryja, z nim jadł posiłki, zaprzęgał mu konia, gdy ten jechał do żony, opiekował się domem, co widać z tego, że klucz od domu stryja po wyjeździe jego zostaje u Stefana i klucz ten Stefan chowa do skrytki im dwom tylko wiadomej. Pisałam dalej: Następnie Sąd Apelacyjny ustala zupełnie dowolnie stan faktyczny i upatrując winę oskarżonego w jego zachowaniu się po strzale (iż nie szukał stryja a pobiegł do matki) rozumuje, że jęczał leżąc pod chatą na przeciwniejszej stronie ulicy. Jak to widać z oświadczenia Stefana Kamienieckiego jedyne go świadka strzału, natychmiast po strzale światło w chacie zgasało, stryj wybiegł z chaty, nie jęczał, nie wołał ratunku, wyskoczył z chaty, a tym samym można było przypuszczać, że nic mu się nie stało, że kula chybiła i tylko zawołał do Stefana „synku ratuj się”. Jeżeli więc Stefan Kamieniecki wypadłszy z chaty przerażony wystrzałem i okrzykiem ostrzegawczym stryja, nie szukał go następnie w noc ciemną, podczas zawiei na drodze, a pędził co tchu do matki na drugi koniec wsi, jest to zjawiskiem zupełnie psychologicznie wytłumaczalnym. Sąd Apelacyjny następnie jedną z przyczyn podważającą wiarygodność wyjaśnienia Kamienieckiego uważa fakt podkreślony w motywach swych iż „rozumia się zupełnie z rzeczywistością twierdzenie Kamienieckiego o trafieniu stryja kulą w momencie, gdy stryj skierował się załonić okno, po tem jak słyszał jakiś szum za oknem i powiedział „jakaś hołota tam chodzi”, oględziny bowiem ciała denata wyraźnie wskazują na ugodzenie go w plecy, więc i te detale przedstawione przez oskarżonego ulegają zakwestionowaniu. Otóż jak to widać z wyjaśnień Stefana Kamienieckiego w Sądzie Apelacyjnym powiedział on tak: „w trakcie rozmowy usłyszeliśmy skrzyp śniegu pod oknem a stryj idąc zawiesić okna, których w pokoju były dwa powiedział „jakaś hołota tam chodzi”, a gdy szedł załonić okno padł strzał i lampa zgasła. Z powyższego wynika, iż w pokoju były dwa okna, rozumowanie więc Sądu Apelacyjnego chcące zdyskredytować wyjaśnienie oskarżonego jako kłamliwe, nie może być słuszne, gdyż Aleksander Kamieniecki podchodził do jednego z okien, a w jakim miejscu stał, nie zostało ustalone, strzał mógł więc paść z drugiego okna w plecy, gdyż Stefan Kamieniecki nie mógł przecież tego, że stojąc przed oknem, twarzą do niego został zastrzelony właśnie z tego okna. Sąd Apelacyjny więc nie biorąc pod uwagę całokształtu okolicz-

*ności sprawy w związku z zeznaniami świadków ustalających fakty istotne dla oskarżonego z jednoczesnym twierdzeniem faktów nie popartych żadnymi dowodami fałszywie interpretując oświadczenia samego oskarżonego i wypaczając okoliczności sprawy...”.*

Sąd Najwyższy w Warszawie rozpatrując kasację uznał zarzuty stawiane za zasadne i wyrok Sądu Apelacyjnego uchylił przekazując sprawę Kamienieckiego do ponownego rozpatrzenia. Uznał jedynie, że wniosek o dodatkowe przebadanie świadków, o co walczyłam w Sądzie Apelacyjnym, został słusznie odrzucony, gdyż na te same okoliczności zeznawało wielu świadków w pierwszej instancji.

Po uchyleniu wyroku przez Sąd Najwyższy sprawa znowu trafiła do Sądu Apelacyjnego, gdzie zapadł wyrok diametralnie inny. Stefan Kamieniecki został uniewinniony, a Anna Kamieniecka za podżeganie Łukaszewicza do zabójstwa, ponieważ działała pod wpływem silnego wzruszenia psychicznego, skazana została tylko na 5 lat więzienia. Taki był wyrok, gdyż uznano, że Anna Kamieniecka była głęboko przejęta krzywdą, jakiej doznała od swego szwagra Aleksandra. Jeżeli nawet nie wierzyła sama w to, to jej żal i powiedzenia, że „takiego to tylko zabić”, mogło u Łukaszewicza przybrać kształty realne, to jednak przy tym młodym chłopcu, który i tak miał na pierśku z wujem, nie powinna była takich słów wypowiadać.

Walka moja o sprawiedliwy wyrok była trudna i po zapadnięciu wyroku II-ej instancji wydawała się beznadziejna. Tym większą miałam satysfakcję. Robiłam to zupełnie bezinteresownie, jako kurator więzienny. Gdy po zakończeniu pomyślnie sprawy poszłam do więzienia, przeprowadzona przez strażniczkę do celi widzeń Anna klęknęła przede mną, a gdy ją podnosiłam rzekła:

– Ja tylko na klęczkach mogę z panią rozmawiać, bo pani tyle dla mnie zrobiła. Uratowała mi Pani syna!



## SPRAWA DOMINIKI ZYLEWICZOWEJ

Zylewiczową poznałam w więzieniu, gdy byłam kuratorem więziennym. Przychodziłam do więzienia raz na tydzień. Strażniczka p. Święcicka zapisywała interesantki do mnie i kolejno przyjmowałam je w celi widzeń. Zgłaszały do mnie różne prośby. Jedne prosiły o obronę, bo nie miały pieniędzy na opłacenie adwokata ani też żadnej rodziny, która zajęłaby się ich losem, mnie prosiły o napisanie listów, o skomunikowanie się z kimś bliskim, o wytłumaczenie im spraw niejasnych ich dotyczących czy też dowiedzenie się o losy dzieci, mężów itp. Zylewiczowej nie broniłam. Była ona już po wyroku, skazana została przez Sąd Doraźny na karę śmierci. Kary tej nie wykonano, gdyż gen. Żelichowski, który był wówczas „wielkorządcą” na Wileńszczyźnie, zmienił jej karę śmierci na dożywotne więzienie. Poznałam ją już po ułaskawieniu. Zrobiła na mnie bardzo miłe wrażenie. Opowiadała mi o swojej sprawie i dziwiło mnie to, że dodatkowo wrażenie, jakie zrobiła na mnie – stało w tak rażącym kontekście z wytoczoną jej sprawą, w wyniku której otrzymała straszliwą karę zamienioną z kary śmierci na bezterminowe więzienie.

Zylewiczowa miała 31 lat, była wysoką, miała piękne oczy, była przystojną kobietą. Siedziała w więzieniu już 8 lat. Była ona mężatką, ale dzieci nie miała. Mąż jej został wcielony do armii bolszewickiej i brał udział w I wojnie światowej. Ona powróciła z Rosji do Polski, a on gdzieś zaginął. Wierzyła jednak w to, że powróci, że się odnajdzie. Nie wiedziała, co się z nim stało, miała wiadomości że był ranny, ale potem nie pisał, nie wracał, chociaż czekała na niego i nie uważała się za wdowę. Kochała go bardzo. Przypuszczała, że może dostał się do nie-



woli, a może w zawierusze wojennej gdzieś się zapodział – ale się odnajdzie. Bo gdzieżby się zapodział? Inni wracają czasem późno, ale wracają do swych krajów, do swych domów, do swych rodzin.

Na tej samej ulicy, na której mieszkała Zylewiczowa, mieszkał niejaki Sobolewski, który był żandarmem, a matka jego handlowała na rynku i była dozorczynią domu. Zylewiczowa znała go około 2 miesięcy. Proponował jej małżeństwo, matka nalegała na nią, aby się zgodziła wyjść za niego za mąż, ale Zylewiczowa nie chciała. Zresztą formalnie była mężatką i wciąż czekała na powrót męża. Więc Sobolewski zaproponował, żeby żyła z nim bez ślubu, ale ona mu odmówiła, bo jej się nie podobał i – jak mi opowiadała – czuła do niego wstręt. Kiedyś gdy poszła do nich, nie chciał jej wypuścić i zamknął drzwi. Wtedy wyskoczyła przez okno i uciekła.

Poznała go w lutym 1921 roku, a w kwietniu kiedyś przyszedł on do domu Zylewiczowej i wywoływał swego 11-letniego bratanka, który bawił się z braciszkiem Zylewiczowej. Wyszedł bez pożegnania.

Nazajutrz przyszedł, był czuły i powiedział, że „mamy nie ma” i chłopca również i że mieszkanie jest okradzione. Potem mówił, że matka wyjechała do Warszawy. Zabrał palto, które zostawił u Zylewiczowej, przyniósł trochę bielizny prosząc matkę Zylewiczowej, aby mu ją uprała.

Okazało się, że właśnie tego dnia, kiedy wywoływał chłopca do domu, dokonał zabójstwa 2 osób: matkę zabił magłownicą a 11-letniemu bratankowi poderżnął gardło. Trupy wrzucił do dołu kloaczego. Sobolewski przyznał się do zabójstwa, ale oskarżał Zylewiczową, że ona mu pomagała w tej zbrodni. Powiedział w śledztwie:

– Ja zabiłem matkę magłownicą, a ona poderżnęła gardło chłopcu.

Mówił, że matka oskarżonej jest niewinna, ale ona sama z nim razem mordowała. Po zabójstwie, kiedy Zylewiczowa jeszcze nic nie wiedziała o morderstwie, przyszedł do nich jeszcze raz prosząc, aby dała mu słowo, że wyjdzie za niego za mąż. Usłyszawszy odmowę powiedział:

– Ja wam kaszy nawarzę.

Zdawał sobie widocznie sprawę, że zginie z wyroku Sądu Doraźnego i zemstą za odmowę było wciągnięcie Zylewiczowej do swojej sprawy.

– Ja ginę i ty giń ze mną.

Może nie myślał zresztą, że ona zginie, ale w każdym razie, gdy mąż powróci znajdzie ją w więzieniu skazaną na długie lata i w ten sposób będzie stracona dla innego na zawsze.

Sprawę znałam tylko z opowiadania więźniarki i z odpisu wyroku. Skazana nie mogła mi wyjaśnić, dlaczego żandarm zabił te dwie osoby. Mówiła tylko, że ludzie sądzili, że zrobił to „dla pieniędzy”. A więc mord z chęci zysku.

Zylewiczowa odbywając karę pracowała w warsztatach tkackich i ze spokojem poddawała się rygorom więziennym. Była cicha, opanowana i tylko ze mną rozmawiała o swojej sprawie, przekonując mnie, że jest niewinna. Lubiłam tę kobietę i było mi jej bardzo żal. Jeżeli stała się ofiarą omyłki sądowej, jakże ciężki ją spotkał los!

Wprawdzie kara bezterminowego więzienia nie jest praktycznie nigdy karą bezterminową (zamiast tej kary nowy kodeks karny przewiduje 25 lat pozbawienia wolności). Od czasu do czasu przychodzi amnestia, istnieje prawo łaski, wreszcie przedterminowe zwolnienie. Po dłuższej znajomości ze skazaną zaczęłam robić starania o zmianę wyroku w drodze łaski u Prezydenta Rzeczypospolitej. Po długim okresie wypełnionym przez nasze starania otrzymaliśmy wiadomość, że karę zmieniono na 15 lat więzienia. Ponieważ podanie o ułaskawienie musiało przejść przez Sąd Okręgowy i uzyskiwało dalszy bieg tylko wtedy, gdy Sąd Okręgowy dawał na to podanie zezwolenie oraz popierał prośbę (dopiero wtedy podanie było odsyłane do Prezydenta), składałam podanie do Sądu jako kurator więzienny. Pisałam między innymi:

„Zarząd Patronatu Więziennego, który za pośrednictwem swych kuratorów miał możliwość poznać więźniarkę, gorąco prosi Wysoki Sąd o przepuszczenie podania Dominiki Zylewiczowej do Pana Prezydenta z wnioskiem przychylnym. Więźniarka Zylewiczowa ma w więzieniu jak najlepszą opinię, sprawuje się bez zarzutu, jest cicha, pracowita i zrezygnowana, zyskała sobie sympatię całej administracji więziennej i robi wrażenie człowieka zdolnego do porządnego życia w społeczeństwie. Przebywa już w więzieniu 9 lat. Jest to okres bardzo długi, szczególnie dla człowieka, który w murach więziennych widzi co dzień te same kraty w oknach, te same twarze dozorców i ten sam warsztat tkacki przez lat 9. Dla takiego człowieka ten okres czasu jest wieczno-

ścią męki. Dlatego Patronat Więzienny uważa, że nawet jeżeli wina tej więźniarki jest olbrzymia, to kara odbyta również jest ogromna i udzielenie petentce przez Pana Prezydenta terminu chociaż długiego, ale w każdym razie określonego, byłoby wskazane. Toteż jeszcze raz Patronat prosi o względy dla tej więźniarki i o przepuszczenie podania jej do Prezydenta. Następowaly podpisy: prezes-prof. Bronisław Wróblewski, kurator – Helena Falewicz-Sztukowska i sekretarz – Janina Sumorokowa.

Zmiana wyroku na 15 lat była już znacznym sukcesem i psychicznie postawiło to kobietę na nogi. Z większą ochotą pracowała w warsztatach, jak również pozbyła się załamania, które często ogarnia więźniów skazanych na bezterminówkę. Znowu rozmowy, podtrzymywanie na duchu, kontakt z kuratorem – osobą życzliwą i interesującą się losem więźniarki, to wielka pomoc w samotności i cierpieniu.

Gdy Zylewiczowa odsiedziała 10 lat – wystąpiłam o przedterminowe zwolnienie. Pierwszy wniosek został oddalony na skutek sprzeciwu prokuratora. Przy ponownym wniosku poszłam osobiście do prokuratora przedstawić swój punkt widzenia na tę sprawę po wieloletniej obserwacji i znajomości oraz kontaktach z więźniarką. Uzyskałam przychylny wniosek prokuratora no i wreszcie Zylewiczowa miała opuścić więzienie. Pojechałam na Łukiszki, aby stamtąd zabrać ją i odwieźć do ciotki.

Ciotka mieszkała na jednym z przedmieść wileńskich, położonym między dwoma wzgórzami w wąwozie, daleko za Popławami. Dorożka czekała przed więzieniem. Wsiadłyśmy do niej. Ona z wężelczkiem rzeczy, po 10 latach przebytych w murach, za kratkami. Jechałyśmy przez całe centrum miasta, kierując się do Popław i jeszcze dalej. Przez 10 lat kobieta ta nie widziała ludzi chodzących swobodnie, jadąc trzymała się za breg siedzenia, bojąc się, że wypadnie z dorożki, miała przerażony wzrok, gdy patrzyła na samochody. Dużo się zmieniło przez te 10 lat! Był większy ruch w mieście. I wtedy gdy jechałam z nią powiedziała do mnie:

– Proszę Pani ja te 10 lat siedziałam niewinnie, ja nie miałam nic wspólnego z tym morderstwem. Teraz już jest po wszystkim. Może mi Pani wierzyć czy nie. Komu jak komu, ale Pani przyznałabym się do najgorszej rzeczy, do przestępstwa. Ja z nikim w więzieniu nie rozma-

wiałam o swojej sprawie, tylko z panią. Oni by mi nie uwierzyli, więc po co. Chciałabym, aby Pani mnie uwierzyła, ja Panią nie okłamuję. Było, przeszło... Nie tylko nie pomagałam jemu, ale pojęcia nie miałam, że on zamordował dwoje ludzi.

Jechałyśmy daleko do wąwozu, gdzie ciotka miała domek z ogrodem. Oddałam Zylewiczową ciotce. Obie kobiety płakały – czy z radości, czy z rozczulenia. Wróciłam i straciłam z oczu Zylewiczową. Ale po latach spotkałam kiedyś znajomą lekarkę – chirurga ze szpitala Żydowskiego, która mi opowiedziała, iż miała pacjentkę, która się poddawała poważnej operacji. Nazywała się Zylewiczowa. Przed operacją pacjentka zwróciła się z prośbą do lekarki.

– *Jeżeli nie przetrzymam operacji i umrę to proszę lekarkę aby zadzwoniła do mnie i powiedziała mi o jej śmierci, prosząc abym była na jej pogrzebie. Nie chcę nikogo, aby szedł za moją trumną, tylko chcę aby szła Pani Sztukowska.*

Zylewiczowa wyzdrowiała, nie umarła, nie potrzebowałam iść za jej trumną. I od dawna już uwierzyłam, że była niewinną.\*

---

\* Tekst niepublikowany. Sprawa Zylewiczowej została omówiona w pogadance radiowej pt. „Zabójczynie”, jednak w sposób bardziej syntetyczny i przed wydarzeniem będącym puentą niniejszego opowiadania.



## SPRAWA MIECZYŚŁAWA MATERLI

Sprawa, którą chcę opisać, przeprowadzona została w Toruniu, już po wojnie i po moim wyjeździe z Wilna. Jeśli wprowadzam go do swych „zapisków wileńskich” – to dlatego, że stanowisko moje zajęte w tej sprawie jest zgodne z ideą, którą prezentowałam we wszystkich swych wileńskich wystąpieniach – z moją walką o zniesienie kary śmierci.

Dostałam zawiadomienie, iż jestem wyznaczona na obrońcę z urzędu w Wojskowym Sądzie Garnizonowym oskarżonego Mieczysława Materli. Jego sprawa wyglądała następująco: dnia 4 lipca 1946 roku Materla pełniąc służbę wojskową w Ostrowiu Wielkopolskim opuścił samowolnie swą jednostkę i udał się do Torunia. Stąd tego samego dnia poszedł z karabinem w rękę szosą w kierunku Inowrocławia. Siadając w rowie na skrzyżowaniu dróg Toruń-Bydgoszcz, zauważył jadącego jednokonnym wozem woźnicę, jak się następnie okazało Jana Przybylskiego robotnika rolnego, sierotę wychowującego się u P. Lewandowskiego w Toruniu. Przysiadł się do jego wozu i jechał z Przybylskim razem. Będąc już w lesie, po przejechaniu półtora kilometra drogi zmusił pod groźbą użycia broni, by woźnica zjechał z szosy na drogę leśną. Gdy znaleźli się w odległości około 150 metrów od szosy, w pewnym momencie oskarżony Materla uderzył kilkakrotnie kolbą karabinu woźnicę po głowie, powodując jego natychmiastową śmierć. Sam zaś zabierając konia wraz z wozem pojechał do Inowrocławia, gdzie na jarmarku sprzedał zrabowane mienie nieznanym handlarzom za 42.000 złotych (było to przed powojenną wymianą pieniędzy), z których oddał żonie 35.000 zł, sam tej samej nocy wrócił do jednostki. Żona mieszkała w Inowrocławiu z dzieckiem.

W dniu 22 sierpnia 1946 roku Materla otrzymał 6-dniowy urlop okolicznościowy do dnia 28 sierpnia włącznie. Nie wrócił jednak do jednostki w porę. Miał ze sobą karabin.

Udało mu się zdobyć pieniądze za pierwszym razem – myślał sobie – to może się i drugi raz uda. Dnia 29 i 30 sierpnia codziennie wychodził na szosę idącą lasem w kierunku Sucharówka i czekał na ofiarę. Bez skutku. Dopiero 31 sierpnia w godzinach rannych będąc na szosie w lesie spotkał jadącego jednokonnym wozem Jana Szymczyka, gospodarza z Przybranowa w powiecie Mała Nieszawka. Śledząc go krok za krokiem, przyszedł w głąb lasu, gdzie denat nakładał drzewo na wóz i w odpowiednim momencie, gdy Szymczyk był schylony przy ścinaniu drzewa, stojący za nim z tyłu Materla wystrzelił z karabinu w plecy zabijając go na miejscu. Potem zabrał konia z wozem. Trupa Szymczyka przykrył gałęziami w lesie, siadł na wóz i pojechał znowu do Inowrocławia, chcąc tak jak za pierwszym razem sprzedać konia z wozem, aby zdobyć upragnione pieniądze.

Jadąc do lasu Szymczyk musiał przejeżdżać koło budynku gajowego. Kobieta wyglądająca przez okno widziała dwóch ludzi. Gdy natomiast sam Materla wyjeżdżał z wozem z lasu, coś ją „tknęło” i udała się ona do miejsca, gdzie Szymczyk miał zabrać sobie drzewo. W niedużej odległości od tego miejsca zobaczyła kupę gałęzi, przyjrzała się i zobaczyła pod nimi zabitego człowieka. Przerażona natychmiast telefonicznie zawiadomiła milicję, która już przed Inowrocławiem oczekiwała na Materlę. Tak się złożyło, że do Inowrocławia szedł też piechotą funkcjonariusz organów ścigania, który poprosił Materlę, aby go podwiózł. I tak oto się stało, że „Bogu Ducha winien” funkcjonariusz służby bezpieczeństwa musiał się potem gęsto tłumaczyć, skąd jego obecność na wozie mordercy! Materla będąc badany przez prokuraturę wojskową przyznał się do winy. A gdy do niego poszłam do więzienia, wręczył mi trzystronicowy pisany jednostronnie akt oskarżenia. Na drugiej stronie napisał swoją, obronę którą zatytułował: „Moje słowo obrony”! Przytoczę ją w całości:

*Wysoki Sądzie!*

*W całej rozciągłości aktu oskarżenia i popełnionych czynów zdaję sobie sprawę w pełni z tego, jaki może być zastosowany wymiar kary za popełnione czyny. Jednak na swą obronę chciałbym wypowiedzieć kil-*

ka psychicznych pobudek, które mnie na tak szatańską myśl naprowadziły. I do zarzucanych czynów zmusiły. Otóż! Odchodząc do wojska byłem spokojny o losy żony i dzieci. Mając tę świadomość, że z pozosta-wionych zapasów materialnych żona wraz z dziećmi będzie dawać sobie radę na niezbyt długi dystans. Z drugiej zaś strony w marcu 1945 roku tak ja, jak i wszyscy liczyli na prędkie koniec wojny.

Więc pełen najlepszych myśli stanąłem jako Polak w szeregu żołnier-skim. Chcąc dać odradzającej się Ojczyźnie swą żołnierską i obywatel-ską powinność.

Wysoki Sądzie! Całą gehennę okupacyjną jako Polak przetrwałem na terenie Niemiec to jest od 9 października 1939 do połowy lutego 1945. Po powrocie do wolnej już Ojczyzny podjąłem zaraz pracę biuro-wą w biurze ewidencji miasta Bydgoszczy. Niezależnie też od tego po-czuwałem się do obowiązku i rejestracji wojskowej. Tego wynikiem była 21 marca 1945 roku karta powołania.

Wysoki Sądzie! Odchodząc do wojska byłem już obarczony węzłem małżeńskim, jak i obowiązkiem ojca. I zapewne nikt inny w mym wie-ku nie miłował tak jak ja swego własnego gniazdka rodzinnego. Swej żony i dziecka. Więc też już po kilku miesiącach zaczęła się obawa o losy swych najbliższych. Co było już cały przeciąg czasu po zakończe-niu wojny. A o zwolnieniu z wojska nie było w ogóle mowy ani widoku. Czego wynikiem było, że służba wojskowa przestała mi całkiem impo-nować. A myśli ciągle zajęte były różnymi możliwościami o zwolnieniu z wojska. Jednak jak fatum wszystko spetzło na niczem. Więc służba wojskowa stała się dla mnie kłoda u rąk i nóg. Tem samym z coraz większym roztargnieniem i obawą myślałem o losie żony i dzieci. Tem więcej miłość własna i ambicja podjudzały stan psychiczny i jak złow-rogą była niemoc osobista. Zdając sobie sprawę z warunków życiowych ukochanej żony i dzieci. Widząc też dokładnie do czego podobny stan moralny może w rodzinie a tem bardziej w młodym małżeństwie w ostateczności doprowadzić. Ja natomiast ze swej strony praktycznie nie byłem w stanie niczymkolwiek zaradzić niż też pomóc. Co jeszcze wię-cej podrywało mój stan psychiczny i sposób myślenia. Przyznam, że może zbyt tragicznie podchodziłem do sprawy, jednak nic nie było w stanie nadać mi innego sposobu myślenia. Jedna myśl i coraz większe roztargnienie wewnętrzne mnie opanowywało co powodem były losy



najbliższych, które mi ołowiem leżały na sercu. Choć co prawda rodzina żony wspomagała, ale tem bardziej szarpata ambicja i „chonor” własny, co jeszcze gorzej wpływało na mnie i na mój sposób myślenia. Czego wynikiem było u mnie roztargnienie nerwowe, niemoc własna i czarne myśli opanowały mnie zupełnie. Co tak wpłynęło na mnie, że nieraz chodząc sam nic nie wiedziałem o sobie. I potem święcie przekonany, że żona ma nawet 1 % nie przypuszczała co mnie gnębi i jaki jest mój stan psychiczny i w ostatnim wypadku co na mnie wpłynęło najgorzej, to było to, że sam naocznie zauważyłem brak odpowiedniego odżywienia dla dzieci. Gdzie u synka mego, który się tak dobrze rozwijał zauważyłem zanik krwi, blednica i zupełnie wyraźną anemię. Nie w lepszym zdrowotnym stanie była moja żona, którą tak ceniłem. Żona moja ze swej strony poczyniła kilkakrotnie i szerokie starania o moje zwolnienie, które były odmowne i zupełnie doprowadziły do niczego. Żona dla ratowania sytuacji wyprzedala wszystko i to nawet co było najpotrzebniejsze. Ja widząc ten stan byłem prawie zgubiony. To wszystko mnie tak rozpaczliwie opanowało i doprowadziło do pasji, do wyraźnej walki wewnętrznej. Czego wynikiem zrodziła się żądza i chęć zdobycia pieniędzy. I jeszcze gorsze co wówczas popchnęło mi tę szatańską myśl, która oładnęła mną zupełnie i której nie mogłem się pozbyć. I wodziła mną uporczywie i nieustannie do chwili popełnienia przestępstwa.

Wysoki Sądzie! Jeszcze w wielkiej mierze przyczyniły się inne pobudki. Wracając z niewoli byłem najlepszej myśli żeby pracą swą jak najwięcej pomóc do odbudowy wolnej i demokratycznej ojczyzny. Dla której tyle lat znosiło się upodlenie niewolnicze. Gdyż okupację przetrwałem do ostatniej chwili jako Polak, powróciłem do Ojczyzny jako Polak bez zarzutów. Z tą też myślą zabrałem się najgorliwiej do pracy. I do pracy społecznej w ZWM.

Wysoki Sądzie! Dlatego właśnie byłem Polakiem i to skrajnie demokratycznej myśli – zostałem przez los tak pokrzywdzony. Przez całą okupację nosiłem literę „P” z której byłem dumny. Ale koledzy moi z ławy szkolnej i stołu laboratoryjnego postąpili inaczej. Zrobili się sługusami niemieckimi, przyjęli tożsamości niemieckie. Przez to zdobyli kwalifikacje zawodowe i odpowiednie wychowanie fizyczne. Za co byli gorliwymi volksdeutschami. Po odrodzeniu wolnej ojczyzny kosztem krwi i niewoli tych których oni konfidentowali i mając zdobyte kwalifikacje



zawodowe czy też biurowe zajęli pierwszeństwo w każdej dziedzinie. Wypierając tych, którzy z niewoli wrócili. Oczywiście jako rzekomi zdrajcy polskości nie obowiązywał ich pobór do odrodzonego W.P. Co jeszcze więcej pozwoliło im na zdobycie warunków materialnych. Po ogólnej rehabilitacji zostali oczywiście gorliwymi Polakami śmiejąc się z tych, którzy z niewoli wrócili czy też z tych w szeregach wojskowych stanęli. Dlatego też miałem i mam niewystłowioną nienawiść do nich. Gdyż oni służusy niemieckie rozbijali się w wolnej Polsce na całej stopie. A rodziny właściwych Polaków musiały cierpieć głód i niedostatek. Dlatego, że poszłem za głosem idei i polskości! Dlatego wojsko sparaliżowało mi ręce i nogi czyniąc niezdolnym do jakiegokolwiek pracy przez którą bym mógł wyrównać warunki materialne mej rodziny dla której się tylko poświęciłem i stoję dziś przed Wysokim Sądem.

Wysoki Sądzie! O jedno proszę gorąco gdy przewód sądowy przejdzie do motywowania wyroku – proszę zwrócić uwagę, że dopuszczając się przestępstwa byłem do głębi szarpnięty rozpaczą o losy mej rodziny, którą więcej ceniłem niż własne zdrowie i życie. I ostatecznie, Wysoki Sądzie zdobyte przez przestępstwo pieniądze obróciłem wyłącznie na cel humanitarny, by pomóc mej rodzinie co też uczyniłem. A zatem kończę moje słowo obrony!

*I proszę o możliwie łagodny wymiar kary”.*

„Słowo obrony” napisane przez Materlę w pośpiechu, z licznymi błędami gramatycznymi i ortograficznymi było miejscami naiwne, prześląknięte nabytą w czasie służby wojskowej frazeologią, ale przebiła przezeń autentyczna rozpacz człowieka zbłąkanego, oszalałego z niepokoju o los najbliższych.

Przed rozprawą w Sądzie Garnizonowym miałam z nim rozmowę. Zdawał chyba sobie sprawę z tego, że może być tylko jedna kara – najwyższa. Robił wrażenie człowieka inteligentnego, przedstawiał mi krytyczną sytuację rodziny i był tego zdania, że będąc w rozpaczach został „opętany przez szatana”, który mu podsunął myśl o zbrodniczym sposobie zdobycia pieniędzy. Człowiek młody, patrzący z „podełba”, brunet z czarnymi zrosniętymi brwiami. Nie był pijakiem, hulaką, miał dobre opinie z wojska i miejsca zamieszkania, a jednak dokonał mordu na dwóch niewinnych ludziach, których nie znał, nie wiedział, jak się nazywają. Unikał opowiadania o stanie faktycznym, o tym, że ręka mu

nie drgnęła, gdy pierwszego kolbą, a drugiego strzałem z karabinu życia pozbawił.

W prasie ukazała się wzmianka zatytułowana „Zbrodniarz i morderca został rozstrzelany”. „Wyrok Sądu Wojskowego w Toruniu wykonany”. A oto treść:

*„Dnia 23 listopada br. na zlecenie Wojskowej Prokuratury Garnizonej w Toruniu został wykonany wyrok śmierci na zbrodniarzu Mieczysławie Materli, który dnia 4 lipca br. kolbą karabinu zamordował Jana Przybylskiego zabierając mu konia i wóz, który następnie sprzedał za 41 tysięcy złotych przeznaczając je rzekomo na utrzymanie rodziny. Krótco potem udał się Materla znów do lasu pod Otłoczynem i tu czatując przez 3 dni, znalazł drugą ofiarę w osobie Jana Szymczyka którego pozbawił życia wystrzałem z karabinu i następnie obrabował.*

*Powyższe czyny Materli dowodzą, że był on jednostką aspołeczną o instynktach krwiożerczych i zwierzęcych i o zupełnym braku podstaw etycznych. Wyrok na Materli wykonano na tym samym miejscu, na którym pozbawił on życia swe ofiary. Ludność Torunia i okolicy odechnie swobodnie, gdy dowie się, że groźnego bandytę spotkała kara śmierci przez rozstrzelanie”.*

Taka była „niefrasobliwa” notatka prasowa nie pozostająca w żadnym stosunku do dramatu, którego byliśmy świadkami. Sąd Wojskowy, który go sądził, był Sądem Doraźnym, bez apelacji. Z rozmowy z sędzią wywnioskowałam, że w przedmiotowej sprawie może być tylko jedna kara – kara śmierci. Podczas składania wyjaśnień przez oskarżonego, nie przeszkadzano mówić o tym wszystkim, co przeżywał jako Polak przez 6 lat niewoli, pracując ciężko w obozach, gdzie życie ludzkie było deprecjonowane, o swym stanie rozpaczony z powodu przebywania w wojsku, gdy nie zarabiał, a rodzina cierpiała niedostatek, a też, że za wszelką cenę postanowił zdobyć pieniądze, no i za cenę swego życia, dał żonie 35.000 zł. Sąd jednak patrzył na oskarżonego jak na martwy przedmiot, jak na nieboszczyka. Wyrok był przesądzony. Obronie została jedynie kwestia stosowania kary śmierci w ogóle. Powoływałam się więc na Becarię (rok 1764), który już wówczas wypowiadał się, na Victora Hugo, który również walczył z karą śmierci, przytaczałam statystyki krajów, gdzie kara śmierci została zniesiona i w którym po zniesieniu kary śmierci przestępczość zmalała itd. Powtarzałam wielokroć

powtarzane w Wilnie argumenty. Mieczysława Materlę rozstrzelano.

Nie poddawano go badaniom psychiatrycznym: każdy żołnierz jest zdrowy, inaczej nie byłby w wojsku! Prasa opisała go jako niebezpiecznego zbrodniarza, a z likwidacji jego społeczeństwo powinno było się cieszyć! Gdy jednak rozważałam wszystkie szczegóły tej potwornej sprawy i szukałam motywów – dla których ten inteligentny – jak sądziłam, człowiek stał się zbrodniarzem, doszłam do przekonania, że działanie Materli było samobójcze. Zginęło dwóch niewinnych ludzi. Działanie było z chęci zysku. Działanie przemyślane i świadome. A jednak była też druga strona medalu! Materla popełnił te dwa zabójstwa z pełną świadomością, że będzie za nie odpowiadał głową. Sposób popełnienia zbrodni dawał obraz pełnej jasności: dezercja z wojska z karabinem w rękę, miejscem przestępstwa były okolice miejsca zamieszkania rodziny. Gdyby nawet nie złapano go po dokonaniu drugiego zabójstwa, to władze śledcze miały łatwe zadanie, aby go ująć i udowodnić jego winę. Nie szykował się do ucieczki w nieznaną lub za granicę. To, co przygotował sobie siedząc w więzieniu jako obronę w swojej sprawie, dawało obraz jego stanu psychicznego, ale po rozmowie doszłam do wniosku, że zakończenie z prośbą o łagodny wyrok było jedynie figurą retoryczną. Materla liczył się z karą śmierci, a jednak oddawał swe życie, aby uratować rodzinę od nędzy, aby za wszelką cenę zdobyć pieniądze i oddać je żonie na życie. Niedostatek rodziny, a jednocześnie odmowa zwolnienia go z wojska już po zakończeniu wojny, wytworzyły w nim „szatańskie” myśli, o których mi mówił przy widzeniu, że nie mógł się cofnąć i zrezygnować ze zbrodni. Uważał się za bardzo skrzywdzonego, prześladowanego. Ten stan psychiczny oskarżonego Materli był jednak stanem wielkiej pobudliwości czy afektu. Nie miał możliwości zaspokojenia potrzeb rodziny. Wydaje się, że gdyby jego losy potoczyły się inaczej, zgodnie z jego wolą i gdyby mógł powrócić do cywila i pracować w biurze tak jak przed wojskiem – to nie popełniłby innego przestępstwa, nawet o małym znaczeniu i mógłby być w pełni szanowanym obywatelem. Z tego, co przedstawiam, wynika, że Materla był przestępcą przypadkowym i dlatego nigdy nie powinno było się karać go śmiercią.

Nie „oko za oko, ząb za ząb”. Niezależnie od przesłanek filozoficznych, obliczeń statystycznych kara śmierci jako „premedytowane prze-

stępstwo” (określenie Alberta Camusa) nie powinno być stosowane do ludzi a już w szczególności do osób, których więzienie może poprawić. Materla nie był człowiekiem bezmyślnym i głupim. Był to człowiek zrozpaczony, który chciał za cenę swego życia zaopatrzyć rodzinę w środki potrzebne na chleb, na codzienne wydatki. Powinno się było nie pozwolić mu umrzeć, lecz zmusić do rozpamiętywania swych zbrodni, gdzie z jego ręki być może również ginęli ojcowie rodzin. Ludzie będący w podobnej – jak i on sytuacji. Trzeba było stworzyć mu takie warunki reedukacji, aby cierpiąc i rozważając swoje postęпки, wyszedł z więzienia innym człowiekiem. Śmierć bowiem nie jest karą a zniszczeniem. Może nie mam racji, może niesłusznie chcę go oszczędzić, ale uważam, że powinien być żyć!!!

...To nie jest oszczędzanie, ale trudna polityka karna, która powinna dążyć do przeistoczenia człowieka i która powinna wierzyć w swe posłannictwo, reedukację i resocjalizację a nie niszczenie życia.



## Spis treści

### Część I

O autorce słów parę .....	7
I. Dzieciństwo .....	11
II. Młodość .....	25
III. Rok 1920 .....	40
IV. Studia w Wilnie .....	59
V. Paryż .....	63
VI. Zmora .....	82
VII. Moskwa .....	111
VIII. Sport w moim życiu .....	120
IX. Moje trzy więzienia .....	147
X. Dyscyplinarki .....	172
XI. Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami .....	178
XII. Yad Vashem .....	181

### Część II

Zamiast wstępu .....	201
I. Zapiski rodzinne	
Korzenie .....	204
Szkiecownik ojca .....	212
Ciotka afrykańska .....	229
Antoni i Elias .....	243
USB .....	249
II. Wędrówki po Wileńskich więzieniach	
Zabójczynie .....	262
Złodziejki .....	271
O podpalaczkach i patronacie więziennym .....	277
Przestępcy – dzieci .....	284
Sądownictwo dla nieletnich .....	293
Więzienie Łukiszki .....	300
Prawdy stare lecz zawsze aktualne .....	308
Obrona godności osobistej .....	311
Przesady .....	316
III. Zapiski sądowego obrońcy	
Sprawa rotmistrzowej A. Nowickiej .....	320

Sprawa M. Grigoriewa .....	325
Sprawa Marii Korzeniowskiej .....	329
Jak doszło do uniewinnienia dwóch kobiet? .....	332
Sprawa portierów .....	337
Potwór .....	340
Kłęska .....	343
Sprawa Marii Pielkowej .....	346
Tadeusz Szeligowski przeciwko redakcji „Słowa” .....	351
Sprawa Anny i Stefana Kamienieckich .....	362
Sprawa Dominiki Zylewiczowej .....	369
Sprawa Mieczysława Materli .....	374









ISBN 83-87865-39-7  
ISSN 1230-9915